

Alexandre Dumas

Kawaler d'Harmental

Przełożyła Izabella Rogozińska

Część pierwsza

I. Kapitan Roquefinette

22 marca roku pańskiego 1718, w półpoście, młody wyniosły szlachcic lat mniej więcej dwudziestu siedmiu siedział około ósmej rano na pięknym koniu hiszpańskim przy wylocie Pont-Neuf na bulwar de l'Ecole. Siedział w siodle wyprostowany jak struna, jak gdyby postawił go tam na warcie imć pan Voyer d'Argenson, główny namiestnik policji królewskiej.

Czekając tak już przeszło pół godziny, popatrywał często z niecierpliwością na zegar Samaritaine. Spojrzenie jego, aż do tej chwili niezdecydowane, spoczęło z pełną satysfakcją na jakimś nieznanym, co wynurzywszy się z placu Daubhine skręcił w prawo i podążył ku niemu.

Nieznanomy, który miał zaszczyt zwrócić uwagę młodego jeźdźca, prezentował się doskonale: chłop na schwał, przeszło pięć stóp wzrostu, muskularny; bez peruki, z gęstą, czarną czupryną przyprószoną z lekka siwizną; ubrany zaś trochę po mieszczańsku, trochę po wojskowemu. Ramię jego zdobiła kokarda, kiedyś zapewne pąsowa, dziś - spłowiała na słońcu i słocie - pomarańczowożółta. Luźno zwisająca u pasa szpada niemiłosiernie tłukła go po łydkach; kapelusz przystrojony piórem i galonem, niewątpliwie na pamiątkę dawnej świetności, nasadzony był na lewe ucho z taką fantazją, iż powiedziałbyś, że tylko cudem utrzymuje równowagę. W twarzy, w ruchach i w całej postawie tego człowieka - który wyglądał na czterdzieści pięć lat, nie ustępował nikomu z drogi, kołysał się w biodrach, jedną ręką podkręcał wąsa, a drugą dawał znaki ekwipażom, by zjeżdżały na bok - było tyle bezczelnej niefrasobliwości, iż obserwujący go kawaler uśmiechnął się mimo woli i mruknął:

- Chybam dobrze trafił.

Zgodnie z tym domniemaniem młody szlachcic jął zbliżać się wprost ku nieznanemu z widocznym zamiarem, by go zagadnąć. Obcy zaś, choć nie znał jeźdźca, widząc, że zapewne ma on doń interes, przystanął naprzeciw Samaritaine i wysunąwszy nogę w przód jak szermierz, z jedną ręką na gardzie szpady, a drugą podkręcając wąsa, czekał, co powie mu osobistość zmierzająca w jego stronę.

Istotnie, tak jak był przewidział człowiek z pomarańczową kokardą, młody szlachcic zatrzymał konia na wprost i unosząc dłoń do kapelusza:

- Jak mi się zdaje - rzekł - z miny i wzięcia waszmość pana poznaję szlachcica. Nie pomyliłem się zapewne.

- Nie, do kroćset, panie - odparł nieznajomy, którego dotyczyły te dziwne słowa, i dotknął z kolei dłonią pilśniowego kapelusza. - Bardzom doprawdy rad, że moja mina i wzięcie tak świetnie przemawiają za mną, gdybyś pan bowiem zechciał mnie darzyć należnym mi tytułem, nazwałbyś mnie kapitanem.

- Wielcem kontent, że jesteś pan wojskowym - podjął szlachcic, znów się kłaniając. - To dla mnie pewność, że nie potrafiłbyś zostawić w kłopotcie człeka wysokiej kondycji.

- Witaj mi, waszmość, byle tylko ów człek wysokiej kondycji nie odwoływał się do mojej sakiewki, wyznam bowiem z całą otwartością, że właśnie zostawił ostatniego talara w karczmie portowej w La Tournelle.

- Nie chodzi wcale o twoją sakiewkę, kapitanie, ale przeciwnie, o moją; wierz mi pan, proszę, że jest do twojej dyspozycji.

- Z kimże więc mam honor mówić? - zagadnął kapitan poruszony wyraźnie tą odpowiedzią. - I co mógłbym dla waćpana uczynić?

- Jestem baron Rene de Valef - odpowiedział jeździec.

- Za pozwoleniem, panie baronie - przerwał kapitan - ale chyba, wojując we Flandrii, znałem rodzinę tego nazwiska.

- To moja rodzina, waćpanie, bo z pochodzenia jestem leodyjczykiem.

Obaj znowu wymienili ukłony.

- Niechże więc pan się dowie - ciągnął baron de Valef - że jeden z moich serdecznych przyjaciół, kawaler d'Harmental, będąc dziś w nocy w mojej kompanii, wdał się w szkaradną waśń, która dziś rano ma się skończyć pojedynkiem; przeciwników mieliśmy trzech, nas było tylko dwóch. Odwiedziłem już margrabiego de Gace i hrabiego de Surgis, ale nieszczęściem żaden z nich nie spędził nocy w swoim łóżku: a że sprawy odłożyć nie sposób, bo za dwie godziny wyruszam do Hiszpanii, trzeba nam za wszelką cenę kogoś drugiego, a raczej trzeciego; dlatego czekam tu na Pont-Neuf na pierwszego napotkanego szlachcica. Nawinałeś się waćpan, zwracam się zatem do ciebie.

- I, do licha, dobrześ pan uczynił! Ręka, baronie! Należę do ciebie. A na którą

wyznaczono spotkanie, jeśli łaska?

- Na wpół do dziesiątej rano.

- Gdzie się to ma odbyć?

- Przy rogatce Maillot.

- O, do diabła! Nie mamy czasu do stracenia! Pan jesteś konno, ale ja pieszo: jakże sobie poradzimy?

- Znalazłby się sposób, kapitanie.

- Jaki?

- Mógłbyś mi uczynić zaszczyt siadając ze mną na koniu.

- Z chęcią, panie baronie.

- Uprzedzam tylko - dodał z uśmiechem młody szlachcic - że mój koń jest trochę narowisty.

- Och, widzę to - odparł kapitan, cofnąwszy się o krok i obrzucając piękne zwierzę spojrzeniem znawcy. - Albo się mylę, albo urodził się on między górami Grenady i Sierra Moreną. Dosiadałem podobnego w Almanzie i potrafiłem go utemperować: kiedy chciał puszczać się w galop, ścisnąłem mu po prostu boki kolanami i robił się łagodny jak baranek.

- A więc tym lepiej. Na koń, kapitanie, i do Maillot!

- Już siedzę, panie baronie.

I nie posługując się strzemieniem, choć pozostawił mu je młody pan, kapitan jednym susem dosiadł konia.

Baron powiedział prawdę: koń jego nie nawykł do tak wielkiego ciężaru; starał się więc zrazu go pozbyć; lecz kapitan też nie skłamał i zwierzę połapało się szybko, że ma do czynienia z silniejszymi, toteż po kilku wierzgnięciach, co w wyniku ukazało tylko przechodniom zręczność obu jeźdźców, wierzchowiec postanowił być posłuszny i wyciągniętym klusem pomknął w dół bulwaru de l'Ecole, który podówczas był jedynie portem; minął nie zwalniając bulwar Luwru i bulwar Tuileriów i, zostawiwszy na lewo za bramą Conference gościniec wersalski, pocwałował główną aleją Pól Elizejskich, wiodącą dziś do Łuku Tryumfalnego. Dotarłszy do mostu d'Antin, baron de Valef zwolnił nieco, przekonał się bowiem, że ma jeszcze mnóstwo czasu, by w oznaczonej godzinie znaleźć się przy rogatce

Maillot. Kapitan wykorzystał tę chwilę wytchnienia.

- A teraz, mój panie - zagadnął - czy mogę, nie popełniając niedyskrecji, spytać o powód pojedynku? Bo rozumie pan, że muszę być powiadomiony o tym, aby ustalić mój sposób postępowania z przeciwnikiem i wiedzieć, czy rzecz warta jest tego, by go zabić.

- Aż nazbyt słusznie, kapitanie - odrzekł baron. - Oto przebieg wypadków: wczoraj wieczorem byliśmy na kolacji u Filonki. Niemożliwe chyba, żebyś, kapitanie, nie znał Filonki.

- Do diabła, przecież to ja ją wypchnąłem między ludzi w roku 1705, nim wyruszyłem na włoską kampanię.

- No to ma się kapitan czym chlubić - roześmiał się baron - wyedukowałaś pupilkę, która przynosi ci zaszczyt! Krótko mówiąc, wieczorzaliśmy u niej we dwóch, ja i d'Harmental.

- I bez żadnego stworzonka płci pięknej? - zagadnął kapitan.

- A nie, dalibóg! Bo trzeba panu wiedzieć, że d'Harmental to rodzaj trapisty: chodzi do Filonki tylko ze strachu, żeby nie gadano, że nie chodzi; kocha tylko jedną kobietę na raz, i właśnie zakochał się na kwadrans w tej małej d'Averne, żonie porucznika straży.

- Doskonale.

- Siedzieliśmy więc tam gwarząc o naszych sprawach, kiedy jakaś wesoła i hałaśliwa kompania weszła do sąsiedniego gabinetu. A że to, co mieliśmy sobie do powiedzenia, nie nadawało się dla niczyich uszu, umilkliśmy, dzięki czemu niechcący wysłuchaliśmy rozmowy naszych sąsiadów. I pomyśl pan tylko, czym jest przypadek. Nasi sąsiedzi rozmawiali akurat o jedynej sprawie, która nie nadawała się dla naszych uszu.

- O kochance kawalera, nieprawdaż?

- Zgadł waćpan. Już po pierwszych słowach ich dyskursu wstałem, żeby zabrać Raula; lecz on, zamiast podążyć za mną, wsparł mi dłoń na ramieniu i kazał usiąść. "A więc - odezwał się ktoś - Filip ugania się za tą małą d'Averne?" "Od balu u marszałkowej d'Estrees, kiedy przebrana za Wenus dała mu pendent do szpady z wierszykiem, w którym porównała go do Marsa". "Ależ to było tydzień temu" - zabrzmiał trzeci głos. "Tak - odparł pierwszy - ale urządziła coś na kształt obrony, bądź dlatego, że zależy jej naprawdę na tym biednym d'Harmentalu, bądź dowiedziawszy się, że regent lubi tylko takie, co mu się opierają. Dość, że dziś rano w zamian za kosz pełen kwiatów i klejnotów raczyła odpowiedzieć, że wieczorem

przyjmie Jego Wysokość”.

- Aha, aha - ozwał się kapitan - zaczynam już pojmować. Kawalerowi zrobiło się przykro, tak?

- Otóż to; miał się roześmiać jak pan lub ja, mam nadzieję, i skorzystać z okazji, żeby zwrócono mu dyplom pułkownika, cofnięty pod pozorem oszczędności, d'Harmental tak pobladał, że myślałem, iż zemdleje. Potem przyskoczył do ściany i walał pięścią, żeby nakazać milczenie, zawołał: “Panowie, przykro mi wam zaprzeczać, ale ten, który twierdzi, że pani d'Averne wyznaczyła schadzki regentowi lub komukolwiek innemu, zełgał!”. “To ja, mój panie, twierzę tak i nie ustąpię - ozwał się pierwszy głos. - I jeśli się panu coś w tym nie podoba, nazwisko moje La Fare, kapitan gwardii”. “A moje Fargy” - zabrzmiał drugi głos. “A moje Ravanne” - dodał trzeci. “Doskonale, moi panowie - odparł d'Harmental. - Jutro o pół do dziesiątej z rana przy rogatce Maillot”. I znów usiadł naprzeciw mnie. Tamci zmienili temat rozmowy, a myśmy skończyli wieczerzać. Ot i cała sprawa, kapitanie, wiesz już o niej tyle, co ja.

Kapitan chrząknął głośno, jakby chciał powiedzieć: wszystko to niezbyt poważne; lecz choć poniekąd zganiał drażliwość kawalera, nie wycofał się jednak bynajmniej ze sprawy, której tak niespodzianie stał się czempionem, jakkolwiek sprawa ta wydawała mu się w zasadzie swej błaża. A zresztą, gdyby nawet miał taki zamiar, na rejteradę było za późno. Stanęli u rogatki Maillot i tu jakiś młodzieniec na koniu, zdający się kogoś oczekiwać, na widok barona i kapitana puścił się ku nim galopem. Był to kawaler d'Harmental.

- Drogi kawalerze - powiedział baron wymieniając z nim uścisk dłoni - pozwól, że w braku starych przyjaciół przedstawię ci nowego. Nie zastałem w domu ani Surgisa, ani Gacego; spotkawszy kapitana na Pont-Neuf, wyłożyłem mu nasze kłopoty, on zaś z największą chęcią zaofiarował się z pomocą.

- Dwakroć jestem ci wdzięczny, mój drogi - odpowiedział kawaler obrzucając kapitana spojrzeniem, które wyrażało cień zdziwienia - pana zaś winienem przeprosić, że pakuję cię od razu, i to na początek znajomości, w kabałę aż tak przykrą; ale któregoś dnia dostarczysz mi okazji, spodziewam się, i proszę, abyś w takim wypadku dysponował mną, jak ja dysponuję dziś panem.

- Ładnieś to powiedział, panie kawalerze - rzekł kapitan zeskakując z konia. - Z - Z człowiekiem tak grzecznym poszedłbym na koniec świata. Słusznie mówi przysłowie: tylko dwie góry się nie spotkają.

- Któż to zacz ten oryginał? - szepnął d'Harmental do Valefa, kiedy kapitan przytupywał, żeby sobie rozprostować nogi.

- Na honor, pojęcia nie mam - odparł Valef - tyle wiem, że gdyby nie on, byłibyśmy w tarapatach. Chyba to jakiś biedny zawodowy oficer, zwolniony na czas pokoju, jak tyłu innych. A zresztą osądzimy go, gdy przyjdzie do spotkania.

- No i co, kawalerze, gdzież te nasze gagatki? - zagadnął kapitan rozruszawszy się dzięki ćwiczeniu. - Czuję dziś wenę.

- Kiedy spieszyłem na spotkanie z wami - odrzekł d'Harmental - nie było ich jeszcze; alem dostrzegł u końca alei coś w rodzaju najętej karocy, która posłuży im za wymówkę, gdyby się spóźnili. A zresztą - dodał kawaler dobywając z kieszonki prześliczny zegarek wysadzany brylantami - mamy jeszcze czas, bo nie minęło pół do dziesiątej.

- Chodźmy więc naprzeciw - rzekł Valef, zeskakując z konia i rzucając lejce pachołkowi d'Harmentalą. - Gdyby się bowiem zjawili w czasie naszej pogawędki, wyglądałoby, że kazaliśmy im czekać na siebie.

- Masz rację - zgodził się d'Harmental.

I zsiadłszy z konia podążył w stronę lasu - a za nim jego dwaj towarzysze.

- Czy panowie nic nie zamówią? - zagadnął ich oberżysta czekający w progu na klientów.

- Ależ tak, mistrzu Durand - odpowiedział d'Harmental. W obawie, by nikt mu nie przeszkodził, udawał, że wybrali się tu li tylko na przechadzkę. - Śniadanie dla trzech! Pospacerujemy wzdłuż alei i zaraz wrócimy.

I rzucił na dłoń oberżysty trzy ludwiki.

Kapitan ujrzawszy, jak błysnęły jedna po drugiej trzy sztuki złota, obliczył z bystrością wytrawnego smakosza, co można by dostać w Lasku Bulońskim za siedemdziesiąt dwa liwry; wiedząc już jednak, z kim ma do czynienia, osądził, że rekomendacja z jego strony nie byłaby bezużyteczna; podszedł więc i on do oberżysty:

- Słuchaj no, imć kucharzu, przyjacielu miły - ozwał się - wiadomo ci, że znam się dobrze na rzeczy i że nie mnie imponować jadłospisem. Wina mają być rozmaite i przednie, a śniadanie obfite, bo inaczej pogruhoczę ci kości! Zrozumiałeś?

- Niech pan kapitan będzie spokojny - odpowiedział mistrz Durand. - Taki znawca jak pan nie dałby się oszukać.

- No pewnie! Od dwunastu godzin nie miałem nic w gębie: wyciągnij z tego wniosek.

Gospodarz skłonił się jak człowiek świadom rzeczy i zawrócił do kuchni powziąwszy mniemanie, że interes nie przedstawia się tak różowo, jak spodziewał się był zrazu. Kapitan zaś, skinąwszy mu jeszcze po raz ostatni na pół przyjacielsko i na pół groźnie, przyspieszył kroku, by dogonić kawalera i barona, którzy nań czekali.

D'Harmental nie pomylił się co do najętej karocy. Na zakręcie pierwszej alei dostrzegł trzech swoich przeciwników - wysiadali akurat: byli to wspomniani już markiz de La Fare, hrabia de Fargy i kawaler de Ravanne.

Czytelnik pozwoli, że przekażę mu kilka krótkich szczegółów o tych trzech osobistościach, z którymi nieraz jeszcze spotkamy się w toku naszej opowieści.

La Fare, najbardziej z nich trzech znany dzięki poezjom, jakie zostawił po sobie, i swojej karierze wojskowej, miał pod czterdziestkę, z twarzy jego przebijała otwartość i szczerłość, odznaczał się wesołością i niewyczerpanym dobrym humorem. Zawsze gotów stawić każdemu czoło przy stole, przy kartach i w zbrojnym spotkaniu, pozbawiony zawiści i żółci, ulubieniec płci pięknej, faworyt regenta, który mianował go kapitanem swej gwardii przybocznej i który od lat dziesięciu dopuszczając go do poufałości znajdował w nim czasem rywala, lecz zawsze wiernego sługę. Toteż regent, przywykły nadawać przezwiska wszystkim towarzyszom swoich hulanki i wszystkim swoim kochankom, nie nazywał go nigdy inaczej, aniżeli Złote Serce. A jednak od jakiegoś czasu popularność markiza, tak ugruntowana dzięki chwalebny fundamentom, malała, zwłaszcza wśród dam dworu i pańienek z opery. Wszyscy mówili głośno, że się ośmiesza, stając się już człowiekiem statecznym. To prawda, że kilka osób, aby poprawić mu reputację, szeptało, iż jedynym powodem tego pozornego nawrócenia jest zazdrość panny de Conti, córki księżnej królewskiego rodu, a wnuczki Wielkiego Kondeusza, która, jak zapewniano, zaszczycała

naszego kapitana gwardii przybocznej wyjątkowym afektem. Poza tym amory jej z diukiem de Richelieu, uchodzącym za kochanka panny de Charolais, potwierdzały jeszcze ostatnio tę plotkę.

Hrabia de Fargy, zwany powszechnie Pięknym Fargy - który to epitet tak się z nim zrół, że już nikt nie nazywał go hrabią - uchodził za najbardziej urodziwego chłopca swej epoki: to zaś w owych czasach rozpusty nakładało obowiązki, przed którymi nie cofał się nigdy i z których zawsze wywiązywał się znakomicie. Trudno wyobrazić sobie młodzieńca bardziej postawnego niż Fargy. Odznaczał się wrodzonym wykwiem, był silny, zręczny i pełen życia - zalety stanowiące jakby krańcową sprzeczność z przymiotami bohatera ówczesnych romansów. Dodajcie do tego ujmującą twarz, pełną również kontrastowych uroków: czarne włosy i niebieskie oczy, rysy ostre, wyraziste, a przy tym płeć dziewczęca. Do tej całości dorzućcie także dowcip, prawość, odwagę, jaka winna cechować szlachcica, a zrozumiecie, czemu Fargy cieszył się tak dużym uznaniem wśród towarzystwa tej szalonej epoki, które potrafiło oszacować wybornie te jakże różnorodne przymioty.

Co zaś do kawalera de Ravanne, który zostawił nam z okresu swojej młodości pamiętniki tak dziwaczne, iż mimo ich autentyzmu wciąż jesteśmy skłonni oceniać je jako apokryfy, był on podówczas dzieciuchem, niedawno jeszcze paziem, bogatym i z wielkiego rodu, dzieciuchem, co wchodził w życie złoconą bramą i biegł prosto ku rozrywkom, jakie ono obiecuje, biegł pędem, z nierozwagą i zachłannością właściwą młodzieży. Toteż przesadzał, jak to osiemnastolatek, zarówno we wszelkich niecnotach, jak i cnotach swojej epoki. Pojmiecie więc łatwo, jak pysznił się zostawszy sekundantem ludzi takich jak La Fare i Fargy w pojedynku, który miał zdobyć pewien rozgłos i w alkowach, i na kolacyjkach.

II. Pojedynek

La Fare, Fargy i Ravanne, ujrawszy przeciwników wynurzających się zza zakrętu alei, pospieszyli ku nim. Kiedy znaleźli się o dziesięć kroków od siebie, każdy zdjął kapelusz i wymienili ukłony z ową wykwinną uprzejmością, jaka w podobnych przypadkach znamionowała osiemnastowieczną arystokrację - postąpili tak parę kroków z odkrytymi głowami i z uśmiechem na ustach; toteż przechodzień, nie znający przyczyny ich spotkania, powiedziałby, że wyglądają na przyjaciół uradowanych swoim widokiem.

- Panowie - ozwał się kawaler d'Harmental, jemu bowiem pierwszemu przypadło prawo głosu - spodziewam się, że nikt nas nie śledził; ale że już zaczyna robić się późno, mógłby nam tu ktoś przeszkodzić; sądzę więc, że byłoby dobrze znaleźć przede wszystkim jakieś bardziej ustronne miejsce, gdzie mielibyśmy większą swobodę w załatwieniu bagatelnej sprawy, dla której się spotykamy.

- Panowie - powiedział Ravanne - znam takie miejsce: zaledwie o sto kroków stąd jest prawdziwa pustelnia; pomyślicie, żeście się znaleźli w Tebaidzie.

- No to chodźmy za tym dzieciuchem - rzekł kapitan. - Niewinność prowadzi do zbawienia.

Ravanne obejrawszy się zmierzył od stóp do głów tego człowieka z czarną czupryną i pomarańczową kokardą.

- Jeśli nie upatrzyłeś sobie przeciwnika, mój dorosły panie - powiedział kpiąco paż - domagałbym się pierwszeństwa.

- Chwileczkę, chwileczkę, Ravanne - przerwał La Fare - winienem panu d'Harmentalowi kilka wyjaśnień.

- Mój panie - odpowiedział kawaler - twoja odwaga jest tak doskonale wszystkim znana, że proponowane wyjaśnienia dowodzą delikatności, za którą, wierz mi pan, jestem ci niezmiernie wdzięczny. Ale wyjaśnienia te opóźniłyby tylko zbytecznie naszą sprawę, a nie mamy chyba, jak sądzę, czasu do stracenia.

- Brawo! - zawołał Ravanne. - Święte słowa, panie kawalerze: kiedy już sobie wzajem popodrzynamy gardła, mam nadzieję, że obdarzysz mnie swoją przyjaźnią. Wiele słyszałem o panu od zacnych ludzi, od dawna więc pragnąłem zawrzeć z tobą znajomość.

Obaj panowie znów wymienili ukłony.

- Dobrze, dobrze, Ravanne - odezwał się Fargy - pokazuj nam drogę, skoroś zaofiarował się na przewodnika.

Ravanne skoczył między drzewa niby młody jeleń. Pięciu szlachty podążyło za nim. Wierzchowce i najęta karoca pozostały na gościńcu.

Po dziesięciu minutach marszu wśród zupełnego milczenia, nakazanego przeciwnikom bądź obawą, by ich ktoś nie usłyszał, bądź owym naturalnym uczuciem, które sprawia, że w chwili grożącego niebezpieczeństwa człowiek skupia się na moment, stanęli wszyscy na polanie, otoczonej gęstą zasłoną drzew.

- No i cóż, moi panowie - ozwał się Ravanne rozglądając się z satysfakcją - co powiecie o tym miejscu?

- Powiem, że jeśli się pan chwalisz, żeś odkrył je pierwszy - odparł kapitan - wyglądasz mi na nowego odkrywcę Ameryki! Gdybyś powiedział, że to tutaj, zaprowadziłbym was tu z zamkniętymi oczami.

- Wybornie, mój panie - odrzekł Ravanne. - Postaramy się więc, abyś wyszedł stąd tak, jak mógłbyś przyjść.

- Wiadomo panu, że to z tobą mam sprawę, panie de La Fare - ozwał się d'Harmental rzucając kapelusz na trawę.

- Tak, panie kawalerze - odrzekł kapitan gwardii idąc za przykładem d'Harmentala - i wiem jeszcze, że nic nie mogłoby mi sprawić większego zaszczytu i wyrządzić zarazem większej przykrości niż pojedynek z tobą, zwłaszcza z podobnej przyczyny.

D'Harmental uśmiechnął się jak ktoś, kto nie potrafi zlekceważyć grzeczności aż tak wytwornej, lecz za całą odpowiedź ujął w dłoń szpadę.

- Podobno drogi baron już na wyjeździe do Hiszpanii... - zwrócił się Fargy do Valefa.

- Miałem wyruszyć tej jeszcze nocy, drogi hrabio - odparł Valef - i jedynie przyjemność, jaką obiecywałem sobie po dzisiejszym spotkaniu z panem, skłoniła mnie, bym został aż do tej chwili, tak ważne bowiem wzywają mnie tam sprawy.

- O, do diabła! Przyprawia mnie to o szczerą rozpacz - odparł Fargy dobywając szpady - bo gdybym nieszczęściem opóźnił pański wyjazd, nie darowałbyś mi tego do śmierci, taki już

jesteś.

- Ależ skąd! Wiedziałbym, że to z najczystszej przyjaźni, drogi hrabio - odparł Valef. - Staraj się więc ile sił, bez ceremonii, proszę, bom na pańskie rozkazy.

- Do dzieła, do dzieła, drogi panie - rzekł Ravanne do kapitana, co złożywszy porządnie swój kaftan, układał go obok kapelusza. - Nie widzisz waćpan, że czekam?

- Cierpliwości, cierpliwości, śliczny młodzieniaszku - odrzekł stary żołnierz, przygotowując się z właściwą sobie żartobliwą flegmą. - Jedną z najważniejszych zalet w wojsku to zimna krew. Byłem do pana podobny będąc w pańskim wieku, kiedy jednak kilka razy pokluto mnie szpadą, zrozumiałem, że jestem na złej drodze, i podążyłem dobrą. Dość! - uciał, dobywając nareszcie szpady, która, jako się rzekło, długość miała dość imponującą.

- A niech cię licha! - zawołał Ravanne obrzuciwszy wzrokiem broń przeciwnika. - Przecież to miecz, i jaki! Przypomina mi największy rożen z kuchni mojej matki, wielka szkoda, że nie kazał go przynieść naszemu ochmistrzowi, bo wtedy mógłbym zmierzyć się z panem.

- Pańska matka to osoba czcigodna, a kuchnia jej jest dobrą kuchnią; ktoś przy mnie rozpląwał się nad obiema w pochwałach, panie kawalerze - odpowiedział kapitan tonem niemal ojcowskim. - Byłbym więc zrozpaczony, gdybym odebrał cię jednej i drugiej z racji takiego głupstwa, jak to, dla którego będę miał zaszczyt skrzyżować z tobą szpadę. Wyobraź więc sobie po prostu, że twój fechtmistrz udziela ci lekcji, i korzystaj, ile możesz.

Na nic się zdała ta przestroga; Ravanne zdążył się rozjuszyć spokojem przeciwnika, spokojem, jakiego, mimo swej odwagi, nie zdołałby zachować, tak ponosiła go młoda, gorąca krew. Natarł na kapitana z taką furją, że szpady stuknęły się rękojeściami. Kapitan cofnął się o krok.

- Oho, rejterujesz, mój mistrzu! - wykrzyknął Ravanne.

- Odwrót to jeszcze nie ucieczka, mój rycerzyku - odpowiedział kapitan. - To aksjomat sztuki wojennej, radziłbym ci zastanowić się nad nim. Zresztą cóż mi szkodzi przestudiować twoją metodę? A tak, zdaje mi się, że jesteś uczniem Berthelota. To dobry nauczyciel, ale ma jedną wadę: nie uczy parować ciosów. Przyjrzyj no się - ciągnął ripostując ciosem ukośnym na prosty - gdybym zrobił wypad, nadziałbym cię jak skowronka.

Ravanne kipiał wściekłością, istotnie bowiem poczuł na żebrach koniec szpady

przeciwnika, lecz dotknięcie było delikatne, jak gdyby musnęła go kulka floretu. Gniew wzmogło w nim przekonanie, że kapitan darował mu życie - pomnożył więc natarcia jeszcze gwałtowniejsze niż poprzednie.

- No, no - powiedział kapitan - nie dość, że tracisz teraz głowę, ale chciałeś jeszcze wydźgać mi oko. A wstyd, młodzieńcze, a wstyd! W pierś do kroćset! Co, znów mi się dobierasz do twarzy? Zmusisz mnie, żebym cię rozbroił! Znowu? No to idź, młodzieńcze, podnieś swoją szpadę i wracaj powolutku, to cię uspokoi.

I śmignawszy ostro żelazem wytrącił Ravanne'owi szpadę, która upadła o dwadzieścia kroków dalej.

Tym razem Ravanne skorzystał z przestrogi; poszedł wolno po szpadę i wolno wrócił do kapitana, który czekał wsparłszy ostrze swego żelaza o trzewik. Młodzieniec miał twarz koloru swej białej atłasowej kurtki, na której pojawiła się niewielka kropla krwi.

- Przyznaję panu rację - powiedział - jestem jeszcze dzieciuchem; ale to spotkanie z panem pomoże mi, mam nadzieję, stać się mężczyzną. Skrzyżujmy jeszcze szpady, jeśli łaska, by nie powiedziano, że po pańskiej stronie cały honor.

I stanął w pozycji wyjściowej.

Kapitan miał słuszość: kawalerowi zbywało jedynie na spokoju, inaczej byłby w pojedynkach groźnym przeciwnikiem. Toteż już od pierwszej chwili tego trzeciego starcia musiał skupić całą uwagę na obronie; miał jednak w sztuce fechtunku zbyt wielką przewagę, by młodzieniec mógł wziąć nad nim górę. Rzecz zakończyła się w sposób łatwy do przewidzenia: kapitan wytrącił znów szpadę Ravanne'owi; ale tym razem podniósł ją sam z grzecznością, do której na pozór nie był zdolny.

- Panie kawalerze - rzekł podając mu szpadę - jesteś dzielnym młodzieńcem; zaufaj jednak staremu bywalcowi sal fechtunkowych i tawern, który, nim się urodziłeś, wojował we Flandrii, kiedy byłeś w kołysce, we Włoszech, a kiedy byłeś w korpusie paziów, w Hiszpanii; zmień nauczyciela; porzuć Berthelota, który pokazał ci już wszystko, co potrafi: weź Bois-Roberta, a niech mnie diabli porwą, jeśli za pół roku nie dasz takiemu rębajle jak ja dobrej szkoły!

- Dziękuję panu za lekcję - rzekł Ravanne podając rękę kapitanowi, a dwie łzy, których

powstrzymać nie mógł, spłynęły mu po policzkach. - Skorzystam z niej, mam nadzieję.

I odebrawszy szpadę z rąk kapitana, wsunął ją do pochwy, jak kapitan wsunął był już swoją.

Obaj zwrócili teraz oczy ku towarzyszom, żeby zobaczyć, jak stoją sprawy. Pojedynek już się skończył. La Fare siedział na trawie, plecami wsparty o drzewo: otrzymał cios, który winien był przeszyć mu pierś; szczęściem jednak ostrze napotkawszy żebro ześliznęło się wzdłuż kości, tak iż na pierwszy rzut oka rana wydawała się cięższą, niż była rzeczywiście; niemniej zemdłał, tak gwałtowne było uderzenie. D'Harmental klęcząc przed nim ścierał mu krew chusteczką.

Fargy i Valef poszpikowali się wzajem: jeden miał przeszyte na wskroś udo, drugi ramię. Przepraszali się, obiecując sobie, że odtąd będą najlepszymi przyjaciółmi.

- Spójrz, młodzieńcze - mówił kapitan do Ravanne'a wskazując mu poszczególne fragmenty pola bitwy - spojrzysz i podumaj: oto krew trzech zacnych szlachciców płynie zapewne dla jakiejś małpy!

- Na honor - odparł Ravanne całkiem już uspokojony - chyba masz rację, kapitanie, i kto wie, czy wśród nas nie ty jeden posiadasz zdrowy rozsądek.

W tejże chwili La Fare otworzył oczy i poznawszy w człowieku, który niósł mu pomoc, d'Harmentalą, powiedział:

- Panie kawalerze, czy zechcesz posłuchać przyjacielskiej rady? Przyślij mi przywiezionego tu przeze mnie przypadkiem cyruliczyne, którego znajdziesz w mojej karocy; a następnie wracaj co tchu do Paryża, wieczorem pokaż się na balu w Operze i gdyby ktoś pytał tam o mnie, powiedz, że nie widziałeś mnie od tygodnia. Możesz być absolutnie spokojny: pańskie nazwisko nie padnie nigdy z moich ust. Gdyby zresztą doszło do jakiegoś niemiłego sporu między tobą i urzędem konetabla, daj mi znać jak najprędzej, a załatwimy wszystko tak, żeby uniknąć następstw.

- Szczęśliwej podróży, drogi przyjacielu - rzekł Fargy do Valefa - nie sądzę bowiem, żeby to zdraśnięcie przeszkodziło ci wyjechać. Po powrocie przypomnij sobie, że masz życzliwą duszę na placu Louis-le-Grand pod numerem czternastym.

- A ty, mój drogi, gdybyś miał coś do załatwienia w Madrycie, powiedz tylko, a możesz

liczyć, że wywiążę się skrupulatnie i z gorliwością, jak na dobrego kamrata przystało.

I nowi przyjaciele wymienili uścisk dłoni, jak gdyby absolutnie nic między nimi nie zaszło.

- Do widzenia, do widzenia, młodzieńcze - ozwał się kapitan do Ravanne'a. - I zapamiętaj moją radę: porzuć Berthelota i weź Bois-Roberta; przede wszystkim zachowuj zimną krew, cofaj się w potrzebie, paruj ciosy w porę, a będziesz jedną z najlepszych i najzjadliwszych szpad królestwa francuskiego. Mój Rożen przesyła wyrazy sympatii wielkiemu rożnowi twojej czcigodnej matki.

Ravanne, choć wygadany jak mało kto, nie znalazł na to żadnej odpowiedzi; uklonił się tylko kapitanowi i podszedł do La Fare'a, który z dwóch rannych wydał mu się bardziej cierpiący.

D'Harmental natomiast, Valef i kapitan podążyli aleją, gdzie odnaleźli najętą karocę, a w karocy drzemiącego cyrulika. D'Harmental zbudził go i oznajmił wskazując drogę, że markiz de La Fare i hrabia de Fargy potrzebują jego usług. Kazał ponadto swojemu pacholcowi zsiąść z konia i udać się z cyrulikiem na wypadek, gdyby cyrulik potrzebował pomocy, po czym zwrócił się do kapitana:

- Nie sądzę, byśmy postąpili roztropnie jedząc razem zamówione śniadanie, niechże więc jak najserdeczniej podziękuję ci za pomoc, a że nie masz waćpan, jak mi się zdaje, wierzchowca, zechciej przyjąć ode mnie jednego z moich dwóch koni. Możesz wybierać z zamkniętymi oczyma: oba są znakomite; gorszy z nich cię nie zawiedzie, jeśli nawet będziesz musiał zrobić osiem lub dziesięć mil w jedną godzinę.

- Na honor, panie kawalerze - odparł kapitan zerkając na konia ofiarowanego mu tak hojnie - nic mi się za to nie należy. Krew i sakiewkę między szlachtą wymienia się co dnia. Ale skoro w tak miły sposób stawiasz sprawę, nie powinienem ci odmówić. Gdybyś potrzebował mnie kiedykolwiek w jakiej bądź kwestii, pamiętaj, że wdzięczność uczyniła mnie twoim sługą.

- A w takim wypadku gdzie mam pana szukać? - uśmiechnął się d'Harmental.

- Nie mam właściwie domu, panie kawalerze; ale będziesz mógł zawsze się o mnie dowiedzieć u Filonki; wezwij tam Normandkę i pytaj o kapitana Roquefinette.

A że obaj młodzieńcy dosiadali już koni, kapitan wskoczył również na siodło

zauważywszy w duchu, że kawaler d'Harmental zostawił mu najpiękniejszego z trzech wierzchowców.

Znalazłszy się na rozstaju, każdy podążył inną drogą wyciągniętym galopem.

Baron de Valef wrócił przez roгатkę Passy, udał się prosto do Arsenалу, wziął zlecenia od księżnej du Maine, której był dworakiem, i tegoż jeszcze dnia wyruszył do Hiszpanii.

Kapitan Roquefinette pojeździł po Lasku Bulońskim stępa, klusa i galopem, aby wypróbować swojego konia, i uznawszy, że jest to, jak powiedział był kawaler, zwierzę piękne i czystej krwi, powrócił wielce kontent do mistrza Durand, u którego zjadł śniadanie zamówione dla trzech. Tegoż dnia zaprowadził rumaka na Koński Targ i sprzedał za sześćdziesiąt ludwików. Stanowiło to połowę jego wartości: ale trzeba umieć zdobyć się na ofiarę, jeśli się chce szybko osiągnąć cel.

Kawaler d'Harmental skierował się aleją de la Muette, dotarł do Paryża głównym traktem Pól Elizejskich, a wróciwszy do siebie na ulicę Richelieu zastał tam już dwa listy.

Na jednym z nich widniało pismo tak dobrze mu znane, że spojrzawszy na nie zadrżał na całym ciele; dotknął listu tak niepewnie, jak gdyby dotykał rozżarzonego węgla, i otworzył z drżeniem, które zdradzało, jak wielką miał dlań wagę. Zawierał, co następuje:

“Drogi Panie Kawalerze,

Serce nie sługa, jak ci wiadomo, a do ułomności naszej natury należy, że nie potrafimy długo kochać ani jednej i tej samej osoby, ani jednej i tej samej rzeczy. Co do mnie, mam przynajmniej nad innymi niewiastami tę przewagę, że nie oszukuję tego, kto był moim kochankiem. Nie przychodź więc o zwykłej porze, powiedziano by ci bowiem, że mnie nie ma w domu, a w dobroci swojej nie chciałabym wystawiać na szwank zbawienia lokaja czy pokojowej, każąc im popełnić grzech tak ciężkiego kłamstwa.

Żegnaj, Drogi Kawalerze; nie zachowuj po mnie przesadnie złego wspomnienia i postaraj się, żebym za dziesięć lat myślała jeszcze o tobie tak, jak myślę w tej chwili: to znaczy, że jesteś jednym z najwykwintniejszych panów we Francji. Zofia d'Averne”

- Do stu diabłów! - wykrzyknął d'Harmental i jednym trzaśnięciem pięści zamienił w drzazgi prześliczny stolik Boule'a. - Byłbym niepokieszony do śmierci, gdybym zabił tego biednego La Fare'a!

Wybuch ten ulżył mu trochę. Kawaler jął przechadzać się od drzwi do okna z miną wskazującą, że biednemu chłopcu potrzeba jeszcze kilku podobnych rozczarowań, aby mógł stanąć na wyżynach moralności filozoficznej, którą głosiła jego piękna, niewierna kochanka. Pokręciwszy się tak, dostrzegł na podłodze drugi list, o którym całkiem zapomniał. Wyminął go jeszcze parę razy, zerkając nań z doskonałą obojętnością; na koniec pomyślawszy, że papier oderwie go może od biletu kochanki, podniósł kopertę wzgardliwie, otworzył ją bez pośpiechu, spojrzął na nie znane mu pismo, poszukał nie istniejącego podpisu i, zaciekawiony ową tajemniczością, przeczytał, co następuje:

“Panie Kawalerze,

Jeśli masz w duszy zakątek romansowości, w sercu zaś bodaj połowę odwagi, którą przypisują ci twoi przyjaciele, ktoś jest gotów zaproponować ci przedsięwzięcie godne Pana, a które w wyniku pozwoli ci wyrzucić zemstę na mężczyźnie najbardziej przez siebie znienawidzonym na świecie i zaprowadzi cię do celu tak świetnego, o jakim nie marzyłeś nawet w najpiękniejszych snach. Dobry duch, który winien cię poprowadzić ową czarodziejską drogą i któremu masz zaufać całkowicie, będzie na ciebie czekał dziś między północą a drugą nad ranem na balu w Operze. Jeśli zjawisz się bez maski, podejdzie do ciebie; jeśli zjawisz się w masce, poznasz go po fioletowej wstędze na lewym ramieniu. Hasło brzmi: “Sezamie, otwórz się!” Rzuć je śmiało, a otworzy się przed tobą wnętrze pełne zgoła innych cudów niż skarby Ali Baby.”

- Dalibóg! - powiedział d'Harmental - jeśli duch z fioletową wstęgą spełni choćby połowę swej obietnicy, znalazł, na honor, kogo mu trzeba!

III. Kawaler d'Harmental

Kawaler d'Harmental, z którym, zanim nasza opowieść rozwinie się dalej, czytelnik winien koniecznie zawrzeć bliższą znajomość, był ostatnim potomkiem jednego z najlepszych rodów w Nivernais. Aczkolwiek ród ów nie odegrał nigdy ważniejszej roli w historii, nie zbywało mu jednak na pewnej sławie, którą nabył zarówno dzięki własnym przymiotom, jak i koligacjom. Tak więc ojciec kawalera, imię pan Gaston d'Harmental, przybywszy w roku 1682 do Paryża, powziął chętkę paradowania karetami dworskimi; wyrobił więc sobie na gwałt dowody szlachectwa sięgające roku 1399 - operacja heraldyczna, która, jeśli wierzyć memoriałom trybunalskim, przyprawiła jakoby o wielki kłopot niejednego diuka i para. Z drugiej natomiast strony wuj jego, pan de Torigni, mianowany kawalerem orderu Świętego Ludwika w czasie promocji roku 1694, oznajmił, potwierdzając oficjalnie szesnaście pokoleń swojego szlachectwa, że najpiękniejsze swoje zalety zawdzięcza d'Harmentalom, z którymi jego antenaci są spokrewnieni od lat trzystu. Tyle wystarczy, żeby zaspokoić wymagania arystokratyczne opisywanej przez nas epoki.

Kawaler nie był ani biedny, ani bogaty to znaczy ojciec zostawił mu w spadku wieś pod Nevers, która przynosiła dwadzieścia pięć do trzydziestu tysięcy liwrów dochodu. Za tę sumę można było żyć dostatnio na prowincji, lecz kawaler, odebrawszy wyborną edukację, mierzył wysoko i ambitnie: uzyskawszy zatem pełnoletność około roku 1711, opuszcza prowincję i mknie do Paryża.

Najsampierw złożył wizytę hrabiemu de Torigni licząc, że wuj niezawodnie umieści go u dworu. Na nieszczęście hrabia nie był tam podówczas. Ale że, jako się rzekło, bardzo lubił wspominać ród d'Harmentalów, polecił siostrzeńca kawalerowi de Villarceaux, a kawaler de Villarceaux, nie umiejący niczego nigdy odmówić swojemu przyjacielowi, hrabiemu de Torigni, wprowadził młodzieńca do pani de Maintenon.

Pani de Maintenon miała jedną zaletę: pozostawała przyjaciółką swoich byłych kochanków. Przyjęła więc jak najmilej kawalera d'Harmentalą, rekomendowały go bowiem dawne wspomnienia, i kiedy po kilku dniach marszałek de Villars przyszedł pozalecać się do niej, rzekła mu kilka słów tak gorąco polecających młodego pupila, iż marszałek, zachwycony okazją do przypodobania się owej królowej in partibus, odparł, że w tym momencie bierze

kawalera d'Harmentalą do swojej służby przybocznej i dołoży wszelkich starań, aby dostarczać mu sposobności, które potwierdzą dobre mniemanie, jakie o młodzieńcu raczyła już powziąć jego dostojna protektorka.

Była to wielka radość dla kawalera, kiedy otwarły się przed nim aż takie drzwi. Najbliższa kampania miała zdecydować o jego losach.

Ludwik XIV kończył już swoje panowanie, był to okres niepowodzeń. Tallard i Marsin zostali pobici pod Hochstadt, Villeroi - pod Ramillies, a sam Villars, bohater spod Friedlingen, przegrał właśnie słynną bitwę pod Malplaquet przeciw księciu Marlborough i księciu Eugeniuszowi. Europa, zdławiona na moment ręką Colberta i Louvois, powstała przeciwko Francji. Sytuacja polityczna była rozpacзлиwa: król, jak chory, który z desperacji co godzinę zmienia lekarzy, zmieniał co dzień ministrów. Ale każda nowa zmiana ujawniała nową bezsilność. Francja nie była w stanie dalej prowadzić wojny, ale też i nie mogła narzucić pokoju. Daremnie proponowała, że ustąpi z Hiszpanii i uszczupli swoje granice: nie dość byłoby tego upokorzenia. Żądano, aby król przepuścił przez Francję wojska nieprzyjacielskie, które pozbawiły jego wnuka tronu Karola II, żeby dał w zakład Cambrai, Metz, La Rochelle i Bajonnę, jeśli nie chce, by w terminie rocznym zdetronizowano go siłą i jawnie. Oto na jakich warunkach raczono zawrzeć rozejm ze zwycięzcą spod Dunes, Senef, Fleurus, Steinkerque i Marsaille: z tym, który aż do tej pory trzymał w połach swojego królewskiego płaszcza wojnę i pokój; z tym, który mienił się rozdzielcą koron i mieczem karzącym narody - wielkim i nieśmiertelnym; z tym, dla którego wreszcie od półwiecza rzeźbiono marmur, lano spiż, odmierzano aleksandryny i palono bezmiar kadzidła.

Ludwik XIV płakał przy całej Radzie.

Z łez tych zrodziła się armia i armię tę oddano Villarsowi.

Villars ruszył wprost na wroga, który rozbił namioty w Denain i wpatrzony w agonię Francji zasypiał w poczuciu własnej siły. Nigdy jeszcze na niczyich barkach nie spoczęła tak wielka odpowiedzialność. Villars miał zagrać w kości o ocalenie Francji.

Sprzymierzeni wzniesli między Denain a Marchiennes linię fortyfikacji, którą w swojej przedwczesnej dumie lord Albemarle i książę Eugeniusz zwali gościńcem do Paryża. Villars postanowił zdobyć Denain zaskakując wroga i pobiwszy Albemarle'a pobić księcia

Eugeniusza.

Żeby powiodło się przedsięwzięcie tak zuchwałe, trzeba było wprowadzić w błąd nie tylko armię wroga, lecz i armię francuską - sukces tego posunięcia polegał li tylko na jego nieprawdopodobieństwie.

Villars rozpowiedział wokół, że zamierza sforsować linię w Landrecies. Pewnej nocy, w oznaczonej godzinie cała jego armia zrywa się i maszeruje w kierunku tego miasta. Nagle pada rozkaz, żeby skręcić w lewo: saperzy przerzucają trzy mosty przez Skaldę. Villars bez przeszkód przeprawia się i brnie mokradłami uważanymi dotąd za nieprzebyte, gdzie żołnierzowi woda sięga po pas: maszeruje prosto na pierwsze reduty, bierze je niemal bez wystrzału, zdobywa kolejno fortyfikacje na przestrzeni jakiejś mili, dociera do Denain, pokonuje otaczające je fosy, wkracza do miasta i stanąwszy na rynku spotyka swojego młodego pupila, kawalera d'Harmentala, podającego mu szpadę lorda Albemarle, którego właśnie wziął do niewoli.

W tejże chwili nadchodzi wieść, że nadciąga książę Eugeniusz. Villars zawraca, zajmuje most, którym książę winien się przeprawić, i czeka. Tu zaczyna się prawdziwa bitwa, wzięcie Denain było bowiem jedynie potyczką. Książę Eugeniusz wznawia wciąż natarcia, atakuje siedem razy przyczółek owego mostu, posyłając najlepsze swoje wojsko na rzeź broniącej przejścia artylerii; walczą też na bagnety; na koniec w mundurze podziurawionym kulami, zboczony krwią ściekającą z dwóch ran, zwycięzca spod Hochstadt i Malplaquet dosiada trzeciego konia i wycofuje się wściekły, płacząc i gryząc ze złości rękawiczki. W sześć godzin odmieniły się losy: Francja ocalona; Ludwik XIV jak był, tak jest wielkim królem.

D'Harmental spisywał się jak ktoś, kto za jednym zamachem chce zdobyć rycerskie ostrogi. Villars, gdy wśród zgiełku bitwy pisał na bębnie raport dzienny, ujrzał młodzieńca ociekającego krwią i oblepionego kurzem, a przypomniawszy sobie, czyj to rekomendowany, kazał mu podejść. Na widok d'Harmentala przerwał pisanie.

- Czy pan raniony? - spytał.

- Ach, panie marszałku, tak lekko, że nie warto nawet o tym mówić.

- Czy miałby pan dość siły, żeby co koń wyskoczy przebyć sześćdziesiąt mil nie wypoczywając ani godziny, ani minuty, ani sekundy?

- Dokonam wszystkiego, panie marszałku, żeby służyć królowi i panu.

- A więc jedź, nie zwlekając, prosto do pani de Maintenon, opowiedz jej w moim imieniu, coś widział, i zawiadom, że wysyłam kuriera z oficjalnym raportem. Jeśli zechce zaprowadzić cię do króla, nie sprzeciwiaj się.

D'Harmental pojął znaczenie swej misji: okrwawiony, zakurzony, nie zmieniając nawet butów dosiadł konia i dotarł szybko na pierwszy posterunek; po dwunastu godzinach stanął w Wersalu.

Villars przewidział dalszy bieg wypadków. Za ledwie kawaler wymówił pierwsze słowa, pani de Maintenon wzięła go za rękę i powiodła do króla. Król pracował z panem Voisin w swojej komnacie, wbrew zwyczajowi, bo niedomagał. Pani de Maintenon otworzyła drzwi, pchnęła d'Harmentalą ku monarszym kolanom i wznosząc ręce do nieba, zawołała:

- Sire, podziękuj Bogu; bo jak wiadomo Waszej Królewskiej Mości, sami jesteśmy niczym i od Boga jedynie spływają na nas wszelkie łaski.

- Co się stało, mój panie? Mów! - ozwał się żywo Ludwik XIV zdumiony, że widzi u swych kolan nieznanego młodzieńca.

- Sire - oznajmił kawaler - obóz w Denain wzięty; lord Albemarle w niewoli, księżę Eugeniusz w rejtardzie; marszałek de Villars składa swoje zwycięstwo u stóp Waszej Królewskiej Mości.

Mimo wielkiego opanowania Ludwik XIV pobladł; czując, że nogi uginają się pod nim, wsparł się o stół, żeby nie osunąć się na fotel.

- Co ci jest, sire? - zawołała pani de Maintenon podbiegając do niego.

- Pani - odparł Ludwik XIV - zawdzięczam ci wszystko; ocaliłaś króla, a twoi przyjaciele ocalili królestwo.

Pani de Maintenon złożyła rewerans i z szacunkiem ucałowała dłoń królewską.

Wtedy Ludwik XIV, bardzo jeszcze blady i mocno poruszony, zniknął za kotarą odgradzającą alkowę, gdzie stało jego łoże, i jął półgłosem odmawiać modlitwę dziękczynną; po chwili zjawił się pełen spokoju i dostojeństwa, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

- A teraz opowiadaj pan, jak się rzecz miała, ze wszystkimi szczegółami.

D'Harmental odmalował tę nadzwyczajną bitwę, która cudem, rzekłbyś, ocaliła Francję.

A kiedy skończył:

- Czemuż to - zagadnął Ludwik XIV - nie mówisz nic o sobie? Sądząc po krwi i błocie na twoim odzieniu, nie pozostawałeś na tyłach.

- Sire, starałem się, jak mogłem - odparł z ukłonem d'Harmental. - Jeśli jednak dałoby się naprawdę powiedzieć coś o mnie, zostawię to, za pozwoleniem Waszej Królewskiej Mości, marszałkowi de Villars.

- Zgoda, młodzieńcze, a gdyby on przypadkiem zapomniał, my pamiętać będziemy. Jesteś zapewne zmęczony, idź więc odpocząć. Kontent jestem z ciebie.

D'Harmental odszedł rozradowany. Pani de Maintenon odprowadziła go aż do drzwi. D'Harmental raz jeszcze ucałował jej dłoń i skwapliwie skorzystał z pozwolenia królewskiego. Całą bowiem dobę nie jadł, nie pił i nie spał.

Zbudziwszy się zastał kopertę z Ministerium Wojny. Była to nominacja na pułkownika.

W dwa miesiące później zawarto pokój. Hiszpania utraciła w nim połowę swoich ziem, lecz Francja nie poniosła żadnego uszczerbku.

Po trzech latach umarł Ludwik XIV.

W momencie jego śmierci działały już dwa stronnictwa, nader odmienne, a zwłaszcza nie dające się pogodzić: partia bastardów, której głową był diuk du Maine, i partia książąt ze ślubnego łoża, której przewodził Filip diuk Orleański.

Gdyby diuk du Maine odznaczał się wytrwałością, wolą i odwagą swojej żony, Ludwiki Benedykty z rodu Kondeuszów, może zatryumfowałby opierając się na testamencie królewskim; należałoby jednak bronić się jawnie, gdyż jawnymi były ataki, diuk du Maine zaś, trwożliwy i nieudolny, niebezpieczny z racji swego tchórzostwa nadawał się jedynie do knowań. Spotkał się z wrogiem oko w oko i od tej chwili niezliczone jego fortele, mistrzowskie kłamstwa i ciemne a chytne zabiegania stały się bezużyteczne. W jednym dniu i prawie bez walki został strącony z owego szczytu, na który wyniosła go ślepa miłość ojcowska. Upadek ciężki, a nade wszystko haniebny; odsunął się od świata okaleczony, pozostawiając regencję rywalowi, ze wszelkich otrzymanych łask zostawił sobie tylko godność nadintendenta edukacji małoletniego króla, dowództwo nad artylerią i prymat wśród książąt i parów.

Ostatnie orzeczenie Parlamentu godziło w dawny dwór i w każdego, kto był z nim

związany. Spowiednik królewski, ojciec Le Tellier, uprzedzając wypadki, opuścił kraj, pani de Maintenon schroniła się w Saint-Cyr, a diuk du Maine zaszył się w swoim pałacyku w Sceaux, by kończyć tam przekład Lukrecjusza.

Kawaler d'Harmental zajął wśród tych wszystkich intryg stanowisko widza zainteresowanego co prawda, lecz biernego, oczekując, aż nabiorą charakteru, który pozwoliłby mu na udział w wydarzeniach. Gdyby walkę toczono otwarcie i zbrojnie, podążyłby w tę stronę, w którą wzywała go wierność. Za młody i nie zepsuty jeszcze, jeśli można być nie zepsutym w kwestiach polityki, nie węszył fortuny, czcił pamięć nieboszczyka króla i szanował ruiny dawnego dworu. Nieobecność jego w Palais-Royal, w owym centrum, ku któremu zmierzali wszyscy chcący odzyskać miejsce pod politycznym niebem, tłumaczono poglądami opozycyjnymi, toteż gdy pewnego ranka otrzymał nominację na dowódcę regimentu, innego ranka otrzymał dokument ową nominację kasujący.

D'Harmental żywił ambicje swoich czasów: jedyną karierą godną szlachcica była w tym okresie historii kariera wojskowa; rozpoczął ją wspaniale, toteż cios, który niszczył wszelkie nadzieje dwudziestopięcioletniego młodzieńca, był mu szczególnie bolesny. Pobiegł do pana de Villars, w którym miał kiedyś tak żarliwego protektora. Marszałek przyjął go z oziębłością człowieka, który nie tylko wolałby puścić przeszłość w niepamięć, lecz byłby rad, gdyby w ogóle o tej przeszłości zapomniano. D'Harmental domyślił się więc, że stary dworak zmienia właśnie skórę, i odszedł nie nalegając.

Aczkolwiek była to w zasadzie epoka egoizmu, kawaler doznał goryczy doświadczywszy go po raz pierwszy; przeżywał jednak owe szczęśliwe lata młodości, kiedy zawiedziona ambicja zadaje rzadko rany głębokie i trwałe: ambicja stanowi namiętność tych, którzy nie mają innych namiętności, kawaler zaś żywił wszystkie, jakie tylko w dwudziestym piątym roku życia mieć można.

A zresztą duch czasu nie zwracał się jeszcze bynajmniej ku melancholii. Jest ona uczuciem całkowicie współczesnym, zrodzonym z zachwiania fortun i z bezsilności mężczyzn. W osiemnastym stuleciu rzadko kto dumał o sprawach abstrakcyjnych lub tęsknił za tajemnicą; każdy rzucał się prosto w uciechy, gonił za bogactwem i sławą, i każdy mógł je zdobyć, jeśli był urodziwy, odznaczał się brawurą lub umiał intrygować. Były to jeszcze czasy,

kiedy nikt nie czuł się upokorzony własnym szczęściem. Dziś duch spogląda na materię z wyżyn nazbyt wysokich, by ktokolwiek ośmielił się przyznać, że jest szczęśliwy.

A zresztą, powiedzieć to trzeba, wiatr niósł radość i Francja płynęła jak gdyby pod pełnymi żaglami na poszukiwanie którejś z owych wysp czarodziejskich, jakie znajdujemy na złocistej mapie baśni z Tysiąca i Jednej Nocy. Po długiej i smutnej zimie, jaką była starość Ludwika XIV, pojawiła się raptem wiosna wesoła, roziskrzona nową władzą królewską; każdy rozwijał się w tym słońcu, młodym, promiennym i dobroczynnym, fruwał rozbrzęczony i beztroski jak pszczoła lub motyl w pierwsze ciepłe dni. Wróciły uciechy nieobecne i zakazane w ciągu lat z górą trzydziestu; witano je jak przyjaciół, o których powrocie zwątpiono już na dobre; zbiegano się ku nim zewsząd ze szczerze otwartym sercem i ramionami, a w obawie, by znów nie umknęły, korzystano z każdego momentu. Kawaler d'Harmental smucił się przez tydzień; po czym wmieszał się w tłum, po czym tłum wciągnął go w wir i wir ten rzucił go do stóp ślicznej kobiety.

Trzy miesiące był najszczęśliwszym z mężczyzn; na trzy miesiące zapomniał o Saint-Cyr, Tuileriach i Palais-Royal; nie wiedział już, czy istnieje jakaś pani de Maintenon, król, regent; wiedział, że temu, kto jest kochany, żyć miło, i nie pojmował, czemu nie miałby żyć i kochać zawsze.

Pograżony w tym śnie wieczerzał, jakśmy to już mówili, ze swoim przyjacielem baronem de Valf w nader przyzwoitej traktierni przy ulicy Saint-Honore, gdy znienacka zbudził go La Fare. Zakochani budzą się na ogół w sposób przykry i, jak widzieliśmy d'Harmental nie okazał pod tym względem więcej tężyzny niż inni. Tym bardziej zresztą należy wybaczyć kawalerowi, że, jak mu się zdawało, kochał naprawdę i że w swojej nader młodzieńczej ufności myślał, iż nic nie zdoła w jego sercu zastąpić tego uczucia; resztką przesądów prowincjonalnych, które wyniósł z okolic Nevers. Toteż, jakśmy już widzieli, list od pani d'Averne, wielce osobliwy, ale przynajmniej nader szczery, miał wprawić kawalera w podziw, na który dama owa zasługiwała w tych szalonych czasach, przygnębił go najpierw. Każda zaś nowa boleść ma to do siebie, iż budzi wszelkie boleści dawne: myśleliśmy, że przepadły na zawsze, one zaś tylko spały. Dusza ma swoje blizny - podobnie jak ciało; nie zamykają się one nigdy aż tak, żeby nowy cios nie potrafił ich otworzyć. W d'Harmental

odezwała się ambicja: utrata kochanki przypominała mu o utracie regimentu.

Wystarczył więc ów drugi list, jakże niespodziany i tajemniczy, by kawaler zapomniał na moment o swym cierpieniu. Zakochany z naszej epoki cisnąłby go wzgardliwie i daleko; gardziłby sobą, gdyby swojego bólu tak nie pogłębił, by co najmniej na tydzień nie przeobrazić go w anemiczną i poetyczną melancholię; ale kochanek z czasów regencji odnosił się do swych nieszczęść zgoła inaczej. Nie wynaleziono jeszcze wtedy samobójstw, nikt się nie topił - chyba że przypadkiem wpadłszy do wody, ale i wtedy szukał bodaj cieniutkiej słomki, by się utrzymać na powierzchni.

D'Harmental zatem ani myślał napawać się smutkiem: zdecydował, wzdychając co prawda, że pójdzie na bal do Opery, a jak na kochanka zdradzonego tak niespodzianie i nielitościwie, to już wiele.

Należy jednak powiedzieć, i to ku hańbie naszego ułomnego rodzaju, iż tę pełną filozoficznej determinacji decyzję podjął przede wszystkim z tej racji, że drugi list, w którym obiecywano mu tak cudowny profity, pisany był ręką kobietą.

IV. Nietoperz

Bale w Operze osiągnęły wtedy szczyt swoich szaleństw. Był to ówczesny wynalazek kawalera de Bouillon, który, dzięki tej drobnej przysłudze wyświadczonej rozhulanemu towarzystwu, uzyskał przebaczenie za tytuł księcia Owernii, wzięty nie wiadomo właściwie skąd i dlaczego. On to wymyślił ową podwójną podłogę, która podnosi się tak, że parter znajduje się na poziomie sceny, za co regent, jako człowiek umiejący ocenić sprawiedliwie każdy piękny wynalazek, wyznaczył mu w nagrodę sześć tysięcy liwrów pensji. Wielki król dawał Corneille.owi cztery razy mniej.

Piękna ta sala o bogatej i solidnej architekturze, sala, której inaugurację uświetnił kardynał de Richelieu własną sztuką "Mirame", sala, w której Lulli i Quinault dawali przedstawienia swoich pastorałek, i gdzie Molier występował osobiście w głównych arcydziełach swego pióra, była tego wieczoru miejscem spotkania śmietanki dworskiej. D'Harmental, powodując się urazą do niewiast, całkiem w jego położeniu naturalną, wyelegantował się jeszcze staranniej, aniżeli zwykł był to czynić. Zjawił się w Operze, kiedy sala była już zatłoczona. Bał się więc przez chwilę, że maska z fioletową wstęgą nie zdoła go odszukać, bo przecież nieznany dobry duch nie wyznaczył mu dokładnie miejsca, gdzie ma czekać. Powinnował sobie zatem, że przybył bez maski; decyzja owa świadczyła, nawiasem mówiąc, o wielkim zaufaniu, jakim darzył swoich przeciwników, wystarczyło bowiem słówko na temat pojedynku, by znalazł się przed trybunałem, a co najmniej w Bastylji; szlachta owej epoki dochowywała sobie wzajem lojalności, tak iż nasz bohater, choć rankiem przeszył szpadą jednego z faworytów regenta, mógł bez wahania szukać przygody miłosnej w Palais-Royal.

Pierwszą osobistością, jaką napotkał, był młody diuk de Richelieu, który stawał się akurat bardzo modny dzięki sławnemu nazwisku - żywa jeszcze była pamięć o Wielkim Kardynale - miłośnikom, wykwintowi, a może i niedyskrecji. Zapewniano, że dwie księżne krwi rywalizują o jego względy, co nie przeszkodziło pani de Nesle i pani de Polignac stoczyć dlań pojedynek na pistolety, a paniom de Villars, de Mouchy, de Sabran i de Tencin dzielić się jego sercem.

Podszedł do markiza de Canillac. Markiz, jeden z towarzyszy hulanków regenta, dla swej

szttywnej postury zwany był przez Filipa Orleańskiego Mentorem. Richelieu opowiadał głośno Canillakowi jakąś dykteryjkę, zanosząc się przy tym od śmiechu. Kawaler znał diuka, nie wystarczająco jednak, by wmieszać się do rozmowy, nie jego szukał zresztą; toteż miał już wyminąć obu panów, kiedy diuk przytrzymał go za połę fraka.

- Na honor, panie kawalerze - ozwał się - nie stroń od nas; opowiadam Canillakowi znakomitą historyjkę, może mu się ona przydać jako porucznikowi nocnej straży regenta, a przyda się też i tobie, boś narażony na to samo niebezpieczeństwo, które mnie kiedyś groziło. Historyjka dzisiejszej daty: ot i jedna zaleta więcej, bo zdążyłem ją opowiedzieć dopiero dwudziestu osobom, mało więc komu jest wiadoma. Niech pan ją rozgłasza: sprawisz tym przyjemność i mnie, i księciu regentowi.

D'Harmental zmarszczył brew, Richelieu zabierał mu czas; w tejże chwili pojawił się Ravanne goniąc za jakąś maseczką.

- Ravanne! - zawołał Richelieu. - Ravanne!

- Jestem zajęty - odrzekł kawaler.

- Nie widziałeś przypadkiem La Fare'a?

- Ma migrenę.

- A Fargy?

- Zwichnął nogę.

I Ravanne zniknął w tłumie, wymieniwszy ze swoim porannym adwersarzem ukłon jak najbardziej przyjazny.

- No i co z tą twoją historyjką? - zagadnął Canillac.

- Wyobraź sobie, że w jakieś pół roku po moim wyjściu z Bastylji, gdzie zamknięto mnie za pojedynek z Gacem, a w kilka dni po moim powrocie na salony, Rafe doręcza mi uroczy liścik od pani de Parabere, z zaproszeniem, bym spędził z nią wieczór. Pojmujesz, panie kawalerze, że kto przed chwilą opuścił Bastylię, ten nie wzgardzi schadzka, którą mu wyznacza kochanka więziennego klucznika. Nie pytaj nawet, czy byłem punktualny. Zjawiam się w oznaczonej godzinie. I zgadnij, kto przy niej siedzi na sofie? Dałbym głowę, że nie zgadniesz!

- Jej mąż? - ozwał się Canillac.

- Ależ skąd! Filip Orleański we własnej osobie. Zdziwiłem się tym bardziej, że wpuszczono mnie, jakby pani była sama. Niemniej, jak się domyślasz, panie kawalerze, nie dałem się zbić z pantalyku: zrobiwszy minę ugrzecznioną, naiwną i skromną, taką jak twoja, Canillac, skłoniłem się markizie udając szacunek tak głęboki, że regent parsknął śmiechem. Nie spodziewając się wybuchu aż takiej wesołości, straciłem, przyznaję, kontenans. Przysunąłem sobie krzesło, żeby się usiąść, ale regent wskazał mi miejsce na sofie, po drugiej stronie markizy: nie sprzeciwiłem się. "Mój drogi książę - powiedział do mnie - napisaliśmy do ciebie w bardzo ważnej kwestii. Okazało się, że biedna markiza, od dwóch lat całkiem separowana z mężem, jest w ciąży". Markiza zrobiła, co mogła, żeby się zaczerwienić. Czując jednak, że jej się to nie udaje, zasłoniła twarz wachlarzem. "Z pierwszych słów, w jakich przedstawiła swoje położenie - ciągnął regent - wniosłem, że trzeba wezwać d'Argensona i zapytać go, czyje może być dziecko". "Mógłby mnie Wasza Wysokość oszczędzić" - rzekła markiza. "Nie gniewaj się, moja sroczo - podjął regent - zakończymy tę sprawę. Tylko trochę cierpliwości. I wiesz, drogi książę, co odpowiedział mi d'Argenson?" "Nie wiem" - odparłem dość mocno skonfundowany. "Odpowiedział mi, że to my obaj jesteśmy sprawcami". "To potworna kalumnia!" - wykrzyknąłem. "Nie gorączkuj się tak, drogi książę. Markiza wyznała mi wszystko". "A więc - podchwyciłem - skoro markiza wyznała wszystko, nie wiem już, co miałbym do powiedzenia Waszej Wysokości". "Dlatego właśnie - ciągnął regent - nie proszę pana o bardziej szczegółowe informacje, proszę tylko, żebyś dopomógł mi wyplątać się z tej sprawy, jak ja dopomogę tobie, skoro jesteśmy współnikami". "A czegoż miałbyś się, Mości Książę, obawiać? - spytałem. - Bo wiadomo mi, że pod ochroną imienia Waszej Wysokości wszystkiemu mogę stawić czoła". "Czego moglibyśmy się obawiać, kochasiu? Wrzasków Parabere'a, który zechce, abym mianował go diukiem". "A gdybyśmy tak uczynili go ojcem?" - odparłem. "Właśnie! - zawołał regent. - To załatwiłoby sprawę i na ten sam pomysł wpadła markiza". "Na honor, pani - odrzekłem - wielki to dla mnie zaszczyt". "Ale trudność w tym - ozwała się pani de Parabere - że już przeszło dwa lata nie wyrzekłam ani słowa do mojego męża, on zaś aż kipi od zazdrości! Poprzysiągł, że jeśli kiedykolwiek znajdę się w takim położeniu, w jakim się znajduję, zemści się na mnie wytaczając mi efektowny proces". "Sam rozumiesz, Richelieu, że to staje się niepokojące" - dodał regent. "A niech to diabli! Istotnie,

Mości Książę”. “Mam oczywiście kilka środków zaradczych, nie takie to jednak środki, które zmusiłyby męża, by przygarnął żonę”. “A gdyby tak - podjąłem - męża ściągnąć do żony?” “W tym cała trudność”. “Chwileczkę, chwileczkę: nie chciałbym zadawać niedyskretnych pytań, ale, pani markizo, czy pan de Parabere ma nadal feblika do wina chambertin i romanec”.

“Obawiam się że tak” - westchnęła Markiza. “A więc, Mości Książę, jesteśmy ocaleni! Zapraszam pana markiza de Parabere na kolację do mojego domeczku, a z nim razem kilkunastu hulaków i uroczę kobietki! A książę przysłała mi księdza Dubois...” “Kogo? Dubois?” - zdziwił się regent. “No tak: trzeba nam kogoś, kto popracuje za nas głową. A że minister Dubois pić nie może, i nie bez przyczyny, podejmie się spoić markiza; kiedy zaś wszyscy będą leżeć pod stołem, poradzi on już sobie i zrobi, co zechce. Reszta należy do pani markizy”. “A nie mówiłem ci, pani - zawołał regent klaszcząc w dłonie - że Richelieu to świetny doradca! Posłuchaj, kochasiu - ciągnął - przestałbyś już wałęsać się wokół pewnych pałaców, niechaj starucha, pani de Maintenon, umiera spokojnie w Saint-Cyr, ten koślawiec du Maine niech rymuje swoje wiersze w Sceaux, a ty przystań otwarcie do nas. Dałbym ci w moim gabinecie miejsce tego starego dziadygi d'Uxelles'a i twoje sprawy nie potoczyłyby się chyba najgorzej...” “Z pewnością - odrzekłem - i ja tak myślę, ale to rzecz niemożliwa: mam inne zamiary”. “Frant!” - mruknął regent.

- A pan de Parabere? - zagadnął kawaler d'Harmental ciekaw końca historyjki.

- Pan de Parabere? A tak, wszystko ułożyło się, jakeśmy postanowili. Zasnął u mnie, a zbudził się u swojej żony. Domyśla się pan, że narobił okropnej wrzawy, ale nie mógł już ani oburzać się na zgorzenie, ani wytaczać procesu: karetą jego minęła nocą bramę, wszyscy słudzy byli świadkami, jak wchodził i jak wychodził, toteż czekaliśmy spokojnie, aczkolwiek z pewną niecierpliwością na wiadomość, do kogo dziecko będzie podobne: do markiza Parabere, do regenta czy do mnie? I markiza w końcu urodziła: dziś w południe.

- I do kogóż dziecko jest podobne? - spytał Canillac.

- Do pana de Noce! - odrzekł Richelieu wybuchając śmiechem. - Czyż nie śliczna to historia? I co za nieszczęście, że ten biedak de Parabere w głupocie swojej zmarł przed rozwiązaniem. Ależ byłby pomszczony za spletanego mu przez nas figła!

- Panie kawalerze - zadźwięczał w uchu d'Harmentalą głosik melodyjny i słodki, a mała

rączka spoczęła na jego ramieniu - kiedy pan skończy rozmowę z panem de Richelieu, upomnę się o swoją kolej.

- Wybacz mi, książę - powiedział kawaler - ale, jak pan widzi, ktoś mnie porywa.

- Puszczę pana, lecz pod jednym warunkiem.

- Słucham.

- Że powtórzy pan moją historyjkę temu uroczemu nietoperzykowi zobowiązując go, że powtórzy ją z kolei wszystkim swoim znajomym sówkom.

- Obawiam się - odrzekł d'Harmental - że nie starczy mi czasu.

- A, w takim razie winszuję - odparł książę puszczając połę fraka, za którą trzymał kawalera aż do tej chwili - gdyż będziesz miał pan coś lepszego do opowiedzenia.

I obróciwszy się na pięcie wziął pod ramię jakieś domino, które przechodząc powinszowało mu jego przygody.

Kawaler d'Harmental szybko obrzucił okiem maskę, która doń podeszła, by się upewnić, czy ta właśnie osoba wyznaczyła mu spotkanie - ujrzał na jej lewym ramieniu fioletową wstążkę, mającą służyć jako znak rozpoznawczy. Pospieszenie więc oddalił się od Canillaca i Richelieu.ego, aby nie przeszkodzili mu w rozmowie, niechybnie dla niego ważnej.

Nieznamoma - a zdradziła już samym dźwiękiem głosu swoją płeć - była, sądząc po gibkości i zręczności ruchów, młodą kobietą, niezbyt wysoką. Jeśli chodzi o kibić i kształty, a także to wszystko, co oko obserwatora tak bardzo by rade odkryć w podobnym przypadku - nie warto się nad tym dłużej zastanawiać, podobne rozważania dałyby bowiem rezultat dość nikły. Istotnie, jak już to zauważył pan de Richelieu, ze wszelkich kostiumów wybrała taki, który mógł najłatwiej ukryć zarówno wady jak zalety jej urody: przebrała się za nietoperza, kostium niezmiernie podówczas popularny i tym wygodniejszy, iż odznaczał się doskonałą prostotą, składał się bowiem po prostu z dwóch czarnych spódnic. Każdy mógł sobie na taki kostium pozwolić: jedną obciskano zwyczajnie wokół talii; zamaskowaną głowę wsuwano w otwór kieszeni drugiej ze spódnic; przód jej zarzucano na ramiona, tworząc w ten sposób dwa skrzydła; z tyłu unoszono ją w górę, przez co powstawały dwa rogi - i wtedy już miałeś niemal pewność, iż oszołomisz rozmówcę, który tylko z trudem przy maksimum dobrej woli zdołałby cię rozpoznać w takim opakowaniu.

Kawaler poczynił wszystkie te spostrzeżenia w czasie krótszym, aniżeli czas konieczny nam na opis podobnego kostiumu; nie domyślając się jednak, z kim ma do czynienia, i sądząc, że chodzi po prostu o intrygę miłosną, wahał się, czy przemówić do nieznajomej, gdy ona, zwróciwszy się ku niemu, rzekła, nie zadając sobie trudu, by zmienić głos, którego i tak przecież nie znał:

- Panie kawalerze, czy wiesz, że jestem ci winna podwójną wdzięczność? Przyszedłeś bowiem, i to przyszedłeś znajdując się w tak okropnym stanie ducha. Szkoda, że rozsądek nakazuje mi przypisać podobną akuratność li tylko zaciekawieniu.

- Piękna maseczko - podjął d'Harmental - czyż nie napisałaś w liście, że jesteś dobrym duchem? Otóż jeśli naprawdę należysz do sfer niebiańskich, winnaś znać przeszłość, teraźniejszość i przyszłość; wiedziałaś zatem, że przyjdę, a skoroś wiedziała, akuratność moja dziwić cię nie może.

- Niestety - odrzekła nieznajoma - widać od razu, że jesteś tylko słabym śmiertelnikiem i że miałaś szczęście nie wznosić się nigdy ponad swoją strefę! Inaczej bowiem wiedziałbyś, że jeśli nawet znamy, jak rzekłeś, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, wiedza ta jest niema w kwestiach dotyczących nas osobiście, i to, czego pragniemy najbardziej, pozostaje dla nas pogrążone w jak najgłębszych ciemnościach.

- Do licha! - odparł d'Harmental. - A wiesz ty, wzniosła naturo, że uczynisz ze mnie wielkiego pyszałka, jeśli nadal będziesz przemawiać tym tonem? Albowiem, zważ to, powiedziałaś mi, to znaczy powiedziałaś mniej więcej, żeś pragnęła ogromnie, bym przyszedł na schadzki z tobą.

- Jak mi się zdaje, nie powiedziałam ci nic nowego, panie kawalerze: chyba list mój, jeśli idzie o chęć, by się z tobą zobaczyć, nie mógł pozostawić ci żadnych wątpliwości.

- Chęć ta, a wierzę w nią tylko dlatego, że przyznałaś się do niej i że jestem zbyt dobrze wychowany, aby ci przeczyć, chęć ta, powtarzam, czyż nie nakazała ci obiecać w liście więcej, niżbyś mogła dotrzymać?

- Wypróbuj moją wiedzę, poznasz dzięki temu miarę mojej potęgi.

- Miły Boże, ograniczę się do jak najprostszej rzeczy; znasz, jak mówisz, teraźniejszość, przeszłość i przyszłość: powróz mi zatem.

- Nic łatwiejszego; daj rękę.

D'Harmental spełnił życzenie.

- Szlachetny kawalerze - ozwała się nieznajoma przyjrzawszy się bacznie dłoni - z układu ścięgien i mięśni odczytuję jak najwyraźniej pięć słów streszczających całą historię twojego życia; słowa te brzmią: odwaga, ambicja, rozczarowanie, miłość i zdrada.

- A niech to licha! - przerwał kawaler. - Nie wiedziałem, że duchy wyznają się tak dokładnie w układzie ścięgien i mięśni, i że muszą być kształcone jak bakałarze z Salamanki!

- Duchy wiedzą to wszystko, o czym wiedzą ludzie, prócz tego zaś o wiele więcej, panie kawalerze.

- Cóż więc znaczą te słowa, tak dźwięczne i sprzeczne zarazem, i co mówią o mojej przeszłości, mój duchu nader uczony?

- Mówią mi, że tylko dzięki swej odwadze zdobyłeś rangę pułkownika, którą piastowałeś w armii flandryjskiej; że ranga ta rozbudziła twoją ambicję; że po ambicji tej przyszło rozczarowanie i że myślałeś, iż w tym rozczarowaniu pocieszy cię miłość; ale że miłość, jak fortuna, jest zdradliwa, zdradzono cię.

- Nieźle - powiedział kawaler - nawet Sybilla z Kume nie wywiązałyby się lepiej. Trochę to mgliste, jak i każdy horoskop; w głębi jednak wiele prawdy. Przejdźmyż do terażniejszości, piękna maseczko.

- Teraźniejszość! Mówmy o niej szeptem, panie kawalerze, bo strasznie trąci Bastylią.

D'Harmental wzdrygnął się mimo woli, sądząc, iż nikt nie znał jego porannej przygody, prócz aktorów, co odegrali w niej swoją rolę.

- W tej właśnie chwili - ciągnęła maska - dwaj zacni szlachcice leżą w łóżkach nader markotni, kiedy my gawędzimy sobie wesoło na balu: a to dlatego, że niejaki kawaler d'Harmental, ogromnie lubiący podsłuchiwać u drzwi, nie zapamiętał pewnego hemistychu Wergiliusza.

- A jakież to hemistychy? - spytał d'Harmental wpadając w coraz większe zdziwienie.

- Facilis descensus Averni - rzekła śmiejąc się maska.

- Miły duchu - zawołał d'Harmental zatapiając wzrok w oczach nieznajomej - przecież, pozwól, że powiem: "Łatwo jest zstąpić do piekieł" to cytat raczej źle brzmiący w męskich

ustach.

- Czyżbyś nie wiedział, że duchy są płci obojga?

- Wiedziałem, lecz nie było mi wiadome, że cytują tak biegle "Eneidę".

- A czyż to cytat nietrafny? Wspomniałeś o Sybilli z Kume, odpowiem ci w jej mowie; zażądałeś faktów... masz je; ale wam, śmiertelnym, nigdy ich nie dość.

- Tak, przyznam się bowiem, że ta znajomość przeszłości i teraźniejszości wzbudziła we mnie szaloną ochotę, by poznać przyszłość.

- Przyszłość zawsze na dwoje wróży: istnieje przyszłość serc mdłych i przyszłość serc silnych. Bóg obdarzył człowieka wolną wolą, aby mógł wybierać. Twoja przyszłość zależy od ciebie.

- Trzeba więc znać jedną i drugą stronę przyszłości, aby wybrać lepszą.

- A zatem jest ktoś, kto czeka na ciebie gdzieś w okolicy Nevers, na głębokiej prowincji, wśród nor króliczych i drobiu. Zaprowadzi cię prosto na ławę kolatora parafialnego. Łatwa to ambicja do spełnienia, wystarczy być powolnym, żeby to osiągnąć: jesteś na tej drodze.

- A druga? - zagadnął kawaler dotknięty do żywego, iż ktoś śmiał przypuszczać, że mogłaby go kiedykolwiek czekać podobna przyszłość.

- Druga - odrzekła maska wspierając ramię na ramieniu młodego szlachcica i zatapiając wzrok w jego oczach - druga rzuci cię znowu w zgiełk i światło; druga uczyni cię jednym z aktorów sztuki rozgrywającej się na teatrum świata; druga, choćbyś nawet przegrał, pozostawi ci przynajmniej sławę wielkiego gracza.

- A gdybym przegrał, co przegram? - zagadnął kawaler.

- Życie, jak sądzę.

D'Harmental machnął wzgardliwie ręką.

- A jeśli wygram? - zagadnął znowu.

- A co byś powiedział, gdybyś został wielkim regimentarzem polnym, któremu by nadano tytuł granda hiszpańskiego i order Świętego Ducha? Nie mówiąc już o tym, że miałbyś w perspektywie buławę marszałkowską.

- Powiedziałbym, że gra warta świeczki, piękny nietoperzyku, i że jeśli dowiedziesz mi w tym względzie swojej mocy, gotów jestem iść za tobą.

- Ten dowód nie ja ci mogę dać, panie kawalerze, lecz kto inny. Jeśli zatem chcesz się przekonać, chodź ze mną.

- No, no - powiedział d'Harmental - czyżbym się pomylił? Należysz do duchów poślednich, służebnych, pośredniczących? Do licha! Pomniejszyłoby to trochę uwagę, jaką mam dla ciebie.

- I cóż z tego, gdybym nawet, będąc w służbie jakiejś potężnej czarodziejki, została tu przez nią przysłana?

- Uprzedzam cię, że nie będę pertraktował przez posłów.

- Mam cię do niej zaprowadzić, to moja misja.

- Więc ją zobaczę?

- Ujrzysz jej twarz, jak Mojżesz ujrzał oblicze Pana.

- W takim razie idziemy!

- W gorącej wodzie cię kapano, panie kawalerze! Czy nie wiesz, że każde wtajemniczenie poprzedza ceremoniał, konieczny, by upewnić się o dyskrecji wtajemniczonego?

- Cóż więc mam zrobić?

- Przystać, aby z zawiązanymi oczyma zaprowadzono cię tam, gdzie zaprowadzić zechcą; następnie, u wrót świątyni, złożysz uroczystą przysięgę, że nie zdradzisz ani słów, które usłyszysz, ani osób, które zobaczysz.

- Jestem gotów przysiąc na brodę Proroka - roześmiał się d'Harmental.

- Nie, kawalerze - odrzekła z powagą maska - dasz po prostu parol; znają cię, to wystarczy.

- A gdybym dał parol - ozwał się d'Harmental po chwili milczenia i namysłu - czy będzie mi wolno się wycofać, jeśli to, co mi zaproponują, okaże się niegodne szlachcica?

- Rozstrzygnie o tym twoje sumienie, parol dasz tylko jako rękojmię.

- Jestem więc gotów - odparł d'Harmental.

- W takim razie chodźmy - rzekła maska.

D'Harmental zaczął już przeciskać się przez tłum, zmierzając prosto ku wyjściu; spostrzegłszy jednak, że z naprzeciwka nadchodzą Brancas, Broglie i Simiane, którzy

zatrzymaliby go z pewnością, skreślił w bok, kierując się jednak ku temuż celowi.

- Co robisz? - zdziwiła się maska.

- Unikam spotkania z kimś, kto mógłby nas zatrzymać na moment.

- Doskonale! Już bowiem przejęła mnie obawa...

- Czego się obawiałaś?

- Obawiałam się - roześmiała się maska - że na twój zapal może wpłynąć różnica między długością przekątnej i długością dwóch boków kwadratu.

- Do licha! - powiedział d'Harmental. - Chyba po raz pierwszy wyznacza ktoś szlachcicowi schadzki na balu w Operze, by rozmawiać z nim o anatomii, literaturze starożytnej i geometrii! Przykro mi, że ci to mówię, piękna maseczko, ale jesteś największym z duchów-bakalarzy, jakich spotkałem w życiu.

Nietoperzyk parsknął śmiechem, lecz nic nie odrzekł na ów żart, w którym nasz rycerz pofolgował irytacji, zły, że nijak nie może się dowiedzieć, kim jest nieznajoma tak wybornie wtajemniczona w jego przygody; że jednak owa irytacja podsycala tylko ciekawość d'Harmentalą, zbiegli oboje po schodach z takim pośpiechem, że już po chwili znaleźli się w westybulu.

- Jaką obierzemy drogę? - zagadnął kawaler. - Czy poszybujemy nad ziemią rydwanem zaprzężonym w parę gryfów?

- Jeśli pozwolisz, panie kawalerze, pojedziemy zwykłą kareta. Po prawdzie bowiem, choć zdawałeś się wątpić o tym niejednym raz, jestem kobietą i boję się ciemności.

- Pozwól pani, bym wobec tego przywołał moją karocę.

- O nie, mam swoją - odparła maska.

- Wezwij ją zatem, pani.

- Jeśli pozwolisz, panie kawalerze, nie będziemy dumniejsi niż Mahomet w przypadku góry; skoro więc moja karoca zajechać po nas nie może, sami do niej pójdziemy.

To rzekłszy nietoperzyk pociągnął d'Harmentalą w ulicę Saint-Honore. Kareta bez herbów, zaprzężona w dwa konie ciemnej maści, czekała na rogu uliczki Pierre-Lescot. Stangret siedział na koźle spowity w obszerną pelerynę, zasłaniającą mu dół twarzy; trójgraniasty kapelusz, głęboko wciśnięty na czoło, zakrywał mu oczy. Lokaj jedną ręką

przytrzymał otwarte drzwiczki, drugą ręką osłaniał chustką twarz.

- Wsiadaj, panie kawalerze - ozwała się maska.

D'Harmental wahał się przez sekundę: dwaj słudzy bez liberii, pragnący zachować incognito, podobnie jak ich pani; karoca bez monogramu i tarczy herbowej, ciemny zakątek, dokąd wciągnęła go maska, późna noc - wszystko to budziło w nim nieufność całkiem naturalną; pomyślawszy jednak, iż prowadzi pod ramię kobietę, a przy boku ma szpadę, wsiadł śmiało do powozu. Nietoperzyk usadowił się obok niego, lokaj zamknął drzwiczki - szcęknęła dwa razy sprężyna, jakby ktoś przekręcił klucz dwa razy.

- Dlaczego nie jedziemy? - zapytał d'Harmental, bo ekwipaż nie ruszał z miejsca.

- Musimy zastosować jeszcze pewien drobny środek ostrożności - odrzekła maska dobywając jedwabną chustkę z kieszeni.

- Ach, prawda, zapomniałem - odparł d'Harmental. - Oddaję się w pani ręce z pełną ufnością.

I skłonił ku niej głowę.

Nieznajoma zawiązała mu oczy, a skończywszy tę operację, rzekła:

- Daj mi parol, panie kawalerze, że nie będziesz próbował uchylić chustki, dopóki nie pozwolę ci zdjąć jej całkiem.

- Daję słowo.

- Znakomicie.

I odsuwając przednią szybę karocy rzekła do stangreta:

- W wiadome miejsce, panie hrabio!

Konie pomknęły galopem.

V. Arsenał

Na balu prowadzili ożywioną rozmowę, lecz podczas jazdy milczeli oboje jak zakłęci. Przygoda, mająca na początku kształt przygody miłosnej, wyglądała teraz poważniej, przeobrażając się wyraźnie w machinację polityczną. Jeśli nawet ów nowy kształt nie trwożył d'Harmentala, dostarczał mu co najmniej tematu do rozważań, rozważania zaś jego były tym głębsze, iż nieraz już dumał, co pocznie znalazłszy się w sytuacji, w jakiej się właśnie znajdował.

W życiu każdego człowieka pojawia się moment, który ma zdecydować o całej jego przyszłości. Ów moment, mimo swej doniosłości, wynika rzadko z rachunku i nie kieruje nim wola: to niemal zawsze przypadek porywa człowieka, jak wiatr porywa liść, rzucając go na jakąś drogę nową i nieznaną, na którą raz wstąpiwszy, musi stać się posłuszny siłom wyższym i na której, w mniemaniu, że stosuje się do swej wolnej woli, jest niewolnikiem okoliczności lub igraszką losu.

Tak było z d'Harmentalem; widzieliśmy już, którymi drzwiami dostał się do Wersalu, i widzieliśmy, jakim sposobem - gdyż nie kierowała nim sympatia - interes, a nawet wdzięczność, związały go ze stronnictwem dawnego dworu. D'Harmental nie kalkulował więc, czym pani de Maintenon przysłużyła się Francji, a czym zaszkodziła; nie zastanawiał się, czy Ludwik XIV miał prawo usynowić swych potomków z nieprawego łoża; nie zważał na szalach genealogii diuka du Maine i diuka Orleańskiego; pojmował instynktem, że winien poświęcić swoje życie tym, którzy z nieznanego uczynili je sławnym; skoro zaś po śmierci starego króla dowiedział się, iż obalono testament monarchy, pozbawiając regencji diuka du Maine, uznał objęcie władzy przez księcia Orleańskiego za uzurpację i w przekonaniu, że fakt ów napotka reakcję wojskowych, rozglądał się po całej Francji, czy nie rozwiną się gdzieś sztandary, pod które wezwie go sumienie. Ale, ku jego zdumieniu, nic nie wskazywało, by miały spełnić się te nadzieje; Hiszpania, w której interesach leżało, żeby rządowi francuskiemu przewodził ktoś jej przyjazny, nie zaprotestowała nawet; pan du Maine, znużony walką, co prawda tylko jednodniową, usunął się znowu w cień, skąd, jak się zdawało, wyszedł nader niechętnie; hrabia Tuluzy, łagodny, spokojny, poczciwy i niemal wstydzący się faworów, jakich w nadmiarze dostąpił wraz ze swym bratem, nie zdradzał ani zamiarów, ani chęci, by zostać

głową stronnictwa; marszałek de Villeroi stanął w opozycji słabej i przekornej, pozbawionej rachunku i planu; Villars nie bywał u nikogo, oczekując jak najwidoczniej postów; d'Uxelles podporządkował się i przyjął tekę ministra spraw zagranicznych; diukowie i parowie, wzięwszy na cierpliwość, przymilali się regentowi w nadziei, że na koniec, jak był obiecał, pozbawi pana du Maine i hrabiego Tuluzy pierwszeństwa, które dał im nad nimi Ludwik XIV; wreszcie istniały kwasy, niezadowolenie i sprzeciwy nawet w rządzie księcia Orleańskiego - były one jednak nieuchwytnie, niewidoczne i rozproszone. Nie było nigdzie ośrodka, do którego mógłbyś przystać, nie było woli, której mógłbyś oddać w lenno woLę swoją; wszędzie wesołość, wszędzie wrzawa; zarówno na szczytach, jak w dołach społecznych uciecha miast szczęścia: oto, co obserwował d'Harmental, oto, co skłoniło go do schowania szpady w połowie już dobytej z pochwy. Sądząc, iż on jeden dostrzega inne wyjście z sytuacji, żywił przekonanie, iż wyjście to istniało zawsze tylko w jego wyobraźni, skoro najbardziej zainteresowani w osiągnięciu tych wymarzonych rezultatów uważali je za tak nieprawdopodobne, że nie podejmowali w tym względzie żadnych działań.

W momencie jednak, kiedy pojął, że się myli, w momencie, kiedy na tej powierzchni roziskrzonej wesołości pojawił się jakiś cień, w momencie, kiedy ta niefrasobliwość okazała się tylko zasłoną dla aktywnych ambicyj, zmieniła się postać rzeczy i nadzieje, które d'Harmental uważał za wygasłe, a które drzemały tylko, jęły budząc się szeptać mu obietnice bardziej niż kiedykolwiek ponętne. Propozycje, jakie mu poczyniono, choć było w nich wiele przesady, przyszłość, jaką mu obiecano, choć wydawała się nieprawdopodobna, podnieciły jego wyobraźnię. A gdy się ma dwadzieścia sześć lat, wyobraźnia to przedziwna czarodziejka; to architekt wystawiający eteryczne pałace, to wróżka sprowadzająca złote sny, to monarchini królestwa bez granic - i byle tylko oparła jak najbardziej gigantyczne rachunki na jak najcieńszej trzcinie, doznajemy uludy, że marzenia się spełnią, jak gdyby opierały się na niewzruszonej osi ziemskiej.

Toteż, choć karoca toczyła się już przeszło pół godziny, kawalerowi czas nie dłużył się wcale; pograżył się w dumaniach tak głębokich, iż nie trzeba mu było zawiązywać oczu: i tak by się nie połapał, jakimi ulicami przejeżdża. Usłyszał wreszcie głucho dudnienie kół, znak, że znaleźli się pod sklepieniem bramy; usłyszał zgrzyt żelaznej kraty, która otwarła się, żeby ich

przepuścić, i zamknęła się za nimi, i zaraz potem karoca stanęła opisawszy koło.

- Panie kawalerze - ozwała się nieznajoma - jeśli lękasz się iść dalej, czas jeszcze zawrócić; a jeśli nie zmieniłeś decyzji, chodź.

Za całą odpowiedź d'Harmental wyciągnął rękę. Lokaj otwarł drzwiczki; nieznajoma wysiadła pierwsza i pomogła wysiąść kawalerowi; niebawem stopa jego zmacała schody, wszedł - z zawiązanymi oczyma - po sześciu stopniach ganku i wciąż prowadzony przez damę w masce minął przedsionek, podążył korytarzem, znalazł się w jakiejś komnacie. Usłyszał wtedy turkot odjeżdżającej karety.

- Jesteśmy na miejscu - rzekła nieznajoma. - Pamiętasz o warunkach, panie kawalerze, nieprawdaż? Wolno ci przyjąć rolę lub jej nie przyjąć, w sztuce, która ma się rozegrać; w przypadku jednak gdybyś odmówił, poprzysiągłeś na honor nie wyjawić nikomu nic z tego, co tu zobaczysz i usłyszysz.

- Przysięgam na honor - powtórzył kawaler.

- A więc usiądź tutaj i zaczekaj. Ale opaskę z oczu zdejmiesz, gdy usłyszysz, jak bije godzina druga. Bądź spokojny, nie będziesz długo czekał.

To rzekłszy maska wyszła; drzwi otwarły się i zamknęły. Prawie zaraz potem wybiła druga i kawaler zerwał opaskę.

Był sam w najbardziej uroczym buduarze, jaki wyobrazić sobie można; była to komnata nieduża, ośmiokątna, obita chińską materią liliowo-srebrną; portiery i zasłony w oknach z tapiserii, tapiserią obciążone meble; stoły i półki uginające się pod najwspanialszą chińszczyzną, zdradzały mistrzowską robotę Boule'a; posadzkę przykrywał kobierzec perski, plafon był malowany przez Watteau, który właśnie zaczynał wchodzić w modę. Spoglądając na to wszystko kawaler jął wątpić, czy przywieziono go tu w poważnej sprawie, i powrócił niemal do swych początkowych domniemywań.

W tejże chwili rozwarły się drzwi ukryte za tapiserią i d'Harmental ujrzał kobietę, którą wśród fantastycznych rojeń mógłby wziąć za wróżkę z bajki, tak była eteryczna; miała na sobie prześliczną suknię z perłowego chińskiego atłasu, usianą bukietami wyhaftowanymi tak cudnie, że z odległości trzech kroków wzięłbyś je za żywe kwiaty; falbany, szerokie rękawy i przepaska na włosach były z haftu angielskiego, guziki - z pereł, agrafy - z diamentami.

Twarz kryła się za wąską, aksamitną maską, z której zwisała czarna koronka.

D'Harmental pokłonił się nisko, w ruchach i postawie tej kobiety było bowiem coś królewskiego; w lot pojął, iż nieznajoma z balu jest tylko wysłanniczką.

- Pani - ozwał się - czyżbym rzeczywiście, jak zaczynam w to wierzyć, opuścił ziemię zamieszkaną przez ludzi i znalazł się w świecie duchów? I czy jesteś potężną wróżką, władczynią tego pałacu?

- Niestety, panie kawalerze - odparła dama w masce głosem łagodnym, lecz stanowczym i opanowanym - nie jestem wcale potężną wróżką, ale, całkiem przeciwnie, biedną księżną prześladowaną przez złego czarownika, który zabrał mi koronę i gnębi okrutnie moje królestwo. Toteż, jak widzisz, szukam wszędy dzielnego rycerza, który mnie oswobodzi, a że sława twoja bardzo głośna, zwróciłam się do ciebie.

- Jeśli trzeba jedynie mojego życia, żeby przywrócić ci, pani, twoją dawną potęgę - podjął d'Harmental - rzeknij słowo, a gotów jestem narazić życie z radością. Kim jest ów olbrzym, którego zabić należy? Skoro mnie wybrałaś, godzien jestem tego zaszczytu. Z tą chwilą daję ci mój parol, choćby miało mnie to zgubić.

- Wobec tego, panie kawalerze, zginiesz w dobrym towarzystwie - odparła nieznajoma i rozwiązując wstążeczkę maski odsłoniła twarz - zginiesz bowiem wraz z synem Ludwika XIV i wnuczką Wielkiego Kondeusza.

- Jej Wysokość diusza du Maine! - wykrzyknął d'Harmental, przyklękając na jedno kolano. - Niech mi Wasza Wysokość wybaczy, jeśli, nie poznawszy jej, powiedziałem coś, co nie licowałoby z głębokim respektem, jaki dla niej żywię.

- Słyszałam z pańskich ust tylko słowa napawające mnie dumą i wdzięcznością, panie kawalerze; może jednak pożałujesz, żeś je wyrzekł. Gdyby tak było, jesteś wolny, zwracam ci twój parol.

- Niech Bóg mnie zachowa, pani, abym dostąpiwszy tego szczęścia, żem znalazł się w służbie tak wielkiej i szlachetnej władczyni, okazał się nędznikiem rezygnując dobrowolnie z największego zaszczytu, jakiego kiedykolwiek mógłbym się spodziewać! Tak, pani, przyjmij na serio, błagam, to, co ci zaofiarowałem przed sekundą tak żartobliwie. Moje ramię, spada i życie należą do ciebie.

- Widzę, panie kawalerze - odparła diuszesa du Maine z owym właściwym sobie uśmiechem, który dawał jej taką przewagę nad otoczeniem - że baron de Valef nie wprowadził mnie bynajmniej w błąd co do twojej osoby; jesteś takim, jakim cię zapowiedział. Chodź, przedstawię cię naszym przyjaciółom.

Diuszesa du Maine poszła przodem; d'Harmental podążył za nią, mocno jeszcze oszołomiony wypadkami, ale zdecydowany już - na poły pod wpływem dumy, na poły z przekonania - że nie cofnie się ani o krok.

Wyszli na ten sam korytarz, dokąd wprowadziła go maska. Pani du Maine i d'Harmental kroczyli zrazu obok siebie, po czym diuszesa otworzyła drzwi salonu, gdzie czekały na nich cztery osoby: kardynał de Polignac, markiz de Pompadour, pan de Malezieux i ksiądz Brigaud.

Kardynał de Polignac uchodził za kochanka pani du Maine. Był to urodziwy mężczyzna lat mniej więcej czterdziestu pięciu, zawsze ubrany elegancko i jak najstaranniej; głos miał z nawyku pełen namaszczenia, twarz lodowatą, serce łekliwe; zżerany ambicjami, które paraliżowała wieczyście słabość charakteru, pozostawał w tyle, ilekroć należało kroczyć naprzód; pochodził z wysokiego rodu, o czym świadczyło nazwisko, był bardzo jak na kardynała uczony i bardzo jak na magnata odcytany.

Pan de Pompadour miał lat około pięćdziesięciu. W dzieciństwie jako towarzysz zabaw wielkiego Delfina, syna Ludwika XIV, powziął tak wielki afekt i tak tkliwy szacunek dla całej rodziny wielkiego monarchy, iż doznawszy głębokiej boleści w momencie, gdy regent miał już wypowiedzieć wojnę Filipowi V, oddał się duszą i ciałem stronnictwu diuka du Maine. Ponadto, dumny i bezinteresowny, dał przykład rzadkiej w tych czasach wierności, odsyłając regentowi dyplom, na mocy którego książę wyznaczał pensję jemu oraz jego żonie, i odrzucając kolejno w imieniu swoim i swego zięcia, markiza de Courcillon, wszelkie proponowane im godności.

Pan de Malezieux miał lat około sześćdziesięciu pięciu; był kanclerzem Dombes i panem na Chatenay: oba te tytuły zawdzięczał diukowi du Maine, którego edukacją zajmował się niegdyś. Poeta, muzyk, autor komedyjek, w których grywał sam z niezrównanym wdziękiem, stworzony do życia próżniaczego i wypełnionego rozrywkami intelektualnymi, ustawicznie zajęty wynajdywaniem uciech dla wszystkich, a w szczególności

uszcześliwianiem pani du Maine, której był tak oddany, iż uczucie to graniczyło z adoracją; typowy sybaryta osiemnastego wieku; lecz jak i owi sybaryci, którzy, porwani jej urodą, podążyli za Kleopatram do Akcjum i polegli wokół niej, pan de Malezieux rzuciłby się za swoją drogą Ludwiką Benedyktą w ogień lub w wodę i na jedno jej słowo bez wahania, nie ociągając się ani chwili i, powiedziałbym, niemal bez żalu, skoczyłby z wieży Notre-Dame.

Ksiądz Brigaud był synem lionńskiego kupca. Ojcu jego, prowadzącemu wielkie interesy handlowe z dworem hiszpańskim, zlecono ongiś, aby w sposób nieobowiązujący i jak gdyby z własnej inicjatywy poczynił pierwsze kroki w kwestii mariażu młodego Ludwika XIV z infantką Marią Teresą Austriacką. Gdyby propozycję przyjęto nieprzychylnie, gabinet francuski wyparłby się inicjatywy i sprawa zostałaby zamknięta; ale że przyjęto ją przychylnie, gabinet francuski wyraził zgodę. Ślub się odbył; mały Brigaud urodził się w tym samym czasie, co wielki Delfin, ojciec poprosił tedy, aby w nagrodę królewicz został ojcem chrzestnym jego syna, na co zgodzono się łaskawie. Ponadto młodego Brigaud umieszczono w świątyni Delfina, gdzie zawarł znajomość z markizem de Pompadour, który, jako się rzekło, wychowywał się wraz z synem królewskim. W wieku, kiedy człowiek decyduje o swej przyszłości, Brigaud ochoczo przystąpił do Bractwa Oratorianów i wyszedł stamtąd jako opat. Był to człek szczwany, zręczny, ambitny, któremu jednak, jak się to czasem zdarza ludziom najbardziej nawet uzdolnionym, nie trafiała się okazja do zrobienia kariery. Na jakiś czas przed zdarzeniami, do których właśnie dotarliśmy, spotkał markiza de Pompadour poszukującego akurat kogoś, kto dzięki swej inteligencji i talentowi do intryg byłby zdalny na sekretarza pani du Maine. Uprzedził go, na co w obecnej chwili narazić go może podobna godność. Brigaud rozważał chwilę wszelkie dobre i złe strony sprawy, a doszedłszy do przekonania, że dobre przeważają, przyjął urząd.

Z czterech tych ludzi d'Harmental znał osobiście tylko markiza de Pompadour, którego spotykał często u jego zięcia, pana de Courcillon, spokrewnionego w sposób bardzo daleki i zawiły z d'Harmentalami.

Pan de Polignac, pan de Pompadour i pan de Malezieux gawędzili stojąc przy kominku; ksiądz Brigaud siedział przy stole i porządkował papiery.

- Panowie - rzekła wchodząc do pokoju diuszesa du Maine. - Oto dzielny czempion, o

którym mówił nam baron de Valef, a którego przyprowadziła nam, panie de Malezieux, twoja ukochana panna de Launay. Jeśli jego nazwisko i historia nie wystarczą wam za legitymację, to ja odpowiadam osobiście za kawalera d'Harmentalą.

- Skoro Jej Wysokość tak przedstawia nam pana kawalera - rzekł Malezieux - witamy w nim nie tylko towarzysza, lecz i wodza, za którym jesteśmy gotowi pójść wszędzie, dokąd poprowadzić nas zechce.

- Mój drogi - ozwał się markiz de Pompadour podając młodzieńcowi rękę - byliśmy dotąd niemal krewniakami, a teraz jesteśmy braćmi.

- Witaj nam, witaj, panie kawalerze - powiedział kardynał de Polignac ze zwykłym sobie namaszczeniem, które kontrastowało osobiście z chłodem malującym się na jego twarzy.

Ksiądz Brigaud uniósł głowę, zwrócił ją ku d'Harmentalowi skręcając szyję ruchem węża i utkwiał w nim oczy małe i błyszczące jak u żbika.

- Panowie - ozwał się d'Harmental wymieniwszy ukłony z każdym z osobna - młody jestem bardzo, a wśród was czuję się człowiekiem nowym; ponadto nie mam pojęcia, co się tu dzieje i w czym mógłbym okazać się wam przydatny; jednak chociaż zaręczyłem słowem dopiero przed chwilą, oddanie moje dla sprawy, która nas łączy, datuje się od lat kilku; proszę więc, abyście obdarzyli mnie zaufaniem, o które tak wspomniał mi się do was Jej Wysokość. Dodam następnie, że pragnę tylko, aby jak najprędzej trafiła mi się sposobność, dzięki której mógłbym wam dowieść, że zasłużyłem na nie.

- Znakomicie! - zawołała księżna du Maine. - Wiwat żołnierze, oni bowiem zmierzają prosto do celu! Młodzieńcze, nie będziemy mieć przed panem żadnych sekretów, okazja zaś, której pragniesz i która każdego z nas postawi na należnym mu miejscu, nie każe, mam nadzieję, długo czekać na siebie.

- Wybacz mi pani, księżno - przerwał kardynał mniąc niespokojnie swój koronkowy żabot - ale z informacji tych pan kawaler mógłby wnieść, że chodzi tu o spisek.

- A o cóż innego miałyby chodzić, kardynale? - zachnęła się diuszesa du Maine.

- Chodzi o tajną naradę - odrzekł kardynał - która jednak nie ma w sobie nic karygodnego. Szukamy tylko środków, jak zaradzić nieszczęściom naszego kraju i oświecić Francję, na czym polega jej prawdziwe dobro, przypominając narodowi ostatnią wolę króla

Ludwika XIV.

- Dałbyś pokój, kardynale - tupnęła nogą diuszesa - bo umrę ze zniecierpliwienia słuchając tych twoich omówień! Panie kawalerze - zwróciła się do d'Harmentala - nie zważaj na eminencję, który w tej chwili myśli zapewne o swoim "Antylukrecjuszu". Gdyby chodziło o zwykłą naradę, wybawiłaby nas z kłopotu tęga głowa eminenccji i nie potrzebowalibyśmy wzywać ciebie. Chodzi o najprawdziwszy spisek przeciw regentowi: do spisku tego przystąpił król hiszpański, kardynał Alberoni, diuk du Maine, ja, markiz de Pompadour, pan de Malezieux, ksiądz Brigaud, pan i Valef, jak również kardynał i pierwszy prezydent Parlamentu, do którego przystąpi połowa Parlamentu i trzy czwarte Francji. O to właśnie chodzi, panie kawalerze. No i co, kardynał kontent? Czy jasno się wypowiedziałam, moi panowie?

- O, pani - wyszeptał Malezieux składając przed nią ręce z takim nabożeństwem, z jakim na pewno nie złożyłby przed Madonną.

- Dałbyś pokój, Malezieux, drażnisz mnie tylko i drażnisz tymi swoimi niewczesnymi zapędami. Miły Boże, czyż warto być mężczyzną, żeby tak wiecznie posuwać się po omacku! Bo ja nie żądam od was ani szpady, ani sztyletu, dajcie mi tylko gwóźdź, a ja, kobieta i niemal karliczka, pójdę niby Jahela, żeby wbić go w skroń tego współczesnego Sisera. Wtedy położę wszystkiemu kres; a jeśli mi się nie powiedzie, ja jedna się skompromituję.

Kardynał westchnął głęboko, Pompadour wybuchnął śmiechem, Malezieux próbował uspokoić diuszese, ksiądz Brigaud spuściwszy głowę zabrał się do pisania, jakby nic nie słyszał.

A d'Harmental miał ochotę ucałować kraj szaty pani du Maine, gdyż wydało mu się, że ta kobieta przewyższa nieskończenie pod każdym względem czterech otaczających ją mężczyzn.

W tejże chwili rozległ się turkot karocy, która wjechawszy na dziedziniec stanęła przed gankiem. Oczekiwany gość był snadź kimś bardzo ważnym, zaległo bowiem głębokie milczenie, a diuszesa, nie panując nad niecierpliwością, podbiegła do drzwi.

- No i co? - spytała.

- Jest - zabrzmiał z korytarza głos, w którym d'Harmental rozpoznał głos nieznaną z balu.

- Prosimy, prosimy, drogi książę - ozwała się diuszesa - czekamy na ciebie.

VI. Książę Cellamare

Kiedy padły owe słowa zaproszenia, wszedł mężczyzna wysoki, chudy, poważny, pełen dostojeństwa, ogorzały od słońca, spowity w pelerynę, i jednym rzutem oka ogarnął całą komnatę oraz wszystko, co się w niej znajdowało: ludzi i rzeczy. Kawaler d'Harmental poznał księcia Cellamare, ambasadora Ich Królewsko-Katolickich Mości.

- No i cóż nam, książę, powiesz nowego? - zagadnęła diuszesa.

- A powiem - odparł ambasador Hiszpanii całując z uszanowaniem jej dłoń i rzucając pelerynę na fotel - że Jej Książęca Wysokość powinna czym prędzej zmienić stangreta. Wróżę nieszczęście, jeśli dłużej zatrzymasz, pani, w swoich służbach tego błazna, który przywiózł mnie tutaj: przysiągłbym, że przekupił go regent, aby Jej Wysokość ze swymi przyjaciółmi skrzyła kark.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, zwłaszcza sam stangret, który bezceremonialnie wszedł za księciem i złożył swą burkę i kapelusz na krzesło stojące obok fotela, gdzie książę Cellamare zostawił pelerynę. Był to człek o wyniosłej minie, lat mniej więcej czterdziestu, dół twarzy miał osłonięty czarną kitajką.

- Słyszałeś, mój drogi Laval, co książę powiedział o tobie? - spytała diuszesa.

- Tak, tak - odpowiedział Laval - na przyszły raz niech go wiezie któryś z panów de Montmorency, bo ich można traktować w taki sposób! O, mości książę, czy najpierwsi baronowie chrześcijaństwa nie są godni służyć ci za stangretów? Do diabła! Bardzo wymagający. Czy miałeś w Neapolu wielu stangretów, którzy wywodziliby swój ród od Roberta Mocnego?

- Nie do wiary! Więc to ty byłeś stangretem, hrabio? - ozwał się książę podając mu rękę.

- We własnej osobie, drogi książę. Księżna pani, posławszy swojego stangreta do rodziny na półpoście, najęła mnie na dzisiejszą noc; myślała, że tak będzie bezpieczniej.

- I księżna pani dobrze uczyniła - oznajmił kardynał de Polignac - nigdy za wiele ostrożności.

- Oczywiście - powiedział Laval - ale ciekaw jestem, czy Wasza Eminencja podzielałby nadal to zdanie, spędziwszy pół nocy na koźle: najpierw, żeby zabrać pana d'Harmentalą z

balu w Operze, a potem, żeby zajechać po księcia do pałacu Colberta?

- Jak to! - zdumiał się d'Harmental. - To pan hrabia był tak dobry, że...?

- Tak, to ja, młodzieńcze - przerwał Laval - i pojechałbym po ciebie na koniec świata, znam cię bowiem, śmiałek z ciebie: to pan jeden z pierwszych wkroczyłeś do Denain i wziąłeś do niewoli Albemarle'a. Miałeś szczęście, bo mogłeś tam zgubić pół szczęki, jak ja zgubiłem ją we Włoszech, i słusznie się tego ustrzegłeś, bo byłby to jeszcze jeden powód, żeby odebrać ci regiment, co też zresztą zrobiono.

- Przywrócimy ci to wszystko, panie kawalerze, bądź spokojny, przywrócimy z namiązką - powiedziała diuszesa. - Na razie jednak mówmy o Hiszpanii. Wspomniał mi Pompadour, żeś otrzymał mój książkę, wieści od Alberoniego.

- Tak, Wasza Wysokość.

- No i cóż tam nowego?

- Są nowiny złe i dobre zarazem. Jego Królewska Wysokość Filip V znów popadł w melancholię, nie sposób go do niczego nakłonić. Nie może uwierzyć w traktat o czwórprzymierzu.

- Nie może uwierzyć! - zawołała księżna. - A ten traktat ma być właśnie teraz podpisany! I za tydzień Dubois ma go przywieźć z Londynu!

- Ja o tym wiem, Wasza Wysokość - podjął zimno Cellamare - lecz Jego Katolicko-Królewska Mość nie wie.

- A więc pozostawia nas samym sobie?

- Hm... Mniej więcej.

- Ależ w takim razie co robi królowa, do czego zmiierzają te wszystkie piękne obietnice i co się dzieje z owym rzekomym wpływem, jaki królowa ma na męża?

- Wpływu tego, Wasza Wysokość, królowa przyrzeka dowieść, kiedy już czegoś dokonamy.

- Ach, tak - zachnął się kardynał de Polignac - i potem nie dotrzyma słowa!

- Nie, Eminencjo, jestem tu jej gwarantem.

- Wnoszę z tego wszystkiego - powiedział Laval - że trzeba skompromitować króla; raz skompromitowany, pójdzie jak na pasku.

- O, właśnie - rzekł Cellamare - do tego się zbliżamy.

- Ale jak go skompromitować? - zagadnęła diuszesa du Maine. - Nie mamy od niego ani listu, ani nawet zlecenia ustnego, jak tedy go skompromitować z pięciuset mil odległości?

- A czyż nie ma on w Paryżu swojego reprezentanta i czy ów reprezentant nie jest właśnie u pani?

- Czyżby zatem - podjęła diuszesa - ksiązę miał pełnomocnictwa szersze, niż chce się do tego przyznać?

- Nie, moje pełnomocnictwa ograniczają się do tego, aby oświadczyć, że cytadela w Toledo i forteca w Saragossie są na usługi księżnej pani. Jeśli znajdziesz pani sposób, by zwabić tam regenta, Ich Katolicko-Królewskie Moście tak dobrze zamkną drzwi za nim, że już stamtąd nie wyjdzie, ręczę za to.

- To rzecz niemożliwa - rzekł kardynał.

- Niemożliwa! A czemuż to? - zawołał d'Harmental. - Przeciwnie, nic prostszego, zwłaszcza przy trybie życia, jakie prowadzi pan regent. Bo i czegoż trzeba? Dziesięciu odważnych ludzi, dobrze zamkniętej karocy i koni rozstawnych aż do Bajonny.

- Proponowałem już kiedyś, że się tego podejmę - rzekł Laval.

- I ja też - dodał Pompadour.

- To nie dla panów - ozwała się diuszesa. - Regent was zna, gdyby się więc wam nie powiodło, wiedziałby, kto jest sprawcą, i bylibyście zgubieni.

- Szkoda - powiedział zimno Cellamare - bo ten, kto stanąłby w Toledo lub Saragossie, otrzymałby godność granda.

- A po powrocie do Paryża - dorzuciła pani du Maine - order Świętego Ludwika.

- O, nie mów tak, pani, błagam - ozwał się d'Harmental - bo jeśli Wasza Wysokość rzuca takie słowa, oddanie nabiera charakteru ambicji, co odejmuje mu całą zasługę. Miałem już zaoferować swoje usługi, by ważyć się na ten krok, ja, którego regent nie zna; a teraz się waham. Niemniej ośmielę się powiedzieć, że poczytuję się za kogoś godnego zaufania Waszej Wysokości i jestem zdolny dać na to dowody.

- Jak to, panie kawalerze?! - zawołała diuszesa. - Czyżbyś chciał zaryzykować...?

- Tak, zaryzykowałbym życiem. Tylko życiem mogę ryzykować. Myślałem, że już

ofiarowałem je Waszej Wysokości, a Wasza Wysokość ów dar przyjęła. Czyżbym się pomylił?

- Nie, nie, panie kawalerze - zaprzeczyła żywo księżna. - Jesteś dzielnym i wiernym szlachcicem. Istnieją przeczucia, tak zawsze sądziłam, w momencie zatem, kiedy Valef wymienił twoje nazwisko mówiąc mi, kim i jakim jesteś, przyszło mi na myśl, że tobie będziemy wszystko zawdzięczać. Rozważcie, moi panowie, słowa kawalera. A teraz powiedzcie, w jaki sposób moglibyście go wspomóc.

- W jaki tylko zechce - oznajmił Laval i Pompadour.

- Kasa Ich Królewsko-Katolickich Mości jest do dyspozycji kawalera, może z niej czerpać garściami - zapewnił ksiązę Cellamare.

- Dziękuję panom - rzekł d'Harmental zwracając się do hrabiego de Laval i markiza de Pompadour - lecz jako osobistości znane byłibyście tylko przeszkodą w moim przedsięwzięciu. Zakrzątnijcie się jedynie, żeby mi sprokurować paszport do Hiszpanii i to taki, w którym by zaznaczono, że eskortuję jakiegoś ważnego więźnia. Nie powinno wam to sprawić trudności.

- Biorę to na siebie - ozwał się ksiądz Brigaud. - Wydobędę od pana d'Argenson gotowy formularz, który wystarczy tylko wypełnić.

- Kochany Brigaud! - zawołał Pompadour. - Mówi mało, ale dobrze.

- Bardziej on zasługuje na kapelusz kardynalski - rzekła diuszesa - niż niektórzy ze znanych mi magnatów; ale kiedy już będziemy mieć wszystko w ręku, bądźcie spokojni, moi panowie, nie zarzucicie nam skąpstwa. Słyszałeś więc, panie kawalerze, co powiedział ci ksiązę w kwestiach pieniężnych.

- Na nieszczęście - odparł d'Harmental - nie jestem aż tak bogaty, by odrzucić propozycję Jego Ekscelencji. Kiedy więc wyczerpię tysiąc pistolów, którymi dysponuję, będę musiał zwrócić się do księcia.

- Do księcia, do mnie, do wszystkich, panie kawalerze, w podobnych okolicznościach każde z nas winno obłożyć się podatkiem stosownym do naszych zasobów. Gotowizny mam niewiele, mam natomiast mnóstwo pereł i diamentów. A więc nie żałuj na nic, bardzo proszę. Nie każdy jest tak bezinteresowny jak ty, niektóre usługi musimy kupować na wagę złota - rzekła pani du Maine.

- Ale czy zastanowiłeś się dobrze, panie kawalerze, do jakiego przystępujesz przedsięwzięcia? A gdyby cię ujęto?

- Niech się Wasza Eminencja nie kłopotuje - odparł wzgardliwie d'Harmental. - Dość mam powodów do skarg na pana regenta, toteż gdyby mnie schwytano, każdy da wiarę, że to sprawa między nami dwoma i że moja zemsta jest czysto osobista.

- Tak czy inaczej - ozwał się hrabia de Laval - potrzebny będzie w tym zamachu ktoś w rodzaju starego żołnierza, ktoś, na kogo mógłbyś pan liczyć. Nie znasz aby takiego?

- Wydaje mi się, że znam - odpowiedział d'Harmental. - - Musiałbym tylko otrzymywać każdego ranka wiadomość, co regent będzie robił wieczorem. Księżę Cellamare ma chyba, jako ambasador, swoją tajną policję.

- Tak - przyznał zmieszany nieco księżę - mam kilka osób, które zdają mi sprawę...

- O to właśnie chodzi - odparł d'Harmental.

- A gdzie pan mieszka? - zagadnął kardynał.

- Najmuję pokój, Eminencjo - odpowiedział d'Harmental - przy ulicy Richelieu pod numerem siedemdziesiątym czwartym.

- I od jak dawna pan tam mieszka?

- Od trzech lat.

- A więc znają tam pana zbyt dobrze; musisz przeprowadzić się do innej dzielnicy. Znają tam również tych, którzy bywają u ciebie, i na widok nowych twarzy mogą się zaniepokoić.

- Tym razem Eminencja ma rację - przyznał d'Harmental. - Poszukam innego mieszkania w jakiejś ustronnej i oddalonej dzielnicy.

- Biorę to na siebie - ozwał się Brigaud. - Moja sutanna nie budzi w nikim podejrzeń; najmę dla pana mieszkanie powiadamiając, że robię to w imieniu pewnego młodzieńca z prowincji, którego mi zarekomendowano i który ma objąć urząd w jakimś ministerium.

- Doprawdy, drogi księżę - powiedział markiz de Pompadour - jesteś jak owa księżna z arabskich baśni, z której ust padają same perły.

- A więc rzecz postanowiona, ojcze - ozwał się d'Harmental. - Zdaję się na ciebie i dziś już zawiadomię mojego gospodarza, że opuszczam Paryż na trzy miesiące.

- Ukartowaliśmy zatem wszystko - rzekła z radością diuszesa du Maine. - Po raz pierwszy widzę moje interesa w pomyślnym świetle i to dzięki tobie, panie kawalerze. Nigdy ci tego nie zapomnę.

- Panowie - rzekł Malezieux dobywając zegarek - pomyślcie, że już czwarta nad ranem i że nasza droga księżna upada przez nas ze znużenia.

- Mylisz się, panie marszałku - odparła księżna. - Podobne noce dają wypoczynek. Dawnom nie spędziła nocy tak przyjemnej.

- MOści książe - ozwał się Laval narzucając opończę - będziesz musiał zadowolić się stangretem, którego chciałeś wypędzić, chyba że wolisz powozić sam lub wyruszyć pieszo.

- Nie, na honor, trudno, zaryzykuję. Jestem neapolitańczykiem, wierzę więc we wróżby. Jeśli pański powóz się wywróci, to znak, że winniśmy pozostać na naszych pozycjach; jeśli dowiesz mnie szczęśliwie, to znak, że mamy ruszyć naprzód.

- Czy zechcesz pan odwieźć kawalera d'Harmentala? - zwróciła się diuszesa do pana de Pompadour.

- Z ochotą - odrzekł markiz. - Nie widzieliśmy się dawno, mamy sobie mnóstwo do powiedzenia.

- Czy nie mógłbym się pożegnać z moim dowcipnym nietoperzykiem? - spytał d'Harmental. - Nigdy bowiem nie zapomnę, komu zawdzięczam szczęście, że mogłem ofiarować swoje usługi Waszej Wysokości.

- Panno de Launay - ozwała się diuszesa odprowadzając do samych drzwi księcia Cellamare i hrabiego de Laval - kawaler utrzymuje, że jesteś największą czarodziejką, jaką widział w życiu.

- A więc - zagadnęła z uśmiechem panna de Launay, która później, jako baronowa de Staal-Delaunay, miała nas obdarzyć tak uroczymi "Pamiętnikami" - czy wierzysz już teraz w moje wróżby, panie kawalerze?

- Wierzę, bo wstąpiła we mnie nadzieja - odparł d'Harmental. - Od momentu jednak, kiedy poznałem wróżkę, która panią wysłała, twoje przepowiednie o przyszłości najmniej mnie dziwią. Jakim cudem byłaś pani tak doskonale uwiadomiona o przeszłości, zwłaszcza zaś o teraźniejszości?

- Bądźże dobrą dla niego, moja kochana, i nie dręcz go dłużej - roześmiała się księżna.
- Inaczej uwierzy, że jesteśmy prawdziwymi wróżkami, i będzie się nas bał.

- Czy któryś z twoich przyjaciół, panie kawalerze - ozwała się panna de Launay - nie rozstał się z tobą dziś rano w Lasku Bulońskim, by złożyć nam wizytę pożegnalną?

- Ach, to Valef, Valef! - zawołał d'Harmental. - Teraz już rozumiem.

- No właśnie! - powiedziała pani du Maine. - Gdybyś był Edypem, sfinks pożarłby cię już dziesięć razy.

- A ta matematyka, Wergiliusz, anatomia? - podjął d'Harmental.

- Czyżbyś nie wiedział - wmieszał się do rozmowy Malezieux - że wszyscy tu nazywamy pannę de Launay naszą uczoną, z wyjątkiem pana Chaulieu, który nazywa ją swoją kokietką i swoim ladaco, lecz to tylko ze swawoli. Taka licencja poetycka.

- Przecież napuściliśmy ją kiedyś na pana Duvernoy, naszego doktora - dodała diuszesa. - Zapędziła go w kozi róg, rozmawiając z nim o anatomii!

- Otóż ów zacny doktor - ozwał się markiz de Pompadour biorąc d'Harmentalą pod ramię, by go wyprowadzić - stwierdził okropnie skonfundowany, że ta córka Francji wie lepiej od niego, jak zbudowany jest mężczyzna.

- Jest to pierwszy uczony - dorzucił ksiądz Brigaud składając swoje papiery - który zdobył się na dowcip; co prawda, zrobił to nieumyślnie.

D'Harmental i Pompadour oddalili się ze śmiechem, skłoniwszy się pani du Maine, a ksiądz Brigaud podążył za nimi licząc, że go podwiozą.

- No i cóż - zagadnęła pani du Maine kardynała de Polignac, który pozostał jeszcze z panem de Malezieux - czy Eminencja nadal uważa spiskowanie za rzecz straszną?

- Pani - odparł kardynał nie pojmując, iż można żartować, gdy ryzykuje się głową - zadam ci to samo pytanie, kiedy już wszyscy znajdziemy się w Bastylii.

I odszedł w kompanii pocziwego kanclerza, biadając nad złym losem, który pchał go w tak zuchwałe przedsięwzięcie.

Kiedy się oddalał, diuszesa du Maine spoglądała za nim z pogardą, której nie potrafiła ukryć; po czym zostawszy już tylko z panną de Launay:

- Kochana filozofko - rzekła nie posiadając się z radości - zgaśmy naszą latarnię, bo

chyba już znalazłyśmy Człowieka.

VII. Alberoni

Zbudziwszy się d'Harmental myślał, że śni. W ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin wypadki toczyły się z taką szybkością, że porwany ich wirem, nie wiedział, dokąd zmierza. Teraz dopiero, sam w czterech ścianach, mógł zastanowić się nad przeszłością i przyszłością.

Żyjemy w czasach, kiedy każdy poniekąd konspiruje. Wiemy zatem, jaki tok przybierają wtedy sprawy. W momencie więc entuzjazmu zaciągamy to lub owo zobowiązanie, po czym rzuciwszy okiem na naszą nową sytuację, żalujemy najpierw, że byliśmy tak pochopni; następnie oswajamy się po trosze z myślą o grożących nam niebezpieczeństwach; wyobraźnia, zawsze tak uprzejma, usuwa nam je sprzed oczu, ukazuje ambicje możliwe do urzeczywistnienia. Niebawem dołącza się do tego duma; zaczynamy pojmować, że staliśmy się nagle osobistością potężną i tajemniczą w owym kraju, gdzie w przeddzień jeszcze byliśmy nikim; wymijamy wzgardliwie tych, którzy wiodą życie zwyczajne; kroczymy zadzierając nosa i tocząc dumnym spojrzeniem; kołyszą nas nadzieje, zasypiamy w obłokach i pewnego pięknego poranka budzimy się w roli zwycięzcy lub zwyciężonego, lud niesie nas na tarczy lub miążdżą nas koła maszyny zwanej rządem.

Taki był przypadek d'Harmentala. Żył w czasach, gdy na horyzoncie majaczył jeszcze obraz Ligi, w czasach, które stykały się niemal z Frondą; ojcowie pamiętali jeszcze, jak działo Bastylji wsparło rokosz Wielkiego Kondeusza. Pamiętali, jak Ludwik XIV wypełnił teatrum swoją wszechpotężną wolą; lecz Ludwik XIV nie żył już, a wnukom się zdawało, iż na tym samym teatrum i przy pomocy tej samej maszynierii potrafią odegrać sztukę, którą odegrali ich dziadowie.

Istotnie, jako się rzekło, po dłuższej chwili zastanowienia d'Harmental ujrzał wypadki w takim świetle, w jakim widział je dnia poprzedniego, i powinszował sobie, iż zajął od razu pierwsze miejsce wśród osobistości tak znacznych, jak panowie Montmorency i Polignac. Rodzina jego, już choćby dzięki temu, iż mieszkała stale na prowincji, przekazała mu wiele z owego szlacheckiego zawadiactwa, tak modnego za panowania Ludwika XIII, zawadiactwa, którego kardynał de Richelieu nie zdołał zniszczyć toporem, Ludwik XIV zaś utemperować w swoich antyszambrach. Dla naszego młodzieńca miał posmak romantyzmu fakt, że zaciągnął

się pod sztandary kobiety, tym bardziej iż owa kobieta była wnuczką Wielkiego Kondeusza. A ponadto ktoś, kto ma dwadzieścia sześć lat, tak mało dba o życie, że wciąż je naraża dla spraw bez porównania bagatelniejszych niż przedsięwzięcie, na którego czele stanął d'Harmental. Postanowił więc natychmiast, że zadaniu swemu sprosta i spełni złożoną obietnicę. Nie ukrywał przed sobą, iż od tego momentu nie należy już do siebie i że utkwione w nim są oczy wszystkich spiskowców - od Filipa V po księdza Brigaud. Najwyższej wagi interesa już uzależniły się od jego woli, losy dwóch monarchii i polityki światowej miały niebawem uzależnić się od jego mniejszej lub większej odwagi, mniejszej lub większej roztropności.

Istotnie regent był podówczas głównym filarem wspierającym gmach Europy, Francja zaś, nie mając jeszcze przeciwwagi na północy, zaczęła gromadzić, jeśli nie dzięki swoim wojskom, to przynajmniej dzięki dyplomacji, owe wpływy, których, na nieszczęście, długo utrzymać nie potrafiła. Umieszczona pośrodku trójkąta utworzonego przez trzy wielkie mocarstwa, nie spuszczając oka z Niemiec, jedno ramię wyciągała ku Anglii, drugie ku Hiszpanii, gotowa potraktować przyjaźnie lub nieprzyjaźnie to z trzech wymienionych państw, które nie odniesie się do niej z należnym szacunkiem. Od półtora już roku, czyli odkąd diuk Orleański objął władzę, stała w pogotowiu czujnym i zbrojnym, jakiego nie udało jej się nigdy uzyskać nawet za Ludwika XIV. Zawdzięczała to sprzeczności interesów, która sprawiła, że Wilhelm Orleański uzurpował sobie tron, a Filip V na tron wstąpił. Wierny zastarzałej nienawiści do stadhoudera Holandii, który odmówił mu ręki swej córki, Ludwik XIV stale popierał roszczenia Jakuba II. Wierny paktowi rodzinnemu z Filipem V, stale wspomagał zarówno zbrojnie, jak pieniądze swojego wnuka przeciwko cesarzowi, szarpany zaś bez przerwy owymi dwiema wojnami, które kosztowały go tyle złota i krwi, musiał zawrzeć osławiony pokój utrechcki, co przyniósł mu tyle hańby.

Ale ze śmiercią starego króla zmieniło się wszystko. Regent obrał nie tylko nowy, lecz i przeciwny kierunek polityki. Traktat utrechcki był jedynie rozejmem, zerwano go zatem z chwilą, kiedy polityka Anglii i Holandii przestała dążyć wspólną drogą z polityką francuską. A więc regent przede wszystkim wyciągnął dłoń do Jerzego I, dzięki czemu 4 lutego 1717 roku w Hadze podpisano trójprzymierze: Francję reprezentował ksiądz Dubois, Anglię - generał

Cadogan, Holandię - Hensjus. Był to wielki krok naprzód w pacyfikacji Europy, lecz nie był to krok ostateczny. Interesy Austrii i Hiszpanii pozostawały nadal w zawieszaniu. Karol VI nie uznawał jeszcze w Filipie V króla hiszpańskiego, Filip V natomiast nie chciał wyrzec się swoich praw do tych prowincji monarchii hiszpańskiej, które na mocy traktatu utrechckiego miały przypaść cesarzowi jako odszkodowanie za tron Filipa II.

Od tej chwili regent żywił tylko jedną myśl: prowadzić przyjazne rokowania w taki sposób, aby Karol V uznał w Filipie V króla hiszpańskiego i aby zmusić Filipa V, nawet siłą, gdyby zaszła potrzeba, do odstąpienia od roszczeń do prowincji oddanych już cesarzowi.

Działo się to akurat w momencie, kiedy rozpoczynamy naszą opowieść. Dubois był w Londynie zabiegając o czwórprzymierze z jeszcze większą żarliwością, niż zabiegał o traktat haski.

Owo czwórprzymierze, łącząc interesy Francji, Anglii, Holandii i Cesarstwa, obalałoby wszelkie roszczenia innych państw pozbawionych aprobaty czterech mocarstw. Tego właśnie najbardziej lękał się Filip V, a raczej kardynał Alberoni; gdyż Filip, byleby miał obok siebie kobietę i klęcznik, nie myślał o sprawach rozgrywających się poza jego sypialnią i kaplicą.

Zgoła jednak inaczej było z Alberonim. Zrobił on jedną z najdziwaczniejszych w historii karier, jakie narody obserwują ze zdziwieniem zawsze świeżym - owe kariery kielkują wokół tronów; zdane są na kaprys losu, przypadek wznosi je wysoko, po czym je łamie, podobnie jak byle majtek dobrze wycelowawszy kamieniem zamieniał w obłok mgły gigantyczną trąbę wodną, która zbliża się na oceanie ku statkowi, grożąc, że go zatopi; podobnie jak jedna z owych lawin, zdolnych pochłonąć miasto i zasypać dolinę, gdy ptak, zrywając się do lotu, strąca płatek śniegu ze szczytu góry.

Ciekawą historię napisałby ten, kto wykazałby, z jak błahych przyczyn rodziły się potężne skutki - od czasów greckich aż po nasze czasy.

Romans pięknej Heleny wywołał wojnę trojańską i zmienił oblicze Grecji. Gwałt dokonany na Lukrecji wygnał Tarkwiniuszów z Rzymu. Zdradzony mąż wprowadził Brennusa na Kapitol, La Cava ściągnął Maurów do Hiszpanii. Niestosowny dowcip, który pewien młody dureń wypisał na trybunie starego doży, omal nie zachwiał w posadach Wenecją. Ucieczka Dearbhorgila i Mac\$urchata oddała w niewolę Irlandię. Rozkaz wydany Cromwellowi, żeby

opuścił okręt, na który już był wsiadł wybierając się do Ameryki, stał się przyczyną egzekucji Karola I i upadku Stuartów. Spór między Ludwikiem XIV a ministrem Louvois na temat okna w Trianon spowodował wojnę z Holandią. Szklanka wody, wylanej na suknię mistress Marsham, pozbawiła diuka de Marlborough godności naczelnego wodza i zbawiła Francję dzięki pokojowi w Utrechcie. I wreszcie Europa cudem tylko uniknęła pożogi wojennej i rozlewu krwi, do czego mógł doprowadzić fakt, że pan de Vendome przyjął biskupa, wysłannika księcia Parmy, siedząc na sedesie.

Od tego momentu Fortuna zaczęła się uśmiechać do Alberoniego.

Alberoni był synem ogrodnika i jako chłopiec pracował u ojca; potem zamienił płócienny kaftan na sutannę seminarzysty. Z usposobienia był wesołym błaznem. Pewnego ranka książe Parmy usłyszał jego śmiech tak serdeczny, że schorowany dostojnik, nieczęsto mający okazję do śmiechu i zaciekawiony, co tak rozweseliło młodzieńca, kazał go do siebie wezwać. Alberoni opowiedział księciu, nie pomnę już, jaką dykteryjkę; jego wysokość śmiał się do rozpuku i spostrzegłszy, że dobrze jest się czasami pośmiać, przyjął Alberoniego do służby, a bawiąc się historyjkami owego trefnisia przekonał się niezadługo, że jest on także inteligentny; pomyślał tedy, że inteligencję ową dałoby się nawet wykorzystać dla spraw państwowych. Gdy biskup wrócił od generalissimusa wojsk francuskich, księcia de Vendome, oburzony przyjęciem, jakiego doznał, przyjęciem w istocie raczej osobliwym, zerwane negocjacje mogły poważnie zaszkodzić stosunkom księcia Parmy z rządem francuskim; osądzwszy więc, iż Alberoni jest akurat kimś, kogo nie sposób niczym upokorzyć, książe nakazał mu podjęcie nie dokończonych przez biskupa rokowań.

Pan de Vendome, który nie krępował się bynajmniej obecnością biskupa, nie krępował się też bynajmniej obecnością zwykłego księżulka: przyjął więc drugiego legata podobnie jak przyjął pierwszego; Alberoni jednak, miast wziąć przykład ze swego poprzednika, obrócił sytuację, w jakiej zastał pana de Vendome, w żarty tak ucieszne i w komplementy tak osobliwe, że z miejsca całą sprawę załatwiono. I tak Alberoni wrócił do Parmy wykonawszy zadanie po myśli księcia.

W tej sytuacji książe posłał go w następnej misji. Tym razem pan de Vendome siadał właśnie do stołu. Alberoni miast mówić o polityce spytał, czy może przyrzadzić na swój sposób

ze dwie potrawy, pobiegł do kuchni i rychło stamtąd wrócił dzierżąc w jednej ręce wazę z zupą neapolitańską, a w drugiej półmisek z makaronem. Panu de Vendome tak smakowała zupa, że zaprosił Alberoniego do stołu. Przy deserze Alberoni przystąpił do rzeczy i korzystając z wybornego usposobienia, w jakie obiad wprowadził pana de Vendome, od ręki załatwił sprawę. Księżę Parmy był zachwycony; żaden z jego najbardziej genialnych sekretarzy nigdy się tak dzielnie nie spisał.

Alberoni nie dał oczywiście kucharzowi przepisu na zupę i po jakimś czasie pan de Vendome napisał do księcia Parmy, pytając, czy nie chciałby z nim w jakiejś materii popertraktować. Księżę, znalazłszy bez trudu nowy dylemat, posłużył się znowu Alberonim. Alberoni przekonał w końcu księcia, iż najlepsze dla siebie miejsce widzi u boku pana de Vendome - pana Vendome zaś przekonał, iż bez makaronu i zupy neapolitańskiej żyć nie sposób. W rezultacie pan de Vendome wziął księżulka na służbę, wprowadził go w arkana swoich najbardziej tajnych spraw i wreszcie powierzył mu stanowisko pierwszego sekretarza.

W owym czasie pan de Vendome udał się do Hiszpanii. Alberoni nawiązał tam przyjazne stosunki z metresą Filipa V, panią Orsini; kiedy w roku 1712 pan de Vendome zmarł w Tignaros, pani de Vendome zaofiarowała mu wszystkie godności, jakie piastował przy nieboszczyku: Alberoni wciąż awansował. Od wyjazdu do Hiszpanii powodziło mu się zresztą coraz lepiej.

Księżna Orsini, ponieważ zaczynała się starzeć - niewybaczalna to zbrodnia w oczach Filipa V - postanowiła zastąpić zmarłą królową Marię Luizę Sabaudzką, przez młodą kobietę, za której pośrednictwem nadal wodziłaby króla za nos. Alberoni doradził tedy księżnie córkę swojego dawnego pana, Elżbietę Farnese, księżniczkę Parmy, przedstawivszy ją jako dziewczynę bez charakteru i bez woli, nie żądającą niczego prócz splendorów. Pani Orsini uwierzyła tym zapewnieniom, mariaż królewski został uzgodniony i młoda księżniczka wyruszyła z Włoch do Hiszpanii.

Pierwszym posunięciem, jakim dowiodła swego autorytetu, był nakaz aresztowania księżnej Orsini, która powitała ją w stroju dwórki. Księżnę, tak jak stała, bez płaszcza mimo dziesięciostopniowego mrozu, w głęboko wydekoltowanej sukni, wsadzono do karety, w której jeden ze strażników stłukł niechcący szybę, i wyekspediowano do Burgos, potem do Francji.

Nie dotarłaby tam jednak, gdyby nie pięćdziesiąt pistoli, które pożyczyła od swojej służby. Stangret odmroził sobie rękę aż po łokieć, obcięto mu ją zatem.

Po rozmowie z Elżbietą Farnese król hiszpański oznajmił Alberoniemu, że mianuje go pierwszym ministrem.

W tym dniu dzięki młodej królowej, która z kolei jemu zawdzięczała wszystko, eksogrodnik zdobył nieograniczoną władzę nad Filipem V.

Posłuchajcie teraz, o czym marzył Alberoni, który, jakżeśmy wspomnieli, wstrzymywał wciąż Filipa V od uznania pokoju w Utrechcie. Gdyby spisek się udał, to znaczyłoby dla d'Harmentalowi udało się porwać diuka Orleańskiego i osadzić go w cytadeli toledańskiej albo w twierdzy w Saragossie, Alberoni wprowadziłby diuka du Maine do rządów jako regenta, wyłączyłby Francję z czwórprzymierza, posłałby kawalera de Saint-Georges i flotę ku brzegom Anglii i zmusiłby Prusy, Szwecję i Rosję, z którymi zawarł alians, do wojny z Holandią. Cesarstwo, korzystając z tego zbrojnego starcia, odebrałoby Sycylię i Neapol, zapewniłoby młodemu synowi króla hiszpańskiego wielkie księstwo Toskanii, gdzie lada dzień mógł wygasnąć ród Medyceuszów, przyłączyłoby Niderlandy katolickie do Francji, Sardynię dałoby diukom Sabaudzkim, Comaschio - papieżowi, Mantuę - Wenecjanom; stałoby się duszą wielkiej ligi krajów południowych przeciw północnym, a w razie śmierci Ludwika XV uczyniłoby z Filipa V władcę połowy świata.

Nieźle kalkulacje, przyznacie, jak na specjalistę od makaronu.

VIII. Nasz znajomy pasza

Wszystko to było w rękach dwudziestosześcioletka: nic więc dziwnego, że zrazu przeraził się nieco ciężką na nim odpowiedzialnością. W momencie najgłębszych rozmyślań wszedł ksiądz Brigaud. Zajął się był już przyszłym mieszkaniem kawalera, wynalazłszy mu pod numerem 5 przy ulicy du Temps-Perdu, między ulicami du Gros-Chenet i Montmartre, pokój umeblowany, odpowiedni dla ubogiego prowincjusza, który zjawiał się, by szukać szczęścia w Paryżu. Przyniósł mu też dwa tysiące pistoletów od księcia Cellamare. D'Harmental nierad je przyjął, wydawało mu się bowiem, że wzięwszy pieniądze zacznie działać nie według nakazu sumienia lub wierności i uzależni się od żołdu stronnictwa; ale ksiądz Brigaud wytłumaczył, że w podobnym przedsięwzięciu wypadnie mu nieraz opłacać ludzi nadwrażliwych, kupować współników, a ponadto, jeśli rzecz się powiedzie, będzie musiał natychmiast wyruszyć do Hiszpanii, torując sobie zapewne drogę złotem.

Odzież kawalera Brigaud zabrał na miarę, aby kupić dlań ubranie skromne, jakie winien nosić młodzieniec zabiegający o posadkę w którymś z ministeriów. Nieocenionym człowiekiem był ten ksiądz Brigaud!

D'Harmental poświęcił cały dzień na przygotowania do przyszłej podróży, nie pozostawiając ani jednego listu, który w razie złego obrotu sprawy mógłby skompromitować przyjaciół, a gdy noc zapadła, podążył na ulicę Saint-Honore, aby tam u znanej mu ze słyszenia Normandki zasięgnąć języka o kapitanie Roquefinette.

Albowiem gdy tylko wspomniano d'Harmentalowi, że w przedsięwzięciu potrzebny mu będzie zastępca, człek zaufany, kawaler pomyślał o napotkanym przypadkowo kapitanie, który jako sekundant dowiódł swej brawurowej odwagi. Wystarczył istotnie jeden rzut oka, by rozpoznać w nim jednego z owych poszukiwaczy przygód - nielicznych potomków średniowiecznych kondotierów, zawsze gotowych sprzedać swoją krew każdemu, kto ich skusi wysoką zapłatą; ludzie ci, wyrzuceni na bruk w czasach pokoju, oddają swoją szablę, bezużyteczną państwu, na usługi prywatnych osób. Człowiek taki utrzymuje zazwyczaj ciemne i podejrzanе stosunki z bezimiennymi indywiduami, jakich się zwykle spotyka na dnie każdego spisku; maszyny puszczane w ruch, maszyny nieświadome nawet tego, jaka kieruje nimi sprężyna i jakiemu służą celowi; bez względu na sukces czy porażkę spisku rozpraszają się w

ogólnym zamięcie, jaki towarzyszy podobnym wydarzeniom, i ku naszemu niepomiernemu zdumieniu nikną w otchłaniach motłochu, niczym fantomy znikające po spektaklu w zapadniach dobrze urządzonego teatru.

Kapitan Roquefinette był więc nieodzowny dla projektów d'Harmentalą, a że każdy, kto przystępuje do spisku, staje się przesądny, nasz kawaler zaczynał już wierzyć, iż to sam Bóg przywiódł go tu za rękę.

D'Harmental był znany Filonce, nie będąc jej stałym klientem. Upijać się czasem u tej kobiety należało w tym okresie do dobrego tonu. Nie był jednak ani jej synem, jak nazywała poufale swoich wiernych klientów, ani też kumem, jak nazywała tylko księdza Dubois; był dla niej po prostu panem kawalerem: oznaka szacunku, której wstydziliby się większość ówczesnej młodzieży. Filonka więc zdziwiła się raczej, gdy kawaler wezwał ją i zapytał, czy mógłby pomówić z zatrudnioną u niej panią, zwaną powszechnie Normandką.

- O mój Boże, Wasza Miłość - odrzekła - jestem naprawdę zrozpaczona, że akurat panu, którego pragnęłaby pozyskać dla naszego domu, przytrafia się taka przykreść: niestety, Normandka jest zajęta do jutra wieczór.

- Niechże to lichy! - zachnął się kawaler. - Ale zawziętego ma klienta!

- E, to nie zawziętość - odparła Filonka - ale zachcianka starego przyjaciela, któremu służę jak najgorliwiej.

- Dopóki, oczywiście, ma pieniądze.

- O, tu właśnie pan kawaler się myli. Otworzyłam mu kredyt do pewnej wysokości. Trudno, to słabość z mojej strony, należy jednak okazywać wdzięczność: to on wprowadził mnie w świat, bo, jak mi Bóg miły, panie kawalerze, ja, która mam najlepszych gości z całego Paryża, poczynając od pana regenta, jestem córką biednego tragarza lektyk. Och, jam nie taka, jak większość waszych pięknych księżnych, co zapierają się swojego pochodzenia, albo jak trzy czwarte książąt i parów, którzy fabrykują sobie fałszywe drzewa genealogiczne. To, czym się stałam, zawdzięczam własnym talentom i dumna jestem z tego.

- W takim razie - odparł kawaler, niezbyt w swoim stanie ducha ciekaw dziejów życia Filonki, choćby należały do najbardziej interesujących - jak powiadasz, Normandka będzie tu jutro wieczór?

- Ależ ona tu jest, panie kawalerze, tylko, jak powiedziałam, wyprawia akurat brewerie z moim starym rębajłą, kapitanem.

- Słuchaj no, droga prezydentowo - było to przezwisko nadawane niekiedy Filonce od czasu pewnego nieporozumienia, jakie jej się zdarzyło z prawdziwą prezydentową o tym samym nazwisku - czy twój kapitan nie jest aby moim kapitanem?

- A jak się nazywa pański kapitan?

- Roquefinette.

- Toć to on!

- I jest tutaj?

- We własnej osobie.

- Bo akurat do niego mam sprawę, o Normandkę zaś pytałem, żeby dowiedzieć się adresu kapitana.

- No, więc wszystko w porządku - rzekła Filonka.

- Bądź tak dobra i wywołaj go.

- E, nie zejdzie, choćby wzywał go sam regent. Jeśli chcesz pan się z nim zobaczyć, idź na górę.

- Do którego pokoju?

- Pod dwójkę, tam, gdzie jadłeś pan kolację z baronem de Valef. O, kiedy ma pieniądze, robi się wybredny jak mało kto. To tylko kapitan, ale fantazja u niego generalska.

- Coraz lepiej - mruknął d'Harmental wchodząc po schodach. Wspomnienie przykrew historii, jaka wydarzyła mu się w tym pokoju, nie zdołało odwrócić myśli kawalera od nowego tematu: "Fantazja u niego generalska, moja droga prezydentowo! Tego mi właśnie trzeba".

D'Harmental, nawet nie znając owego pokoju, i tak by się nie pomylił, bo gdy dotarł do półpiętra, głos dzielnego kapitana posłużył mu za przewodnika.

- No, dalej, moje dzierlatki - pokrzykiwał - trzeci i ostatni kuplet i refren razem! - Po czym zaintonował wspaniałym basem:

"Święty Jacku z pierogami,

blągają cię chrześcijanie:

utrapieni nieszczęściami

wciąż dostajem tęgie lanie,
mór i plagi wciąż się mnożą.
Choć nie mogą gorsze losy
przyjść już dla nas,
wznosim głosy,
odwróć od nas karę Bożą.
A pierogi przynieś z sobą,
bo na ziemi taka bieda,
że choć nieba tyś ozdobą,
nikt ci skórki chleba nie da.

Z pięć głosów niewieścich podjęło chórem: “Ze choć nieba tyś ozdobą, nikt ci skórki chleba nie da”.

- Teraz lepiej - powiedział kapitan - teraz lepiej. Zaśpiewajmy więc o bitwie pod Malplaquet.

- Jeszcze czego! - rozległ się głos kobiety. - Dość już mam tej twojej bitwy!

- Co? Dość masz mojej bitwy! Bitwy, w której walczyłem osobiście! Niech cię diabli...!

- A mnie co do twoich bitew? Wolę romancę niż te wszystkie twoje paskudne piosenki żołnierskie, pełne bluźnierstw, co obrażają Pana Boga. - I zanuciła: “Jaś kochał się w Kasi, przebóg; zapomnieć o niej nie mógł”...

- Cicho bądź - ozwał się kapitan. - Ja tu rządę czy ty? Póki są pieniądze, macie się bawić tak, jak lubię. Kiedy wydam ostatni grosz, sprawa się zmieni: będziecie mi wyśpiewywać wasze androny, a ja nie będę miał nic do gadania.

Współbiesiadniczki kapitana uznały, jak się zdaje, że nie byłoby godne ich płci podporządkować się ślepo podobnym nakazom, podniosła się bowiem taka wrzawa, iż d'Harmental uznał za stosowne położyć temu kres: zastukał więc do drzwi.

- Sezamie otwórz się, choć żeś otwarty! - zawołał kapitan.

Istotnie wbrew wszelkim spodziewaniom klucz w zamku nie był przekręcony; d'Harmental posłuszny tej instrukcji, udzielonej w języku bajek, otworzył drzwi i znalazł się

naprzeciw kapitana, który leżał na dywanie wsparty o poduszki. Miał przed sobą resztki obfitego obiadu, w ustach trzymał ogromną faję, obrus owinięty wokół głowy tworzył coś na kształt turbanu. Otaczało go kilka dziewcząt. Na fotelu leżał surdut, uświetniony nową wstążką, kapelusz pyszniący się nowym galonem i słynny szpikulec, który natchnął Ravanne'a do żartobliwego porównania z głównym rożnem w kuchni jego czcigodnej matki.

- Patrzcie państwo, to ty, panie kawalerze! - wykrzyknął kapitan. - Zastajesz mnie, niczym pana de Bonneval, w haremie wśród odalisek. Znałyście pana de Bonneval, moje panienki? To pasza, zuch jakich mało, i zarazem mój przyjaciel, który podobnie jak ja nie cierpiał romanc, ale żyć potrafił niezgorzej. Tylko niech mnie Bóg strzeże przed takim końcem, jaki go spotkał. O to jedno Go proszę.

- Tak, to ja, kapitanie - rzekł d'Harmental parsknąwszy śmiechem na widok tej komicznej grupy. - Jak widzę, nie dałeś mi fałszywego adresu, prawdomówny jesteś, gratuluję.

- Witaj, miły panie kawalerze - powiedział kapitan. - Moje panienki, obsłużcie proszę, naszego gościa tak, jak pod każdym względem mnie traktujecie, i śpiewajcie mu takie piosenki, jakich zapragnie. Siadajże, panie kawalerze, jedz i pij, jakbyś był u siebie, boć przepijamy i przejadamy twojego konia. Mamy już w brzuchu połowę biednej bestii, ale to, co pozostało, i tak jest dobre.

- Dziękuję, kapitanie. Jestem już po obiedzie i chciałbym z tobą zamienić kilka słów, jeśli pozwolisz.

- Nie, do kroćset, nie pozwolę, chyba że znów chodzi o pojedynek. Bo pojedynek jest ważniejszy od wszystkiego! Jeśli znów pojedynek, bardzo proszę! Normandko, daj mi mój Szpikulec!

- Nie. Przyszedłem do kapitana z interesem.

- Skoro z interesem, sługa uniżony, panie kawalerze! Gorszy ze mnie tyran niż władca Teb czy Koryntu, Archias, Pelopidas czy tam Leonidas, mniejsza z tym, jakiś na as, który zawsze odkładał interesy do jutra. Starczy mi pieniędzy do jutrzejszego wieczoru. A więc zaczynam załatwiać poważne sprawy pojutrze rano.

- Ale pojutrze rano mogę na pana liczyć, nieprawdaż?

- Jakem Roquefinette, panie kawalerze.

- Zdaje mi się nawet, że zwłoka ta będzie roztropna.
- Jak najroztropniejsza - potwierdził kapitan. - Atenais, fajka mi zgasła.
- Zobaczymy się więc pojutrze.
- Pojutrze. Tylko gdzie spotkam pana?

- Na ulicy du Temps-Perdu, między dziesiątą a jedenastą z rana. Będzie się pan tam przechadzał, od czasu do czasu zadzierając głowę do góry. Ktoś cię zawoła.

- A zatem umowa stoi, panie kawalerze, między dziesiątą a jedenastą. Wybacz, że nie odprowadzam cię do drzwi, ale to nie jest u Turków we zwyczaju.

D'Harmental skinął mu dłonią, zwalniając go tym samym od tej grzeczności, i zamknąwszy drzwi jął schodzić w dół. Nie był nawet jeszcze na czwartym stopniu, kiedy kapitan, wierny swoim pierwotnym zamysłom, jął wyśpiewywać na całe gardło słynną piosenkę o dragonach z Malplaquet, za której sprawą polało się w pojedynkach tyle krwi, co na polu owej bitwy.

IX. Mansarda

Nazajutrz ksiądz Brigaud odwiedził d'Harmentala o tej samej godzinie, co w przeddzień. Był to człek doskonale punktualny. Przyniósł kawalerowi rzeczy nader użyteczne: odzież, paszport i raport policji księcia Cellamare, dotyczący rozkładu zajęć pana regenta w owym dniu, czyli 24 marca 1718 roku.

Odzież była skromna, taka, jaka przystoi młodemu prowincjuszowi z dobrej rodziny, który przyjechał szukać szczęścia w Paryżu. Kawaler przymierzył ubranie, dzięki zaś wdziękowi i pięknej posturze młodziana okazało się, że strój choć skromny, prezentuje się na nim doskonale. Ksiądz Brigaud pokiwał głową: wolałby, żeby d'Harmental nie był aż tak urodziwy; było to jednak nieszczęście nie do naprawienia; musiał się z tym pogodzić.

Paszport opiewał na nazwisko senora Diego, intendenta szlachtetnej rodziny Oropesa, któremu poruczono przywieźć do Hiszpanii bastarda rzeczzonego rodu, szaleńca - maniaka, głoszącego, że jest regentem Francji. Jak widzimy, fortel ów miał unicestwić wszelkie protesty i okrzyki, jakie diuk Orleański mógł wydawać w głębi karocy. A że paszport był wystawiony wedle obowiązujących przepisów i sygnowany przez księcia Cellamare, opatrzony ponadto wiza imć pana Voyer d'Argenson, nie było żadnej racji, by regent, raz uwięziony w kolasie, nie dotarł bez przeszkód do samej Pampeluny, gdzie zdecydowałyby się jego losy. Zwłaszcza podpis imć pana Voyer d'Argenson był podrobiony ze sztuką, która przynosiła wielki zaszczyt nadwornym kaligrafom księcia Cellamare.

Raport był arcydziełem jasności i akuratności. Przytaczamy go tutaj dosłownie, abyście mogli sobie wyobrazić, jaki tryb życia prowadził pan regent i jak była zorganizowana policja ambasadora Hiszpanii. Wynikało z daty, że raport ów powstał o drugiej w nocy:

“Dziś pan regent późno wstanie: w gabinecikach odbyła się kolacja. Uczestniczyła w niej po raz pierwszy pani d'Averne, zastępując panią de Parabere. Z innych dam była diuszesa de Falaris i diuszesa Saleri, obie z fraucymeru Madame. Z panów: markiz de Broglie, hrabia de Noce, markiz de Canillac, diuk de Brancas i kawaler de Simiane. Nieobecni byli: markiz de La Fare i pan de Fargy, obaj zatrzymani w łóżku niedyspozycją o nie znanych nam przyczynach.

W południe odbędzie się rada. Regent ma na niej przedstawić diukowi du Maine, księciu de Conti, diukowi de Saint-Simon, diukowi de Guiche etc. projekt czwórprzymierza, który przesłał mu ksiądz Dubois, zapowiadając swój powrót w najbliższych dniach.

Przez resztę dnia pan regent będzie się poświęcał obowiązkom ojca. Przedwczoraj pan regent wydał za żonę córkę, którą spłodził był z panną Desmarets, a która wychowywała się u zakonnicy w Saint-Denis. Zje ona obiad w towarzystwie męża w Palais-Royal, po obiedzie zaś pan regent zawiezie ją do Opery, do loży księżnej Charlotty Bawarskiej. Pannę Desmarets, która nie widziała swojej córki od lat sześciu, urzędzono, iż jeśli chce się z nią zobaczyć, może przyjść do Opery.

Pan regent, chociaż ma feblika do pani d'Averne, zaleca się nadal do markizy de Sabran. Pani markiza poczytuje sobie nadal za punkt honoru dochowywać wierności nie mężowi jednak, lecz diukowi de Richelieu. Regent, dbały o dobro interesów, mianował wczoraj pana de Sabran swoim ochmistrem."

- Wydaje mi się, że to praca dobrze napisana - zauważył ksiądz Brigaud, gdy kawaler skończył czytać ów raport.

- Na honor, drogi księżo - odrzekł kawaler - jeśli jednak regent nie zechce nam na przyszłość dostarczyć lepszych okazji, by powiodło się nasze przedsięwzięcie, nie będzie mi łatwo porwać go do Hiszpanii.

- Cierpliwości, cierpliwości - powiedział Brigaud - na wszystko przyjdzie czas. Kto wie, czy dziś jeszcze regent nie zaofiaruje nam sposobności, której przypuszczalnie nie zdoła pan wykorzystać.

- Niestety, ma ksiądz rację.

- A więc, jak pan widzi, cokolwiek Bóg czyni, czyni dobrze. Darował nam dzień dzisiejszy, wykorzystajmy go na przeprowadzkę.

Przeprowadzka nie była ani długa, ani trudna: d'Harmental zabrał swój skarb: kilka książek i tłumok z odzieżą, siadł do karety, kazał się zawieźć do księdza i odesłał swoją karete pozorując wyjazd wieczorem na wieś, gdzie spędzi ze dwa tygodnie - nie należy więc niepokoić się o niego; po czym zrzuciwszy elegancki strój i włożywszy ten, który pasował do roli, jaką miał odegrać, udał się z księdzem Brigaud do nowego mieszkania.

Był to pokój, a raczej mansarda z alkową na czwartym piętrze, w domu numer 5 przy ulicy du Temps-Perdu - dziś jest to ulica Saint-Joseph. Właścicielka domu była znajomą księdza Brigaud; dzięki jego rekomendacji poczyniono więc dla młodego prowincjusza kilka nadzwyczajnych wydatków: zastał firanki nieskazitelnej białości, bieliznę cienką jak rzadko, coś na kształt szafy bibliotecznej, tak bogato wyposażonej, iż przekonał się na pierwszy rzut oka, że jeśli nie będzie tu równie wygodnie, jak w mieszkaniu przy ulicy de Richelieu, będzie mu przynajmniej znośnie.

Pani Denis, tak się bowiem nazywała przyjaciółka księdza Brigaud, oczekiwała przyszłego lokatora, żeby powitać go w jego pokoju; wymieniła wszelkie zalety lokum, zapewniając, że gdyby nie ciężkie czasy, nie wynajęłaby go nawet za podwójną cenę; oświadczyła, że jej dom ma w dzielnicy wyjątkowo dobrą opinię; przyrzekła, że żadne hałasy nie będą mu przeszkadzać w pracy, zaznaczając, iż ulica jest nazbyt wąska, by mogły minąć się na niej dwa pojazdy - stangreci więc zapuszczają się tu rzadko; na to wszystko kawaler odpowiedział w słowach tak skromnych, iż pani Denis zszedłszy na pierwsze piętro, gdzie mieszkała, zaleciła dozorczy i jego żonie jak największe względy dla nowego lokatora.

Młodzieniec ów, aczkolwiek mógł z pewnością rywalizować elegancją i postawą z najdumniejszymi spośród dworskiej szlachty, nie zachowywał się w obecności tej kobiety ani lekceważąco, ani zuchwale. Każdy bowiem z paniczyków owej epoki uważał, iż przesadne stosowanie podobnych manier należy do dobrego tonu. Nie bez znaczenia było także to, że ksiądz Brigaud zapłacił za kwartał z góry w imieniu rodziny swojego pupila.

Ksiądz, zszedłszy po chwili do pani Denis, umocnił ją ostatecznie w korzystnej opinii o swoim protegowanym, który, jak powiedział, nie będzie przyjmował nikogo prócz niego i starego przyjaciela swojego ojca. Ów przyjaciel, choć wojaczka wyrobiła w nim niejaką szorstkość, jest człowiekiem nad wyraz godnym szacunku. D'Harmental uznał za wskazane powziąć ową ostrożność, aby wizyta kapitana nie spłoszyła zbyt pocziwej pani Denis, gdyby spotkali się przypadkiem.

Kiedy d'Harmental został sam, obejrzał dokładnie pokój, następnie dla rozrywki postanowił rozejrzeć się po sąsiedztwie. Otworzył więc okno i zaczął przypatrywać się bacznie wszystkiemu, co tylko zdołał wzrokiem ogarnąć.

Najpierw mógł się przekonać o prawdziwości słów pani Denis na temat ulicy: miała zaledwie dziesięć do dwunastu łokci szerokości, a patrzącemu z góry d'Harmentalowi wydawała się jeszcze węższa; ta ciasnota, którą inny lokator z pewnością uważałby za wadę, kawaler uznał za zaletę, obliczył bowiem, że gdyby go ścigano, mógłby przerzucić ze swojego okna deskę na parapet okna domu po drugiej stronie uliczki. Było więc rzeczą ważną nawiązać, na wszelki wypadek, dobre stosunki z sąsiadami z przeciwka.

Niestety, sąsiad bądź sąsiadka z przeciwka nie byli usposobieni towarzysko; okno pozostawało szczelnie zamknięte, co zresztą nie wydawało się dziwne o tej porze roku, ale nawet w muślinowych zazdrostkach na szybach nie znalazłbyś najmniejszej szpareczki, którą można by zajrzeć do wnętrza. Drugie okno, tego samego, jak się zdaje, pokoju, było równie starannie zasłonięte.

Kamieniczka naprzeciw domu pani Denis, bogatsza, miała piąte piętro, a raczej taras. Na taras ten wychodziło okno najwyższego z mansardowych pokoi, dokładnie nad oknem tak szczelnie zamkniętym: była to według wszelkiego prawdopodobieństwa siedziba jakiegoś niepośledniego agronoma, bo pracowity i cierpliwy właściciel zdołał, nie szczędząc czasu, przeobrazić ów taras w ogródek, który na przestrzeni najwyższej piętnastu łokci kwadratowych pysznił się fontanną, grotą i altanką. Fontanna, co prawda, działała tylko dzięki umieszczonemu nad nią rezerwuarowi, zasilanemu w zimie deszczówką, latem zaś trzeba było napełnić go wodą; grotka natomiast, przystrojona muszelkami i mająca drewniany pawilonik na szczycie, służyła niechybnie za schronienie dla indywiduum psiej nacji; i wreszcie altanka, wskutek zimowych chłódów całkiem ogołocona z liści, stanowiących jej główny powab, przypominała na razie olbrzymi kurnik.

D'Harmental zachwycił się tą niespożytą industrią paryskiego mieszczucha, który na krawędzi okna potrafi urządzić sobie wieś, a skrawek dachu lub rynnę zamienić w ogród. I szeptem wypowiedział słynny wers Wergiliusza: "O fortunatos minimum!" - "O, nadtoż szczęśliwi!", że jednak wiatr był dość zimny, on zaś nie mógł zobaczyć nic więcej prócz dość monotonnej panoramy dachów, kominów i kurków, zamknął okno, zdjął ubranie, włożył robdeszan, nazbyt zresztą jak na obecną sytuację wytworny, usiadł w dość wygodnym fotelu, wsparł nogi o żelazne wilki kominka, sięgnął po dziełko księdza de Chaulieu i dla rozrywki jął

czytać poematy poświęcone pannie de Launay; wiersze te, o których wspomniał mu markiz de Pompadour, nabrały dlań teraz, kiedy poznał ich bohaterkę, nowych interesujących aspektów.

W rezultacie tej lektury, rozczulony miłością poczciwego osiemdziesięciolatka, spostrzegł, iż jest może bardziej niż autor nieszczęśliwy, bo ma w sercu zupełną pustkę. Młodości, odwadze, inteligencji, dumie i skłonemu do ryzyka usposobieniu zawdzięczał mnóstwo wspaniałych przygód miłosnych; lecz zawsze odwzajemniał się jedynie tym, co mu ofiarowano: więzią ulotną za więź ulotną. Zdawało mu się przez pewien czas, że kocha panią d'Saverne i że ona go kocha; ale jeśli chodzi o tę piękną wietrznicę, owa wielka miłość nie wytrzymała próby, którą stanowiły klejnoty, koszt kwiatów i niewieścia próżność polechtana względami regenta. D'Sharmental wyobrażał sobie, że niewierność kochanki pograży go w desperacji, zdradziła go bowiem, na co miał już dowód; stanął do pojedynku, bo w tych czasach pojedynkowano się o byle drobiazg, pewnie dlatego, że pojedynki były tak surowo zabronione, i wówczas spostrzegł, jak niewiele miejsca zajmowała w jego sercu tak wielka miłość, której rzekomo oddał się bez reszty. Przyznać trzeba, że wypadki ostatnich kilku dni skierowały jego myśli ku innym torom, lecz kawaler nie taił przed sobą, że czułby się zupełnie inaczej, gdyby kochał prawdziwie. Głęboka rozpacz nie pozwoliłaby mu szukać rozrywki na maskaradzie, a gdyby na bal nie poszedł, nie wziąłby udziału w żadnym z tych tak szybko po sobie następujących i tak niespodziewanych wydarzeń. W rezultacie kawaler powziął mniemanie, że jest zgoła niezdolny do wielkiego uczucia i że pisane mu tylko uwodzić urocze łotrzyce, które w tej epoce przyczyniały się do sławy młodych szlachciców. Wstał więc, pokręcił się po pokoju z miną zdobywcy i wzdychając pomyślał, że na długo będzie musiał wyrzec się nowych podbojów. Po czym z wolna zawrócił od lustra ku fotelowi.

Wtedy to zauważył, że okno naprzeciw, przed godziną jeszcze tak szczelnie zawieszane, jest otwarte na roścież. Przystanął machinalnie, uchylił firanki i spenetrował wzrokiem mieszkanie, które teraz pozwolono mu obserwować.

Był to pokój zajmowany najpewniej przez kobietę. Pod oknem, na którego parapecie wsparła smukłe łapki śliczna, płowa charciczka, wyglądająca ciekawie na ulicę, stała rama do haftu. W głębi, naprzeciw okna, widoczny był otwarty szpinet obok dwóch fisharmonii. Na ścianach oklejonych kwiecistą tapetą wisiały pastele w czarnych drewnianych ramach z

cieniutkim złotym obrzeżeniem, a perkalowe firanki, w ten sam deseń co tapeta, opadały za muślinowymi zazdrostkami, dokładnie przylegającymi do szyb. Przez drugie uchylone okno dostrzec można było kotarę alkowy, w której chyba kryło się łóżko; reszta umeblowania była nadzwyczaj prosta, lecz i wdzięcznie dobrana: nie świadczyło to o zamożności, lecz o wybornym smaku skromnej mieszkanek tych izdebek.

Stara kobieta krzątała się tam zamiatając i ścierając kurze; dla robienia porządków wykorzystywała zapewne nieobecność pani domu, bo choć tylko ją widać było w pokoju, nie ulegało wątpliwości, iż nie ona tu mieszka.

Nagle pyszczek charciczki, która wielkimi oczyma, z arystokratyczną nonszalancją właściwą tej rasie, rozglądała się dotychczas na wszystkie strony, ożywił się jakby; pochyliła się, wyrzała na ulicę, po czym z cudowną zręcznością i gracją wskoczyła na parapet, siadła i nastawiwszy uszka wysunęła łapkę do przodu. Kawaler domyślił się z tych znaków, że nadchodzi właścicielka izdebki, i otworzył swoje okno. Na nieszczęście za późno, ulica była już pusta. Charciczka zeskoczyła z parapetu i pobiegła ku drzwiom. D'Harmental wniósł, że owa dama jest już na schodach, aby więc obejrzeć ją tym łacniej, cofnął się i schował za firankę; ale stara kobieta w tejże chwili zamknęła okno. Kawaler, nie spodziewając się takiego obrotu rzeczy, doznał rozczarowania; zamknął okno i znów usiadł przy kominku, by grzać nogi.

Nie była to sytuacja zbyt zabawna i wtedy dopiero d'Harmental, tak udzielający się w towarzystwie i tak zazwyczaj pochłonięty wszelkimi drobiazgami, które dla światowca stają się treścią życia, pojął, jak bardzo będzie się czuł osamotniony, jeśli przeciągnie się jego pobyt w tej pustelni. Przypomniawszy sobie, że i on dawniej grał na szpinecie i rysował, wydało mu się więc, że gdyby miał ten instrument i trochę pastelów, czas nie dłużyłby mu się tak bardzo. Zadzwoił na stróża, żeby go spytać, skąd można by sprowadzić te przedmioty. Stróż odpowiedział, że za wszelkie dodatki do umeblowania koszt ponosi oczywiście najemca, a skoro potrzebny mu szpinet, niech go po prostu wypożyczy; co zaś do pastelów, można je kupić w sklepie z papierem i farbami na skrzyżowaniu ulic Clery i Gros-Chenet. D'Harmental dał stróżowi talara żądając, by w pół godziny dostarczył mu szpinet i wszelkie przybory do rysunków. Talar okazał się argumentem, którego skuteczności kawaler doświadczył nie po raz

pierwszy. Pomyślał jednak, iż tym razem użył go z lekkomyślnością, która mogłaby rzucić cień podejrzenia na jego obecną sytuację, zatrzymał więc odchodzącego stróża i dodał, że za swojego talara życzy sobie mieć nie tylko papier i pastele, lecz i szpinet wypożyczony na miesiąc. Stróż odpowiedział, że ostatecznie, skoro i tak będzie się targował jak we własnym interesie, rzecz jest możliwa, ale kawaler będzie musiał sam opłacić transport. D'Harmental wyraził zgodę. Po pół godzinie był już w posiadaniu owych przedmiotów, Paryż bowiem dokonuje istnych cudów pod batutą każdego czarodzieja ze złotą pałeczką.

Stróż zszedłszy na dół oświadczył żonie, że jeśli młodzieniec z czwartego piętra nie będzie bardziej liczyć się z wydatkami, to niechybnie zrujnuje swoją rodzinę; pokazał jej dwie złote sześćciofrankówki, zaoszczędzone na dublonie kawalera. Stróżka odebrała mężowi dukaty i wymyślając mu od pijaków wsunęła je w skórzaną sakiewkę, ukrytą w stercie starych łąchów. I zapłakała przy tym rzewnie z litości nad rodzicami, którzy oddają swą krwawicę podobnym hultajom. Była to mowa żałobna nad złotym dublonem d'Harmentalą.

X. Ogrodnik z ulicy du Temps-Perdu

D'Harmental zasiadł przy klawesynie i brzdąkał zrazu nieporadnie; handlarz instrumentów, powodowany wręcz niezwykłą sumiennością, przysłał mu klawesyn dobrze nastrojony, toteż kawaler zorientowawszy się, że nieźle sobie radzi, zaczął wierzyć, iż jest genialnym muzykiem, któremu dotychczas brakowało jedynie sposobności, by swój talent rozwinąć. Było w tym zapewne ziarenko prawdy, bo wśród najbardziej olśniewających tryłów dostrzegł, jak po drugiej stronie ulicy pięć delikatnych paluszków unosi dyskretnie firankę; najwyraźniej ktoś chciał zobaczyć, skąd płynie ta nieoczekiwana melodia. Niestety na widok owych paluszków kawaler zapomniał o muzyce i obrócił się szybko na taborecie w nadziei, że za ręką ukaże się twarzyczka. Ten źle obliczony manewr zgubił go. Mieszkanka izdebki, przyłapana na gorącym uczynku, opuściła firankę. D'Harmental, urażony ową pruderią, zamknął okno i już do wieczora dąsał się na sąsiadkę.

Popołudnie upłynęło mu na rysowaniu, lekturze i grze na klawesynie. Nigdy dotychczas kawaler nie zdawał sobie sprawy, że godzina składa się z tylu minut, a dzień z tylu godzin. O dziesiątej zadzwonił na stróża, aby wydać mu zlecenia na dzień następny. Ale stróż nie zjawił się: spał już od dawna. Pani Denis mówiła prawdę: jej dom był domem przyzwoitym. D'Harmental dowiedział się więc, że są na świecie ludzie, przywykli kłaść się do łóżka wtedy, gdy on zwykł był wsiadać do karocy rozpoczynając składanie wizyt. Dało mu to temat do poważnych rozmyślań nad swoistymi obyczajami tej upośledzonej warstwy ludności, która nie znała ani Opery, ani kolacyjek, czuwała w dzień i spała w nocy. Pomyślał, że trzeba dopiero znaleźć się na ulicy du Temps-Perdu, żeby zobaczyć coś podobnego. Obiecał sobie, że rozweseli przyjaciół, gdy im opowie o tych dziwactwach.

A jednak coś sprawiło mu przyjemność: sąsiadka z naprzeciwka nie spała, tak jak i on; świadczyło to, iż przewyższa umysłem prostaków z ulicy du Temps-Perdu. D'Harmental sądził dotychczas, że czuwanie nocą jest spowodowane bezsennością albo ochotą do zabawy. Zapomniał o tych, których zmusza do tego konieczność.

O północy światło naprzeciwko zgasło, więc i d'Harmental zdecydował się położyć.

Nazajutrz o ósmej zjawił się ksiądz Brigaud; przyniósł d'Harmentalowi drugi raport

tajnej policji księcia Cellamare. Brzmiał on tak oto:

“Trzecia nad ranem.

Z uwagi na dzień wczorajszy, spędzony przykładowie, pan regent kazał się zbudzić o dziewiątej rano.

Zaraz po wstaniu z łóżka przyjmie kilka osób wprzód wyznaczonych.

Od dziesiątej do dwunastej odbędzie się audiencja publiczna.

Od dwunastej do pierwszej pan regent będzie pracował nad sprawami wywiadu z pannami La Vrilliere i Leblanc.

Od pierwszej do drugiej będzie przeglądał listy z panem Torcy.

O wpół do trzeciej pójdzie na posiedzenie Rady Regencyjnej i złoży wizytę królowi.

O trzeciej uda się na ulicę de la Seine do sali gry w piłkę, gdzie z panami Brancas i Canillac będzie trzymał zakład przeciw diukowi de Richelieu, markizowi de Broglie i hrabiemu de Gace.

O szóstej zje kolację w Pałacu Luksemburskim u diuszesa de Berry, gdzie spędzi wieczór.

Stamtąd bez straży powróci do Palais-Royal, chyba że diuszesa de Berry przyda mu eskortę ze swoich ludzi.”

O, do diabła, bez straży, drogi księżu! Co myślisz o tym? - wykrzyknął d'Harmental zabierając się do toalety. - Ślinka do ust księdzu nie napływa?

- Owszem, bez straży, ale z gońcami, z forysiami, ze stangretem i tymi wszystkimi ludźmi, którzy co prawda nie są bardzo bitni, lecz za to bardzo wrzaskliwi. Cierpliwości, cierpliwości, młody przyjacielu! Aż tak ci spieszno zostać grandem hiszpańskim?

- Nie, drogi księżu, ale spieszno mi wyprowadzić się z tej mansardy, gdzie wszystkiego mi brak i gdzie, jak widzisz, muszę robić sam toaletę. Czy myśli ksiądz, że to fraszka kłaść się wieczorem z kurami, a rano ubierać się bez pomocy lokaja?

- Tak, ale za to może pan słuchać muzyki.

- Rzeczywiście! Proszę otworzyć okno, niech widzą, że przyjmuję zacną kompanię. Przyniesie mi to zaszczyt w oczach tych moich muzycznych sąsiadów.

- No, no, no - powiedział ksiądz otwierając okno - przecież to wcale nieźle brzmi!

- Nieźle?! Wprost przeciwnie, brzmi znakomicie; dalibóg, toć to aria z "Armidy"! Niech mnie diabli, jeśli się spodziewałem usłyszeć coś takiego na czwartym piętrze przy ulicy du Temps-Perdu!

- Coś ci powiem, panie kawalerze, bawiąc się we wróżbiarza: jeśli tylko ta śpiewaczka okaże się młodą i ładną, za tydzień będziemy musieli wyciągać cię stąd z takim trudem, jaki zadajemy sobie teraz, by cię tu utrzymać.

- Drogi księżu - odparł d'Harmental potrząsając głową - gdyby twoja policja nie działała gorzej od policji księcia Cellamare, wiedziałbyś, że na długo uleczony z miłości; a oto dowód: nie myśl, że spędzam czas na wzdychaniu; poproszę cię więc, abyś schodząc kazał mi przysłać jakiś pasztet i tuzin butelek przedniego wina. Zdaję się na ciebie, wiem, żeś koneser; a zresztą przysłane przez ciebie będą świadczyć jedynie o atencji opiekuna; kupione przeze mnie będą świadczyć o rozrzutności pupila, mam zaś wobec pani Denis strzec swej reputacji prowincjusza.

- Racja, i nie pytam, po co to wszystko; zdaję się na ciebie.

- Racja, drogi księżu: to dla dobra sprawy.

- Za godzinę będziesz miał pasztet i wino.

- A kiedy księdza znów zobaczę?

- Chyba jutro.

- Więc do jutra.

- Wyrzucasz mnie pan?

- Czekam na kogoś.

- I także dla dobra sprawy?

- Ręczę za to. Niechże księdza Bóg prowadzi!

- A pan tu siedź i nie ulegaj pokusom szatana! Pamiętaj, że przez niewiastę wygnano nas wszystkich z raj. Nie ufaj kobietom...

- Amen! - dokończył d'Harmental kiwając księdzu ręką na pożegnanie.

Istotnie, jak zauważył czcigodny kapłan, d'Harmentalowi było spieszno, by go odprawić. Namętne umiłowanie muzyki, które odkrył w sobie dopiero wczoraj, tak się spotęgowało, iż pragnął, aby nikt mu nie przeszkadzał w delectowaniu się melodią, która

docierała do jego uszu poprzez piekielne, wciąż zamknięte okno sąsiadki; zarówno z akompaniamentu jak ze śpiewu wnosił, że nieznajoma jest nadzwyczaj muzykalną: rękę ma wykształconą, głos miękki, choć donośny, w wysokich rejestrach głęboki, trafiający wprost do serca. Po pasażu więc, nader trudnym i wykonanym bezbłędnie, d'Harmental, porwany entuzjazmem, zaklaskał w dłonie wołając: "Brawo!". Nieszczęściem jednak nieznajomą samotnicę, nienawykłą snadź do tryumfów, ów sukces onieśmielił tak dalece, że szpinet i głos ucichły nagle, i po melodii, którą kawaler powitał tak nieroztropnym aplauzem, nastąpiło milczenie.

Otworzyły się natomiast drzwi pokoju na wyższym piętrze, wychodzące, jakieś już wspomnieli, na taras. Ukazała się w nich najpierw wyciągnięta dłoń, najwidoczniej badająca pogodę. Odpowiedź pogody była według wszelkiego prawdopodobieństwa zadowalająca, gdyż za ręką, niemal bezpośrednio, wysunęła się głowa w perkalowym czepek, obciśniętym na czole perłową wstążką, za głową zaś po chwili wychynął tułów, odziany w coś na kształt robdeszanu, luźnego niczym kaftan i uszytego z tej samej co czepek materii. Nie pozwoliło to jeszcze kawalerowi rozeznąć się całkiem dokładnie, do jakiej płci należy osobistość, która zdawała się uważać zetknięcie z porannym powietrzem za krok nader ryzykowny. W końcu, kiedy bledziutki promyk słońca prześliznął się między chmurami, dodając jak gdyby otuchy lękliwemu właścicielowi tarasu, bo zdecydował się on wreszcie objawić w całej okazałości, d'Harmental zorientował się - po czarnych aksamitnych pluderkach i pstrych pończochach, że aktor, pojawiający się na tej scenie, zalicza się do płci męskiej.

Był to wspomniany już przez nas ogrodnik.

Niepogoda dni ostatnich pozbawiła go zapewne porannej przechadzki i przeszkodziła w zwyczajnych ogrodowych pracach, jał bowiem dreptać po tarasie upatrując, z wyraźnym niepokojem, jakichś szkód, spowodowanych przez wiatr i słotę; obejrzawszy jednak szczegółowo fontannę, grotę i altankę, trzy główne ozdoby, znakomity ogrodnik uradował się i jakby promień słońca zagościł na jego twarzy. Spostrzegł nie tylko, że wszystko jest na swoim miejscu, ale i to, że woda w zbiorniku niemal się przelewa. Uznał zatem, iż może sobie pozwolić na uruchomienie wodotrysku, przyjemność nader zbyt kowną, na którą wzorem króla Ludwika XIV pozwalał sobie tylko w niedzielę. Przekręcił kurek i tygodniowy zapas deszczówki

trysnął majestatycznie na jakichś pięć stóp w górę.

Pocziwiec radował się tak bardzo, że zanucił refren starej pasterskiej piosenki, przy której kołysano d'Harmentala, i powtarzając: "Daj mi, dziecino, daj mi, dziecino, zatańczyć dziś pod leszczyną", podbiegł do okna.

- Batyldo, Batyldo! - zawołał.

Kawaler domyślił się tedy, iż między pokojami na czwartym i na piątym piętrze istnieje połączenie, i że coś łączy również muzykalną nieznajomą i ogrodnika. Pomyślawszy dalej, że z uwagi na skromność, jakiej miał już dowody, muzykalna nieznajoma nie zechce pokazać się na tarasie, jeśli on pozostanie w oknie, zamknął je udając całkowitą obojętność, ale nie zapomniał zrobić w firance małej szparki, przez którą mógłby wszystko widzieć, nie będąc widzianym.

Nie zawiódł się w swych przewidywaniach. Urocza twarz dziewczęca ukazała się po chwili w oknie; że jednak teren okazał się zbyt wilgotny, osóbką ta nie miała odwagi zapuścić się dalej. Charciczka, nie mniej lękliwa niż jej pani, wsparła białe łapki na parapecie okna i potrząsała łebkiem na znak odmowy wobec wszelkich zachęt, jakimi pocziwiec wabił ją tam, gdzie nieznajoma wyjść nie chciała.

Tymczasem pomiędzy dziewczyną i ogrodnikiem zaczął się dialog, trwający kilka minut. D'Harmental mógł więc przyglądać się jej z tym mniejszą dyskrecją, bo przez zamknięte okna nie dochodziły doń żadne dźwięki.

Nieznajoma osiągnęła już ów rozkoszny wiek, kiedy dziecko staje się dziewczyną, na której twarzy i w sercu rozkwita uczucie, wdzięk i uroda. Na pierwszy rzut oka dałbyś jej nie mniej niż lat szesnaście, lecz nie więcej niż osiemnaście. Istniało w niej dziwne pomieszanie dwóch ras: włosy miała złote, cerę matową i łabędzią szyję Angielki, oczy zaś czarne, wargi koralowe, ząbki drobne i olśniewające jak u Hiszpanki. Że zaś nie korzystała z blanszu ani różu, w tych czasach bowiem puder zaczynał dopiero wchodzić w modę - używały go zresztą tylko arystokratki - pleć jej zachwycała niczym nie skażoną świeżością i nic nie przyćmiewało wspaniałego odcienia jej włosów. D'Harmental niemal zamarł w ekstazie. Bo istotnie spotykał dotąd w życiu tylko dwa rodzaje kobiet: kragłe i pulchne chłopki z Nivernais, grubonogie i gruborękie, w krótkich spódnicach i stożkowatych wygiętych kapeluszach - i paryskie

arystokratki, piękne zapewne, ale ową pięknnością przywiędłą wskutek bezsennych nocy, uciech i nieregularnego trybu życia, co upodabnia je do kwiatów, które widują tylko czasem promień słońca, a orzeźwiającym powietrzem ranka i wieczora syca się poprzez szyby cieplarni. Nie znał więc kobiety, należącej, jeśli się tak wyrazić można, do typu pośredniego między przedstawicielką wyższych sfer a wieśniaczką, do typu, który odznacza się elegancją arystokratki i czerstwym zdrowiem chłopki. Toteż, jak się rzekło, d'Harmental wrósł w ziemię i choć dziewczyna dawno już znikła, nie odrywał oczu od okna, w którym ujrzął to urocze zjawisko.

Hałas otwieranych drzwi wyrwał go z ekstazy. Paszтет i wino od księdza Brigaud wkraczały uroczyście na mansardę. Na widok tych prowiantów przypomniał sobie, że ma na razie co innego do roboty niż pogrążanie się w kontemplacji i że w sprawie nader doniosłej wyznaczył schadzkę kapitanowi Roquefinette. Wyciągnąwszy zegarek przekonał się, że jest dziesiąta rano. Była to, jak sobie przypominacie, umówiona godzina. Odprawił więc posłańca, który przyniósł wiktuały, rozkazawszy mu tylko położyć je na stole, i sam zajął się nakryciem, aby nie wciągać stróża w swoje drobne sprawy. Po czym otwarł okno i jął wypatrywać kapitana Roquefinette.

XI. Układ

Zaledwie stanął w oknie, a już dzielny kapitan wynurzył się z ulicy du Gros-Chenet, z nosem wysoko zadartym, ujawszy się pod boki, z marsową i zdecydowaną miną człowieka, który, jak pewien filozof grecki, świadom jest, że nosi ze sobą całe swe mienie. Kapelusz - barometr wskazujący przyjacielom kapitana na utajony stan jego finansów - kapelusz, co w dni zasobne tkwił na ciemieniu właściciela, równo jak piramida na fundamencie, kapelusz ów odzyskał owo cudowne nachylenie, które tak zastanowiło kiedyś barona de Valf i sprawiało, że jeden z trzech rogów dotykał niemal prawego ramienia, róg zaś przeciwległy mógłby czterdzieści lat wcześniej natchnąć Franklina pierwszą myślą o piorunochronie, gdyby Franklin znał kapitana. Przeszedłszy trzecią część ulicy, Roquefinette spojrzał w górę, jak to było umówione, i dostrzegł kawalera. Oczekujący i oczekiwany wymienili znaki, a kapitan wymierzywszy odległość jednym, nader strategicznym rzutem oka, odnalazł drzwi przynależne do okna i przekroczył próg spokojnego domu pani Denis z taką swobodą, jakby wchodził do karczmy. Kawaler natomiast zamknął okno i starannie ściągnął zasłony. Czy dlatego, żeby piękna sąsiadka nie zobaczyła go w towarzystwie kapitana? A może dlatego, żeby nie zobaczył jej kapitan?

Po chwili d'Harmental usłyszał kroki kapitana i szcęk jego szpady objijającej się o poręcz schodów, sławnego Szpikulca. Dotarłszy na trzecie piętro, gdzie światła dochodzącego z dołu nie zasilalo żadne inne światło, kapitan znalazł się w wielkim kłopotcie, nie wiedząc, czy się zatrzymać, czy wędrować wyżej. Zakaszlał zatem w sposób jak najbardziej znaczący, że zaś ten zew nie został zrozumiany, wykrzyknął:

- Do diaska! Chybaś mnie, panie kawalerze, nie ściągnął po to, żebym skręcił kark, otwórz tedy drzwi lub zaśpiewaj, a światło niebios lub twój głos będę miał za przewodnika. Błądzą bowiem niczym Tezeusz w labiryncie.

I kapitan jął wyśpiewywać na całe gardło: "Piękna Ariadno, błagam cię, kłębuszka swego użycz mi, tili, tali, tili, tali".

Kawaler poskoczył do drzwi.

- A niech cię nie znam! - zawołał kapitan wynurzając się z półmroku. - Na drabinie tego

twojego gołębnika ciemno jak w kominie! No, alem się stawił punktualnie, wierny umowie, zawsze na posterunku. Dziesiąta biła na Samaritaine, kiedym przechodził przez Pont-Neuf.

- Tak, jesteś pan człowiekiem słownym, widzę to - rzekł d'Harmental podając mu rękę. - Ale wchodź prędko, moi sąsiedzi nie powinni cię pod żadnym pozorem zauważyć.

- W takich wypadkach milczę jak ryba - odparł kapitan. - A ponadto - dorzucił wskazując pasztet oraz butelki gęsto rozstawione na stole - odgadłeś pan, w jaki sposób najlepiej zamknąć mi gębę.

D'Harmental zaryglował drzwi.

- Ho, ho, to będą jakieś tajemnice? Doskonale! Bo jam do tajemnic stworzony. Prawie zawsze można coś zarobić na ludziach, którzy zaczynają rozmowę od: "Cicho, sza!". Mniejsza z tym. Nie mogłeś pan trafić lepiej zwracając się do swojego uniżonego sługi - ciągnął kapitan i dodał powracając do swoich ulubionych porównań mitologicznych: - Bom jest ni mniej, ni więcej tylko wnukiem Harpokrata, boga milczenia. Więc się nie krępuj.

- To dobrze, kapitanie, bo przyznam się, że mając ci do zakomunikowania rzeczy sporej wagi, poproszę wprzód o dyskrecję.

- Masz ją pan już zapewnioną, panie kawalerze. Kiedym udzielał lekcji małemu Ravanne'owi, popatrywałem kątem oka, jak robisz szpadą: jesteś prawdziwym jej miłośnikiem, a ja lubię ludzi z brawurą. Ponadto, wywdzięczając się za przysługę nie wartą kichnięcia, podarowałeś mi konia wartującego sto ludwików, ja zaś lubię hojnych ludzi. Skoro więc jesteś z dwóch względów takim, jakich lubię, czemuż i ja nie miałbym ci się przypodobać?

- Do rzeczy zatem, kapitanie - powiedział d'Harmental. - Widzę, że rozumiemy się wybornie.

- Mów tedy, panie kawalerze, słucham cię - odrzekł kapitan tonem jak najbardziej serio.

- Wysłuchasz mnie lepiej na siedząco, drogi gościu. Siadajmy do stołu i bierzmy się do śniadania.

- Mówisz, panie kawalerze, jak sam święty Jan Złotousty - odparł kapitan i odpiąwszy szpadę położył ją obok kapelusza na szpinecie. - Toteż - podjął lokując się naprzeciw d'Harmentalowi - nie sposób nie podzielać twojego zdania. Stawiłem się, podaj plan manewru, a ja go wykonam.

- Skosztuj pan tego wina; ja zajmę się pasztetem.

- Słusznie - przytaknął kapitan - podzielmy nasze siły, niech każdy z osobna uderzy na wroga, a potem połączymy się, żeby wyciąć go w pień.

I łącząc praktykę z teorią kapitan chwycił za szyjkę pierwszą butelkę z brzegu, wybił korek i nalawszy z bulgotem pełną szklanekę wychylił ją z taką wprawą, iż pomyślałbyś, że natura obdarzyła go całkiem osobistą zdolnością łykania. Ale też trzeba oddać mu sprawiedliwość, że ledwie przełknął wino, połapał się, iż likfor, tak bezceremonialnie wlany do brzucha, wymaga jednak bardziej wzmożonego stopnia uwagi.

- Ho, ho! - powiedział i mlasnąwszy odstawił powoli szklanicę, pełen najwyższego szacunku. - Bo cóż ja wyprawiam, niegodny! Piję nektar, jakby to był sikacz, i to już na wstępie śniadania! Aha - ciągnął nalewając sobie znów z tejże butelki i potrząsając głową - starzejesz się, Roquefinette, mój przyjacielu. Dziesięć lat temu po pierwszej kropli, która by musnęła twoje podniebienie, zorientowałbyś się, z czym masz okoliczność, a teraz musisz pokosztować kilka razy, żeby się przekonać, co rzecz warta. Twoje zdrowie, panie kawalerze!

Tym razem kapitan, okazując większą przezorność, wypił drugą szklanekę powoli, dzieląc ją na trzy hausty i mrugając oczyma na znak ukontentowania.

- To słynny rocznik 1702 - rzekł, gdy wypił - rok bitwy pod Friedlinden! Jeśli twój dostawca ma tego więcej i daje na kredyt, zdradź mi jego adres: mogę mu obiecać dobrego klienta!

- Kapitanie - powiedział kawaler zsuwając potężny kawał pasztetu na talerz gościa - mój dostawca nie tylko udziela kredytu, lecz moim przyjaciółom daje za darmo.

- O, to grzeczny człowiek! - stwierdził z przekonaniem kapitan. I po chwili milczenia, kiedy powierzchowny obserwator mógłby pomyśleć, iż Roquefinette rozsmakowuje się w pasztecie, jak rozsmakowywał się w winie, wsparł łokcie na stole i spoglądając chytrze i kpiąco na d'Harmentala powiedział między jednym kęsem a drugim:

- Spiskujemy zatem, drogi panie kawalerze, do pełnego zaś sukcesu potrzeba nam, jak się zdaje, pomocy biednego kapitana Roquefinette, nieprawdaż?

- Któż to naopowiadał kapitanowi takich rzeczy? - przerwał mu, drgnąwszy d'Harmental.

- Kto mi naopowiadał? Do kroćset, strasznie mi trudna szarada! Ktoś, kto robi komuś prezent z konia za sto ludwików, pija na co dzień wino po talarze za butelkę i mieszka na mansardzie przy takiej ulicy, czymże, u diaska, miałby się zajmować, jak nie spiskowaniem?

- A więc kapitanie - roześmiał się d'Harmental - dłużej taić nie będę: możeś i trafił w sedno. Czyżby jednak przerażał cię spisek? - zagadnął nalewając mu wina.

- Mnie by coś przerażało! Któż to twierdzi, że istnieje na świecie coś, czym przeraziłby się kapitan Roquefinette?

- Ujrzawszy cię przecież po raz pierwszy i nie znając cię wcale, już po paru słowach poprosiłem, byś został moim sekundantem.

- Aha, to znaczy, że jak pan zadyndasz na szubienicy, wysokiej na dwadzieścia łokci, mnie dadzą dziesięciolokciową, i basta.

- Niechże cię licha, kapitanie - powiedział d'Harmental, znów mu nalewając. - Gdybyśmy tak jak ty podchodzili do sprawy od najgorszej strony, nic byśmy nigdy nie przedsięwzięli.

- Czy to dlatego, że wspomniał o szubienicy? Ależ to jeszcze nie żaden dowód! Czymże jest szubienica w oczach filozofa? Jednym z tysiąca sposobów, by rozstać się z życiem, i to na pewno jednym ze sposobów mniej przykrych. Widać nigdy nie przyjrzałeś się z bliska szubienicy, skoroś wobec niej taki grymaśny. A zresztą, jeśli nas złapią za rękę, poucinają nam łby, jak przydarzyło się panu de Rohan. Widziałeś kawalerze, jak ścinano pana de Rohan? - zagadnął utkwivszy wzrok w oczach d'Harmentala. - Był to przystojny młodzieniec, podobny do ciebie i chyba w twoim wieku. Spiskował, tak jak ty to zamierzasz, lecz mu się nie powiodło. No cóż, każdy może się pomylić. Wystawiono mu piękny czarny szafot; pozwolono mu odwrócić się i spojrzeć w okno, którym wyglądała jego kochanka; nożycami obcięto mu kołnierz koszuli; ale kat był wprawny w wieszaniu, nie w ścinaniu; i dopiero za trzecim razem do reszty ściał mu głowę; i to jeszcze musiał dopomóc sobie nożem, który dobył zza pasa, i tak długo szatkował szyję, aż głowa wreszcie odpadła... No, ale pan jesteś zuch - dodał widząc, że kawaler ani mrugnął słuchając o szczegółach tej straszliwej egzekucji. - Daj rękę, należę do ciebie. Przeciw komu spiskujemy? Czy aby nie przeciw Jaśnie Wielmożnemu diukowi du Maine? A może przeciw Jaśnie Oświeconemu diukowi

Orleańskiemu? Trzebaż kulasowi pogruchotać drugą nogę? A może ślepemu na jedno oko wylupić drugie? Wszystko mi jedno, jestem gotów.

- Pomyliłeś się, kapitanie: jeśli Bóg pozwoli, nie poleje się krew.

- O cóż chodzi w takim razie?

- Czy słyszałeś kiedy o porwaniu sekretarza księcia Mantui?

- Matthiolego?

- Tak.

- Do licha, znam tę historię jak nikt: widziałem na własne oczy, jak wieziono go do Pignerol; to kawaler de Saint-Smartin i pan de Villebois dokonali zamachu; ale też pod odpowiednim sztandarem: zarówno im, jak ich ludziom wypłacono po trzy tysiące liwrów na głowę.

- Zapłata raczej mierna - wzruszył ramionami d'Harmental.

- Tak sądzisz, panie kawalerze? A jednak trzy tysiące liwrów piechotą nie chodzi.

- Więc podjąłby się kapitan za trzy tysiące?

- A tak.

- Nawet gdybyś miał sekretarza miał porwać samego diuka?

- O, to wypadłoby drożej.

- Niemniej podjąłbyś się, kapitanie?

- A dlaczegóżby nie? Zażądałbym podwójnej kwoty, i już.

- Gdyby zaś podwajając tę kwotę ktoś taki, jak ja, powiedział ci, kapitanie, że nikt nie pcha cię w jakieś tajemnicze niebezpieczeństwo, lecz że chodzi o walkę, w którą angażuję się w tym samym, co ty, stopniu i w której ryzykuję dobre imię, przyszłość i głowę, co byś odrzekł?

- Podałbym mu rękę, jak teraz podaję tobie, panie kawalerze. W czym więc rzecz?

D'Harmental nalał wina gościowi i sobie.

- Zdrowie regenta - powiedział - oby dotarł bez wypadku aż do hiszpańskiej granicy, jak Matthioli dotarł do Pignerol!

- Patrzcie państwo! - zawołał Roquefinette podnosząc szklankę na wysokość oczu. I po chwili milczenia: - A dlaczegóż by nie? - powtórzył. - Regent skądinąd także człowiek. Tylko że nie zetną nas ani nie powieszają, lecz będą łamać kołem. Komu innemu podałbym wyższą

cenę, ale z tobą, panie kawalerze, słowo się rzekło, kobyłka u płotu. Dasz mi sześć tysięcy liwrów, a znajdę dwunastu ludzi na wszystko gotowych.

- Ale czy będziesz mógł, kapitanie, ufać tym dwunastu ludziom? - zaniepokoił się d'Harmental.

- Przecież nikt im nie powie, o co chodzi! Wmówi się w nich, że to zwykły zakład.

- To ja, kapitanie - ozwał się d'Harmental otworzywszy sekreterę i dobywając sakwę z tysiącem pistoletów - dowiodę ci, że z przyjaciółmi się nie targuję. Oto dwa tysiące liwrów w złocie, bierz je jako zadatek naszych przyszłych sukcesów; a jeśli zrobimy klapę, każdy będzie starał się na swój sposób wykaraskać z biedy.

- Panie kawalerze - odparł kapitan biorąc sakiewkę i z niewysłowioną kontentacją ważąc ją w dłoni - sam rozumiesz, że gdybym przeliczył, wyrządziłbym ci zniewagę. Kiedy zatem?

- Nie wiem jeszcze, drogi kapitanie. Ale skoroś uznał ten pasztet za niezły i wino za przednie, zechciej śniadać ze mną co dzień, tak jak dziś, a będę cię informował o rozwoju wypadków.

- Nie ma o tym mowy, panie kawalerze: koniec żartom. Wystarczyłoby, żebym złożył ci wizytę trzy razy, a już policja tego łotra d'Argensona zaczęłaby nam deptać po piętach. Szczęściem trafił na takiego jak on franta: dawno już mamy z sobą na pieńku. Nie, nie, panie kawalerze, aż do momentu działania musimy widywać się jak najrzadziej, raczej nie widywać się wcale. Twoja ulica długa nie jest, a że wychodzi z jednej strony na Gros-Chenet, z drugiej na Montmartre, nie potrzebuję nawet tędy przechodzić. Posłuchaj - tu odpiął kokardę od ramienia - weź tę wstążkę. W dniu, kiedy będę ci potrzebny, przyczep ją do okna. Będzie to dla mnie znak... i wtedy przyjdę.

- Jak to, kapitanie? - zdziwił się d'Harmental widząc, że jego gość wstaje i przypina szpadę. - Odchodzisz nie dokończywszy butelki? Cóż ci zawinił ten dobry trunek? Tak ci przed chwilą smakował, a teraz jakbyś nim gardził.

- Muszę się z winem teraz rozstać właśnie dlatego, że go pokochałem, i na dowód, że nim nie gardzę - dodał napełniając szklanekę - pożegnaj je po raz ostatni. Twoje zdrowie, panie kawalerze! Możesz się nim chlubić, przednie to wino. O tak! Ale teraz już ani kropelki!

Zaczynam dietę: czysta woda aż do dnia, w którym ujrzę, jak pąsowa wstążka powiewa z twojego okna. Postaraj się przyczepić ją jak najprędzej, bo woda to płyn diabelnie mojemu organizmowi przeciwny.

- Ale czemu ci tak spieszno?

- Bo kapitan Roquefinette to mój dobry znajomy: zacności człek, ale jeśli się znajdzie oko w oko z butelką, musi pić, a kiedy się napije, musi gadać. Co do gadania zaś, to zapamiętaj sobie: kto zbyt się rozgada, palnie w końcu jakieś głupstwo. Do widzenia, panie kawalerze: nie zapomnij o pąsowej wstążce; idę załatwić nasze sprawy.

- Do widzenia, kapitanie. Cieszę się, że nie potrzebuję zalecać ci dyskrecji.

Kciukiem prawej ręki kapitan nakreślił krzyżyk na wargach, nasunął kapelusz na oczy, przytrzymał Szpikulec w obawie przed szczękiem żelaza objającego się o ściany, i zszedł ze schodów tak cicho, jak gdyby lękał się już, że każdy jego krok odbije się echem w pałacu pana d'Argenson.

XII. Huśtawka

D'Harmental pozostał sam, ale jego rozmowa z kapitanem nasuwała mu teraz tak wiele do przemyślenia, że, jakkolwiek ogromnie skłopotany, nie musiał uciekać się ani do poezji księdza Chaulieu, ani do szpinetu, ani do pasteli. Bo w istocie nasz kawaler był dotychczas zaangażowany jakby połowicznie w śmiałe przedsięwzięcie, którego szczęśliwy wynik ukazali mu byli diuszesa du Maine i książę Cellamare, a krwawe następstwa kapitan wyjawiał mu tylko co tak brutalnie, by wypróbować jego odwagę. Do tej pory był uczepiony jak gdyby jednego końca łańcucha. Uwolniłby się szarpnąwszy z jednej tylko strony. Obecnie zaś stał się ogniwem środkowym, scalonym z łańcuchem z obu stron i łączącym się z tym, co społeczność posiada najbardziej wzniosłego, jak również z tym, co znajduje się na dnie jej nizin. W tej godzinie przestał już do siebie należeć: był niczym wędrowiec zagubiony w Alpach, który przystanąwszy na nie znanej sobie ścieżce, po raz pierwszy bada wzrokiem górę wznoszącą się nad nim i przepaść rozwartą u jego stóp.

Szczęściem kawaler nasz posiadał ten rodzaj spokojnej, chłodnej i stanowczej odwagi męczyzny, którego krew i żółć - te dwie przeciwstawne sobie siły - miały się neutralizować, rozgrzewają się w walce. Rzucił się w niebezpieczeństwo z szybkością sangwinika, a znalazłszy się w nim, mierzył je z rozwagą właściwą śledziennikowi. W rezultacie kawaler d'Harmental był równie niebezpieczny w pojedynku, jak i w sprzysiężeniu, w pojedynku bowiem jego własny spokój pozwalał mu wykorzystać każdy, najmniejszy błąd przeciwnika, w konspiracji zaś jego zimna krew sprawiała, że wiązał z łatwością na nowo, w miarę jak się rwały, owe niewidoczne nici, od których zależy często powodzenie najwyższej wagi przedsięwzięć. Pani du Maine miała zatem słuszną mowę mówiąc panie de Launay, że może zgasić swoją latarnię, gdyż, jak się zdaje, znalazła Człowieka.

Ale ów człowiek był młody, ów człowiek miał dwadzieścia sześć lat to znaczy: posiadał serce rozwarte dla wszelkich iluzji, dla wszelkiej poezji towarzyszącej pierwszej części ludzkiego żywota. Jako dziecko składał u stóp matki wianuszki z kwiatów; jako młodzieniec odwiedził kochankę, by pokazać jej swój piękny mundur pułkownika. We wszystkim, co przedsiębrał dotychczas, towarzyszył mu zawsze ukochany wizerunek i jeśli młodzieniec

rzucał się w sam wir niebezpieczeństw, był pewny, że jeśli nawet polegnie, przeżyje go ktoś, kto będzie opłakiwał jego los, kto w swej pamięci zachowa przynajmniej żywe o nim wspomnienie. Ale jego matka umarła. Ostatnia kobieta, która kochała go, jak sądził, odplaciła mu za miłość zdradą; czuł się sam na świecie, związany wyłącznie interesami z grupą osób, dla których stanie się przeszkodą, gdy nie będzie już im potrzebny, a jeśli polegnie, ludzie ci nie będą go opłakiwali, widząc w jego śmierci raczej gwarancję własnego spokoju. Owo całkowite osamotnienie, którego każdy człowiek narażony na najwyższe ryzyko winien mu być zazdrościć, jest zazwyczaj w podobnych sytuacjach przyczyną - tak bowiem głębokim egoizmem odznacza się nasza natura - wielkiego zniechęcenia. Tak potężny wstręt do nicości tkwi w człowieku, iż każdy z nas sądzi, że przetrwa żywy w sentymentach, jakie budzi, i opuszczając świat pociesza się niejako rozmyślając o żalu, który będzie towarzyszył jego pamięci, i o nabożności, która otoczy jego grób. Toteż nasz kawaler dałby w tej chwili wszystko za czyjąś miłość, bodajże za miłość psa.

Pograżony w smutnych rozważaniach przeszedł kilkakrotnie koło okna i wreszcie spostrzegł, że okno sąsiadki jest również odsłonięte. Zatrzymał się nagle i potrząsnął głową, chcąc jakby strącić najczarniejsze swe myśli; po czym oparł łokieć na występie muru, a podbródek na dłoni i próbował nadać inny kierunek myślom, śledząc wzrokiem otaczający go świat zewnętrzny. Ale człowiek nie jest panem swojej jawy ani snu, i sny, jakie przeżywa z zamkniętymi lub otwartymi oczami, rozwijają się niezależnie od jego woli i wiążą się bez jego świadomości, jak to się dzieje z niewidzialnymi nićmi, które wibrując w sposób nieoczekiwany, ujawniają swoje istnienie. Wówczas przedmioty najbardziej odległe przybliżają się, myśli najbardziej niezborne przyciągają się wzajem; migają przed nimi chybotliwe błyski, które, gdyby nie przygasały z szybkością błyskawicy, może byłyby zdolne odkryć nam przyszłość. Czujemy, że dzieje się w nas coś osobliwego; zaczynamy wówczas pojmować, że jesteśmy rodzajem maszyny poruszanej niewidzialną ręką, i w zależności od tego, czy ktoś z nas jest fatalistą, czy też człowiekiem wierzącym w Opatrzność, pochylamy się w stronę niemądrego kaprysu losu lub też skłaniamy się kornie przed tajemniczym zrządzeniem Boga.

Tak się właśnie działo z d'Harmentalem: w widoku przedmiotów obcych jego wspomnieniom i nadziejom szukał tego, co kazałoby mu zapomnieć o obecnej sytuacji, ale nie

znalazł w nich nic innego, prócz dalszego ciągu aktualnych rozmyślań.

Dziewczyna, którą dostrzegł rano, siedziała przy oknie, aby skorzystać z ostatnich blasków dnia; pracowała nad czymś, co wyglądało na haft. Za dziewczęciem widać było otwarty klawesyn, a na taborecie u jej stóp spała charciczka, lekko i czujnie, jak sypiają zwierzęta, które natura przeznacza do tego, by strzegły człowieka - i budząc się, ilekroć głośniejszy hałas dobiegał z ulicy, nastawiała uszu i wdzięcznie wyciągała szyję, po czym układała się znowu, opierając na moment smukłe łapki o kolana swej pani. Wszystko to było bajecznie oświetlone promieniem zachodzącego słońca, który wdzierał się w głąb pokoju, aby wydobyć lśnienie z miedzianych ornamentów klawesynu i złotego obrzeża ramy. Reszta tonęła w półcieniu.

Obraz ten poraził wzrok d'Harmentalą. I wówczas - z pewnością dlatego, że młodzieniec znajdował się w tak osobliwym stanie ducha - wydało mu się, iż to dziewczę o spokojnej i słodkiej twarzy wkroczy w jego życie na podobieństwo aktorów, którzy pozostają za kulisami, a wchodzi na scenę dopiero w drugim albo trzecim akcie, by wziąć udział w odgrywanej sztuce lub nawet zmienić jej zakończenie. Poczawszy od tych lat, kiedy widujemy w marzeniach anioły, d'Harmental nie spotkał podobnej istoty. Nieznajoma nie przypominała żadnej z kobiet, z jakimi stykał się dotychczas. Odznaczała się pięknem, naiwnością i prostotą, jak owe pełne wdzięku główki, które Greuze portretował bynajmniej nie z natury, lecz z lustrzanych odbić swojej wyobraźni. Zapominając więc o wszystkim - o jej skromnym, jak się zdaje, pochodzeniu, o nędznej ulicy i ubogiej izbie służącej jej za mieszkanie - ujrzał w tej młodej kobiecie tylko kobietę i obdarzył ją sercem takim, jak jej twarz; pomyślał wtedy, iż niepomierne szczęśliwym byłby mężczyzna, który przyprawiłby o silniejsze bicie to dziewczęce serce, który ujrzałby czułość w tych pięknych oczach i przy pierwszym pocałunku złożonym na czystych i świeżych wargach uszczknałby kwiat jej duszy, wyznaniem: "Kocham".

Takich osobliwych niuansów nabiera otoczenie pod wpływem różnorodnych sytuacji, w jakich znajduje się ten, kto na nie patrzy. Jeszcze tydzień temu d'Harmental korzystał ze wszystkich uroków życia, nic mu nie zagrażało, chodził na śniadanko do tawerny, polował z nagonką, u Faroleta zakładał się z innymi o grę w piłkę, uczestniczył w orgiach u Filonki. Jeszcze tydzień temu, gdyby spotkał tę pannę, wziąłby ją niezawodnie za śliczną gryzetskę,

może kazałby ją śledzić swojemu pokojowcowi, a nazajutrz znieważylby dziewczynę upominkiem za dwadzieścia pięć ludwików; ale tamten d'Harmental nie istniał już od tygodnia. Urodziwy, elegancki, szalony, lekkomyślny, nie troszczący się o własne życie panicz ustąpił miejsca osamotnionemu młodzieńcowi, który poruszał się w ciemnościach, sam na sam ze swoją siłą; nie wiodła go żadna gwiazda i poczuł nagle, że ziemia rozwiera mu się pod stopami, że niebo obsuwa się na głowę. W swej słabości potrzebował jakiegoś oparcia, potrzebował miłości, potrzebował poezji. Nic zatem dziwnego, że szukał Madonny, do której mógłby się modlić, że piękną sąsiadkę, z powszedniej i całkiem prozaicznej sfery, wprowadził mocą imaginacji do swojej sfery, gdzie umieścił ją taką, jaką chciał, żeby była, na pustym piedestale swych dawnych marzeń.

Dziewczyna uniosła głowę, spojrzała mimo woli wprost przed siebie i poprzez szyby dwóch okien zobaczyła zadumaną twarz kawalera. Wydało jej się rzeczą oczywistą, że tkwi przy oknie wyłącznie z myślą o niej i na nią patrzy. Spłonęła żywym rumieńcem. Udała jednak, że nic nie spostrzegła, i znów pochyliła główkę nad haftem. Dopiero po chwili wstała, pokręciła się po izbie i bez ostentacji, bez fałszywej pruderii, ale jeszcze z odrobiną zakłopotania, ściągnęła zasłony.

A d'Harmental ani drgnął i chociaż okno było wciąż zasłonięte, nadal wędrował po imaginacyjnym kraju, w jaki zapuściły się jego myśli. Raz czy drugi miał wrażenie, że firanka w oknie naprzeciw poruszyła się lekko, jak gdyby nieznajoma chciała sprawdzić, czy niedyskretny sąsiad, który ją spłoszył, stoi jeszcze przy oknie. Wkrótce jednak rozległo się kilka wprawnych, szybkich akordów, potem tony łagodne i harmonijne - i wtedy d'Harmental otworzył swoje okno.

Nie omylił się; nieznajoma posiadała o wiele większe umiejętności, niż się spodziewał: wykonała parę utworów nie towarzysząc głosem instrumentowi i d'Harmental słuchał tej muzyki niemal z taką samą przyjemnością, z jaką był patrzył na dziewczynę. Nagle urwała w pół taktu. Kawaler wysnuł stąd wniosek, że dostrzegła go przy oknie i postanowiła ukarać intruza za ciekawość, albo że ktoś wszedł do jej izdebki; cofnął się zatem, ale tak, by nie tracić z oczu miłego widoku. Po chwili przekonał się, że jego drugi domysł jest słuszny. Jakiś mężczyzna, podszedłszy do okna, odsunął firankę, przywarł pocziwą, pyzată twarzą do

szyby, a na drugiej szybie jął palcami wystukiwać takt. Chociaż teraz był całkiem inaczej ubrany niż rankiem na tarasie przy fontannie, d'Harmental rozpoznał w nim człowieka, który tak poufale zwrócił się do dziewczyny, dwukrotnie wymieniając jej imię: "Batylda".

Zjawienie się postaci tak prozaicznej wywołało właściwy skutek, czyli odwiodło d'Harmentalą od przeżyć wyimaginowanych i wprowadziło go na powrót w świat realny. Zapomniał już był o tym mieszczeniu stanowiącym tak rażąco i tak osobliwy kontrast z dziewczyną, której był zapewne ojcem albo kochankiem, albo mężem. Owóż w każdym z tych trzech przypadków, jako córka, małżonka lub metresa takiego człowieka, nie mogłaby ona mieć nic wspólnego z kawalerem, szlachcicem, arystokratą. Kobieta, i to jest jej nieszczęściem, istota odwiecznie zależna, zostaje wywyższona bądź poniżona przez godność lub gminne pochodzenie mężczyzny, na którego ramieniu się wspiera, a wyznać też wypada, że ogrodek z tarasu nie był stworzony do wyniesienia Batyldy na wyżyny, na jakich umieścił ją nasz kawaler w swoich rojeniach.

Toteż d'Harmental zaczął się śmiać z własnego szaleństwa; tymczasem zapadła ciemność; uwięziony w czterech ścianach od wczorajszego ranka, postanowił przejść się po mieście, by sprawdzić ścisłość doniesień policji księcia Cellamare. Narzucił szeroką pelerynę, zszedł z czwartego piętra i podążył w stronę Pałacu Luksemburskiego, gdzie, jak donosił raport wręczony mu przez księdza Brigaud, regent miał wieczerzać bez straży.

Znalazszy się naprzeciw Pałacu Luksemburskiego, kawaler nie spostrzegł żadnych oznak, wskazujących, że diuk Orleański przebywa u swojej córki: przed bramą stał tylko jeden wartownik, a zazwyczaj, kiedy regent tu wchodził, zostawało ich dwóch. Ponadto nie widać było na dziedzińcu karety ani stangretów, ani lokai; wydawało się zatem oczywiste, że książę Orleański jest jeszcze w drodze. Kawaler czekał na jego przyjazd, gdyż wiadomo było, że diuk, który nie śniadał nigdy i dopiero o drugiej wypijał filiżankę czekolady, wieczerzę spożywał nie później niż o godzinie szóstej. Owóż wybił właśnie trzeci kwadrans po piątej na wieży Saint-Sulpice w chwili, kiedy kawaler skręcał na skrzyżowaniu ulicy de Conde i Vaugirard.

D'Harmental przez półtorej godziny spacerował po ulicy Tournon między pałacem a ulicą du Petit-Lion, nie dostrzegł jednak żadnych oznak tego, czego się spodziewał. Za piętnaście ósma zaobserwował jakiś ruch w Luksemburgu. Kolasa otoczona jeźdźcami

uzbrojonymi w pochodnie zatrzymała się przed głównym wejściem. Wsiadły do niej trzy damy; rozległ się okrzyk stangreta: "Do Palais-Royal!". Dojeżdżacze ruszyli galopem, karetą - w ślad za nimi, sztyldwach sprezentował broń i choć elegancki ekwipaż z herbem Francji tak szybko przemknął przed oczyma kawalera, zdołał on rozpoznać w nim diuszese de Berry, jej damę dworu i pokojową, panią de Pons. Marszruta podana kawalerowi uległa zmianie: to córka udawała się do ojca, nie ojciec do córki.

A jednak kawaler nadal czekał, regenta bowiem mogła zatrzymać w domu jakaś poważna sprawa. Po godzinie kolasa wróciła. Diuszesa de Berry zaśmiewała się z jakiejś historyjki, którą opowiadał towarzyszący jej pan de Broglie. Nie zdarzyło się zatem nic specjalnego. To policja księcia Cellamare popełniła błąd.

Kawaler wrócił do siebie około dziesiątej, nie spotkawszy nikogo i przez nikogo nie rozpoznany. Z niemałym trudem dostał się do domu, bo stróż już spał, na co zezwalały mu patriarchalne obyczaje pani Denis. Pomrukując gniewnie stary mocował się z zasuwą. D'Harmental wetknął mu w rękę drobną monetę, zapowiadając, że ilekroć będzie wracał późno, nie pożałuje dozorczy wynagrodzenia za fatywę. Stróż rozpływał się w podziękowaniach i zapewniał, że kawaler może swobodnie wracać o takiej porze, jaka mu się spodoba, a nawet może wcale nie wracać.

Znalazłszy się w swoim pokoju, d'Harmental zobaczył, że okno sąsiadki jest oświetlone; ukrył świecę za jakimś meblem i zbliżył się do okna. Na tyle, na ile pozwalały firanki, mógł obserwować sąsiadkę, nie będąc przez nią widzianym.

Siedziała przy stole, przerysowując prawdopodobnie coś z kartonu trzymanego na kolanach; profil jej odcinał się czarną kreską na tle światła, które umieszczone było tuż za nią. Po jakimś czasie drugi cień, a kawaler rozpoznał w nim mieszczaucha z tarasu, przesunął się kilkakrotnie między światłem i oknem, wreszcie zbliżył się do panny, ta zaś podsunęła mu czoło, cień złożył na nim pocałunek i oddalił się z lichtarzem w ręku. Po chwili okna na piątym piętrze rozblęsnęły. Wszystkie te drobne zdarzenia, których nie sposób było nie pojąć, wskazywały, że gospodarz tarasu nie jest bynajmniej mężem Batyldy, lecz co najwyżej jej ojcem.

Nie wiedząc dlaczego, d'Harmental odczuł ogromną radość dokonawszy tego odkrycia:

otworzył okno, tak cicho, jak tylko było to możliwe, i oparłszy się o sztabę okiennicy, z oczyma wlepionymi w ów profil, pograżył się w tych samych marzeniach, z których wyrwało go za dnia pojawienie się groteskowej postaci ogrodnika. Po bez mała godzinie dziewczyna podniosła się, odłożyła karton i kredki na stół, skierowała się ku alkwie, uklękła na niskim taborecie pod drugim oknem i zaczęła się modlić. D'Harmental zrozumiał, że zakończyła na dziś swoje prace; lecz przypomniawszy sobie zaciekawienie nieznajomej, gdy po raz pierwszy muzykował, zapragnął dowiedzieć się, czy teraz gra na szpinecie zdoła przedłużyć jej nocne czuwanie. Nastąpiło to, co przewidział: na dźwięk pierwszych tonów, które do niej dotarły, dziewczyna, nie zdając sobie sprawy, że jej cień pada na firanki, podeszła na palcach do okna, żeby z ukrycia słuchać bez skrępowania melodyjnych dźwięków szpinetu, który, niczym nocny ptak, obudził się, by śpiewać.

Koncert trwałby może wiele godzin, bo d'Harmental, zachęcony osiągniętym rezultatem, poczuł w sobie niezwykły przyływ werwy i talent wirtuoza. Na nieszczęście jednak lokator z trzeciego piętra był zapewne człkiem nieokrzesanym i niezbyt gustował w muzyce, gdyż d'Harmental posłyszał akurat pod swoimi stopami uderzenia laską w sufit tak gwałtowne, iż trudno byłoby mieć wątpliwości, że nie jest to bezwzględne domaganie się przesunięcia na moment bardziej stosowny tych popisów muzycznych. W innych okolicznościach d'Harmental posłałby impertynenta do wszystkich diabłów; ale po namyśle doszedł do wniosku, że ów skandal, tak typowy dla dobrze urodzonych młodzików, pograżyłby go w oczach pani Denis, a grając o nazbyt wysoką stawkę musiał z filozoficznym spokojem potraktować niedogodności nowego stanu, skoro sam się nań zgodził. W rezultacie więc zamiast nadal zwalczać regulamin nocny, uzgodniony zapewne między właścicielką domu i jej lokatorami, uwzględnił niepożądaną interwencję, machnąwszy ręką na sposób, w jaki została wyrażona.

Panna natomiast nie słysząc już muzyki, odeszła, zsunęła zasłony perskiej materii i znikła d'Harmentalowi z oczu. Przez jakiś czas jej pokoik był oświetlony; w końcu światło zgasło; mieszkanie na piątym piętrze pograżone było w zupełnej ciemności co najmniej od dwóch godzin.

D'Harmental także się położył, szczerze uradowany myślą, że między nim i nieznajomą

istnieje już tak bezpośredni kontakt.

Nazajutrz ksiądz Brigaud wszedł do jego pokoju, punktualny jak zwykle. Kawaler był na nogach od przeszło godziny i zdążył już ze dwadzieścia razy podbiec do okna w nadziei, że zobaczy sąsiadkę, bo uznał za rzecz oczywistą, że wstaje ona wcześniej od niego. Istotnie, dojrzał przez górne szyby, że grube zasłony podpięte są znowu na podtrzymujących je wieszaczkach. Szukając sposobności do wyładowania na kimś złego humoru, kawaler wykrzyknął, ledwie zamknąwszy drzwi za gościem:

- Och, mój drogi księżę, pogratuluj księciu Cellamare w moim imieniu: jego policja jest ani chybi znakomita, klnę się honorem!

- A cóż jej masz pan do zarzucenia? - spytał ksiądz Brigaud uśmiechając się półgębkiem, jak to było w jego zwyczaju.

- Co mam do niej? Tylko to, że chcąc przekonać się osobiście o jej sprawności, zacząłem się na ulicy de Tournon i czekałem tak cztery godziny: to nie regent przyjechał do córki, lecz diuszesa de Berry pojechała do ojca.

- Cóż z tego? Wiemy wszak o tym.

- Ach, wiecie o tym?! - zdumiał się d'Harmental.

- Na dowód czego powiem, że wyszła za pięć ósma z Pałacu Luksemburskiego w towarzystwie pani de Mouchy i pani de Pons, a wróciła o wpół do dziesiątej przywożąc z sobą pana de Broglie, który zajął przy stole miejsce regenta, daremnie oczekiwanego.

- Więc gdzie był regent?

- Regent?

- Tak.

- No, to już całkiem inna historia; zaraz się pan o niej dowiesz; posłuchaj i nie uroń ani jednego słowa; potem zobaczymy, czy będziesz twierdził, że policja ambasadora jest aż tak kiepska.

- Słucham.

- Nasz raport donosił, że regent zamierzał udać się wczoraj o trzeciej po południu na ulicę de la Seine do sali gry w piłkę.

- Tak.

- Udał się tam, ale nie minęło pół godziny, jak wyszedł trzymając chusteczkę przy oku: sam siebie uderzył rakieta w brew tak silnie, że rozciął skórę na czole.

- Och, więc zdarzył się wypadek?

- Słuchaj pan dalej. Wówczas regent, zamiast podążyć do Palais-Royal, kazał się zawieźć do pani de Sabran. Czy wiesz, gdzie mieszka pani de Sabran?

- Mieszkała przy ulicy de Tournon; ale od chwili, kiedy jej mąż został ochmistrem regenta, mieszka chyba na ulicy des Bons-Enfants, tuż koło Palais-Royal.

- Zgadza się. Otóż wydaje się, że pani de Sabran, dotrzymująca dotychczas wierności panu de Richelieu, poruszona wreszcie żalonym stanem biednego regenta, postanowiła dać wyraz prawdzie głoszonej przez przysłowie: kto nieszczęśliwy w grze, ten szczęśliwy w miłości. O wpół do ósmej regent napisał ponoć w jadalni pani Sabran, u której wieczerzał, krótki bilecik, donosząc w nim panu de Broglie, że nie pojedzie do Pałacu Luksemburskiego i prosi, by Broglie go tam zastąpił oraz przekazał córce, diuszecie de Berry, gorące ojcowskie przeprosiny.

- Więc tą oto historyjką Broglie tak rozśmieszył nasze damy!

- Być może. Rozumiesz pan teraz...?

- Tak, rozumiem, że książę, nie posiadający daru rozdawania się, nie mógł być jednocześnie u pani de Sabran i u swojej córki.

- I tylko tyle waćpan zrozumiałeś?

- Drogi księżę, mówisz jak wyrocznia; wytłumacz, proszę.

- Przyjdę dziś wieczór o ósmej i zabiorę cię, mój panie, na ulicę des Bons-Enfants, gdzie pokręcimy się trochę razem. Wspomniane okolice przemówią za mnie.

- Ach! Ach! Już się domyślam... Będąc tak blisko Pallais-Royal, regent wróci tam pieszo; z domu pani de Sabran, wychodzi się także na ulicę des Bons-Enfants; o pewnej godzinie natomiast zamyka się wyjście z Palais-Royal na ulicę des Bons-Enfants. Chcąc tedy wrócić do siebie, regent będzie zmuszony obejść dziedziniec des Fontaines lub skierować się w ulicę Neuve-des-Bons-Enfants... i wówczas go mamy! Do kata! Jesteś, księżę, wielkim człowiekiem i jeśli diuk du Maine nie uczyni cię kardynałem lub przynajmniej arcybiskupem, sprawiedliwości nie stanie się zadość.

- Liczę na to, przyznaję. Rozumiesz więc teraz, że musisz być gotów.

- Jestem gotów.

- Czy zorganizowałeś pan środki umożliwiające wykonanie...?

- Owszem.

- Porozumiewasz się zatem ze swymi ludźmi?

- Za pomocą jednego znaku.

- Czy aby ten znak nie może cię zdradzić?

- Niepodobna.

- W takim razie wszystko się doskonale układa. Trzeba nam teraz tylko zjeść śniadanie, bo tak bardzo spieszyłem się do ciebie z dobrymi nowinami, że na czczo opuściłem dom.

- Zjeść śniadanie, drogi księże? Łatwo ci to powiedzieć! Mogę waszą wielbność poczęstować jedynie resztkami wczorajszego pasztetu i kilkoma butelkami wina, które ocalały, jak mi się zdaje, na polu bitwy.

- Hm! Hm! - mruknął ksiądz. - Zróbmy coś lepszego, mój panie kawalerze.

- Jestem do usług.

- Zejdźmy na śniadanie do naszej zacnej gospodyni, pani Denis.

- Jakże to, u licha?! Ksiądz chce, żebym u niej śniadał? Czy ja z nią utrzymuję stosunki towarzyskie?

- Mnie to zostaw. Wprowadzę cię jako mego pupila.

- Będziemy musieli jeść coś ohydneho!

- Bądź pan spokojny; znam tę kuchnię.

- Ale cóż to za nuda, takie śniadanie!

- Pozyskasz przyjazną duszę, osobę znaną w tej dzielnicy ze znakomitych obyczajów i oddania dla rządu; no i wreszcie: kobietę niezdolną ukrywać u siebie konspiratora. Pojąłeś, waćpan?

- Jestem gotów się poświęcić, skoro idzie o dobro sprawy.

- Nie biorąc pod uwagę tego, że jest to dom sympatyczny, w którym mieszkają dwie młode panny grywające, jedna na wioli, druga na szpince, oraz chłopak będący klerkiem u

prokurenta; no i dom, gdzie w niedzielę wieczór z przyjemnością rozegrasz partię loteryjki.

- A idźże, księżę, do diaska z tą swoją panią Denis! Och, przepraszam, może ksiądz jest przyjacielem domu. W takim razie, uchwaj Boże, abym coś był rzekł...

- Jestem ich spowiednikiem - powiedział ksiądz Brigaud ze skromną miną.

- Więc stokrotnie przepraszam, mój drogi księżę. Ale wasza wielebność ma rację, na honor: pani Denis jest jeszcze bardzo piękną kobietą, świetnie wygląda, ręce ma prześliczne i stóпки urocze. Psiakość! Przypominam ją sobie. Niech ksiądz idzie pierwszy, ja zaraz zejść.

- Dlaczegoż to nie mamy zejść razem?

- A mój strój, drogi księżę? Czy chcesz, abym ukazał się tym panienkom rozczochrany, jak teraz jestem? Do licha, przecież nasz wygląd świadczy o nas! Wypadałoby ponadto, żeby ksiądz mnie wprzód zapowiedział: nie cieszę się przywilejami spowiednika, o nie!

- Masz słuszność, kawalerze. Już schodzę. zapowiem twoją wizytę, a ty pojawisz się osobiście za dziesięć minut, prawda?

- Za dziesięć minut.

- Żegnaj.

- Do zobaczenia.

D'Harmental powiedział tylko część prawdy: został na górze być może dlatego, by doprowadzić swój strój do ładu, ale również wiedziony nadzieją, że bodaj przez chwilę popatrzy na sąsiadkę, o której marzył przez całą noc. Ale to pragnienie nie zostało zaspokojone: daremnie czatował za firanką przy swoim oknie, okno dziewczęcia o jasnych włosach i czarnych oczach było szczelnie zasłonięte. Ale w zamian za to zobaczył sąsiada z piątego piętra, który w porannej toalecie - a kawaler już ją znał - uchylił drzwi, wysunął z taką samą jak wczoraj ostrożnością najpierw rękę, potem głowę. Tym razem jednak nie odważył się na nic więcej, bo uliczkę spowijała lekka mgła, mgła zaś, jak wiemy, jest szczególnie szkodliwa dla organizmu paryskiego mieszczucha. Toteż nasz znajomy zakaszlał najniższymi tonami swojego głosu, cofnął głowę i rękę, i wsunął się do pokoju niczym żółw do skorupy. D'Harmental stwierdził ubawiony, że wydatek na barometr nie jest dlań konieczny, albowiem zacny sąsiad będzie mu służył nie gorzej niż drewniane figurki kapucynów, które wyskakują ze swych klasztornych cel w dni pogodne, a kryją się tam w dni deszczowe.

Ale widok tego człowieka wywołał zwykły efekt: odmieniał się obraz biednej Batyldy. Kiedy d'Harmental patrzył na swą młodą sąsiadkę podziwiając jej słodycz i wdzięk, widział w niej tylko uroczą dziewczynę, uprawiającą muzykę i malarstwo, istotę najcudowniejszą i najdoskonalszą spośród tych, jakie dotychczas spotykał. Przywodziła na myśl wróżki pojawiające się w naszych mrocznych snach, niby alabastrowe lampy niosące własne światło, od którego wszystko wokół przemieniało się w gęstą ciemność; ale gdy z kolei ukazywał się oczom d'Harmentalowi jegomość z piątego piętra ze swoją pospolitą twarzą i posturą - z ową charakterystyczną dla pewnych osobników wulgarnością - niezwykle chaos zaczynał natychmiast opanowywać myśli kawalera; znikła cała poezja, jak na dźwięk gwizdka maszynisty teatralnego znika ze sceny zaklęty zamek; każda rzecz wyglądała teraz inaczej; do głosu dochodziła arystokratyczna natura kawalera: Batylda stawała się już tylko córką tego poczciwca, czyli gryzетка, i basta; jej uroda, wdzięk, wytworność, nawet talenty stawały się dziełem przypadku, błędem przyrody, jakby różą zakwitłą na kapuście. D'Harmental wzruszał wówczas ramionami przeglądając się w lustrze, wybuchał głośnym śmiechem i nie pojmując już żywego wzruszenia, którego przed chwilą doznał, nie pojmując też skąd ono się wzięło, przypisywał je temu, co zaprzętało jego umysł: własnej, osobliwej sytuacji, samotności, wszystkiemu wreszcie z wyjątkiem prawdziwej przyczyny: władczej, nieodpartej potędze dystynkcji i piękna.

D'Harmental zszedł tedy do swojej gospodyni w takim stanie ducha, że gotów byłby uznać obie panny Denis za osóbkę czarujące.

XIII. Rodzina pani Denis

Kawaler i ksiądz opuścili mansardę i zeszli do mieszkania gospodyni. Pani Denis nie uznała za stosowne, by panienki, tak przecież niewinne jak jej córki, zjawiły się na śniadaniu, w którym weźmie udział młodzieniec przebywający w Paryżu dopiero od trzech dni, a mimo to powracający z miasta o godzinie jedenastej wieczorem i grający na klawesynie do drugiej w nocy. Ksiądz Brigaud daremnie przekonywał ją, iż owo podwójne pogwałcenie regulaminu policyjnego, jaki obowiązywał w tym domu, nie powinno żadną miarą deprecjonować zacnych obyczajów jego pupila; uzyskał tylko tyle, iż pannom Denis zezwolono na pojawienie się w jadalni przy deserze.

Nasz kawaler zorientował się jednak wkrótce, że jeśli nawet matka zabroniła dziewczętom zasiąść przy stole, nie wzbronila im wszakże dać się słyszeć. Ledwie troje biesiadników zabrało się do jedzenia - śniadanie składało się z mnóstwa apetycznych dla oczu i wybornych dla podniebienia specjałów - rozległ się śpiew przy akompaniamencie urywanych tonów klawesynu; głos nie był pozbawiony dźwięczności, ale częste fałszy zdradzały żaloszny brak doświadczenia śpiewaczki. Pani Denis położyła rękę na ramieniu księdza i po krótkim milczeniu, kiedy to z uśmiechem zachwytu wsłuchiwała się w pierwsze frazy koncertu, od którego nasz kawaler dostawał gęziej skórki, powiedziała nagle:

- Słyszysz ksiądz? To Atenais gra na klawesynie, a Emilia śpiewa.

Ksiądz Brigaud kiwnąwszy głową na znak, że słyszy wybornie zarówno akompaniament, jak i śpiew, trącił trzewikiem nogę d'Harmentala, by dać mu znać, że nadarza się sposobność przemycenia zgrabnego komplementu.

- Łaskawa pani - ozwał się natychmiast kawaler, wybornie pojmując zachętę księdza, który tak obcesowo odwołał się do jego galanterii - jesteście ci winni podwójne podziękowanie, ofiarowałaś nam nie tylko wspaniałą ucztę, ale i znakomity koncert.

- A tak - rzekła niedbale pani Denis - to takie igraszki dziewczęce; one nie wiedzą, że jesteście tutaj, panowie, i ćwiczą wprawki; zaraz im tego zakazę.

Pani Denis udała, że wstaje.

- Jakże to, łaskawa pani - zakrzyknął d'Harmental - czy może dlatego, że dopiero co

przybyłem z prowincji, uważasz, że jestem niegodny poznania talentów stolicy?!

- Uchowaj Boże, mój panie, abym powzięła o tobie taką opinię - odrzekła pani Denis ze złośliwą minką - wiem przecie, że muzykujesz. Lokator z trzeciego piętra uwiadomił mnie o tym.

- W takim razie nie sądzę, by zbyt wysoko wysławiał moje zasługi - roześmiał się kawaler - gdyż jak mi się zdało, nie ocenił zbyt wysoko tej odrobiny umiejętności, jaką posiadam.

- Powiedział mi tylko, iż pora wydała mu się nieco niestosowna dla uprawiania muzyki. Ale teraz posłuchaj, panie Raulu - dorzuciła nastawiając ucha w stronę drzwi - role się obecnie zmieniły, drogi księżu, nasza Atenais śpiewa, Emilia zaś akompaniuje na wioli.

Wyglądało na to, że pani Denis ma słabość do Atenais; miast rozmawiać, jak czyniła to wówczas, gdy Emilia śpiewała, wysłuchiwała od początku do końca romancy swojej ulubienicy, wpatrując się czule w księdza Brigaud, który nie tracąc ni kęsa, ni łyku, potakiwał głową z aprobatą. Atenais zresztą śpiewała mniej fałszywie, lecz okupywała tę zaletę błędem, przynajmniej równoznacznym dla uszu kawalera: głos miała przerażająco wulgarny.

Jeśli zaś chodzi o panią Denis, kiwała ona głową niezgodnie z rytmem, a jej błogostan przynosił nieskończenie więcej zaszczytu macierzyńskiej czułości niżli muzycznemu wyrobieniu.

Duet zastąpił występy solowe. Panny Denis poprzysięgły sobie wykonać cały swój repertuar. D'Harmental z kolei zaczął szukać pod stołem trzewika księdza Brigaud, by zmiażdżyć mu przynajmniej jedną ze stóp: ale napotkał pantofelek pani Denis, która owe poszukiwania po omacku, jakich dokonywał kawaler, uznała za umizgi skierowane ku jej osobie, zwróciła się tedy wdzięcznie do niego:

- A zatem, panie Raulu, przybyłeś, młody i niedoświadczony, by wystawiać się na wszelkie niebezpieczeństwa, na jakie naraża stolica?

- O, mój Boże, ależ tak - rzekł pospiesznie ksiądz Brigaud, powodowany obawą, że d'Harmental korzystając z okazji nie zdoła oprzeć się chęci i palnie jakieś głupstwo. - Widzisz, pani, w tym młodzieńcu syna jednego z moich najdroższych, nie żyjących już przyjaciół - tu podniósł serwetkę do oczu - i który, mniemam, przyniesie zaszczyt trudom, jakie poniosłem, jeśli idzie o jego edukację; bo choć na to nie wygląda, mój pupil jest młodzieńcem ambitnym.

- Ma ksiądz rację - odparła pani Denis. - Gdy ktoś posiada talenty i oblicze takie jak pan, może zająć, moim zdaniem, wysoko.

- Ależ, droga pani - obruszył się ksiądz Brigaud - jeżeli już od pierwszego wejrzenia będziesz go pani tak rozpieszczać, nie przyprowadzę go tu więcej! A zatem miej się na baczności, Raulu, mój chłopcze - zwrócił się ojcowskim tonem do kawalera - mam nadzieję, że nie wierzysz ani jednemu słowu pani Denis. - Po czym, nachylając się do jej ucha: - Jak go tu pani widzisz - dorzucił - mógł być pozostać w Sauvigny i zajmować tam poczesne miejsce: ma trzy okrągłe tysiące liwów renty w nieruchomościach.

- Tyle akurat zamierzam dać w posagu każdej z córek - odparła pani Denis podnosząc głos, by kawaler dobrze ją usłyszał, i obrzuciła go spojrzeniem, chcąc przekonać się, jakie wrażenie wywiera na nim zapowiedź takiej hojności.

Nieszczęśliwym trafem kawaler nie myślał bynajmniej o zabezpieczeniu przyszłości córek pani Denis ani też bynajmniej o połączeniu trzech tysięcy liwów, którymi szczodra matka zamierzała wywianować swoje córeczki, z tysiącem talarów renty, w jaką "zaopatrzył" go ksiądz Brigaud; myślał zupełnie o czymś innym. Falset panny Emilii, kontralt panny Atenais, ubóstwo akompaniamentu każdej z nich przywiodły go do wspomnień o głosie czystym i giętkim, o dystyngowanym i biegłym wykonaniu muzyki przez nieznaną sąsiadkę. Rezultatem tego okazało się, że - dzięki potędze osobliwego skupienia, w jakim pogrąża nas poważne zaangażowanie uczuciowe wywierając tym samym wpływ na otaczającą nas rzeczywistość - kawaler uszedł przed zgielkiem dobiegającym z przyległego pokoju; zamknął się w sobie i podążał za słodką melodią, która wiła się w jego pamięci i choć, nieobecna, potrafiła odgradzić go, niby zaczarowany pancerz, od ostrych, krzykliwych tonów słabnących nareszcie wokół niego.

- Czy ksiądz widzi, jak on słucha? - szepnęła pani Denis do księdza Brigaud. - Prawdziwa to przyjemność ponosić koszt dla takiego człowieka jak on. Oj, zmyję ja głowę panu Fremond!

- A któż to taki, ów pan Fremond? - spytał ksiądz nalewając sobie wina.

- To lokator z trzeciego piętra, złośliwiec, drobny rentier, tysiąc dwieście liwów, przez jego mopsa doznałam już sporo nieprzyjemności od innych lokatorów, on zaś ośmielił mi się

poskarżyć, że pan Raul przeszkadzał spać i jemu, i jego psu!

- Moja droga pani - rzekł ksiądz Brigaud - nie warto z tej racji klócić się z panem Fremond. Druga nad ranem to pora istotnie niestosowna, jeśli mój pupilek nie ma ochoty spać, niech grywa we dnie, a nocą maluje.

- Jakże to! Więc pan Raul również maluje? - zawołała pani Denis wniebowzięta z powodu nadmiaru talentów młodzieńca.

- Czy rysuje? Jak Mignard!

- O, mój drogi księżu - powiedziała pani Denis składając ręce - gdybyśmy tak mogli prosić go o jedną rzecz...

- Jaka? - spytał ksiądz.

- GDybyśmy mogli prosić, żeby namalował portret naszej Atenais.

Kawaler ocknął się raptem z zadumy, niczym podróżny śpiący na trawie, który jeszcze w czasie snu czuje, że żmija pełźnie ku niemu, i odgaduje instynktem zagrażające mu wielkie niebezpieczeństwo.

- Proszę księdza! - zakrzyknął przerażony, wlepiając wściekły wzrok w duchownego. - Tylko bez głupstw, mój księżu!

- O, Boże, a cóż to się stało pupilowi księdza? - spytała zaskoczona pani Denis.

Na szczęście w chwili, kiedy ksiądz dość skłopotany, co ma odpowiedzieć pani Denis, poszukiwał uczciwego wybiegu, by omamić ją co do znaczenia protestu kawalera, drzwi się otworzyły ukazując obie zarumienione panny Denis, które stanąwszy - jedna po lewej, druga po prawej stronie jadalni - wykonały ukłony z menueta.

- A cóż to, moje panny - ozwała się matka przybierając surowy ton - cóż to ma znaczyć? Kto wam pozwolił opuścić wasz pokój?

- Mamo - ozwała się jedna z panien, którą po piskliwym głosie rozpoznał kawaler jako Emilię - przepraszamy cię gorąco i jeśli popełniłyśmy błąd, jesteśmy gotowe wrócić do naszego pokoju.

- Ależ, mamu - ozwał się niski głos, po którym d'Harmental rozpoznał Atenais - zdawało się nam, że jak to było ustalone, miałyśmy zjawić się tu przy deserze.

- No, to zostańcie, panienki, skoro już tutaj jesteście. Byłoby śmieszne, gdybyście miały

teraz odejść. A zresztą - dodała pani Denis sadzając Atenais między sobą i księdzem Brigaud, Emilię zaś między sobą i kawalerem - młode damy dobrze się zawsze czują pod skrzydłami matki, nieprawdaż, księżu?

I pani Denis podała dziewczętom talerzyk pełen cukierków, po które sięgnęły koniuszkami palców ze skromnością świadczącą o starannym wychowaniu, jakie otrzymały: panna Emilia wzięła pralinę, panna Atenais - diablotynę.

Podczas gdy pani Denis rozprawiała i krzątała się wokół dziewcząt, kawaler mógł przyrzeć się im dokładnie. Panna Emilia była wysoka, miała lat dwadzieścia kilka i, jak twierdziła, odznaczała się doskonałym podobieństwem do ojca, nieboszczyka pana Denis, które to podobieństwo nie wystarczało jednak do zapewnienia jej takiego samego udziału w macierzyńskich uczuciach, jakim cieszyło się dwoje pozostałych dzieci pani Denis. Toteż Emilia żyła w wiecznej obawie, że popełni coś niewłaściwego i będzie złajana; pozostała jej też owa wrodzona niezręczność, której nawet lekcje mistrza tańca, wciąż powtarzane, nie zdołały wykorzenić. Co do panny Atenais, była ona krańcowym przeciwieństwem siostry, mała tłuścioszka, rumiana, okrągłutka, która dzięki swoim szesnastu czy siedemnastu latom posiadała to, co powszechnie nazywają urokiem. Atenais nie była podobna do ojca ani do matki, osobliwość, która jątrzyła niemiłosiernie złe języki z ulicy Saint-Martin, póki pani Denis nie sprzedała swojego posagu i nie przeniosła się do domu, który na prawach wspólnoty małżeńskiej nabyli oboje przy ulicy du Temps-Perdu. Pomimo braku podobieństwa do rodziców panna Atenais była zdecydowaną ulubienicą pani matki, co dawało jej pewność siebie, tak rozpaczliwie nie dopisującą biednej Emilii. Będąc zacną dziewczyną, Atenais korzystała z owych łask - trzeba to zapisać na jej dobro - aby wyjednać przebaczenie dla rzekomych przewinień starszej siostry. A ponadto, kawaler, jako rysownik, był też i fizjonomistą, zdołał tedy zauważyć na pierwszy rzut oka pewne linie zbieżne na obliczu księdza Brigaud i panny Atenais, co w połączeniu z dziwnym podobieństwem kształtów mogłoby w ostateczności doprowadzić ciekawe osoby do rozwiązania zagadki ojcostwa, gdyby tego rodzaju poszukiwania nie były słusznie przez nasze prawo zakazane.

Obie siostry, choć była zaledwie jedenasta, wystroiły się jak na bal i miały na dekoltach, ramionach i w uszach wszystko, co posiadały z biżuterii.

Wygląd ich, tak zgodny z obrazem, jaki d'Harmental naszkicował sobie w wyobraźni, jeśli idzie o córki gospodyni domu, stał się dla niego przedmiotem nowych rozważań. Skoro panny Denis były akurat takie, jakie być powinny, to znaczy pasowały jak ulał do swojego stanu, czemu Batylda, która zdawała się żyć w warunkach zaledwie podobnych, była tak nieporównywalnie dystygowana, podczas gdy Emilia i Atenais były tak wulgarne i pospolite? Skąd się brała ta ogromna różnica między dziewczętami w tym samym wieku, należącymi do tej samej klasy, a przecież tak innymi, jeśli chodzi zarówno o wygląd, jak o umysł? Musiał w tym tkwić jakiś osobliwy sekret, który nasz kawaler pozna niewątpliwie pewnego dnia.

Nowe przywołanie do porządku, jakie stopa księdza Brigaud skierowała do d'Harmentalą, dało mu do zrozumienia, że choć w swych rozważaniach mógł mieć rzeczywiście słuszość, moment, jaki obrał, by je snuć, jest w najwyższym stopniu nieodpowiedni. W istocie pani Denis przybrała tak znacząco godną minę, że d'Harmental stwierdził, iż nie ma ani sekundy do stracenia, jeśli chce zatrzeć fatalne wrażenie, jakie jego dystrakcja na niej wywarła.

- Łaskawa pani - ozwał się z najwdzięczniejszym, jaki tylko zdołał przybrać, wyrazem twarzy - skoro poznałem część pani rodziny, ten widok napawa mnie chęcią dostąpienia zaszczytu poznania jej w całości. Czy pani syn nie znajduje się w jakimś zakątku domu i czy nie mógłbym doznać radości, by mu pani mnie przedstawiła?

- Panie kawalerze - odparła pani Denis, której owa interpelacja przywróciła cały wigor - mój syn pracuje obecnie u prokurenta, pana Joulu, i o ile jakieś sprawy nie przywiodą go do naszej dzielnicy, nie dostąpi honoru poznania pana.

- Do kroćset, drogi pupilu - przerwał ksiądz Brigaud wyciągając rękę w kierunku drzwi - podobnyś do nieboszczyka Aladyna, wystarczy bowiem, byś wypowiedział jakieś życzenie, a już się ono spełnia.

Istotnie usłyszano w tej samej chwili rozbrzmiewającą na schodach piosenkę o panu de Marlborough, która w owym czasie posiadała urok nowości, i drzwi, bez żadnego poprzedzającego to znaku, otwały się szeroko; na progu ukazał się tęgi chłopak o rozradowanej twarzy, mającej wiele wspólnego z rysami panny Atenais.

- A to ci dopiero! - powiedział nowo przybyły krzyżując ramiona i przyglądając się

rodzinnemu gronu, poszerzonemu o księdza Brigaud i kawalera d'Harmentalą. - No, no! Mamcia Denis wcale się nie krępuje! Wysłała Bonifacego do pracy z kromką chleba i kawałkiem sera! Powiada mu: "Idź, mój kochany, i zważaj na niestrawność", a podczas jego nieobecności wydaje ucztę i przyjęcia. Na szczęście ten biedak Bonifacy ma dobrego nosa. Przechodząc ulicą Montmartre chwytą wiatr i myśli sobie: "Cóż to tak ładnie pachnie na ulicy du Tamps-Perdu, w domu numer pięć?". No i przyszedł, oto jest. Proszę o miejsce!

I zespalając z czynem opowieść, Bonifacy przyciągnął do stołu krzesło spode drzwi, po czym zasiadł między księdzem Brigaud i kawalerem.

- Mój Bonifacy - ozwała się pani Denis usiłując przybrać surową minę - czyż nie widzisz, że są tu obcy?

- Obcy? - powtórzył Bonifacy sięgając po półmisek i umieszczając go przed sobą, - Gdzież są ci obcy? Jego wielbność papa Brigaud? A może pan Raul? On nie jest kimś obcym, jest lokatorem.

I zawładnąwszy sztuczkami, które kładzie się zwykle na stole, by służyły do nabierania z półmisków, uwijał się koło jadła w taki sposób, by przekonać o zmarnowanym czasie tych, co go już wyprzedzili.

- Dalibóg, łaskawa pani - ozwał się kawaler - z radością spostrzegam, że zaszedłem dalej, niżlim sądził, bo nie miałem pojęcia, że pan Bonifacy mnie już zna!

- Byłoby to nawet komiczne, gdybym pana nie znał - powiedział z pełnymi ustami trzeci klerk prokurenta - bo to pan dostałeś mój pokój.

- O, łaskawa pani - ozwał się d'Harmental - zataiłaś, pani, przede mną, że mam zaszczyt dziedziczyć mieszkanie prawowitego spadkobiercy rodu. Wcale się już nie dziwię, że ten pokój jest tak pięknie urządzone. Widać w tym matczyną troskliwość.

- I niechże panu dobrze służy! A jeśli wolno mi, panie, udzielić przyjacielskiej rady, nie wyglądaj za często przez okno.

- A to dlaczego? - zdziwił się d'Harmental.

- Dlaczego? Bo masz tam pan vis-a-vis sąsiadeczkę...

- Pannę Batylde! - wykrzyknął kawaler wiedziony pierwszym odruchem.

- To pan już ją znasz? - zapytał Bonifacy. - Coś podobnego! No to wszystko pójdzie jak

po maśle.

- Zechcesz waść milczeć, Bonifacy! - zawołała pani Denis.

- Proszę, proszę - ciągnął Bonifacy. - TRzeba przecież uprzedzić lokatorów o wszystkich pułapkach i zagrożeniach.

- Co za dowcipny chłopak - powiedział ksiądz Brigaud żartobliwie, tonem, który nigdy nie pozwalał osądzić, czy ksiądz drwi, czy mówi poważnie.

- Ale cóż może być wspólnego między panem Raulem i panną BAtyldą? - spytała pani Denis.

- Co wspólnego? To, że za tydzień będzie zakochany jak szaleniec lub nie będzie mężczyzną, a przecież nie warto kochać kokietki.

- Kokietki? - zdziwił się ponownie d'Harmental.

- To kokietka, kokietka - upierał się Bonifacy. - Powiedziałem i nie cofnę tego. Kokietka, która udaje wobec młodych ludzi skromniśnię, a mieszka ze starcem. Nie mówiąc już o tej łajdaczce Mirzie, która zjadała wszystkie moje cukierki, a teraz, ilekroć ją spotykam, łapie mnie zębami za łydki.

- Moje panny, wyjdźcie natychmiast! - krzyknęła pani DENIS podrywając dziewczęta. - Wyjdźcie! Nie przystoi uszom tak czystym jak wasze słuchać takich bezeceństw.

Popchnęła pannę Atenais oraz pannę Emilię do ich pokoju i weszła tam za nimi.

D'Harmental natomiast poczuł, że ogarnia go straszliwa chęć, by roztrzaskać butelką głowę pana Bonifacego. Ale przewidując śmieszność takiej sytuacji, próbował zapanować nad sobą.

- Sądziłem jednak - odezwał się - że ten poczciwy mieszczanin, którego dostrzegłem kiedyś na tarasie, bo o nim zapewne pan mówisz, panie Bonifacy...

- Właśnie o nim, o tym starym łajdaku! No, proszę, i któż by się o nim tak wyraził!

- Czy to jej ojciec? - nie przestawał go wypytywać d'Harmental.

- Jej ojciec? Czy w ogóle panna Batyllda ma jakiegoś ojca? Nie ma go wcale!

- No to może wuj?

- Aha, wuj! Chyba na modłę bretońską. Boć na pewno nie inaczej.

- Mój panie synu - powiedziała majestatycznie pani Denis wychodząc z pokoju córek,

które zamknęła chyba w najodleglejszej części apartamentu - prosiłam cię już, abys raz na zawsze powstrzymał się od lekkomyślnych słów w obecności twoich panien sióstr.

- Zgoda, zgoda! - brnął dalej bez zastanowienia Bonifacy. - Moje panny siostry! Czy sądzisz, mamciu, że nie mogą one, będąc w tym wieku, zwłaszcza Emilia, która ma już dwadzieścia trzy lata, słyszeć tego, co mówię?

- Emilia jest niewinna jak nowo narodzone dziecko - oświadczyła pani Denis siadając między księdzem Brigaud i d'Harmentalem.

- Niewinna! Licz na to, pani mamciu, i popijaj spokojnie wodę. Znalazłem naprawdę zajmujący romans w pokoju naszego niewiniątka... i to w czasie Wielkiego Postu! Pokażę go księdzu, jest jej spowiednikiem. Przekonamy się, czy to ksiądz pozwolił jej tak się umartwiać w Wielkim Poście.

- Zamilknij wreszcie, niedobry figlarzu - wtrącił ksiądz. - Widzisz przecie, jak ranisz matkę.

W istocie pani Denis, dusząca się niemal z gniewu i wstydu, że tego rodzaju scena, przynosząca sromotę reputacji jej córek, rozegrała się w przytomności młodzieńca, wobec którego w macierzyńskim odległym przewidywaniu powzięła już może jakieś zamysły, była bliska omdlenia.

Nie istnieje nic, w co mężczyźni mniej by wierzyli aniżeli w omdlenia kobiet, a jednak nie ma również nic, na co łatwiej daliby się nabrać. Zresztą, bez względu na to, czy d'Harmental uwierzył, czy nie, był nazbyt dobrze ułożony, by w podobnych okolicznościach nie okazać swojej gospodyni zainteresowania. Rzucił się do niej z wyciągniętymi ramionami, co widząc pani Denis, nie znalazłszy innego punktu oparcia, pochyliła się w tę stronę, gdzie jej pomoc ofiarowywano, odrzuciła głowę do tyłu i zemdląła w ramionach kawalera.

- Proszę księdza - rzekł d'Harmental, podczas gdy Bonifacy skorzystał z sytuacji, by wepchnąć sobie do kieszeni resztę pozostałych na stole cukierków - niechże ksiądz będzie łaskaw przysunąć fotel.

Ksiądz popchnął fotel bez pośpiechu, jak człowiek nawykły do takich wydarzeń i znający z góry ich następstwa. Posadzili na nim panią Denis. D'Harmental podsuwał jej sole, ksiądz Brigaud klepał ją lekko po rękach; ale pomimo tych usilnych zabiegów pani Denis nie

zamierzała bynajmniej odzyskać zmysłów, aż tu nagle, gdy najmniej się tego spodziewano, poderwała się na nogi jak wyrzucona sprężyną i przeraźliwie wrzasnęła. D'Harmental sądząc, że to atak nerwowy po omdleniu, zląkł się na serio, gdyż tak wiele było nieklamane go strachu w krzyku, jaki wydarł się z gardła biednej kobiety.

- Nic się nie stało! Nic się nie stało! - powiedział Bonifacy. - Wylałem jej na plecy trochę wody, która została w karafce. To ją ocuciło. Widzieliście przecież, że nie miała pojęcia, jak wrócić do przytomności. No i co? - plótł bezlitosny nicpoń, na którego matka skierowała straszliwe spojrzenie. - Tak, ja to zrobiłem. Czy mnie jeszcze nie poznajesz, mateczko? Ja, twój mały Bonifacy, tak bardzo cię kochający.

- Pani - ozwał się d'Harmental okropnie zakłopotany tą sytuacją - przykro mi niewymownie z powodu tego, co tu zaszło przed chwilą.

- O, drogi panie! - zawołała pani Denis wybuchając płaczem. - Jestem taka nieszczęśliwa!

- No, nie płacz już, mamciu! Jesteś i tak wystarczająco zmoczona - rzekł Bonifacy. - Idź lepiej zmienić koszulę; nie ma nic gorszego dla zdrowia od koszuli lepiącej się do pleców.

- Ten chłopak wykazuje sporo rozsądku - stwierdził BRigaud. - Sądzę, że dobrze pani zrobisz idąc za jego radą.

- Gdybym śmiał dołączyć moje prośby do rad księdza - wtrącił d'Harmental - zaproponowałbym pani, abyś się nami zupełnie nie krępowała. Zbliża się zresztą moment, kiedy musimy panią pożegnać, pilno nam bowiem odejść.

- To i ksiądz także? - spytała pani Denis obrzucając duchownego wzrokiem pełnym rozpacz.

- Bo mnie - powiedział Brigaud, którego, jak się zdaje nie pociągała zbytnio rola pocieszyciela - oczekują w Hotel Colbert; zmuszony więc jestem panią opuścić.

- Żegnajcie tedy, panowie - rzekła pani Denis składając rewerans, któremu woda, spływająca teraz z góry ku dołowi, odebrała cały majestat.

- Żegnaj, mamuś - zaszczębiotał Bonifacy i z pewnością siebie rozpieszczonego ladaco zarzucił obie ręce na szyję pani Denis.

- Może mam coś powtórzyć panu Joulu?

- Idź sobie, wstrętny chłopaku! - odpowiedziała nieszczęsna całując syna, na poły jeszcze zagniewana, na poły uśmiechnięta, ale nie umiejąca się oprzeć, jak to matka, przemożnej czułości. - Idź i bądź grzeczny!

- A może grzeszny, mamciu, co? Ale pod warunkiem, że przygotujesz nam jakieś słodziutkie danko na obiadek, dobrze?

I trzeci klerk prokurenta Joulu popędził wielkimi susami, by dogonić Brigaud i d'Harmentala znajdujących się już na podeście.

- A cóż to znowu, łotrzyku! - zachnął się ksiądz Brigaud łapiąc się za swoją kieszeń. - Czego tu szukasz?

- Nie zwracaj na to uwagi, papo Brigaud. Sprawdzam tylko, czy w twojej kieszonce nie znalazłby się jakiś mały grosik dla twojego przyjaciela, Bonifacego.

- No to masz duży - powiedział ksiądz - i zostaw nas w spokoju. Zmiataj.

- Papo Brigaud - zawołał Bonifacy w przypiływie wdzięczności - masz serce kardynała i jeśli król nie zrobi cię arcybiskupem, na honor, będziesz okradziony w połowie! Żegnaj, panie Raulu - zwrócił się do kawalera z taką poufałością, jakby znał go od dziesięciu lat. - Powtarzam ci, strzeż się panny Batyldy, jeżeli chcesz zachować dla siebie serce, i podsuń Mirzie trującą pigułkę, jeśli zależy ci na całości twoich łydek!

I chwyciwszy się jedną ręką poręczy, przesadził błyskawicznie dwanaście stopni z pierwszego piętra na parter, ani przez moment nie dotykając schodów.

Brigaud zszedł znacznie spokojniejszym krokiem za swoim przyjacielem Bonifacym, umówiwszy się na ósmą wieczór z d'Harmentalem. A co do kawalera, piął się on w zamyśleniu na swoją mansardę.

XIV. Pąsowa kokarda

Tym, co najbardziej zaprzętało umysł kawalera, nie było bynajmniej rozwiązanie dramatu, w którym przyjął tak ważną rolę, ani godna podziwu przezorność księdza Brigaud, który umieścił go w domu, gdzie sam miał zwyczaj od lat dziesięciu przychodzić niemal co dnia i gdyby te wizyty stały się nawet częstsze, nie zostałyby w ogóle zauważone. Nie rozmyślał o pompatycznym słownictwie pani Denis ani o sopranie panny Emilii, ani też o kontralcie panny Atenais, ani nawet o psotach pana Bonifacego: myślał po prostu o biednej Batyldzie, którą w domu jego gospodyni, jak to właśnie stwierdził, traktowano tak lekko.

Ale nasz czytelnik omyliłby się na pewno, sądząc, że brutalne oskarżenia pana Bonifacego ugodziły w nie określone jeszcze i nie uświadamiane uczucia, jakie kawaler żywił dla pięknego dziewczęcia. Pierwsze wrażenie było oczywista bardzo przykre i rzecz budziła niesmak; ale zastanowiwszy się, a wystarczyło na to paru sekund, d'Harmental uznał tego rodzaju związek za niemożliwy. Przypadek może w ostateczności sprawić, że mężczyzna pozbawiony zupełnie dystynkcji spłodzi tak czarującą córkę; konieczność może połączyć młodzieńca, wytworną kobietę ze starym, pospolitym mężem, lecz tylko miłość bądź interes kojarzą związki nielegalne, a o taki związek właśnie podejrzewano pannę z czwartego piętra i jegomościa z tarasu. Owóż tych dwóch, tak diametralnie odmiennych istot, nie mogła łączyć miłość; co zaś do przyczyn natury materialnej, podejrzenia wydawały się jeszcze mniej prawdopodobne, bo jeśli nawet sytuacja obojga nie graniczyła z nędzą, nie wznosiła się jednak powyżej przeciętnej; i nawet nie wchodziło tu w grę owo złote umiarkowanie, o którym wspomina Horacy, ale które pozwala na życie w wiejskim domu w Tibur lub w Montmorency, dzięki trzydziestu tysiącom sestercji wypłacanych ze szkatuły Augusta lub dzięki zapisowi sześciu tysięcy franków w księgach handlowych. Ta bowiem "umiarkowana" egzystencja była nad wyraz skromna i pozwalała tylko wiązać koniec z końcem, a mogła stoczyć się aż do całkowitego ubóstwa, gdyby nie podtrzymywała jej nieustanna, zażarta praca do późnej nocy.

Z tego wszystkiego d'Harmental wysnuł tylko ten wniosek, że Batyllda nie jest ani córką, ani żoną, ani kochanką prostaka, którego sam widok wystarczył, by tak osobliwie oddziaływać na rodzącą się miłość kawalera. A zatem jeśli żadna z trzech ewentualności nie może być brana

pod uwagę, to musi istnieć jakaś tajemnica dotycząca pochodzenia Batyldy, i Batylda nie jest tą osobą, za jaką uchodzi. I tu już wszystko stawało się jasne: arystokratyczne maniery, subtelna uroda, czarujący wdzięk, staranna edukacja przestawały być zagadką nie do rozwiązania. Położenie, w jakim chwilowo znajdowała się Batylda, wynikało niechybnie z zachwiania się fortuny, które dla ludzi są tym, czym dla miast trzęsienie ziemi: coś runęło w jej życiu i musiała zstąpić aż do tej niskiej sfery, w jakiej obecnie wegetowała: była niczym jeden ze strąconych aniołów, zmuszonych żyć przez pewien czas życiem ludzi, ale czekających na dzień, kiedy Bóg zwróci im skrzydła, by mogły wzbić się do nieba.

Krótko mówiąc, d'Harmental mógł pokochać Batyldę nie tracąc szacunku dla samego siebie. Kiedy serce zмага się z dumą, dysponuje cudownymi zasobami, by zmylić swojego wyniosłego i gniewnego wroga. GDyby Batylda miała nazwisko, przynależała do jakiejś klasy, nie zdołałaby wyjść poza krąg Popiliusza, zakreślony wokół niej przez rodzinę; skoro jednak nie miała ani nazwiska, ani rodziny, skoro z mroku, jaki ją spowijał, wynurzała się olśniewając blaskiem - nic nie stało na przeszkodzie wyobraźni zakochanego młodzieńca; wznosił ją w swoich nadziejach na takie wyżyny, do jakich nie śmiałyby sięgnąć nawet spojrzeniem.

W konsekwencji więc, daleki od zastosowania się do rad, które pan Bonifacy przekazał mu tak życzliwie, d'Harmental, ledwie znalazł się u siebie, podbiegł do okna: zobaczył, że okno sąsiadki jest otwarte na roścież.

Gdyby mu powiedziano tydzień temu, iż taka prosta rzecz jak otwarte okno przyprawi go o szybsze bicie serca, przyjąłby śmiechem podobną supozycję. A jednak właśnie tak było - i przyłożywszy na chwilę rękę do piersi, jak ktoś, kto oddycha nareszcie swobodnie po długotrwałym ucisku, drugą rękę oparł o ścianę, by zza jej rogu popatrzeć na dziewczynę, nie będąc przez nią widzianym, gdyż obawiał się, że rozgniewa ją jak dnia poprzedniego, z racji tej nieustannej uwagi, której była przedmiotem i którą mogła przypisać li tylko jego ciekawości.

Po chwili d'Harmental zorientował się, że w izbie naprzeciw nie ma nikogo; ruchliwa i gibka dziewczyna przesunęłaby się już z dziesięć razy przed jego oczyma, gdyby była obecna. D'Harmental z kolei otworzył swoje okno i wszystko potwierdziło jego przypuszczenia; łatwo było nawet dostrzec, że dbająca o porządek i symetrię dłoń starej gospodyni

wprowadziła tam ład, zamknawszy nawet hermetycznie klawesyn; nuty, zazwyczaj rozrzucone, ułożono w stos, na którym parę woluminów, poukładanych wedle wielkości, tworzyło rodzaj piramidy, a kawałek wspaniałej gipiury na krześle zwiślał równiutko po obu stronach oparcia. Domysł kawalera zamienił się niebawem w pewność, gdy na łoskot otwieranego okna uniósł się wąski pyszczek charciczki; miała ona uszy zawsze czujne, aby być godną zaszczytnej funkcji strażniczki domu swej pani; obudziła się teraz i stanawszy na poduszce, rozglądała się dokoła w poszukiwaniu natręta, co ośmielił się przerwać jej sen.

Dzięki niedyskrecji pocziwca z tarasu i niewygasłej urazie pana Bonifacego kawaler dowiedział się dwóch niezmiernie ważnych rzeczy, a mianowicie: że jego sąsiadka ma na imię Batylida, słodkie, łagodne imię, nadzwyczaj pasujące do pięknej i wytwornej dziewczyny, oraz że charciczka wabi się Mirza, co wskazywało, że suczka zajmuje pewną pozycję wśród arystokracji psiej rasy.

Owóż niczym nie należy gardzić, gdy się pragnie zdobyć fortecę; często najbliższe wiadomości z obleganej twierdzy okazują się skuteczniejsze od najpotężniejszych machin oblężniczych; d'Harmental postanowił tedy nawiązać przyjazne stosunki z charciczką i najśłodszym, najbardziej pieszczotliwym głosem, na jaki się potrafił zdobyć, zawołał:

- Mirza!

Mirza, która leżała już gnuśnie na poduszce, podniosła żywo pyszczek z wyrazem zdziwienia, doskonale wyrażonego; istotnie musiało się wydać dość osobliwe inteligentnej i wrażliwej suczce, że całkiem jej nie znany mężczyzna, czyli nasz kawaler, ośmiela się zwracać do niej po imieniu otrzymanym na chrzcie. Toteż poprzestała na wpatrywaniu się niespokojnie w kawalera; oczy jej lśniły w półmroku niczym karbunkuły; przebierała przednimi łapkami i wydawała głuche pomruki, które mogły uchodzić za warczenie.

D'Harmental przypomniał sobie, że markiz d'Uxelle oblaskawił spaniela panny Choin - bestię stokroć bardziej zajadłą niż wszystkie charciczki świata - przy pomocy pieczonych łebków króliczych, a wyszedłszy zwycięsko z tej delikatnej próby, otrzymał buławę marszałka Francji; kawaler nie utracił więc nadziei, że podobnie uwodzicielską sztuką udobrucha pannę Mirzę, która jego awanse przyjmowała gniewnym warczeniem, i poszedł po cukiernicę mrużąc sobie pod nosem:

Szanuj psiego rodu protekcje łaskawe,
bo sięgają swą mocą królewskiego dworu;
przez fortel marszałkowską zdobędziesz buławę
i zaszczyty płynące z monarszych faworów.

Po czym wrócił do okna uzbrojony w dwie bryłki cukru dostatecznie duże, aby można je było dzielić w nieskończoność.

Kawaler nie omylił się; gdy pierwszy kawałek cukru upadł koło niej, Mirza wyciągnęła nonszalancko szyję, potem upewniona węchem co do rodzaju przynęty, wysunęła łapę, przyciągnęła kostkę do pyska, chwyciła ją końcami zębów, z siekaczy przesunęła na zęby trzonowe i zaczęła chrupać cukier z omdlewającą miną właściwą rasie, do jakiej miała zaszczyt należeć. Ukończywszy tę czynność, oblizła wargi różowym jęczyzkiem, co dowodziło, iż mimo pozornej obojętności, świadczącej o doskonałej edukacji, nie jest nieczuła na miłą niespodziankę, jaką zgotował jej sąsiad. I zamiast znów położyć się na poduszce, siadła poziewając smętnie, pełna morbidezzy, ale merdając ogonem na znak, że jest gotowa całkiem się obudzić, jeśli za owo przebudzenie zostaną jej wyświadczony dwie lub trzy grzeczności, podobne do tej, jakiej doznała przed chwilą.

D'Harmental, który wiedział, jak postępują wszystkie king.s-charles-dogs najpiękniejszych kobiet epoki, zrozumiał doskonale, czemu zawdzięcza względy okazywane mu przez pannę Mirzę, i nie chcąc ich stracić, cisnął następny kawałek cukru; tym razem wszakże starał się, by upadł on nieco dalej, żeby zmusić suczkę do opuszczenia poduszki i pofatygowania się po przysmak. Była to próba, mająca dowieść, ku któremu z dwóch grzechów głównych - lenistwu czy łakomstwu - skłania się bardziej jego przyszła - jak to już postanowił - współniczka. Mirza wahała się przez chwilę, ale łakomstwo wzięło górę i ruszyła w głąb pokoju po kawałek cukru, który potoczył się pod klawesyn; lecz w tym samym momencie trzeci kawałek upadł koło okna, a Mirza, wciąż podlegając prawu przyciągania, pomaszerowała od drugiego do trzeciego, tak jak przedtem od pierwszego do drugiego; ale tutaj skończyła się pobłażliwość kawalera: uznał, że dał już dostatecznie dużo, aby i jemu coś ofiarowano; ograniczył się więc do ponownego wezwania, teraz jednak tonem bardziej

rozkazującym: "Mirza!" - krzyknął pokazując jej resztę trzymanego w garści cukru.

Mirza, tym razem, miast spojrzeć na kawalera z niepokojem lub pogardą, stanęła na tylnych łapach, przednie oparła o parapet i zaczęła stroić do niego miny jak do kogoś od dawna jej znanego: koniec próby. Mirza była oswojona.

Kawaler zdał sobie sprawę, że aby dojść do takiego rezultatu, potrzebował akurat tyle czasu, ile zajęłoby mu uwiedzenie pokojowej złotem, a diuszesy diamentami.

Teraz on z kolei zaczął z góry traktować Mirzę i przemawiać do niej, aby przywykła do jego głosu. A jednak obawiając się ze strony swojej rozmówczynie - która w miarę możliwości podtrzymywała dialog cichym skomleniem i łagodnym pomrukiwaniem - nawrotu pychy, rzucił jej czwarty kawałek cukru, a suczka skoczyła po niego tym żwawiej, że kazano jej dłużej na przysmak czekać, i - nie przywołana tym razem - zajęła z własnej woli miejsce przy oknie.

Zwycięstwo kawalera było całkowite.

Do tego stopnia całkowite, że Mirza, która poprzedniego dnia zaprezentowała dowody znacznej inteligencji, kiedy wyrzawszy na ulicę pobiegła ku drzwiom, a potem na schody, by przywitać wracającą Batyldę, tym razem nic po sobie nie dała poznać, tak że Batylda, stanąwszy nagle w progu, przyłapała ją na słodkich minkach, jakie stroiła do sąsiada. Trzeba jednak gwoli sprawiedliwości powiedzieć, że Mirza posłyszawszy stuknięcie otwieranych drzwi, jakkolwiek ogromnie zajęta, odwróciła się i jednym susem znalazła się przy swojej pani łasząc się do niej jak najczulej; ale spełniwszy ów niby obowiązek, wróciła spiesźnie do okna ku hańbie swojej rasy. To niezwykłe zachowanie się charciczki powiodło oczywiście wzrok Batyldy ku temu, co było tego przyczyną. Jej oczy napotkały oczy kawalera. Batylda zarumieniła się, kawaler skłonił się i dziewczyna, nie bardzo wiedząc, co robi, odwzajemniła ukłon.

W pierwszym odruchu chciała zamknąć okno, ale powstrzymała się instynktownie: pojęła, że w ten sposób nadałaby wagę temu, co tej wagi nie posiada wcale, a przybierając pozycję obronną, wyznałaby, iż czuje się zaatakowana. Przeszła tedy bez najmniejszej ostentacji przez pokój i zniknęła w tej jego części, do której wzrok sąsiada nie mógł już dotrzeć. W kilka chwil później ośmieliła się wrócić i spostrzegła wówczas, że kawaler zamknął swoje okno. Zrozumiała, ile dyskrecji znamionuje ów gest sąsiada, i była mu za to wdzięczna.

Rzeczywiście d'Harmental wymierzył cios mistrzowski z pozycji niezbyt dogodnej, w jakiej się znajdował wobec pięknej sąsiadki; oba okna, tak blisko siebie położone, nie mogły być otwarte jednocześnie; owóż jeśli okno d'Harmentala było otwarte, okno naprzeciwko zamykano z konieczności, i jakże starannie je zasłaniano! Kawaler już wiedział o tym co nieco; zza firanek, które niemal je zasklepiały, nie mógł widzieć nawet czubka noska Mirzy; natomiast gdy okno d'Harmentala było zamknięte, przeciwległe okno mogło być odsłonięte i wówczas widział, jak dziewczę krząta się po pokoju lub pracuje, a widok ów stanowił miłą rozrywkę dla biedaka skazanego na całkowite odosobnienie. Zrobił też potężny krok naprzód w nawiązaniu znajomości z Batyldą: złożył jej ukłon, na który odpowiedziała ukłonem. Nie byli tedy już tak zupełnie sobie obcy: to jakby początek znajomości, zapowiadający ciąg dalszy; nie należało niczego przyśpieszać, tylko czekać na szczęśliwy traf; słówko, dorzucone do ukłonu, najpewniej zgubiłoby d'Harmentala; lepiej pozostawić Batyldę w przekonaniu, że wszystko to jest dziełem przypadku. Batylda nie wierzy w to, ale bez trudu może udawać, że wierzy. W rezultacie odsłoniła okno, a widząc, że okno sąsiada jest wciąż zamknięte, siadła z książką w rękę przy swoim.

Mirza zaś wskoczyła na stojący u stóp pani taboret, gdzie zwykła siadać. Ale zamiast położyć pyszczek na smukłych kolanach dziewczyny - jak to było w jej zwyczaju - oparła go o kant okiennego parapetu, tak ją bowiem interesował ów hojny nieznajomy pan, rozrzucający pełnymi garściami kawałki cukru.

Kawaler siadł pośrodku pokoju, wziął pastele i, spoglądając przez sprytnie zrobioną szparkę w firankach, zaczął szkicować prześliczny obrazek, jaki miał przed oczyma.

Na nieszczęście była to pora krótkich dni; toteż około trzeciej zniknęła ta odrobina światła, której chmury i deszcz pozwalały spływać z nieba na ziemię, i Batylda zasłoniła okno; kawaler, chociaż dysponował tak małą ilością czasu, ukończył główkę dziewczęcia; podobieństwo do modelu okazało się uderzające, wiemy bowiem, że pastele nadzwyczaj ułatwiają artyście odtworzenie owych delikatnych, subtelnych rysów twarzy, które na płótnie wydają się mniej czyste: falujące się lekko włosy dziewczęcia, cera gładka i przezroczysta, łagodny skłon łabędziej szyi - kawaler osiągnął tu najwyższy poziom sztuki zważywszy, że miał przed sobą jeden z tych trudnych do sportretowania modeli, wprawiających w rozpacz

malarzy.

Gdy noc zapadła, przyszedł ksiądz Brigaud. Odziani w szerokie płaszcze-peleryny ruszyli obaj w kierunku Palais-Royal. Chodziło im, jak pamiętamy, o zbadanie terenu.

Pałacyk zamieszkiwany przez panią de Sabran od chwili, kiedy jej mąż został mianowany ochmistrem regenta, oznaczony numerem 22, znajdował się między pałacem de la Roche-Guyon i pasażem, zwanym niegdyś pasażem Palais-Royal; ulicę des Bons-Enfants z ulicą de Valois łączył tylko ten pasaż; od tamtej pory zmienił on nazwę na pasaż du Lycee; zamykano go na noc, jak wszystkie bramy ogrodu, to znaczy dokładnie o jedenastej wieczór; w rezultacie więc, każdy, kto po tej godzinie chciał opuścić któryś z domów przy ulicy des Bons-Enfants, nie posiadających wyjścia na ulicę de Valois, i znaleźć się w Palais-Royal, musiał zakreślić wielkie koło idąc ulicą Neuve-des-Petits-Champs bądź dziedzińcem des Fontaines.

Tak właśnie usytuowana była siedziba pani de Sabran; ten uroczy pałacyk wybudował pod koniec ubiegłego stulecia, czyli dwadzieścia lub dwadzieścia pięć lat temu, jakiś nie znany mi poborca podatkowy, który małpując wielkich panów zapragnął posiadać jak oni swoją małą rezydencję. Dom był piętrowy, z kamienną galeryjką na górze, osłaniającą mansardy dla służby, zwieńczony lekko pochyłym, prawie płaskim dachem, krytym dachówką; na pierwszym piętrze wzdłuż całej fasady biegł balkon, szeroki na kilka stóp; ale żelazne ornamenty podobne do balkonowych oddzielały dwa boczne okna od trzech środkowych, jak to się często widzi w domach, których mieszkańcy pragną zabezpieczyć się przed intruzami z zewnątrz; tylna fasada była identyczna, z tą tylko różnicą, że - ponieważ ulica de Valois leżała niżej o osiem, może nawet o dziesięć stóp od ulicy des Bons-Enfants - okna parteru oraz drzwi wychodziły na taras, gdzie urządzone ogródek, latem pełen ślicznych kwiatów, górujący nad ulicą i dlatego całkiem od niej odgradzony: wejść do pałacyku i wyjść stamtąd można tedy było, jak już powiedzieliśmy, jedynie od ulicy des Bons-Enfants.

Nasi konspiratorzy nie mogliby nawet marzyć o dogodniejszej sytuacji. Bo istotnie, jeśli regent przybędzie do pałacyku pani de Sabran na piechotę, co jest możliwe, a wyjdzie, co jest prawdopodobne, po jedenastej, zostanie schwytany jak w pułapkę na myszy, gdyż nie będzie już mógł zmienić trasy i znakomicie ułatwi zamach na swoją wolność, ulica des Bons-Enfants

należy bowiem do najciemniejszych w okolicy Palais-Royal.

Ponadto, jako że w tamtych czasach w pobliżu znajdowały się nad wyraz podejrzane domy, i teraz zresztą nie jest inaczej, domy odwiedzane najczęściej przez dość lichą kompanię, można było założyć się stawiając sto przeciw jednemu, że nikt nie zwróci większej uwagi na krzyki; rozlegają się tu nazbyt często, by kogokolwiek mogły zaniepokoić, i gdyby straż nocna nadciągnęła, co stanie się - zgodnie z obyczajami tej czcigodnej policji - nie tak od razu, to zanim rozpocznie ona interwencję, wszystko już będzie skończone.

Kiedy spiskowcy przebadali teren, podjęli decyzje strategiczne i zapisali numer domu, nie pozostało im nic innego, jak się rozstać; ksiądz udał się do arsenału, aby zdać sprawę pani du Maine z dobrego nastroju, jaki nie opuszczał nadal kawalera, d'Harmental natomiast pospieszył do swojej mansardy, na ulicę du Temps-Perdu.

Jak poprzedniego wieczora, okno Batyldy było oświetlone; ale tym razem panna nie rysowała, lecz coś szyła. Światło zgasło dopiero o pierwszej po północy. Poczciwina z tarasu dawno już poszedł do siebie, jeszcze przed powrotem d'Harmentalą.

Kawaler spał tej nocy bardzo kiepsko. Kiedy z jednej strony zaprzęta nasze myśli rodząca się miłość, z drugiej zaś dobiegająca celu konspiracja, trudno wyzwolić się od uczuć, które zakłócają nam sen; nad ranem jednak zmęczenie wzięło górę - i d'Harmental obudził się dopiero wtedy, gdy ktoś silnie potrząsnął go za ramię. Widać śniło mu się coś złego, czego dalszym ciągiem był ów wstrząs, gdyż na poły jeszcze nieprzytomny sięgnął po pistolety, które leżały na nocnym stoliku.

- Ej, ej! - zakrzyknął ksiądz. - Chwileczkę, młodzieńcze, do licha, ależ ci pilno! Otwórz szeroko oczy; dobrze, właśnie tak. Czy mnie poznajesz?

- Cha, cha, cha! - roześmiał się d'Harmental. - Więc to ty, drogi księżu! Dobrze wasza wielebność zrobił, że zawrócił mnie z drogi. Nie w porę ksiądz się zjawia: śniło mi się właśnie, że chciano mnie aresztować.

- To dobry znak - orzekł ksiądz Brigaud - naprawdę dobry znak; wiesz na pewno, że sny się nie spełniają; wszystko pójdzie gładko.

- Jest coś nowego? - spytał d'Harmental.

- Gdyby istotnie rzecz tak się miała, jak byś to pan przyjął?

- Na honor, byłbym uradowany - odparł kawaler. - Kiedy poweźmie się tego rodzaju zamysł, najlepiej zrealizować go czym prędzej.

- No cóż, skoro tak - ozwał się Brigaud i pokazał d'Harmentalowi wyjęty z kieszeni papier - przeczytaj to pan i chwal Boga, bo twoje życzenia spełniają się nadzwyczajnie.

D'Harmental wziął kartkę papieru, rozwinął ją tak spokojnie, jakby chodziło o rzecz nic zgoła nie znaczącą, i ją czytać półgłosem:

Raport z 27 marca,

2 godzina nad ranem

Dziś wieczorem, o dziesiątej, pan regent otrzymał list z Londynu: zapowiedziano w nim przybycie księdza Dubois na jutro, to jest na 28. Jako że regent wieczerzał przypadkiem u madame, depesza mogła mu zostać doręczona mimo późnej pory. Właśnie na parę minut przedtem panna de Chartres poprosiła swojego ojca, aby pozwolił jej udać się do opactwa w Chelles celem odprawienia modłów, i ustalono, że regent sam ją tam odwiezie; ale otrzymawszy ów list zmienił swoje postanowienie: kazał napisać do Rady, by zebrała się dzisiaj w południe.

O trzeciej pan regent uda się do Tuileriów, aby pokłonić się Jego Królewskiej Wysokości; poprosił Jego Wysokość o spotkanie na osobności, gdyż zaczyna go niecierpliwieć upór marszałka de Villeroi, który utrzymuje, iż musi być zawsze obecny przy spotkaniach pana regenta z Jego Wysokością. Krążą pogłoski, że jeśli marszałek będzie się nadal przy tym upierał, może się to dla niego źle skończyć.

O godzinie szóstej pan regent, kawaler de Simiane i kawaler de Ravanne będą wieczerzali u pani de Sabran.

- Ach! Ach! - uradował się d'Harmental.

I przeczytał powtórnie dwie ostatnie linijki, ważąc każde słowo.

- I cóż waść myślisz o tym małym ustępie? - spytał ksiądz.

Kawaler wyskoczył z łóżka, włożył robdeszan, wyciągnął z szuflady w szafie paśową kokardę, wyjął z sekretery młotek oraz gwóźdź i otworzywszy okno - a nie obeszło się bez tego, żeby nie rzucił ukradkowego spojrzenia na okno sąsiadki - przybił kokardę na murze koło

framugi.

- Oto moja odpowiedź - rzekł.

- A cóż, u diabła, może to znaczyć?

- Znaczy to, iż ksiądz może udać się do diuszesy du Maine i powiadomić ją, że mam nadzieję spełnić dziś wieczór obietnicę, jaką jej złożyłem. A teraz bądź łaskaw odejść, drogi księżu, gdyż oczekuję kogoś, kogo lepiej by ci było nie spotkać tutaj. I wróc dopiero za dwie godziny.

Ksiądz, będący wcieleniem ostrożności, nie kazał sobie dwa razy powtarzać tej rady; wziął kapelusz, uściśnął dłoń kawalera i wyszedł co szybciej.

Po dwudziestu minutach wszedł kapitan Roquefinette.

XV. Ulica des-Bons-Enfands

Około ósmej wieczór tego samego dnia, a była to niedziela, w chwili kiedy dość liczna gromadka kobiet i mężczyzn - skupiona wokół ulicznego śpiewaka, który dokazywał cudów grając jednocześnie kolanami na cymbałach, rękoma zaś na bębnie z dzwoneczkami - wypełniała niemal szczelnie wylot ulicy de Valois, jeden muszkieter i dwaj szwoleżerowie wyszli tylnymi schodami z Palais-Royal i zrobili parę kroków w kierunku pasażu du Lycee, który, jak wiemy, prowadzi właśnie na tę ulicę; ale, spostrzegłszy tam zwarty tłum, przystanęli i, jak się zdawało, naradzali się z sobą; rezultatem tej narady była najwyraźniej decyzja, by szukać innej drogi, skoro ta, którą wpierw obrali, jest nie do przebycia; muszkieter dał znak do zmiany manewru: ruszył przez dziedziniec des Fontaines, obszedł róg ulicy des Bons-Enfands, idąc zaś nader szybko, mimo dość pokażnej tuszy, dotarł rychło do domu numer 22, którego drzwi otwały się jak zaczarowane i zamknęły się natychmiast za nim i jego dwoma towarzyszami.

W momencie gdy ci trzej panowie podjęli decyzję co do zmiany trasy, młody mężczyzna w szarym surducie, otulony peleryną tejże barwy, w kapeluszu z szerokim rondem nasuniętym na oczy, opuścił gromadę gapiów wokół grajka i podśpiewując na melodię "Wisielców": "Dwadzieścia cztery! Dwadzieścia cztery! Dwadzieścia cztery!" - pospieszył szparko ku pasażowi du Lycee; kiedy znalazł się na drugim końcu pasażu, zdążył jeszcze zobaczyć, jak trzej dziarscy panowie znikają za drzwiami wspomnianego pałacyku.

Wtedy rozejrzał się dokoła i w świetle jednej z trzech latarni, które dzięki szczodrości magistratu oświetlały, a raczej winny były oświetlać ulicę na całej jej długości, ujrzał jednego z tych tęgich węglarzy, z twarzą koloru smoły, tak dobrze znanych ze stereotypów Greuze'a: człowiek ten oparł się o kamienny słupek przed pałacykiem de la Roche-Guyon i położył na występie muru swoją torbę. Młodzieniec w szarej pelerynie wahał się jakby przez chwilę, czy do niego podejść; ale węglarz z kolei zanucił piosenkę, powtarzając refren z "Wisielców", i wówczas młodzieniec bez najmniejszego wahania ruszył wprost ku niemu.

- No i co, kapitanie - zagadnął - widziałeś ich dobrze?

- Jak pana widzę, pułkowniku; jeden muszkieter i dwóch szwoleżerów; ale nie zdołałem ich rozpoznać; muszkieter zasłaniał sobie twarz chustką, wnoszę więc, że był to regent.

- Otóż to, a dwaj szwoleżerowie to Simiane i Ravanne.

- Ach, ach, to mój uczeń - zaśmiał się kapitan - miło mi będzie znów go zobaczyć. To poczciwy chłopak.

- Ale uważaj, kapitanie, żeby on ciebie nie rozpoznał.

- Mnie rozpoznać! Ależ trzeba być diabłem we własnej osobie, by rozpoznać mnie tak wystrojonego, jak jestem. To pan, kawalerze, winien zastanowić się nieco nad samym sobą. Masz waszmość, niestety, minę wielkiego pana, która wcale nie pasuje do pańskiego ubioru, ale mniejsza o to; teraz, kiedy znajdują się w potrzasku, nie wolno dopuścić, by nam umknęli. Czy nasi ludzie są uprzedzeni?

- Na honor, twoi ludzie, kapitanie, wiesz przecież, że ich nie znam ani oni mnie nie znają. Wyszedłem z tłumu śpiewając refren, który jest naszym hasłem. Czy mnie usłyszeli? Zrozumieli? Nie mam pojęcia.

- Bądź spokojny, pułkowniku, to zuchy; usłyszą każdy szept i pojną wszystko w pół słowa.

Rzeczywiście w momencie, kiedy młodzieniec w pelerynie oddalił się od gromady gapiów, osobliwe falowanie, którego nie mógł być przewidzieć, poruszyło tłumem, złożonym, jak się zdawało, wyłącznie z zaciekawionych mieszczan; choć piosenka nie dobiegła końca, a zbiórka jeszcze się nie zaczęła, ciżba rozsypała się, wielu mężczyzn odeszło w pojedynkę bądź po dwóch, porozumiewając się z sobą niedostrzegalnym niemal ruchem ręki; jedni podążyli w górę ulicy de Valois, inni w stronę dziedzińca des Fontaines, reszta zaś okrążywszy Palais-Royal pospieszyła na ulicę des Bons-Enfants, będącą, jak należy domniemywać, miejscem wyznaczonego spotkania.

W wyniku tych manewrów, których cel jest aż nazbyt łatwy do odgadnięcia, wytworzyła się pustka dokoła grajka, zostało tu z dziesięć kobiet, kilkoro dzieci i człowiek około czterdziestki, ale i on, widząc, że grajek zaczyna zbierać datki, odszedł i z wyrazem głębokiej pogardy dla nowych piosenek zanucił starą pasterską przyśpiewkę: zapewne wyżej ją cenił od facecji, jakie zły gust tej epoki wprowadził w modę; musiał być istotnie zacnym mieszczuchem, bo mężczyźni, których mijał, dawali mu jakieś znaki; że jednak nie należał do żadnego z tajnych stowarzyszeń ani żadnej loży masońskiej, szedł dalej powtarzając swój ulubiony

refren: "Daj mi, dzieciно, daj mi, dzieciно, zatańczyć dziś pod leszczyną".

Przemierzył ulicę Saint-Honore aż do Barriere des Deux-Sergents, skręcił za róg ulicy du Coq i zniknął.

Niemal w tej samej chwili młodzieniec w pelerynie, ten, który pierwszy oddalił się od gromadki gapiów podśpiewując: "Dwadzieścia cztery! Dwadzieścia cztery! Dwadzieścia cztery!", ukazał się u stóp schodów pasażu Palais-Royal i zbliżywszy się do grajka rzekł:

- Przyjacielu, moja żona jest chora, a twoja muzyka nie pozwala jej zasnąć; jeśli nie masz jakichś szczególnych powodów, by się tu popisywać, idź na plac przed Palais-Royal. Oto drobna rekompensata za zmianę miejsca.

- Dziękuję, miłościwy panie - odparł cymbalista oceniwszy pozycję społeczną nieznanego wedle hojności, jakiej dał dowód. - Zaraz się stąd wyniosę. Czy nie masz, panie, jakiegoś polecenia, które mógłbym przekazać na ulicy Mouffetard?

- Nie.

- Zrobiłbym to bez zapłaty.

I cymbalista ruszył w swoją stronę; a że był jednocześnie przedmiotem zainteresowania i przyczyną całego zgromadzenia, wszyscy, co przy nim zostali, zniknęli wraz z nim.

Wówczas to właśnie wybiła dziewiąta na zegarze w Palais-Royal. Młodzieniec wyciągnął z kieszeni zegarek, zdobny w diamenty, które kontrastowały wyraźnie ze skromnym strojem właściciela, a że zegarek się spieszył, natychmiast cofnął go o dziesięć minut; potem przeciął dziedziniec des Fontaines i wszedł w ulicę des Bons-Enfants.

Znalazłszy się przed domem numer 24 stanął oko w oko z węglarzem.

- Co z grajkiem? - zagadnął ów węglarz.

- Już odszedł.

- To dobrze.

- A kareta pocztowa? - spytał z kolei młodzieniec w pelerynie.

- Czeka na rogu ulicy de Baillif.

- Czy owinięto szmatami koła i końskie kopyta?

- Tak.

- Doskonale! Wobec tego czekajmy - powiedział mężczyzna w pelerynie.

- Czekajmy - powtórzył węglarz.

Dookoła panowała zupełna cisza.

Minęła godzina, podczas której paru zapóźnionych przechodniów pojawiało się w coraz rzadszych odstępach, tak że w końcu ulica niemal opustoszała. Po tej stronie, gdzie stali obaj mężczyźni, kilka okien, jeszcze oświetlonych, gasło jedno po drugim; ciemność walcząca dotychczas z dwiema latarniami - naprzeciw kaplicy Saint-Clair i na rogu ulicy de Baillif - zawładnęła teraz przestrzenią, o którą upominała się od dawna.

Upłynęła jeszcze godzina; z ulicy de Valois dobiegły ich kroki straży; za strażnikami podążał stróż, by zamknąć bramę pasażu.

- Znakomicie! - szepnął młodzieniec w pelerynie. - Nikt już nam nie przeszkodzi.

- Tak - odparł węglarz - jeżeli wyjdzie przed świtem.

- Gdyby był sam, należałoby się obawiać, że zostanie dłużej. Ale jest rzeczą wątpliwą, czy pani de Sabran zatrzyma wszystkich trzech.

- Hm, może przygotować pokój dla jednego, a dwaj pozostali prześpią się pod stołem.

- Do kroćset, masz, kapitanie, rację, nie pomyślałem o tym. Czy jednak zachowaliśmy wszystkie środki ostrożności?

- Wszystkie.

- Czy pańscy ludzie są naprawdę przekonani, że chodzi tylko o zakład?

- Udają, że tak. Nie sposób żądać od nich więcej.

- A zatem pan, kapitanie, i pańscy ludzie, popychacie mnie po pijanemu, ja wpadam między regenta i tego z dwóch szwoleżerów, o którego ramię się wspiera, rozdziela ich, wtedy wy chwyacie regenta, wiążecie go; na odgłos gwizdka nadjeżdża karetka pocztowa; reszta naszych trzyma w szachu Simiane'a i Ravanne'a, przyłożywszy im do piersi pistolety...

- Jeśli jednak powie, kim jest? - ozwał się jeszcze ciszej węglarz.

- Jeśli poda swoje nazwisko...? - zastanowił się młodzieniec w pelerynie. - I dodał jeszcze ciszej niż jego rozmówca: - W konspiracji nie ma półśrodków; jeśli poda nazwisko, zabijecie go.

- Do kroćset! - mruknął węglarz. - Musimy dołożyć starań, by mu w tym przeszkodzić.

A że młodzieniec w pelerynie nic na to nie odrzekł, znów zaległo milczenie.

Upłynął jeszcze kwadrans i nic specjalnego się nie wydarzyło.

Nagle trzy środkowe okna pałacyku rozbłysły światłem.

- Oho, to coś nowego - szepnęli jednocześnie obaj spiskowcy.

Po krótkiej chwili usłyszeli kroki zbliżające się od strony ulicy Saint-Honore; ktoś zamierzał, niewątpliwie, przejść ulicą des Bons-Entants; węglarz wymamrotał przekleństwo, od którego niebiosaomalże nie runęły.

Nieznajomy był coraz bliżej; czy jednak przerażały go ciemności, czy też zauważył coś podejrzanego, dość że najwyraźniej uległ wahaniu. Na wysokości pałacu Saint-Clair zastosował starą metodę tchórzów, udających, że się nie boją, i zaczął śpiewać; ale w miarę jak posuwał się naprzód, z coraz większym trudem opanowywał drżenie głosu; i chociaż niewinną piosneczką wykazywał pogodę ducha, to jednak gdy dotarł do pasażu, zdjęty najwidoczniej strachem, zaczął kaszleć, a kaszel, jak wiemy, w hierarchii lęków zajmuje pozycję wyższą od śpiewu. Ale stwierdziwszy, że wokół nic się nie porusza, przechodzień ów odzyskał trochę kontenansu i głosem, bardziej odpowiadającym sytuacji, niżeli słowom piosenki, zaintonował: "Daj mi, dziecino, daj mi, dziecino..."

Urwał nagle i stanął jak wryty, bo w świetle padającym z okien salonu zobaczył w głębi bramy dwóch ludzi; gardło i nogi odmówiły mu posłuszeństwa; znieruchomiał całkiem i oniemiał.

Na nieszczęście, cień czyjejś postaci zbliżył się do okna salonu i węglarz pojął, że krzyk popsułby sprawę; zrobił więc ruch, jakby chciał się rzucić na przechodnia, ale młodzieniec w pelerynie go powstrzymał.

- Kapitanie - szepnął - nie krzywdź człowieka.

I podchodząc do nieznajomego rzekł:

- Idź spokojnie, przyjacielu, ale dość szybko i nie oglądaj się za siebie.

Nieborak nie kazał sobie powtarzać tego dwa razy i pomknął drobnym kroczeniem tak szybko, jak tylko pozwalały mu na to krótkie nogi i wstrząsające nim dreszcze; w kilka sekund później zniknął za rogiem ogrodu otaczającego pałac hrabiego Tuluzy.

- Najwyższa pora - warknął węglarz - właśnie ktoś otwiera okno.

Obaj spiskowcy ukryli się w najciemniejszym z zakątków.

Okno rozwarło się istotnie i na balkonie pojawili się dwaj szwoleżerowie.

- No i co tam, Simiane - odezwał się z wnętrza pokoju głos, po którym węglarz i młodzieniec w pelerynie poznali regenta. - Jaka pogoda?

- Wydaje mi się - odparł Simiane - że pada śnieg.

- Jak to! Wydaje ci się, że pada śnieg?

- Albo deszcz. Nie wiem - odpowiedział Simiane.

- Jak to, ty patentowany ośle - wtrącił Ravanne - nie możesz poznać, co pada?

I sam wyszedł na balkon.

- Koniec końców - ozwał się Simiane - nie wiem, czy w ogóle coś pada.

- Jest pijany w sztok! - zawołał regent.

- Ja? - obruszył się Simiane dotknięty w swojej miłości własnej - ja pijany w sztok!

Niech Wasza Wysokość zechce tu przyjść. Proszę zaraz tu przyjść.

Zaproszenie zostało wyrażone w sposób dość osobliwy, mimo to regent zaśmiewając się wyszedł na balkon. Jego ruchy wskazywały niezbicie, że i jemu trunki uderzyły do głowy.

- Ach, tak?! Pijany w sztok, pijany w sztok?! - powtórzył Simiane i wyciągnął dłoń do regenta: - Proszę tu przybić, książę, idę o zakład, stawiam sto ludwików, że choć jesteś regentem Francji, nie potrafisz tego, co ja potrafię.

- Wasza Książęca Wysokość - rozległ się z głębi salonu niewieści głos - to prowokacja!

- I daję się sprowokować. Zgoda na sto ludwików.

- Stawiam połowę tej sumy i przyłączam się do tego z was dwóch, który zechce - oznajmił Ravanne.

- Założyłem się już z markizą - zaprotestował Simiane - nie chcę żadnych współników w tej grze.

- Ani ja - dodał regent.

- Markizo! - zawołał Ravanne. - Pięćdziesiąt ludwików za jednego całusa.

- Zapytaj waść Filipa, czy przystanie, bym zgodziła się na to.

- Zgódź się, zgódź - powiedział regent. - Proponują ci złoty interes, markizo, i nic na tym stracić nie możesz. No i co dalej, Simiane?

- Jestem gotów. Pójdiesz pan za mną?
- Wszędzie. Ale co zamierzasz?
- Proszę spojrzeć!
- Dokądże idziesz, u diabła?
- Wracam do Palais-Royal.
- Którędy?
- Po dachach.

I Simiane uchwycił się żelaznego ornamentu, który, jak już wspomnieliśmy, odgradzał okna salonu od okien sypialni, zaczął się nań wspinać niczym małpa, co owiązana linką wdrapuje się na trzecie piętro po jednego su.

- Jego Książęca Mość! - krzyknęła pani de Sabran i wybiegłszy na balkon chwyciła regenta za ramię. - Mam nadzieję, że nie podążysz pan za nim!

- Nie podążę?! - rozsierdził się regent i gwałtownie uwolnił się od markizy. - A czy wiesz, pani, że przyjąłem jako zasadę, iż wszystko, cokolwiek on potrafi, potrafię i ja. Niech bodaj powędruje na księżyc, nawet diabeł mi nie przeszkodzi zastukać tam do drzwi w tym samym czasie. Czyż nie postawiłeś na mnie, Ravanne?

- Tak, książę - odpowiedział Ravanne śmiejąc się do rozpuku.
- No, to ucałuj markizę, boś wygrał.

I regent, wskoczywszy na żelazne pręty ornamentu, zaczął wspinać się po nich tuż za zręcznym, wysokim i szczupłym Simiane'em, który w mgnieniu oka znalazł się po drugiej stronie domu, na tarasie.

- Spodziewam się, że chociaż waszmość tu zostaniesz - rzekła markiza do Ravanne'a.
 - Tyle tylko czasu, by odebrać od pani fant - odparł Ravanne składając pocałunek na świeżym policzku pani de Sabran. - A teraz - dodał - żegnaj, markizo; jestem paziem Jego Książęcej Wysokości, rozumiesz tedy, pani, że muszę podążyć za nim.

I puścił się w tę samą ryzykowną drogę, którą obrali jego dwaj towarzysze.

Węglarz i młodzieniec w pelerynie wydali jednocześnie okrzyk zdziwienia, który powtórzyła cała ulica, jakby każda brama dysponowała własnym echem.

- Cóż to się dzieje, u licha? - zdumiał się Simiane; znalazł się jako pierwszy na tarasie i

zdołał już nieco bardziej otrzeźwieć niż ci, którzy jeszcze się wspinali.

- Och, ty, dubeltowy pijaku - rozszedł się regent, chwytając się jedną ręką poręczy tarasu - toć to strażnik nocny, nie rozumiesz? Przez ciebie zawiodą nas na kordegardę! Ale, przyrzekam, już ja ci stamtąd wyjść nie pozwolę!

Słyszając te słowa ludzie przyczajeni na ulicy zamilkli w nadziei, że diuk i jego towarzysze nie posuną się dalej w tym żarcie, że zejda na dół i wrócą normalną drogą.

- No to jestem! - rzekł regent stanawszy na tarasie. - Starczy ci tego, Simiane?

- Nie, Wasza Wysokość - odparł Simiane - o nie! - I pochylając się do ucha Ravanne'a szepnął: - To nie jest strażnik nocny, nie ma ani bagnetu, ani kurtki wojskowej.

- Więc co to znaczy? - spytał regent.

- Nic - odparł Simiane, dając znak Ravanne'owi. - Tyle, że zamierzam kontynuować moją wspinaczkę i tym razem zachęcam pana, panie regencie, byś pospieszył w moje ślady.

I zaczął wdrapywać się na dach, pociągając za sobą księcia, podczas gdy Ravanne podążał za nimi jako straż tylna.

Widząc to, węglarz zaklął siarczyście, a młodzieniec w pelerynie wydał okrzyk wściekłości. W tej samej chwili Simiane objął komin.

- Aj, aj - jęknął regent i siadłszy okrakiem na krawędzi dachu rozglądał się po ulicy, gdzie w świetle otwartego okna salonu widać było z dziesięciu ludzi miotających się bezradnie. - A cóż to znowu takiego? Mały spisek? No, patrzcie, zamierzają chyba sforsować dom. Są rozeźleni. Mam ochotę ich zapytać, co mógłbym dla nich zrobić.

- Tylko bez żartów, Wasza Wysokość - rzekł Simiane. - Umykajmy czym prędzej.

- Wracajcie na ulicę Saint-Honore! - zawołał młodzieniec w pelerynie. - Naprzód!

Naprzód!

- To o nas im chodzi, Simiane! - stwierdził regent. - Przejdźmy na drugą stronę. Odwrót! Odwrót!

- Nie mam pojęcia - powiedział młodzieniec w pelerynie dobywszy pistoletu i mierząc w regenta - dlaczego nie miałbym strącić go stamtąd jak kukielkę na strzelnicę?!

- Do stu piorunów! - krzyknął węglarz chwytając go za rękę - doprowadzisz waść do tego, że nas poćwiartują.

- Ale co robić?

- Czekać, aż pospadają sami i skręcą sobie karki; albo Opatrzność jest niesprawiedliwa, albo szykuje nam tę niespodziankę.

- Co za pomysł, Roquefinette!

- Pułkownik, może lepiej unikać imion własnych.

- Masz waszmość rację, przepraszam.

- Nie ma za co; chodzi o zasadę.

- Do mnie! Do mnie! - zakrzyknął wtedy młodzieniec w pelerynie biegnąc w kierunku pasażu - wyłamiemy bramę. Chwycimy ich po drugiej stronie, kiedy zeskokczą na dół.

Ci z jego towarzyszy, którzy tu jeszcze zostali, ruszyli za nim; inni, może pięciu lub sześciu, byli już w drodze na ulicę Saint-Honore.

- Prędszej, prędszej, Wasza Wysokość, nie mamy ani minuty do stracenia - ponaglał Simiane. - Zjedź pan na tyłku; to niezbyt przystojne, ale niezawodne.

- Zdaje mi się, że czekają na nas w pasażu - powiedział regent. - Co o tym myślisz, Ravanne?

- Ja teraz nie myślę, Wasza Wysokość, tylko zjeżdżam.

I wszyscy trzej zsunęli się z jedną szybkością po pochyłym dachu wprost na taras.

- Tędy, tędy! - ozwał się głos niewieści w chwili, gdy Simiane przesadzał balustradę tarasu, by dostać się do swojej żelaznej drabinki z ornamentów.

- Ach, to pani, markizo - ucieszył się regent. - Na honor, jesteś kobietą opatrznościową.

- Skaczcie teraz i umykajcie czym prędzej!

Trzej uciekinierzy wpadli wprost do komnaty.

- Wolicie panowie zostać tutaj? - spytała pani de Sabran.

- Tak - rzekł Ravanne. - Pójdę po Canillaca i jego nocną straż.

- Nie, nie - sprzeciwił się regent - sposób, w jaki się do nas zabierają, wskazuje, że wdrapią się, pani markizo, na twój dom i potraktują cię jak miasto zdobyte szturmem. Nie, wracamy do Palais-Royal; tak będzie lepiej.

Zeszli szybko ze schodów - Ravanne prowadził - i otwarli drzwi do ogrodu. Tutaj usłyszeli odgłosy rozpaczliwych uderzeń w pręty żelaznej bramy, obleganej przez tych, którzy

ich ścigali.

- Walcie, walcie, kochani przyjaciele! - zawołał regent pędząc beztrąsko niczym młodzik w głąb ogrodu. - Brama jest solidna, przysporzy wam sporo roboty.

- Proszę uważać, Wasza Wysokość! - krzyknął Simiane, który, jako że był wysoki, zdążył już zeskoczyć na drugą stronę chwyciwszy się ogrodzenia. - Nadciągają teraz z ulicy de Valois. Proszę postawić stopę na moim ramieniu, tak, dobrze; drugą... teraz niech się książę ześliznie w moje ramiona. Jest książę ocalony, chwała Bogu!

- Szable w dłoń, szable w dłoń! - zawołał regent do Ravanne'a - natrzyjmy na te kanale!

- Na miłość Boską, Wasza Wysokość - wrzasnął Simiane pociągając za sobą księcia - proszę iść z nami! Klnę się na bogów, znam się przecież na brawurze, ale to, co książę chce uczynić, jest szaleństwem. Do mnie, Ravanne, do mnie!

I obaj młodzi ludzie chwyciwszy pod ręce diuka, popchnęli go ku zawsze otwartej furcie wiodącej do Palais-Royal; ścigający ich od strony ulicy de Valois byli nie dalej niż o dwadzieścia kroków, brama zamykająca pasaż runęła pod ciosami następnej grupy napastników; cała tedy banda natarła na okratowaną furtkę w momencie, gdy regent, Simiane i Ravanne zatrzaskiwali ją za sobą.

- Panowie - ozwał się diuk pozdrawiając napastników dłonią, bo co do kapelusza, to Bóg jeden wie, gdzie go zgubił - życzę waszym głowom, aby to wszystko okazało się tylko żartem, bo zaatakowaliście silniejszych; a jutro omijajcie z daleka prefekta policji! Dobrej nocy na razie!

Potrójny wybuch śmiechu unieruchomił ostatecznie dwóch konspiratorów, stojących przy bramie na czele zadyszanych kompanów.

- Ten człowiek niechybnie zawarł pakt z diabłem! - wykrzyknął d'Harmental.

- Przegraliśmy zakład, drodzy przyjaciele - rzekł Roquefinette zwracając się do najemników, którzy czekali teraz na rozkazy. - Ale jeszcze was nie zwalniamy: rozgrywka zostaje odłożona na później. Jeśli zaś chodzi o przyobiecana zapłatę, otrzymaliście już jej połowę; jutro, w znanym wam miejscu, otrzymacie resztę. Dobranoc. Stawię się jutro na spotkanie.

Kiedy wszyscy się rozproszyli, dwaj dowódcy zostali sami.

- No i co, pułkowniku? - zagadnął Roquefinette rozstawiając nogi i spojrzał prosto w oczy d'Harmentalowi.

- A to, kapitanie - odparł kawaler - że mam ochotę porozmawiać z panem o jednej rzeczy.

- O czymże to? - spytał Roquefinette.

- Żebyś waść poszedł ze mną za jakiś ciemny róg ulicy i rozwalił mi łeb kulą z pistoletu, aby ta nędzna głowa została ukarana i aby jej nie rozpoznano.

- Niby dlaczego?

- Dlaczego? Bo w rzeczach takiej wagi, jeśli poniesie się klęskę, jest się głupcem. Co ja teraz powiem pani du Maine?

- Jak to! - obruszył się Roquefinette - to o tę Bibi-Gongon waść się zamartwiasz? Na Boga, jesteś nad wyraz wrażliwym fanfaronem, pułkowniku. Czemuż to jej mężulek, kulawy diabeł, nie załatwia sam swoich spraw? Chciałbym, doprawdy, zobaczyć pańską skromność, jej dwóch kardynałów i trzech, może czterech markizów, którzy umierają teraz ze strachu w jakimś kącie Arsenału, podczas gdy my staliśmy się panami pola walki; bardzo chciałbym zobaczyć, jak niby jaszczurki pełzną po murze! Posłuchaj no, pułkowniku, starego lisa: aby być dobrym spiskowcem, potrzebna jest nade wszystko, a masz ją waść, odwaga; ale potrzebna jest jeszcze, tego zaś właśnie nie posiadasz, cierpliwość. Do kata! Gdybym to ja miał na własnym rachunku taką imprezę, zapewniam cię, panie, że doprowadziłbym ją do szczęśliwego zakończenia. Gdybyś zechciał mi ją kiedyś przekazać... Pogadamy jeszcze o tym.

- Ale cóż byś waść powiedział pani du Maine będąc na moim miejscu? - spytał znów pułkownik.

- Co bym jej powiedział? Powiedziałbym: "Moja księżno, regent widocznie był uprzedzony przez policję i nie wyszedł, jak się tego spodziewaliśmy; zobaczyliśmy tylko tych jego frantów, szubieniczników, którzy wywiedli nas w pole". Wówczas księżę Cellamare powie panu: "Mój drogi kawalerze, możemy liczyć tylko na pana". A diuszesa panu powie: "Nic nie jest jeszcze stracone, skoro pozostał nam ten dzielny d'Harmental". Hrabia de Laval poda

panu rękę usiłując również rzec waści jakiś komplement, ale nie zdoła go dokończyć, bo od dnia, kiedy strzaskano mu szczękę, niełatwo mu się wysławiać, zwłaszcza prawić dusery. Kardynał de Polignac będzie mnożył znaki krzyża; Alberoni sygnie takimi przekleństwami, że zadrży Bóg w niebie; tym sposobem wszystko da się pogodzić, pańska miłość własna zostanie ocalona; ukryjesz się waść znowu na swojej mansardzie, skąd nie radziłbym panu wytykać nosa przez parę dni, jeśli nie chcesz być powieszony; od czasu do czasu złożę tam panu wizytę; pan zaś będziesz nadal dawał mi dowody iście hiszpańskiej hojności, bo zależy mi na tym, by żyć przyjemnie i podtrzymywać się wciąż na duchu; po czym przy pierwszej okazji przywołamy zacnych ludzi, których dopiero co zwolniliśmy, i weźmiemy odwet.

- No, tak z pewnością postąpiłby ktoś inny na moim miejscu - odparł d'Harmental - ale ja, cóż począć, kapitanie, mam głupie zasady: nie umiem kłamać.

- Kto nie umie kłamać, ten nie umie działać - odrzekł kapitan. - Ale cóż ja tam widzę? Bagnety straży nocnej! Urocza instytucjo - dorzucił - poznaję cię doskonale, spóźniasz się zawsze o kwadrans. Mniejsza o to, wypada nam się rozstać. Żegnaj, pułkowniku. Oto twoja droga - tu Roquefinette wskazał pasaż Palais-Royal - a oto moja - dorzucił wyciągając rękę w kierunku ulicy Neuve-des-Petits-Champs. - Tylko spokojnie, idź pan wolnym krokiem, niechaj nikt się nie domyśli, że wolałbyś biec co sił w nogach. Ujmij się pod boki, o tak, i zanuć piosenkę, o matce Gaudichon.

I podczas gdy d'Harmental zniknął w pasażu, kapitan podążał już ulicą de Valois takim samym krokiem, jakim szli strażnicy, mając jednak ze sto kroków przewagi nad nimi, przy czym podśpiewywał sobie tak beztrosko, jakby się nic w ogóle nie wydarzyło. Prowadźmy dzielnie kampanię,

Francja niewiele dziś warta,
ceńmy dublony Hiszpanii,
złoto w nich zacne - do czarta!

Co zaś do kawalera, pospieszył on dalej ulicą des Bons-Enfants, która stała się teraz tak spokojna, jak dziesięć minut temu była hałaśliwa, i na rogu ulicy de Baillif natknął się na kolasę, która zgodnie z jego instrukcjami ani drgnęła czekając tu z otwartymi drzwiczkami,

lokajem przy stopniu i stangretem na koźle.

- Do Arsenалу! - rzucił kawaler.

- To zbyt czone - ozwał się głos, na którego dźwięk d'Harmental zadrżał - wiem, jak to wszystko się odbyło, bo sam to widziałem, i poinformuję o tych wypadkach, kogo należy.

Wizyta o tej porze byłaby dla wszystkich niebezpieczna.

- Ach, to ty, ojczulku - powiedział d'Harmental usiłując rozpoznać księdza Brigaud w liberii, w którą się przebrał. - No cóż, odda mi ksiądz wielką przysługę, przekazując w moim imieniu, co należy; do diaska, nie mam pojęcia, co miałbym rzec.

- Ja natomiast powiem - rzekł Brigaud - że jesteś pan dzielny i lojalny szlachcicem oraz że gdyby we Francji znalazło się takich jak waść dziesięciu, wszystko byłoby wkrótce zakończone. Ale nie jesteśmy tutaj po to, by prawić sobie wzajem komplementy. Wsiadaj pan szybko; dokąd cię zawieźć?

- To zbyt czone - rzekł d'Harmental. - Chętnie pójde pieszo.

- Wsiadaj waść, to bezpieczniejsze.

D'Harmental wsiadł, a Brigaud w stroju lokaja ulokował się bez ceremonii obok niego.

- Na róg ulicy du Gros-Chenet i de Clery! - zawołał ksiądz.

Stangret, zniecierpliwiony długim czekaniem, ruszył ochoczo i niebawem kolasa zatrzymała się we wskazanym miejscu; kawaler wysiadł, skręcił w ulicę du Gros-Chenet i zniknął wkrótce za rogiem ulicy du Temps-Perdu.

Pojazd natomiast potoczył się szybko w kierunku bulwarów, nie czyniąc najmniejszego hałasu, podobny fantastycznemu rydwanowi, unoszącemu się nad ziemią.

XVI. Ten poczciwy Buvat

1

Czytelnicy winni teraz pozwolić, byśmy im ułatwili bliższą znajomość z jedną z najważniejszych postaci historii, którą właśnie zamierzamy opowiedzieć; postać tę bowiem ukazaliśmy im jak dotąd tylko mimochodem. Chcemy zatem mówić o zacnym mieszcuchu, który opuścił gromadkę gapiów na ulicy de Valois i odszedł w stronę ulicy des Sergents w chwili, gdy cymbalista i śpiewak zaczęli zbierać datki; mieszcuch ów, jak pamiętamy, nieoczekiwanie ukazał się nam znowu jako spóźniony przechodzień na ulicy des Bons-Enfants.

Broń nas Boże od podawania w wątpliwość inteligencji czytelników aż do tego stopnia, by sądzić, że w człowieku, któremu d'Harmental tak bardzo w porę przyszedł z pomocą, nie rozpoznali poczciwego ogrodnika z tarasu na ulicy du Temps-Perdu. Ale jeśli nie opiszemy dokładniej, kim był ten nieborak pod względem fizycznym, moralnym i społecznym, znikąd się tego nie dowiedziecie.

Jeśli zachowaliście w pamięci parę skąpych wiadomości, jakie dotychczas mieliśmy sposobność przekazać wam na jego temat, to powinniście przypomnieć sobie, że był to mężczyzna czterdziesto-, może czterdziestopięcioletni. Owóż, jak wszyscy wiemy, mieszczanin paryski po przekroczeniu czterdziestki nie posiada już wieku, bo zarzuca wszelkie starania o swój wygląd, o co zresztą nigdy specjalnie nie dba; wkłada na siebie to, co ma pod ręką, głowę nakrywa byle czym - a przez to niedbalstwo wdzięki jego cielesne cierpią osobliwie, zwłaszcza wówczas, gdy poskapła ich natura, jak w przypadku naszego bohatera. Był on zatem niewysoki, bo mierzył pięć stóp i jeden cal, gruby i krępy, z wiekiem coraz bardziej skłonny do otyłości; wyraz twarzy miał spokojny, obojętny na wszystko, włosy, brwi, oczy i skóra jakby tej samej barwy; słowem, była to jedna z tych twarzy, której rysów niepodobna rozróżnić z odległości dziesięciu kroków. Toteż gdyby dociekliwy fizjonomista próbował odczytać z tego oblicza jakieś wznioślejsze i bardziej interesujące losy naszego osobnika, przerwałby z pewnością swoje obserwacje już w momencie, kiedy od porcelanowoniebieskich oczu sięgnąłby wzrokiem ku zatroskanemu czołu, ku wargom

dobrodusznie półotwartym, ku grubym fałdom podwójnego podbródka. Zrozumiałby wówczas, że ma przed sobą człowieka oszczędzanego przez wielkie namiętności, przez złe czy dobre pasje, człowieka, w którego głowie zamiast myśli telepały się co najwyżej banalne refreny piosneczek, jakimi niańki usypiają dzieci.

Dodajmy, że Opatrzność, dokonując każdej rzeczy ledwie w połowie, podpisała oryginał, a jego kopię przedstawiliśmy czytelnikom pod nazwiskiem Jean Buvat. To prawda, że osoby, zdolne docenić absolutną nicość umysłu oraz wspaniałe zalety serca naszego mieszcucha, zazwyczaj opuszczały imię świętego patrona i mówiły o nim po prostu "ten pocziwy Buvat".

Od zarania życia mały Buvat okazywał wyraźną niechęć do nauki, przejawiał natomiast wyjątkowe uzdolnienia do kaligrafii. Toteż każdego rana zjawiał się w kolegium oratorianów, gdzie jego matka umieściła go bezpłatnie, z wypracowaniami pełnymi różnorodnych błędów, ale tak pięknie, równo i czysto napisanymi, że aż przyjemnie było spojrzeć. Toteż mały Buvat otrzymywał codziennie baty za lenistwo, a na koniec roku szkolnego nagrodę za pismo, rezultat zręczności jego ręki. W wieku lat piętnastu, przeszedł z Epitome Sacrae, które powtarzał pięć razy, do Epitome Graecae; lecz już po pierwszych ćwiczeniach profesorowie zauważyli, że skok, do którego nakłaniali ucznia, był dlań o wiele za trudny, i cofnęli go, by po raz szósty repetował Epitome Sacrae.

Pozornie obojętny na wszystko, młody Buvat odznaczał się w gruncie rzeczy pewną dumą; wieczorem wrócił do domu z płaczem, poskarżył się matce na niesprawiedliwość, jaką mu wyrządzono, i w swoim bólu wyjawiał jej coś, co dotychczas skrzętnie ukrywał: że, mianowicie, w szkole nawet dziesięciolatki umieją więcej od niego. Wdowa Buvat, kumoszka, która każdego rana patrzyła, jak jej syn wychodzi do szkoły ze starannie zapisanymi zeszytami, co pozwalało jej mniemać, że nic mu nie można zarzucić, pobiegła nazajutrz nawymyślać zacnym oratorianom. Ci zaś odpowiedzieli, że jej syn jest dobrym chłopcem, niezdolnym obrazić Boga żadną zdrożną myślą ani żadnym złym uczynkiem skrzywdzić kolegów; ale jest zarazem tak niebywale tępym, że radzą wykształcić go na mistrza kaligrafii, bo to jedyny talent, w jaki skąpa natura zechciała go wyposażyć.

Owa rada wydała się pani Buvat promykiem słońca. W lot pojęła, że profit z uzdolnień

syna będzie natychmiastowy. Po powrocie do domu przedstawiła mu zatem nowe plany na przyszłość. Chłopak widział w nich jedynie ucieczkę przed codziennymi plagami i chłostą, których nie rekompensowała oprawna w cielęcą skórę książka, jaką otrzymywał w nagrodę pod koniec roku. Powitał tedy z największą radością propozycję pani matki i przyrzekł, że nie minie pół roku, a stanie się pierwszym mistrzem kaligrafii w stolicy; i tego samego dnia, kupiwszy za drobne oszczędności scyzoryk o sześciu ostrzach, paczkę gęsich piór i dwa kajety, wziął się do dzieła.

Zacni oratorianie nie pomylili się co do powołania młodego Buvata: kaligrafię doprowadził niemal do sztuki rysowania. W ciągu sześciu miesięcy, niczym małpa z Tysiąca i Jednej Nocy, opanował sześć rodzajów liter i przy pomocy kreski szkicował postacie ludzkie, drzewa i zwierzęta. Pod koniec roku zrobił tak znaczne postępy, że nabrał przekonania, iż może wywiesić szyld. Przez trzy miesiące pracował nad nim dniem i nocą, obawiał się nawet, że straci wzrok; ale wyznać należy i tę prawdę, że wykonał istne arcydzieło. Nie był to zwykły szyld, lecz prawdziwy obraz przedstawiający stworzenie świata, skomponowany z liter grubych i cieniowanych oraz podzielony na sceny jak "Przemienienie Pańskie" Rafaela. W górnej części, poświęconej Edenowi, Odwieczny Ojciec wiódł Ewę ku śpiącemu Adamowi, otoczonemu przez zwierzęta, których szlachetność natur przybliżyła do człowieka, a więc przez lwa, konia i psa. Poniżej rozpościerało się morze, w którego głębinach pływały najbardziej fantastyczne ryby, na powierzchni zaś kołysał się wspaniały trójpokładowy okręt. Po obu stronach widniały drzewa pełne ptaków, łączące niebo, którego dotykały wierzchołkami, z ziemią poprutą przez ich splecione korzenie, a na skrawku wolnej przestrzeni, jaką pozostawiły owe piękne rzeczy, słał się równą linią poziomą, złożony z liter o sześciu różnych kształtach, przysłówek "bezlitośnie".

Tym razem artysta nie zawiódł się w swoich oczekiwaniach. Szyld sprawił wrażenie takie, jakie winien był sprawić; nie minął tydzień, a młody Buvat miał już sześciu uczniów i dwie uczennice.

Powodzenie mistrza wciąż wzrastało i wdowa Buvat po paru latach zamożności, znacznie większej niżli nawet za czasów swego małżonka, doznała tej satysfakcji, że zmarła upewniona całkowicie co do przyszłości syna.

Oplakawszy sumiennie panią matkę, Buvat prowadził nadal tryb życia tak uregulowany, że każdego wieczoru mógł bez cienia wątpliwości twierdzić, iż dzień następny będzie dokładną odbitką poprzedniego. Doszedł w ten sposób do lat dwudziestu sześciu, może dwudziestu siedmiu; w błogim spokoju własnej niewinności i cnoty przetrwał ów burzliwy na ogół okres w życiu mężczyzny.

Mniej więcej w tym czasie nadarzyła mu się okazja do zrobienia szlachetnego uczynku, który spełnił instynktownie, naiwnie i poczciwie, jak wszystko, co robił dotychczas. Ktoś rozsądny chyba ominąłby taką okazję, nawet jej nie dostrzegłszy, lub po prostu z odwróconą głową poszedłby dalej.

Na pierwszym piętrze domu numer 6 przy ulicy des Orties, gdzie Buvat zajmował skromną mansardę, mieszkała wówczas młoda para, podziwiana przez całą dzielnicę za niezwykłą harmonię małżeńską. Szczerze mówiąc, wyglądali tak, jakby urodzili się dla siebie; mąż miał trzydzieści cztery lata i pochodził z południa, o czym świadczyły czarne włosy, broda i oczy, śniada cera i zęby jak perły. Nazywał się Albert du Rocher, był synem przywódcy hugenotów w Sewennach, zmuszonego do przejścia wraz z całą rodziną na katolicyzm w okresie prześladowań organizowanych przez pana de Baviile; częściowo z przekory, częściowo zaś dlatego, że młodzież szuka kontaktów z młodymi, został, pokonawszy wymagane próby, masztalerzem u diuka de Chartres; diuk de Chartres restaurował wtedy swój dwór po ciężkich stratach, poniesionych w kampanii poprzedzającej bitwę pod Steinkerque, gdzie księżę po raz pierwszy zapoznał się z rzemiosłem wojennym. Du Rocher objął tedy stanowisko la Neuville'a, zabitego podczas owej pięknej szarży królewskich zbrojnych, którzy pod wodzą diuka de Chartres zadecydowali o zwycięstwie.

Zima przerwała kampanię; ale z nadejściem wiosny pan de Luxembourg przyzwał do siebie wszystkich tych dzielnych oficerów, którym życie wypełniały już to wojny, już to uciechy. Diuk de Chartres, zawsze skory do zdobycia szpady, która z powodu zazdrości Ludwika XIV tak często musiała tkwić w pochwie, odpowiedział jako jeden z pierwszych na ów apel. Du Rocher wyruszył za nim z resztą księżęcej świty.

Nadszedł wielki dzień bitwy pod Nerwinde. Diuk de Chartres, jak to było w zwyczaju, objął dowództwo nad gwardią królewską i - jak to również było w zwyczaju - atakował na jej

czele i pięć razy znalazł się sam wśród przeciwników, walcząc z niesłychaną zaciekłością. Za piątym razem miał przy sobie tylko jednego młodzieńca, którego prawie nie znał; ale, obrzuciwszy go szybkim spojrzeniem, uznał, że jest to jedno z owych niezawodnych i wiernych serc, i zamiast poddać się wrogemu brygadierowi, rozwalil mu głowę strzałem z pistoletu. Niemal równocześnie padły dwa inne strzały; jedna kula zerwała kapelusz z głowy księcia, druga odbiła się o rękojeść jego szpady; w chwilę później - z ręki młodzieńca, który diukowi towarzyszył - zginęli obaj strzelcy, pierwszy od ciosu szabli, drugi od kuli. Przeciwnicy hurmem runęli na księcia i jego giermka, lecz szczęśliwie, a raczej za sprawą cudu, nie dosięgła ich żadna kula; padł tylko, ugodzony śmiertelnie, koń diuka i giermek natychmiast ofiarował mu swojego wierzchowca. Książę wahał się, albowiem ta przysługa mogła drogo kosztować szlachetnego młodziana; był on jednak wysoki i silny, wziął księcia w ramiona i uważając, że nie pora na dworską etykietę, posadził go w siodle. Wtedy to właśnie nadciągnął pan d'Arcy z oddziałem szwoleżerów i ocalił księcia oraz jego towarzysza od rychłej śmierci lub niewoli. Żaden z nich nie został zraniony, choć odzież diuka w czterech miejscach przedziurawiły kule. Diuk de Chartres uścisnął rękę swego giermka i spytał go o nazwisko, bo pamiętał tylko twarz Alberta, będącego na służbie od tak niedawna, ten zaś odparł, że zwie się du Rocher i zajmuje miejsce Neuville'a poległego pod Steinkerque. * I wtedy diuk odwracając się do nowo przybyłych rzekł: "Panowie, nie dopuściliście do tego, bym został pojmany, ale - dodał wskazując du Rochera - to jest człowiek, który uratował mnie przed śmiercią".

Ażeby czytelnik nie sądził, że przeinaczamy historię zmyślając tę opowieść, cytujemy poniższy fragment opisu bitwy pod Nerwinde ze "Spisku księcia Cellamare" pióra Devize - J. Vatout:

"Diuk de Chartres przypuścił atak na czele gwardii królewskiej; ożywił wszystkich swoim przykładem i samą swoją obecnością, bo aż pięć razy pozostawał sam pośród wroga. Niejaki pan du Rocher, jeden z jego giermków, nie dopuścił, by diuka pojmano, i zabił dwóch osaczających go nieprzyjaciół, z których każdy wystrzelił kilkakroć z pistoletu, tak że książę otrzymał cztery kule w swoje odzienie i zbroję. Jeden ze szlachty został zabity koło niego. Markiz d'Arcy, który w zamęcie bitewnym stracił z oczu diuka de Chartres, otrzymał później u jego boku cztery postrzały w odzież, a pod księciem ubito konia." (Przyp. autora).

Pod koniec kampanii diuk de Chartres mianował Alberta pierwszym giermkim i w trzy lata później, zachowując wciąż dla niego wielką życzliwość, ożenił go z panną, którą du Rocher kochał i o której posag księżę sam obiecał się zatroszczyć. Na nieszczęście pan de Chartres był w tych latach jeszcze bardzo młody i posag nie okazał się zbyt duży, w zamian za to księżę przyrzekł zawsze dbać o karierę swojego pupila.

Młoda pani du Rocher była z pochodzenia Angielką; jej matka towarzyszyła Henriecie, kiedy ta udawała się do Francji, by poślubić królewskiego brata, a gdy kawaler d'Effiat otrul ową księżniczkę, została we fraucymerze żony delfina; ale kiedy i ta zmarła w roku 1690, Angielka, powodowana istic wyspiarską dumą, nie chciała pozostać przy metresie delfina, pannie de Choin, i zamieszkała w małym wiejskim domku, wynajętym nie opodal Saint-Cloud, poświęcając się całkowicie wychowaniu swojej córeczki Klarysy. Łożyła na tę edukację z dożywotniej renty, w którą wyposażył ją wspaniałomyślnie następca tronu. Właśnie tam, w czasie licznych podróży diuka de Chartres do Saint-Cloud, Albert du Rocher poznał ową panienkę, z którą, jak już powiedzieliśmy, diuk de Chartres ożenił go około roku 1697.

Ta właśnie młoda para, której zgodne pożycie wszystkich uszczęśliwiał, zajmowała parter domu numer 6 przy ulicy des Orties, gdzie Buvat zadowalał się skromnym mieszkankiem na poddaszu.

Małżonkowie mieli najpierw syna, który już jako czteroletni chłopiec uczył się kaligrafii u Buvata. Malec robił nad wyraz zadowalające postępy. Kiedy zachorował na krup i zmarł nagle, rozpacz rodziców była wielka, co łatwo pojąć. Buvat podzielał ją z nimi tym szczerzej, że uczeń zdradzał ogromne uzdolnienia. Sympatia i współczucie ze strony obcego człowieka związały z nim tych dwoje ludzi i pewnego dnia, gdy pocziwiec uskarżał się na niepewną przyszłość artystów, Albert du Rocher powiedział mu, iż użyje swoich wpływów i postara się dla niego o pracę w bibliotece. Buvat aż podskoczył z radości na samą myśl, że zostanie urzędnikiem. Nie zwlekając tedy, najpiękniejszym pismem wykaligrafował podanie, a pierwszy giermek poparł je gorąco i po miesiącu oczekiwania Buvat otrzymał nominację na urzędnika Biblioteki Królewskiej w dziale manuskryptów, z uposażeniem dziewięciuset liwrow.

Począwszy od tego dnia, Buvat pełen zrozumiałej dumy z racji swojej nowej pozycji społecznej, zapomniał o uczniach i uczennicach i oddał się bez reszty wypisywaniu fiszek i

sygnatur. Dziewięćset liwrów, zapewnionych do końca życia, było prawdziwą fortuną i pełen godności skryba przadł dzięki królewskiej wspaniałomyślności dni utkane ze złota i jedwabiu, obiecując ustawicznie swoim szanownym sąsiadom, że jeśli będą mieli drugie dziecko, to nikt inny jak on, Jean Buvat, nauczy je kaligrafii. Zrozpaczeni państwo du Rocher pragnęli z całego serca przysporzyć tego zajęcia znakomitemu mistrzowi. Bóg spełnił ich pragnienie. Pod koniec 1702 roku Klarysa powiła córkę.

Wielka radość zapanowała w całej kamienicy. Buvat wprost szalał ze szczęścia: biegł po schodach, klepał się po udach i wyśpiewywał ile sił w płucach ulubioną swoją piosenkę: "Daj mi, dziecino, daj mi dziecino..." itd. Tego dnia, po raz pierwszy odkąd został urzędnikiem, to jest od dwóch lat, zjawił się w biurze kwadrans po dziesiątej, zamiast punktualnie o dziesiątej. Jeden z nadetatowych pracowników poprosił już o przyjęcie na miejsce Buvata, przekonany, że zmarł biedaczysko.

Batylda miała zaledwie tydzień, a Buvat już chciał, by stawiała pierwsze kreseczki, i twierdził, że aby się czegoś dobrze wyuczyć, trzeba zacząć od wczesnego dzieciństwa. Z wielkim trudem zdołano mu wytłumaczyć, że należy z tym zaczekać, aż Batylda będzie miała dwa lub trzy lata. Wreszcie ustąpił; ale przygotowywał dla niej wzory. Pod koniec trzeciego roku Klarysa dotrzymała słowa i Buvat doznał satysfakcji wkładając uroczyście w rączkę dziecka pierwsze pióro, jakiego dotknęła.

Na początku roku 1707 diuk de Chartres, odziedziczywszy tytuł diuka Orleańskiego po śmierci ojca, otrzymał wreszcie dowództwo oddziałów udających się do Hiszpanii pod komendą marszałka de Berwick. Wydano co szybciej rozkazy całej świcie wojskowej, by gotowała się na dzień 5 marca. Albert du Rocher, jako pierwszy giermek, musiał towarzyszyć księciu. Ta nowina napełniłaby go radością w każdej innej sytuacji, lecz teraz była dla niego nader przykra, albowiem zdrowie Klarysy budziło poważne obawy i lekarzowi wyrwało się nawet słowo "suchoty". Klarysa istotnie czuła się źle bądź też, a rzecz to jeszcze bardziej naturalna, obawiała się po prostu o swojego męża, dość, że wybuch jej rozpacz był tak gwałtowny, iż Albert nie zdołał również powstrzymać się od łez. Mała Batylda i Buvat rozplakali się także widząc, że tamci płaczą.

I oto nadszedł 5 marca: dzień odjazdu. Nie zważając na własne cierpienia Klarysa

zajęła się ekwipunkiem Alberta, chciała bowiem, żeby i on, i ona okazali się godni księcia. Toteż po jej zalanej łzami twarzy przemknął błysk radosnej dumy, kiedy zobaczyła męża w eleganckim mundurze na pięknym bojowym rumaku. Co do Alberta zaś, przepełniała go i duma, i odwaga. Biedna kobieta uśmiechnęła się niewesoło do swoich marzeń o przyszłości; aby jednak nie zasmucać Alberta w tym tak wzniosłym momencie, ukryła smutek w sercu i nakazała milczenie obawom jakie żywiła o niego, a może nawet o samą siebie; powiedziała mu, żeby nie myślał o niej, lecz o własnym honorze.

Książę Orleański na czele swych oddziałów wkroczył do Katalonii w pierwszych dniach kwietnia i przyspieszonym marszem ruszył na Aragonię. Dotarwszy do Segorbe dowiedział się, że marszałek de Berwick sposobi się do wydania decydującej bitwy; pragnąc zdążyć w porę i wziąć w niej udział, diuk wysłał z misją Alberta, który miał powiadomić marszałka, że diuk Orleański nadciąga mu z pomocą prowadząc dziesięć tysięcy zbrojnych i prosi, by marszałek, jeśli nie będzie to sprzeczne z jego zamysłem, przesunął termin ataku do chwili przybycia posiłków.

Albert wyruszył w drogę, ale zablądził w górach z winy złych przewodników, wyprzedził więc armię ledwie o jeden dzień i dotarł do obozu marszałka de Berwick akurat w ostatnim momencie przed rozpoczęciem walki. Kazał sobie tedy wskazać pozycję, jaką zajmował marszałek; skierowano go na lewe skrzydło armii, na niewielki pagórek, skąd widać było całą równinę i gdzie właśnie znajdował się książę de Berwick z całym sztabem. Albert puścił konia galopem i osadził go tuż przed marszałkiem.

Przedstawił się dowódcy i wyjawiał cel swojej misji. Zamiast odpowiedzi marszałek, wskazując mu pole bitwy, powiedział, by wracał do swego pana z relacją o tym, co zobaczył. Albert poczuwszy zapach prochu nie chciał zrezygnować z takiej sposobności i błagał, by mu pozwolono zostać na placu boju i zawieźć księciu Orleańskiemu przynajmniej wieść o zwycięstwie. Marszałek wyraził zgodę, a że właśnie w tej chwili wydała mu się konieczna szarża dragonów, nakazał jednemu ze swych adiutantów, by przekazał im rozkaz do ataku. Adiutant puścił się cwałem, ale nie przebył nawet jednej trzeciej odległości dzielącej pagórek od pozycji zajmowanej przez regiment, kiedy kula armatnia urwała mu głowę. Nie wypadł jeszcze ze strzemion, a już Albert, pragnąc w ten sposób włączyć się do bitwy, dał koniowi

ostrogę i zaniósł rozkaz pułkownikowi dragonów, ale zamiast wrócić potem do marszałka, dobył szabli i ruszył do ataku na czele regimentu.

Owa szarża tak zuchwała, olśniewająca i najbardziej tego dnia skuteczna, wywarła ogromne wrażenie na żołnierzach cesarskich i osłabiła ich morale.

Marszałek mimowiednie śledził wzrokiem oficera, którego wśród zamieszania rozpoznawał dzięki jego mundurowi. Widział, jak dociera on aż do sztandaru wroga i jak walczy wręcz z chorążym, a kiedy regiment ruszył do odwrotu, marszałek ujrzał Alberta, jak wraca przyciskając zdobycz do piersi. Stanąwszy przed dowódcą młody człowiek rzucił mu sztandar pod stopy, otworzył usta, by przemówić, ale z ust buchnęła mu krew. Marszałek zobaczył, że du Rocher chwieje się w siodle, zbliżył się tedy, by go podtrzymać; nim jednak zdołał to uczynić, Albert runął na ziemię: kula przeszła mu pierś.

Marszałek zeskoczył z konia; dzielny giermek leżał martwy na zdobytym sztandarze.

XVII. Ten pocziwy Buvat

2

Diuk Orleański przybył nazajutrz po bitwie; z żalem przyjął wiadomość o śmierci Alberta, tak jak zwykle żałujemy utraty człowieka o wielkim sercu; ostatecznie jednak zginął on jak bohater, w zwycięskiej walce, nie wypuszczając z rąk zdobytego sztandaru: czegoż więcej mógłby pragnąć Francuz, żołnierz, szlachcic?

Diuk Orleański własnoręcznie napisał o tym do nieszczęsnej wdowy. Jeśli cokolwiek może pocieszyć kobietę po śmierci męża, to pocieszeniem byłby z pewnością taki list. Ale Klarysa wiedziała tylko jedno: że nie ma już męża, a jej Batylda nie ma już ojca.

O czwartej godzinie Buvat wrócił z biblioteki; powiedziano mu, że Klarysa go wzywa; zszedł natychmiast. Nie płakała, była przybita, brakowało jej łez i słów; nieruchome i zapadnięte oczy robiły wrażenie oczu kobiety, która postradała zmysły. Kiedy Buvat wszedł, nie odwróciła głowy, wyciągnęła tylko rękę i podała mu list.

Buvat patrzył dokoła skonsternowany, usiłując odgadnąć, co się stało; po czym, nie widząc niczego, co mogłoby mu jakiś domysł nasunąć, spojrzął na list i odczytał go głośno:

Łaskawa Pani,

Małżonek Pani poległ za Francję i za mnie. Ani Francja, ani ja nie możemy go Pani zwrócić; ale proszę pamiętać, że jeśli będziesz, Pani, czegokolwiek potrzebowała, i Francja, i ja jesteśmy Pani dłużnikami. Szczerze oddany Filip Orleański

- Jak to?! - wykrzyknął Buvat spoglądając wylupiastymi oczyma na Klarysę. - Pan du Rocher?... Niepodobna!

- Tatuś umarł? - spytała podchodząc do matki mała Batylda, która dotychczas bawiła się lalką w kącie pokoju. - Mamo, czy to prawda, że tatuś nie żyje?

- Niestety, Niestety! Tak, moje drogie dziecko! - wykrzyknęła Klarysa odzyskując jednocześnie głos i łzy. - Och, tak, to prawda! To aż nadto prawdziwe! Jakże nieszczęsne jesteśmy obie!

- Łaskawa pani - ozwał się Buvat, który nie posiadał dostatecznych zasobów wyobraźni, by ją w inny sposób pocieszyć - proszę tak nie rozpaczać; może to fałszywa

wiadomość.

- Czy pan nie widzi, że to list od samego diuka Orleańskiego?! - krzyknęła wdowa. - Tak, moje dziecko, twój ojciec nie żyje. Płacz, płacz, córeczko! Może widząc twoje łzy Bóg ulituje się nad tobą.

Domawiając tych słów nieszczęsna zakaszła tak rozdzierająco, że Buvat czuł niemal, że i jego pierś się rozrywa; przeraził się jeszcze bardziej, kiedy zobaczył, że chusteczka, którą podniosła do ust, jest pełna krwi. Pojął wówczas, że tragedia Klarysy nie jest zapewne większa od tej, jaka stanie się udziałem Batyldy.

Mieszkanie pani du Rocher okazało się teraz za obszerne; nikt zatem się nie zdziwił, że je opuściła wynajawszy mniejsze na drugim piętrze.

Nie tylko choroba pozbawiła Klarysę energii; żywiła bowiem w sercu szczególną niechęć do upominania się, choćby od ojczyzny, o rekompensatę za przelaną na polu bitwy krew, zwłaszcza za krew jeszcze ciepłą, za krew Alberta. Wahała się przed pójściem do Ministerium Wojny, by upomnieć się o swoje prawa. Pod koniec trzeciego miesiąca, kiedy wreszcie zdecydowała się poczynić pierwsze kroki, zdobycie przez Francuzów Requeny i Saragossy sprawiło, że zapomniano o bitwie pod Almanzą. Pani du Rocher przedstawiła list księcia; sekretarz ministra zapewnił ją, że dzięki takiemu pismu otrzyma niechybnie wszystko, czego zażąda, ale na razie trzeba czekać na powrót jego wysokości diuka Orleańskiego. Klarysa spojrzała w lustro i uśmiechnęła się smutno na widok swojej wymizerowanej twarzy.

- Trzeba czekać! - powtórzyła. - Tak rzeczywiście będzie lepiej, ale jeden Bóg wie, czy się doczekam.

Wskutek owego niepowodzenia Klarysa opuściła mieszkancko na drugim piętrze i przeniosła się do dwóch pokoiów na trzecim. Nie posiadała żadnej fortuny, nic, prócz wdowiej pensji. Skromne wiano, które ofiarował jej ongiś diuk, wydali już na meble i na ekwipunek wojskowy Alberta. A że nowe lokum było o wiele mniejsze od poprzedniego, nie dziwiono się wcale, że pani du Rocher sprzedała część zbędnych sprzętów.

Spodziewano się powrotu diuka Orleańskiego pod koniec jesieni i Klarysa liczyła, że jego powrót poprawi jej sytuację; ale, wbrew obyczajom strategicznym tej epoki, armia, miast iść na zimowe leże, prowadziła nadal kampanię; wieść głosiła, że diuk Orleański nie

przygotowuje się do powrotu, lecz do oblężenia Leridy. Owóż w roku 1647 sam Wielki Kondeusz poniósł klęskę pod Leridą, a więc i teraz oblężenie, jeśli nawet zakończy się zwycięstwem, zapowiada się na bardzo długi czas.

Pani du Rocher odważyła się przedsięwziąć nowe kroki: tym razem nie pamiętano nawet nazwiska jej małżonka. Powołała się znowu na pismo księcia; list wywołał ten sam efekt, ale odpowiedziano jej, że należy czekać na zdobycie Leridy, wtedy diuk Orleański niezawodnie powróci: biedna wdowa musiała znowu uzbroić się w cierpliwość.

Opuściła z kolei dwa pokoiki i przeniosła się do ciasnej mansardy naprzeciw izdebki Buvata; sprzedała też resztę mebli, zachowując dla siebie jedynie stół, parę krzeseł, łóżko i kołyskę Batyldy.

Buvat dostrzegał wszystkie te zmiany, nie zdawał sobie wszakże w pełni sprawy z ich znaczenia, ale choć nie był dość rozgarnięty, nietrudno mu było zrozumieć sytuację sąsiadki. Jako człowiek stateczny miał trochę oszczędności i gorąco pragnął ofiarować je pani du Rocher; w miarę jednak jak wzrastała nędza Klarysy, rosła też jej duma, Buvat zatem nigdy by się nie ośmielił wysunąć podobnej propozycji. Mimo to często wstępował do niej z rulonikiem zawierającym całą jego fortunę, to znaczy pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt ludwików; za każdym razem wychodził z rulonem do połowy dobytym z kieszeni, nie odważywszy się wydobyć go do reszty. Pewnego dnia zdarzyło się, że idąc do biura spotkał właściciela domu inkasującego czynsz kwartalny i domyślił się, że gospodarz złoży ze zwykłą punktualnością również wizytę wdowie, której nawet ta skromna suma za komorne sprawi mnóstwo kłopotu - Buvat wciągnął więc gospodarza do swego pokoju i oznajmił, że sąsiadka wręczyła mu poprzedniego dnia pieniądze; prosi zatem o wypełnienie jednocześnie obu kwitów. Właściciel, uradowany, że otrzyma należność, przewidywał bowiem niejaką zwłokę ze strony lokatorki mansardy, nie troszczył się wcale o to, skąd pochodzą pieniądze: wręczył Buvatowi dwa kwity i poszedł dalej.

Trzeba dodać, że Buvat zagryzał się w naiwności swojego serca, ponieważ ten dobry uczynek wydawał mu się przestępstwem; przez parę następnych dni nie śmiał odwiedzić pani du Rocher, a kiedy znów się u niej zjawił, była bardzo urażona jego domniemaną obojętnością. Buvat też spostrzegł, że ogromnie się zmieniła w ciągu tych kilku dni;

wyszedłszy od niej kiwał głową i ocierał łzy, a wieczorem, gdy kładł się spać, nie zaśpiewał - ani tego dnia zresztą, ani przez dwa dalsze tygodnie - ulubionej piosenki, zawsze nuconej przed zaśnięciem: "Daj mi, dziecino, daj mi, dziecino..." itd., co było dowodem, że popadł w smutek i głębokie przygnębienie.

Pod koniec zimy nadeszła wieść o zdobyciu Leridy; ale dowiedziano się jednocześnie, że młody, niestrudzony generał gotuje się z kolei do oblegania Tortozy.

Był to ostatni cios zadany Klarysie. Pojęła, że wiosną rozpocznie się nowa kampania, która zatrzyma diuka w armii. Sił jej zabrakło, musiała położyć się do łóżka.

Sytuacja pani du Rocher była tragiczna; nie przejmowała się własną chorobą, wiedziała bowiem, że to choroba nieuleczalna; zadręczała się natomiast myślą, że nie ma na świecie nikogo, komu mogłaby powierzyć swoje dziecko. Nie obawiała się śmierci, drżała o los córeczki, która może nawet nie będzie mogła wesprzeć głowy na kamieniu nagrobnym matki. Albert du Rocher miał tylko dalekich krewnych, od których Klarysa nie chciała i nie mogła domagać się litości. Ona zaś, Angielka urodzona we Francji, nie pamiętała nawet swej matki. Pojmowała zresztą, że gdyby nawet żywiła jakąś nadzieję na pomoc ze strony angielskich krewnych, nie zdążyłaby się już do nich zwrócić. Czuła zbliżającą się śmierć. Pewnej nocy Buvat, który poprzedniego dnia opuścił panią du Rocher trawioną gorączką, usłyszał, że jęczy ona przeraźliwie; wyskoczył z łóżka, ubrał się i pospieszył na ratunek.

Stanąwszy przed jej drzwiami nie ośmielił się jednak ani zapukać, ani wejść. Pani du Rocher szlochała i modliła się głośno. Mała Batylida obudziła się właśnie i zaczęła wzywać matkę. Klarysa powstrzymała łkanie, wyjęła dziewczynkę z kołyski, kazała jej uklęknąć na łóżku i powtarzać słowa wszystkich modlitw, jakie знаła; między jedną a drugą modlitwą rozziewającą głosem wołała i Buvat to wyraźnie słyszał:

- O mój Boże, mój Boże! Wysłuchaj mojego biednego dziecka!

Ledwie od ziemi odrosłe dziecko i matka, nie należąca już do świata żywych, zwracały się wśród ciszy nocnej do Boga, jedyne ich pocieszyciela - było w tej scenie coś tak niewypowiedziane smutnego, że zacny Buvat, padłszy na kolana, uroczyście przyrzekł sobie w duchu to, czego nie odważał się wypowiedzieć głośno. Ślubował więc, że jeśli Batylida zostanie sierotą, to nie zostanie przynajmniej sierotą opuszczoną. Bóg wysłuchał zatem obu

modlitw i spełnił prośbę nieszczęśliwych istot.

Nazajutrz wszedłszy do pani du Rocher Buvat zrobił coś, na co by sobie nigdy przedtem nie pozwolił: wziął Batyldę w ramiona, przytulił dobroduszną, pyzată twarz do ślicznej buzi dziecka i szepnął:

- Bądź spokojne, moje małe biedactwo, są jeszcze na świecie uczciwi ludzie.

Dziewczynka uścisnęła go otoczywszy rączkami jego szyję. Buvat poczuł napływające mu do oczu łzy, a że często słyszał, że nie należy płaczem niepokoić chorych, wyciągnął zegarek i basowym głosem, maskując wzruszenie, rzekł:

- Za kwadrans dziesiąta, muszę już iść. Do widzenia pani.

Na schodach minął się z doktorem; spytał go, co myśli o stanie zdrowia Klarysy. Był to lekarz przysłany przez towarzystwo dobroczynne, uważał więc, że skoro mu nie płacą, nie jest obowiązany nikogo oszczędzać, i oświadczył, że chora umrze za trzy dni.

Wróciwszy o czwartej Buvat zauważył niezwykle poruszenie w całym domu. Po zbadaniu Klarysy doktor powiedział sąsiadom, że trzeba wezwać księdza z wiatykiem. Ktoś pobiegł po księdza; kapłan, poprzedzany przez zakrystiana z dzwonkiem, wspiał się na górę i bez pukania wszedł do pokoju chorej. Klarysa przyjęła go tak, jak przyjmuje się wysłannika Boga; złożyła dłonie, oczy wzniosła ku niebu, ale była tą wizytą wstrząśnięta. Buvat usłyszał śpiew i domyślił się wszystkiego; na schodach i przy drzwiach mansardy zobaczył tłum kumoszek z dzielnicy, które, jak to było wówczas we zwyczaju, szły za Przenajświętszym Sakramentem. Na łóżku leżała Klarysa, tak blada i nieruchoma, że gdyby nie dwie wielkie spływające po jej policzku łzy, można by ją wziąć za marmurową statuetkę spoczywającą na grobowcu; klerycy śpiewali modlitwy za konających, w kącie izby siedziała skulona Batylda, która nic nie rozumiejąc nie odważała się ani płakać, ani krzyczeć, przerażona obcą ciżbą i obcymi głosami; odsunięto ją od łóżka, aby matka mogła spokojnie przyjąć ostatnie namaszczenie. Kiedy dziecko zobaczyło Buvata, podbiegło do niego, jako do jedynej osoby, znanej mu w tym żalobnym zgromadzeniu. Buvat wziął małą na ręce i ukląkł przy łożu konającej. W tej samej chwili pani du Rocher przestała patrzeć w niebo i zwróciła oczy ku ziemi. Z pewnością błagała Niebiosą o opiekuna dla córeczki. Ujrzała Batyldę w ramionach jedynej przyjaciela, jakiego miała na świecie. Owym przenikliwym wzrokiem umierających

wejrzała w głąb tego czystego i oddanego serca i wyczytała w nim to wszystko, czego nie umiała jej to serce wyznać; uniosła się wtedy na posłaniu, wyciągnęła do Buvata rękę z okrzykiem wdzięczności i rozradowania, z okrzykiem, który chyba tylko anioły zrozumiały, ale wyczerpawszy snadź tę resztkę życiowych sił w porywie uczuć macierzyńskich, osunęła się zemdlona w pościel.

Ceremoniał religijny zakończono, księża wyszli pierwsi; za nimi ruszyły dewotki, ludzie obojętni lub ciekawscy zaczęli się rozchodzić. Większość stanowiły niewiasty. Buvat zapytał, czy nie ma wśród nich pielęgniarki; jedna zgłosiła się od razu i przy akompaniamencie chóru swoich towarzyszek zapewniła, że posiada wszystkie wymagane w tym szacowanym fachu umiejętności, ale z tej właśnie racji ma zwyczaj brać pieniądze za tydzień z góry, zwłaszcza że ma mnóstwo innych propozycji. Buvat zapytał o koszt tygodniowej opieki pielęgniarskiej; odpowiedziała, że od każdej innej kobiety zażądałaby szesnastu ludwików; wiedząc jednak, iż ta biedna pani nie jest zbyt bogata, zadowolili się dwunastoma. Buvat, który tego dnia otrzymał pobory, wyjął z kieszeni dwa talary i wręczył jej, wcale się nie targując. Gdyby nawet zażądano podwójnej sumy, dałby ją również; toteż jego hojność wywołała mnóstwo domysłów, a niektóre nie przynosiły bynajmniej zaszczytu umierającej; wielka to bowiem prawda, że dobry uczynek, trafiający się tak rzadko, wywołuje u świadków uczucie zawiści i upokorzenia; doszukują się w nim nieczystych pobudek lub interesowności!

Klarysa nadal była nieprzytomna. Pielęgniarka natychmiast przystąpiła do pracy; w braku soli trzeźwiących podsunęła chorej ocet do wachania. Buvat wyszedł. Batyldzie powiedziano, że mamusia śpi. Biedna mała, nie znająca jeszcze różnicy między snem a śmiercią, zaczęła bawić się w kąciku lalką.

Po godzinie Buvat znów się zjawił, by zapytać o stan pani du Rocher: chora ocknęła się z omdlenia; oczy miała otwarte, nie odzywała się ani słowem; rozpoznawała jednak ludzi; kiedy Buvat wszedł, złożyła ręce pogrążając się w modlitwie; po czym jęła, jak się zdawało, szukać czegoś pod poduszką. Wysilek niewątpliwie okazał się dla niej zbyt duży, jęknęła bowiem i znowu opadła na poduszki. Pielęgniarka pokręciła głową i zbliżyła się do chorej mówiąc:

- Pani jasek, mamuńciu, leży dobrze, nie trzeba go ruszać.

Potem zwróciła się do Buvata:

- Ach, ci chorzy - powiedziała wzruszając ramionami - szkoda gadać! Wyobrażają sobie, że ich coś uwiera. A to tylko śmierć, no proszę, to śmierć! I nawet tego nie wiedzą.

Pani du Rocher westchnęła głęboko, lecz się nie poruszyła. Pielęgniarka zwilżała jej wargi piórkiem maczanym w kordiale własnego pomysłu, zamówionym u aptekarza. Buvat nie mógł znieść tego widoku, polecił tedy matkę oraz dziecko pieczy tej obcej kobiety i wyszedł.

Nazajutrz rano chora była w stanie jeszcze gorszym; miała oczy otwarte, ale chyba nie poznawała nikogo prócz córeczki, którą położono przy niej na łóżku: trzymała rączkę dziewczynki i nie chciała jej puścić. Batylda natomiast czując jakby, że to ostatni macierzyński uścisk, leżała bez ruchu, w milczeniu. Spostrzegłszy Buvata powiedziała tylko do niego:

- Mamusia śpi, śpi.

Wydawało się wówczas Buvatowi, że pani du Rocher drgnęła, jakby słyszała jeszcze i poznawała głos córeczki, ale mogło to być tylko nerwowe drżenie. Spytał pielęgniarki, czy chora czegoś nie potrzebuje. Kobieta pokręciła głową.

- A po co? - rzekła. - Byłoby to wyrzucaniem pieniędzy za okno; te łajdaki aptekarze i bez tego dość zarabiają.

Buvat pragnął zostać przy pani du Rocher, wiedząc, że niewiele życia jej zostało; nigdy jednak nie przyszło mu do głowy, iż mógłby, chyba że w momencie własnej śmierci, opuścić bodaj dzień pracy. Stawił się więc w bibliotece punktualnie, ale tak smutny i przygnębiony, że król Francji niewiele zyskał na jego obecności. Zauważono nawet ze zdziwieniem, że tego dnia Buvat nie czekał na czwarte uderzenie zegara, aby rozwiązać tasiemki granatowych zarękawków, które wkładał, by oszczędzać surdut, i z pierwszym wybiciem godziny czwartej wstał, wziął kapelusz i wyszedł. Pracownik nadetatowy, który dawno już zabiegał o stałą posadę, przyglądał mu się bacznie, a kiedy za Buvatem zamknęły się drzwi, rzekł na tyle głośno, by szef usłyszał:

- Ten to ma szczęście! Ten to się dobrze bawi!

Przecucia Buvata potwierdziły się: gdy wrócił do domu i spytał stróżki, jak się miewa pani du Rocher, usłyszał w odpowiedzi:

- Ach, Bogu niech będą dzięki! Biedna pani doznała nareszcie spokoju: już nie cierpi.

- Umarła! - krzyknął Buvat z owym dreszczem, jaki wywołuje w każdym, kto je słyszy, to straszliwe słowo.

- Mniej więcej przed trzema kwadransami - odparła. I powróciła do robionej na drutach pończochy, nucząc skoczną piosneczkę, którą przerwało pytanie Buvata.

Buvat wspinał się wolno po schodach, stopień po stopniu, zatrzymywał się na każdym piętrze, by otrzeć sobie pot z czoła; na podeście ostatniego piętra musiał oprzeć się o ścianę, bo nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Widok trupa jest czymś przerażającym i zarazem uroczystym, i nawet najbardziej opanowany człowiek doznaje wtedy silnego wrażenia. Toteż pocziwiec stał tam milczący, nieruchomy, pełen wahania, gdy nagle wydało mu się, że zza drzwi dochodzi płacz dziecka. Przypomniawszy sobie o małej Batyldzie i to dodało mu odwagi. Ale przy samych drzwiach znów stał chwilę niezdecydowany, póki nie usłyszał wyraźnie jęków i krzyków dziewczynki.

- Mamó! - wołała urywanym od szlochu głosem. - Mamó, obudź się, mamó! Dlaczego jesteś taka zimna? - Potem zbliżyła się do drzwi i uderzyła w nie piąstką. - Drogi przyjacielu! - krzyknęła. - Kochany przyjacielu, przyjdź! Jestem zupełnie sama, boję się!

Buvat nie mógł pojąć, dlaczego nie zabrano stąd dziecka zaraz po zgonie matki, i ogromna litość dla sierotki pokonała w nim uczucie przerażenia, jakie nie pozwalało mu wejść: nacisnął klamkę, by otworzyć drzwi: były zamknięte. Na dole coś do niego mówiła stróżka, wybiegł więc na schody i spytał ją, gdzie jest klucz.

- O! Właśnie - powiedziała. - Patrz, pan, co ze mnie za wariatka! Zapomniałam go panu dać, kiedy pan przechodził.

Buvat zbiegł ze schodów tak szybko, jak tylko mógł.

- Ale dlaczego ten klucz znajduje się u pani? - spytał.

- Gospodarz mi go dał, kiedy już zabrał meble.

- Jak to! Zabrano meble?! - oburzył się Buvat.

- No, oczywiście, zabrano meble! Pańska sąsiadka nie była zamożna, panie Buvat, założyłabym się, że zostawiła same długi. Gospodarz nie chce żadnych korowodów z wierzycielami. Komorne przede wszystkim! To jest przecież sprawiedliwe. Zresztą ta nieszczęsna zacna pani już nie potrzebuje mebli!

- A pielęgniarka? Co się z nią stało?

- Odeszła, kiedy zobaczyła, że chora zmarła; za talara, jeśli pan zechce, przyjdzie ją przygotować do pochówku. Ten drobny zarobek należy się zwykle dozorczyńcom, ale ja nie mogę tego robić, jestem zbyt wrażliwa.

Buvat pojął, cały rozdygotany, co się tu wydarzyło. Biegł teraz w górę po schodach tak szybko, jak wolno na nie przedtem wchodził. Ręka mu drżała, nie od razu trafił kluczem do dziurki. Wreszcie klucz się obrócił i drzwi się rozwarły.

Pani du Rocher leżała na podłodze pośrodku ogołoconego z mebli pokoju, na sienniku ściągniętym z łóżka. Stare prześcieradło zakrywało ją zapewne szczelnie od stóp do głów, ale dziecko odgarnęło je z twarzy matki i całowało ją, gdy wchodził Buvat.

- Ach, kochany przyjacielu, przyjacielu! - wykrzyknęła dziewczynka. - Obudź wreszcie mamusię, bo ciągle śpi; obudź ją, proszę!

I podbiegła do Buvata, który stał koło drzwi przejęty smutkiem.

- Ucałuj po raz ostatni mamusię, moje biedne dziecko - rzekł w końcu i podprowadził Batyldę do siennika.

Dziewczynka usłuchała.

- A teraz - ciągnął - pozwól jej spać. Pewnego dnia Bóg ją obudzi.

Wziął Batyldę na ręce i zaniósł ją do swojego pokoju. Nie stawiała oporu, jakby rozumiała, że jest słaba i samotna. Ułożył ją we własnym czystym łóżku, bo zabrano nawet kołyskę dziecka, a gdy zasnęła, wyszedł, by powiadomić komisarza dzielnicowego o śmierci pani du Rocher i załatwić sprawę w zakładzie pogrzebowym.

Kiedy wrócił, stróżka oddała mu dokument, który pielęgniarka, oblekając zwłoki w całun, wyjęła z zaciśniętej dłoni Klarysy.

Buvat rozpostarł papier: był to list diuka Orleańskiego, jedyny spadek, jaki biedna matka pozostawiła swojej córce.

XVIII. Batylda

1

Buvat miał zamiar nie tylko zameldować komisarzowi dzielnicowemu o zgonie Klarysy du Rocher i wstąpić do zakładu pogrzebowego, ale też rozejrzeć się za kobietą, która zgodziłaby się zająć małą Batyldą; opieki nad dziewczynką nie mógłby się sam podjąć, gdyż nie miał pojęcia o obowiązkach niańki, nie mówiąc już o tym, że co dzień spędzał w biurze sześć godzin, podczas których dziecko byłoby samo w pustym mieszkaniu. Na szczęście nie musiał daleko szukać, znał uczciwą kobietę, mniej więcej czterdziestoletnią, która usługiwała pani Buvat przez trzy ostatnie lata jej życia i której zalety mógł być ocenić w ciągu tych trzech lat. Nakłonił więc Nanette - takie nosiła imię - aby zamieszkała u niego, gotowała i troszczyła się o dziecko za pięćdziesiąt liwrów rocznej zapłaty i wyżywienie.

Nowe projekty wpłynęły na zmianę zwyczajów Buvata, musiał teraz prowadzić dom, on, który żył dotychczas po kawalersku, stołując się w pobliskim pensjonacie; nie mógł także pozostać nadal na swojej mansardzie za ciasnej dla trojga osób. Już nazajutrz rano udał się na poszukiwanie nowego lokum. Znalazł je na ulicy Pagevin, zależało mu bowiem, by nie oddalać się zbyt od Biblioteki Królewskiej i nie mieć nadmiernych kłopotów z dotarciem do miejsca pracy: mieszkanie składało się z dwóch dużych izb, jednej mniejszej i z kuchni; wynajął je natychmiast, dał zadatek i udał się na ulicę Saint-Antoine, by kupić meble do pokoju Batyldy, który chciał pięknie przyozdobić, i do izdebki Nanette; tegoż wieczora, gdy wrócił z biura, zdążyli się przeprowadzić.

Nazajutrz odbył się pogrzeb Klarysy du Rocher, a że była to niedziela, Buvat nie musiał prosić szefa o zwolnienie, by oddać ostatnią posługę sąsiadce. Przez tydzień lub dwa Batylda ustawicznie wzywała matkę, ale poczciwy Buvat znosił jej na pocieszenie różne śliczne zabawki, toteż coraz rzadziej wspominała zmarłą; ponieważ mówiono jej, że mamusia udała się do taty, nieraz pytała już tylko, kiedy wrócą oboje. Wreszcie woal, który przesłania pierwsze lata naszego życia, stawał się z biegiem czasu coraz mniej przejrzysty i dziewczynka, dowiedziawszy się w końcu, co znaczy być sierotą, odnalazła rodziców we wspomnieniach z wczesnego dzieciństwa.

Buvat przeznaczył dla niej najlepszy pokój; drugi zatrzymał dla siebie, Nanette umieścił w najmniejszym. Owa Nanette była uczciwą niewiastą, gotowała nie najgorzej, szydełkowała znakomicie i przędła jak Święta Dziewica. Ale pomimo licznych talentów nie była odpowiednią - i Buvat w lot to zrozumiał - wychowawczynią dla Batyldy; gdy dziewczynka opanowała sztukę kaligrafii z jej pięcioma regułami, gdy nauczyła się szyć i prząć - umiała ledwie połowę tego, co powinna umieć. Obowiązek, jakiego się podjął, pojmował Buvat w całej jego rozciągłości; był to jeden z tych osobników, którzy myślą wyłącznie sercem, wiedział zatem, że Batylda, choć to jego wychowanka, jest córką Alberta i Klarysy du Rocher, i postanowił zapewnić dziewczęciu edukację stosowną nie do obecnego jej położenia, lecz do nazwiska, jakie nosi.

Buvat doszedł do tej konkluzji w sposób następujący: skoro stanowisko, które piastuje, zawdzięcza panu du Rocher, wynagrodzenie za jego pracę należy do Batyldy. I oto jak podzielił dziewięćset liwrów rocznego dochodu:

- Czterysta pięćdziesiąt liwrów dla nauczycieli muzyki, rysunku i tańca;
- Czterysta pięćdziesiąt liwrów na posag.

Owóż, jeśli Batylda, która miała teraz cztery latka, wstąpi w związek małżeński za lat czternaście, jako panna osiemnastoletnia, to posag wraz z odsetkami wyniesie w dniu jej ślubu około dziewięciu, może dziesięciu tysięcy liwrów. Buvat orientował się, że nie jest to dużo, i bardzo się tym trapił, ale na próżno łamał sobie głowę, by wymyślić coś lepszego.

Co do wyżywienia całej trójki, opłaty czynszu, wydatków na Batyldę, jego własnych i na pensję dla Nanette, stawia temu czoło udzielając znów lekcji kaligrafii i robiąc kopie dokumentów. Będzie wstawał o piątej rano, będzie się kładł o dziesiątej wieczór. Z korzyścią dla siebie, bo tym sposobem przedłuży sobie życie o sześć godzin dziennie.

Bóg pobłogosławił najpierw owo święte postanowienie; ani lekcji, ani zamówień na kopie Buvatowi nie brakowało i po upływie dwóch lat, podczas których Batylda otrzymała wstępną edukację pod jego kierunkiem, Buvat mógł dorzucić dziewięćset liwrów do swojego małego skarbca i złożyć u notariusza dziewięćset liwrów dla Batyldy.

W wieku lat sześciu Batylda miała tedy to, co rzadko mają w tym wieku dzieci najszlachetniejszych i najzamożniejszych rodzin, to znaczy: nauczycieli tańca, muzyki i rysunku.

Prawdziwą przyjemnością było poświęcanie się dla tak uroczego dziewczątka, wydawało się bowiem, że Bóg obdarzył Batyldę jedną z tych szczęśliwych natur, których uzdolnienia każą nam wierzyć w reinkarnację: ci szczęśliwcy uczą się wszystkiego z ogromną łatwością, jakby rzeczy nie nowych dla siebie, lecz tylko przypominanych. A jeśli chodzi o urodę, rokowała ona wielkie nadzieje na przyszłość.

Toteż Buvat przez cały tydzień, po każdej lekcji zbierał od nauczycieli pochwały, jakich nie szczędzili oni swej uczennicy, a w niedzielę, przywdziawszy łososiowy surdut, spodnie z czarnego aksamitu i pstre pończochy, z dumą prowadził za rączkę małą BATYLDĘ na przechadzkę. Szli za miasto, w stronę Porcherons. Spotykali się tam zwykle amatorzy gry w kule, za tą rozrywką Buvat niegdyś przepadał. Nie uczestnicząc już w zawodach, pełnił funkcję sędziego. Przy każdym sporze gracze odwoływali się do niego, i nie bez powodu, bo oko miał tak niezawodne, że zawsze wskazywał tę kulę, która była najbliższej celu, a nie mylił się nigdy. Jego wyroki respektowano i wykonywano równie gorliwie, jak te, które Ludwik, zwany Świętym, wydawał w Vincennes.

Ale trzeba jeszcze powiedzieć ku chwale Buvata, że jego zamiłowanie do owych spacerów nie wypływało z pobudek egoistycznych: pod Grange-Bateliere rozciągały się moczary połyskujące mroczną wodą, nad nimi unosiło się mnóstwo ważek ze skrzydełkami z gazy, w złotych staniczkach, ważek, za którymi tak chętnie gonią dzieci. Małą Batyldę ogromnie bawiło polowanie na ważki i motyle. Gdy biegła z zieloną siateczką, wiatr rozwiewał jej śliczne, jasne włosy. Teren był nierówny i zdradliwy; biała sukienka łatwo mogła się pobrudzić, ale póki Batylda zajęta była zabawą, Buvat odnosił się z filozoficznym spokojem do plam i rozdarć; była to domena zainteresowań zacnej Nanette. Po powrocie do domu musieli wysłuchiwać zrzędzenia Nanette, lecz Buvat wzruszał ramionami i zamykał jej usta mówiąc:

- Phi, to oczywiste, starość gderze, gdy młodość bawi się szczerze.

A że Nanette miała szczególne nabożeństwo do przysłów i sama je przy byle okazji kleciła, poddawała się z reguły moralowi płynącemu z Buvatowego porzekadła.

Zdarzało się też czasem, ale tylko przy wielkim święcie, że Buvat spełniał prośbę Batyldy, która chciała obejrzeć z bliska wiatraki i dojść aż do MONTMARTRE. Wyruszano

wówczas we trójkę wczesną porą. Nanette niosła obiad, który mieli zjeść na łąkach w pobliżu l. Abbaye. Dzielnym krokiem maszerowali uliczkami przedmieścia, potem mostem koło Porcherons, za sobą po lewej stronie zostawiali cmentarz Saint-Eustache i kaplicę pod wezwaniem NOtre-Dame-de-Lorette, mijali rogatki i pieli się po zboczu wzgórza Montmartre, drogą wijącą się jak wstążka pośród zielonych traw i anemonów. Z takiej wycieczki wracali zazwyczaj o ósmej wieczór; ale też, począwszy od krzyża przy drodze na Porcherons, śpiącą dziewczynkę niósł wtedy w ramionach Buvat.

Sprawy tak się toczyły aż do roku pańskiego 1712, kiedy to wielki król popadł w tarapaty finansowe i uznał, że nie zdoła się z nich wydobyć, jeśli nadal będzie opłacać tylu swoich urzędników. Pewnego pięknego ranka, kiedy Buvat zgłosił się po swoje pobory, kasjer powiadomił go o tym środku administracyjnym i oświadczył, że nie ma pieniędzy w kasie. Buvat patrzył na niego osłupiały; nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że królowi może zabraknąć pieniędzy. Nie zaniepokoił się też zbytnio, przekonany, że jakiś nic nie znaczący przypadek spowodował zatrzymanie wypłaty, i wrócił do biura nucąc ulubioną piosenkę: "Daj mi, dziecińco, daj mi, dziecińco..." itd.

- Do kroćset! - wykrzyknął kolega Buvata, który ledwie przed miesiącem, a po siedmiu latach oczekiwania, dostał etat - masz pan zapewne dużo wesela w sercu, skoro jeszcze śpiewasz, gdy nam już przestali płacić.

- Jak to? - zdziwił się Buvat. - Co pan chcesz przez to powiedzieć?

- Mówię, że chyba nie wracasz pan z kasy.

- Owszem, wracam stamtąd.

- I wypłacono panu?

- Nie, powiedziano mi, że nie ma pieniędzy.

- I cóż pan o tym myślisz?

- Sądzę, no, cóż robić... sądzą, że później zapłacą nam za dwa miesiące.

- Oho! Już ja to widzę! Za dwa miesiące! Słyszałeś, Ducoudray? - zwrócił się do kolegi.

- On sądzi, że potem dostaniemy naraz za dwa miesiące! Co za naiwniak, ten nasz ojczulek Buvat!

- Za miesiąc się przekonamy - odparł Ducoudray.

- Naturalnie - przytaknął Buvat, a że twierdzenie to wydało mu się bardzo słuszne, powtórzył: - Za miesiąc o tym się przekonamy.

- Jeśli jednak nie zapłacą nam ani po miesiącu, ani po żadnym z następnych miesięcy, co wtedy poczniesz, ojczulku Buvat?

- Co ja pocznę? - zawołał Buvat zdziwiony tym, że można w ogóle powątpiewać o jego lojalności. - Rzecz całkiem prosta: będę tu przychodził mimo wszystko.

- Jak to? - powiedział zaskoczony kolega. - Jeśli nie będą panu płacić, będziesz pan przychodził nadal?

- Mój panie - odparł Buvat - skoro król przez dziesięć lat płacił sumiennie, po tych dziesięciu latach ma prawo, będąc w kłopotach, żądać ode mnie trochę kredytu.

- Paskudny pochlebca! - uciął urzędnik.

Minął miesiąc, nadszedł dzień wypłaty; Buvat ruszył do kasy pełen ufności, że otrzyma również zaległe pobory. Ale ku jego zdumieniu oświadczono mu i tym razem, że kasa jest pusta. A gdy zapytał, kiedy się znów napełni, kasjer odparł, że sam rad by to wiedzieć. Buvat przeprosił wylewnie, po czym wrócił do biblioteki, nie śpiewając wszakże tym razem.

Tego samego dnia jeden z kolegów Buvata złożył wymówienie. Trudno było kogoś nowego zaangażować, skoro już nie płacono poborów; praca jednak musiała być zrobiona; kierownik zlecił zatem Buvatowi jej wykonanie. Buvat bez słowa sprzeciwu przyjął polecenie, a że wypisywanie sygnaturek pozostawiało mu sporo wolnego czasu, pod koniec miesiąca nie miał żadnych zaległości.

W trzecim miesiącu również nie wypłacono mu pensji; było to prawdziwe bankructwo.

Jak widzieliśmy, Buvat nie zaniedbywał mimo wszystko swych obowiązków. To, czego podejmował się ulegając pierwszemu odruchowi, robił także po namyśle. Zaczął tylko uszczuplać swój mały skarb, czyli sumkę równającą się jego dwuletnim poborom.

Batylda tymczasem rosła i z każdym dniem stawała się ładniejsza. Czternastoletnia dziewczynka zaczynała już rozumieć swoje trudne położenie. Toteż od pół roku, a może nawet od roku, pod pretekstem, że woli siedzieć w domu, by rysować lub grać na klawesynie, zrezygnowała z przechadzek w okolice Porcherons, z zabaw na moczarach pod Grange-Bateliere i ze wspinaczek na Montmartre. Buvat nie mógł zrozumieć jej nagłego upodobania

do siedzącego trybu życia; po kilku samotnych spacerach spostrzegł, że nie same przechadzki sprawiały mu tyle przyjemności. Mieszczanin paryski, żyjący w zamkniętym pomieszczeniu przez cały tydzień, powinien jednak przynajmniej w niedzielę zażyć trochę świeżego powietrza. Buvat postanowił tedy poszukać małego domku z ogródkiem; domek z ogródkiem okazał się za drogi na jego kieszeń, natomiast w czasie swoich wędrówek znalazł niewielkie mieszkanie na ulicy du Temps-Perdu i wnet powziął zbawienną myśl, by ogródek zastąpić tarasem; nabrawszy wkrótce pewności, że powietrze tam będzie bardziej czyste, powiadomił niezwłocznie Batyldę o swoich zamiarach, uprzedzając ją zarazem, że jedyną niedogodność widzi w tym, że ich pokoje będą od siebie oddalone: Batylda zamieszka z Nanette na czwartym piętrze, on zaś na piątym. To, co wydawało się Buvatowi niedogodnością, nad wyraz dogadzało Batyldzie. Od pewnego bowiem czasu, dzięki wrodzonej kobiecej wstydlivosti, zaczęła uważać za rzecz niestosowną bezpośrednio sąsiedztwo ich pokoi, jej pokój dzieliły tylko drzwi od pokoju mężczyzny jeszcze młodego, który nie był ani jej ojcem, ani mężem. Powiedziała więc Buvatowi, że sądząc z tego, co mówi, trudno byłoby znaleźć inne mieszkanie, równie jej odpowiadające, i namawiała go, by wynajął je jak najszybciej. Uradowany Buvat natychmiast wymówił dotychczasowemu gospodarzowi i wpłacił zadatek na ulicy du Temps-Perdu, dokąd przenieśli się w połowie miesiąca; była to trzecia w ciągu ostatnich dwudziestu lat przeprowadzka Buvata, za każdym razem podyktowana koniecznością. Charakter jego, jak widzimy, nie ulegał zmianom.

Wiele racji przemawiało za tym, żeby Batylda nieco się od swego opiekuna oddaliła, bo kiedy jej czarny paltocik zarysował śliczną linię ramion, kiedy mitenki podkreśliły cudowną smukłość jej palców, kiedy z dawnej Batyldy pozostały jej tylko dziecinne małe stópki - wszyscy nagle spostrzegli, że Buvat nie jest jeszcze taki stary; że kilka razy miał okazję zawrzeć korzystne małżeństwo - a wiadano, że to człowiek stateczny, że co miesiąc odwiedza swojego notariusza i że nie szuka żadnych sposobności do uciech; spostrzeżono także, iż opiekun mieszka ze swą pupilką pod jednym dachem; wreszcie wszystkie kumoszki, które nie mogły się wprost nachwalić pocziwca, gdy Batylda miała sześć lat, zaczęły plotkować na temat jego niemoralności, gdy Batylda była już piętnastoletnia.

Biedny Buvat! Gdyby niewinność i czystość mogły wydawać echo, takim echem

rozbrzmiewałby pokój przylegający do pokoju Batyldy; przez dziesięć lat w zacnej, wielkiej, różowej głowie Buvata nie powstała nawet we śnie żadna zdrożna myśl.

Ale na ulicy du Temps-Perdu sytuacja wydawała się jeszcze gorsza: Buvat i Batyllda przybyli, jak pamiętamy, z ulicy des Orties na ulicę Pagevin; a więc tam, gdzie obserwowano, jak ucziwie zachowuje się on wobec nieszczęśliwej sieroty, owa przeszłość broniła go jeszcze przed kalumnią; ale tyle lat minęło, odkąd spełnił godny podziwu dobry uczynek, że nawet na ulicy Pagevin zaczęto już o nim zapominać. Trudno było mniemać, że rozchodzące się plotki nie podążą za nimi do nowej dzielnicy, gdzie ich całkiem nie znano; zameldowani byli pod różnymi nazwiskami, co wykluczało bliskie pokrewieństwo i mogło wzbudzać niejakie podejrzenia.

Pozostawała jeszcze supozycja, że Buvat miał burzliwą młodość i Batyllda jest owocem jego dawnej namiętności, którą Kościół zapomniał pobłogosławić; ale owa supozycja upadała przy pierwszych bliższych oględzinach. Batyllda była wysoka i smukła, Buvat był gruby i niski; Batyllda miała czarne oczy i płomienne spojrzenie, Buvat miał oczy porcelanowobłękitne, najzupełniej pozbawione wyrazu; Batyllda miała pleć białą i matową, oblicze Buvata jaśniało najżywszą różowością; cała postać Batyldy odznaczała się elegancją i dystynkcją, podczas gdy zacny Buvat był osobnikiem wielce pospolitym. W rezultacie kobiety spoglądały na Batylldę z pogardą, a mężczyźni nazywali Buvata szczęściarzem.

Trzeba oddać sprawiedliwość pani Denis, że jako ostatnia przystąpiła do rozpowszechniania tych pogłosek. Opowiemy nieco później, przy jakiej to okazji zaczęła dawać im wiarę.

Przewidywania urzędnika, który podał się do dymisji, jęły się tymczasem sprawdzać. Minęło już półtora roku, a Buvat nie otrzymał jeszcze z kasy ani jednego su; chociaż kredyt, jakiego udzielił królowi, trwał tak długo, Buvat nie pozwolił sobie nawet na niepunktualność. Co więcej, mimo że mu nie płacono, lękał się straszliwie, by ministerium dla nowych oszczędności nie zwolniło jednej trzeciej urzędników; choć jego zajęcie pochłaniało mu sześć godzin dziennie, które mógł przecież z większym pożytkiem wykorzystać, Buvat traktował utratę posady jako klęskę ostateczną. Toteż im mniej nadziei pokładał w odzyskanie poborów, tym gorliwiej pracował. Nie kwapiono się zatem z usunięciem człowieka harującego tym zacieklej,

im mniej mu płacono.

Całkowita niewiedza co do tego, kiedy zmieni się ta przejściowa sytuacja, oraz stałe uszczuplanie oszczędności chmurzyły jednak czoło Buvata i Batylida jęła się domyślać rzeczy, których przedtem nie znała. Z taktem właściwym kobietom pojęła w lot, że pytanie skierowane do Buvata na temat sekretu, którego sam jej nie wyznał, pozostałoby bez odpowiedzi. Zwróciła się więc do Nanette. Nanette kazała się trochę prosić, ale że wszystko w domu ulegało wpływowi Batylidy, wyjawiała jej w końcu sytuację finansową Buvata; Batylida dowiedziała się wówczas, co zawdzięcza bezinteresownej trosce opiekuna; dowiedziała się, że aby zebrać pieniądze na posag dla niej i zapewnić jej naukę u mistrzów sztuk pięknych, pracował dodatkowo od piątej do ósmej rano, wieczorem zaś od dziewiątej do północy i martwił się tylko tym, że mimo wytężonej pracy jego skromne oszczędności, nie zasilane biurową pensją, rychło się wyczerpią, a zatem będzie musiał oznajmić Batyldzie, że trzeba ograniczyć wydatki do najkonieczniejszych. Kiedy Batylida dowiedziała się o tym zbożnym poświęceniu, w pierwszym odruchu zapragnęła paść mu do stóp, gdy wróci z biura, i ucałować jego rękę; ale po namyśle uznała, że dla jej skrytych celów lepiej będzie, gdy uda zupełną nieświadomość, i Buvat nawet się nie domyślał, ile wdzięczności i czci przekazała mu w gorącym pocałunku, złożonym na jego czole.

XIX. Batylda

2

Nazajutrz jednak Batylda z uśmiechem oświadczyła Buvatowi, że mistrzowie niczego jej już nauczyć nie potrafią, umie bowiem tyle, co oni, i dalsza nauka byłaby marnowaniem pieniędzy. A że jej rysunki i śpiew budziły w nim jednaki zachwyt, uwierzył w to bez trudu, zwłaszcza że nauczyciele z rzadko spotykaną uczciwością twierdzili, iż panienka wystarczająco opanowała wiedzę, by móc pracować nadal samodzielnie. Takie właśnie uczucia wywoływała w ludziach Batylda, opromieniając jakby wszystko, co ją otaczało.

Ta zgodna opinia uczennicy i nauczycieli sprawiła Buvatowi wielką przyjemność; ale Batylda postanowiła nie tylko oszczędzać na wydatkach, lecz także przyczynić się do zwiększenia dochodów. Oцениwszy swoje postępy w muzyce i rysunku, doszła do przekonania, że powinna raczej zająć się rysowaniem, muzykę natomiast traktować jako rozrywkę. Zdecydowała się więc przede wszystkim rozwijać swoje zdolności do rysunków i zaczęła wkrótce malować prześliczne pastele. Wreszcie pewnego dnia zapragnęła poznać wartość tych prac i poprosiła Buvata, by idąc do biura wstąpił do właściciela sklepu z farbami, na skrzyżowaniu ulicy de Clery i du Gros-Chenet, gdzie zaopatrywała się w papier oraz ołówki, i przedstawił mu do oceny dwie wykonane z fantazją dziecięce główki. Buvat podjął się tego zadania, nie domyślając się podstępu, i wywiązał się z misji ze zwykłą sobie naiwnością. Kupiec, nawykły do podobnych propozycji, z pogardliwą miną obracał na wszystkie strony owe główki i, skrytykowany ostro, oznajmił, że może dać za każdy z tych obrazków nie więcej jak piętnaście liwrów. Buvat poczuł się dotknięty nie tyle oferowaną sumą, co pozbawioną respektu krytyką talentu Batyldy; wyrwał kupcowi z rąk oba kartony i dość szorstko mu podziękował.

Kupiec pomyślał, że nasz poczwieć uznał cenę za zbyt niską, i zaraz dodał, iż z uwagi na dawną znajomość jest gotów podwyższyć sumę do czterdziestu liwrów; ale Buvat, piekielnie rozwścieczony postępowaniem dzieła swojej pupilki, odparł sucho, że obrazki nie są do sprzedania, a o ich wartość pytał dla własnej satysfakcji. Owóż nie od dziś wiemy, że gdy obrazy nie są do sprzedania, w osobliwy sposób rośnie ich cena. Kupiec zaoferował w

końcu pięćdziesiąt liwrów, co bynajmniej nie wzruszyło Buvata, ani myślał przyjąć oferty; włożył rysunki do tekturowej teczki, opuścił sklep i z dumą człowieka urażonego w swej godności poszedł do biura. Kiedy stamtąd wracał, kupiec niby to przypadkiem znalazł się przed sklepem; Buvat dostrzegł go i przyspieszył kroku. Nie zdało się to na nic, kupiec dogonił Buvata i kładąc mu obie ręce na ramionach, zapytał, czy jednak nie sprzedałby rysunków za wymienioną poprzednio kwotę. Buvat odpowiedział, tym razem jeszcze bardziej oschle, że obrazki nie są na sprzedaż.

- Wielka to szkoda - nie dawał za wygraną kupiec - dałbym nawet osiemdziesiąt liwrów.
- I odwrócił się z obojętną miną, popatrując wszakże spod oka na Buvata. Buvat poszedł dalej, tak dumnie wyprostowany, że wyglądał bardziej niż zwykle groteskowo; nie obejrzał się ani razu i zniknął za rogiem ulicy du Temps-Perdu.

Batylda usłyszała, jak Buvat wchodzi na górę, postukując swoim zwyczajem laską o balaski poręczy; wybiegła na podest, niespokojna o wynik negocjacji; dawnym, dziecinnyim gestem zarzuciła mu ręce na szyję i spytała:

- No i co, ojczy, co powiedział pan Papillon?

Tak nazywał się kupiec.

- Pan Papillon! - zawołał Buvat ocierając sobie pot z czoła. - Pan Papillon jest impertynentem!

Batylda zbladła.

- Jakże to, drogi ojczy? Impertynentem?

- Tak, impertynentem; zamiast paść na kolana przed twoimi rysunkami, ośmielił się je krytykować.

- Ach, jeśli tylko o to chodzi - roześmiała się Batylda - to ma rację. Pomyśl, proszę, ja się dopiero uczę. Ale czy wyznaczył za nie jakąś cenę?

- Wyznaczył - potwierdził Buvat - popełnił jeszcze i tę impertynencję.

- Jakaż to cena? - spytała drżącym głosem Batylda.

- Osiemdziesiąt liwrów.

- Osiemdziesiąt liwrów! - wykrzyknęła. - Och, chyba się mylisz.

- Ośmielił się zaproponować osiemdziesiąt liwrów za obydwa, powtarzam -

odpowiedział Buvat wymawiając z naciskiem każdą sylabę.

- Ależ to cztery razy więcej, niż są warte - rzekła dziewczyna klaszcząc w ręce z radości.

- Niewykluczone - zgodził się Buvat - ale ja w to nie wierzę. Prawdą jest natomiast, że pan Papillon to impertynent.

Batylda była innego zdania, ale nie chcąc wszczynać dyskusji na tak delikatny temat, oznajmiła, że obiad już gotowy - zapowiedź obiadu wprowadzała nieodmiennie poczciwca w dobry nastrój. Bez dalszych komentarzy zwrócił Batyldzie teczkę i wszedł do małej jadalni klepiąc się po udach i podśpiewując nieodmiennie: "Daj mi, dziecino, daj mi, dziecino..." itd.

Zjadł obiad z takim apetytem, jakby jego niemal ojcowska miłość własna nie doznała żadnego uszczerbku i jakby pan Papillon wcale nie istniał na świecie.

Kiedy Buvat udał się wieczorem do swojego pokoju, żeby kopiować pisma, Batylda wręczyła Nanette teczkę z prośbą, by zaniósła te dwie główki dziecięce do pana Papillon i odebrała osiemdziesiąt liwrów, które kupiec przyobiecał panu Buvat.

Nanette zgodziła się i Batylda oczekiwała jej powrotu pełna niepokoju, gdyż nie mogła uwierzyć, że Buvat podał właściwą cenę. Po dziesięciu minutach jednak nabrała co do tego całkowitej pewności, bo zacna kobieta wróciła z osiemdziesięcioma liwrami.

Batylda wzięła te pieniądze i ze łzami w oczach patrzyła na nie przez chwilę, potem odłożyła je na stół i uklękła przed krucyfiksem u stóp łóżka, gdzie codziennie odmawiała pacierz. Tym razem pacierz zastąpiła dziękczynna modlitwa. Poczciwy Buvat otrzyma wkrótce część pieniędzy, które na nią wydał.

Nazajutrz wracając z biura Buvat postanowił zadzwic sobie trochę z pana Papillon i przejść koło jego sklepu; zdumiał się niepomiernie, gdy przez szybę wystawy zobaczył wspaniałe ramy i spoglądające z nich dwie główki dziecięce. W tym momencie drzwi się otwały i ukazał się w nich kupiec.

- No i co, ojczulku Buvat - rzekł - namyśliliśmy się jednak! Postanowiliśmy wyzbyć się naszych dwóch główek, które nie były do sprzedania! Ach, do kasta, nie sądziłem, że z pana taki frant, sąsiedzie! Wyciągnąłeś mi pan swoimi sposobikami osiemdziesiąt uczciwych liwrów z kieszeni! Mniejsza o to, powtórz pan panie Batyldzie, że przez szacunek dla niej, bo jest

dobra i świątobliwa, będę co miesiąc zamawiał u niej dwa rysunki po tej samej cenie, pod warunkiem, że przez cały rok nie namaluje takich samych dla nikogo innego.

Buvat osłupiał; wymamrotał coś w odpowiedzi, która już do kupca nie dotarła, i ruszył ulicą du Gros-Chenet uderzając laską o wystające kamienie, co było u niego oznaką wielkiego zaambarasowania. Na piąte piętro wszedł nie dotykając balasków poręczy, żeby go Batyllda nie usłyszała. Dziewczyna była zajęta rysowaniem następnej główki.

Ujrzawszy w progu Buvata z miną zakłopotaną, odłożyła na stół brystol oraz pastele i podbiegła do niego, pytając, co się stało, ale Buvat nie od razu odpowiedział: otarł tylko dwie ogromne łzy i rzekł głosem łamiącym się ze wzruszenia:

- A więc to tak! Córka moich dobroczyńców, córka Klarysy Gray i Alberta du Rocher zarabia na życie!

- Ależ, drogi ojcze - odparła Batyllda śmiejąc się i płacząc zarazem - ja nie pracuję, ja się bawię!

Słowo "ojciec", którym Batyllda zastępowała w uroczystych momentach "drogiego przyjaciela", koilo zazwyczaj wszelkie troski pocziwca; tym razem jednak nie wywarło na nim wrażenia.

- Nie jestem twoim drogim ojcem ani drogim przyjacielem - rzekł cicho, kiwając głową z godną podziwu dobroduszością. - Jestem po prostu biedny Buvat, któremu król już nie płaci i który nie może swoją kaligrafią zarobić tyle, by zapewnić edukację należną takiej panience jak ty.

I opuścił ramiona ruchem takiego zniechęcenia, że aż upuścił na ziemię laskę.

- Och, a teraz ty chcesz sprawić, bym umarła ze zgryzoty! - i Batyllda wybuchnęła płaczem na widok cierpienia, jakie wyrażała twarz Buvata.

- Ja miałbym chcieć, żebyś umarła ze zgryzoty, moje dziecko?! - wykrzyknął tonem niezmiernej czułości. - A cóż ja takiego powiedziałem? Cóż ja zrobiłem?

I złożwszy ręce gotów był paść jej do nóg.

- Otóż to! - zawołała Batyllda. - Takim właśnie cię kocham, drogi ojcze; kocham cię, gdy w ten sposób zwracasz się do swojej córki. Ale kiedy nie nazywasz mnie córką, wydaje mi się, że się na mnie gniewasz, i wtedy płaczę.

- Nie chcę, żebyś płakała! - orzekł Buvat. - Jeszcze tego brakuje, żebym patrzył na twoje łzy!

- No to będę ciągle płakała - odparła - jeśli nie pozwolisz mi robić tego, co chcę.

Ta groźba Batyldy, choć była całkiem dziecinna, wprawiała w drżenie Buvata, albowiem od dnia, kiedy jako dziecko oplakiwała matkę, ani jedna łza nie spłynęła z oczu dziewczynki.

- Więc rób, co chcesz i jak chcesz, ale mi przyrzeknij, że w dniu, w którym król wypłaci mi zaległe pobory...

- Dobrze, dobrze, mój ojczy! - przerwała mu Batylda - o tym pomyślimy później; tymczasem z twojej winy obiad nam stygnie.

I wzięwszy opiekuna pod ramię poprowadziła go do jadalni, gdzie wesołością i żartami usunęła wnet z zacnej, puciołowatej twarzy ostatnie ślady smutku.

Ale cóż by to było, gdyby Buvat wiedział o innych jej zamysłach?

W istocie bowiem Batylda zorientowała się szybko, że niewiele trudu będzie wymagało sprzedawanie jej prac na tak dogodnych warunkach; i, jak się przekonaliśmy, prognozy te okazały się słuszne, skoro pan Papillon powiedział Buvatowi, że może kupować od niej dwa rysunki co miesiąc, jeśli przyrzeknie dostarczać je tylko jemu. Owóż takie dwa rysunki Batylda mogła wykonać w ciągu tygodnia, najwyżej w ciągu dziesięciu dni; uznała zatem, że tych pozostałych dwóch tygodni nie wolno jej zmarnować; poczyniwszy tak znaczne postępy w roli pani domu i osoby światowej, jeszcze tego samego rana poleciła Nanette wywiedzieć się wśród znajomych o pracę wymagającą mistrzowskiego posługiwania się igłą, bez ujawniania oczywiście, kto jej poszukuje; tę pracę trudną, a zatem dobrze płatną, Batylda mogłaby wykonywać podczas nieobecności Buvata; wynagrodzenie za nią przyczyniłoby się również do poprawy sytuacji w gospodarstwie domowym. Nanette, słuchająca wyłącznie swojej młodej pani, natychmiast wyruszyła na poszukiwania, ale nie musiała nawet daleko iść, by znaleźć to, co chciała. Panowała wtedy moda na koronki i ręczny haft na batyście; wielkie damy płaciły za kupon takiej gipiury pięćdziesiąt ludwików, po czym lekkomyślnie biegały wśród krzewów w strojach jeszcze bardziej powiewnych niż te, które Juvenal określał jako "utkane z powietrza". W rezultacie, co łatwo pojąć, suknie ulegały zniszczeniu i należało to ukryć przed wzrokiem matki lub męża; dlatego też w owych czasach można było zarobić więcej na naprawianiu

koronek aniżeli na ich fabrykowaniu. Już pierwsza próba dowiodła, że Batyllda potrafi robić cuda; jej igła była prawdziwie zaczarowana. Toteż Nanette otrzymywała mnóstwo komplementów pod adresem nieznaney Penelopy odtwarzającej we dnie dzieła niszczone nocą.

Dzięki owym zbożnym planom Batylldy, których części nikt nie znał, nawet Buvat, dostatek, jaki zapewniały dochody płynące z dwóch źródeł, zaczął powracać do ich domu. Buvat stał się nieco spokojniejszy i choć Batyllda wyraźnie nie wypowiadała się na ten temat, postanowił zrezygnować z niedzielnych spacerów, które przestały go pociągać, odkąd nie brała w nich udziału Batyllda; pomyślał wówczas o tarasie, który zaważył na wyborze tego mieszkania. Przez cały tydzień, godzinę rano i godzinę wieczorem, coś tam wymierzał i nawet Batyllda nie mogła odgadnąć jego zamiarów. W końcu postanowił zbudować na tarasie fontannę, grotę i altankę.

Trzeba widzieć mieszczanina paryskiego podczas zmagania się z podobnie fantastycznym projektem, żeby zrozumieć, ilu rzeczy - na pierwszy rzut oka nie do zrobienia - można dokonać dzięki cierpliwości. Budowa fontanny okazała się błahostką. Umożliwiły to rynny znajdujące się na wysokości ośmiu stóp nad tarasem. Altanka również nie była trudna do wykonania; parę desek zbitych w zrąb i pomalowanych na zielono, oplecionych jaśminem i wiciokrzewem. Ale grotka miała być prawdziwym dziełem sztuki zdobiącym ten nowy ogród Semiramidy.

Co niedziela o świcie Buvat wyruszał do lasku w Vincennes i szukał tam dziwacznych kamieni, z których jedne wyobrażały małpie głowy, inne przykucnięte króliki, jeszcze inne grzyby, i wreszcie takie, które przypominały dzwony katedry; kiedy zebrał ich dostateczną ilość, układał je na taczkach i za jednego liwra bitego w Tours - co tydzień przeznaczał jednego liwra na ten wydatek - kazał je dostarczać na piąte piętro domu przy ulicy du Temps-Perdu. Skompletowanie owej pierwszej kolekcji zabrało mu trzy miesiące.

Przerzucił się potem od monolitów do świata roślinnego. Każdy korzeń, który miał nieostrożność wychynąć z ziemi, a posiadał kształt węża lub żółwia, stawał się własnością Buvata; z małym nożem ogrodniczym w ręce Buvat przechadzał się patrząc w ziemię z takim napięciem, jakby szukał zakopanego skarbu, i kiedy tylko spostrzegł jakąś formę drzewiastą,

dogadzającą jego zamysłem, rzucał się ku ziemi z zajadłością tygrysa dopadającego zdobyczy. Uderzając, siekąc, ciągnąc, wrywał wreszcie korzeń z gleby. Uparte poszukiwania - którym dozorczy w Vincennes i Saint-Cloud nieraz chcieli położyć kres, lecz którym nie zdołali przeszkodzić, Buvat bowiem wytrwale i chytrze wyprowadzał ich w pole - trwały trzy miesiące i wtedy dopiero, ku swojemu zadowoleniu, pocziwiec stwierdził, że materiał ma w całości zebrany.

Wówczas zajął się architekturą. Każdy - i największy, i najmniejszy - kamień, który miał służyć do wzniesienia tej nowoczesnej wieży Babel, był zrazu obracany na wszystkie strony, aby móc go w pełnym blasku ukazać oczom ludzkim; po czym ułożony, dopasowany, zostawał zacementowany w taki sposób, że każde wyrzuszenie przedstawiało kapryśną imitację ludzkiej głowy, zwierzęcia, rośliny, kwiatu lub owocu. Niebawem stało się to chimerycznym zlepkiem przeróżnych kształtów, do których wijąc się, czółgając i wspinając dołączyły się korzenie, te wszystkie, które Buvat przyłapał na gorącym uczynku imitowania jakiegoś gada czy płaza. Wreszcie sklepienie zaokrągliło się tworząc jaskinię dla wspaniałej hydry, najcenniejszego okazu z całej kolekcji, hydry, której siedmiu głowom - aby stały się jeszcze bardziej przerażające - Buvat przydał, wpadłszy na ów szczęśliwy pomysł całkiem przypadkowo, oczy z emalii i jęzory ze szkarłatnego sukna. Kiedy rzecz osiągnęła perfekcję, Buvat zbliżał się do straszliwej groty z pewnym wahaniem i na początku za nic w świecie nie zostałby sam nocą na tarasie.

XX. Młodzieńcze miłości

1

Babilońskie dzieło Buvata zajęło mu cały rok. W tym czasie Batyllda ukończyła lat piętnaście i z wdzięcznego podlotka wyrosła na urodziwą dziewczynę. Wtedy to właśnie dostrzegł ją Bonifacy Denis i póty nalegał, aż jego pani matka, nie umiejąca mu niczego odmówić, po zebraniu wiarygodnych informacji na ulicy Pagevin i pod pretekstem nawiązania sąsiedzkich stosunków, zaczęła odwiedzać Buvata i jego wychowankę; po pewnym czasie zaprosiła ich oboje na niedzielne wieczory. Zaproszenie brzmiało tak serdecznie, że wprost trudno było je odrzucić, choć Batyllda niechętnie opuszczała swoją samotnię. Buvat natomiast cieszył się, że Batyllda będzie miała jakąś rozrywkę. A ponadto, w głębi duszy powodowany ową ojcowską dumą, od jakiej nie są wolne najuczciwsze serca, radował się zapewne tryumfem, który Batyllda niechybnie odniesie nad córkami pani Denis, panną Emilią i panną Atenais.

Tymczasem sprawy nie potoczyły się tak, jak pocziwina je sobie z góry ułożył. Batyllda od pierwszego wejrzenia zorientowała się, z kim wypadło jej się zetknąć, i należycie oceniła pospolitość swoich rywalek; a zatem, kiedy rozmawiano o malarstwie i kiedy kazano jej podziwiać głowy, kopiowane przez owe panienki z gipsowych modeli, oświadczyła, że nie ma w domu nic, co mogłaby pokazać, choć Buvat wiedział doskonale, iż wśród jej kartonów znajdują się głowa Dzieciątka Jezus i świętego Jana, obie znakomicie wykonane. I to jeszcze nie wszystko! Gdy poproszono Batylldę, by zaśpiewała po występach panien Denis, wybrała prostą romancę o dwóch zwrotkach, która trwała pięć minut, zamiast wielkiej czterdziestopięciominutowej arii, na co liczył Buvat. A jednak ku jego ogromnemu zdumieniu to zachowanie zdawało się osobliwie wzmacniać życzliwość pani Denis dla Batylldy. Albowiem pani Denis już wcześniej słyszała, jak chwalono talenty sąsiadki i pomimo macierzyńskiej dumy była trochę niespokojna o rezultat zmagających artystycznych, w jakie miały się wdać trzy młode panny. Batyllda została więc obsypana czułościami przez zającą damę, która po jej wizycie powiadomiła cały świat, że Batyllda jest ogromnie uzdolniona i skromna i że dotychczas nie nazbyt wiele wyrażono dla niej uznania. Pewna wzbogacona kramarka usiłowała wówczas

zabrać głos, by przypomnieć o dziwnej sytuacji tej dziewczyny i starego kawalera, który się nią opiekuje, ale pani Denis nakazała milczenie złym językiem twierdząc, że zna doskonale całą tę historię i niepodobna w niej znaleźć żadnego szczegółu, który nie przynosiłby zaszczytu jej dwojgu sąsiadom. Utrzymując, że jest tak dobrze poinformowana, pani Denis odważyła się na kłamstewko, ale Bóg na pewno je wybaczy zacnej damie ze względu na jej intencje.

Bonifacy zaś, gdy nie miał okazji do popisywania się swoją sprawnością fizyczną, stawał się zerem, okrągłym zerem. Tego wieczoru zachowywał się tak głupio, że Batylda, nie zwracająca uwagi na tego rodzaju osobników, nawet go nie dostrzegła.

Inaczej natomiast było z Bonifacym. Biedny chłopak, już zakochany w Batyldzie widywanej z daleka, oszalał zupełnie przyjrząwszy się jej z bliska. Coraz silniejsze uczucie nie pozwalało mu odejść od okna, co zmuszało Batyldę do zamykania swojego, bo, jak pamiętamy, Bonifacy mieszkał w pokoju zajmowanym obecnie przez d'Harmentala.

Zachowanie się Batyldy, w którym nie można było dopatrzeć się niczego więcej prócz wielkiej skromności, wzmagało namiętność Bonifacego. Uderzył tedy w takie prośby do pani matki, że powędrowała na ulicę Pagevin, stamtąd zaś na ulicę des Orties, gdzie dowiedziała się od dozorczyń, prawie ociemniałej ze starości i całkiem głuchej, trochę szczegółów o pewnej młodej kobiecie i o tragedii, w której Buvat odegrał szlachetną rolę. Dozorczyń nie pamiętała, jak nazywali się główni bohaterowie; przypominała sobie tylko, że ojcem dziecka był piękny oficer, zabity w Hiszpanii, a matką urocza dama, która żyła w nędzy i umarła z rozpacz. Tym, co znakomicie odświeżyło wspomnienia staruszki, był fakt, że ów dramat wydarzył się tego samego roku, kiedy straciła swojego pieska.

Bonifacy zabrał się również do poszukiwań i dowiedział się od swego pryncypała, pana Joulu, zaprzyjaźnionego z panem Ladurau, notariuszem Buvata, że od dziesięciu lat Buvat lokował u niego rokrocznie pięćset franków na nazwisko Batyldy, i kapitał ten wraz z procentami stanowił siedem, może osiem tysięcy franków. Siedem czy osiem tysięcy to kwota mizerna w oczach Bonifacego, który, jak mu matka wyznała, mógł liczyć na trzy tysiące liwów renty; ale w końcu ten kapitał, choć malutki, dowodził przynajmniej, że jeśli nawet Batylda nie posiada fortuny, nie jest wszakże zagrożona biedą.

Pod koniec miesiąca pani Denis stwierdziła, że miłość Bonifacego wzrasta, a estyma,

jaką ona sama powzięła dla Batyldy, nie doznaje żadnego szwanku, i zdecydowała się wystąpić z oficjalną prośbą. Toteż pewnego popołudnia, gdy Buvat wracał jak zwykle z biura, pani Denis czekała przed drzwiami swego domu, ruchem ręki i mrugnięciem oka dając do zrozumienia, że chce mu coś powiedzieć. Buvat pojął wybornie zachęcający gest i grzecznie, zdjęwszy kapelusz, podążył za panią Denis; zaprowadziła go ona do najodleglejszego pokoju, starannie zamknawszy wszystkie drzwi, by nikt im nie przeszkodził; poprosiła Buvata, by usiadł, a kiedy już siedział, uroczyście oświadczyła się o rękę Batyldy w imieniu swojego syna Bonifacego.

Buvat osłupiał usłyszawszy tę propozycję. Nie przyszło mu do głowy, że Batylda może już teraz wyjść za męża. Wprost nie wyobrażał sobie życia bez niej i zaczął mienić się na twarzy na samą myśl, że wychowanka go porzuci.

Pani Denis była nazbyt dobrą obserwatorką, by nie spostrzec dziwnej reakcji, jaką jej słowa wywołały. Nie chciała nawet dopuścić do tego, by sądził, że nie zauważyła jego zdenerwowania; podała mu swój flakon soli, trzymany zawsze w widocznym miejscu na kominku, co dawało jej sposobność do powtarzania parę razy w tygodniu, że nerwy ma ogromnie wrażliwe... Buvat, zupełnie oszołomiony, nie powąchał, jak winien to być po prostu zrobić, owych soli z właściwej odległości, odkorkował flakon i przytknął go sobie do nosa. Działanie tego środka na otrzeźwienie było natychmiastowe: Buvat zerwał się na równe nogi, jak gdyby anioł Habakuk pociągnął go za włosy; twarz mu zbladła jak kreda, po czym powlokła się ciemną purpurą; kichał przez dziesięć minut tak, że omal nie pękła mu czaszka; w końcu zaczął się z wolna uspokajać i niepostrzeżenie powrócił do stanu, w jakim się znajdował, nim padła propozycja mariażu; wreszcie odpowiedział, że docenia zaszczyt, jakim dla jego pupilki jest podobna propozycja, ale, o czym pani Denis zapewne wie, on jest tylko jej opiekunem i dlatego powinien przekazać te oświadczyzny Batyldzie oraz zostawić jej pełną swobodę w podjęciu decyzji. Pani Denis uznała tę replikę za nad wyraz słuszną i odprowadziła Buvata aż do drzwi frontowych, zapewniając, że w oczekiwaniu odpowiedzi mieni się jego pokorną sługą.

Buvat poszedł do domu i zastał Batyldę ogromnie niespokojną: zegar wskazywał, że opiekun spóźnił się o pół godziny, co mu się nie przytrafiło ani razu od lat dziesięciu. Niepokój dziewczęcia spotęgował się jeszcze, gdy zobaczyła smutną i zatroskaną minę Buvata. Chciała

tedy najpierw dowiedzieć się tego przyczyny. Buvat, nie przygotowawszy sobie na tę okazję żadnych wyjaśnień, próbował je przełożyć na porę poobiednią, ale Batyllda oznajmiła, że nie siądzie do stołu, póki nie dowie się, co zaszło. Buvat został tedy zmuszony przekazać jej natychmiast, bez żadnego przygotowania, propozycję pani Denis.

Batyllda najpierw zaczerwieniła się jak każda dziewczyna, gdy wspomina się jej o małżeństwie; potem ujęła obie dłonie Buvata; nieborak aż osunął się na krzesło w obawie, że nogi odmówią mu posłuszeństwa, spojrzała na opiekuna ze słodkim uśmiechem, który był dla niego jak słońce.

- Drogi ojciec - rzekła - masz już dość swojej biednej córki i chcesz się jej pozbyć?

- Ja?! - krzyknął Buvat. - Ja chciałbym się ciebie pozbyć! Ależ ja umrę w tym samym dniu, w którym mnie opuścisz!

- No, proszę! - powiedziała Batyllda. - A więc dlaczego mówisz mi o zameściu?

- Ależ - ozwał się Buvat - bo... bo... chyba musisz ułożyć sobie życie, a później możesz nie znaleźć lepszej partii, choć Bóg mi świadkiem, moja mała Batyllda zasługuje na kogoś bardziej godnego niż pan Bonifacy.

- Nie, mój ojciec - odparła Batyllda - nie zasługuję na człowieka bardziej godnego niżli pan Bonifacy, ale...

- Jakże ale?...

- Ale... ja nigdy nie wyjdę za mąż.

- Jak to? - zdumiał się Buvat. - Nigdy nie wyjdiesz za mąż?

- A dlaczego mam wyjść za mąż? - spytała. - Czy oboje nie jesteśmy i bez tego szczęśliwi?

- Tak, tak! Jesteśmy szczęśliwi! Na moją drewnianą szablę! - zakrzyknął Buvat. - Myślę, że jesteśmy szczęśliwi!

Buvat powoływał się na drewnianą szablę tylko przy wielkich okazjach i to przekleństwo wskazywało na jego pojednawczą naturę.

- No, widzisz - mówiła dalej Batyllda ze swoim anielskim uśmiechem - skoro jesteśmy szczęśliwi, pozostajmy z sobą tak, jak dotychczas. Wiesz, drogi ojciec, że nie należy kusić Boga.

- No, to ucałuj mnie, moje dziecko! - odparł Buvat. - To tak, jakbyś zdjęła mi z pleców całe wzgórze Montmartre!

- Nie pragnąłeś więc tego małżeństwa? - upewniała się Batyllda muskając ustami czoło pocziwca.

- Ja miałbym pragnąć tego małżeństwa?! Ja?! Ja chciałbym cię widzieć żoną tego łajdaka Bonifacego! Do tego piekielnego nicponia uprzedziłem się od razu, nie wiedząc nawet dlaczego. Teraz przynajmniej wiem.

- Jeśli nie pragnąłeś tego małżeństwa, to czemu mi o nim w ogóle mówiłeś?

- Wiesz przecie, że nie jestem twoim ojcem - rzekł Buvat. - I nie mam wobec ciebie żadnych praw; ponadto jesteś wolna.

- Rzeczywiście jestem wolna - roześmiała się Batyllda.

- Wolna jak ptak!

- No więc jeśli jestem wolna, to odmawiam.

- Do diabła! Odmawiasz - powtórzył Buvat. - To prawda, że jestem z tego ogromnie rad; ale jakże ja o tym powiem pani Denis?

- Jak? Powiedz jej, że jestem za młoda, powiedz, że nie chcę wychodzić za mąż, powiedz, że na zawsze chcę zostać z tobą.

- Chodźmy jeść - rzekł Buvat. - Może wpadnę na jakąś zbawienną myśl, kiedy będę jadł zupę. To śmieszne, ale nabrałem nagle apetytu. Jeszcze przed chwilą miałem żołądek tak skurczony, iż wydawało mi się, że nie przełknę ni kropli wody. TERaz wypiłbym Sekwanę!

Buvat jadł jak żarłok i pił jak Szwajcar; ale chociaż zadał gwałt swoim nawykom higienicznym, nie wpadł na żaden dobry pomysł; był tedy zmuszony oznajmić po prostu pani Denis, że Batyllda czuje się ogromnie zaszczycona, ale za mąż wyjść nie chce.

Ta nieoczekiwana odpowiedź wzburzyła panią Denis; nigdy by nie uwierzyła, że uboga sierota może odrzucić tak świetnego kandydata; przyjęła więc nader chłodno odmowę Buvata i odparła, że każdy może rozporządzać sobą wedle własnej woli, a jeśli panna Batyllda chce siać rutkę, to sama winę za to poniesie.

Ale kiedy zastanowiła się nad tą odmową, której w swojej macierzyńskiej dumie pojąć nie mogła, przypomniała sobie oszczerstwa, jakie niegdyś powtarzano o młodej pannie i jej

opiekunie, a że jej nastrój wielce temu sprzyjał, pozbyła się wszelkich zastrzeżeń co do prawdziwości owych kalumni. Toteż przekazując Bonifacemu odpowiedź pięknej sąsiadki dodała - by pocieszyć go trochę po tej klęsce matrymonialnej - że powinien być bardzo zadowolony, iż negocjacje tak się właśnie skończyły, dowiedziała się bowiem takich rzeczy, które w razie zgody Batyldy nakazałyby jej, matce, sprzeciwić się temu związkowi.

Co więcej, pani Denis pomyślała, że godność rodziny nie pozwala na to, by jej syn, po upokarzającej odmowie, zajmował nadal pokój naprzeciw pokoju Batyldy; przygotowała mu inny, od strony ogrodu, o wiele większy i ładniejszy, tamten zaś, opuszczony przez Bonifacego, przeznaczyła natychmiast do wynajęcia.

W tydzień potem Bonifacy, chcąc zemścić się na Batyldzie, zaczął drażnić siedzącą na progu Mirzę, która uważała, że pogoda nie jest dość sucha dla jej białych łapek; Mirza, jako że była rozpieszczona, łatwo wpadała w irytację; natarła ostro na Bonifacego i ugryzła go boleśnie w łydkę.

Dlatego to właśnie biedny chłopak, ze zranionym sercem i nie wykurowaną jeszcze nogą, tak przyjaźnie ostrzegał d'Harmentala przed kokieterią Batyldy i doradzał mu zaatakowanie Mirzy pecyną.

XXI. Młodzieńcze miłości

2

Przez kilka miesięcy pokój Bonifacego stał pustką, aż wreszcie pewnego dnia Batyllda, która przywykła już do nieobecności sąsiada, podniosła wzrok znad roboty i w otwartym oknie naprzeciw zobaczyła twarz nieznanego młodzieńca.

Był to d'Harmental.

Niewielu takich ludzi jak kawaler d'Harmental widywano na ulicy du Temps-Perdu. Toteż Batyllda ukryta za firanką, aby obserwować nie będąc widzianą, poświęciła nieznanemu nieco uwagi. Rysy naszego bohatera były szlachetne i delikatne, co nie mogło ujść oczom dziewczyny tak subtelnej i dystygowanej jak Batyllda; do myślenia dawał także strój kawalera, nader prosty, acz niezwykle elegancki, oraz władczy ton, kiedy przemawiał do kogoś, na tyle głośno, że mogła go usłyszeć.

Na pierwszy rzut oka oceniła więc, że ma przed sobą młodzieńca pod każdym względem znacznie większego formatu niż Bonifacy, po którym odziedziczył mały pokój; kierując się instynktem osób dobrze wychowanych pojęła natychmiast, że należy on do wyższej sfery. Tego samego dnia d'Harmental zapragnął wypróbować swój szpinet. Gdy dotarły do niej pierwsze dźwięki, Batyllda uniosła głowę; kawaler, choć nie wiedział, że dziewczyna słucha, a może właśnie dlatego, że nie wiedział, dał się porwać preludium i fantazjom, którymi, jak się wyczuwało, był zachwycony i które wykonywał znakomicie; owe dźwięki, zdające się budzić wszystkie struny muzyczne jej istoty, sprawiły, że Batyllda podeszła do okna, by nie uronić ani jednej nuty; tego rodzaju atrakcja była rzeczą niecodzienną na ulicy du Temps-Perdu; wówczas właśnie d'Harmental zobaczył na szybie smukłe paluszki sąsiadki i odwrócił się powodując ich natychmiastowe zniknięcie; Batyllda stwierdziła wtedy bez cienia wątpliwości, że ona z kolei została dostrzeżona.

Nazajutrz pomyślała, że od dawna nie zasiadała do klawesynu; drżąc na całym ciele zaczęła grać, choć nie wiedziała, co wprawia ją w to drżenie. Będąc wszakże znakomitą pianistką, opanowała się niebawem i z cudowną maestrią odegrała fragment opery "Armida", co wzbudziło takie zdumienie kawalera i księdza Brigaud.

Opowiedzieliśmy już, jak to nazajutrz rano kawaler zobaczył Buvata i jak dzięki niemu poznał imię dziewczyny zapraszanej przez "ogrodnika" do obejrzenia czynnej już fontanny na tarasie. Pojawienie się Batyldy, jak pamiętamy, zrobiło ogromne wrażenie na kawalerze, zwłaszcza że z uwagi na dzielnicę i piętro tego domu nie był wcale przygotowany na taki widok; pozostawał jeszcze pod urokiem sąsiadki, kiedy wejście kapitana Roquefinette, z którym był się umówił, odmieniło jego myśli, ale powróciły one niebawem do pięknego zjawiska.

Nazajutrz Batylda, korzystając z pierwszych wiosennych promieni słońca, znalazła się przy oknie i napotkała wpatrzony w nią pełen uwielbienia wzrok kawalera; zobaczyła twarz, która jaśniała młodością, zarazem jednak wyrażała pewną powagę i smutek, zrozumiała, gdy przypomnimy o misji, jakiej podjął się d'Harmental; owóż młodość i smutek tak do siebie nie pasowały, że dziewczyna zdziwiła się niepomierne: ten młody człowiek ma więc jakieś zmartwienie, skoro jest smutny. Jakże może on mieć zmartwienie? Widzimy zatem, że już nazajutrz po ujrzeniu d'Harmentalą Batylda w sposób najzupełniej naturalny zaczęła się nim interesować.

Nie przeszkodziło jej to w zasłonięciu swojego okna; ale zza firanki dostrzegła, że smutna twarz kawalera jeszcze bardziej się zachmurzyła. Instynktownie pojęła wtedy, iż sprawiła młodzieńcowi przykrość, i bezwiednie zasiadła znów do klawesynu; czyżby wiedziała, że muzyka jest najrzęczniejszą pocieszycielką strapionych serc?

Wieczorem d'Harmental zasiadł z kolei do szpinetu, a Batylda całą duszą chłonęła melodyjny głos, mówiący wśród nocy o miłości. Na nieszczęście dla kawalera - który zauważył cień Batyldy na firance i domyślił się, iż jego uczucia są odbierane po drugiej stronie ulicy - sąsiad z trzeciego piętra przerwał mu koncert w najwznioślejszym momencie; ale najważniejsze już się dokonało: zadzierzgnęła się nić porozumienia między dwojgiem młodych i już teraz mówili do siebie mową serc, najbardziej ze wszystkich niebezpieczną.

Batylda przez całą noc śniła o muzyce i trochę o muzyku; czuła, że dzieje się z nią coś osobliwego, coś nie znanego; nazajutrz trzymała okno dokładnie zasłonięte, choć przyciągało ją ono z niebywałą siłą; spowodowało to zły humor kawalera i dlatego zgodził się on zejść z księdzem Brigaud do pani Denis.

Dowiedział się tam wielkiej nowiny: Batyllda nie była ani córką, ani żoną, ani siostrzenicą Buvata; toteż kawaler wrócił na górę ogromnie uradowany, a że zastał okno sąsiadki rozwarte, nawiązał natychmiast, mimo życzliwych ostrzeżeń Bonifacego, kontakt z Mirzą przekupiwszy ją kawałkami cukru. Nieoczekiwany powrót Batylldy przerwał owe zabiegi; powodując się przebiegłą delikatnością kawaler zamknął okno; lecz nim okno zostało zamknięte, młodzi wymienili ukłony; było to o wiele więcej, aniżeli Batyllda raczyła ofiarować jakiemukolwiek mężczyźnie; odkłaniała się oczywiście nieraz znajomym Buvata, ale nigdy się przy tym nie rumieniła.

Następnego dnia Batyllda zobaczyła, że kawaler otwiera okno, i - choć nie mogła zrozumieć, do czego zmierza - zawiesza paśową kokardę na ścianie domu; spostrzegła też przede wszystkim, że niezwykajne poruszenie maluje się na twarzy d'Harmental'a. W istocie, jak pamiętamy, paśowa kokarda była sygnałem i dając ów sygnał kawaler robił, być może, pierwszy krok w drodze na szafot. Po pół godzinie u kawalera pojawiła się nie znana Batylldzie postać, wcale nie budząca zaufania: był to kapitan Roquefinette; z pewnym niepokojem Batyllda zauważyła, że zaraz po wejściu tego człowieka z długą szpadą kawaler szybko zaciągnął firankę.

Jak się, czytelniku, domyślasz, d'Harmental długo naradzał się z kapitanem, bo musieli ustalić wszystkie szczegóły wieczornej wyprawy; okno kawalera pozostawało tak długo zasłonięte, że Batyllda sądząc, iż wyszedł, uznała, że może już odsłonić swoje.

Ale gdy je odsłoniła, okno naprzeciw - jakby sąsiad tylko na to czekał - odsłoniło się również. Na szczęście Batyllda, którą owa zbieżność wprawiałaby w wielkie zakłopotanie, znajdowała się akurat w części pokoju, gdzie wzrok kawalera nie mógł sięgnąć. Zdecydowała się tedy pozostać tam dopóty, dopóki sprawa się nie wyjaśni, i usiadła przy drugim, zawieszonym firanką oknie.

Ale Mirza, która nie miała podobnych skrupułów, ledwie ujrzała kawalera, podbiegła do okna, oparła przednie łapki na parapecie, a tylnymi przebierała wesoło. Te zaloty, jak się domyślamy, zostały nagrodzone jednym, drugim i trzecim kawałkiem cukru; lecz ten trzeci kawałek cukru, ku wielkiemu zdziwieniu Batylldy, był zawinięty w skrawek papieru.

Ów skrawek papieru zatrwożył Batylldę, ale nie Mirzę, która właściwie rozumiała ten

żart, bo znała, nie tylko z wyglądu, diablotki i inne cukierki nadziewane; posługując się obiema łapkami, dobyła wkrótce swój przysmak z opakowania, a że zależało jej raczej na treści niżli na formie, schrupała cukier, zostawiła papier i znów podbiegła do okna; kawalera już tam jednak nie było; zadowolony snadź ze zręczności Mirzy, schronił się w głębi pokoju.

Batylda była ogromnie zakłopotana, gdyż od razu spostrzegła cztery linijki pisma na tym papierze. Choć sąsiad niewątpliwie powziął nagłą sympatię do Mirzy, to przecież nie do Mirzy pisał: był to zatem list do Batylidy.

No i co teraz zrobić z tym listem? Wstać i podrzeć go, byłby to gest przyzwoity i pełen godności; ale jeśli ów papier został zapisany wcześniej, nim posłużył za opakowanie, co w ostateczności mogło się zdarzyć, potraktowanie go z taką surowością byłoby śmieszne i wskazywałoby ponadto, iż Batylda pomyślała, że jest to list, skoro zaś listem nie był, myśl taka wydałaby się dość osobliwa; Batylda zdecydowała się w końcu pozostawić sprawy ich własnemu biegowi. Kawaler mógł sądzić, że nie ma jej w domu, bo się nie pokazuje; nie mógł tedy wysnuć żadnych wniosków z faktu, że list leży nietknięty na podłodze. Pracowała tedy nadal, a raczej rozmyślała ukryta za firanką, i kawaler zapewne ukrywał się za swoją zasłoną.

Po godzinie wyczekiwania, z której trzy kwadranse Batylda, trzeba to wyznać, poświęciła na uporczywe wpatrywanie się w list, do pokoju weszła Nanette; Batylda nie opuszczając swego miejsca poleciła jej opuścić firankę; Nanette usłuchała, ale odwróciwszy się od okna spostrzegła papier.

- A cóż to znowu? - zapytała schylając się, by go podnieść.

- Nic - odparła żywo Batylda zapominając, że Nanette nie umie czytać - ten papierek wypadł mi pewnie z kieszonki. - Po chwili milczenia, po krótkiej walce wewnętrznej dodała: - Możesz go wrzucić do ognia.

- A jeśli to jakiś ważny papier? - zauważyła Nanette. - Niech panienka spojrzysz przynajmniej, co to jest.

I pokazała Batyldzie rozprostowany skrawek papieru, po stronie zapisanej.

Pokusa była zbyt silna, żeby się jej oprzeć. Batylda zerknęła na papier, z wielkim trudem udając obojętność, i przeczytała, co następuje:

“Podobno jest Pani sierotą; ja też nie mam rodziców. Wobec Boga jesteśmy jakby

siostrą i bratem. Dziś wieczorem grozi mi wielkie niebezpieczeństwo, ale będę żywił nadzieję, że wyjdę z tego cały i zdrow, jeśli moja siostra Batyllda zechce pomodlić się za swojego brata Raula.”

- Miałaś rację - rzekła Batyllda wzruszonym głosem, biorąc list z rąk Nanette. - Ten papier jest ważniejszy, niż sądziłam.

I wsunęła kartkę d'Harmentala w kieszeń fartuszka.

W pięć minut później Nanette wyszła tak, jak wchodziła i wychodziła bez powodu ze dwadzieścia razy dziennie, i Batyllda została sama.

Gdy tylko rzuciła okiem na papier, doznała jakby olśnienia, a teraz, kiedy Nanette zamknęła za sobą drzwi, rozłożyła znów liścik i przeczytała go powtórnie.

Nie sposób było wypowiedzieć więcej w tych paru liniijkach. Gdyby nawet d'Harmental strawił cały dzień układając ów pisany w natchnieniu bilecik, nie mógłby zredagować go zręcznie. W istocie podkreślił najpierw podobieństwo sytuacji życiowej i społecznej ich obojga; zainteresował ją swoim losem, losem sąsiada, któremu grozi niebezpieczeństwo tym większe, że nie było jej znane. Wreszcie użycie słów “brat” i “siostra”, zgrabnie umieszczonych na końcu obok prośby o modlitwę, wykluczało wszelkie podejrzenia o konkury.

Toteż gdyby Batyllda znalazła się twarzą w twarz z d'Harmentalem, miast zażenować się i zarumienić jak dziewczyna, która po raz pierwszy otrzymuje miłosny bilecik, wyciągnęłaby doń rękę i rzekła z uśmiechem: “Bądź pan spokojny, pomodłę się za pana”.

W umyśle Batylldy pozostało jednak coś, co jest bardziej brzemienne w skutki niż wszelkie deklaracje miłosne - myśl o niebezpieczeństwie, które zagraża młodemu człowiekowi. Pod wpływem przeczucia, jakie ją ogarnęło, gdy patrzyła na zmienioną twarz kawalera, kiedy ten zawieszał pasową kokardę przy swoim oknie, kokardę zdjętą natychmiast po przyjsciu Roquefinette'a - Batyllda skojarzyła sobie owo niebezpieczeństwo z osobą kapitana, choć go dopiero później zobaczyła. Ale w jaki sposób to niebezpieczeństwo łączyło się z ową postacią? Jakiej natury było samo niebezpieczeństwo? Nie potrafiła tego odgadnąć. Pomyślała o pojedynku; ale dla takiego człowieka, jakim wydawał się d'Harmental, pojedynek nie mógł być jednym z tych niebezpieczeństw, z racji których prosimy dziewczynę o modlitwę. Wieczorem zresztą nie odbywają się pojedynki. Batyllda gubiła się w domysłach; ale

wciąż myślała o kawalerze, tylko o kawalerze, wyłącznie o kawalerze; i jeśli on na to właśnie liczył, to trzeba przyznać, że rachuby go nie zawiodły.

Przez cały dzień Batyllda nie widziała Raula; niezależnie od tego, czy był to manewr strategiczny, czy też kawaler przebywał gdzie indziej, okno wciąż pozostawało zasłonięte. Buvat wrócił zgodnie ze swoim zwyczajem dziesięć po czwartej i choć nigdy nie wykazywał zbyt wielkiej przenikliwości, zauważył, że Batyllda jest czymś bardzo zafrasowana. Kilka razy pytał ją, co się stało. Za każdym razem odpowiadała jednym z owych uśmiechów, które sprawiały, że patrzył na nią olśniony i zapominał o całym świecie; w rezultacie pomimo ciągłych nagabywań dziewczyna zachowała dla siebie swój sekret.

Po obiedzie przyszedł do Buvata lokaj księdza de Chaulieu z prośbą o przybycie wieczorem do jego pana, który miał dużo wierszy do przepisania. Ksiądz de Chaulieu był najlepszym klientem Buvata i wstępował czasem na ulicę Temps-Perdu, bo ogromnie upodobał sobie Batylde; niedowidział już, biedaczysko, ale potrafił ocenić urok dziewczęcej buzi, chociaż widział ją jakby przez mgłę. Z galanterią właściwą sześćdziesięciolatkom powiedział nawet kiedyś Batyldzie, że pociesza się jedynie myślą, iż w taki sposób dane nam jest widywać anioły.

Buvat nie omieszkał stawić się u księdza de Chaulieu i Batyllda dziękowała w głębi serca zacnemu kapłanowi za uzyskany w ten sposób wolny wieczór. Wiedziała, że Buvat spędza tam zazwyczaj długie godziny; żywiła tedy nadzieję, że wróci późno. Poczciwy Buvat ani się domyślał, że po raz pierwszy jego nieobecność jest tak upragniona.

Jak każdy paryski mieszczuch Buvat lubił wałęsać się po ulicach. Szedł z jednego krańca Palais-Royal na drugi zerkając na witryny sklepów, często zatrzymywał się, by obejrzeć po raz setny te same przedmioty, które zawsze budziły w nim ten sam zachwyty. Opuściwszy galerię usłyszał śpiew ulicznego grajka, zobaczył gromadkę mężczyzn i kobiet, wmieszał się więc w tłum i przysłuchiwał się piosenkom. Gdy zaczęło się zbieranie datków, oddalił się nie dlatego, że miał Nielitościwe serce, i nie dlatego, że chciał pozbawić szacownego cymbalistę godnej nagrody - oddalił się, albowiem zgodnie ze starym nawykiem, który to nawyk przynosił znakomite rezultaty, Buvat wychodząc z domu nie zabrał z sobą pieniędzy. Jeśli jakaś rzecz go kusila, zawsze mógł mieć pewność, że pokusie nie ulegnie.

Owóż tego wieczora chętnie wrzuciłby jednego su do drewnianej miseczki grajka, ale nie mając w kieszeni owego su, zmuszony był się oddalić.

Ksiądz de Chaulieu przyjął Buvata - którego wybitne uzdolnienia zdołał podczas dwuletniej znajomości należycie ocenić - tak jak zwykł był Buvata przyjmować, to znaczy po wielu naleganiach i po wielu sprzeciwach ze strony gościa posadził go obok siebie przy stole zawalonym papierami. Buvat siadał na brzeżku krzesła, a nogi trzymał pod takim kątem, że nie sposób było poznać, czy siedzi, czy też stoi, potem jednak rozsiadał się wygodniej, wsuwał laskę między kolana, kapelusz kładł na podłodze i przyjmował nareszcie właściwą pozycję.

Tego wieczora posiedzenie nie miało być krótkie: na stole czekało trzydzieści, może czterdzieści rozmaitych wierszy, czyli niemal połowa tomu poezji do skatalogowania. Ksiądz Chaulieu zaczął je wymieniać jeden po drugim w ustalonej kolejności, a Buvat opatrywał je numerami. Skończywszy tę wstępną robotę zaczął ksiądz, który nie mógł już sam pisać - lokajczyk służył mu za sekretarza i pisał pod jego dyktando - zabrał się wraz z Buvatem do korekty metrycznej i ortograficznej każdego egzemplarza; Buvat weryfikował je w miarę, jak ksiądz recytował wiersze z pamięci. A że księdza to nie nudziło, Buvat zaś nie miał prawa się nudzić, ani się obejrzeli, jak zegar wybił godzinę jedenastą, choć byli pewni, że jest dopiero dziewiąta.

Pracowali akurat nad ostatnim utworem; Buvat zerwał się, przerażony tym, że wróci do domu o tak późnej porze: po raz pierwszy mu się to zdarzało. Zwinął manuskrypt, przewiązał go różową wstążką, która była zapewne własnością panny de Launay, wsunął go do kieszeni, wziął laskę, podniósł kapelusz i opuścił księdza de Chaulieu skracając, jak to tylko było możliwe, ceremoniał pożegnania. Na domiar złego nie oświecał miasta ani jeden promyk księżycy, chmury zasnuwały niebo. Buvat zmartwił się srodze, iż nie ma przy sobie bodaj dwóch su, by przeprowić się promem, który wówczas przystawał tam, gdzie obecnie jest most des Arts; wyjaśniliśmy już czytelnikowi teorię Buvata na temat pieniędzy w kieszeni; musiał więc nadłożyć drogi, jak zrobił to uprzednio idąc bulwarem Conti i przez Pont-Neuf, ulicą du Coq i ulicą Saint-Honore.

Wszędzie, jak dotąd, panował spokój; minąwszy statuę Henryka IV, o której istnieniu, a zwłaszcza usytuowaniu, całkiem zapomniał i która napędziła mu porządnego stracha,

przechodził właśnie o pięćdziesiąt kroków dalej koło Samaritaine, gdy zegar nagle wydzwonił wpół do dwunastej; Buvat doznał potężnego wstrząsu, choć przecież nie groziło mu nic złego. Dotarł na ulicę des Bons-Enfants i tu stwierdził, że coś się dokoła odmienia. Wąska, długa ulica, oświetlona jedynie pełgającym blaskiem dwóch latarni, nie budziła zaufania, ponadto w przerażonych oczach Buvata nabierała szczególnego wyglądu. Nie wiedział doprawdy, czy śni, czy jest przytomny, czy majaczy, czy też może pod wpływem cygańskich czarów doznaje fantastycznych wizji? Ulica bowiem zdawała się poruszać: jakieś słupy zagradzały mu drogę, we wnękach i bramach rozlegały się szepty, czyjeś postacie niby cienie przesuwały się z jednej strony ulicy na drugą; przed budynkiem numer 24 Buvat znalazł się, jak to już powiedzieliśmy, na wprost kawalera i kapitana. D'Harmental, który swego sąsiada rozpoznał, powstrzymał gwałtowny odruch Roquefinette'a i kazał Buvatowi szybko iść dalej. Buvat nie dał sobie dwa razy powtarzać tej zachęty i drobnym kroczkiem popędził przed siebie; dotarł tak do placu des Victoires, na ulicę du Mail, do Montmartre'u i dopiero na ulicy du Temps-Perdu, w domu numer 4, poczuł się bezpieczny, gdy zamknął i zaryglował za sobą drzwi wejściowe.

W sieni zatrzymał się i przez chwilę oddychał ciężko, zapalając od lampki oliwnej swoją świeczkę cienką jak ogon szczura; wreszcie zaczął wspinać się po schodach. Wtedy nastąpiła reakcja na niedawne przeżycia; z trudem przewycięzał drżenie nóg i z ledwością wszedł na górę.

Batylda była sama; w miarę jak robiło się coraz później, coraz bardziej się niepokoiła. Do siódmej widziała światło w pokoju d'Harmental'a, lecz zaraz potem światło zgasło, godzina mijала za godziną, a okno wciąż było ciemne. Dwa zajęcia wypełniały jej czas: to wpatrywała się w okno sąsiada, by sprawdzić, czy nie wrócił, to znów klękała przed krucyfiksem, gdzie modliła się co wieczór. Słyszała, jak kolejno wydzwania godzina dziewiąta, dziesiąta, jedenasta, wpół do dwunastej; słyszała też zamierające odgłosy uliczne, które tonęły w nieokreślonym, głuchym pogłosie, jakby w oddechu uspiętego miasta; i nic nie wskazywało na to, czy młodzieniec, który nazwał się jej bratem, nadal jest w niebezpieczeństwie, czy też zdołał go uniknąć. Pozostawała tedy w swoim pokoju, nie oświetlonym, by nikt nie zauważył, że jeszcze czuwa; po raz dziesiąty chyba klęczała przed krucyfiksem, kiedy otworzyły się drzwi i stanął w nich Buvat z zapaloną świecą w ręku, tak blady i wystraszony, że odgadła

natychmiast, iż spotkało go coś złego; zerwała się więc, jakkolwiek głęboko przejęta obawą o kogoś innego, i podbiegła do opiekuna, by rozpytać, co się przydarzyło. Niełatwo jednak było zmusić Buvata do mówienia; w tym stanie, w jakim się znajdował, porażenie przeniosło się z jego kończyn na mózg i język, paraliżując je tak, jak poprzednio nogi.

A jednak, kiedy siadł w swoim olbrzymim fotelu, kiedy przetarł czoło chusteczką, kiedy, dygocząc jeszcze, obrócił się parę razy ku drzwiom, by upewnić się, czy straszliwe zjawy z ulicy des Bons-Enfants nie ścigają go i nie dopadną tutaj, opowiedział jękając się o swej przygodzie: jak banda złodziei zatrzymała go na ulicy des Bons-Enfants, jak zastępca ich prowodyra, człek okrutny, prawie na sześć stóp wysoki, chciał go zabić i jak nadszedł kapitan, który ocalił mu życie. Batylida słuchała w skupieniu, po pierwsze dlatego, że bardzo kochała swojego opiekuna, a jego stan wskazywał wyraźnie, iż tak czy owak przeżył straszliwy wstrząs; ponadto zaś nic, co działo się tej nocy, nie mogło jej być obojętne; przyszło jej na myśl, choć rzecz ta wydawała się dziwna, że piękny młodzian może mieć coś wspólnego ze sceną, w której Buvat odegrał pewną rolę, i spytała poczciwca, czy zdążył przyjrzeć się kapitanowi, co nadbiegłszy z pomocą uratował mu życie. Buvat odparł, że stał z nim twarzą w twarz i widział go tak dobrze, jak ją teraz widzi, a na dowód tego opisał imponujący wygląd kapitana: był to mężczyzna lat dwudziestu ośmiu lub trochę młodszy, w szerokim filcowym kapeluszu i w szerokiej pelerynie; co więcej, kiedy kapitan wyciągnął rękę, by go osłonić, peleryna rozchyliła się i Buvat zobaczył, oprócz szpady, parę pistoletów u jego pasa.

Te szczegóły były aż nazbyt dokładne, by można było posądzać Buvata o fantazjowanie. Toteż Batylida - choć w związku z tym zdarzeniem myślała o niebezpieczeństwie zagrażającym kawalerowi - przejęła się mniejszym zapewne, ale realnym niebezpieczeństwem, w jakim znalazł się był jej opiekun; uznawszy odpoczynek za panaceum na każdy wstrząs fizyczny i moralny, zaproponowała Buvatowi kieliszek słodkiego wina - poczciwiec pozwalał sobie na ten luksus przy uroczystych okazjach, teraz jednak odmówił - po czym wspomniała o łóżku, bo już od dwóch godzin powinien był spać. Strach i wzburzenie okazały się wystarczająco silne, by odebrać Buvatowi wszelką ochotę do spania; był nawet przekonany, że w ogóle tej nocy nie zmruży oka. Ale doszedł do wniosku, że jeśli on się nie położy, Batylida również będzie czuwać i zobaczy ją nazajutrz z czerwonymi oczami i pobladłą

twarzą; gotów jak zwykle do poświęceń, odpowiedział więc, że sen dobrze mu zrobi; wziął świecznik, ucałował czoło dziewczęcia i ruszył do swojego pokoju, zatrzymując się wszelako kilkakrotnie na schodach przekonany, że słyszy jakiś hałas.

Batylda została sama i łowiła uchem odgłos kroków Buvata; wszedł wreszcie do pokoju, skąd dobiegło ją skrzypienie drzwi zamykanych na dwa spusty. Prawie tak drżąca jak biedny kopista, podbiegła do okna i pełna niecierpliwego oczekiwania zapomniała o wszystkim, nawet o pacierzu.

Stała przy oknie chyba z godzinę, całkiem straciwszy poczucie czasu. Nagle krzyknęła z radości. Przez nie zasłonięte firanką szyby dostrzegła otwierające się drzwi pokoju jej sąsiada i d'Harmentalą na progu ze świecą w ręku. Wiedziona niezwykłym przeczuciem nie pomyliła się: mężczyzna w filcowym kapeluszu i pelerynie, który ocalił Buvata, był owym nieznanym sąsiadem, młodzieńcem w filcowym kapeluszu i pelerynie. Co więcej, ledwie wszedł, starannie i ostrożnie zamknąwszy drzwi, rzucił pelerynę na krzesło, i wtedy zobaczyła, że jest w ciemnej kurtce, a u pasa ma szpadę i dwa pistolety. Nie sposób było wątpić; zgadzało się to wszystko z opisem Buvata. Batylda tym bardziej mogła się co do tego upewnić, że nie pozbywszy się groźnego ekwipunku d'Harmental ze skrzyżowanymi ramionami, zamyślił głęboko, obszedł pokój trzykrotnie, potem wyciągnął pistolety z za pasa, sprawdził, czy są zabezpieczone, odpiął szpadę, dobył ją do połowy z pochwy, wepchnął z powrotem i położył pod poduszką. W końcu potrząsnął głową, jakby chciał odegnąć gnębiące go ponure myśli, zbliżył się do okna, otworzył je i spojrzał w okno Batyldy, ta zaś, zapominając, że nie może być dostrzeżona, cofnęła się o krok i opuściła firankę, jak gdyby ciemności zalegające pokój nie wystarczały, by ukryć ją przed jego wzrokiem.

Stała bez ruchu przez dziesięć minut, milcząca, z ręką na sercu, jakby pragnęła uciszyć jego bicie; po czym odsunęła delikatnie firankę, ale zasłona w oknie sąsiada była już opuszczona i Batylda widziała tylko jego przesuwający się niespokojnie cień.

XXII. Konsul Duiliusz

Nazajutrz po opisanych przez nas wypadkach diuk Orleański, już bez przeszkód powróciwszy do Palais-Royal i spokojnie przespawszy całą noc, pojawił się w swoim gabinecie o zwykłej porze, to znaczy około jedenastej rano. Natura obdarzyła go niefrasobliwym usposobieniem, ale zawdzięczał je nade wszystko swojej wielkiej odwadze, pogardzie dla niebezpieczeństwa i śmierci, toteż i teraz twarz miał spokojną jak zazwyczaj, albowiem tylko nuda zdolna była tę twarz zachmurzyć; wedle wszelkiego prawdopodobieństwa jednak diuk, wypawszy się znakomicie, zapomniał o osobiwej awanturze, która omal źle się dla niego nie skończyła.

Gabinet diuka odznaczał się tym, że był miejscem pracy zarówno męża stanu, jak też uczonego i artysty. A więc ogromny stół przykryty zielonym suknem, zasłany papierami, z mnóstwem kałamarzy i piór, zajmował środek komnaty; wokół stołu, na pulpitych, sztalugach i podpórkach, można było zobaczyć rozpoczętą partyturę i w połowie namalowany obraz, i retortę w trzech czwartych napełnioną. Regent bowiem z przedziwną ruchliwością umysłu przechodził w jednej chwili od najzawilszych spekulacji politycznych do najbardziej kapryśnych fantazji malarskich, od przedziwnych eksperymentów chemicznych do najzabawniejszych lub najmroczniejszych inspiracji muzycznych; gdyż niczego nie bał się bardziej niż nudy, owego wroga, z którym ustawicznie walczył i którego nigdy pokonać całkowicie nie zdołał, bo odepchnięty już to przez studia, już to przez pracę, już to przez rozrywki, wróg ów stał mu wciąż przed oczyma, jeśli można tak rzec, i był niczym chmurka na horyzoncie, co jawi się w najpogodniejsze dni i przyciąga nieubłagane wzrok sternika.

Diuk Orleański wszedłszy do gabinetu, gdzie rada miała się zebrać dopiero za dwie godziny, skierował się od razu ku zaczętemu rysunkowi - przedstawiał on scenę między Dafnis i Chloe, a sztychy miał wykonać jeden z najzręczniejszych artystów tej epoki, niejaki Audran - i zabrał się do pracy, którą wczoraj przerwał dla gry w piłkę, co to zaczęła się pojedyńkiem na rakiety, skończyła się zaś wieczerzą u pani de Sabran. Ledwie jednak ujął w palce ołówek, gdy zjawił się lokaj z wiadomością, że Madame, starsza Księżna Orleańska, pytała już dwukrotnie, czy może się z synem zobaczyć. Regent, żywiący najwyższy respekt dla swej

matki, Elżbiety Charlotty, rodem z Palatynatu, odparł, że nie tylko może go zobaczyć, lecz, jeśli tylko zechce, sam pospieszy do niej natychmiast. Lokaj wyszedł, a księżę zajęty akurat tym fragmentem obrazu, do którego przywiązywał najwięcej, lecz prawdę mówiąc za dużo, wagi, powrócił do pracy z zapalem natchnionego artysty. W chwilę później drzwi się otwały, ale zamiast lokaja z odpowiedzią od księżnej matki, ukazała się w nich sama Madame.

Madame, jak wiemy, była wdową po Monsieur, Filipie I Orleańskim, bracie Ludwika XIV. Zjawiła się we Francji po nagłej śmierci pierwszej żony Filipa, Henriety Angielskiej, i zajęła miejsce tej pięknej, uroczej księżniczki, która zniknęła w sposób niepojęty niczym jasna, blada zjawa. Porównania z Henrietą nie wytrzymałaby żadna niewiasta, a już na pewno nie księżniczka palatyńska, która, jeśli wierzyć portretowi wykonanemu jej własną ręką, nie mogła pochwalić się urodą. Miała malutkie oczka, nieduży, gruby nos, płaskie wargi, obwisłe policzki i szeroką twarz. Braków urody nie kompensowała zgrabna kibić: była niska, tęga, z krótką talią i krótkimi nogami; ręce odznaczały się taką brzydotą, że, jak sama przyznawała, brzydszych nie znalazłbyś na całej kuli ziemskiej, i król Ludwik XIV nigdy do widoku rąk swej bratowej nie przywykł. Ale Ludwik XIV nie wybrał jej po to, by powiększyć grono pięknych dam na swoim dworze, lecz aby rozciągnąć wpływ Francji poza linię Renu. Ludwik XIV bowiem, uzyskawszy nadzieję na sukcesję w Hiszpanii dzięki własnemu małżeństwu z Marią Teresą, córką Filipa IV, oraz nadzieje na sukcesję w Anglii z racji pierwszego ożenku Filipa Orleańskiego z księżniczką Henrietą Angielską, jedyną siostrą Karola II, chciał z kolei nabyć prawa do Bawarii i ewentualnie do Palatynatu przez drugi mariaż Monsieur z księżniczką palatyńską, której brat, będąc słabego zdrowia, mógł umrzeć młodo i bezpotomnie.

Owe przewidywania okazały się słuszne; elektor zmarł bezpotomnie i, jak świadczą o tym pamiątniki oraz rokowania pokojowe w Riswick, negocjatorzy francuscy umieli w stosownej chwili udokumentować swoje roszczenia i odnieśli zwycięstwo.

Toteż Madame po śmierci męża miał zgodnie ze ślubnym kontraktem osiąść w klasztorze lub w starym zamku w Montargis, była - mimo nienawiści, jaką zdołała sobie "zaskarbić" u faworyty królewskiej, pani de Maintenon - traktowana przez Ludwika XIV z takimi samymi honorami jak za życia Monsieur, choć król nigdy nie zapomniał o policzku, który Madame dłonią arystokratki wymierzyła synowi w zatłoczonej galerii Wersalu, kiedy

dowiedziała się o jego projektowanym małżeństwie z nieślubną córką króla, panną de Blois. W istocie dumna Niemka z Palatynatu, siedząca okrakiem na trzydziestu dwóch pokoleniach szlacheckich po mieczu i po kądzieli, uważała za wielki i upokarzający mezalians związek syna z panną, która zawdzięczała swą pozycję królewskiej legalizacji, ale przyszła na świat jako owoc podwójnego wiarołomstwa; zaskoczona Madame nie potrafiła w pierwszej chwili opanować wzburzenia i udzieliła synowi macierzyńskiej reprimendy w sposób nieco przesadny, zważywszy, że młodzieniec miał już lat osiemnaście; była to jednak zemsta za despekt wyrządzony jej przodkom przez potomka ich rodu. Młody diuk de Chartres sam zresztą godził się na ten ożenek wbrew własnemu sercu i doskonale rozumiał matkę oraz niezadowolenie, z jakim przyjęła wiadomość o tym, choć wolałby zapewne, by nie okazywała swych uczuć tak typowo po szwabsku. Gdy Monsieur umarł, a diuk de Chartres odziedziczył po nim tytuł diuka Orleańskiego, księżna matka, która mogła się obawiać, że policzek wymierzony w Wersalu nie zatarł się w pamięci nowego pana Palais-Royal, doznała od syna więcej szacunku niż kiedykolwiek. Ów respekt wzrósł jeszcze, kiedy diuk zostawszy regentem zrównał pozycję matki z pozycją przynależną żonie. Co więcej, gdy pani de Berry, jego najukochańsza córka, poprosiła o straż przyboczną, której, jak utrzymywała, winna się domagać będąc małżonką jednego z następców tronu, regent wyraził na to zgodę dopiero wtedy, kiedy podobnym przywilejem uhonorował matkę.

Madame zajmowała tedy wysoką pozycję na dworze i jeśli nie miała żadnego wpływu na życie polityczne, to tylko dlatego, że regent przyjął od dawna zasadę nieudzielania kobietom żadnych praw do wtrącania się w sprawy Państwa. A może, dodajmy, Filip II, regent Francji, więcej rezerwy musiał zachowywać wobec matki aniżeli wobec swoich kochanek, znał bowiem jej upodobania epistolarne i nie chciał, by jego zamierzenia były przedmiotem codziennej korespondencji, jaką jego matka prowadziła z księżniczką Walii Wilhelminą-Charlotą i diukiem Antonim Ulrichem Brunszwickim. Aby wynagrodzić zaś ową powściągliwość, powierzył księżnie zarządzanie dworem jego córek, na co młodsza diuszesa Orleańska, powodowana niebywałym lenistwem, chętnie przystała. Ale jeśli zawierzmy pamiętnikom z epoki, Madame nie była tym zachwycona. Jej wnuczka, pani de Berry, romansowała z Riommem nie czyniąc z tego tajemnicy, druga wnuczka, panna de Valois,

ukrywała swoje stosunki z Richelieu, który nie wiadomo jakim cudem, chyba za sprawą czarodziejskiego pierścienia Gygesa, wślizgiwał się do jej apartamentów, mimo straży przy drzwiach, mimo szpiegów, jakimi regent go otaczał, i mimo że sam regent zaczął się nieraz w komnatach córki. Jeśli chodzi o trzecią wnuczkę Madame, pannę de Chartres, przejawiała ona zrazu raczej męskie niż niewieście cechy charakteru; udawała, że mężczyźni dla niej nie istnieją; twierdziła tak aż do dnia, a właściwie na parę dni przed owym dniem, kiedy słuchała w operze występu swojego nauczyciela muzyki, mistrza Cauchereau; piękny, uduchowiony tenor z Akademii Królewskiej, dobywał z siebie w scenie miłosnej tony tak czyste i tak namiętne, że księżniczka, opanowana zapewne tylko wzruszeniem artystycznym, rozwarła ramiona i zawołała na cały głos: "O mój najmilszy Cauchereau!". Ten nieoczekiwany okrzyk, jak się chyba domyślicie, dał wiele do myślenia diusziesie Orleańskiej, która zwolniła natychmiast pięknego tenora i przełamawszy swoją apatyczną beztroskę postanowiła czuwać osobiście nad córką i traktować ją odtąd nad wyraz surowo. Żadnych kłopotów natomiast nie przysparzały dwie najmłodsze wnuczki Madame, księżniczka Luiza, która później wyszła za króla Hiszpanii, i Elżbieta, która poślubiła diuka Lotaryngii; o tych pannach nie mówiono wcale, już to dlatego, iż naprawdę były obyczajne, już to dlatego, że lepiej umiały taić swe sentymenta czy przejawy namiętności.

Ujrzawszy matkę, księżę pomyślał zrazu, że zaszło coś nowego w buntowniczym stadku, którym zawiadywała i które dostarczało jej tylu trosk; ale że żaden niepokój nie był w mocy sprawić, by zapomniał o respekcie, jaki zarówno publicznie, jak i na osobności okazywał zawsze Madame, podniósł się na jej widok, podszedł do niej i skłoniwszy się głęboko ujął ją za rękę, poprowadził do fotela i sam stanął tuż obok.

- Jakże to, mój panie synu - z silnym akcentem niemieckim ozwała się Madame, gdy usadowiła się wygodnie w fotelu - czegoż to ja się dowiaduję? Jaka przygoda omal ci się nie przytrafiła wczoraj wieczór?

- Wczoraj wieczorem? - zadał samemu sobie pytanie zdziwiony regent.

- Tak - powiedziała - wczoraj wieczorem, kiedyś opuszczał dom pani de Sabran.

- Ach, więc tylko o to chodzi! - zbagatelizował sprawę księżę.

- Tylko o to? Twój przyjaciel rozpowiada wszędzie, że chciano cię porwać i że ocaliła

cię ucieczka po dachach domów. Przyznasz, że osobliwa to droga dla regenta, i nie wątpię, że twoi ministrowie, aczkolwiek bardzo ci oddani, zechcą na ten temat odbyć naradę.

- Simiane jest szaleńcem, kochana matko - odparł regent nie mogąc wszakże powstrzymać się od śmiechu, rozbawiony tym, że matka pokrzykuje na niego, jakby był małym chłopcem. - To wcale nie byli ludzie mający zamiar mnie porwać, ale jakaś zacna kompania, która opuściwszy knajpy przy rogatce des Sergents, zaczęła się awantuować na ulicy des Bons-Enfants. A co do obranej drogi, ani nam w głowie było tamtędy uciekać, chcieliśmy po prostu wygrać zakład, jaki ten opilec Simiane w końcu przegrał ku swej wściekłości.

- Mój synu! Mój synu! - powtarzała Madame kiwając głową. - Nigdy nie chciałeś uwierzyć w niebezpieczeństwo, choć świadom jesteś, do czego są zdolni twoi wrogowie. Ci, co oszczerstwem godzą w twoją duszę, nie mieliby wielkich skrupułów, wierzaj mi, zabijając twe ciało; a wiesz przecie, co powiedziała diuszesa du Maine: w dniu, kiedy przekona się, że nic już nie można zrobić dla tego bastarda, jej męża, poprosi cię o audiencję i przebije ci serce sztyletem.

- Oho ho, droga matko - odparł ze śmiechem regent - czyżbyś się stała tak pobożną katoliczką, że nie wierzysz już w przeznaczenie?! Ja w nie wierzę, o czym wiesz dobrze. Chcesz zatem, bym zadawał tortury mojemu umysłowi pragnąc ustrzec się niebezpieczeństwa, które albo wcale nie istnieje, albo jeśli istnieje, jest z góry zapisane w odwiecznej księdze? Nie, pani matko, nie, wszystkie te przesadne ostrożności nie służą niczemu innemu, tylko uprzykrzaniu mi życia. To tyrani winni drżeć, ale ja, człowiek najbardziej dobrotliwy od czasów Ludwika Pobożnego, czegóż to, proszę, miałbym się obawiać?

- O mój Boże, niczego, mój drogi synu - rzekła ujmując dłoń księcia i patrząc na niego z takim zasobem czułości macierzyńskiej, ile jej mogły pomieścić małe oczka. - Niczego, gdyby wszyscy znali ciebie, jak ja, i wiedzieli, żeś dobry ponad miarę, że nie masz nawet dość sił, by nienawidzić wrogów; ale Henryk IV, do którego pod pewnymi względami jesteś, niestety, nazbyt podobny, był równie dobry i mimo to trafił na niejakiego Ravallaca. Niestety! Mein Gott! - ciągnęła wplatając w kiepską francuszczyznę wykrzyknik prawdziwie niemiecki - zabija się właśnie dobrych królów; tyrani przedsięwzięją środki ostrożności i sztylet ich nie sięga. Nie powinienes, mój panie synu, wychodzić bez eskorty. To tobie, a nie mnie potrzebna jest

gwardia przyboczna.

- Kochana mamó - odparł wciąż śmiejąc się regent - czy chcesz, bym opowiedział ci pewną historyjkę?

- Tak, chętnie posłucham - przystała księżna - tak wybornie umiesz opowiadać.

- A więc, jak ci wiadomo, był w Rzymie, nie przypominam sobie w którym roku republiki, bardzo dzielny konsul; lubił on, podobnie jak ja i Henryk IV, wałęsać się nocą po ulicach miasta. Zdarzyło się, że ów konsul został wysłany przeciw Kartagińczykom, a wynalazłszy maszynę wojenną zwaną krukiem, stoczył bitwę morską, w której Rzymianie po raz pierwszy odnieśli zwycięstwo, i wracał do Rzymu spodziewając się, że za zdobytą chwałę zdobędzie godną nagrodę. Nie mylił się; cała ludność czekała nań przed bramami miasta, aby w tryumfalnym pochodzie wprowadzić go na Kapitol, gdzie został powitany przez senat. Owóż gdy tylko się pojawił, senat oznajmił, że w nagrodę za zwycięstwo przyznaje mu ogromny zaszczyt, w najwyższym stopniu dogadzający jego miłości własnej: będzie odtąd wychodził poprzedzany zawsze przez herolda, który wtórując sobie grą na flecie będzie wszystkim obwieszczał, że człowiek, idący za nim, to słynny Duiliusz, zwycięzca Kartagińczyków. Duiliusz, jak to rozumiesz doskonale, pani matko, był u szczytu radości z racji tego wyróżnienia; wracał do domu z podniesioną wysoko głową, poprzedzany przez flecistę, który wygrywał cały swój repertuar wśród poklasku tłumu wznoszącego, ile głosu stało, okrzyki: "Niech żyje Duiliusz! Niech żyje zwycięzca Kartagińczyków! Niech żyje wybawca Rzymu!" Było to czymś tak oszołamiającym, że biedny konsul tracił głowę i parokrotnie wychodził z domu tego dnia, choć nie miał absolutnie nic do załatwienia w mieście, prócz radowania się ową senatorską prerogatywą oraz słuchania tryumfalnej muzyki i okrzyków, które jej towarzyszyły. To zajęcie wypełniło mu czas aż do wieczora, pogrążając go w trudnej do wyrażenia ekstazie; zapadła wreszcie noc. Bohater miał metresę, którą bardzo miłował i którą pilno mu było ujrzeć, osobkę w rodzaju pani de Sabran, ale mającą męża, co postanowił być zazdrosnym, podczas gdy nasz, jak wiadomo, nie odznacza się tą śmieszną wadą. Konsul tedy wziął kąpiel, zadbał o toaletę, uperfumował się jak najstaranniej i gdy zegar z piasku wskazał jedenastą, wyszedł na palcach, zmierzając na ulicę Suburrane; ale przeliczył się co do czujności swego flecisty. Za ledwie bowiem postąpił parę kroków, ów służbista, strzegący go zarówno w dzień jak i w

nocy, zeskoczył ze słupka, na którym siedział, i rozpoznawszy konsula ruszył przed nim, dmuchając z całych sił w swój instrument. Skutek był taki, że ci, co przechadzali się jeszcze po ulicach, odwracali głowy, ci natomiast, co siedzieli już w domu, pojawiali się w drzwiach, a ci, co już leżeli w łóżkach, wyglądali oknem powtarzając chórem: "Ach! ach! oto konsul Duiliusz przechodzi. Niech żyje Duiliusz! Niech żyje pogromca Kartagińczyków! Niech żyje zbawca Rzymu!" Było to nad wyraz pochlebne, ale najzupełniej zbyteczne; toteż konsul postanowił uciszyć swojego herolda; ów jednak oświadczył, że dostał od senatu całkiem jasny rozkaz, by nie milkł ani na chwilę, za co przecie ma pobierać dziesięć tysięcy sesterców rocznie, nie przestanie zatem dąć we flet, póki starczy mu tchu. Konsul widząc, że daremnie dyskutować z człowiekiem, który powołuje się na rozkaz senatu, puścił się biegiem w nadziei, iż umknie muzykalnemu towarzyszowi; tamten wszakże starał się dotrzymać mu kroku i konsul zyskał tylko tyle, że herold ścigał go zamiast wyprzedzać. Na próżno kluczył jak zajęć, atakował jak rogacz, parł naprzód jak dzik, przeklęty flecista ani na sekundę nie tracił go z oczu - tak, że cały Rzym, nie pojmując nic z tego nocnego wyścigu, ale wiedząc, że bierze w nim udział wczorajszy tryumfator, wyległ na ulice, pojawił się w oknach i na progach domów krzycząc: "Niech żyje Duiliusz! Niech żyje zwycięzca Kartagińczyków! Niech żyje zbawca Rzymu!". Biedny wielki człowiek miał tylko jedną nadzieję: że pośród tego zamieszania dom jego kochanki będzie pogrążony we śnie i może zdoła się wśliznąć tam przez drzwi, które przyobiegała zostawić uchylone. Ale nic z tego! Ogólna wrzawa dosięgła także ulicy Suburrane i kiedy Konsul dotarł do tego wdzięcznego i gościnnego domku, którego drzwi tak często skrapiał perfumą i małą girlandami, spostrzegł, że rozbudzony jest jak inne, a w oknie zobaczył męża wołającego już z daleka: "Niech żyje Duiliusz! Niech żyje zwycięzca Kartagińczyków! Niech żyje zbawca Rzymu!" Zrozpaczony heros wrócił do domu.

Nazajutrz spodziewał się, że lepiej ugodzi się ze swoim muzykiem, ale zawiódł się srodze; podobnie było trzeciego dnia i w dni następne; zrozumiawszy tedy, że nie sposób mu zachować incognito, konsul wyjechał na Sycylię, gdzie ze złości rozgromił znów Kartagińczyków, tym razem tak doszczętnie, że sądzono, iż położy to kres wszystkim minionym i przyszłym wojnom punickim, a Rzym ogarnęła radość nieopisana, ludność świętowała tak, jak podczas rocznic powstania miasta, i umyślono zgotować zwycięzcy

uroczystości jeszcze wspanialsze niż za pierwszym razem. Senat zaś zebrał się, aby jeszcze przed przybyciem Duiliusza deliberować nad przyznaniem mu nowej zaszczytnej nagrody. Zasięgnawszy opinii publicznej, miano już rozpocząć głosowanie, kiedy nagle rozległy się wesołe okrzyki i dźwięki fletu. Był to konsul, który pragnąc uniknąć tryumfalnego wjazdu przyspieszył swój powrót, ale nie zdołał uciec przed wdzięcznością ludu z racji towarzyszącej mu gry na flecie. Domyślając się, że oczekuje go nowy ceremoniał, postanowił wziąć udział w obradach. Został istotnie senat gotów do głosowania, każdego senatora z gałką w ręku.

Podszedł więc do trybuny i rzekł:

- Dostojni senatorowie, macie niechybnie zamiar głosować w sprawie nagrody, która sprawiłaby mi przyjemność?

- Leży to w naszych intencjach - ozwał się przewodniczący obradom - chcemy uczynić cię człowiekiem najszczęśliwszym na ziemi.

- A zatem - ozwał się Duiliusz - czy pozwolicie mi poprosić was o to, czego najbardziej pragnę?

- Mów, mów! - zakrzyknęli jednogłośnie senatorowie.

- I przyznacie mi to? - spytał z lękiem i nieśmiałością Duiliusz.

- Na Jupitera! Przyznamy ci to - odparł przewodniczący w imieniu całego zgromadzenia.

- Jeśli więc sądzicie, dostojni ojcowie miasta - ozwał się Duiliusz - że dobrze przysłużyłem się ojczyźnie, zabierzcie ode mnie, w nagrodę za owo drugie zwycięstwo, tego łotra flecistę, którym mnie obdarzyliście w podzięcie za pierwsze zwycięstwo.

Senat uznał tę prośbę za dość osobliwą, ale był związany słowem, którego w tamtych czasach jeszcze nie łamano. Flecista otrzymał dożywotnią rentę w postaci połowy swojego uposażenia, z uwagi na dobre świadectwa, jakie mu wystawiono, i konsul Duiliusz, nareszcie uwolniony od herolda, odzyskał incognito oraz, już bez wrzawy, stanął u drzwi domku na ulicy Suburrane, u drzwi, które zatrzasnęło mu jedno zwycięstwo, a drugie znowu otwarło.

- No i co? - zdziwiła się Madame. - Jaki związek ma ta historia z moją obawą, że cię zamordują?

- Jaki związek, pani matko? - roześmiał się książę. - Skoro z powodu jednego grajka

spotkał konsula Duiliusza taki zawód, sama pomyśl, co stałoby się ze mną, gdybym dysponował całym regimentem straży!

- Oj, Filipie! Filipie! - rzekła księżna śmiejąc się i wzdychając jednocześnie. - Czy zawsze będziesz tak lekko traktował sprawy poważne?

- Nie, droga mammo - odparł regent. - A dowodem na to jest rzecz następująca: jak rozumiem, nie przyszłaś tu jedynie po to, aby prawić mi morały z powodu nocnych eskapad, lecz by pomówić o kwestiach donioślejszych; jestem gotów wysłuchać cię i odpowiedzieć rzeczowo w materii, której zawdzięczam twą wizytę.

- Tak, masz słuszność - odparła księżna - istotnie przyszłam w innej sprawie: chciałabym porozmawiać o panie de Chartres.

- Ach tak, o twojej faworycie, pani matko, bo choćbyś nie wiem jak zaprzeczała, Luiza jest twoją ulubienicą. Czy aby nie dlatego, że nie miłuje swoich stryjów, których ty zdecydowanie nie kochasz?

- Nie, nie chodzi bynajmniej o to, choć, wyznam, z przyjemnością widzę, że podziela ona moją opinię o królewskich bastardach; ale z wyjątkiem urody, którą posiada, a ja jej nie miałam, jest ona dokładnie taka sama, jak ja byłam w jej wieku, ma te same chłopięce gusta, lubi psy, lubi konie i kawalkady, bawi się prochem jak artylerzysta, puszcza ogień sztuczny niczym rakieta. No i zgadnij, proszę, co nam się z nią przydarzyło.

- Może chce się zaciągnąć do gwardii?

- Ależ nie, chce zostać zakonnica.

- Zakonnica? Luiza! Niepodobna, pani matko! To jakiś żart jej głupich sióstr!

- Wcale nie, mój panie synu - odparła Madame. - Nie ma w tym nic wesołego, przysięgam!

- I skąd u niej, do diabła, ta zbożna namiętność do klasztoru? - spytał książę, który zaczynał dawać wiarę słowom matki, żył bowiem w czasach, kiedy rzeczy najbardziej ekstrawaganckie okazywały się najbardziej prawdopodobne.

- O to musisz zapytać Boga lub szatana, bo tylko jeden z nich może to wiedzieć. Przedwczoraj spędziła cały dzień ze swoją siostrą, jeździła konno, strzelała z pistoletu, roześmiana i tak rozbawiona, że jeszcze nigdy nie widziałam jej w takim nastroju, a wieczorem

twoja małżonka poprosiła mnie do swego buduaru. Znajdowała się tam panna de Chartres, która klęcząc u kolan matki, ze łzami ją błagała, by pozwoliła jej na praktyki religijne w opactwie w Chelles. "I cóż pani myślisz o tej prośbie?" - zwróciła się do mnie diuszesa. "Sądzę - rzekłam - że nie ma najmniejszego znaczenia miejsce odbywania praktyk religijnych, wszystko raczej zależy od niezłomności postanowienia i od przygotowania". Ale słysząc moją odpowiedź panna de Chartres zdwoiła błagania z takim uporem, że powiedziałam do jej matki: "No więc, moja droga, to ty musisz podjąć decyzję". "Cóż robić! - odparła diuszesa - nie można przeszkodzić temu biednemu dziecku, skoro pragnie odbyć praktyki religijne". "Niechże więc jedzie - odrzekłam - i niechaj Bóg sprawi, żeby udała się tam rzeczywiście w tej intencji". "Przysięgam ci, pani - ozwała się panna de Chartres - że udaję się tam tylko dla Boga i żadna myśl ziemską mi nie przyświeca". Ucałowała wtedy nas obie, a nazajutrz rano, o siódmej, wyjechała.

- No i co? Wiedziałem o tym, bom miał sam ją odwiedzić - odparł regent. - Czy zdarzyło się tymczasem coś nowego?

- Zdarzyło się to - odparła Madame - że odesłała wczoraj wieczorem stangreta obarczając go listem do nas, do ciebie, do matki i do mnie, w którym oświadcza, że znalazła w klasztorze taką ciszę i taki spokój, jakich nie spodziewała się znaleźć nigdzie na świecie, i dlatego nie chce stamtąd wracać.

- A cóż na to jej matka, co myśli o tej chwalebnej decyzji? - spytał regent sięgając po list.

- Jej matka? - powtórzyła Madame. - Jej matka jest bardzo rada; tak sądzę, jeśli chcesz poznać moją opinię; bo uwielbia klasztory i uważa za wielkie szczęście dla córki, że chce ona zostać zakonnica; ale ja mniemam, że nie będzie to szczęściem, bo nie ma tu powołania.

Regent przeczytał list raz i drugi, jakby w tym prostym wyrazie pragnień panny de Chartres próbował odkryć utajone przyczyny, które zrodziły ową chęć pozostania w Chelles, i po chwili głębokiego namysłu, jakby szło o losy cesarstwa, powiedział:

- Jest w tym jakiś zawód miłosny. Może wiesz, pani matko, czy Luiza w kimś się kocha?

Madame opisała wówczas regentowi zdarzenie w Operze, kiedy to pannie Chartres wyrwał się z ust okrzyk podziwu dla pięknego tenora.

- Do diabła! Och, do diabła! - zaperzył się regent. - I co uczyniłyście, twoja synowa, diuszesa Orleańska, i pani, droga matko, po waszej naradzie macierzyńskiej?

- Wyrzuciliśmy tego Cauchereau za drzwi i zakazałyśmy Luizie bywania w Operze. Mniej nie mogłyśmy zrobić.

- No tak! - zgodził się regent. - Nie ma potrzeby szukać dalej; w tym cała rzecz i musimy wyleczyć ją czym prędzej z tej słabostki.

- I cóż uczynisz, synu, by tego dokazać?

- Jeszcze dziś pojedę do opactwa w Chelles, wypytam Luizę; jeśli okaże się to tylko kaprysem, zostawię kaprynowi czas, by przeminał. Dopiero za rok musiałaby złożyć śluby; będę udawał, że aprobuję jej powołanie, a na pewno w chwili, gdy będzie zmuszona przywdziać kwef zakonny, sama przybiegnie nas prosić, abyśmy dobyli ją z kłopotów, w które się uwikłała. Jeśli natomiast sprawa okaże się poważna, trzeba będzie przedsięwziąć inne środki.

- Mój Boże - westchnęła Madame wstając z fotela - pomyśl, mój synu, że biedny Cauchereau nie ma z tym nic wspólnego, a może nawet nie wie o uczuciu, jakie wzbudził.

- Uspokój się, pani matko - odparł książę z uśmiechem, ubawiony tragiczną interpretacją, jaką Madame ze swoim sposobem myślenia, przyjętym po drugiej stronie Renu, nadała jego słowom - nie przyczynię się do powtórzenia żalosnej historii kochanków z opactwa Paraclet; głos Cauchereau nic nie straci ze swego męskiego brzmienia w związku z tą sprawą, a wobec księżniczki krwi nie stosuje się tych samych kar, co wobec skromnej mieszczki Heloizy.

- Ale z drugiej strony - rzekła Madame, niemal równie przerażona pobłażliwością księcia, jak pozorną jego surowością - nie możemy okazać zbytnej słabości.

- Droga matko - rzekł regent - ściśle rzecz ujmując, jeśli już koniecznie Luiza musi kogoś zdradzać, wolałbym, żeby to był mąż, a nie Pan Bóg.

I ucałowawszy z respektem rękę matki, odprowadził do drzwi biedną księżnę, zgorszona tą swobodą obyczajów, do której nie mogła aż do śmierci przywyknąć.

Kiedy Madame wyszła, diuk Orleański siadł znów przed swoim rysunkiem, nucąc arię z opery "Pantee", którą stworzył pospołu z La Fare'em.

Mijając przedpokój Madame spostrzegła, że zbliża się ku niej jakiś człeczyna w wysokich butach podróżnych, z głową tonącą w olbrzymim kołnierzu podbitego futrem płaszcza. Znalazłszy się przy drzwiach, wysunął z kapuzy małą głowę, ukazując twarz ze spiczastym nosem i drwiącymi oczyma - fizjonomią przypominał zarazem kunę i lisa.

- Ach, ach, to ty, mój księżu - odezwała się Madame.

- We własnej osobie, Wasza Wysokość. Dopiero co ocaliłem Francję, ni mniej, ni więcej.

- Tak - powiedziała Madame - słyszałam o czymś podobnym, ale również o tym, że stosowano truciznę w przypadkach niektórych chorób. Pewnie wiesz o tym, Dubois, boś synem aptekarza.

- Wasza Wysokość - odparł Dubois ze zwykłym sobie zuchwalstwem - może i wiedziałem o tym, ale już zapomniałem. Wasza Wysokość wie, że jako bardzo młody chłopak porzuciłem driakwie pana ojca, aby kształcić syna Waszej Wysokości.

- Dobrze już, dobrze, mój Dubois - rzekła śmiejąc się Madame - jestem rada z twojej gorliwości, a jeśli będzie do objęcia jakaś ambasada w Chinach lub Persji, poproszę regenta, by cię tam posłał.

- Czemuż to nie na Księżyc lub na Słońce? - spytał Dubois. - Byłabyś, pani, pewniejsza, że mnie już nigdy nie ujrzysz.

I kłaniając się szarmancko Madame po tej odpowiedzi, nie zaczekał, aż go ona zgodnie z etykietą oddali, lecz obrócił się na pięcie i nie kładąc się bynajmniej zaanonsować, wszedł do gabinetu regenta.

XXIII. Ksiądz Dubois

Wszyscy znamy początki kariery księdza Dubois; nie będziemy zatem rozwodzić się nad biografią jego młodzieńczych lat, biografią, jaką odnajdziemy we wszystkich pamiętnikach z tego okresu, zwłaszcza zaś u nieprzejednanego Saint-Simona.

Dubois nie został przez Saint-Simona oczerniony: byłoby to niepodobieństwem; powiedziano o nim tyle złego, na ile zasługiwał, ale nie powiedziano tyle dobrego, ile można było powiedzieć. Między jego przodkami i przodkami jego rywala Alberoniego istniało duże podobieństwo; trzeba jednak przyznać, że geniusz trzymał stronę księdza Dubois i w tej długiej walce z Hiszpanią, o której nakazuje wspomnieć natura naszego przedmiotu, pierwszeństwo przypadło synowi aptekarza, nie zaś synowi ogrodnika. Dubois poprzedzał być może Figara, któremu chyba posłużył za wzór; ale, szczęśliwszy od niego, przeszedł z kancelarii do salonu, a z salonu do sali tronowej.

Wszystkie te kolejne awanse były zapłatą nie tylko za prywatne usługi, ale też za usługi publiczne: był jednym z tych ludzi, którzy, by użyć tu wyrażenia pana de Talleyrand, nie dochodzą do kariery, lecz przybywają na gotowe.

Jego ostatnie rokowania graniczyły z maestrią; nie była to jedynie ratyfikacja pokoju w Utrechcie, lecz traktat jeszcze korzystniejszy dla Francji. Cesarz nie tylko rezygnował ze wszystkich praw do korony hiszpańskiej, jak Filip V zrezygnował ze wszystkich praw do korony francuskiej, ale ponadto wszedł wraz z Anglią i Holandią do ligi utworzonej na południu przeciw Hiszpanii, a na północy przeciw Szwecji i Rosji.

Układ pięciu czy sześciu wielkich państw Europy został oparty mocą tego traktatu na bazie tak sprawiedliwej i solidnej, że po stu pięćdziesięciu latach wojen, rewolucji i przewrotów, owe państwa, z wyjątkiem Cesarstwa, pozostają w takiej samej prawie sytuacji, w jakiej były wówczas.

Ze swej strony regent, niezbyt rygorystyczny z natury, lubił tego człowieka, który go kształcił i któremu sam ułatwił zrobienie fortuny. Regent cenił zalety Dubois i nie śmiał potępiać zbytnio paru wad, od których ksiądz nie był wolny. A jednak między regentem i Dubois istniała przepaść. Przywary i cnoty regenta były cechami wielkiego pana, natomiast

zalety i wady Dubois były cechami lokaja. Toteż regent na próżno mówił, obdarzając go jakimś nowym faworem:

- Dubois, Dubois, bacz pilnie: to tylko liberia, którą wkładam ci na grzbiet.

Ale Dubois troszczył się o wiele bardziej o dary aniżeli o sposób, w jaki bywały mu ofiarowywane, i z małym grymasem odpowiadał bełkotem nudziarza, jemu tylko właściwym:

- Jestem lokajem Waszej Wysokości, proszę, aby Wasza Dostojność ubierał mnie zawsze wedle moich zasług.

Dubois lubił zresztą regenta i był mu oddany ponad miarę. Uświadamiał sobie, że ta potężna dłoń podtrzymuje go nad kloaką, skąd się wydobył i gdzie znienawidzony przez wszystkich i okryty pogardą mógł się znowu znaleźć na jedno skinienie ręki pana. Czuwał tedy we własnym interesie nad nienawiścią i spiskami, które godziły w księcia, i nieraz posługiwał się tajną policją, często lepiej funkcjonującą aniżeli policja prefekta, bo zapuszczała swoje macki poprzez panią de Tencin w najwyższe sfery arystokracji, a poprzez Filonkę w najniższe warstwy społeczne; udaremnił też wiele spisków, o których imć Voyer d'Argenson ani nawet słyszał.

Toteż regent ceniący różnego typu usługi, jakie oddał mu i nadal był gotów oddawać Dubois, powitał gościa z otwartymi ramionami; natychmiast wstał z miejsca i w przeciwieństwie do zwykłych książąt, którzy umniejszają wagę usług, aby mniej za nie płacić, rzekł uradowany:

- Dubois, jesteś moim najlepszym przyjacielem; traktat o poczwórnym przymierzu przyniesie Ludwikowi XV więcej profitu niż wszystkie zwycięstwa jego dziada, Ludwika XIV.

- Chwała Bogu - ucieszył się Dubois - że Wasza Wysokość oddaje mi sprawiedliwość, ale niestety nie wszyscy są tego zdania.

- Ach! Ach! - wykrzyknął regent. - Czyżbyś spotkał moją matkę? Właśnie stąd wyszła.

- Rzeczywiście, miała niemal ochotę zawrócić i prosić WAszą Wysokość, by z uwagi na moje pomyślnie zakończone poselstwo zlecił mi jakąś misję dyplomatyczną w Chinach lub w Persji.

- Cóż chcesz, księżulku - roześmiał się Filip - moja matka jest pełna przesądów i nigdy ci nie wybaczy, żeś uczynił ze mnie tak pojętnego ucznia; ale nie trap się, księżo, potrzebuję

cię tutaj.

- Jakże się czuje Jego Królewska Mość? - spytał Dubois z uśmiechem wyrażającym szkaradną nadzieję. - Wydawał się raczej słabować, gdym odjeżdżał.

- Czuje się dobrze, nawet bardzo dobrze - odrzekł z powagą regent. - Mam nadzieję, że Bóg zachowa go dla dobra Francji i ku wstydowi naszych oszczerców.

- I Wasza Wysokość odwiedza go jak zazwyczaj, codziennie?

- Widziałem się z nim wczoraj i on sam pytał o ciebie.

- Ba! Cóż Wasza Wysokość mu powiedział?

- Powiedziałem, że prawdopodobnie zapewniłeś pokój na czas jego panowania.

- I co na to król?

- Co na to król? Rzekł, mój drogi, iż nie wiedział, jak pożyteczni mogą być księża.

- Jego Królewska Mość jest dowcipny! A stary Villeroi był aby przy nim?

- Jak zawsze.

- Będę musiał pewnego ranka, za pozwoleniem Waszej Wysokości, wysłać tego starego hultaja na drugi koniec Francji, żeby sprawdził, czy mnie tam nie ma. Zaczyna mnie nudzić swoją bezczelnością.

- Daj spokój, Dubois, daj spokój, na wszystko przyjdzie pora.

- Nawet na moje arcybiskupstwo?

- No, właśnie! Cóż to za nowe szaleństwo?

- Nowe szaleństwo, Wasza Wysokość? Trudno przecie o coś poważniejszego, klnę się honorem.

- Jak to! Król Anglii prosi mnie w swym piśmie o arcybiskupstwo dla ciebie...

- Wasza wysokość wcale nie rozpoznał jego stylu?

- Więc tyś mu to podyktował, łajdaku?

- Niejakiemu Nericault Destouches, który sprawił, że król list podpisał.

- I król podpisał list ot, tak, bez słowa?

- Ależ nie! "Jak możesz się domagać - rzekł naszemu poecie - aby protestancki władca wtrącał się do sprawy mianowania arcybiskupa we Francji? Regent przeczyta mój list rekomendacyjny, roześmieje się i nic nie uczyni". "Tak, to prawda, sir - odparł Destouches,

który ma więcej dowcipu, do kroćset, aniżeli wykazuje go w swoich sztukach - regent roześmieje się, a kiedy skończy się śmiać, zrobi to, czego sobie Jego Królewska Mość życzy”.

- Destouches blagował.

- Destouches nigdy nie powiedział nic prawdziwszego, Wasza Wysokość.

- Ty arcybiskupem! Król angielski zasługuje na to, abym w rewanżu znalazł mu takiego jak ty nicponia na arcybiskupa Yorku, gdy zwolni się to stanowisko.

- Odradzam Waszej Wysokości tych poszukiwań, znam bowiem tylko jednego takiego człowieka.

- A któż to taki? Ciekaw byłbym go poznać.

- Ach, to zbyt cenne, jest on dobrze uplasowany, a że jego miejsce jest dobre, nie zamieniłby go na żadne arcybiskupstwo na świecie.

- Bezczelny.

- O kim to myśli Wasza Wysokość?

- O hultaju, który chce zostać arcybiskupem, nie przystąpiwszy jeszcze do pierwszej komunii świętej.

- No cóż, będę tym lepiej do niej przygotowany!

- A subdiakoniat, diakonat, święcenia kapłańskie?

- Phi! Znajdziemy z pewnością jakiegoś księdza odprawiającego msze na łapu capu, jakiegoś brata Jana Łomignata, który załatwi mi to wszystko w ciągu godziny.

- Odradzam ci szukania kogoś takiego.

- Już to zrobiłem.

- I któż to taki?

- Wielki jałmużnik, biskup w Nantes, Tressan.

- Ten drań znajdzie odpowiedź na wszystko! A twoje małżeństwo?

- Moje małżeństwo?

- No tak. Pani Dubois.

- Pani Dubois? Nic o tym nie wiem.

- O nieszczęsny! Czyżbyś ją zamordował?

- Wasza Wysokość zapomina, że trzy dni temu polecił wpłacić do jej szkatuły czwartą

część pensji, którą otrzymuje.

- A jeśli założy protest w sprawie twojego arcybiskupstwa?

- Nie radzę jej! Nie ma dowodów.

- Może zrobić kopię aktu ślubu.

- Nie można zrobić kopii bez oryginału.

- A oryginał?

- Oto jego resztki - rzekł Dubois wyjmując z kieszeni zwinięty papierek, w którym znajdowało się troszkę popiołu.

- Nędzniku! Nie boisz się, że pošlę cię na galery?

- Jeśli dyktuje to serce Waszej Wysokości, chwila jest sposobna, słyszę bowiem głos pana prefekta w przedpokoju.

- Kto go wezwał?

- Ja.

- Po co?

- Żeby zmyć mu głowę.

- Z jakiego powodu?

- Zaraz się książę dowie. Ustaliliśmy zatem, że jestem arcybiskupem.

- Czy wybrałeś już sobie owo arcybiskupstwo?

- Tak. Wezmę Cambrai.

- Do kroćset! Jesteś dość wybredny.

- O mój Boże! Przecież nie chodzi o to, ile ono przynosi dochodów, chciałbym tylko dostąpić zaszczytu: zostać następcą Fenelona.

- Tym sposobem zyskamy pewnie nowego "Telemaka"?

- Tak, jeśli Wasza Wysokość znajdzie mi bodaj jedną Penelopę w całym królestwie.

- A propos Penelopy: wiesz, że pani de Sabran...

- Wiem wszystko.

- Coś takiego! Więc twoja policja, księżę, jest nadal tak sprawna?

- Sam książę osądzi.

Dubois sięgnął ręką do dzwonka; dzwonek zadzwieczał, pojawił się woźny królewski.

- Proszę wprowadzić pana prefekta - rzekł Dubois.
- No, no, księżu - ozwał się regent - jak widzę, to ty tutaj wydajesz rozkazy.
- Dla dobra Waszej Wysokości. Proszę mi pozwolić na działanie.
- Rób, co chcesz, trzeba być pobłażliwym dla nowo kreowanych arcybiskupów -

powiedział regent.

Imć Voyer d'Argenson wszedł do gabinetu; brzydota dorównywał księdzu Dubois. Ale jego brzydota miała całkiem inny charakter: tęgi, wysoki, ociężały, w ogromnej peruce, miał najeżone, grube brwi, tak że dzieci, widząc go po raz pierwszy, niechybnie brały go za diabła. Był zresztą giętki, czynny, zręczny, niezawodny jako intrygant i dość rzetelnie wywiązywał się ze swoich obowiązków, jeśli od nocnych zajęć nie odrywała go jakaś miłosna przygoda.

- Panie prefekcie - ozwał się Dubois nie pozwalając nawet, by d'Argenson dokończył ukłonu - stoisz pan w obliczu Jego Wysokości, który nie ma przede mną sekretów i który posłał po pana, byś powiedział mi, w jakim stroju Jego Wysokość wyszedł wczoraj wieczorem, w jakim domu spędził noc i co mu się przydarzyło, gdy ów dom opuścił. GDybym dopiero co nie wrócił z Londynu, nie zadawałbym ci, panie, tych pytań, ale musisz zrozumieć, że jadąc dyliżansem z Calais, niczego dowiedzieć się nie mogłem.

- Ale - ozwał się d'Argenson przypuszczając, że w tych pytaniach kryje się zasadzka - czyżby wczoraj wydarzyło się coś niezwykłego? Co do mnie, muszę wyznać, nie otrzymałem żadnego raportu. W każdym razie mam nadzieję, że nie przytrafiło się Waszej Wysokości nic osobliwego?

- Och, nie, mój Boże, nie! Tyle że Jego Wysokość wyszedł wczoraj o ósmej wieczór, pod strażą gwardii, na kolację u pani de Sabran i o mało nie został porwany, gdy od niej wracał.

- Porwany! - zawołał d'Argenson blednąc, podczas gdy regent wydał okrzyk zdumienia.

- Porwany! Ale przez kogo?

- A właśnie - rzekł Dubois - tego nie wiemy, ty zaś, panie prefekcie, wiedziałbyś, gdybyś czuwał tej nocy zamiast spędzać miło czas w klasztorze Magdaleny de Traisnel.

- Jakże to, d'Argenson - zawołał regent wybuchając śmiechem - pan, wysoki urzędnik, dajesz taki przykład? Ach, bądź pan spokojny, przyjmę cię serdecznie, kiedy pod koniec roku,

jak za czasów zmarłego króla, przyniesiesz mi kronikę wszystkich moich uczynków i gestów.

- Wasza Wysokość - wyjął prefekt - spodziewam się, że Wasza Dostojność nie wierzy ani jednemu słowu księdza Dubois.

- Ach, więc to tak! Zamiast upokorzyć się, nieszczęśniku, z racji swojej niewiedzy, zadajesz mi kłam! Wasza Wysokość, chciałbym cię zaprowadzić do seraju d'Argensona: dwudziestosześcioletnia przeorysza i piętnastoletnie nowicjuszek; buduar usłany przepiękną tkaniną indyjską, cele obite malowaną materią. O, pan prefekt policji zna się na rzeczy i piętnaście procent zysków z loterii tam na pewno ulokował.

Regent wziął się pod boki i obserwował zbulwersowaną twarz d'Argensona.

- Ale - ozwał się prefekt starając się sprowadzić rozmowę na ten z dwóch tematów, który, jakkolwiek bardziej dla niego upokarzający, był mniej przykry - niewielka to zasługa, mój księże, znać szczegóły wydarzenia, które z pewnością Jego Wysokość księdzu opowiedział.

- Na honor - zawołał regent - zapewniam cię, d'Argenson, że nic mu o tym nie mówiłem!

- Przestałbyś pan, panie prefekcie! Czy może Jego Książęca Wysokość opowiedział mi również historię o pewnej nowicjuszcze z zakonu sióstr miłosierdzia na przedmieściu Saint-Marceau, której omal nie porwałś przenosząc przez mur klasztorny? Czy to również Jego Książęca Wysokość powiedział mi o domu, który zbudowałeś pod fałszywym nazwiskiem, tuż obok klasztoru magdalenek, co sprawia, że możesz tam wchodzić o każdej porze przez drzwi ukryte w szafie i wychodzić przez zakrystię kaplicy Świętego Marka, pańskiego patrona? Na koniec czy to również Jego Książęca Wysokość powiedział mi, że wczoraj spędził waść wieczór wśród bożych oblubienic, które drapały ci pięty odczytując prośby i skargi, jakieś otrzymał w ciągu dnia? Ale to wszystko, drogi prefekcie, należy do drobiazgów, i ten, kto tyle tylko by umiał powiedzieć, nie byłby godzien zawiązać rzemyków u pańskich butów.

- Posłuchaj, mój księże - odparł prefekt odwołując się do całej swojej godności - jeśli to, co powiedziałaś mi o Jego Książęcej Wysokości, stało się naprawdę, rzecz wygląda poważnie i jestem winien, że nie wiem tego, co wiedzą inni; ale nie wszystko stracone, poznamy sprawców i ukarzymy ich tak, jak na to zasługują.

- Mimo wszystko nie trzeba przywiązywać zbytnej wagi do tego incydentu - ozwał się

regent. - To na pewno paru pijanych oficerów postanowiło spłatać wątpliwy figiel któremuś z kolegów.

- To prawdziwe i solidne sprzysiężenie, Wasza Wysokość - rzekł Dubois - uknute w ambasadzie hiszpańskiej i poprzez Arsenał sięgające do Palais-Royal.

- Ty ciągle swoje, Dubois!

- I nie zaprzestanę, Wasza Wysokość.

- A pan, panie d'Argenson, cóż o tym myślisz?

- Wrogowie Waszej Wysokości są do wszystkiego zdolni; ale ujawnimy ich spiski, jakiegokolwiek one są, ręczę za to słowem.

W tej chwili drzwi się otwarły i woźny królewski zaanonsował jego dostojność diuka du Maine, który przybył na naradę i który, jako książę krwi, nie musiał czekać na wezwanie. Zbliżył się nieśmiało, z właściwą sobie niepewną miną i rzucając z ukosa spojrzenia na trzech mężczyzn, z którymi znalazł się oko w oko, pragnął, zda się, wyczytać z ich twarzy, o czym z sobą rozmawiali. I regent natychmiast to zauważył.

- Witaj, kuzynie - zwrócił się do diuka. - Spójrz na tych dwóch obwiesiów, przecież ich znasz; zanim tu wszedłeś, twierdzili, że konspirujesz przeciw mnie.

Diuk du Maine zbladł śmiertelnie i czując, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa, wsparł się na lasce; nigdy się z tą laską, zastępującą mu szczudło, nie rozstawał.

- Mam nadzieję, że Wasza Książęca Wysokość - odpowiedział próbując daremnie przydać głosowi stanowczości - nie dał wiary podobnej kalumni.

- Ach, nie, mój Boże - rzekł niedbale regent. - Ale cóż pan chcesz? Mam do czynienia z dwoma uparciuchami, którzy zapewniają, że złapią pana kiedyś na gorącym uczynku. Oczywiście, nie wierzę w to; ale będąc uczciwym graczem uprzedzam cię na wszelki wypadek. Miej się przed nimi na baczności, bo to szczone lisy, ręczę za nich.

Diuk du Maine otworzył usta, chcąc uspokoić regenta jakąś banalną wymówką, gdy drzwi rozwarły się znowu i woźny zaanonsował diuka de Bourbon, księcia Conti, diuka de Saint-Simon, diuka de Guiche, kapitana gwardii, diuka de Noailles, przewodniczącego Rady Finansów, diuka d'Antin, nadintendenta domu królewskiego, marszałka d'Huxelles, ministra spraw zagranicznych, biskupa de Troyes, markizów de Lavrilliere i d'Effiat, diuka de Laforce,

markiza de Torcy i marszałków de Villeroy, d'Estrees, de Villars i de Bezons.

A że te dostojne osobistości zostały zaproszone, aby deliberować nad traktatem poczwórnego przymierza, przywiezionym z Londynu przez Dubois, oraz z tej racji, że traktat poczwórnego przymierza odgrywa raczej poślednią rolę w historii, którą zamyśliliśmy opowiedzieć, nasi czytelnicy będą z pewnością wdzięczni, jeśli opuścimy teraz przepyszny gabinet w Palais-Royal i poprowadzimy ich do cichej mansardy na ulicy du Tepms-Perdu.

XXIV. Sprzysiężenie zawiązuje się na nowo

D'Harmental położył pelerynę i kapelusz na krześle, pistolety na stoliku nocnym, szpadę wsunął pod wezglowie i rzucił się w ubraniu na łóżko; dzięki potędze swojej silnej natury szczęśliwszy od Damoklesa, zasnął natychmiast, chociaż nad jego głową, jak nad głową Damoklesa, zwiisał na nitce miecz.

Kiedy się obudził, dzień był już jasny, a że nocą, nazbyt zmęczony, zapomniał przymknąć okiennice, pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, był promień słoneczny kreślący od okna do drzwi lśniąca smugę świetlną, w której fruwały tysiące atomów. D'Harmentalowi zdało się, że śni, widząc, iż znajduje się znów w swoim cichym, spokojnym pokoiku, białym i czystym, podczas gdy według wszelkiego prawdopodobieństwa powinien był o tej porze przebywać w ponurym, ciemnym więzieniu. Przez chwilę nie dowierzał rzeczywistości wspomniawszy wydarzenia wczorajszego wieczora, ale wszystko tę rzeczywistość potwierdzało: pasowa kokarda na komodzie, kapelusz i peleryna na krześle, pistolety na nocnym stoliku, szpada pod wezglowiem. I on sam, d'Harmental, jako ostatni dowód, gdyby inne okazały się niedostateczne; był bowiem jeszcze w ubraniu, w którym występował wczoraj i którego nie zdjął w obawie, że zostanie obudzony gwałtownie, w środku nocy, przez czyjeś złowróżbne odwiedziny.

Wyskoczył z łóżka i pierwszym spojrzeniem objął okno sąsiadki: nie było zasłonięte, mógł więc dostrzec Batyldę, jak chodzi wzdłuż i wszerz po pokoju. Drugie spojrzenie d'Harmentalą powędrowało ku zwierciadłu, które powiedziało mu, że spisek wybornie wpłynął na jego urodę. W istocie twarz miał bledszą niżli zazwyczaj i przez to bardziej interesującą; oczy nieco rozgorączkowane i przez to bardziej wyraziste; a zatem jeśli przyczesze włosy i zamieni pomięty żabot na świeży, stanie się dla Batyldy - rzecz oczywista, nawet niezaprzeczalna, zwłaszcza po wczorajszym liściku - młodzieńcem ogromnie pociągającym. Nie powiedział sobie tego głośno, nawet nie powiedział cicho, ale złe instynkty, popychające nasze dusze ku zgubie, podsunęły mu owe myśli, niejasno, co prawda, niewyraźnie i nie do końca, ale na tyle precyzyjnie, że zabrał się do toalety z zamiarem podkreślenia własnych walorów; zdjął całkiem czarne ubranie i włożył ciemne, potargane włosy uczesał z pełną

wdzięku niedbałością, kamizelkę zapiął o dwa guziki niżej niż zwykle, by nie przesłaniała żabotu, który opadał mu teraz na pierś ze swobodną zalotnością.

Wszystko to robił jak gdyby od niechcienia, beztrosko, ale i w zatroskaniu, gdyż d'Harmental, jakkolwiek bardzo odważny, nie zapominał, że w każdej chwili może być aresztowany; czynił to wszystko po prostu instynktownie i kiedy opuścił alkówkę, służącą mu za gotowalnię i rzucił okiem w lustro, uśmiechnął się do siebie trochę melancholijnie, co jeszcze przydało uroku jego twarzy, istotnie pięknej. A nie sposób było omylić się, dla kogo ten uśmiech przeznaczal, bo podszedł natychmiast do okna i otworzył je na roścież.

Batylda być może również powzięła jakieś plany z myślą o chwili, kiedy ujrzy swojego sąsiada; może zamierzała dzielnie się bronić przed nim, nie patrząc w ogóle w tamtą stronę, albo zasłonić okno ukłoniwszy się tylko; ale słysząc odgłos otwieranego naprzeciw okna, zapomniała o wszystkim i podbiegła do swojego okna wołając:

- Ach, jest pan nareszcie! Mój Boże, mój Boże, jakże ja się o pana martwiłam!

- Batyldo! Batyldo! - wykrzyknął. - Jesteś więc równie dobra, jak piękna, o pani.

- Dlaczego dobra? - spytała Batylda. - Czy nie napisałeś mi pan, że jestem sierotą i że pan także nie masz rodziców! Czy nie mówiłeś, że jestem twoją siostrą, a tyś mi bratem?!

- Powiedz, Batyldo, czy modliłaś się, pani, za mnie?

- Przez całą noc - odpowiedziało zarumienione dziewczę.

- A ja dziękowałem za ocalenie przypadkowi, podczas gdy zawdzięczam je modlitwie anioła!

- Niebezpieczeństwo tedy minęło? - zawołała żywo Batylda.

- Ta noc była ponura i smutna - odparł d'Harmental. - Ale dziś rano obudził mnie promień słońca. Wystarczy jednak niewielka chmura, by zniknął. Podobnie jak z niebezpieczeństwem, na jakie byłem wystawiony; minęło, by ustąpić wielkiej radości, Batyldo, bom się upewnił, żeś pani myślała o mnie. Ale niebezpieczeństwo może powrócić. O, proszę - rzekł nagle, usłyszawszy kroki na schodach wiodących na mansardę - kto wie, czy nie puka właśnie do moich drzwi.

W tejże chwili zapukano po trzykroć w drzwi kawalera.

- Kto tam? - zawołał d'Harmental nie ruszając się od okna, a jego głos, choć jak zwykle

stanowczy, nie zdołał ukryć lekkiego podniecenia.

- Przyjacieli! - usłyszał w odpowiedzi.

- No i co? - spytała z niepokojem Batylda.

- To, że jak zwykle, dzięki pani, Bóg mnie nadal osłania. Przyjacieli stukają do moich drzwi. Jeszcze raz dziękuję, Batyldo.

I zamknął okno oddając dziewczęciu ostatni ukłon, bardzo przypominający pocałunek.

Następnie otworzył drzwi księdzu Brigaud, który zaczynał się już niecierpliwić, skoro znowu zastukał.

- Co to się nam przydarzyło, drogi pupilu - ozwał się ksiądz z niewzruszonym wyrazem twarzy - żeśmy się zamknęli na cztery spusty? Może po to, by mieć przedsmak Bastylli?

- Hola, księżo! - zaprotestował d'Harmental z twarzą tak spokojną i głosem tak wesołym, jakby zamierzał walczyć z księdzem o pierwszeństwo w panowaniu nad sobą. - Powstrzymaj się od takich żartów, proszę, bo mogą przynieść nieszczęście.

- Ależ rozejrzyj się bodaj trochę - rzekł Brigaud tocząc wzrokiem dokoła. - Rzekłbyś, że to kryjówka konspiratora. Pistolety na nocnym stoliku, szpada u wezgłowia, na krześle peleryna i kapelusz! O, mój drogi pupilu, mój drogi pupilu, co za nieład tu panuje! Poukładaj to wszystko na swoje miejsce, abym nawet ja, gdy składam ci ojcowską wizytę, nie mógł się zorientować, co się tu święci, kiedy mnie nie ma!

D'Harmental usłuchał podziwiając jednocześnie spokój tego człowieka Kościoła, spokój, któremu jego własna zimna krew człowieka szpady z wielkim trudem dorównywała.

- Dobrze, już dobrze - mówił Brigaud wodząc za nim spojrzeniem. - Ale ta kokarda, o której zapomniałeś i która nie może być twoją własnością, bo, niech mnie licho porwie, noszono ją na ramieniu, kiedy ty chodziłeś jeszcze w dziecinnej sukience... proszę, proszę, schowaj ją również, kto wie, może ci się jeszcze przydać.

- A do czego, mój księżo dobrodzieju? - roześmiał się d'Harmental. - Czy nie po to, by asystować z kokardą na ramieniu przy porannej toalecie regenta?

- Ach, nie, na Boga, lecz może ona posłużyć jako sygnał dla jakiegoś zacnego człeka, który będzie tędy przechodził.

- Drogi księżo - rzekł d'Harmental - jeśli nie jesteś diabłem we własnej osobie, toś na

pewno jego bliski znajomy!

- O nie, na Boga, nie! Jestem uczciwym obywatelem, który drepcze swoją ścieżką i tak idąc rozgląda się na lewo, na prawo, w górę i w dół, ot i wszystko. Bo na przykład to okno... Do licha, oto promień słońca, pierwszy wiosenny promień stuka pokornie do okna, a pan mu nie otwierasz! Myślałbym, że nie chcesz być widziany, daję słowo! Ach, przepraszam, nie wiedziałem, że kiedy otwierasz swoje okno, zamyka się to drugie naprzeciwko.

- Drogi opiekunie, jesteś nad wyraz dowcipny, ale rozpaczliwie niedyskretny - odpart d'Harmental. - Do tego stopnia, że gdybyś był muszkietierem, nie kapłanem, szukałbym z tobą zwady.

- Zwady? A to po co, u licha, mój kochany? Czy dlatego, że chcę wygładzić ci drogę do fortuny, do chwały, może i do miłości? Byłaby to straszliwa niewdzięczność!

- No to już się pogódźmy - powiedział d'Harmental wyciągając do księdza rękę. - Byłoby mi miło, gdybym otrzymał jakieś wiadomości.

- O czym?

- Bo ja wiem? O ulicy des Bons-Enfants, gdzie, jak mi mówiono, było sporo ruchu; o Arsenałe, gdzie, jak mi się zdaje, pani du Maine wydała przyjęcie; a może i o Filipie, który, jeśli wierzyć temu, co mi się śniło, wrócił do Palais-Royal bardzo późno i nieco podniecony.

- No cóż, wszystko poszło jak z płotka: hałasy na ulicy des Bons-Enfants, jeśli takie w ogóle były, ucichły dzisiaj rana. Pani du Maine odczuwa tak wielką wdzięczność wobec tych, których ważne sprawy zatrzymały z dala od Arsenału, że w głębi serca, jestem pewny, gardzi tymi, co się tam zjawili. Regent zaś śniąc tej nocy jak zawsze, że jest królem Francji, zapomniał już, iż wczoraj wieczorem omal nie został więźniem króla Hiszpanii. Wszystko trzeba zacząć od nowa.

- O, przepraszam, kochany księżu - zaprotestował d'Harmental - za pozwoleniem, teraz pora na innych. Byłbym rad trochę wypocząć.

- Do licha! To całkiem sprzeczne z nowiną, którą mam dla pana.

- Jakaż to nowinę ksiądz mi przynosi?

- Że postanowiono, abys jeszcze tej nocy wybrał się dylizanssem do Bretanii.

- Do Bretanii? Ja? A co ksiądz chce, żebym tam robił?

- Dowiesz się pan, kiedy się tam znajdziesz.

- A jeśli nie spodoba mi się wyjechać?

- Zastanowiwszy się, wyjedziesz pan mimo wszystko.

- Nad czym mam się zastanowić?

- Dojdiesz do przekonania, że tylko szalenie dla miłości, dopiero poczętej, zrezygnuje z przedsięwzięcia, które zmierza ku końcowi, i porzuci interesy księżnej krwi, by zdobyć względy gryzетки.

- Księżu! - zakrzyknął d'Harmental.

- Och, nie irytuj się, kawalerze - odparł Brigaud - lecz trochę pomyślmy. Z własnej woli zgłosiłeś swój udział w sprawie, którą prowadzimy, i przyobiecaneś pomagać nam aż do pomyślnego jej załatwienia. Czy byłoby lojalne, gdybyś opuścił nas i skazał na przegraną? Do licha, przyjacielu, trzeba być bardziej konsekwentnym w swoich posunięciach lub nie przyłączać się do spisku.

- Właśnie dlatego, że jestem konsekwentny w moich zamysłach - odparł d'Harmental - również i tym razem, jak poprzednio, nim cokolwiek przedsięwzięmę, chciałbym wiedzieć, co mam przedsięwziąć. Zaofiarowałem się służyć jako ramię, to prawda; ale zanim ramię uderzy, chciałoby wiedzieć, co postanowiła głowa. Ryzykuję wolnością, ryzykuję życiem, ryzykuję czymś, co może jest mi jeszcze droższe. Chcę zaryzykować tym wszystkim na swój sposób, to znaczy z otwartymi, a nie zamkniętymi oczami. Niech ksiądz powie mi najpierw, co mam robić w Bretanii, a potem... no cóż, może pojedę.

- Rozkaz brzmi: uda się pan do Rennes. Tam otworzy pan pismo i znajdzie w nim dalsze instrukcje.

- Rozkazy dla mnie! Instrukcje!

- Czy nie takich zwrotów używa generał zwracając się do oficerów i czy wojskowi mają zwyczaj dyskutować na temat rozkazów, jakie się im wydaje?

- Nie, kiedy są na służbie; ale ja nie jestem.

- To prawda, zapomniałem powiedzieć, że odtąd będziesz na służbie.

- Ja?

- Tak, pan. Mam nawet w kieszeni pańską nominację. Proszę.

Brigaud wydobyl z kieszeni zlozony pergamin i podal go kawalerowi; d'Harmental powoli rozposcieral pergamin popatrujanc jednoczesnie na ksiedza Brigaud.

- Nominacja! - zawolal. - Nominacja na pulkownika jednego z czterech pulkow karabinierow! I skad pochodzi ta nominacja?

- Spojrz pan na podpis, do licha!

- Ludwik August, diuk du Maine.

- No i coz w tym dziwnego? Jako glowny dowodca artylerii, diuk du Maine dowodzi przeciez dwunastoma regimentami. Daje panu jeden w zamian za ten, ktory panu odebrano. Czyzby lezalo w obyczajach wojskowych odmawiac w takim wypadku zaszczytu, jakiego dostapili, skoro szef pomyslal o nich? Jestem sluga Kościoła, nie znam sie na tym.

- O nie, drogi ksieze, o nie! - zakrzyknal d'Harmental - przeciwnie, obowiazkiem kazdego oficera królewskiego jest usluchac rozkazu dowodcy.

- Nie mowiac o tym - powiedzial niedbale Brigaud - ze gdyby sprzysiezenie sie nie powiodlo, pan, wykonujacy tylko otrzymane rozkazy, bedziesz mogl zrzucic na innych odpowiedzialnosc za swoje czyny.

- Ksieze! - wykrzyknal po raz drugi d'Harmental.

- Do licha, skoro nie chcesz sluchac, daje ci ostroge, moj panie.

- Alez slucham, slucham, drogi ksieze... Proszę mi wybaczyć; ale ksiadz widzi, ze bywaja chwile, kiedy jestem na pol oszalaly. Oddaje sie pod rozkazy pana du Maine, a raczej diuszesy du Maine. Czyz nie zobacze jej przed wyjazdem, by pasc tej damie do stop, ucalowac kraj jej sukni, by wreszcie rzec, iz na jedno jej skinienie jestem gotow skoczyc w ogien?

- No, no, popadamy teraz w odwrotna przesade! Nie powinieneś skakac w ogien, trzeba ci zyc; zyc, byśmy zatryumfowali nad naszymi wrogami i abyś przywdzial piekny mundur, dzieki ktoremu zawrocisz w glowach wszystkim pannom.

- O, moj drogi ksieze, istnieje tylko jedna, ktorej chce sie podobac.

- A wiec bedziesz sie podobal najpierw tej, potem innym.

- Kiedy mam wyjechać?

- Natychmiast.

- Nie podaruje mi ksiądz choć pół godziny?
- Ani sekundy.
- Nie jadłem jeszcze śniadania.
- Zabieram cię, mój panie, ze sobą i zjemy razem.
- Mam tylko dwa, może trzy tysiące franków, tego mi nie starczy.
- Znajdziesz w kufrze umieszczonym w twoim pojeździe całoroczną gażę.
- A ubrania?...
- Pańskie walizy są pełne. Czyż nie znam twoich wymiarów, alboś nierad z mojego

krawca?

- Ale, proszę księdza, niech wiem przynajmniej, kiedy wrócę.
- Za sześć tygodni, dokładnie co do dnia, diuszesa du Maine będzie cię oczekiwać w

Sceaux.

- No to niechaj ksiądz pozwoli mi przynajmniej napisać dwa słowa.
- Niech będzie; dwa słowa. Nie chcę być nadto wymagający.

Kawaler siadł przy stole i napisał:

“Dzisiaj, Batyldo, dosięgło mnie już nie niebezpieczeństwo, lecz nieszczęście. Jestem zmuszony wyjechać natychmiast, nie mogąc cię, Pani, ani zobaczyć, ani pożegnać. Nie będzie mnie tu przez sześć tygodni. W imię Boga, Batyldo, nie zapomnij Pani o tym, który każdej godziny poświęci jakąś myśl tobie.

Raul.”

Złożywszy i zapieczętowawszy ów liścik kawaler wstał, podszedł do okna, ale, jak już powiedzieliśmy, okno sąsiadki zostało zamknięte, ledwie wszedł ksiądz Brigaud. Nie było więc sposobu przekazać Batyldzie tego listu. D'Harmental zrobił gest zniecierpliwienia, gdy nagle ozwało się ciche skrobanie do drzwi; ksiądz otworzył i Mirza, wiedzona instynktem i łakomstwem, odnalazłszy mieszkanie szafarza słodkości, ukazała się w progu, po czym weszła, wyrażając na tysiąc psich sposobów swoją uciechę.

- No i co, powiesz pan może, iż Bóg nie czuwa nad kochankami?! Szukałeś posłańca, i oto jest.

- Księżę dobrodzieju - rzekł d'Harmental kręcąc głową - ostrzegam cię, nie wdzieraj się

w moje sekrety wcześniej, niż mi to będzie dogadzało.

- Ejże! Sekret powierzony spowiednikowi spada w przepaść - odparł Brigaud.

- A więc nie zdradzisz mnie ani słowem?

- Klnę się honorem, kawalerze!

I d'Harmental przymocował list do szyi Mirzy, dał jej kawałek cukru w nagrodę za spełnianą misję, i zasmucony nieco, że rozstaje się z sąsiadką na sześć tygodni, ale też i trochę uradowany, że na zawsze odzyskuje piękny mundur, zabrał wszystkie posiadane pieniądze, wsunął pistolety w kabury, przypiął szpadę do pasa, włożył kapelusz, narzucił pelerynę na ramiona i ruszył za księdzem Brigaud. .nv

Część druga

I. Zakon Miododajnej Muchy

W oznaczonym dniu, o umówionej porze, to znaczy po sześciu tygodniach od chwili wyjazdu ze stolicy, d'Harmental, wracając pocztowymi końmi z Bretanii, zatrzymał się o czwartej po południu na dziedzińcu pałacu w Sceaux. Służba w odświeżonej liberii oczekiwała na podjeździe i wszystko wskazywało na to, że gotowano się do wykwintnego przyjęcia. D'Harmental minął szpaler lokai i z westybulu wszedł do przestronnego salonu, gdzie znajdowało się już ze dwadzieścia osób, które w większości znał. Był tam między innymi hrabia de Laval, markiz de Pompadour, poeta Saint-Genest, stary ksiądz de Chaulieu, Saint-Aulaire, panie de Rohan, de Croissy, de Charrost i de Brissac.

D'Harmental podszedł prosto do markiza de Pompadour, którego w tym gronie ludzi znakomitych i inteligentnych znał najbliższej. Wymienili uścisk dłoni, po czym d'Harmental odciągnął Pompadoura na stronę i rzekł:

- Mój drogi markizie, czy mógłbyś mi pan powiedzieć, jak to się dzieje, że, gdym był pewny, iż przybywam tu na smutne, nudne i nieco podejrzanе zebranie polityczne, trafiam na przygotowania do jakiejś uroczystości.

- Daję słowo, nie mam o niczym pojęcia, drogi kawalerze - odpowiedział Pompadour. - Jestem równie zdziwiony jak pan; wróciłem dopiero co z Normandii.

- Ach, i pan skądś wracasz, pan również?

- Przed chwilą. Toteż zadałem Lavalowi to samo pytanie, jakie pan mi zadałeś; ale on właśnie wrócił ze Szwajcarii i nie wie więcej od nas.

W tym momencie zaanonsowano barona de Valef.

- O, do kroćset! To załatwia naszą sprawę - powiedział Pompadour. - Valef jest bardzo zaprzyjaźniony z diuszesa i na pewno będzie mógł nas objaśnić.

D'Harmental i Pompadour skierowali się do Valefa, ale i on, spostrzegłszy ich, ruszył wprost ku nim. D'Harmental i Valef nie spotkali się z sobą od dnia pojedynku, którego opisem rozpoczęliśmy tę opowieść, uścisnęli sobie tedy dłonie nad wyraz serdecznie. Po czym, kiedy wymienili wstępne grzeczności, d'Harmental spytał:

- Mój drogi panie, czy mógłbyś nam wyjawić przyczynę tak liczного zgromadzenia, ja

bowiem sądziłem, że zbierze się tu tylko paru przyjaciół.

- Na honor, nie mam najmniejszego pojęcia - odparł de Valef. - Wracam właśnie z Madrytu.

- No, proszę! Każdy tutaj skądś wraca! - roześmiał się Pompadour. - Ale oto i Malezieux. Mam nadzieję, że on wraca co najwyżej z Dombes lub Chatenay, a w każdym razie był już na pewno w pokoju pani du Maine, zdoła nam zatem dostarczyć ciekawych nowin.

Kończąc te słowa Pompadour skinął na Malezieux, lecz dostoyny kanclerz okazał się na tyle szarmancki, że wywiązał się najpierw ze swoich obowiązków rycerskich wobec dam; poszedł tedy pokłonić się pani de Rohan, pani de Charrost, pani de Croissy i pani de Brissac; dopiero potem zbliżył się do grupki, jaką tworzyli Pompadour, d'Harmental i Valef.

- Daję słowo, mój drogi Malezieux - ozwał się Pompadour - czekamy na ciebie z wielką niecierpliwością; wracamy z czterech stron świata; o ile mi wiadomo: Valef z południa, d'Harmental z zachodu, Laval ze wschodu, ja zaś z północy, a pan... nie mam już pojęcia skąd; wyznajemy tedy, że jesteśmy ogromnie ciekawi, po co przyjechaliśmy do Sceaux.

- Przybyliście tu, aby wziąć udział w doniosłej uroczystości, moi panowie - odparł Malezieux. - Zebraliście się tu, by uczestniczyć w przyjmowaniu nowego kawalera do Zakonu Miododajnej Muchy.

- Do diaska! - mruknął d'Harmental, trochę zirytowany, że nie pozwolono mu nawet zajrzeć, przed przyjazdem do Sceaux, na ulicę du Temps-Perdu. - Rozumiem teraz, dlaczego pani du Maine poleciła nam stawić się na spotkanie tak punktualnie; co do mnie, jestem ogromnie za to wdzięczny Jej Wysokości.

- Młodzieńcze - przerwał mu Malezieux - po pierwsze, nie ma tu Jej Wysokości pani du Maine, jest tylko piękna wróżka Ludowika, królowa pszczół, której każdy ma obowiązek ślepo słuchać. Owóż nasza królowa jest uosobieniem mądrości i potęgi. A kiedy dowiecie się, kogo niebawem przyjmujemy do Zakonu, być może nie będziecie żałować waszego pośpiechu.

- A kogóż to przyjmujemy? - zapytał Valef, który odbył najdłuższą podróż, pilno mu zatem było dowiedzieć się, z jakiej przyczyny kazano mu tu przybyć.

- Przyjmujemy Jego Ekscelencję księcia Cellamare.

- A, a, to zmienia postać rzeczy - burknął Pompadour. - Zaczynam powoli wszystko rozumieć.

- Ja także - powiedział Valef.

- I ja też - dorzucił d'Harmental.

- Doskonale, wybornie! - rzekł uśmiechnięty Malezieux. - A przed nadejściem nocy zrozumiecie, panowie, jeszcze lepiej. Na razie pozwólcie się prowadzić. Nie po raz pierwszy wkraczacie gdzieś z zawiązanymi oczami, prawda, panie d'Harmental?

Po tych słowach Malezieux obrócił się ku niskiemu mężczyźnie o płaskiej twarzy, długich, przylegających do głowy włosach i zawistnym spojrzeniu; wydawał się on mocno zażenowany swoją obecnością w tak wyborowym towarzystwie; d'Harmental widział go po raz pierwszy, toteż spytał natychmiast Pompadoura, kim jest ów mały czelczyzna. Pompadour odpowiedział, że to poeta Lagrange-Chancel.

Dwaj młodzieńcy przypatrywali się chwilę nowo przybyłemu z ciekawością połączoną z niesmakiem, po czym, odwróciwszy się w inną stronę, pozwolili Pompadourowi pospieszyć do wchodzącego właśnie kardynała de Polignac, sami zaś, schroniwszy się we wnęce okiennej, gawędzili o przyjęciu nowego kawalera do Zakonu.

Zakon Miododajnej Muchy ustanowiła diuszesa du Maine w związku z dewizą zapożyczoną z poematu Tassa "Amyntas", którą obrała z okazji swojego zamęścia: "Piccola si ma fa pur gravi le ferite". Dewizę tę Malezieux, niestrudzenie wielbiący wnuczkę Wielkiego Kondeusza, przetłumaczył następująco:

Pszczółka, stworzonko drobne,

urodę ma bez skazy,

żądleńko zaś sposobne,

żeby zadawać razy.

Nie obniżając lotu

żądli nas ta szelmutka.

Unikaj więc jej grotów,

bo są fatalne w skutkach.

(Przekład Adriany Szymańskiej)

Ów zakon, jak każdy inny, posiadał własne emblematy, oficerów i wielkiego mistrza; po jednej stronie medalu, który był jego odznaką, widniał ul, po drugiej - królowa Pszczół; przypinano do butonierki ów medal na pomarańczowej wstążeczce i każdy kawaler musiał go nosić, ilekroć bawił w Sceaux. Oficerami byli Malezieux, Saint-Aulaire, ksiądz de Chaulieu i Saint-Genest; godność wielkiego mistrza piastowała diuszesa du Maine. Zakon liczył trzydziestu dziewięciu członków, a ilość ta nie mogła być przekraczana; śmierć pana de Nevers zmniejszyła to grono i, jak Malezieux poinformował d'Harmentala, lukę miał wypełnić książę Cellamare.

A prawdą jest fakt, że pani du Maine uznała za bezpieczniejsze zwołać to zgromadzenie, w istocie swej polityczne, pod owym frywolnym pretekstem, pewna bowiem była, iż dla księdza Dubois i Voyer d'Argensona bal w zamkowych ogrodach Sceaux wyda się o wiele mniej podejrzany niż tajne spotkanie w Arsenale.

Toteż, jak się przekonamy, nic nie zostało pominięte lub zapomniane, by przywrócić Zakonowi Miododajnej Muchy jego dawną świetność i wskrzesić niegdysiejszy przepych słynnych "Jasnych Nocy", z których tak bezlitośnie dworował sobie Ludwik XIV.

Dokładnie o czwartej, to jest w porze obranej na rozpoczęcie ceremonii, otwały się podwoje salonu; w galerii, wybitej wiśniowym atłasem usianym srebrnymi pszczołami, na tronie, umieszczonym na trzystopniowym podium, ujrano piękną wróżkę Ludowikę; jej drobna postać i delikatne rysy przekonywały bardziej niż złota różdżka, którą trzymała w ręku, że jest to istota nadprzyrodzona - prawdziwa wróżka Ludowika. Skinęła dłonią i cały dwór, opuściwszy salon, znalazł się w galerii, otaczając półkolem tron; na jego stopniach uplasowali się wielcy dygnitarze zakonu. Gdy każdy zajął swoje miejsce, w otwartych bocznych drzwiach ukazał się Bessac, chorąży gwardii diuka du Maine, w kostiumie herolda, czyli w stroju koloru czereśni, haftowanym w srebrne pszczoły, z głową nakrytą czapką w kształcie ula.

- Jego Ekscelencja książę Cellamare - zaanonsował głośno.

Ambasador Cellamare dostojnym krokiem zbliżył się do królowej Pszczół, przykląkł na jedno kolano na pierwszym stopniu i czekał. *

Nie ma potrzeby zapewniać czytelników, że są to szczegóły historyczne, że nie

zmyślamy i nikogo nie naśladujemy, że nie opieramy się ani na “Chorym z urojenia” ani na “Mieszczaninie szlachcicem”, ale całkiem po prostu przekazujemy opis rozrywek w Sceaux (przyp. aut.).

- Książę Samarkandy - rzekł wówczas herold - wysłuchaj uważnym uchem lektury statutu zakonu, do którego wielka wróżka Ludowika zechce pana przyjąć, i zastanów się poważnie, co wypadnie ci czynić.

Książę skłonił się na znak, że w pełni rozumie wagę przyrzeczenia, jakie ma złożyć.

Herold mówił dalej:

- Artykuł pierwszy: przysięgasz pan i przyrzekasz dożgonną wierność oraz ślepe posłuszeństwo wielkiej wróżce Ludowice, wieczyście władającej niezrównanym Zakonem Miododajnej Muchy. Przysięgnij na świętą górę Hymet.

W tejże chwili ozwała się niewidzialna orkiestra i niedostrzegalny również chór odśpiewał następującą strofę:

Książę Samarkandy, czekamy na pana,
byś przysiągł, cny synu wielkiego chana.

- Na świętą górę Hymet, przysięgam - rzekł książę.

Wówczas chór ozwał się znowu, ale tym razem całe zgromadzenie przyłączyło się do niego:

“Il principe di Samarcand,
il digno figlio del gran.khan,
ha giurato,
sia ricevuto.

“

(Książę Samarkandy, godny synu wielkiego chana, złożyłeś przysięgę, jesteś przyjęty.)

Po tym refrenie, trzykroć powtórzonym, herold podjął odczytywanie regulaminu:

- Artykuł drugi: przysięgasz pan i przyrzekasz, że stawisz się w zaczarowanym pałacu w Sceaux, stolicy Zakonu Miododajnej Muchy, za każdym razem, kiedy będzie należało się tu zjawić, odkładając wszelkie sprawy i nie próbując nawet usprawiedliwić swojej nieobecności

jakimś blahym pretekstem, na przykład podagrą, katarem żołądka lub krostami burgundzkimi.

*

Na próżno staraliśmy się dowiedzieć, jakie są objawy i przyczyny tej choroby (przyp. aut.).

Chór zaintonował:

Książę Samarkandy, czekamy na pana,
byś przysiągł, cny synu wielkiego chana.

- Na świętą górę Hymet, przysięgam - powiedział Cellamare.

- Artykuł trzeci - ciągnął herold - przysięgasz pan i przyrzekasz, wyuczyć się takich tańców jak kontredans, furstemberga, tańce derwiszów, pistolety, galopy, sarabandy, gigi oraz inne, i tańczyć je o każdym czasie, zwłaszcza zaś najbardziej ochoczo w okresie kanikuly, tak długo, jak ci to będzie nakazane i póki twój strój nie przemoknie od potu, a piana nie wystąpi na twe usta.

Chór: - Książę Samarkandy, czekamy na pana,
byś przysiągł, cny synu wielkiego chana.

Książę: - Na świętą górę Hymet, przysięgam.

Herold: - Artykuł czwarty: przysięgasz pan i przyrzekasz przeskakiwać przez stogi siana, choćby nie wiedzieć jak wysokie, od czego nie powstrzyma cię obawa przed najsroższym upadkiem.

Chór: - Książę Samarkandy, czekamy na pana,
bYś przysiągł, cny synu wielkiego chana.

Książę: - Na świętą górę Hymet, przysięgam.

Herold: - Artykuł piąty: przysięgasz pan i przyrzekasz wziąć pod swoją opiekę wszelkiego rodzaju muchy miiododajne, nie wyrządzać im żadnej krzywdy i nigdy ich nie przepędzać, pozwalać się im żądlić w każde miejsce twojego ciała, jakie tylko zechcą zaatakować, w policzki, ręce, nogi itd., gdyby nawet od tych ukłuć miały stać się grubsze i

bardziej spuchnięte aniżeli u twego ochmistrza.

Chór: - Książę Samarkandy, czekamy na pana,
byś przysiągł, cny synu wielkiego chana.

Książę: - Na świętą górę Hymet, przysięgam.

Herold: - Artykuł szósty: przysięgasz pan i przyrzekasz szacować wysoko pierwszy wyrób miododajnych much i za przykładem twojej wielkiej władczyni gardzić profanowaniem go na sposób, jaki stosują aptekarze, choćbyś miał pęknać z obżarstwa.

Chór: - Książę Samarkandy, czekamy na pana,
byś przysiągł, cny synu wielkiego chana.

Książę: - Na świętą górę Hymet, przysięgam.

Herold: - Artykuł siódmy i ostatni: przysięgasz pan i przyrzekasz przechowywać pieczołowicie oznakę twojej godności i nigdy nie ukazywać się oczom twej władczyni bez medalu, którym cię zaszczyli.

Chór: - Książę Samarkandy, czekamy na pana,
byś przysiągł, cny synu wielkiego chana.

Książę: - Na świętą górę Hymet, przysięgam.

Gdy padła ta ostatnia przysięga, ozwał się chór wraz z całą asystą:

“Il principe di Samarcand,
il digno figlio del gran.khan,
ha giurato,
sia ricevuto.

“

Wówczas wróżka Ludowika wstała i, wzięwszy z rąk pana Malezieux medal na pomarańczowej wstędze, dała znak księciu, by się zbliżył, potem wygłosiła te strofy, których znaczenie podkreślała powaga sytuacji:

Godny posłańcu wielkiego pana,

oto z rąk moich odznaka dana
zakonu, co był ci przyrzeczony.
Od dziś, Tesandrze, tajnym przymierzem
w poczet przyjaciół moich włączony
staniesz się dzielnym Muchy rycerzem.

(Przekład Adriany Szymańskiej)

Cellamare przyklęknął i wróżka Ludowika opasała mu szyję pomarańczową wstęgą, na której zwisał medal.

Wtedy rozległ się chóralny śpiew:

“Viva sempre, viva ad in honore cresca
il novo cavalliere della Mosca.

“

(Niech wiecznie żyje i w zaszczyty porasta nowy kawaler Muchy.)

Nim przebrzmiały ostatnie takty, otworzyły się drugie boczne drzwi i w bajecznie oświetlonej sali ujrzano stoły nakryte do wspaniałej wieczerzy.

Nowo mianowany Kawaler Zakonu Much podał ramię swej władczyni i oboje skierowali się do jadalni, a za nimi reszta towarzystwa.

W drzwiach sali jadalnej zatrzymało ich śliczne dziecko przebrane za amorka, z kryształową czaszą w rączkach; w czaszy znajdowało się tyle zwiniętych bilecików, ile osób miało zasiąść do biesiady. Była to nowego typu loteria, godnie kończąca rytuał, który dopiero co opisaliśmy.

Wśród pięćdziesięciu pustych bilecików było dziesięć z napisami: madrygał, piosenka, epigram, in promptu itd., itp. Ci, którzy wyciągnęli te losy, musieli wywiązać się z tych zadań podczas wieczerzy. Inni mieli tylko ich oklaskiwać, jeść i pić.

Na widok tej poetyckiej loteryjki cztery damy jęły ubolewać nad niedostatkiem swych umysłów, co powinno je zwolnić z tego obligu; lecz diuszesa du Maine oświadczyła, że nikt nie może być wyłączony z gry w przeznaczenie. Damy natomiast mogą wybrać sobie zastępcę i w zamian za to pełnomocnik ów może domagać się pocałunku. Jak widzimy, utrzymane to było

w duchu sielanek pasterskich.

Ustanowiwszy takie prawidła gry, wróżka Ludowika, jako pierwsza, wsunęła drobną dłoń w kryształową kulę, wyjęła bilecik i rozwinęła go. Skreślono na nim słowo: in promptu.

Pozostali ciągnęli losy zaraz po niej; ale czy przypadek to sprawił, czy zręczne rozłożenie bilecików, dość, że prawie wszystkie improwizacje wierszy przypadły poetom. A byli to panowie Chaulieu, Saint-Genest, Malezieux, Saint-Aulaire i Lagrange-Chancel.

Panie de Croissy, de Rohan i de Brissac wyciągnęły resztę pełnych losów i wybrały na zastępców panów Malezieux, Saint-Genesta i księdza de Chaulieu, w ten sposób obciążając ich podwójnym zadaniem.

A co do d'Harmentala, wyciągnął on ku swojej wielkiej radości pusty los, i jak powiedzieliśmy, był zobowiązany tylko klaskać, jeść i pić.

Kiedy zakończono ten drobny ceremoniał, każdy zajął przy stole miejsce wyznaczone mu przez etykietkę z nazwiskiem.

II. Poeci Regencji

A teraz pośpieszmy dodać ku chwale diuszesy du Maine, że owa słynna loteria, która tak awantażownie przypominała najpiękniejsze dni pałacu markizy de Rambouillet, nie była li tylko śmieszna, jak to z pozoru wyglądało. Przede wszystkim drobne wiersze, sonety, epigramy były bardzo modne w epoce, której płochość i frywolność doskonale odzwierciedlały. Wielkie ognisko poezji, rozpalone przez Corneille'a i Racine'a, już przygasało i z płomieni jego pozostały skromne, nikłe iskierki, rozbłyskujące w kręgu jednej koterii; rozświeślały one ledwie parę uliczek i prawie natychmiast obracały się w popiół. Teraz jednak istniała jeszcze inna przyczyna tych zapasów poetyckich, nie będąca bynajmniej kwestią mody: ledwie kilka osób wiedziało o prawdziwym celu tego festynu i te dwie godziny ucztowania, podczas których każda twarz stawała się otwartą książką, należało wypełnić zabawnymi błahostkami; toteż diuszesa du Maine nie mogła znaleźć lepszego sposobu niżli owa gra, nadająca pałacowi w Sceaux miano siedziby pięknoduchów.

Atmosfera była początkowo chłodna i panowało milczenie; każdy musiał oswoić się ze swoim sąsiedztwem, zapoznać się z przeznaczoną mu częścią stołu, poza tym, niezależnie od tego, czyś poeta, czy pastuszek, musiało najpierw zaspokoić głód. Ale już po pierwszym daniu ozwały się cichutkie szepty, poprzedzające ogólną rozmowę. Piękna wróżka Ludowika, ona jedna, zaprzątnięta widać myślą o in promptu, jakie los jej wyznaczył, i nie chcąc dawać złego przykładu angażowaniem pełnomocnika, milczała, co, za sprawą naturalnej reakcji, rzucało cień smutku na biesiadników. Malezieux spostrzegł, że nadszedł czas, by wyrwać zło z korzeniami, i zwrócił się do diuszesy du Maine:

- Piękna wróżko Ludowiko, twoi poddani skarżą się gorzko na twe milczenie, do którego ich nie przyzwyczaiłaś, i obarczyli mnie misją złożenia reklamacji u stóp twojego tronu.

- Niestety - odparła diuszesa - sam pan widzisz, drogi kanclerzu, żem jak ten kruk z baśni, co próbując naśladować orła, zamierza porwać barana: stopy ugrzęzły mi w moim inpromptu i ani rusz nie mogę ich oswobodzić.

- No cóż - odparł Malezieux - pozwól nam tedy po raz pierwszy przekląć prawo, jakie nam narzuciłaś. Ale przyzwyczaiłaś nas tak bardzo do brzmienia twojego głosu, piękna

księżno, i do uroku twojego dowcipu, że nie możemy się bez nich obejść.

Słowo wszelakie, co z ust twoich wzlata,
tak czarem swoim nas, nędznych, oplata,
że się korzimy przed tobą, o, pani!
Wybacz mi, Księżno, tę śmiałości dozę,
że wierszem mówię, ja, twój poddany,
choć wśród tych stoję, co wolą prozę.

(Przekład Adriany Szymańskiej)

- O mój drogi Malezieux! - zawołała diuszesa. - Biorę in promptu na mój rachunek.

Wypłaciłam się całemu towarzystwu; tobie tylko, panie, jestem winna całusa.

- Brawo! - wykrzyknęli biesiadnicy.

- A zatem od tej chwili mają ustać rozmowy na osobności, pokątne szepty; każde z nas należy do wszystkich. No, proszę, mój Apollo - zwróciła się diuszesa do pana Saint-Aulaire, który mówił coś po cichu do pani de Rohan - rozpoczynamy badania inkwizytorskie od pana; powtórz nam głośno to, co powiedziałaś szeptem do swojej ślicznej sąsiadki.

Wydaje się, że sekret nie był tej natury, by go powtórzyć głośno, pani de Rohan zaczerwieniła się bowiem aż po białka oczu i dała znak Saint-Aulaire'owi, by zmilczał; on zaś, uspokoiwszy ją gestem, rzekł do diuszesy, której był winien jeden madrygał.

- O, pani, spełniam twój rozkaz i zarazem obowiązek nałożony na mnie przez loteryjny los: Ta bogini, którą bawi

treść sekretów ujawniona,
dla mnie, Apolla, nie muzą się jawi,
ale Tetydą, i sprawa skończona.

(Przekład Adriany Szymańskiej)

Ten madrygał, który miał w pięć lat później wprowadzić Saint-Aulaire'a do Akademii, odniósł taki sukces, że przez parę minut nikt nie ośmielił się po nim wystąpić. Gdy umilkły obligatoryjne oklaski, zapanowała dłuższa cisza. Diuszesa przerwała ją pierwsza, czyniąc

Lavalowi wymówki, że nic nie je.

- Zapomniałaś, pani, o mojej szczęście - powiedział Laval dotykając opaski na brodzie.

- Ja miałabym zapomnieć o pańskiej ranie? - zawołała pani du Maine. - O ranie, którą odniosłeś w obronie kraju i w służbie u naszego przeświątego ojca Ludwika XIV! Mylisz się, drogi panie, to regent o niej nie pamięta, a nie my.

- Bądź co bądź - ozwał się Malezieux - rana tak korzystnie umiejscowiona, panie hrabio, jest raczej powodem do dumy aniżeli do smutku.

Mars cię ugodził nagłym piorunem,
co zająć wojennych jest jasnym zwiastunem,
godnym wielkiego imienia Laval.

GARDŁOś zachował, nie ma więc zmartwienia;
na ile zdrowie twe zacne pozwala,
pij, przyjacielu, w winie top cierpienia.

(Przekład Adriany Szymańskiej)

- Tak - przyznał kardynał de Polignac. - Ale jeśli utrzyma się nadal taka pogoda, mój drogi Malezieux, to gardło Laval wystawi ona na wielkie ryzyko: kto wie, czy będzie pił wino tego roku.

- Jakże to? - spytał Chaulieu z niepokojem.

- Czyżbyś, mój drogi Anakreoncie, nie wiedział, co dzieje się w niebiosach?

- Niestety! - westchnął Chaulieu zwracając się do diuszesa - Wasza Wysokość wie, że nie potrafię dojrzeć nawet gwiazd; bardziej więc mnie zatrwaza to, co się tam w niebie dzieje.

- Dzieje się tam tylko tyle, że, jak donoszą moi winogradnicy z Burgundii, słońce wszystko wypaliło i przyszłe zbiory będą stracone, jeśli w ciągu paru dni nie spadnie deszcz - rzekł kardynał.

- Słyszysz, Chaulieu? - roześmiała się diuszesa du Maine. - Chodzi o deszcz, a ksiądz wprost nie znosi wody! Czy rozumiesz tedy, czego domaga się Jego Eminencja?

- No tak, istotnie - powiedział Chaulieu. - Ale można to wszystko z sobą pogodzić:

Wody nie cierpię, kumo ma złota,

na sam jej widok wściekłość mną miota;
niczym szalenciec w dzikim obłędzie
z ust toczę pianę, wstrząsa mną dreszcz.
Lecz dziś me serce burzyć się nie będzie,
gdyż nawet wino prosi już o deszcz.

O, nieba, proszę, spuśćcie deszcz na ziemię,
na Francję suszą ranioną jak cierniem,
cierpiącą męki już nadmiernie długie.
Ja z winem swoim podejść do okna
i choć poleją się deszczowe strugi,
w moją szklanicę nie wpadnie ni kropla.

(Przekład Adriany Szymańskiej)

- Och, łaski, drogi księżu, miej na względzie dzisiejszy wieczór! - zakrzyknęła diuszesa.
- Poczekaj z deszczem do jutra. Deszcz przeszkodzi rozrywkom, które nasza zacna panna de
Launay, przyjaciółka księdza, przygotowuje dla nas w ogrodzie.

- Ach, to właśnie pozbawia nas przy stole towarzystwa naszej miłej uczonej -
powiedział Pompadour. - Poświęca się dla nas, a my o niej zapomnieliśmy. Jacy z nas
niewdzięcznicy! Za jej zdrowie, Chaulieu!

I Pompadour podniósł kielich, a gest ten powtórzył natychmiast sześćdziesięcioletni
kochanek przyszłej pani de Staal.

- Chwileczkę! Chwileczkę! - zawołał Malezieux wyciągając swój pusty kieliszek do
Saint-Genesta. - Do kroćset! Przecież i ja tu jestem!

Podtrzymują z uporem wielcy ludzie różni
swoją głęboką wiarę w nieistnienie próżni,
a ja, prostak, śmiem twierdzić całkiem nieuczenie,
teraz to właśnie powiem natchnionymi usty,
że przekonania mędrców natychmiast odmienię;

o, mój Święty Geneście, lej w kielich, boć pusty.

(Przekład Adriany Szymańskiej)

Saint-Genest pospieszył spełnić wezwanie kanclerza z Dombes; ale stawiając butelkę, bądź to przez nieuwagę, bądź umyślnie, przewrócił świecę; świeca zgasła. Diuszesa du Maine, która śledziła wszystkich bacznym i szybkim spojrzeniem, wykpiła go za niezręczność. Widać na to tylko czekał zacny ksiądz i zwracając się do pani du Maine powiedział:

- Piękna wróżko, niesłusznie szydzisz ze mnie, gdyż to, co bierzesz za niezręczność, jest hołdem złożonym twoim ślicznym oczom.

- Jakże to, drogi księże? Powiada ksiądz, że to hołd oddany moim oczom?

- Tak, wielka wróżko - odparł Saint-Genest. - Jestem gotów to powtórzyć i dowieść tego:

Muza ma prosta, z braku subtelności
twierdzi, że nadmiar w niebiosach jasności
świat niepotrzebnym blaskiem opromienia.
Milcz muzo, bowiem cna Amyntas właśnie
zapala swoich boskich oczu lśnienia,
a przy nich każde inne światło gaśnie.

(Przekład Adriany Szymańskiej)

Ten madrygał, tak wykwintnie skomponowany, zdobyłby zapewne poklask, na jaki zasługiwał, gdyby nie to, że w momencie kiedy Saint-Genest wygłaszał ostatni wers, pani du Maine, mimo wysiłków jakie czyniła, by się powstrzymać, kichnęła sromotnie, i to tak hałaśliwie, że ku wielkiemu rozczarowaniu Saint-Genesta końcowy fragment wiersza został stracony dla większości słuchaczy; ale w tym gronie łowców dowcipu nic nie mogło się zmarnować: to, co dokuczało jednemu, służyło drugiemu; ledwie diuszesa kichnęła tak nie w porę, a już Malezieux pochwyił okazję, by wyrecytować:

Jakżem się zdumiał głosem,
wydanym przez śliczny nosek

naszej zwiewnej bogini;
lecz nosek wielkiej władczyni
ów hałas powinien czynić,
by jej potęgę rozgłosić.

(Przekład Adriany Szymańskiej)

Owo in promptu było w najwyższym stopniu wykwintne, toteż narzuciło chwilowe milczenie innym biesiadnikom, którzy zstąpili teraz z wyżyn poezji na pospolite niziny prozy.

Podczas trwania tych płomiennych a wzniosłych zapasów d'Harmental korzystając z pustego bilecika loterii wcale się nie odzywał lub wymieniał ze swoim sąsiadem Valefem ciche, pojedyncze uwagi i powściągane szybko uśmiechy. Zresztą, jak słusznie przewidywała pani du Maine, pomimo całkiem naturalnego zafrasowania paru biesiadników, wieczerza zachowała pozór tak wielkiej swobody, że obce oczy nie mogłyby dojrzeć, jak pod pozorem niefrasobliwości przędzie się nić konspiracji. Urocza wróżka Ludowika, panująca nad sobą znakomicie bądź też rada, że jej ambitne projekty zmierzają do pomyślnego końca, czyniła honory domu z zadziwiającą przytomnością umysłu, wesołością i cudownym wdziękiem. A zresztą, jak widzieliśmy, Malezieux, Saint-Aulaire, Chaulieu i Saint-Genest wspierali ją ze swej strony najlepiej, jak mogli.

Zbliżała się jednak pora, gdy należało wstać od stołu: przez zamknięte okna i uchylone drzwi dolatywały z ogrodu niewyraźne dźwięki muzyki, zapowiadając nowe rozrywki przeznaczone dla biesiadników. Pani du Maine widząc, że czas dać znak do opuszczenia jadalni, oświadczyła, iż zgodnie z obietnicą złożoną poprzedniego dnia Fontenelle'owi, który pragnie obejrzeć wejście planety Wenus, otrzymała dziś od autora "Rozmów o wielości światów" doskonały teleskop i zachęca towarzystwo, by poczyniło na tej pięknej gwiazdzie swoje obserwacje astronomiczne. Było to dla pana Malezieux aż nazbyt piękną okazją, iżby mógł z niej nie skorzystać i nie skomponować nowego madrygału. Kiedy więc pani du Maine martwiła się, że Wenus już wzeszła, rzekł:

- Urocza wróżko, ty przecież lepiej niż ktokolwiek wiesz, że nie mamy najmniejszego powodu do obaw.

W ogrodach już dla obserwacji
lunetę ustawiono;
wstawajcie prędzej od kolacji,
Wenus ujrzeć spłonioną.
Długą nareszcie kończ biesiadę,
królowo niezrównana,
bogini skrywa lico blade,
pókiś ucztować rada.

Malezieux kończył deklamować i już wstawano od stołu wśród oklasków, gdy nagle Lagrange-Chancel, który nie wypowiedział ani słowa podczas wieczerzy, zwrócił się do diuszesy.

- Przepraszam panią - rzekł - ale ja również mam dług do spłacenia, i choć nikt się tego nie domaga, jestem nazbyt rzetelnym dłużnikiem, by z obliżu się nie wywiązać.

- Ach, to prawda, mój drogi Archilochu - odparła diuszesa - nie jesteście nam aby winien sonetu?

- O nie, łaskawa pani - odrzekł Lagrange-Chancel - los zarezerwował dla mnie odę i postąpił bardzo słusznie, znam bowiem siebie na tyle, by wiedzieć, że niezdolny stać się autorem którejś z tych ulicznych poezyjek, będących dzisiaj w obiegu. Moją muzę, pani, jest, jak wiesz, Nemezis, a moje natchnienie, miast spływać z niebios, dobywa się z piekieł. Bądźże więc pani łaskawa, diuszeso, poprosić panie i panów tu obecnych, by zechcieli poświęcić mi chwilę uwagi, jakiej udzielali innym w czasie kolacji.

Pani du Maine zamiast odpowiedzi usiadła znowu i wszyscy zrobili to samo za jej przykładem; zapadła cisza; spojrzenia biesiadników skierowały się, z pewnym niepokojem, na człowieka, który sam wyznał, że jego muzą jest Furia, a źródłem jego natchnienia Piekło.

Wówczas Lagrange-Chancel wstał; mroczny blask przemknął przez jego oczy, gorzki uśmiech ściągnął mu wargi, po czym głuchym głosem, harmonizującym z wypowiedzanymi słowami, wyrecytował następujące strofy, które odbiły się echem nawet w Palais-Royal i sprawiły, że spod powiek regenta spłynęły łzy oburzenia, czego świadkiem był później Saint-

Simon, sławny pamiętnikarz.

O, wy, * których mowy celność
przeciw dwom dzikim tyranom
lwią wytrwałość, boską dzielność
Grekom dała i Rzymianom,
przeciw najgorszemu gadu
tchnijcie w moje usta jadu,
niech uderzę w ten sam ton!
I niech w dziele mnie wspomaga
wasza natchniona odwaga,
a nie trwoży mnie wasz zgon.

Demostenes i Cynceron;
Ledwie otworzył swoje oczy,
widząc przed sobą przeszkody,
wiedziony darem proroczym
dojrzał, że to na tron schody.
U Greków szukał idei,
w czarach Circe i Medei,
lubił spędzać czas przyjemnie,
choć się bawił niebezpiecznie,
* by do celu dojść koniecznie,
diabłu duszę oddał pewnie.

Jak wiadomo, księżę Filip Orleański był znakomitym chemikiem: doświadczenia, jakie robił wraz z Humbertem, stały się podstawą kalumnii, które rozgłaszano aż do koronacji Ludwika XV;

Sterniku piekielnych toni,
teraz więc bez lęku przyjmij

cień króla, co świat przestłoni,
bo go ześle ci sam Filip,
o, niełaski zawsze krwawe,
o, straty wciąż odradzane,
powody wielkiego łkania!
Tak, jak świat przemija górnice
wiecznym i pośpiesznym nurtem,
tak fala za falą gania.

Synów * gnębi ojca * los,
już też są w śmierci krainie,
brat po bracie bierze cios,
i żona przed mężem ginie.
* Dwóch synów, * co w zdrowiu rośli,
już okrutna Parka kosi;
pierwszy z ojcem się połączył,
drugi * tracąc czar rumieńca,
co mu zdobi twarz młodzieńca,
wkrótce także życie skończy.

Książę Burgundzki i diuk de Berry;
Wielki delfin;
Młody delfin i jego małżonka;
Synowie młodego delfina;
Ludwik XV;
O, Królu, * pojony stale
kadzidłem i pomyślnością,
nie wejdiesz w potrójnej chwale,
nie przetrwasz w swej potomności.

Znasz przecież nieszczęścia drogi,
wiesz, skąd przyjdzie cios złowrogi,
wart minister * księcia pana.
Niech giną przekłęci obaj;
przez ich mękę będzie bodaj
twoja krew uratowana.

Ludwik XIV;
Humbert, chemik;
Ścigaj tego księcia-tchórza,
* aż go strach dziki ogarnie,
niech się w hańbie własnej nurza,
i tak szejnie, jak żył - marnie,
niech jego zbrodniczej głowie
Mitrydes wyjście podpowie,
co, gdy w ręce wpadł Rzymianom,
utraciwszy całą wiarę,
sięgnął po trucizny czarę,
przez siebie przygotowaną.

Pamiętajmy, że mowa tu o Filipie Orleańskim, bohaterze bitew pod Steinkerque,
Nerwinde i Leridą (przyp. aut.).

(Przekład Adriany Szymańskiej)

Trudno opisać wrażenie, jakie wywarł ten poemat po improwizacjach pana Malezieux,
po madrygałach księdza de Chaulieu; biesiadnicy spoglądali po sobie w milczeniu, jak gdyby
przerażeni tym, że po raz pierwszy słyszą głośno wypowiedane ohydne kalumnie, dotychczas
powtarzane tylko szeptem. Nawet diuszesa du Maine, największa orędowniczka oszczerców,
zbladła od jadu, którym ziało siedem rozwartych paszczy tej potwornej hydry. Książę
Cellamare czuł się nieswojo, a kardynał de Polignac drżącą ręką miętosił swój koronkowy

żabot.

Poeta zakończył ostatnią strofę w tej samej ciszy, z jaką przyjęto strofę pierwszą; pani du Maine, zażenowana ogólnym, pełnym dezaprobaty milczeniem, podniosła się, a za jej przykładem wszyscy wstali i całe towarzystwo przeszło do ogrodu.

Na podeście schodów d'Harmental, ostatni z wychodzących, zderzył się z Lagrange-Chancelem, który wracał do jadalni po chusteczkę zapomnianą tam przez panią du Maine.

- Przepraszam, kawalerze - powiedział z irytacją poeta, prostując się i wbijając w d'Harmental'a swe małe poźółkle oczka - czyżbyś pan miał ochotę mnie przewrócić?

- Tak, mój panie - odrzekł d'Harmental i przejęty niesmakiem spojrzał na niego z wysoka, jak się spogląda na ropuchę lub żmiję - tak, gdybym był pewny, że pana zmiażdżę!

I ująwszy pod ramię Valefa zszedł wraz z nim do ogrodu.

III. Królowa Grenlandczyków

Jak można było zorientować się podczas kolacji i jak można było odgadnąć - znając zwyczaj, jaki diuszesa du Maine wprowadziła w swojej pustelni w Sceaux, urozmaicając przyjęcia różnorodnymi niespodziankami - uroczystość, w której początkach uczestniczyli nasi czytelnicy, miała przenieść się z salonów do parku, gdzie czekały na gości nowe rozrywki. Te rozległe ogrody zaprojektowane przez Le Notre'a dla Colberta, a przez Colberta sprzedane diukowi du Maine, przeistoczyły się za sprawą diuszesy w krainę prawdziwie baśniową; ogromne, przemyślnie zaplanowane fragmenty ogrodu w stylu francuskim, objęte zielonym szpalerem grabów, długie lipowe aleje i cisy przycinane w czasie, w spirale lub stożki - lepiej od angielskich ogrodów o drobnych masywach, krętych drózkach i zasłoniętym horyzoncie nadawały się do urządzania widowisk mitologicznych, będących w modzie za panowania wielkiego króla. Park w Sceaux, zamknięty jedynie szeroką taflą wody - ze wznoszącym się pośrodku na wyspie pawilonem Aurory, nazwanym tak dlatego, że stąd zwykle dawano gościom sygnał, iż noc się kończy i czas się rozejść - park w Sceaux - z terenem wyznaczonym na gonitwy do pierścienia, na grę w balon i w piłkę, miał wygląd łąki królewskiej. Toteż gdy całe towarzystwo zeszło głównymi schodami na podest, widok wysokich szpalerów pięknych drzew i grabowych alei, połączonych z sobą girlandami świateł, które odmieniały noc w najwspanialszy dzień, oczarował wszystkich i kazał im się zatrzymać. W tej samej chwili rozległy się dźwięki uroczej muzyki, lecz nikt nie mógł się zorientować, skąd one płyną; w takt owej muzyki coś zaczęło się poruszać w głównej alei i przybliżać, coś tak osobliwego i nieoczekiwanego, że kiedy goście wreszcie pojęli, co to takiego, wybuchy śmiechu ozwały się ze wszystkich stron. Była to bowiem gromada olbrzymich Kręgli, które z powagą posuwały się środkową aleją, a było tych Kręgli dziewięć; za nimi toczyła się kula; o kilka kroków od podestu Kręgle ustawiły się z wdziękiem i w przepisany szyk, skłoniwszy się wprzód pani du Maine, i gdy Kula zatrzymała się u jej stóp, podjęły pieśń żalowaną i niezwykle smutną, mówiącą o tym, że nieszczęsna gra w kręgle nie znajduje się wśród takich wybrańców losu jak gonitwa do pierścienia i gra w piłkę, lecz została wygnana z Sceaux; Kręgle prosiły tedy o naprawienie tej krzywdy i przyznanie im prawa do bawienia dostojnych gości pięknej wróżki

Ludowiki. Ów tren był kantatą na dziewięć głosów przy akompaniamencie wioli i fletów, a przerywały ją solowe występy Kuli śpiewającej basem, co dawało niezwykle oryginalny efekt; toteż suplika Kręgli została poparta przez gości i życzliwie przyjęta przez panią domu. Kręgle okazały natychmiast swoją radość i na dany znak rozpoczęły dziwaczne pląsy, osobliwie potrząsając głowami i tak groteskowo się kołysząc, że taniec odniósł może nawet większy sukces niżeli śpiew, bo diuszesa du Maine, zachwycona tym spektaklem, wyraziła ubolewanie, iż tak długo nie uznawała zalet Kręgli, oraz zadowolenie z ich poznania; mocą swej władzy jako królowa Pszczół pozwoliła im teraz przybrać tytuł "szlachetnej gry w kręgle" na równi z rywalką, szlachetną grą w gęś.

Uzyskawszy ten fawor Kręgle stanęły znów w ordynku, by zrobić miejsce następnym personom, które zbliżały się główną aleją, w liczbie siedmiu, otulone szczelnie futrami, we włochatych czapach, zakrywających im część twarzy; zbliżały się one krokiem nader dostojnym obok sań zaprzężonych w dwa reny, co wskazywało, że to jakaś deputacja polarna. Chodziło tu istotnie o poselstwo, wysłane przez lud Grenlandzki do wróżki Ludowiki; legatom przewodził mężczyzna w długiej symarze podbitej sobolowym futrem i w lisiówce, z której zwieszały się trzy ogony, dwa - na ramiona, trzeci - na plecy. Stanąwszy przed panią du Maine ów najpierwszy rangą poseł skłonił się i rzekł w imieniu wszystkich:

- Pani, rozważywszy rzecz na ogólnym zgromadzeniu narodowym, postanowiliśmy wysłać najzacniejszych spośród nas do Waszej Jaśnie Oświeconej Wysokości, a mnie przypadł zaszczyt znaleźć się na ich czele i ofiarować ci, pani, władztwo nad naszymi włościami.

Aluzja była bardzo przejrzysta, ale sposób, w jaki została wyrażona, tak niewielkie krył w sobie niebezpieczeństwo, że szmer aprobaty przebiegł słuchających, a najpiękniejszy z uśmiechów przemknął po ustach wróżki Ludowiki - na znak radości z przyszłej unii; toteż poseł zachęcony uznaniem, z jakim przyjęto początek jego przemówienia, ciągnął dalej:

- Dzięki chwale, którą przyznajemy tylko najrzadziej spotykanym cudom i o której to wieść dotarła do naszego małego zakątka świata poprzez śnieg i lody, dowiedzieliśmy się o urokach, cnotach i upodobaniach Waszej Jaśnie Oświeconej Wysokości: wiemy, że nie znosisz, pani, słońca.

Ta kolejna aluzja została pochwycona równie skwapliwie i entuzjastycznie; wiadomo było, że słońce to znak regenta, a jak już wspomnieliśmy, pani du Maine upodobała sobie noc.

- A ponieważ ze względu na nasze położenie geograficzne - mówił dalej poseł - Stwórca w dobroci swojej obdarował nas sześcioma miesiącami nocy i sześcioma miesiącami zmierzchu, spieszmy zaproponować ci, pani, byś schroniła się u nas przed owym słońcem, którego nienawidzisz; jako odszkodowanie za to, co tutaj porzucasz, ofiarujemy ci tytuł królowej Grenlandczyków, jesteśmy bowiem pewni, że sama twoja obecność ukwieci nasze jałowe pola, że mądrość twoich praw ujarzmi nasze niesforne umysły, a łagodność twoich rządów skłoni nas do rezygnacji z wolności, mniej milej od twojego królewskiego władania.

- Wydaje mi się - rzekła na to pani du Maine - że królestwo, które mi ofiarowujecie, jest dość od nas odległe, a wyznam, iż lękam się długich podróży.

- Przewidzieliśmy twoją, pani, odpowiedź - odparł ambasador poselstwa - i w obawie, iż, bardziej leniwa od Mahometa, nie zechcesz pofatygować się do góry, dzięki zaklęciom potężnego maga sprawiliśmy, że góra przyszła do ciebie. Hola, duchy podbiegunowe - zawołał kreśląc w powietrzu bagietką kabalistyczne koła - odsłońcie oczom zebranych pałac waszej nowej władczyni!

W tej samej chwili dała się słyszeć cudowna muzyka i zasłona spowijająca pawilon Aurory uniosła się jak za sprawą czarów; powierzchnia rozległych wód, przypominająca pocerniałe zwierciadło, odbiła światło, tak zręcznie umieszczone, że wzięłybyś je za odbłask księżyca. W tym to świetle wszyscy dostrzegli rysujący się na lodowej wyspie, u stóp ośnieżonej przezroczystej iglicy, pałac królowej Grenlandczyków, do którego wiódł most tak lekki, iż wydawał się zbudowany z przemykającego obłoku. I zaraz, pośród oklasków, ambasador wziął z rąk posła ze swojej świty koronę, którą włożył na głowę diuszesa i którą diuszesa sama osadziła na swoim czole gestem tak wyniosłym, jak gdyby wkładała prawdziwą koronę; po czym, wsiadłszy do sań, podążyła do morskiego pałacu, podczas gdy strażę powstrzymywały gości pragnących ruszyć hurmem w jej ślady do nowego dominium; sanie minęły most i diuszesa wraz z siedmioma posłami zniknęła w drzwiach naśladowujących wejście do pieczary. Zaraz potem most zapadł się, jak gdyby zręczny maszynista postanowił oddzielić przeszłość od przyszłości - aluzja ta była zresztą nie mniej oczywista od poprzednich;

sztuczne ognie rozpryskujące się nad pawilonem Aurory wyobrażały radość, jaką odczuli Grenlandczycy na widok swej nowej monarchini.

Odźwierny wprowadził tymczasem panią du Maine do salonu najbardziej ustronnego w tym jej nowym pałacu: siedmiu towarzyszących jej posłów zrzuciło czapy i symary - okazało się, że są to książę Cellamare, kardynał de Polignac, markiz de Pompadour, hrabia de Laval, baron de Valef, kawaler d'Harmental i pan de Malezieux. Odźwierny, który ich oczekiwał, pozamykał starannie wszystkie drzwi, po czym włączył się poufale w owo dostojne grono, a nie był to nikt inny, tylko nasz stary przyjaciel ksiądz Brigaud.

Jak widzimy zatem, rzeczy objawiły się nareszcie w ich prawdziwym kształcie i zabawa, która ściągnęła tu grenlandzkich posłów, zrzucających teraz maski i kostiumy, stała się otwarciem konspiracji.

- Panowie - ozwała się diuszesa du Maine ze zwykłą sobie żywiłowością - nie mamy ani chwili do stracenia, albowiem nasza przedłużająca się nieobecność wzbudzi podejrzenia; niechaj każdy z panów powie, co zdziałał, byśmy w końcu wiedzieli, jak sprawy stoją.

- Wybacz mi, pani - powiedział książę Cellamare - ale wspomniałaś o kimś, kto mienił się być jednym z nas, o człowieku, którego wcale tu nie widzę, a pragnąłbym móc liczyć na niego w naszych szeregach.

- Zapewne masz książę na myśli diuka de Richelieu, tak? - upewniła się pani du Maine.

- No cóż, istotnie, zobowiązał się przyjść, ale chyba zatrzymała go jakaś przygoda albo schadzka; będziemy musieli obejść się bez niego.

- Oczywiście, pani - podjął książę - jeśli nie przyjdzie, będziemy się musieli bez niego obejść; ale nie mam zamiaru taić, że jego nieobecność napawa mnie żalem. Regiment, którym dowodzi, stacjonuje w Bajonnie i dzięki temu uplasowaniu diuk znalazłby się w zasięgu ręki i bardzo by się nam przydał. Proszę więc, byś wydała pani rozkaz, by go tutaj wprowadzono, gdy się tylko pojawi.

- Wielebny księżę - zwróciła się diuszesa du Maine do Brigaud - słyszał ksiądz, prawda? Proszę zatem uprzedzić d'Avranches'a.

Brigaud wyszedł, by przekazać otrzymane polecenie.

- Przepraszam, panie kanclerzu - ozwał się d'Harmental do Malezieux - ale wydaje mi

się, że półtora miesiąca temu pan de Richelieu stanowczo odmówił swojego udziału w naszych zamysłach.

- Tak - odparł Malezieux - bo wiedział, że ma mieć powierzona misję wręczenia błękitnej wstęgi księciu Asturii, i przed wyjazdem do Hiszpanii nie chciał skłócić się z regentem, gdyż w nagrodę za ową misję otrzymałby prawdopodobnie hiszpański order Złotego Runa. Ale regent tymczasem zmienił zdanie: pomieszały się karty w grze z Hiszpanią, regent odłożył na później dekorację księcia Asturii; w taki oto sposób pan de Richelieu, widząc swoje złote runo przesunięte ad calendas graecas, przystał do nas.

- Rozkaz Waszej Wysokości powtórzyłem komu należy, pani - rzekł ksiądz Brigaud stając w drzwiach. - Jeśli diuk de Richelieu pojawi się w Sceaux, zostanie natychmiast tutaj wprowadzony.

- Doskonale - powiedziała diuszesa. - A teraz siądźmy przy stole i przystąpmy do rzeczy. No, proszę, panie Laval, zaczynaj.

- Ja, łaskawa pani - odparł Laval - byłem, jak pani wiesz, w Szwajcarii, gdzie w imieniu i za pieniądze króla Hiszpanii zorganizowałem regiment w Gryzonii. Ten regiment jest gotów wejść do Francji we właściwej porze, jest bowiem uzbrojony i wyekwipowany, czeka zatem jedynie na rozkaz wymarszu.

- Dobrze, drogi hrabio, bardzo dobrze! - odrzekła diuszesa. - Jeśli nie sięgasz niżej od niejakiego Montmorency i chcesz zostać pułkownikiem regimentu, obejmiesz tymczasem, w oczekiwaniu na coś lepszego, dowództwo owego pułku. To pewniejszy sposób zdobycia Runa niż wożenie orderu Świętego Ducha do Hiszpanii.

- Pani - rzekł Laval - to tobie przypada władza wyznaczania miejsca każdemu z nas, i to, co powierysz mojemu najpokorniejszemu słudze, zawsze będzie przyjęte z wdzięcznością.

- A pan, drogi Pompadour - podjęła pani du Maine, gestem dłoni wyrażając podziękowanie Lavalowi - czegoś pan dokazał?

- Zgodnie z instrukcjami Waszej Wysokości - odparł markiz - udałem się do Normandii, gdzie zebrałem podpisy pod protestem miejscowej szlachty; przynoszę pani trzydzieści osiem podpisów, i to najcenniejszych.

I wyjął z kieszeni kartkę papieru.

- Oto suplika do króla, u dołu zaś podpisy; spójrz, pani.

Diuszesa wzięła żywo papier z rąk markiza de Pompadour, rzekłabyś nawet, iż mu go wyrwała. Po czym, przebiegłszy szybko wzrokiem suplikę, powiedziała:

- Tak, tak, postąpiłeś, markizie, słusznie pomijając tytuły: podpisano bez podawania godności i różnic klasowych czy rodowych, aby nikt nie miał tu nic do zarzucenia. To uwalnia nas od zarzutu stosowania preferencji. Dobrze. Guillaume-Alexandre de Vieux-Pont, Pierre-Anne-Marie de la Pailleterie, de Beaufremont, de Latour-Dupin, de Chaillon. Tak, masz pan słuszną. To najpiękniejsze i najlepsze, i najwierniejsze nazwiska Francji. Dziękuję, markizie de Pompadour; jesteś pan godnym posłannikiem, i w razie potrzeby przypomnimy sobie o twojej zręczności, by zamienić posłannictwo na poselstwo.

- A pan, kawalerze - zwróciła się z kolei do d'Harmentalą, uzbrojona w uroczy uśmiech, któremu, jak wiedziała, nikt nie mógł się oprzeć.

- Ja, pani? - spytał d'Harmental. - Zgodnie z rozkazami Waszej Wysokości pojechałem do Bretanii i stanąwszy w Nantes otwarłem listy polecające i zapoznałem się dokładnie z zawartymi w nich instrukcjami.

- No i co? - spytała niecierpliwie diuszesa.

- A więc, łaskawa pani - odparł d'Harmental - szczęście dopisało mi w mojej misji nie gorzej aniżeli panom de Laval i de Pompadour. Oto zobowiązania panów de Mont-Louis, de Bonamour, de Pont-Gallet i de Rohan-Soldue. Niechby choć jedna eskadra hiszpańska pojawiła się u wybrzeży, a cała Bretania powstanie!

- Widzisz, widzisz, książę! - zawołała diuszesa uszczęśliwiona i dumna. - Wszyscy nas wspierają.

- Tak - przyznał książę Cellamare. - Ale ci czterej szlachetni panowie, chociaż istotnie są wpływowi, nie są jedynymi, jakich nam trzeba; jest jeszcze Laguerche Saint-Amant, Bois-Davy, La Rochefoucauld-Gondral i... bo ja wiem kto jeszcze? Decourtowie, d'Eree... to ich przede wszystkim należałoby pozyskać.

- Ależ oni są już pozyskani, proszę księcia - przerwał mu d'Harmental. - Oto ich listy...

I dobywając z kieszeni kilka listów, otwarł dwa lub trzy, zdając się na ślepy traf:

“Tak bardzo pochlebia mi pamięć, jaką zaszczyca mnie Wasza Wysokość, że na zgromadzeniu ogólnym stanów dołączę mój głos do tych wszystkich z grona szlachty, którzy zechcą dowieść Pani swojego przywiązania. Markiz Decourt”

“Jeśli cieszę się niejaką estymą i uznaniem w mojej prowincji, uczynię z nich użytek, by udowodnić słuszność sprawy Waszej Wysokości.

La Rochefoucauld-Gondral”

“Jeżeli powodzenie twojej, o Pani, sprawy zależy od głosów siedmiuset czy ośmiuset szlachty, ośmielam się zapewnić Panią, że niebawem rzeczy potoczą się pomyślnie dla Waszej Wysokości. Mam zaszczyt ofiarować ci, o Pani, wszystko, co zależy ode mnie w tej dzielnicy. Hrabia d'Eree”

- No i co, książę, poddajesz się wreszcie? - zawołała diuszesa du Maine. - Spójrz, książę, oprócz tych trzech biletów są jeszcze listy od Lavauguyona, od Bois-Davy i od Fumee. Proszę, proszę, kawalerze, oto nasza prawa ręka: to ona będzie trzymała pióro i stanie się dla ciebie gwarantką, że w dniu, kiedy skreślony nią podpis będzie podpisem królewskim, niczego ci ona nie odmówi.

- Dziękuję, Wasza Wysokość - rzekł d'Harmental całując tę maleńką dłoń z respektem - ale ta ręka dała mi już więcej, niż na to zasłużyłem; już samo powodzenie przedsięwzięcia, które zapewni Waszej Wysokości miejsce, jakie winna zajmować, wynagrodzi mnie doprawdy tak hojnie, że niczego więcej nie będę pragnął.

- A teraz, Valef, pańska kolej - rzekła diuszesa. - Zachowaliśmy ciebie na sam koniec, bo byłeś najważniejszy. Jeśli dobrze zrozumiałam znaki, które wymieniliśmy podczas kolacji, jesteś pan zadowolony z Jego Katolickiej Mości.

- A cóż powiedziała by Wasza Wysokość o liście skreślonym własną ręką Jego Katolickiej Mości króla Filipa?

- Co powiedziała bym o liście napisanym przez króla Filipa?! - wykrzyknęła pani du Maine. - To o wiele więcej, aniżeli śmiała bym oczekiwać.

- Książę - rzekł Valef, podając list ambasadorowi Hiszpanii - znasz, panie, charakter pisma Jego Królewskiej Mości Filipa V: upewnij, proszę, Jej Wysokość, że cały ten list jest napisany jego ręką.

- W całości - powiedział Cellamare potakując głową - w całości, to oczywiste.
- A do kogo jest adresowany? - spytała diuszesa du Maine biorąc pismo z rąk księcia.
- Do króla Ludwika Xv, pani - odparł Valef.
- Świetnie, świetnie, podsunie my go przed oczy Jego Królewskiej Mości za

pośrednictwem marszałka de Villeroi. A teraz popatrzmy, co on zawiera - i przeczytała na tyle szybko, na ile pozwalała jej trudność odcyfrowania tego pisma: *

List ten, znajdujący się w archiwum Ministerium Spraw Zagranicznych, istotnie był pisany własną ręką Filipa V (przyp. aut.). "Escorial,

16 marca 1718

Odkąd Opatrzność osadziła mnie na tronie Hiszpanii, nie straciłem z oczu ani na chwilę obligów, jakie winienem swojemu urodzeniu: Ludwik XIV, człowiek nieśmiertelnej pamięci, jest wciąż bliski mojej duszy. Wydaje mi się, że jeszcze słyszę słowa wielkiego księcia, kiedy uściskiem żegnał się ze mną: "Nie ma już Pirenejów"! Wasza Królewska Dostojność jest jedynym potomkiem mojego starszego brata, którego stratę nadal odczuwam boleśnie: Bóg powołał Cię do sukcesji tej wielkiej monarchii, której chwała oraz interesy będą dla mnie cenne aż do śmierci. Ponadto zachowuję Cię w moim sercu i nigdy nie zapomnę tego, co jestem winien Waszej Królewskiej Mości, mojej ojczyźnie i pamięci mojego pradziada.

Moi drodzy Hiszpanie kochają mnie serdecznie i pewni są również podobnych uczuć, jakimi ich darzę, a zatem nie są zazdrośni o sympatię, którą Ci świadczę, wiedząc zresztą, że nasze przymierze jest rękojmią publicznego spokoju. Pochlebiam sobie, iż moje osobiste interesy są nadal drogie narodowi, który wykarmił mnie na swoim łonie, i że owa szczodra szlachta, co przelała tyle krwi w ich obronie, będzie spoglądała zawsze z miłością na tego króla, który czerpie sławę ze swojej powinności wobec niej oraz z tego, że się wśród niej zrodził."

- To odnosi się do was, panowie - powiedziała diuszesa du Maine, przerywając lekturę i kłaniając się gestem i spojrzeniem tym, którzy ją otaczali; po czym wróciła do listu, niecierpliwie oczekując dalszego ciągu.

"Jakimże to okiem Twoi wierni poddani mogą spoglądać na traktat podpisywany przeciw mnie, a raczej, aby lepiej to wyrazić, przeciw Tobie samemu? * Od chwili, gdy Twoje

zasoby, Panie, wyczerpały się i nie mogą sprostać wydatkom na utrzymanie pokoju, postanowiono, aby Wasza Królewska Mość połączył się z moim śmiertelnym wrogiem * i wypowiedział mi wojnę, jeśli nie oddam Sycylii arcyksięciu.

Mowa o traktacie poczwórnego przymierza, który, jak to widzieliśmy, Dubois przywiózł tryumfalnie z Londynu (przyp. aut.).

Z Cesarzem (przyp. aut.).

Nie przystanę nigdy na te warunki, dla mnie są one nie do zniesienia.

Nie zamierzam rozpatrywać zgubnych konsekwencji tego przymierza; poprzestanę jedynie na tym, by prosić Waszą Królewską Mość, żeby zechciał zwołać zgromadzenie wszystkich stanów dla rozważenia sprawy o tak poważnych skutkach.”

- Zgromadzenie wszystkich stanów... - wyszeptał kardynał de Polignac.

- A tak, Eminencjo, zgromadzenie wszystkich stanów! - przerwała gwałtownie pani du Maine. - Czyżby ten środek miał nieszczęście nie przypaść Eminencji do gustu?

- Nie potępiam go ani nie popieram, pani - odparł kardynał. - Myślę tylko o tym, że takie samo zgromadzenie zwołano za czasów Ligi i że Filip II niezbyt dobrze na tym wyszedł.

- Zmieniły się czasy i zmienili się ludzie, kardynale - żywo odparła diuszesa du Maine. - Mamy rok nie 1594, lecz 1718; Filip II był Flamandem, Filip V jest Francuzem; skutki nie mogą być te same, bo i przyczyny są różne. Przepraszam panów. - I jęła znów czytać:

“Zanoszę do Ciebie, Panie, tę prośbę w imię krwi, która nas łączy, w imię Wielkiego Króla, którego jesteśmy potomkami, w imię Twoich i moich ludów; jeśli nadarzyła się kiedykolwiek sposobność, by wysłuchać głosu narodu francuskiego - to właśnie dzisiaj. Należy koniecznie dowiedzieć się, co sam naród myśli, zbadać, czy zamierza wypowiedzieć nam wojnę. Jestem gotów narazić moje życie w obronie jego chwały oraz interesów i mam nadzieję, że zechcesz, Panie, odpowiedzieć jak najrychlej na moją propozycję; zgromadzenie, o którego zwołanie proszę, udaremni nieszczęsne zobowiązania, jakich moglibyśmy paść ofiarą, a także, zapewniam Cię, Panie, że siły Hiszpanii będą zawsze służyły podtrzymaniu wielkości Francji i upokarzaniu jej wrogów; na koniec oświadczam, iż nie użyję ich nigdy inaczej, aniżeli jako świadectwo szczerej estymy, trudnej do wyrażenia, jaką odczuwam wobec Waszej Królewskiej Wysokości.”

- No i cóż na to powiecie, panowie? Czy Jego Katolicka Mość mógł dla nas więcej uczynić? - spytała pani du Maine.

- Mógł dołączyć do tego listu pismo skierowane bezpośrednio do zgromadzenia wszystkich stanów - odparł kardynał. - Owo pismo, gdyby raczył je przesłać, miałoby, jestem o tym przekonany, ogromny wpływ na obrady.

- Oto ono - rzekł książę Cellamare wyciągając dokument z kieszeni.

- Co też książę mówi? - zdziwił się kardynał.

- Mówię, że Jego Katolicka Mość był tego samego zdania co Wasza Eminencja i skierował do mnie pismo uzupełniające list, który wręczył baronowi de Valf.

- A zatem niczego już nam nie brakuje! - zawołała pani du Maine.

- Brakuje nam Bajonny - zaprzeczył kiwając głową książę Cellamare. - Bajonny, bramy Francji.

W tej chwili wszedł d'Avranches anonsując diuka de Richelieu.

- Teraz, książę, naprawdę niczego nam już nie braknie - roześmiał się markiz de Pompadour - bo oto zjawił się ten, co ma do tej bramy klucz.

IV. Diuk de Richelieu

- Nareszcie! - zawołała diuszesa na widok wchodzącego diuka de Richelieu. - To pan, drogi książę; czyżbyś się wcale nie zmienił i pańscy przyjaciele tak samo nie mogą na pana liczyć jak i pańskie kochanki?

- Przeciwnie, droga pani - rzekł Richelieu podchodząc do diuszesy i całując ją w rękę z owym pobłażliwym respektem, który wskazywał, że dla tego człowieka kobiety w ogóle nie należą do żadnej określonej sfery - wręcz przeciwnie, bo dziś bardziej niż kiedykolwiek mogę dowieść Waszej Wysokości, że potrafię jedno z drugim pogodzić.

- Zdobyłeś się zatem, książę, na jakieś poświęcenie dla nas? - roześmiała się pani du Maine.

- Poświęcenie o wiele większe, niż mogłabyś pani przypuszczać. Czy domyślasz się, kogo musiałem porzucić?

- Panią de Villars? - spytała diuszesa.

- Ach, nie! Kogoś nieporównanie ważniejszego.

- Panią de Duras?

- Nie zgadłaś, pani.

- Panią de Nesle?

- Phi!

- Panią de Polignac? Och, proszę mi wybaczyć, książę.

- Proszę zgadywać dalej. To nie dotyczy Jego Eminencji.

- Panią de Soubise, panią de Gabriant, panią de Gace?

- Nie, nie, nie.

- Pannę de Charolais?

- Nie widziałem jej od czasów mojej ostatniej podróży do Bastylii.

- Panią de Berry?

- Wiesz, pani, przecież, że od kiedy Riom wpadł na pomysł, żeby ją zbić, oszalała na jego punkcie.

- Pannę de Valois?

- Zachowuję ją na tę chwilę, kiedy zwyciężymy i gdy jako grand hiszpański będę mógł ją poślubić. Nie, dostojna pani; opuściłem dla Waszej Wysokości dwie najbardziej urocze gryzетки!...

- Gryzетки!... Fe, doprawdy! - zawołała diuszesa, a na jej wargach pojawił się wyraz nieskończonej pogardy. - Nie sądziłam, że zniżasz się pan do tak pośledniego gatunku.

- Do jakiegoż to pośledniego gatunku? Dwie urocze niewiasty; pani Michelin i pani Renaud. Nie znasz ich pani? Pani Michelin, przemiła blondyneczka, istna główka Greuse'a; jej mąż jest tapicerem. Polecam go Waszej Wysokości. Pani Renaud, przepiękna niebieskooka brunetka, o bajecznie czarnych łukach brwi... a jej małżonek, ach, na honor, nie przypominam sobie dobrze...

- Jest zapewne tym, czym jest pan Michelin - roześmiał się Pompadour.

- Proszę mi wybaczyć, książę - odezwała się znów pani du Maine, która po przekonaniu się, że miłostki diuka de Richelieu wykraczają poza pewien krąg, straciła dla nich nawet cień zainteresowania - przepraszam, że ośmielam się przypomnieć panu, iż zebraliśmy się tutaj dla spraw rzeczywiście poważnych.

- O tak, podobno konspirujemy, nieprawdaż?

- Czyżbyś pan zapomniał o tym?

- Na honor, przyznasz, pani, iż sprzysiężenie nie jest niczym wesołym, wyznaję, że kiedy tylko mogę, staram się zapomnieć o konspirowaniu; ale to na nic się nie zda. Ilekroć muszę do tego przystąpić, przystępuję. Proszę mi powiedzieć, diuszeso, przy jakim punkcie spisku jesteśmy.

- Zapoznaj się, książę, z tymi listami - odparła pani du Maine - a będziesz wiedział tyle, co i my.

- Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość - odrzekł Richelieu - doprawdy nie czytuję nawet listów adresowanych wprost do mnie i mam ich ze siedemset, może nawet z osiemset, skreślonych najbardziej uroczyimi charakterami pisma; lekturę jednak zostawiam sobie jako rozrywkę na stare lata. Malezieux, ty, który jesteś samą przenikliwością, sporządź mi raport.

- Te oto listy, książę - ozwał się Malezieux - to oświadczenia bretońskich panów, że wystąpią w obronie Jego Wysokości.

- Doskonale!
- Ten zaś dokument jest protestem szlachty.
- Podajże mi ten papier. Ja także protestuję.
- Ale księżę nie wie, przeciw czemu.
- Nic nie szkodzi, ja zawsze protestuję. - I wzięwszy dokument umieścił swoje nazwisko pod ostatnim podpisem, Wilhelma Antoniego de Chastellux.
- Nie sprzeciwiaj się, pani - rzekł Cellamare do diuszesy - nazwisko diuka de Richelieu jest skuteczne, gdziekolwiek je znajdujemy.
- A ten list? - spytał Richelieu wskazując pismo Filipa V.
- To własnoręczny list króla Filipa V - wyjaśnił Malezieux.
- No cóż! Jego Katolicka Mość pisze jeszcze gorzej ode mnie - stwierdził Richelieu - co sprawia mi przyjemność. Raffe wciąż się upiera, że jest to niepodobieństwem.
- Choć list nie jest zbyt pięknie napisany, nowiny, jakie nam przynosi, są bardzo dobre - odrzekła pani du Maine. - Jest to prośba skierowana do króla Francji, by zwołał zgromadzenie wszystkich stanów w celu przeciwstawienia się traktatowi o poczwórnym przymierzu.
- Ach! Ach! - zadrwił Richelieu. - Więc Wasza Wysokość jest taka pewna decyzji wszystkich stanów?
- Oto protest dowodzący o zaangażowaniu w tej sprawie naszej szlachty. Kardynał odpowiada za duchowieństwo, pozostaje nam tylko armia.
- Armia jest moją sprawą - wtrącił Laval. - Mam podpisy in blanco dwudziestu dwóch pułkowników.
- Nade wszystko zaś - rzekł Richelieu - ja sam odpowiadam za mój regiment w Bajonnie, który z tej racji mógłby oddać nam znaczne usługi.
- Tak - przytaknął Cellamare - i bardzo na to liczymy. Ale słyszałem o zamiarze zmiany garnizonu.
- Na serio?
- Najpoważniej w świecie. Musisz, księżę, zrozumieć, że należy zapobiec tej zmianie.
- No oczywiście! I to natychmiast. Proszę o papier... atrament. Napiszę do diuka de Berwick. Nikt się nie zdziwi, że w momencie rozpoczęcia kampanii będę się u niego ubiegał o

łaskę pozostawienia mnie na placu boju.

Pani du Maine pospieszyła podać diukowi de Richelieu to wszystko, czego zażądał; sięgnęła po pióro i podała mu je również.

Richelieu skłonił się, wziął pióro i napisał poniższy list, który kopiujemy, nie zmieniając w nim ani jednej literki:

“Do księcia de Berwick, * para i marszałka Francji

Diuk de Berwick został mianowany, na wypadek wybuchu wojny, naczelnym wodzem armii - choć Filip V dał mu tytuł granda hiszpańskiego i order Złotego Runa (przyp. aut.).

Z uwagi na to, łaskawy panie, że mój regiment ma wymaszerować, a musi on dostać nowe umundurowanie, które mogłoby uleść całkowitemu zniszczeniu, gdyby tego nie zakończono przed wymarszem, mam zaszczyt usilnie pana prosić, książę, abyś pozostawił go w Bajonnie do pierwszych dni maja, kiedy zecz zostanie ukończona i błagam cię, abyś raczył wieżyć, iż kreślę się z całym należnym szacunkiem, pańskim unierzonym sługą.

Diuk de Richelieu”

- A teraz przeczytaj, pani - powiedział podając list diuszecie du Maine. - Dzięki tej przestrodze regiment nie ruszy się ani na krok z Bajonny.

Diuszesa wzięła list, przeczytała go i posłała swemu sąsiadowi, ten zaś podał go dalej, pismo tedy obiegiło cały stół. Szczęście o tyle sprzyjało diukowi, że miał on do czynienia ze zbyt wielkimi panami, by mogły ich niepokoić takie drobne usterki formy. Malezieux, jako ostatni czytający, nie zdołał jednak powściągnąć uśmiechu.

- Ho, ho, mój panie poeto - rzekł Richelieu, domyśliwszy się tego przyczyny - widzę, że pan się śmiejesz. Zdaje się, że mieliśmy pecha urażając tę zabawną cnotkę, którą zważ ortografią. Ale cóż pan chcesz? Jestem szlachcicem, zapomniano tedy nauczyć mnie języka francuskiego sądząc, że zawsze będę mógł, za sumę tysiąca pięciuset liwrów rocznie, mieć pokojowca do pisania moich listów i układania wierszy. I tak właśnie jest. To mi wcale nie przeszkodzi zasiąść w Akademii nie tylko przed panem, ale nawet przed Wolterem.

- Więc pański pokojowiec, książę, napisze pańskie inauguracyjne przemówienie w Akademii?

- Już nad tym pracuje, panie kanclerzu; i przekonasz się pan, że nie będzie ono gorsze od tych, jakie niektórzy z moich znajomych członków Akademii ogłosili w swoim czasie.

- Drogi książę - ozwała się pani du Maine - będzie to rzecz arcyciekawa do obejrzenia, owo przyjmowanie pana do grona członków tej szacownej instytucji, o której wspominasz, i przyrzekam ci, iż od jutra zacznę się starać o miejsce na trybunie w tym wielkim dniu. Ale dzisiejszego wieczora zebraliśmy się w innej sprawie: powróćmy zatem, jak pani Deshoulieres, do naszych owieczek.

- Doskonale, piękna księżno - odparł Richelieu - skoro koniecznie chcesz być pasterką z sielanki; mów, proszę, słucham cię. I cóżeś, pani, postanowiła?

- Jak powiedzieliśmy, wymóc na królu, posłużwszy się tymi dwoma listami, zwołanie wszystkich stanów; a kiedy się zbiorą, pewni swych trzech uprawnień, jak my jesteśmy ich pewni, pozbawimy władzy regenta i zastąpimy go Filipem V.

- A że Filip V nie może opuścić Madrytu, przekaże nam pełnię władzy i będziemy rządili Francją zamiast niego... No cóż, to wcale nieźle się prezentuje. Ale dla zwołania wszystkich stanów potrzebny jest rozkaz króla.

- Król podpisze ten rozkaz - powiedziała pani du Maine.

- Bez wiedzy regenta? - spytał Richelieu.

- Regent się o tym nie dowie.

- Czyżbyś, pani, przyobiecała biskupowi Fleury, że uczynisz go kardynałem?

- Nie, ale obiecuję marszałkowi de Villeroi tytuł granda i order Złotego Runa.

- Obawiam się, pani - rzekł Cellamare - że nie skłoni to marszałka do czynu pociągającego za sobą tak znaczną odpowiedzialność.

- Nie marszałek nam jest potrzebny, lecz jego żona.

- O, dajesz mi pani wiele do myślenia - powiedział Richelieu. - Mogę się tego podjąć.

- Pan, książę? - zdumiała się diuszesa.

- Tak, ja, pani - powtórzył Richelieu. - Masz pani swoją korespondencję, ja mam moją. Zapoznałem się z siedmioma czy ośmioma listami, które Wasza Wysokość dziś otrzymała. Czy zechciałaby się pani zapoznać z jednym, jaki dostałem wczoraj?

- Czy ten list mogę przeczytać tylko ja, czy też można by go odczytać głośno?

- Mamy przecież do czynienia z osobami dyskretnymi, prawda? - rzekł Richelieu rozglądając się wokół z niewypowiedzianą przekorą.

- Jestem tego pewna - odparła diuszesa. - A zresztą powaga sytuacji...

Diuszesa wzięła list i zaczęła czytać:

“Drogi Książę,

Jestem kobietą dotrzymującą słowa: mój mąż jest nareszcie w przededniu wyruszenia w krótką podróż, o której Pan wiesz. Jutro o jedenastej będę w domu wyłącznie dla Pana. Nie sądz Pan, że podjęłam to postanowienie nie obciążony wprzód najrozmaitszymi przewinieniami pana de Villeroi. I zaczynam żywić obawę, jeśli idzie o niego, że to Pan winieneś go ukarać. Przybądź tedy o umówionej godzinie, żeby mi dowieść, iż nie jestem aż tak bardzo godna potępienia za to, że wołam Pana od mojego prawowitego małżonka i władcy.”

- Och, przepraszam, przepraszam stokrotnie za moje roztargnienie, wcale nie to chciałem państwu pokazać; ten list otrzymałem przedwczoraj. Chwileczkę, oto list wczorajszy.

Diuszesa du Maine wzięła ów list i przeczytała:

- “Mój drogi Armandzie”... - i zwróciła się do Richelieu: - Czy to na pewno ten i czy nie pomyliłeś się pan znowu?

- Nie, Wasza Wysokość, tym razem to na pewno list właściwy.

Diuszesa jęła czytać dalej.

“Jesteś Pan ogromnie niebezpiecznym adwokatem, kiedy występujesz przeciwko panu de Villeroi. Odczuwam potrzebę wyolbrzymiania pańskich talentów, by choć trochę pomniejszyć moją słabość; miałeś we mnie sędziego skłaniającego się ku temu, byś wygrał swój proces. Przyjdź jutro, by znów oskarżać, a ja udzieleni ci audiencji na mojej trybunie, skoroś takim mianem określił wczoraj nieszczęsną sofę w moim saloniku.”

- I byłeś tam, panie?

- Oczywiście, łaskawa pani.

- A więc marszałkowa...?

- Zrobi, co tylko zechcemy, tak, jak nakazuje mężowi spełniać wszystko, co tylko ona zechce; a więc rozkaz zwołania wszystkich stanów uzyskamy zaraz po powrocie marszałka.

- Kiedyż on wraca?

- Za tydzień.

- Czy zdobędziesz się pan na odwagę, książę, by dochować jej wierności przez cały ten czas?

- Łaskawa pani, jeśli decyduję się zająć jakąś sprawą, jestem gotów do największych poświęceń, by odnieść zwycięstwo.

- Możemy zatem liczyć na pańskie słowo?

- Zamierzam się poświęcić.

- Panowie - rzekła diuszesa du Maine - słyszeliście to wszyscy: niech każde z nas czyni swoją powinność. Niechże pan, Laval, działa w armii. Niechże pan, Pompadour, zajmuje się szlachtą. Kardynał niechaj działa wśród kleru. I pozwólmy diukowi de Richelieu oddziaływać na panią de Villeroi.

- A kiedy spotkamy się ponownie? - spytał Cellamare.

- To będzie zależało od okoliczności - odparła diuszesa. - W każdym razie, gdybym nie mogła księcia uprzedzić na czas, przyślę po pana tę samą karetę i tego samego stangreta, który przywiózł pana po raz pierwszy do Arsenału. - Po czym, obróciła się do diuka de Richelieu: - Poświęcasz nam pan resztę tej nocy? - spytała wstając.

- Proszę o wybaczenie Waszą Wysokość - odpowiedział Richelieu - ale rzecz to całkiem niemożliwa, jestem oczekiwany na ulicy des Bons-Enfants.

- Jak to! Czyżbyś pan nawiązał znów stosunki z panią de Sabran?

- Proszę mi wierzyć, o pani, że nigdy ich nie zerwałem.

- Niechaj się pan strzeże, książę, to zakrawa na stałość.

- Nie, pani, to wyrachowanie.

- No cóż, widzę, że się pan rzeczywiście poświęcasz.

- Niczego nie robię połowicznie, diuszeso.

- Ach, tak! Niechaj tedy Bóg nas wspiera, a z pana będziemy brać przykład, mości książę, przyrzekamy to. No cóż moi panowie - ciągnęła - minie niebawem półtorej godziny, odkąd znaleźliśmy się tutaj, i nadeszła pora, jak sądzę, powrotu do ogrodu, jeśli nie chcemy, by zbyt dociekliwie komentowano naszą nieobecność. Zresztą oczekuje nas na brzegu biedna bogini Nocy, by nam podziękować za przewagę nad słońcem, jaką jej zapewniliśmy, i nie

byłoby to chyba grzeczne kazać jeszcze dłużej na nas czekać.

- Za pozwoleniem Waszej Wysokości - ozwał się Laval - muszę panią zatrzymać na chwilę, aby przedstawić kłopot, w jakim się znalazłem.

- Proszę mówić, hrabio - przystała na to diuszesa - o cóż chodzi?

- Chodzi o nasze zażalenia, protesty i memoriały; ustaliliśmy, jak pani wiesz, że wydrukujemy je u zecerów, którzy nie umieją czytać.

- No i co?

- Kupiłem maszynę drukarską i umieściłem ją w piwnicy pewnego domu na tyłach Val-de-Grace. Zwerbowałem odpowiednich ludzi i dotychczas mieliśmy, jak Wasza Wysokość wie, zadowalające rezultaty. Ale hałas pracującej maszyny nasunął sąsiadom podejrzenie, że fabrykuje się fałszywe pieniądze, i wczoraj policja odwiedziła ten dom. Na szczęście zdołano w porę zatrzymać prasę, zastawić kłapę do piwnicy łóżkiem i zbiry pana de Voyer d'Argenson nic nie znalazły. Ale że taka wizyta mogłaby się powtórzyć i nie zakończyć się szczęśliwie, zwolniłem moich ludzi, ukryłem maszynę i kazałem przenieść do mnie wszystkie odbitki.

- I słusznie postąpiłeś! - wykrzyknął kardynał de Polignac.

- No tak, ale co robić dalej? - zatroskała się pani du Maine.

- Przenieśmy prasę do mnie - ozwał się Pompadour.

- Lub do mnie - pospiesznie rzucił de Valf.

- Nie, nie - zaprotestował Malezieux - prasa drukarska jest nazbyt niebezpiecznym narzędziem; ktoś z policji może wśliznąć się między zecerów i wszystko będzie stracone. A zresztą nie mamy już teraz zbyt wiele do drukowania.

- Tak - powiedział Laval. - Najważniejsze jest już zrobione.

- Moim zdaniem - wtrącił Malezieux - należałoby, jak to początkowo proponowałem, zdać się na inteligentnego kopistę, dyskretnego i zaufanego, któremu dałoby się wystarczającą ilość pieniędzy, by kupić jego milczenie.

- O, właśnie! - zawołał Polignac. - To metoda znacznie pewniejsza.

- Tak, ale gdzie znaleźć odpowiedniego człowieka - zastanawiał się książę. -

Rozumiecie państwo, że w sprawie tak wielkiej wagi byłoby rzeczą ogromnie ryzykowną zdać się na pierwszego lepszego.

- Gdybym się ośmielił... - ozwał się ksiądz Brigaud.

- Mów śmiało, księżu - zachęciła go diuszesa du Maine.

- ...to powiedziałbym, że mam wróbla w garści - dokończył ksiądz.

- No, proszę - zawołał Pompadour - przecież już wam mówiłem, że ksiądz jest wprost nieoszacowanym doradcą!

- Ale czy to doprawdy ktoś, kto będzie nam przydatny? - dopytywał się Polignac.

- Ach, gdyby Wasza Eminencja kazał go zrobić na zamówienie, nie byłby to człowiek odpowiedniejszy. Istna maszyna do pisania, która będzie pisać nie czytając.

- Ponadto dla tym większej pewności - rzekł - moglibyśmy redagować najważniejsze teksty po hiszpańsku, skoro są one przeznaczone dla Jego Katolickiej Mości, co da nam i tę korzyść, że kopista pisząc w obcym dla siebie języku, czyli przysparzając sobie więcej pracy, da nam okazję do zapłacenia mu nieco drożej bez obawy, że domyśli się, jak ważne przepisuje dokumenty.

- A zatem, książe, będę miał zaszczyt przysłać go panu.

- O nie, nie - rzekł Cellamare - niech Bóg broni, żeby kiedykolwiek pojawił się w hiszpańskiej ambasadzie. Musi się to odbyć przez pośrednika.

- Tak, tak, urządzimy to jak należy - powiedziała pani du Maine. - Najważniejsze, że znaleźliśmy właściwego człowieka: ręczysz za niego, Brigaud?

- Tak, pani, ręczę.

- To wszystko, czego nam trzeba; teraz nic tu nas już nie zatrzymuje. Panie kawalerze d'Harmental, zechciej podać mi ramię.

Kawaler pospieszył spełnić rozkaz diuszesy du Maine, która nie mogąc zająć się nim dotychczas w takiej mierze, jak zajmowała się innymi, skorzystała ze sposobności, by tym zaszczytem wyrazić mu wdzięczność za odwagę, jaką okazał na ulicy des Bons-Enfants, i za zręczność, której dowody dał w Bretanii.

Po wyjściu z pawilonu Aurory legaci grenlandcy, odmienieni w zwykłych uczestników balu w Sceaux, zobaczyli czekającą na nich małą galerę przystrojoną flagami Francji i Hiszpanii; ponieważ most przestał istnieć, mieli się na brzeg przeprowadzić tę galerę. Diuszesa du Maine weszła na pokład pierwsza, posadziła przy sobie d'Harmentala, zezwalając, by pan

Malezieux troszczył się o księcia Cellamare i diuka de Richelieu; po czym, na znak dany przez ukrytą orkiestrę, galera zaczęła oddalać się od wyspy.

Bogini Nocy, jak to zapowiedziała diuszesa, stała już na brzegu jeziora, ubrana w długą, czarną suknię z gazy, usianą złotymi gwiazdami; otaczało ją dwanaście Godzin, zawiadujących jej imperium; galera popłynęła w kierunku owej grupki i gdy znalazła się w takiej od niej odległości, że można było usłyszeć śpiew, z brzegu powitała diuszese kantatą przygotowaną na tę okoliczność. Kantatę otwierała chóralna czterowerszowa strofa, potem następowało solo, na które odpowiadał chór - wszystko to w tak wyszukanym guście, że słuchacze zwrócili się do Malezieux, wielkiego aranżera uroczystych przyjęć, aby powinszować mu pomysłu. Jedynie d'Harmental przy pierwszych nutach owego solo zadrżał w sposób osobliwy; głos śpiewaczki miał tyle cech podobieństwa z głosem dobrze mu znanym i drogim jego wspomnieniom, że choć obecność Batyldy w Sceaux wydawała się całkiem nieprawdopodobna, kawaler zerwał się na równe nogi, powodowany silniejszym od niego odruchem, i zaczął przyglądać się dziewczęciu, którego śpiew wprowadził go w tak gwałtowne poruszenie. Na nieszczęście, pochodnie trzymane przez Godziny, poddanki bogini Nocy, nie pozwalały dojrzeć twarzy solistki osłoniętej woalem w kolorze jej sukni. Słyszał jedynie czysty głos, miękki, dźwięczny, wznoszący się i opadający z tą wymyślną swobodą, którą podziwiał po raz pierwszy na ulicy du Temps-Perdu; każdy ton tego głosu, wyraźniejszego w miarę, jak zbliżali się do brzegu, zapadał w głąb serca d'Harmentalą i przyprawiał go o silne drżenie. Galera przybiła wreszcie do brzegu, solistka umilkła, znowu ozwał się chór. Ale d'Harmental, wciąż stojąc, niezdolny do żadnej myśli prócz tej, która go bez reszty pochłaniała, łowił jeszcze uchem owe nutki rozpierzchające się w przestrzeni.

- No i cóż to, panie kawalerze - odezwała się diuszesa du Maine - czy jesteś aż tak wrażliwy na urok muzyki, że zapominasz, iż jesteś moim rycerzem?

- Och, przepraszam, bardzo przepraszam WAszą Wysokość - rzekł d'Harmental i wyskoczywszy na brzeg podał rękę diuszecie. - Ten głos zdał mi się znajomy i, wyznać muszę, wzbudził we mnie przemożne wspomnienie...

- To dowodzi, że jest pan stałym bywalcem Opery - odparła - i że należycie oceniasz talent panny Bury.

- Jak to? Ten głos, który dopiero co słyszałem, to głos panny Bury? - zdumiał się d'Harmental.

- Jej własny, panie kawalerze, a skoro pan nie wierzysz moim słowom - podjęła z leciutką irytacją - pozwól mi ująć ramię Lavalą lub Pompadourą, sam zaś idź przekonać się o tym osobiście.

- O, pani - rzekł d'Harmental przytrzymując z respektem ramię diuszesa, która uczyniła już ruch, by je cofnąć - niechaj Wasza Wysokość mi wybaczy. Przebywamy w ogrodach Armidy i drobna pomyłka jest dozwolona wśród tylu czarów.

I, podając znów ramię diuszesa, skierował się w stronę pałacu.

W tej samej chwili ozwał się słaby okrzyk i choć był tak cichy, dotarł do serca d'Harmentalą, sprawiając, że się odwrócił.

- Cóż to się dzieje? - spytała diuszesa du Maine zaniepokojona i jednocześnie zniecierpliwiona.

- Nic, nic - rzekł Richelieu - to małą Bury dręczą wapory; ale bądź spokojna, pani, choroba ta nie jest niebezpieczna, wiem o tym dobrze... a jeśli tego pragniesz, dowiem się jutro o zdrowie śpiewaczki.

W dwie godziny po tym wydarzeniu, tak zresztą drobnym, że w niczym nie zakłóciło uroczystości, ksiądz Brigaud zawiózł kawalera d'Harmentalą do Paryża, niemal pod same drzwi wiodące do jego małej mansardy przy ulicy du Temps-Perdu, skąd kawaler wyruszył przed sześcioma tygodniami.

V. Zazdrość

Pierwszym wrażeniem, jakiego doznał d'Harmental, kiedy wszedł do swojego mieszkania, było uczucie pewnego zadowolenia, że znalazł się znów w pokoiku, gdzie każdy sprzęt budził w nim wspomnienia. Jakkolwiek był nieobecny przez sześć tygodni, wydawało mu się, że rozstał się ze swoją mansardą ledwie wczoraj, bo każda rzecz, dzięki iście macierzyńskim staraniom poczciwej pani Denis, znajdowała się dokładnie w tym miejscu, gdzie być powinna. D'Harmental stał chwilę nieruchomo, rozglądając się dokoła w blasku świeczki, z ekstatycznym niemal wyrazem twarzy: albowiem wszystkie dotychczasowe przeżycia zatarły się nagle w obliczu tych, jakich doświadczał w tym małym zakątku świata. Kiedy pierwsze wzruszenie minęło, podbiegł do okna, otworzył je i pełnym niewypowiedzianej miłości spojrzeniem starał się przeniknąć ciemne szyby okien sąsiadki. Batylida z pewnością spała snem anioła, nie wiedząc, że d'Harmental wrócił, że jest już u siebie, wpatrzony w jej okno, cały drżący pod wpływem miłości i nadziei, jak gdyby to okno miało się otworzyć i przemówić do niego, co było przecie rzeczą niemożliwą.

D'Harmental trwał tak bez ruchu przeszło pół godziny, wdychając pełną piersią powietrze nocne, które nigdy przedtem nie wydało mu się tak ożywcze i czyste; i wodząc spojrzeniem to po niebie, to po zamkniętym oknie, pojął dopiero teraz, jak bardzo Batylida stała się nieodzowna w jego życiu i jak głębokim i potężnym uczuciem on ją darzy.

W końcu zrozumiał jednak, że nie może tkwić tak do świtu przy oknie, zamknął je, cofnął się i odwrócił, ale znów na widok własnego pokoju oddał się wspomnieniu. Otworzył szpinet, który rozstroił się nieco podczas jego nieobecności, i jął przebierać palcami po klawiszach, narażając się na irytację lokatora z trzeciego piętra. Porzucił szpinet i sięgnął po kartonową teczkę, gdzie schował nie dokończony portret Batylidy. Pastele nieco wyblakły, ale była to nadal podobizna pięknej, niewinnej dziewczyny i kapryśna, zuchwała mordka Mirzy. Wszystko było takie, jak przedtem, chociaż wszędzie widniał delikatny ślad destrukcji, jaką pozostawia na przedmiotach czas, musnąwszy je swoim skrzydłem. Raz jeszcze obrzucił spojrzeniem każdy drobiazg i ponaglany sennością, tak przecie potężną w pewnym okresie życia, położył się do łóżka; zasypiając odtwarzał w pamięci kantatę, śpiewaną przez pannę

Bury; pogrążony w owym zmierzchu myśli, poprzedzającym twarde sen, utożsamiał pannę Bury z Batyldą; uczynił z nich obu jedną osobę.

Obudziwszy się, wyskoczył z łóżka i podbiegł do okna. Ranek był już późny: słońce prezentowało się wspaniale; ale mimo tej uwodzicielskiej zachęty, okno Batyldy było szczelnie zasłonięte. D'Harmental spojrział na zegarek: dziesiąta.

Zajął się więc toaletą. Już powiedzieliśmy, że nie był wolny od pewnej trochę kobiecej kokieterii; nie on tu zawinił, lecz epoka, w której wszystko, nawet miłość, ulegało lekkiemu zmanierowaniu. Ale tym razem miast odrobiny melancholii - a na ten efekt mógł zawsze liczyć - twarz jego pod wpływem szczerzej radości z powrotu jaśniała szczęściem; było oczywiste, że d'Harmental czekał tylko na spojrzenie Batyldy, by przywdziać koronę władcy świata.

Szukał tego spojrzenia w oknie; ale okno Batyldy było nadal zawieszzone. Otworzył tedy swoje, łudząc się, iż hałas ściągnie uwagę sąsiadki: nic się nie poruszyło. Stał w oknie około godziny, a podczas tej godziny firanki naprzeciw ani drgnęły; pokój dziewczęcia, rzekłbyś, opustoszał. D'Harmental chrząkał, to zatrząskiwał, to otwierał okno, odrywał grudki zaprawy murarskiej i ciskał je w szyby: wszystko okazało się daremne.

Wówczas w ślad za zdziwieniem ogarnął go niepokój; okno, tak uparcie milczące, wskazywało, że Batyldy nie ma lub że stało się jakieś nieszczęście: Batylda nieobecna... gdzie mogła się teraz znajdować? Co za okoliczności, czyje nalegania mogły skłonić do zmiany miejsca tę spokojną, stateczną, łagodną istotę? Kogo o to zapytać? U kogo się poinformować? Tylko poczciwa pani Denis mogła coś o tym wiedzieć. To całkiem naturalne, że wróciwszy w nocy d'Harmental składa nazajutrz wizytę gospodyni domu; kawaler zszedł tedy do pani Denis.

Pani Denis nie widziała swojego lokatora od dnia, w którym przyjmowała go śniadaniem; nie zapomniała bynajmniej o staraniach, jakimi ją otoczył, kiedy zemdląca; przyjęła więc d'Harmentala jak marnotrawnego syna.

Szczęście mu dopisało: panny Denis miały lekcję rysunku, a pan Bonifacy był u swego prokurenta; kawaler znalazł się sam na sam ze swoją szacowną gospodynią. Rozmowa potoczyła się oczywiście na temat starań, czystości i porządku w pokoiku nieobecnego lokatora. Stąd już tylko krok do pytania, czy mieszkanie naprzeciw ma nowych właścicieli.

Pytanie, postawione jakby mimochodem, przyniosło odpowiedź nie pozostawiającą żadnych wątpliwości. Jeszcze wczoraj rano pani Denis widziała w oknie Batyldę, a dzień wcześniej, z wieczora, pan Bonifacy spotkał Buvata wracającego z biura; tyle że trzeci klerk pana Joullu i dziedzic nazwiska Denis zauważył malującą się na twarzy Buvata majestatyczną wyniosłość, co tym bardziej rzuciło się w oczy, że czcigodny skryba nigdy nie był wyniosły.

I to wszystko, czego dowiedział się d'Harmental. Batylda nie opuściła Paryża, nie opuściła domu. Po prostu nie przyszło jej na myśl spojrzeć w okno sąsiada, ponieważ wiedziała, że jego pokoik od dawna świeci pustką. Kawaler raz jeszcze podziękował pani Denis za okazywaną mu życzliwość, wyraził nadzieję, że nagrodzi rychło jej trudy, i pożegnał zacną damę pełen radości, której przyczyn nie mogła się nawet domyślić.

Na schodach spotkał księdza Brigaud, spieszącego z codzienną wizytą do pani Denis. Ksiądz zapytał, czy kawaler wraca do siebie, i otrzymawszy twierdzącą odpowiedź oznajmił, że gdy skończy pogawędkę z panią Denis, wdrapie się na czwarte piętro. Kawaler, który nie zamierzał tego dnia wychodzić, odparł, że będzie księdza oczekiwał.

D'Harmental ledwie znalazł się w swoim pokoju, podbiegł do okna. W oknie sąsiadki nic się nie zmieniło: szczelnie zsunięte firanki nie pozostawiały najmniejszej szparki, przez którą wzrok mógłby przeniknąć do wnętrza. Było to z pewnością zgodne z nieodwołalną decyzją Batyldy. D'Harmental chwycił się ostatecznego środka, jaki zachował na wypadek, gdy wszystkie inne zawiodą: siadł przy szpinecie i po błyskotliwym preludium zaśpiewał, przy akompaniamencie własnego pomysłu, kantatę Nocy, którą usłyszał poprzedniego wieczoru i która wryła mu się w pamięć od pierwszej do ostatniej nuty. Jednocześnie nie odrywał wzroku od nieubłaganego okna, ale wszystko tam było milczące i nieruchome: z pokoju naprzeciw nie odpowiadało mu już żadne echo.

Nie osiągnąwszy skutku, jakiego się spodziewał, d'Harmental wywołał efekt całkiem nie oczekiwany. Kiedy skończył ostatni takt, usłyszał oklaski, tuż za plecami: odwrócił się i zobaczył księdza Brigaud.

- A, to ksiądz! - powiedział, zrywając się i biegnąc ku oknu, by je spiesznie zamknąć. - Do diabła! Nie sądziłem, że ksiądz jest tak wytrawnym melomanem.

- A pan muzykiem. Do kroćset, drogi pupilku, to wspaniałe! Odtworzyć tak znakomicie

kantatę, którą się słyszało tylko raz!

- Melodia wydała mi się bardzo piękna, proszę księdza, ot, i wszystko - odparł d'Harmental. - A że mam w wysokim stopniu rozwiniętą pamięć do dźwięków, zdołałem ją odtworzyć.

- Poza tym jakże pięknie ją śpiewano, prawda? - nie dawał za wygraną ksiądz.

- Tak - zgodził się d'Harmental - panna Bury ma cudowny głos i kiedy tylko pojawi się jej nazwisko na afiszu, postaram się niepostrzeżenie dostać do Opery.

- Chcesz pan posłuchać wyłącznie śpiewu? - spytał Brigaud.

- Tak - rzekł d'Harmental.

- Nie trzeba wcale w tym celu iść do Opery.

- A dokąd?

- Do nikąd: zostań tutaj, siedzisz w paradnej łoży.

- Jak to! Czyżby bogini Nocy...?

- Tak, to twoja sąsiadka.

- Batylida! - zakrzyknął d'Harmental. - Więc się nie omyliłem, rozpoznałem ją! Ale to niemożliwe! Jak się to mogło stać, księże, że Batylida znalazła się tego wieczoru u diuszesy du Maine?

- Po pierwsze, w naszych czasach nie ma rzeczy niemożliwych, drogi chłopcze - odparł Brigaud. - Najsampierw wbij to sobie dobrze do głowy, nim zaczniesz czemuś przeczyć lub cokolwiek przedsiębrać; uwierz, że wszystko jest możliwe, to najlepszy sposób, by wszystko osiągnąć.

- Ale w końcu, jak biedna Batylida...?

- Tak, na pierwszy rzut oka wydaje się to osobliwe. A jednak zapewniam cię, że to całkiem proste. Ale chyba ta historia niespecjalnie cię interesuje, pomówmy zatem o czymś innym.

- Ależ tak, tak, księże! - zawołał d'Harmental. - Mylisz się okrutnie, ta historia interesuje mnie w najwyższym stopniu.

- Skoroś zatem, drogi pupilku, taki ciekawy, opowiem ci wszystko. Ksiądz de Chaulieu zna pannę Batylidę. Bo tak nazywasz swoją sąsiadkę, prawda?

- Tak, lecz w jaki sposób poznał ją ksiądz de Chaulieu?

- W sposób zwykły. Opiekun tego uroczego dziewczęcia jest, jak wiesz lub nie wiesz, jednym z najlepszych kopistów w stolicy, posiada najładniejszy charakter pisma.

- No tak. I co dalej.

- Pan de Chaulieu potrzebuje kogoś, kto mógłby kopiować jego wiersze, bo będąc, jak mogłeś to, panie kawalerze, zauważyć, niemal zupełnie niewidomym, musi dyktować je, w miarę jak powstają, lokajczykowi, który nie zna nawet ortografii. Zwrócił się tedy do Buvata, aby powierzyć mu tę odpowiedzialną pracę, i nasz pocziwiec przedstawił mu pannę Batylde.

- To wszystko nie wyjaśnia mi jednak, w jaki sposób panna Batylde znalazła się u diuszesy du Maine.

- Poczekaj chwilę, mój panie, każda historia ma swój początek, powikłania i zwrot w akcji dramatu, do licha!

- Ksiądz skazuje mnie na wiekuiste męki!

- Cierpliwości, na Boga, trochę cierpliwości!

- Mam ją. Proszę mówić dalej.

- A więc, ujrawszy pannę Batylde, zacny Chaulieu uległ różnorodnym zaletom dziewczątka; bo przekonasz się, że ta młoda istota odznacza się jakimś magicznym urokiem, tak że nie sposób obcować z nią, nie kochając jej.

- Wiem o tym - szepnął d'Harmental.

- Skoro panna Batylde ma tak wiele talentów, śpiewa jak słowik i rysuje jak mistrz, zacny Chaulieu wystawiał ją pod niebiosa przed panną de Launay, co skłoniło tę damę do powierzenia Batyldzie projektowania niektórych kostiumów dla osób mających grać pewne role w uroczystościach, jakie przygotowywała panna de Launay i w jakich braliśmy udział wczoraj wieczór.

- To jeszcze nie wyjaśnia, dlaczego Batylde, a nie panna Bury śpiewała kantatę Nocy.

- Dochodzimy już i do tego.

- Nareszcie!

- Owóż pannie de Launay przytrafiło się właśnie to samo, co innym; polubiła młodzieńką czarodziejkę. Kiedy dziewczyna skończyła projekty rzeczonych kostiumów, panna de Launay,

zamiast odesłać ją do domu, zatrzymała na trzy dni w Sceaux. Była tam jeszcze przedwczoraj w pokoju panny de Launay, kiedy nagle ktoś przybiegł ogromnie zaaferowany, by powiedzieć twojemu nietoperzykowi, że reżyser z Opery wzywa ją w nadzwyczaj ważnej, nie cierpiącej zwłoki sprawie. Panna de Launay wyszła pozostawiając Batyldę samą. Batyllda niebawem zaczęła się nudzić, a że panna de Launay zwlekała z przybyciem, dziewczyna siadła do klawesynu i, aby się trochę rozerwać, wzięła parę akordów, odśpiewała parę gam; stwierdziwszy, że instrument jest dobrze nastrojony, i czując, że głos jej dopisuje, zaczęła śpiewać wielką arię, nie mam pojęcia z jakiej opery i robiła to tak doskonale, że panna de Launay, uchylwszy cichutko drzwi, wysłuchiwała arii do końca, kiedy zaś Batyllda umilkła, rzuciła się na szyję uroczej pieśniarce, wołając, że widzi już własne życie uratowane. Batyllda spytała ze zdumieniem, w związku z czym i w jaki sposób mogłaby oddać jej tak wielką przysługę. Wtedy panna de Launay wyjaśniła, że śpiewaczka operowa, która przyrzekła przybyć nazajutrz do Sceaux, by odśpiewać kantatę Nocy, zachorowała poprzedniego dnia i z ogromnym żalem prosiła o powiadomienie Jej Wysokości diuszesa du Maine, że nie stawi się na umówione spotkanie; skoro zaś nie będzie bogini Nocy, nie będzie też i przyjęcia, o ile Batyllda nie zechce łaskawie podjąć się roli panny Bury. Batyllda, jak się łatwo domyślić, broniła się zaciekle, oświadczając, że nie potrafi wykonać pieśni, której przecież nie zna. Panna de Launay pokazała jej nuty. Muzyka ta wydała się Batyldzie niezwykle trudna. Panna de Launay odparła na to, że żadna muzyka nie jest za trudna dla tak utalentowanej osóбки jak Batyllda. Batyllda zerwała się z miejsca. Panna de Launay posadziła ją przemocą przy klawesynie. Batyllda złożyła ręce, panna de Launay rozdzieliła je i położyła dłonie Batyldy na klawiaturze; klawisze, ledwie muśnięte, wydały dźwięk. Batyllda, wbrew samej sobie, odczytała pierwszy takt, potem drugi... i wreszcie całą kantatę. Za drugim nawrotem wykonała utwór od początku do końca z prawdziwie mistrzowską intonacją i zachwycającą ekspresją. Panna de Launay nie posiadała się ze szczęścia. I gdy nadeszła diuszesa du Maine, zrozpaczona wiadomością o chorobie primadonny, panna de Launay poprosiła Batyldę, żeby odśpiewała kantatę. Batyllda nie śmiała odmówić; zagrała i zaśpiewała precudownie. Diuszesa du Maine dołączyła swoje prośby do próśb panny de Launay. A czy można odmówić czegokolwiek pani du Maine?! Wiesz przecie, panie kawalerze, że to niemożliwe. Biedna Batyllda musiała więc ustąpić;

zawstydzona i zmieszana, to śmiejąc się, to płacząc, wyraziła zgodę pod dwoma wszelako warunkami: że, po pierwsze, sama powiadomi opiekuna o przyczynie swojej dotychczasowej i przyszłej nieobecności; i, po drugie, że na ten wieczór i następny rano wróci do domu, aby pracować nad nieszczęsną kantatą, która tyle zamętu wniosła w jej obyczaje. Rozważono wymienione warunki i obie strony zatwierdziły pod przysięgą, co następuje: Batyllda stawi się nazajutrz w Sceaux o siódmej wieczór; natomiast pani du Maine i panna de Launay utrzymują zaproszonych gości w przekonaniu, że to panna Bury śpiewa kantatę.

- Więc w jaki sposób ów sekret wyszedł na jaw? - spytał d'Harmental.

- Ach, w okolicznościach doprawdy nieoczekiwanych - odparł Brigaud z tą właściwą sobie dobroduszością, która nie pozwalała odgadnąć, czy ksiądz kpi, czy też mówi poważnie.

- Wszystko układało się dobrze aż do momentu zakończenia kantaty, czego dowodem jest i to, iż usłyszawszy ją jeden jedyny raz, zapamiętałeś ją waść w całości; kiedy jednak galera, którą przy płynęliśmy z pawilonu Aurory, przybiła do brzegu, być może z racji wzruszenia, jakie ogarnęło śpiewaczkę występującą po raz pierwszy wobec tak licznej publiczności, a może dostrzegła ona wśród świty pani du Maine kogoś, kogo nie spodziewała się ujrzeć w tym znakomitym gronie, dość że biedna bogini Nocy krzyknęła i osunęła się w ramiona swoich towarzyszek Godzin; przyczyny tego zasłabnięcia nikt pojąć nie zdołał. Wówczas jednak zapomniano o wszelkich przysięgach i obietnicach. Zdjęto woal zasłaniający jej twarz, by skropić ją wodą, i kiedy ty, mój kawalerze, oddalałeś się z diuszesa, ja, zdumiony niepomnie, zobaczyłem, miast panny Bury, twoją śliczną sąsiadkę. Zapytałem pannę de Launay, w czym rzecz; a że nie było już sposobu, by Batyllda zachowała incognito, panna de Launay opowiedziała mi w sekrecie, który zdradzam jedynie tobie, drogi pupilku... gdyż nie potrafię, sam nie wiem czemu, odmówić ci czegokolwiek... jak potoczyły się wypadki.

- A owa niedyspozycja? - zaniepokoił się d'Harmental.

- O, to bagatelka, przelotne oszołomienie pod wpływem wzruszeń i bez żadnych następstw, skoro Batyllda, nie zważając na usilne prośby, nie chciała zostać w Sceaux ani pół godziny dłużej. Pragnęła natychmiast wracać do domu; dano jej do dyspozycji ekwipaż i o godzinę wcześniej od nas znalazła się u siebie.

- Znalazła się u siebie? Ksiądz jest pewny, że wróciła do domu? Dziękuję księdzu; to

wszystko, czego chciałem się dowiedzieć i o co chciałem księdza zapytać.

- Teraz mogę już sobie iść, prawda? - rzekł Brigaud. - Nie potrzebujesz mnie waść, bo już wiesz to, czego chciałeś się dowiedzieć.

- Ależ nie to wcale miałem na myśli, drogi księżu; przeciwnie, niechaj ksiądz jeszcze posiedzi chwilę, zrobi mi ksiądz przyjemność.

- Nie, dziękuję; muszę trochę przejść się po mieście. Zostawiam cię samego, mój ty najmilszy pupilku, byś mógł oddać się swobodnie rozmyślaniom.

- Kiedy znów księdza zobaczę? - spytał niemal odruchowo d'Harmental.

- Najpewniej jutro - odpowiedział Brigaud.

- Do jutra zatem.

- Do jutra.

Po czym ksiądz, śmiejąc się owym właściwym tylko jemu śmiechem, skierował się ku drzwiom, a d'Harmental ruszył do okna, otworzył je i gotów był pełnić przy nim straż bodaj do dnia następnego, żywiąc nadzieję, że w nagrodę za to długie oczekiwanie ujrzy Batyldę choć przez moment, choć przez jedną sekundę.

Szlachetnie urodzony kawaler zakochany był jak żak.

VI. Pretekst

Parę minut po czwartej d'Harmental spostrzegł Buvata, jak skręca w ulicę du Temps-Perdu idąc od strony

Montmartre.u; nasz poczciwy kopista kroczył szybciej niż zwykle - tak się przynajmniej kawalerowi wydawało - a laskę trzymał poziomo niczym biegacz, zamiast się nią podporać, jak to czyni każdy szacowny paryżanin. Co do wyniosłości natomiast, która onegdaj tak wstrząsnęła panem Bonifacym, zniknęła ona całkowicie, ustępując miejsca wyrazowi lekkiego niepokoju. Trudno było się mylić; Buvat wracał tak spiesźnie, gdyż niepokoił się o Batyldę. Batylda jest tedy chora.

Kawaler śledził wzrokiem Buvata, póki ten nie zniknął w furtce na końcu alejki wiodącej do jego domu. D'Harmental całkiem słusznie mniemał, że Buvat wejdzie najpierw do pokoju Batyldy i nareszcie odsłoni okno, które od rana atakowały promienie gasnącego teraz słońca. Rachuby zawiodły kawalera: Buvat zadowolił się uniesieniem firanki, przyklepił swoją kraglę twarz do szyby i palcami bębnił po szkle; ledwie się pojawił, a już odwrócił się żywo, jak ktoś, kogo wołają; opuścił muślinową firankę i zniknął; d'Harmental doszedł do wniosku, że głód był powodem tego nagłego zniknięcia; to mu przypomniało, że zapatrzony w nieszczęsne okno, które uparcie nie chciało się otworzyć, przegapił porę obiadu, co było - wyznajmy ku wstydowi sentymentalnego d'Harmentalą - brutalnym pogwałceniem jego nawyków.

Owóż skoro nie było nadziei, że okno odsłoni się w czasie trwania posiłku sąsiada, kawaler postanowił wykorzystać tę chwilę, by zjeść obiad. Zadzwoił więc na stróża, kazał mu przynieść od restauratora najtłustszego kurczaka, a od kupca najpiękniejsze, jakie są, owoce. Co do wina, zostało mu jeszcze parę butelek z tych, które kiedyś przysłał mu ksiądz Brigaud.

D'Harmental pożywiał się i walczył z wyrzutami sumienia; nie pojmował bowiem, jak to możliwe, że zajada z tak wielkim apetytem, chociaż jest tak bardzo strapiony. Na szczęście przypomniał sobie, co wyczytał kiedyś u pewnego moralisty: że wszelkie smutki okrutnie wytrawiają żołądek. Tą maksymą uspokoił swoje sumienie; w rezultacie z tłustego kurczaka pozostał szkielet.

Jedzenie obiadu jest sprawą samą w sobie całkiem naturalną i nie sposób potępić za

to d'Harmental; kawaler, nim siadł do stołu, zawiesił okno, ale przez małą szparę w zasłonie popatrywał wciąż na wyższe piętra przeciwległego domu. Dzięki tym środkom ostrożności w chwili, kiedy kończył posiłek, dostrzegł Buvata, który, skończywszy zapewne swój, ukazał się w oknie tarasu. Jak powiedzieliśmy, pogoda była wspaniała, toteż Buvat zapragnął z niej skorzystać; ale nasz pocziwiec należał do tych ludzi, którzy muszą dzielić z kimś każdą przyjemność, bo inaczej przyjemność dla nich nie istnieje. D'Harmental dostrzegł tedy, że kopista odwraca się i gestem kogoś przywołuje, może Batyldę, która z pewnością przysłała do jego mieszkanca. Przez moment zatem kawaler żywił nadzieję, że ujrzy dziewczę: zerwał się, serce gwałtownie mu zabiło; doznał jednak zawodu. Choć wieczór był tak kuszący, a gesty, jakimi Buvat zachęcał swą wychowankę, by skorzystała z uroków zachodu, tak wymowne - wszystko to okazało się daremne; inaczej postąpiła Mirza: wcale nie zapraszana, wyskoczyła przez okno na taras i jak szalona zaczęła biegać po nim, trzymając w pyszczku koniec wstążki gołębiego koloru, którą rozwijała jak proporczyk i którą d'Harmental rozpoznał jako opaskę obciskającą nocny czepiec sąsiada. Buvat także rozpoznał swoją własność, rzucił się w pogoń za Mirzą, na swoich krótkich nogach okrążył kilka razy taras, a ćwiczenie to trwałoby zapewne jeszcze dłużej, gdyby Mirza nie popełniła błędu kryjąc się w słynnej pieczarze hydry, którą obrazowo opisaliśmy już naszym czytelnikom. Buvat wahał się, czy wsunąć ramię w otwór pieczary, ale zdecydował się wreszcie, przejawiając w tym sporo odwagi, i kawaler zobaczył, jak pocziwiec dobywa swą drogocenną opaskę, przeciąga ją po kolanie, rozprostowuje, zwiija starannie i wchodzi do mieszkania, zapewne po to, by schować ją przed sprytną Mirzą.

D'Harmental czekał właśnie na ten moment. Wystawił głowę przez otwarte do połowy okiennice, i czekał. Mordka suczki ukazała się po chwili w otworze pieczary; Mirza rozejrzała się wokół, ziewnęła, potrząsnęła uszami i wyskoczyła na taras. Wówczas kawaler przybierając ton najbardziej pieśczośliwy i wabiący, zaczął ją przyzywać. Mirza drgnęła na dźwięk jego głosu; kierując się słuchem zawróciła i spojrzała na kawalera, poznała w nim od razu mężczyznę, który częstował ją cukrem, i pisnęła radośnie; po czym wiedziona instynktem łakomczuchów, szybka jak błyskawica wskoczyła na okno i zniknęła w pokoju Buvata. D'Harmental pochylił się i ledwie zdążył zobaczyć, jak mknie przez ulicę niczym strzała, a gdy zamykał okno, usłyszał ciche drapanie do drzwi. Na szczęście miał w nie mniejszym stopniu

rozwinętą pamięć do dźwięków, jak Mirza pamięć o smaku cukru.

Łatwo odgadnąć, że kawaler nie pozwolił długo czekać uroczemu stworzonku; suczka wbiegła w podskokach do pokoju okazując niedwuznacznie, jak się cieszy z nieoczekiwanego powrotu d'Harmentalą. A d'Harmental był tak szczęśliwy, jakby ujrzał Batyldę. Mirza przecież należała do Batyldy, była to jej ulubiona charciczka, rozpieszczana i czule głaskana, która opierała swój pyszczek na kolanach dziewczyny, w nocy zaś spała u stóp jej łóżka; była powiernicą jej smutków i radości, ale ponadto wysłanniczką pewną, szybką i skrupulatną: z tego zresztą powodu d'Harmental przywołał ją i powitał tak serdecznie.

Postawił teraz przed Mirzą pełną cukiernicę, siadł przy sekreterze i pozwoliwszy sercu mówić, pióru zaś pisać, skreślił następujący list:

“Kochana Batyldo, masz mnie za wielkiego winowajcę, nieprawdaż? Ale nie znasz, Pani, osobliwych okoliczności, w jakich się znalazłem i które są dla mnie wytłumaczeniem. Gdybym dostąpił szczęścia i ujrzał cię, przez chwilę, przez jedną małą chwilkę, pojęłabyś, że istnieją we mnie dwie całkiem różne istoty: student z mansardy i szlachcic biorący udział w fetach w Sceaux; odsłoń zatem okno, bym mógł cię zobaczyć, lub otwórz, Pani, drzwi, abym mógł z nią pomówić; pozwól mi przyjść i na klęczkach prosić cię o wybaczenie. Jestem przekonany, że skoro się o wszystkim dowiesz, zrozumiesz z łatwością, jak bardzo jestem nieszczęśliwy, zwłaszcza zaś jak mocno cię kocham, i ulitujesz się nade mną.

Żegnaj, a raczej: do widzenia, droga Batyldo; składam tyle pocałunków na pyszczku Mirzy, ile chciałbym złożyć na Twoich, Pani, ślicznych stopach.

Żegnaj raz jeszcze! Miłuję cię bardziej, niż potrafię to wyrazić, bardziej, niż mogłabyś w to uwierzyć, bardziej, niż się tego kiedykolwiek będziesz, Pani, domyślać.

Raul”

Ten bilecik, który wydałby się dość oziębły kobiecie naszych czasów, mówił bowiem wyłącznie to, co autor chciał powiedzieć, wydał się kawalerowi wystarczająco czuły, i doprawdy był nader namiętny jak na tamtą epokę; toteż d'Harmental złożył go, nic nie zmieniając, i przymocował do obroży Mirzy, tak samo, jak zrobił to za pierwszym razem; po czym schował do szafki cukiernicę, bacznie śledzony wzrokiem przez łakome zwierzę,

otworzył drzwi na korytarz i gestem przypomniał czworonogiej posłanniczce o jej zadaniu. Powodowana dumą bądź inteligencją Mirza nie dała sobie tego dwa razy powtarzać, zbiegła ze schodów jak na skrzydłach, zatrzymała się na króciutko, żeby dziabnąć pana Bonifacego, który właśnie wracał z kancelarii swego pryncypała, jednym susem przesadziła ulicę i zniknęła w alejce wiodącej do domu Batyldy. D'Harmental został jeszcze przy oknie pełen niepokoju, obawiał się bowiem, że Mirza pobiegnie do Buvata, siedzącego na tarasie w altance z wiciokrzewu, i że tym sposobem list nie dotrze do adresatki. Ale Mirza nie była tak głupia, by popełnić podobną omyłkę; i po paru sekundach d'Harmental, nie widząc jej na tarasie, wywnioskował z niemałą bystrością, iż zatrzymała się chytrze na czwartym piętrze. Aby więc nie płoszyć zbytnio biednej Batyldy, zamknął okno łudząc się, iż dzięki temu ustępstwu otrzyma jakiś znak, który wskaże mu, że dziewczyna skłania się ku przebaczeniu.

Ale tak się nie stało: d'Harmental daremnie czekał przez cały wieczór i sporą część nocy. O jedenastej zgasło światło, ledwie dostrzegalne spoza podwójnych, szczelnie zaciągniętych firanek. Jeszcze przez godzinę d'Harmental tkwił przy swoim oknie, wypatrując najmniejszego bodaj cienia na zasłonach; nic jednak nie wypatrzył, wszędzie było mroczno i cicho; d'Harmental musiał tedy pożegnać się z nadzieją, że zobaczy Batyldę przed dniem jutrzejszym.

Dzień następny nie przyniósł jednak żadnej zmiany: wyglądało to na dziewczęcy manewr obronny, co mężczyzna mniej zakochany wzięłby po prostu za wyraz lęku przed porażką; lecz nasz kawaler, w szczerości serca i prostocie ducha, widział w tym ochłodzenie przyjaznych uczuć Batyldy, ba, zaczął w to wierzyć niezbitcie; a prawdę mówiąc, owo rzekome ochłodzenie trwało dopiero dobę.

Przez cały ranek w głowie d'Harmentala rodziły się przeróżne pomysły, jeden absurdalniejszy od drugiego. Najprościej byłoby przejść zwyczajnie przez ulicę, wspiąć się na czwarte piętro, zastukać do drzwi Batyldy, i wszystko jej wyznać; pomysł ten przyszedł mu do głowy na równi z innymi, ale właśnie dlatego, że był rozsądny, kawaler wystrzegał się jak ognia rozważenia go na serio. Byłoby zresztą aktem wielkiej odwagi takie wtargnięcie do mieszkania Batyldy bez jakiegoś z jej strony upoważnienia czy nawet pod zmyślonym pretekstem. Tego rodzaju postępowanie mogłoby urazić dziewczynę, a była już i tak

dostatecznie zagniewana; lepiej więc czekać i d'Harmental czekał.

O drugiej przyszedł Brigaud i zastał kawalera w nastroju dość ponurym. Ksiądz spojrział w okno Batyldy, wciąż zasłonięte, i odgadł wszystko. Wziął krzesło, usiadł naprzeciw d'Harmentalowi i, tak jak on kręcąc młynka palcami, rzekł po krótkim milczeniu:

- Mój drogi pupilku, albo kiepski ze mnie fizjonomista, albo dobrze wnioskuje z twojej miny, że przytrafiło ci się coś okropnie smutnego.

- Słuszna uwaga, drogi księżu - odparł d'Harmental. - Nudzę się.

- O, doprawdy?!

- I to tak bardzo - dodał kawaler, czując potrzebę upuszczenia trochę żółci, jaka zbierała się w nim od wczoraj - że mam ochotę posłać do wszystkich diabłów całą tę konspirację.

- Och, kawalerze, nie trzeba tak od razu wszystkiego porzucać! Jak to? Posyłać konspirację do wszystkich diabłów akurat teraz, kiedy mknie ona jak na kółkach. No, pomyśl, co inni powiedzą na to.

- Ksiądz jest przemily i ci inni również; ale ci inni bywają w świecie: chodzą na bale, do Opery; pojedynkują się, mają kochanki, nie skąpią sobie rozrywek, nie muszą siedzieć, jak ja, zamknięci na lichej facjacie.

- Hm, tak. Ale szpinet, ale pastele...

- Co za wspaniałe dystrakcje, ta księża muzyka i te księżu malunki!

- Nie są to rozrywki, jeśli śpiewa się i rysuje w samotności; ale jeśli można rysować i śpiewać w towarzystwie, to już nie jest tak źle.

- A z kim, u diabła, chce ksiądz, bym śpiewał i rysował?

- Masz przede wszystkim, mości kawalerze, dwie panny Denis!

- O, tak, zwłaszcza że wcale nie fałszują i malują znakomicie!

- Boże święty! Przecież nie polecam ci ich w charakterze wirtuozek i artystek, bo dobrze wiem, że daleko im do doskonałości twojej sąsiadki. A propos, co się dzieje z twoją, mości kawalerze, sąsiadką?

- Jak to? Z moją sąsiadką?

- Właśnie, dlaczego nie grasz albo nie śpiewasz razem z nią? Śpiewa przecież tak

pięknie: to rozerwałoby cię trochę.

- A czy ja znam moją sąsiadkę? Czy raczy ona przynajmniej odsłonić okno? Od wczoraj rano zabarykadowała się w swoim mieszkaniu. O, tak, moja sąsiadka też jest przemiła!

- Mówiłeś mi jednak waść, że jest urocza.

- No i jak sobie to ksiądz wyobraża, że śpiewalibyśmy każde w swoim pokoju? Byłby to duet dość niezwykły.

- Ależ nie, u niej.

- U niej? Czy zostałem jej przedstawiony? Czy ja ją znam?

- No, cóż, można wykoncypować jakiś pretekst.

- Już od wczoraj takiego szukam.

- I jeszcze go nie znalazłeś, kawalerze? Mężczyzna obdarzony twoją wyobraźnią! Ach, drogi pupilku, zupełnie się odmieniłeś.

- Daj pokój żartom, księżu, wena nie dopisuje mi dzisiaj. Miewamy złe dni i dziś właśnie jestem po prostu głupcem.

- I w takie właśnie dni zwracamy się do przyjaciół.

- Do przyjaciół? Niby po cóż?

- Aby nam podsunęli pretekst, którego daremnie sami szukamy.

- To niechaj ksiądz podsunie mi taki pretekst. Proszę, słucham.

- To nic prostszego.

- Doprawdy?

- Chcesz go mieć?

- Niechaj ksiądz zważa na to, czego się podejmuje.

- Podejmuję się otworzyć przed tobą drzwi twej sąsiadki.

- W sposób przyzwoity?

- A czy ja używam innych sposobów?

- Uduszę księdza, jeśli ten pretekst okaże się licha wart.

- A jeśli okaże się dobry?

- Jeśli będzie dobry, jeśli będzie dobry, to księdza uznam za człowieka

nadzwyczajnego!

- Czy pamiętasz waść, co powiedział hrabia de Laval o wizycie policji w jego domu na Val-de-Grace, o konieczności zwolnienia drukarzy i o ukryciu prasy?

- Doskonale.

- Czy pamiętasz postanowienie, jakie zostało podjęte w związku z tym?

- Pamiętam. Mamy posłużyć się kopistą.

- Pamiętasz wreszcie, że to ja zobowiązałem się go wynaleźć?

- Tak, przypominam sobie.

- A więc ów kopista, którego upatrzyłem, ów uczciwy człowiek, którego przyobiecałem znaleźć, jest już znaleziony; mój drogi kawalerze, to opiekun Batyldy.

- Buvat?

- On sam. Przekazuję ci zatem moje pełnomocnictwa, idź do niego, zaproponuj mu rulony złota jako wynagrodzenie, a drzwi otworzą się przed tobą na oścież; będziesz śpiewał z Batyldą, jak długo zechcesz.

- O, mój drogi księżu! - zawołał d'Harmental obejmując go za szyję. - Na honor, ratujesz mi życie!

I d'Harmental, chwyciwszy kapelusz, rzucił się ku drzwiom. Miał upragniony pretekst i nie obawiał się już niczego.

- Hola! Hola! Kawalerze! - wykrzyknął Brigaud. - Nie pytasz mnie nawet, gdzie Buvat ma szukać tekstów do przepisywania!

- Ależ u księdza, do licha!

- O, nie, nie, młodzieńcze, wcale nie u mnie!

- A u kogo?

- U księcia de Listhney, ulica du Bac, numer sto dziesięć.

- U księcia de Listhney!... Któż to taki?

- Żaden książe, to pokojowiec pani du Maine, nazywa się Davranches.

- I ksiądz sądzi, że on dobrze odegra swoją rolę?

- Wobec ciebie chyba nie, kawalerze, bo obracasz się wśród prawdziwych ksiąząt, ale wobec Buvata...

- Tak, ksiądz ma rację. Do widzenia, drogi księżu.
- Uważasz tedy, że pretekst mój jest dobry?
- Wyśmienity!
- No to pędź i niech Bóg cię ma w swojej pieczy.

D'Harmental zbiegł ze schodów przeskakując po cztery stopnie; na środku ulicy spojrzął w swoje okno, skąd patrzył na niego ksiądz Brigaud, kiwnął mu raz jeszcze ręką na pożegnanie i po chwili zniknął w alejce prowadzącej do domu Batyldy.

VII. Przeciwności

Łatwo pojąć, że Batyllda zdobyła się na to milczenie i obojętność z krwawiącym sercem: biedne dziewczę kochało d'Harmentala z całej duszy, tak, jak kocha się mając lat siedemnaście, jak się kocha po raz pierwszy w życiu. W ciągu czterech tygodni jego nieobecności liczyła dni; piąty tydzień upłynął jej na liczeniu godzin; w ostatnim tygodniu liczyła minuty. Wtedy właśnie przybył ksiądz de Chaulieu i zabrał ją do panny de Launay; a że zatroszczył się o to, by rozgłosić nie tylko jej talenty, lecz wyznał również, kim była, Batyllda została przyjęta z należnymi jej względami, a panna de Launay tym chętniej je okazywała, że o względach dla niej samej od dawna zapomniano. Zmiana miejsca pobytu, która początkowo napełniła Buvata taką dumą, Batyldzie wydała się rozrywką pomocną w przetrwaniu ostatnich chwil oczekiwania; zorientowawszy się jednak, jak wielką wagę przywiązuje panna de Launay do jej obecności w Sceaux tego dnia właśnie, gdy wedle jej obliczeń miał wrócić Raul, przekłęta w głębi serca chwilę, kiedy ksiądz de Chaulieu ją tam przywiózł, i z całą pewnością odmówiłaby udziału w spektaklu, opierając się wszelkim naleganiom, gdyby pani du Maine nie wdała się w tę sprawę. Nie sposób było odmówić pani du Maine, jeśli prosiła o coś jak o przysługę, ona, która - zgodnie z panującym w tej epoce pojęciem o supremacji wyższych sfer - miała prawo rozkazywać. Batyllda, przyciśnięta do muru, musiała wyrazić zgodę; ale że nigdy nie pozbyłaby się skrupułów, gdyby Raul po powrocie zastał jej okno zamknięte, powiedziała, jak już o tym wspomnieliśmy, że musi wrócić do domu, aby swobodnie popracować nad kantatą i uspokoić Buvata. Nieszczęsna Batyllda wymyśliła aż dwa preteksty, żeby osłonić podwójnym woalem prawdziwy cel wyjazdu do Paryża.

Jak łatwo się domyślić, Buvat, tak pyszniący się faktem, że Batyldę zaangażowano do projektowania kostiumów na fetę w Sceaux, całkiem inaczej przyjął wiadomość, że ma ona tam wziąć udział w koncercie. Marzył ustawicznie, że Batyllda odzyska fortunę, a tym samym pozycję społeczną, jakiej pozbawiła ją śmierć Alberta i Klarysy; wszystko, co zbliżało dziewczynę do świata przeznaczonego jej z racji urodzenia, zmierzało, zdaniem Buvata, do owej zapewniającej szczęście rehabilitacji. Jednakże tę próbę rozstania przeżywał ciężko; trzy dni bez Batylldy wydały mu się trzema stuleciami. Przez te trzy dni biedny skryba był jakby

ciałem bez duszy. W biurze czuł się jeszcze jako tako, choć rzucało się w oczy, że jakiś ogromny cios dotknął poczciwca; musiał jednak wykonywać zleconą pracę: fizyki do wypisywania, etykiety do nalepiania; czas tedy mijał mu znośnie. Ale w domu czuł się całkowicie odizolowany od świata. Toteż już pierwszego dnia nie zdołał nic przełknąć, bo przy tym stole od lat trzynastu, dzień po dniu, widział naprzeciw siebie Batyldę. Nazajutrz, kiedy Nanette robiła mu wymówki, że marnuje swoje zdrowie i nie dba o nie ani trochę, uprawiając taką głodówkę, spróbował się przezwyciężyć. Ledwie jednak nasz czcigodny kopista - jak dotychczas nieświadom nawet, że ma żołądek - skończył posiłek, doznał wrażenia, iż nafaszerował się ołowiem; musiał tedy uciec się do najsilniejszych środków pobudzających trawienie, by w niższe części dróg pokarmowych zepchnąć nieszczęsny obiad, który zdecydowanie wolał zostać w górze. Trzeciego dnia Buvat nie zasiadł więc do stołu. Nanette z wielkim trudem zdołała go namówić na wypicie filiżanki bulionu, do którego, jak później twierdziła uparcie, spłynęły dwie wielkie lzy pana Buvata; wreszcie pod wieczór dnia trzeciego pojawiła się Batylda przywracając swojemu opiekunowi utracony sen i apetyt. Buvat, który od trzech dni sypiał bardzo kiepsko, a jadł jeszcze gorzej, spał tej nocy jak kłoda i najadł się jak żarłok, nabrał bowiem pewności, że rozstanie z jego ukochanym dzieckiem dobiega końca i że gdy minie następna noc, weźmie znów pod swoje skrzydła istotę, bez której, o czym się teraz przekonał, nie ma dla niego życia.

Batylda też była uradowana: jeśli nie pomyliła się w swoich rachubach, był to ostatni dzień przed powrotem Raula; Raul napisał do niej, że wyjeżdża na sześć tygodni. Naliczyła jeden po drugim czterdzieści sześć długich dni: upłynęło więc sześć tygodni i Batylda, sądząc po sobie samej, nie mogła pogodzić się z myślą, iż jego nieobecność może trwać bodaj o sekundę dłużej. Toteż kiedy Buvat poszedł do biura, dziewczyna odsunęła zasłony i ucząc się kantaty nie spuszczała oczu z okna sąsiada. Karety rzadko przejeżdżały ulicą du Temps-Perdu, ale niesłychanym wprost przypadkiem od dziesiątej do czwartej przetoczyły się tedy aż trzy i za każdym razem Batylda biegła do okna z sercem bijącym tak silnie, że gdy przekonywała się o pomyłce, bo kareta bynajmniej nie wiozła Raula, padała na krzesło dysząc ciężko, bliska omdlenia. Wreszcie wybiła czwarta: w parę minut później Batylda usłyszała kroki Buvata na schodach. Westchnąwszy zasłoniła okno i tym razem to ona z największym

wysiłkiem dotrzymywała towarzystwa swojemu opiekunowi przy posiłku, nie mogąc wszakże przełknąć ani kęsa. Nadeszła pora odjazdu do Sceaux. Batylida po raz ostatni odsunęła zasłony: okiennice Raula były zamknięte. Dopiero teraz pomyślała, że Raul może nie dotrzymać terminu, i opuściła dom z sercem ściśniętym, przeklinając bardziej niż kiedykolwiek uroczystość, która nie pozwalała jej spędzić tej nocy na oczekiwaniu kogoś tak długo oczekiwanego.

Kiedy jednak znalazła się w Sceaux, iluminacje, gwar, muzyka, a zwłaszcza zakłopotanie tym, że po raz pierwszy będzie śpiewać wobec tak liczного grona dostojnych osób sprawiły, że nie myślała już tak bez przerwy o Raulu. Od czasu do czasu tylko doznawała ucisku serca na myśl, że Raul właśnie przyjechał i na widok zasłoniętego okna posądzi ją z kolei o obojętność. Ale miała przed sobą następny dzień; wymogła na pannie de Launay przyrzeczenie, że zostanie odwieziona do domu przed świtem, a gdy rozbłyśnie słońce, znajdzie się przy swoim oknie i Raul ujrzy ją, kiedy otworzy okiennice. Wówczas opowie mu, co zmusiło ją do opuszczenia domu w ten właśnie wieczór; da mu do zrozumienia, że wielce nad tym ubolewała, Raul zaś, niewątpliwie szczęśliwy, tak jak i ona, wybaczy jej na pewno tę nieobecność.

Batylida pocieszała się w ten sposób oczekując diuszesy du Maine na brzegu jeziora; podczas układania przyszłej rozmowy z Raulem została nagle zaskoczona widokiem małej galery. W pierwszej chwili przestraszyła się trochę, że oto będzie śpiewać dla tak wielu wytwornych gości, obawiała się bowiem, że głos ją zawiedzie; ale miała dość artystycznego wyrobienia, by czerpać odwagę z faktu, że wystąpi ze znakomitą orkiestrą, składającą się z najlepszych muzyków Opery. Postanowiła więc na nikogo nie patrzeć, by nie ulec onieśmieleniu; i, zdając się na potęgę natchnienia, wykonała kantatę z taką perfekcją, że pod osłoną woalu mogła uchodzić za śpiewaczkę, którą zastępowała, jakkolwiek owa śpiewaczka była primadonną Opery i nie miała ponoć rywalki, jeśli chodzi o skalę głosu i uzdolnienia wokalne.

Batylida natomiast zdumiała się niepomiernie, kiedy skończywszy swoje solo, wyzwolona przez chór, opuściła wzrok i wśród osób siedzących na galerze zobaczyła obok diuszesy du Maine młodego pana, który tak jej przypominał Raula, że gdyby tę zjawę ujrzała

podczas kantaty, głos zamarłby na pewno w jej piersi. Wahala się jeszcze przez moment, lecz kiedy galera przybiła do brzegu, Batylda nie mogła już mieć żadnych wątpliwości: tak wielkie podobieństwo nie zdarza się nawet u dwóch braci, i stało się dla niej aż nadto jasne, że piękny szlachcic z Sceaux to młody student z mansardy. Nie to jednak zraniło Batyldę. Wysoki szczebel społeczny, na który niespodziewanie wzniósł się Raul, nie oddalał go od córki Alberta du Rocher, przeciwnie, zbliżał ich do siebie; od dawna, od pierwszego rzutu oka Batylda odgadła, że Raul jest szlachcicem, tak jak on domyślił się, że dziewczyna pochodzi ze szlachetnego rodu. Zraniło ją boleśnie co innego: Raul nadużył jej zaufania i znieważył uczucie, ponieważ - niby to przebywając w podróży - zapomniał o ulicy du Temps-Perdu, gdzie czekała na niego pusta mansarda, a sam tymczasem bawił na festynie w Sceaux. Więc tylko chwilowy kaprys związał go z Batyldą, tak jak dla kaprysu mieszkał parę tygodni w swoim pokoiku, póki nie znudziło go życie nie będące jego prawdziwym życiem. Aby zbytnio nie upokorzyć dziewczęcia, tłumaczył się koniecznością wyjazdu; aby zbytnio nie rozpaczala, oświadczył, że wyjazd traktuje jak nieszczęście; ale nie było w tym wszystkim ani źdźbła prawdy. Raul na pewno nie opuścił Paryża, a jeśli nawet, to pierwszą wizytę po powrocie złożył bynajmniej nie w miejscu, które winno mu być drogie, lecz całkiem gdzie indziej! W tym spiętrzeniu uraz było o wiele więcej ponad to, co mogło zranić miłość, nawet mniej wrażliwą aniżeli miłość Batyldy. Toteż, kiedy Raul stanął na brzegu i Batylda znalazła się o cztery kroki od niego, kiedy nie mogła już wątpić, że skromny student i wyniosły panicz to ten sam człowiek; kiedy zobaczyła, że ten, którego uważała dotychczas za naiwnego prowincjusza, podaje eleganckim i swobodnym ruchem ramię dumnej pani du Maine - wszystkie siły ją opuściły; kolana ugięły się pod nią i krzyknęła tak rozpaczliwie, że krzyk ten ugodził w samo serce d'Harmentala; po czym zemdląca.

Otworzył oczy ujrzała pannę de Launay, która, wielce zaniepokojona, udzielała jej pośpiesznie pomocy; ale że nie sposób było domyślić się rzeczywistej przyczyny omdlenia, które zresztą trwało bardzo krótko, dziewczę bez trudu przekonało obecne przy niej osoby, że to tylko wzruszenie przyprawiło ją o chwilową słabość. Jedynie panna de Launay nalegała trochę, by Batylda, miast wracać od razu do Paryża, została w Sceaux; Batylda pragnęła jak najspieszniej opuścić pałac, gdzie już tyle wycierpiała i gdzie zobaczyła Raula, który jej nawet

nie dostrzegł. Poprosiła tedy tonem wykluczającym sprzeciw, by postąpiono tak, jak to zostało uzgodnione; a że karetą, którą miała odjechać do Paryża po odśpiewaniu kantaty, była gotowa, wsiadła do karety i odjechała.

W domu czekała Nanette uprzedzona zawczasu o jej powrocie. Buvat również pragnął spędzić tę noc na czuwaniu, żeby uścisnąć Batyldę i wywiedzieć się wszystkiego na temat wielkiej uroczystości w Sceaux. Ale Buvat, jak wiemy, prowadził ściśle uregulowany tryb życia: najpóźniej o północy udawał się na spoczynek i nigdy tej godziny nie przekroczył; daremnie teraz szczyptał się w łydki, daremnie łaskotał się piórkiem w czubek nosa, daremnie nucił ulubioną piosenkę - pomimo tych środków obronnych senność pokonała go o północy i musiał się położyć nakazawszy wprzód Nanette, by go uprzedziła nazajutrz, gdy tylko Batylda będzie ubrana.

Jak się domyślacie, Batylda była bardzo rada, że samotnie czeka na nią Nanette: w obecnym stanie ducha czułaby się skrępowana wobec Buvata. Serca kobiet bowiem, niezależnie od ich wieku, są zwykle nastawione życzliwie do zmartwień miłosnych, przeciwnie niż serca mężczyzn, najzacniejszych nawet i skłonnych do pocieszania. Przy Buvacie Batylda nie odważyłaby się płakać; ale przy Nanette rozpląnęła się we łzach.

Nanette bardzo się zmartwiła stanem ducha swojej młodej pani, bo spodziewała się, że wróci ona dumna i uszczęśliwiona sukcesem, który niewątpliwie odniosła; toteż zasypała dziewczę tysiącem pytań; wszystkie te pytania Batylda zbywała przeczącym ruchem głowy twierdząc, że nic, ale to absolutnie nic się nie stało. Nanette pojęła, że nie trzeba nalegać, skoro jej pani milczy tak uparcie, i odeszła do swojej izdebki, która, jak wiemy, przylegała do pokoju Batyldy.

Biedna Nanette nie potrafiła się jednak oprzeć ciekawości serca i żeby przekonać się, co też robi jej pani, zajrzała przez dziurkę od klucza: Batylda najpierw padła z płaczem na kolana przed krzyżem, gdzie często się modliła, potem wstała i ulegając czemuś, co było silniejsze od niej, rozsunęła zasłony, by spojrzeć w okno naprzeciw. Nanette nie miała już żadnych wątpliwości. Cierpienie Batyldy jest cierpieniem miłosnym, a przyczynił się do tego piękny młodzian, mieszkający po drugiej stronie ulicy.

Wówczas Nanette nieco się uspokoiła: kobiety współczują tym, którzy mają kłopoty

sercowe, może nawet bardziej nad tymi kłopotami boleją niż nad każdym innym cierpieniem, ale doświadczenie poucza je, że udręka serca może łącznie obrócić się w radość, bo składa się w połowie z bólu, w połowie z nadziei. Nanette położyła się więc spać o wiele spokojniejsza, odkąd wykryła przyczynę łez Batyldy.

Batylda spała źle i krótko; pierwsze cierpienie i pierwsze chwile szczęścia wywierają taki sam skutek. Obudziła się z podkrążonymi oczami, zupełnie rozbita. Gorąco pragnęła pod byle pretekstem uniknąć spotkania z Buvatem; ale Buvat pytał już dwukrotnie przez Nanette, czy może zobaczyć się z Batyldą. Dziewczę przywołało całą swoją odwagę i z uśmiechem nadstawiło zacnemu opiekunowi czoło do pocałunku.

Buvat, obdarzony instynktem serca, nie dał się zwieść temu uśmiechowi; dostrzegł sińce pod oczyma wychowanki i bladość jej twarzy; wyraźnie widział, że cierpi. Czytelnicy już się pewnie domyślili, że Batylda zaprzeczyła, iżby działo się z nią cokolwiek innego niż wczoraj; Buvat udał, że w to wierzy, spostrzegł bowiem, iż jego podejrzliwość budzi w niej sprzeciw. Mimo to w drodze do biura zastanawiał się, jakby się tu dowiedzieć, co tak bardzo przygnębia Batyldę.

Po jego wyjściu, Nanette przystąpiła do Batyldy, która - nareszcie sama - siadła w fotelu, wsparła głowę na dłoni, a drugą rękę opuściła bezwładnie; Mirza leżała u jej stóp i nie pojmując, dlaczego jej pani jest tak stroskana, popiskiwała cichutko. Nanette stała przez chwilę bez ruchu, patrząc na Batyldę z miłością niemal macierzyńską; ale widząc, że dziewczyna milczy uparcie, zapytała:

- Panienska wciąż źle się czuje?

- Tak, moja kochana Nanette.

- Gdyby panienska zechciała otworzyć okno, może poczułaby się lepiej.

- O nie, Nanette, nie, nie, dziękuję; okno musi być zamknięte.

- Bo panienska pewnie nie wie...

- Nie, Nanette. Wiem.

- ...że ten piękny panicz z przeciwka wrócił dziś rano.

- No to co, moja Nanette? - rzekła Batylda podnosząc głowę i spoglądając na zacną niewiastę z wyrazem lekkiej surowości. - Co może mieć wspólnego ze mną ów piękny panicz?

- Przepraszam panienkę - powiedziała Nanette. - Sądziłam... myślałam...
- Co sądziłaś, Nanette, o czym myślałaś?...
- Że przykrość sprawiała panience jego nieobecność i że jego powrót ją ucieszy.
- Myliłaś się.
- Przepraszam, panienko, ale on wydaje się taki dystyngowany!
- Zanadto, moja Nanette, o wiele zanadto dla ubogiej Batyldy.
- Zanadto, panienko, zanadto dystyngowany dla panienki?! - wykrzyknęła Nanette. -

No, proszę, a czyż to panienka nie jest warta najpiękniejszych panów na świecie? A zresztą, przecież panienka jest szlachcianką!

- Jestem tym, na co wyglądam, moja Nanette, to znaczy ubogą dziewczyną, z której spokoju, miłości i honoru każdy wielki pan może sobie bezkarnie zadrwić. Jak widzisz, Nanette, okno musi pozostać zasłonięte, a ja nie powinnam już nigdy zobaczyć tego człowieka.

- Skaranie Boże z panienką, panno Batyldo! Chcesz więc, żeby nieszczęśnik zmarł ze zgryzoty? Od samego rana nie rusza się od okna i minę ma tak smutną, tak smutną, że aż serce się kraje.

- Cóż mnie może obchodzić jego smutna mina; kim jest dla mnie ten młody człowiek? Nie znam go, nie wiem nawet, jak się nazywa; to ktoś obcy, kto zamieszkał tutaj na parę dni, i odejdzie stąd, jak już sobie raz odszedł. Gdybym zwracała na niego uwagę, popełniłabym błąd, Nanette; i zamiast podtrzymywać mnie w miłości, jeśli założymy, że to miłość, powinnaś pomóc mi zrozumieć całą śmieszność tego szaleństwa, zwłaszcza zaś ukryte w nim niebezpieczeństwo.

- O mój Boże, niby dlaczego, panienko? Będziesz musiała któregoś dnia kogoś pokochać: każda kobieta, niestety, musi przez to przejść. Więc skoro koniecznie trzeba pokochać, to chyba warto pokochać młodzieńca o szlachetnym wyglądzie i zapewne bogatego, bo przecież on nic nie robi.

- A cóż byś powiedziała, Nanette, gdyby ten młodzieniec, który wydaje ci się tak prawy, lojalny i dobry, był podłym, kłamliwym zdrajcą?

- O mój Boże, panienko, powiedziałabym, że to niemożliwe.

- A gdybym ci powiedziała, że ten młodzieniec z mansardy, ukazujący się w oknie w tak prostym odzieniu, był wczoraj w Sceaux i w mundurze pułkownika podawał ramię pani du Maine?

- Powiedziałabym, och powiedziałabym, kochana panienko, że Bóg okazuje nareszcie panience sprawiedliwość zsyłając ci kogoś godnego ciebie. Matko Święta! Pułkownik, przyjaciel diuszesy du Maine! O, panno Batyldo, będziesz hrabiną, ja ci to powiadam, a to i tak nie za wiele dla ciebie, akurat tyle, na ile zasługujesz; i gdyby Opatrzność przyznawała każdemu jego porcję szczęścia, nie byłabyś, panienko, hrabiną, lecz diuszesa lub księżną, nawet królową; tak, królową Francji. No, proszę, pani de Maintenon przecież nią była!

- Nie chciałabym być taką jak ona, moja droga Nanette.

- Nie mówię, że taką jak ona. Zresztą nie kochasz króla, nieprawdaż, nasza złota panienko?

- Nikogo nie kocham, Nanette.

- Nie wypada mi panience zaprzeczać. No, niech tam, wyglądasz na chorą, a najlepsze lekarstwo na cierpienia młodych to słońce i świeże powietrze. Przyjrzyj się kwiatom pozostawionym w zamknięciu, robią się takie jak panienka, bledziutki. Niech panienka pozwoli mi otworzyć okno.

- Nanette, zabraniam ci tego stanowczo. Zajmij się swoimi sprawami, a mnie zostaw w spokoju.

- Już sobie idę, idę, panienko, skoro panienka mnie wyrzuca - rzekła Nanette podnosząc róg fartucha do kącika oka. - Ale na miejscu tego młodzieńca, wiedziałabym, jak postąpić.

- I cóż byś takiego zrobiła?

- Przyszłabym tu i sama wytłumaczyłabym wszystko. Jestem pewna, że jeśli on popełnił jakiś błąd, panienka by mu to wybaczyła.

- Nanette - zawołała Batylda drżąc na całym ciele - jeśli przyjdzie, nie waż się go wpuścić, zabraniam ci tego!

- Już dobrze, panienko, wcale go nie wpuszczę, choć to nie najgrzeczniej wyrzucać ludzi za drzwi.

- Grzecznie czy nie, zrobisz, jak ci każe - powiedziała Batyllda, której ów sprzeciw dodał sił, jakich z pewnością nie dałoby jej potakiwanie Nanette - a teraz chcę zostać sama, odejdz, proszę.

Nanette wyszła.

Nareszcie zupełnie sama, Batyllda rozplakała się: całą moc czerpała dotychczas ze swojej dumy, ale zraniona była w samo serce; okno pozostawiła zasłonięte.

Jak już powiedzieliśmy, Buvat wrócił parę minut po czwartej: Batyllda dostrzegła ślady niepokoju na zacnej, pucolowatej twarzy opiekuna i robiła wszystko, aby ten niepokój rozwiązać. Uśmiechała się, żartowała, dotrzymywała mu towarzystwa przy stole, ale nic to go nie rozchmurzyło i zaraz po obiedzie zaproponował Batylldzie mały spacer po tarasie. Batyllda przekonana, że jeśli odmówi, to on także nie ruszy się z miejsca, wyraziła zgodę, ale gdy weszli do pokoju Buvata, chwyciła się fortelu mówiąc, że musi spiesznie napisać list do księdza de Chaulieu, aby podziękować za uprzejmość, jaką okazał przedstawiając ją pani du Maine i, zostawiwszy Buvata na pastwę Mirzy, zeszła na dół.

W dziesięć minut później usłyszała skrobanie do drzwi, otworzyła je i wpuściła charciczkę.

Suczka wpadła do pokoju manifestując tak szaloną radość, że Batyllda domyśliła się, iż Mirzie przytrafiła się rzecz jakaś nadzwyczajna; przyjrzała się jej uważnie i wówczas spostrzegła list przywiązany do obroży. A że był to już drugi bilecik, dostarczony przez Mirzę, Batyllda nie potrzebowała długo odgadywać, skąd i od kogo pochodzi.

Pokusa była nazbyt silna, by dziewczyna bodaj próbowała się opierać. Na widok bilecika, od którego, jak sądziła, zależał jej los, omal nie zemdląca. Odczepiła papier, mięła go w jednej ręce, drugą zaś głaskała Mirzę, która tańczyła na tylnych łapkach, uszczęśliwiona, że stała się tak ważną osobistością.

Batyllda otwarła list, popatrzyła nań dwa razy, lecz nie mogła odczytać ani słowa: jakaś mgła przysłaniała jej wzrok.

List, mówiący bardzo wiele, nie wyjaśniał jednak wszystkiego. Kawaler zapewniał o swej niewinności i zarazem prosił o przebaczenie. Wspominał o osobliwych okolicznościach, które zmuszony jest zachować w tajemnicy. Ale ów list mówił przede wszystkim o tym, że jego

autor szaleje z miłości. W rezultacie bilecik ten, nie uspokoiwszy bynajmniej Batyldy, dobrze na nią wpłynął.

Powodując się jednak resztką isticie kobiecej ambicji, zdecydowała się nie zmieniać taktyki aż do dnia następnego.

Raul uznał się za winowajcę, należało go więc ukarać. Nie zdawała sobie sprawy biedaczka, że połowa wymierzonej sąsiadowi kary spadnie na nią.

Niemniej jednak ów list, choć nie osiągnął w pełni celu, wywarł wpływ tak zbawienny, że kiedy Buvat wrócił z tarasu, zastał Batyldę w znacznie lepszym nastroju niż przed godziną, gdy ją opuszczał: rumieńce pojawiły się znów na jej twarzy, wesolość stała się naturalna, wypowiedzi nie były już urywane i gorączkowe, jak to w przeddzień zauważył. Zaczął tedy wierzyć, że - jak go o tym przekonywała rano Batylda - był to skutek nerwowego podniecenia i wzruszeń z wczorajszego wieczoru. Wobec tego, mając do wykonania sporo pracy, Buvat poszedł na górę już o ósmej i zostawił Batyldę samą, skarżyła się bowiem na niewyspanie - położyła się o trzeciej w nocy - i chciała udać się na spoczynek, gdy tylko skończy codzienne zajęcia.

Batylda czuwała; pomimo ostatniej bezsennej nocy nie miała ochoty spać. Czuwała spokojna, zadowolona i szczęśliwa, wiedziała bowiem, że okiennice sąsiada są otwarte, odgadywała jego niepokój widząc, z jakim uporem jej wyczekuje. Ze trzy razy ogarniała ją chęć, by położyć kres tym oczekiwaniom i oświadczyć winowajcy, że jeśli się wytłumaczy, to otrzyma przebaczenie. Pomyślała jednak, że tak po prostu wyciągnąć rękę do kawalera nie wypada pannie w jej wieku i z jej pozycją; odłożyła więc sprawę do jutra.

Odmówiła jak zwykle pacierze i jak zwykle część jej modlitw poświęcona była Raulowi.

W nocy śniła, że Raul klęczy u jej stóp i podaje tak przekonujące powody swego spóźnienia, że w końcu nie on, lecz ona przyznała się do winy i prosiła o wybaczenie.

Toteż rankiem obudziła się z przeświadczeniem, że jej surowość była wręcz przesadna, i nie mogła pojąć, w jaki sposób zdobyła się na tyle odwagi, by skazać Raula na tak wielkie cierpienia.

W rezultacie, kierując się pierwszym odruchem, zbliżyła się do okna, by je otworzyć; ale przez wąziutką szparkę w zasłonie dostrzegła pięknego młodzieńca stojącego przy swoim

oknie. I to ją powstrzymało. Bo gdyby odsłoniła okno, czyż nie wyglądałoby to na jawne wyznanie miłości? Lepiej poczekać na Nanette. Nanette to zrobi, a będzie to gest całkiem naturalny, i tym sposobem młodzieniec nie będzie mógł się pysznić względami okazywanymi mu przez Batyldę.

Weszła Nanette; ale, skrzyczana wczoraj nazbyt ostro za owo nieszczęsne okno, nie miała ochoty narażać się na podobną reprimendę. Unikała więc okna jak ognia i kręciła się po pokoju nie wspominając nawet, że trzeba go przewietrzyć. Po godzinie uporała się ze sprzątnięciem i wyszła nie dotknąwszy nawet firanek. Batylda omal się nie rozplakała.

Potem zjawił się Buvat; zszedł, by napić się tu kawy, jak to zresztą było w jego zwyczaju. Batylda miała nadzieję, że opiekun ją zapyta, dlaczego siedzi w dusznym pokoju, co stanie się okazją, by poprosić go o otwarcie okna; ale Buvat, któremu konserwator biblioteki zlecił w przeddzień klasyfikowanie manuskryptów, tak ogromnie był przejęty swoimi fiskami, że na nic nie zwracał uwagi, może tylko na to, że Batylda lepiej wyglądała. Wypił tedy kawę podśpiewując swoją piosneczkę i wyszedł nie zrobiwszy najmniejszej aluzji do żałośnie opuszczonych zasłon. Po raz pierwszy zniecierpliwił i prawie rozgniewał swoją pupilkę; wydało jej się, że Buvat za mało się nią interesuje, skoro nie spostrzegł, iż dusi się ona w pokoju tak szczelnie zapieczętowanym.

Gdy została sama, osunęła się bezwładnie na krzesło. Z własnej woli znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Powinna była kazać Nanette, by otworzyła okno: nie chciała tego zrobić; powinna była otworzyć je sama: nie mogła się na to zdobyć.

Trzeba zatem czekać, ale jak długo? Do jutra, może do pojutrze, a co tymczasem pomyśli sobie Raul? Czy nie zniecierpliwi się tą jej nadmierną surowością? A jeśli znów opuści swój pokój na dwa tygodnie, na miesiąc, na sześć tygodni... na zawsze... kto wie... Wówczas Batylda umrze. Batylda już nie potrafi żyć bez Raula.

Tak upłynęły dwie godziny... dwa stulecia! Batylda próbowała wszystkiego: haftowała, grała na klawesynie, rysowała pastelami, ale nic jej nie szło. Gdy nagle pojawiła się Nanette, w serce nieboraczki wstąpiło trochę nadziei. Ale Nanette przez uchylone drzwi spytała tylko, czy może wyjść po najkonieczniejsze sprawunki. Batylda kiwnęła jej ręką na znak pozwolenia.

Nanette chodziła po sprawunki na przedmieście Saint-Antoine, zajmie to jej co najmniej

dwie godziny. Jak zapełni Batyllda te dwie godziny? Byłoby przyjemnie się przy oknie, słońce świeci pięknie, o czym świadczą jego promienie przenikające przez zasłony. Batyllda znów usiadła, wyjęła zza staniczka list; umiała go na pamięć, ale przeczytała raz jeszcze. Jak to się stało, że otrzymawszy taki list, nie poddała się natychmiast? Był ogromnie tkliwy, namiętny; wyczuwało się doskonale, że nadawca pisał go pod dyktando własnego serca. Och, gdyby mogła dostać drugi taki list!

Znakomity pomysł! Batyllda spojrzała na Mirzę. Mirza, urocza, miła posłanniczka! Wzięła suczkę w ramiona, ucałowała wąski, sprytny pyszczek; po czym, drżąc od stóp do głów, jakby popełniała zbrodnię, otworzyła drzwi na schody.

Przed drzwiami stał młody człowiek z ręką wyciągniętą w stronę dzwonka.

Batyllda wydała okrzyk radości, okrzyk młodzieńca wyrażał całą jego miłość.

Tym młodym człowiekiem był Raul.

VIII. Siódme niebo

Batylda cofnęła się w obawie, że padnie mu w objęcia.

Raul, szybko zamknąwszy drzwi, postąpił kilka kroków naprzód i rzucił się na kolana przed Batyldą.

Młodzi patrzyli na siebie z niewypowiedzianą czułością; potem jednocześnie zawołali do siebie po imieniu; dłonie ich złączyły się w gorącym uścisku i wszystko zostało zapomniane.

Te dwa biedne serca, którym wydawało się, że tak wiele mają sobie do powiedzenia, były niemal jedno przy drugim i milczały. Dusze ich skupiły się w oczach; przemawiali do siebie owym wielkim głosem milczenia, który w miłości mówi tak wiele i ma nad innymi głosami tę przewagę, że nigdy nie kłamie.

Trwali tak przy sobie przez parę minut. Wreszcie Batylda poczuła, że łzy napływają jej do oczu; przechyliła się do tyłu, nabierając, jakby z westchnieniem, powietrza w uciśnioną pierś:

- O mój Boże! Mój Boże! Jakże ja cierpiałam! - rzekła.

- A ja! - zawołał d'Harmental. - A ja! - powtórzył. - Z pozoru bardzo zawiniłem wobec pani, ale w rzeczywistości jestem niewinny.

- Niewinny - zdziwiła się Batylda, która w sposób naturalny reagując na to słowo, wywołała z pamięci wszystkie swoje początkowe wątpliwości.

- Tak, niewinny - powtórzył kawaler.

I wyznał Batyldzie wszystko, co mógł wyznać, to znaczy, jak pojedynkował się z La Fare'em; jak po owym pojedynku przybył na ulicę du Temps-Perdu, aby się tu schronić; jak ujrzał Batyldę i od razu ją pokochał; jak, zdumiony wielce, odkrywał kolejno, że jest ona dystygowaną panną, uzdolnioną malarką, mistrzynią gry na klawesynie i śpiewaczką; jak się ucieszył, kiedy nabrał przekonania, że nie jest jej całkiem obojętny; opisał też swoje szczęście, kiedy zaczął wierzyć, że jest kochany, i swoją radość, kiedy otrzymał jako pułkownik karabinierów rozkaz udania się do Bretanii i polecenie, by wracając stamtąd, zanim uda się do Paryża, zdał sprawę ze swej misji diusziesie du Maine. Pojechał więc wprost do Sceaux, ale

nie wiedział nic o festynie i był przekonany, że ruszy dalej natychmiast po złożeniu przywiezionych dokumentów, a tymczasem trafił na uroczyste przyjęcie i wbrew własnej woli - z uwagi na swoją powinność wobec diuka du Maine - musiał w nim wziąć udział. Tę relację zakończył wyrazami żalu, zapewnieniem miłości i przysięgą na wierność; tyle było uczucia w tych płomiennych słowach, że Batylda, chłonąc je całą sobą, prawie nie zwróciła uwagi na pewne niejasne szczegóły.

Przyszła teraz kolej na Batyldę. Miała ona również do opowiedzenia długą historię; ale nie było w niej przemilczeń ani spraw niejasnych. Nie dotyczyła ta historia jednego fragmentu jej życia, lecz całego życia. Z odrobiną dumy oświadczyła kawalerowi, że jest godna ukochanego, i zaczęła swą opowieść od wczesnego dzieciństwa, kiedy to była rozpieszczana przez matkę i ojca, zanim została opuszczoną przez wszystkich sierotą. I wówczas pojawił się Buvat, człowiek o prostackim wyglądzie i szlachetnym sercu: mówiła o jego dobroci i ofiarności, o względach, jakimi ją otaczał. Opisywała swoje beztroskie dzieciństwo i pełne zadumy lata panieńskie. Doszła wreszcie do momentu, gdy po raz pierwszy ujrzała d'Harmentalą, i tu uśmiechnęła się sploniona, czuła bowiem, że na tym powinna się jej opowieść skończyć.

Jednakże wcale a wcale tak nie było. Właśnie to, czego Batylda nie uważała za potrzebne wyjawiać, kawaler nade wszystko pragnął usłyszeć z jej własnych ust; nie darował jej najmniejszego szczegółu. Daremnie biedaczka milkła, rumieniła się, spuszczała oczy - na nic się to zdało: musiała otworzyć przed nim swoje dziewicze serce, a d'Harmental na klęczkach upajał się każdym jej słowem; kiedy skończyła, musiała wszystko powtórzyć od początku; d'Harmental wciąż nie mógł nasycić się jej słowami, był bowiem bezgranicznie szczęśliwy, że Batylda go kocha, i bezgranicznie dumny ze swojej miłości do niej.

Dwie godziny minęły jak dwie sekundy, młodzi nie mogli się z sobą rozstać, d'Harmental na kolanach przed Batyldą, Batylda nieco pochylona ku niemu, z dłońmi w jego dłoniach, z oczami wpatrzonymi w jego oczy - aż tu nagle ozwał się dzwonek u drzwi. Batylda spojrzała na zegar wiszący w kącie pokoju. Sześć minut po czwartej: nie sposób było się mylić - wrócił Buvat.

W pierwszej chwili Batylda przestraszyła się trochę, ale Raul uspokoił ją z uśmiechem:

miął przecież pretekst, którego dostarczył mu ksiądz Brigaud. Młodzi uścisnęli sobie ręce raz jeszcze i raz jeszcze spojrzeli sobie w oczy; po czym Batyllda otworzyła drzwi opiekunowi, który jak zwykle ucałował ją w czoło, a potem dopiero spostrzegł Raula.

Buvat był niepomiernie zaskoczony widokiem obcego mężczyzny w pokoju Batylldy. Wlepił w d'Harmentala swoje wielkie, zdziwione oczy i czekał; rytmicznie przy tym podnosił i opuszczał łaskę, nie dotykając nią jednak podłogi. Odniósł wrażenie, że gdzieś już widział tego młodzieńca.

D'Harmental zbliżył się do niego z ową swobodą bycia, niepojętą wprost dla ludzi innego stanu.

- Mam zaszczyt mówić z panem Buvat, to pan, nieprawdaż? - zapytał kawaler.

- We własnej osobie, mój panie - odparł Buvat z ukłonem, chociaż drgnął na dźwięk tego głosu, tak jakby go rozpoznawał, i równie znajoma wydała mu się twarz gościa - cały honor, proszę mi wierzyć, po mojej stronie...

- Czy znasz pan księdza Brigaud? - podjął d'Harmental.

- Tak, panie, doskonale go znam... tego... tego... od pani Denis.

- Tak - uśmiechnął się d'Harmental - spowiednika pani Denis.

- To człowiek, w moim mniemaniu, bardzo oświecony, łaskawy panie, bardzo świątły.

- W rzeczy samej. A czy nie skierowano pana kiedyś do owego księdza, abyś wykonał kopie pewnych pism?

- Tak, łaskawy panie, bo jestem kopistą, do pańskich usług.

Buvat skłonił się ponownie.

- A zatem - rzekł d'Harmental oddając Buvatowi ukłon - nasz drogi ksiądz Brigaud, który jest moim opiekunem... mówię to, byś wiedział, panie, z kim masz okoliczność... znalazł dla pana znakomite zajęcie.

- Och, doprawdy? Niechże pan siada, mości kawalerze.

- Dziękuję, najuprzejmiej dziękuję.

- Cóż to za zajęcie, proszę łaskawego pana?

- U księcia de Listhney, ulica du Bac, numer sto dziesięć.

- U księcia, łaskawy panie, u księcia?

- Tak. Zdaje mi się, że to Hiszpan korespondujący z “Mercure de Madrid”, któremu przesyła wszelkie nowości z Paryża.

- Ależ to skarb, łaskawy panie!

- Owszem, prawdziwy skarb, jak to sam powiedziałeś; przysporzy jednak panu trochę kłopotu, bo wszystkie depesze są pisane po hiszpańsku.

- Do licha! Do licha! - zatroskał się Buvat.

- Znasz pan hiszpański? - spytał d'Harmental.

- Nie, łaskawy panie, nie sądzę przynajmniej, bym znał.

- Mniejsza o to - rzekł d'Harmental kwitując uśmiechem wątpliwości Buvata. - Nie potrzebujesz znać języka, by kopiować pisma w tym języku skreślone.

- O, ja mogę kopiować nawet chińskie pismo, byle tylko grube i cienkie kreski były wystarczająco starannie wyrysowane, by tworzyć litery. Doprowadzona do pewnej perfekcji kaligrafia, łaskawy panie, jest sztuką naśladownictwa, tak jak rysunek.

- Wiem o tym dobrze, panie Buvat, że w tym względzie jest pan wielkim artystą - odparł d'Harmental.

- Pan mnie zawstydza, łaskawy panie - rzekł Buvat. - A teraz zadam panu pytanie, jeśli nie okaże się ono niedyskrecją: o jakiej porze zastanę Jego Wysokość?

- Jaką Jego Wysokość?

- Jego Wysokość księcia de... nazwisko uleciało mi z pamięci... które pan wymienił, które uczynił mi pan zaszczyt wymieniając? - mówił Buvat, sadząc się na uprzejmość.

- Ach, księżę de Listhney!

- O niego właśnie mi chodzi!

- On nie jest Jego Wysokością, panie Buvat.

- Przepraszam, myślałem, że wszyscy książęta...

- Bywają książęta i książęta... Ten jest księciem trzeciej rangi i wystarczy tytułować go dostojnym panem. To go całkowicie zadowolili.

- Sądzi łaskawy pan?

- Jestem tego pewny.

- I kiedyż będę mógł go zobaczyć, proszę pana?

- Za jaką godzinę, jeśli to panu dogadza: na przykład po obiedzie, między piątą i wpół do szóstej. Czy pamiętasz pan adres?

- Tak, ulica du Bac, numer sto dziesięć. Doskonale, doskonale, łaskawy panie! Stawię się punktualnie.

- A zatem - ozwał się d'Harmental - obym miał zaszczyt spotkać pana jeszcze kiedyś. Panienkę zaś proszę - dodał zwracając się do Batyldy - by zechciała przyjąć moje podziękowanie za dobroć, z jaką dotrzymywała mi towarzystwa podczas nieobecności pana Buvata, dobroć, za którą zachowam, przysięgam pani, wieczystą wdzięczność.

I po tych słowach, pozostawiając Batyldę nieco oszołomioną tym jego światowym obyciem, d'Harmental złożył pożegnalny ukłon i opuścił Buvata oraz jego pupilkę.

- Ten młodzieniec jest rzeczywiście bardzo miły - stwierdził Buvat.

- Tak, bardzo miły - powtórzyła machinalnie Batylda.

- Tylko jedno mnie trochę dziwi: wydaje mi się, że go już gdzieś widziałem.

- To możliwe - odparła Batylda.

- Tak samo jego głos... - ciągnął Buvat - jego głos, jestem o tym przekonany, nie jest mi obcy.

Batylda drgnęła; przypomniawszy sobie bowiem ów wieczór, kiedy Buvat wrócił całkiem rozdygotany po przygodzie, jaka spotkała go na ulicy des Bons-Enfants, a d'Harmental nie wspominał jej ani słowem, kto brał udział w tym zdarzeniu.

W tejże chwili weszła Nanette oznajmiając, że podała już obiad. Buvat, któremu pilno było pobiec do księcia de Listhney, pierwszy wkroczył do małej jadalni.

- No i co, panienko - szepnęła Nanette - przyszedł jednak ten piękny młodzieniec?

- Tak, Nanette, tak - rzekła Batylda wznosząc oczy ku niebu z wyrazem niewysłowionej wdzięczności - tak, przyszedł i jestem bardzo szczęśliwa.

I weszła do jadalni, gdzie Buvat, zawiesiwszy kapelusz na lasce, łaskę zaś oparłszy w kącie o ścianę, czekał już na nią klepiąc się po udach, czym wyrażał zazwyczaj wielkie zadowolenie.

Co do kawalera natomiast, ten był nie mniej szczęśliwy od Batyldy; kochała go, był o tym przekonany, bo powiedziała mu to z taką samą radością, jaką odczuwała, kiedy on jej

mówił, że ją kocha. Kochała go nie uboga sierota czy mała gryzетка, lecz młoda szlachcianka; na dworze królewskiego brata i jego syna rodzice jej zajmowali te stanowiska, które w owych czasach uważano za tym bardziej zaszczytne, że pozwalały na obcowanie z książętami. Nic więc nie stało na przeszkodzie związkowi Batyldy i Raula; jeśli dzieliła ich pewna różnica w hierarchii społecznej, to tak drobna, że Batyllda musiałaby zrobić jeden krok, by się wznieść - a d'Harmental jeden krok, by się nieco zniżyć - i spotkaliby się w połowie drogi. Co prawda, d'Harmental zapominał o sprzysiężeniu; zataił to przed Batyldą, jako że sekret nie należał tylko do niego; spisek ten otwierał mu pod stopami przepaść, która mogła go w każdej chwili pochłonać. Ale d'Harmental był daleki od takiego widzenia sprawy; miał pewność, że jest kochany, a w najbardziej smutnym i samotnym życiu słońce miłości ukazuje jasne horyzonty.

Batyldy nie nawiedzały przykre myśli na temat ich wspólnej przyszłości; słowo "małżeństwo" nie padło wprawdzie między nimi, lecz otworzyli przed sobą swoje czyste serca, a żaden kontrakt ślubny nie miałby tyle mocy, co uścisk dłoni Raula i jego jedno spojrzenie. Toteż, kiedy po obiedzie Buvat, winszujący sobie dobrego zarobku, jaki niespodziewanie mu się trafia, wziął laskę oraz kapelusz i poszedł do księcia de Listhney, Batyllda najpierw padła na kolana, by podziękować Bogu, potem rozradowana i ufna, bez wahania i zawstydenia podbiegła do tak długo nie otwieranego okna, d'Harmental natomiast od chwili powrotu do domu czatował już przy swoim.

Zakochani szybko omówili dalszy tryb postępowania: zaczął Nanette mieli we wszystko wtajemniczyć; codziennie, po wyjściu Buvata, d'Harmental miał zjawiać się u Batyldy i spędzać z nią dwie godziny; poza tym będą rozmawiali przez okno, a jeśli okoliczności na to nie zezwolą, będą do siebie pisywać.

Okolo siódmej sylwetka Buvata wyłoniła się z za rogu ulicy Montmartre; szedł swoim najpoważniejszym i najbardziej majestatycznym krokiem, w jednej ręce trzymał rulon papieru, w drugiej laskę; widać było po jego minie, że pocziwcowi przydarzyło się coś niezwykłego: został wprowadzony do księcia i rozmawiał osobiście z jaśnie panem.

Młodzi spostrzegli Buvata dopiero wówczas, kiedy był już pod ich oknami; d'Harmental zamknął natychmiast swoje.

Batyllda przeżyła teraz chwilę rozterki. Kiedy d'Harmental mówił Buvatowi o księciu de

Listhney, sądziła, że zmyślił na poczekaniu tę historyjkę, aby wytłumaczyć swoją obecność u Batyldy. Nie zdążyła poprosić go o wyjaśnienie, nie śmiała też odwieść Buvata od wizyty na ulicy du Bac i czuła wyrzuty sumienia, gdy tam wyruszał. Kochała Buvata, żywiła dla niego głęboką wdzięczność i niemal nabożny respekt i dlatego w jej oczach nie był on śmieszny; czekała tedy z niepokojem, aby wyczytać z twarzy opiekuna bieg wydarzeń: oblicze Buvata promieniało.

- No i co, drogi ojcze? - spytała z odrobiną lęku.

- Ano, byłem u Jego Wysokości.

Batylda odetchnęła z ulgą.

- Przepraszam - rzekła z uśmiechem - wiesz dobrze, bo pan Raul wyraźnie ci to powiedział, że książe de Listhney nie ma prawa do tytułu, ponieważ jest zaledwie księciem trzeciej rangi.

- Przyznaję mu pierwszą i podtrzymuję tytuł Jego Wysokości - odparł Buvat. - Książe trzeciej rangi, a niechże mnie...! Wzrost pięć stóp i osiem cali, postura majestatyczna, ten pan zgarnia ludory łopata. Ten pan płaci za jedną skopiowaną stronę piętnaście liwrów!... I dał mi dwadzieścia pięć ludwików zaliczki!... Książe trzeciej rangi... No tak, faktycznie!

W umyśle Batyldy pojawiło się nowe podejrzenie, że, mianowicie, zajęcie, które Raul nastreczył Buvatowi, jest tylko sposobem zaopatrywania pocziwca w pieniądze pod pozorem, że je zarabia. Ta obawa miała w sobie coś upokarzającego i serce Batyldy ścisnął ból. Zwróciła spojrzenie ku oknu d'Harmentalala i zobaczyła w nim młodzieńca, który poprzez szybę patrzył na nią z tak wielką miłością, że nie potrafiła już myśleć o niczym innym tylko o tym, by swoim spojrzeniem wyrazić mu podobne oddanie; nawet Buvat, niezbyt biegły w wykrywaniu u bliźnich tego rodzaju sentymentów, zauważył ożywienie swojej wychowanki i podszedł do okna, chcąc przekonać się, lecz bez złej myśli, co tak przyciąga jej wzrok. Ale d'Harmental na widok Buvata natychmiast opuścił storę i pocziwiec nie zdołał zaspokoić swojej ciekawości.

- A zatem, drogi ojcze - spiesznie ozwała się Batylda, chcąc odwrócić uwagę Buvata od okna - jesteś zapewne rad?

- Jestem nadzwyczaj zadowolony. Ale muszę ci coś jeszcze powiedzieć.

- Co takiego?

- Boże mój! Coś o nas... Jaka słabą mam pamięć!

- Co ci się przytrafiło?

- Więc, jak sobie przypominasz, mówiłem ci, że poznaję twarz i głos tego młodzieńca, choć nie mogę dociec, gdzie się z nim zetknąłem.

- Tak, tak, mówiłeś mi o tym.

- I dzisiaj, kiedy szedłem ulicą des Bons-Enfants w stronę Pont Neuf i kiedy znalazłem się naprzeciw numeru dwudziestego czwartego, doznałem nagle jakby olśnienia: młodzieniec wydał mi się tym człowiekiem, com go spotkał owej pamiętnej nocy, o której nie potrafię myśleć spokojnie.

- Doprawdy, drogi ojcze? - zawołała Batyllda przejęta nagłym drżeniem. - Och, toż to rzecz niepojęta!

- Tak, to rzecz niepojęta! Miałem nawet ochotę zaraz zawrócić. Pomyślałem, że ów książe de Listhnay jest może szefem niecnej bandy, i kto wie, czy te zbiry nie chcą mnie uwięzić w jakimś lochu; ale że nigdy nie noszę przy sobie pieniędzy, uznałem moje obawy za przesadne i na szczęście pokonałem je drogą logicznego rozumowania.

- I teraz - ozwała się Batyllda - jesteś, ojcze, całkiem przekonany, że ten biedny młodzieniec, który zjawił się tu dzisiejszego popołudnia ze zleceniem od księdza Brigaud, nie ma nic wspólnego z człowiekiem z ulicy des Bons-Enfants?

- Niewątpliwie. Przywódca bandytów, bo jestem pewny, że taką pozycję społeczną zajmuje, a więc przywódca bandytów nie byłby w tak bliskich stosunkach z Jego Wysokością.

- Och, to nie miałoby sensu - przyznała Batyllda.

- Najmniejszego sensu. Ale, ale, byłbym zapomniał: wybacz mi, moje najmilsze dziecko, że nie zostanę z tobą dziś wieczorem; przyrzekłem Jego Wysokości, że od razu siądę do przepisywania, i chcę dotrzymać słowa. Dobranoc, moja droga.

- Dobranoc, ojcze.

I Buvat powędrował do siebie, aby natychmiast zabrać się do pracy, za którą tak hojnie płacił książe de Listhnay.

A co do dwojga zakochanych, powrócili oni do rozmowy, przerywanej w momencie pojawienia się Buvata, i Bóg raczy wiedzieć, kiedy zamknęły się obydwa okna.

Część druga (c.d.)

IX. Sukcesor Fenelona

Dzięki umowie, jaką dwoje młodych z sobą zawarło, ich tak długo powściągane uczucie mogło bujnie rozkwitać i parę dni upłynęło im jak jedna chwila, byli bowiem istotami najszcześniejszymi na świecie.

Ale kula ziemską, która jakby dla nich zatrzymała swe obroty, obracała się wszelako dla innych i wypadki, co miały ich zbudzić w najmniej spodziewanym momencie, dojrzały już w ciszy.

Diuk de Richelieu dotrzymał obietnicy; marszałek de Villeroi, który opuścił Tuilerie zaledwie na tydzień - jak to zresztą widzieliśmy - został przyzwany już czwartego dnia listem pani marszałkowej, donoszącej mu, że jego obecność przy królu jest bardziej niż kiedykolwiek pożądana, albowiem w Paryżu szaleje odra i nawet parę osób w Palais-Royal padło jej ofiarą.

Pan de Villeroi powrócił wprędce, bo jak pamiętamy, wszystkie zgony, które przed paroma laty następowały jedne po drugich pogrążając w smutku całe królestwo, przypisywano owej właśnie epidemii, marszałek zaś nie miał chęci poniechać okazji do zaprezentowania swej troskliwości, której znaczenie, a zwłaszcza skuteczność, zawsze eksponował przesadnie. Istotnie, jako guwerner młodocianego króla korzystał z przywileju stałego przebywania u boku dostojnego ucznia, bez wyraźnego rozkazu monarchy mógł asystować podczas wizyt różnych osobistości, nawet w czasie rozmów króla z regentem. Owóż w stosunku do regenta marszałek usiłował zachowywać niezwykłą ostrożność, i ta ostrożność była wodą na młyn nienawidzącej księcia Orleańskiego pani du Maine i jej zwolenników; wynosili oni pod niebiosa cnoty pana de Villeroi, rozpowiadali, że marszałek znalazł na kominku w komnacie króla zatrute cukierki, podłożone przez nieznaną osobę. Wskutek tego mnożyły się kalumnie, jakimi obrzucano diuka Orleańskiego, a jednocześnie rosło znaczenie marszałka, który tym w końcu zdołał przekonać Ludwika XV, że swemu guwernerowi zawdzięcza on życie. Ludwik XV, biedne królewskie dziecko, nawykłe lękać się wszystkiego, tak wziął to sobie do serca, że obdarzał zaufaniem tylko swych dwóch guwernerów: marszałka de Villeroi i biskupa z Frejus, pana de Fleury.

Marszałek de Villeroi był więc człowiekiem wymarżonym do wykonania misji, jaką mu

powierzono; a jednak cechujące go niezdecydowanie sprawiało, że przez pewien czas zwlekał z podjęciem ostatecznych kroków. Ustalono tedy, że w najbliższy poniedziałek, w dniu, kiedy z racji niedzielnych wieczery regent rzadko bywał u króla, oba listy Filipa V zostaną wręczone Ludwikowi XV; po czym pan de Villeroi, korzystając z sam na sam ze swoim uczniem, skłoni go do podpisania aktu zwołania stanów generalnych, który zostanie natychmiast wysłany i ogłoszony nazajutrz, jeszcze przed wizytą regenta u jego królewskiej mości; w ten sposób owej nieoczekiwanej decyzji nie będzie już można odwołać.

Podczas gdy układano przeciw niemu plany, regent wiódł zwykły tryb życia, pochłonięty przez różnorodne zajęcia, eksperymenty, przyjemności i, zwłaszcza, przez niesnaski domowe. Jak już o tym wspomnieliśmy, trzy córki przysparzały regentowi немало kłopotów, i to kłopotów poważnych, całkiem realnych: pani de Berry, którą lubił najbardziej - wydobył ją bowiem z choroby, gdy znakomici lekarze skazali już nieszczęsną na śmierć - niepomna skromności, kompromitowała się publicznie z Riometem, a na każdą uwagę rodzica odpowiadała groźbą, że swojego amanta poślubi; groźba ta była dość osobliwa, ale w tamtych czasach przywiązywano wielką wagę do hierarchii społecznej i gdyby tę groźbę spełniła, wywołałaby o wiele większy skandal aniżeli gorszącym romansem, jakże łatwym w innej epoce do usankcjonowania przez małżeństwo.

Panna de Chartres natomiast twierdziła z uporem, że chce zostać zakonnicą, i nie sposób było wykryć, czy to postanowienie jest, jak sądził regent, skutkiem sercowego zawodu, czy też wypływa z prawdziwego powołania. Dodajmy, że jeszcze jako nowicjuszka korzystała z wszelkich uciech światowych, dających się przemycić do celi klasztornej; kazała sobie przywieźć fuzje i pistolety, przebogaty zapas rakiet, ogni sztucznych i petard oraz rzymskich świec, dzięki czemu dostarczała co wieczór pirotechnicznych rozrywek swoim młodym przyjaciółkom; nie przekraczała zresztą progów opactwa w Chelles, gdzie jej ojciec odwiedzał ją w każdą środę.

Trzecią córką regenta, z którą najtrudniej sobie radził, była panna de Valois; ojciec nie mógł się oprzeć podejrzeniu, że jest ona metresą diuka de Richelieu; ale nie potrafił uzyskać na to niezbitego dowodu, choć skierował całą swoją policję na tropy domniemanych kochanków i chociaż sam wkraczał do apartamentów córki w porach, kiedy sądził, że

przyjmuje tam swego wielbiciela. Podejrzenia regenta spotęgowały się jeszcze wobec sprzeciwu, jaki okazała matce nakłaniającej ją do małżeństwa z synowcem księcia de Dombes; stanowił on doskonałą partię wzbogaciwszy się na "szczątkach" fortuny córki Gastona Orleańskiego. Regent znalazł inną sposobność, by przekonać się, czy panna de Valois kieruje się w swej odmowie antypatią do młodego księcia, czy też miłością do przystojnego diuka de Richelieu - przyjął więc propozycję, złożoną mu przez Plenoeuфа, francuskiego ambasadora w Turynie, i zgodził się oddać rękę pięknej Charlotty-Aglae księciu Piemontu. Panna de Valois buntowała się przeciw nowemu spiskowi godzącemu w jej serce; ale daremnie szlochała i biadoliła, regent, mimo pobłażania i wrodzonej dobroci, tym razem był nieustępliwy i zrozpaczeni kochankowie nie mieliby już żadnej nadziei, gdyby nieoczekiwana okoliczność nie popsuła planów regenta. Otóż Madame, księżna matka, z iście niemiecką szczerością napisała do królowej Sycylii, jednej ze swoich najczęstszych korespondentek, że pragnie ją przez wielką życzliwość uprzedzić, iż księżniczka przyrzeczona księciu Piemontu ma kochankę, a tym kochankiem jest diuk de Richelieu. Łatwo odgadnąć, że podobne oświadczenie Madame, niewiasty o tak surowych obyczajach, zerwało wszystkie pertraktacje na temat mariażu, choć były już one daleko posunięte. Regent najszczerzej przekonany, że pozbędzie się córki, dowiedział się o nagłym zerwaniu, a w parę dni później o przyczynie zerwania; boczył się przez jakiś czas na Madame i przeklinał jej manię pisania listów. Ale że był to człowiek najmniej ze wszystkich na świecie pamiętliwy, wkrótce sam się śmiał z owych manewrów epistolarnych swej matki i zajął się innym, równie ważnym problemem: chodziło o Dubois, który ze wszystkich sił dążył do zdobycia godności arcybiskupa.

Widzieliśmy, jak po swym powrocie z Londynu Dubois żartobliwie sprawę zapoczątkował i jak regent ustosunkował się do rekomendacji króla Wilhelma; ale Dubois nie dałby się zrazić pierwszą odmową. Cambrai nie było jeszcze obsadzone, bo kardynała La Tremouille śmierć zaskoczyła w Rzymie. Cambrai należało do najbogatszych arcybiskupstw i najbardziej liczących się stanowisk Kościoła: wiązało się z nim sto pięćdziesiąt tysięcy liwrów subwencji, a Dubois będąc zdania, że od przybytku głowa nie boli, imał się wszelkich możliwych sposobów, choć doprawdy trudno stwierdzić, czy bardziej wabiła go duchowa

sukcesja po Fenelonie, czy też zasobne beneficjum. Dubois upomniął się ponownie o to arcybiskupstwo przy pierwszej nadarzającej się okazji. Ale i tym razem, jak uprzednio, regent chciał rzecz całą obrócić w żart; Dubois stał się jednak bardziej stanowczy i mocniej nalegał. Regent nie znosił nudziarstwa, Dubois zaczynał go już nudzić swoim uporem; sądząc, że przycisnie księdza do muru, rzucił mu wyzwanie: niechaj znajdzie prałata, który zechce mu udzielić sakry.

- Tylko tyle? - zakrzyknął Dubois, ogromnie uradowany. - Mam już takiego pod ręką.

- Niepodobna - rzekł regent, któremu aż się wierzyć nie chciało, że w pochlebstwie można posunąć się tak daleko.

- Wasza Wysokość sam zobaczy - powiedział Dubois. I wybiegł z gabinetu.

Wrócił po pięciu minutach.

- No i co? - spytał regent.

- To, że wszystko załatwione - odparł Dubois.

- I któż to jest ten kapłan, który zgodził się konsekrować takiego kapłana jak ty?

- Pański pierwszy jałmużnik we własnej osobie, Wasza Wysokość.

- Biskup z Nantes?

- Ni mniej, ni więcej.

- Tressan?

- We własnej osobie.

- Niepodobna!

- Proszę spojrzeć, oto on.

W tym momencie otworzyły się drzwi i woźny zaanonsował jego ekscelencję biskupa Nantes.

- Proszę wejść, Monsignore, proszę! - zawołał Dubois podbiegając ku niemu. - Jego Książęca Wysokość uczynił nam obu wielki zaszczyt, mnie, jak to już powiedziałem, mianował biskupem Cambrai, a Jego Eminencję wybrał do udzielenia mi święceń.

- Dostojny biskupie z Nantes - ozwał się regent - czy godzisz się istotnie uczynić tego kleroika arcybiskupem?

- Życzenie Waszej Wysokości jest dla mnie rozkazem.

- Ale Eminencja wie przecież, że nosi on tylko tonsurę, ani z niego subdiakon, ani diakon, ani nawet nie ma święceń kapłańskich.

- To bagatelka - przerwał regentowi Dubois. - Biskup z Nantes powie Jego Wysokości, że wszystkie te stopnie mogą być nadane w ciągu jednego dnia.

- Przecież nigdy jeszcze nikt nie piał się po tej drabinie z taką szybkością!

- Owszem, powołam się tu na świętego Ambrożego.

- A zatem - roześmiał się regent - skoro masz, księżę, za sobą ojców Kościoła, nie mogę pisać ani słowa. Oddaję cię pieczy biskupa de Tressan.

- I ja zwrócę go Waszej Wysokości z pastorałem i mitrą.

- Ale trzeba przecież mieć licencjat - zauważył regent, którego zaczęła w końcu bawić owa dyskusja.

- Mam to obiecane przez uniwersytet w Orleanie.

- Potrzebne ci jeszcze inne świadectwa, biskupie pismo przyzwalające...

- Od tego jest Besons!

- A świadectwo moralności, dobrych obyczajów?

- Otrzymam je, i to z podpisem kardynała de Noailles.

- Och, księżę, szczerze ci tego odradzam!

- Wasza Wysokość zatem wystawi mi sam świadectwo. I, do diaska, podpis regenta Francji będzie miał nie mniejszy kredyt w Rzymie niż podpis byle kardynała.

- Dubois - ozwał się regent - proszę o nieco więcej respektu dla książąt Kościoła.

- Wasza Wysokość ma rzeczywiście rację, bo czy można przewidzieć, kim się kiedyś człowiek stanie?

- Ty miałbyś zostać kardynałem! Coś takiego! - zawołał regent wybuchając śmiechem.

- Skoro Wasza Wysokość nie chce ofiarować mi błękitnej wstęgi z orderem Ducha Świętego, bom nie szlachcic - powiedział Dubois - muszę zadowolić się purpurą, czekając na coś lepszego.

- Na coś lepszego, kardynale?!

- Bo i dlaczego nie miałbym zostać pewnego dnia papieżem?

- Istotnie. Borgia nim był!

- Bóg obdarzył nas obu dobrym zdrowiem, a więc Wasza Wysokość długo pożyje i może jeszcze zobaczy wiele innych rzeczy.

- Dalibóg! - odparł regent. - Wiesz dobrze, że kpię sobie ze śmierci.

- Niestety! Aż nadto.

- Czyżbyś chciał, abym przez ciekawość został tchórzem?

- Nic by w tym nie było złego; i tak na początek Wasza Książęca Wysokość postąpiłby słusznie, zaprzestając swoich nocnych eskapad.

- A to dlaczego?

- Nade wszystko dlatego, że Wasza Wysokość ryzykuje życiem.

- Ech, co mi tam!

- I z innej przyczyny również.

- Z jakiej?

- Z takiej, że dla Kościoła są one przedmiotem skandalu - powiedział Dubois z miną hipokryty.

- A idź do diabła!

- No i proszę - zwrócił się Dubois do Tressana - pośród jakich to libertynów i zatwardziałych grzeszników jestem zmuszony żyć! Mam nadzieję, że Eminencja weźmie pod uwagę moją sytuację i nie okaże się nazbyt surowy wobec mnie.

- Zrobimy, co się tylko da, księżę biskupie - odparł Tressan.

- Kiedy to nastąpi? - spytał Dubois nie chcąc tracić ani chwili.

- W momencie, kiedy ksiądz będzie gotów.

- Proszę o trzy dni.

- Doskonale! Czwartego dnia będę na usługi.

- Dziś jest sobota, do wtorku zatem!

- Do wtorku - zgodził się Tressan.

- Muszę tylko uprzedzić księdza zawczasu - dodał regent - że przy twojej sakrze zabraknie pewnej dość znacznej osobistości.

- Kto ośmieliłby się znieważać mnie w ten sposób?

- Ja.

- Wasza Książęca Wysokość stawi się niezawodnie i zasiądzie w oficjalnej łoży.
- Mówię ci, że nie.
- Zakładam się o tysiąc ludwików.
- A ja ci daję na to moje słowo honoru.
- Podwajam stawkę.
- Cóż za bezczelność!
- Do wtorku, Eminencjo; do spotkania na mojej sakrze, Wasza Książęca Mość.

I Dubois wybiegł uradowany, aby rozgłaszać wszędzie wieść o swoich awansach.

Ale pomylił się co do jednej kwestii; co do zgody kardynała de Noailles; ani prośby, ani groźby nie zdołały wyrwać kardynałowi z rąk świadectwa obyczajności, które wedle przechwałek naszego księdza miał tak ochoczo podpisać. Co prawda, tylko kardynał de Noailles odważył się tak szlachetnie przeciwstawić skandalowi, jaki zagrażał ojcom Kościoła; uniwersytet w Orleanie poświadczył żądany licencjat; Besons, arcybiskup w Rouen, dał pismo przyzwalające; kiedy wszystko było gotowe na zaplanowany dzień, Dubois o piątej rano wyjechał w stroju myśliwskim do Pontoise, gdzie zastał biskupa z Nantes, który zgodnie z przyrzeczeniem wyświęcił go na subdiakona, diakona i kapłana. W południe wszystko było skończone i o czwartej - wzięwszy uprzednio udział w posiedzeniu Rady Regencyjnej, które odbywało się w starym Luwrze z powodu, jak to już powiedzieliśmy, epidemii panującej w Tuilerych - Dubois wrócił w progi własnego domu w szatach arcybiskupich. Pierwszą osobą, którą tam zobaczył, była Filonka. Z racji podwójnej roli - oddawała usługi tajnej policji i prowadziła dom schadzek - mogła odwiedzać ministra o każdej porze, a zatem, mimo iż dzień był tak uroczysty, nie zamknięto przed nią drzwi, gdy wyjawiała, że przychodzi w sprawach najwyższej wagi.

- Ach - zawołał Dubois na widok starej przyjaciółki - co za miłe spotkanie!

- Dalibóg, kumie - odparła Filonka - skoro jesteś na tyle niewdzięczny, że zapominasz o wiernych przyjaciółkach, ja nie jestem na tyle głupia, by zapominać o moich, zwłaszcza wtedy, gdy wspinają się po stopniach hierarchii.

- Powiedz mi zatem - rzekł Dubois, biorąc się do zdejmowania swoich ozdób kapłańskich - czy zamierzasz nadal, choć zostałem arcybiskupem, nazywać mnie kumem?

- Częściej niż kiedykolwiek i tak mi na tym zależy, że za pierwszą wizytą regenta poproszę go o opactwo, żebyśmy zawsze szli w parze, ty i ja.

- To ten libertyn nie przestał cię odwiedzać?

- Niestety, już nie u mnie bywa, mój zacny kumie. Minęły te dobre czasy; ale mam nadzieję, że dzięki tobie znowu zaczną przychodzić i w ten sposób dom odniesie korzyść z twojego wyniesienia.

- Och, moja zacna kumo - rzekł Dubois pochylając się, by FILONKA rozpięła mu pelerynkę - wiesz doskonale, iż rzeczy zmieniły się teraz i nie mogę składać ci wizyt tak jak niegdyś.

- Pyszałek z ciebie; Filip tak się nie cenił.

- Filip został tylko regentem Francji, a ja jestem arcybiskupem. Rozumiesz? Potrzebuję kochanki, którą mógłbym odwiedzać, nie wywołując skandalu: na przykład panią de Tencin.

- Która zdradza cię z diukiem de Richelieu.

- A kto ci powiedział, że nie zdradza diuka ze mną?

- Czy ona przypadkiem nie oddaje się dwóm potęgom: miłości i policji?

- Być może. Ale a propos policji - prawil Dubois nie przestając się rozbierać - czy zdajesz sobie sprawę, że od kilku miesięcy twoja policja śpi twardym snem i że jeśli nadal tak będzie, okaże się, że trzeba cofnąć ci subwencję.

- Ach, ty nędzniku! - wykrzyknęła FILONKA. - To tak traktujesz swoje dawne znajome! Przyszłam podzielić się z tobą pewną rewelacją; nie dowiesz się o niczym, i tyle.

- Rewelacją? Czegóż ona dotyczy?

- Tra-ta-ta-ta, odbierz mi subwencję, no, proszę, stary nudziarzu!

- Czyżby rzecz dotyczyła Hiszpanii? - zapytał nowo kreowany arcybiskup marszcząc brew, wyczuł bowiem instynktownie, że niebezpieczeństwo zagraża z tej właśnie strony.

- Rzecz nie dotyczy niczego, kumie; może tylko tego, że chciałam ci przedstawić ładną dziewczynę; ale skoro sttałeś się pustelnikiem, to i dobranoc.

I FILONKA postąpiła cztery kroki w kierunku drzwi.

- Uspokój się i chodź tutaj - rzekł Dubois, robiąc także cztery kroki w kierunku sekretery.

Dwoje zażyłych przyjaciół, wprost stworzonych do tego, by się wybornie rozumieć, popatrzyło na siebie z uśmiechem.

- No, dobrze, dobrze, widzę, że jeszcze nie wszystko stracone, że pozostała w tobie odrobina łaskawości, mój kumie. Zdecyduj się wreszcie otworzyć twój święty sekretarzyk, pokaż mi, co ma on w brzuszku, a ja otworzę usta i powiem ci, co mam na sercu.

Dubois wydobył rulon złotych monet i pokazał je Filonce.

- A co zawiera ta kielbaska? - spytała. - Tylko nie kłam; dla pewności zresztą sama policzę.

- Sto ludwików. Dwa tysiące czterysta liwrów to, jak mi się zdaje, niezły grosz.

- Dla księdza, tak, ale nie dla arcybiskupa.

- Ależ nieszczęsna - obruszył się Dubois - czyżbyś nie wiedziała, do jakiego stopnia finanse są teraz okrojone?

- No to co? Czemu się niepokoisz, kpiarzu, skoro Law przysporzy nam milionów!

- Więc może zamiast tego rulonu wolisz akcje Missisipi opiewające na dziesięć tysięcy liwrów?

- Dziękuję, kochasiu, wolę sto ludwików; daj, jestem uczciwą kobietą i wierzę, że kiedyś będziesz hojniejszy.

- Dobrze; a teraz mów, co masz do powiedzenia. Proszę.

- Przede wszystkim, kumie, musisz mi coś przyrzec.

- Co?

- Chodzi o mojego starego przyjaciela, pamiętaj, że nie może mu się przytrafić nic złego.

- A jeśli twój stary przyjaciel to łajdak, zasługujący na powieszenie, to czemu chcesz mu oszczędzić szubienicy?

- Tak musi być. Mam swoje sekrety.

- No to się wnoś. Nie mogę ci nic obiecać.

- Dobranoc, kumie; oto twoje ludwiki.

- Coś podobnego! Udajesz teraz aniołka?

- Nie, ale mam wobec niego poważne zobowiązania. To on wprowadził mnie w świat.

- No tak. Może się chlubić, że tego dnia oddał społeczeństwu znakomitą przysługę.
- Nie byle jaką, mój krewniaku. Nie będzie musiał okazywać skruchy, bo nie powiem dziś ani słowa, jeśli on nie zostanie przy życiu.
- Dobrze już, dobrze. Nie postrada życia. Przyrzekam ci to, jesteś zadowolona?
- A na co przysięgasz?
- Na honor uczciwego człowieka.
- Kumie, chcesz mnie oszukać.
- Zaczynasz mnie nudzić.
- O, nudzę cię? Żegnaj zatem.
- Każę cię, moja kumo, aresztować.
- Gwizdżę na to.
- Wsadzę cię do więzienia.
- To i co z tego?
- Będziesz tam siedziała, aż zgnijesz.
- Aż ty sam zgnijesz. A nie musisz na to długo czekać.
- Więc czego w końcu chcesz?
- Chcę, by mój kapitan zachował życie.
- Będzie żył.
- Na co przysięgasz?
- Na honor arcybiskupa!
- Przysięgnij na coś innego.
- Na honor księdza.
- Jeszcze na coś innego.
- Na honor niejakiego Dubois.
- Nareszcie. Muszę ci najpierw powiedzieć, że mój kapitan jest największym obdartusem w całym królestwie.
- Do diabła! Ma sporą konkurencję!
- Ale jemu należy się ten zaszczyt.
- Mów dalej.

- Owóz mój kapitan jest od pewnego czasu bogaty jak Krezus.
- Okradł pewnie poborcę podatków państwowych.
- Niezdolny do tego. Zabić... i owszem, ale ukraść... za kogo go bierzesz?
- Więc skąd ma te pieniądze, jak myślisz?
- A ty znasz się na pieniądzach?
- Tak.
- Więc skąd się biorą te oto?
- Ho, ho, ho, toć to dublony hiszpańskie!
- I bez domieszki... Z wizerunkiem Carlosa Drugiego... Dublony warte czterdzieści osiem liwrów, ni mniej, ni więcej... A płyną mu z kieszeni jak ze źródła, temu biednemu, drogiemu obdartusowi.
- Od kiedy to twój kapitan tak obficie pluje tym złotem?
- Od kiedy? Od wigilii tego dnia, w którym regent cudem uniknął porwania na ulicy des Bons-Enfants. Pojmujesz, kumie, tę zbieżność?
- Tak. Ale dlaczego dopiero dziś mi o tym mówisz?
- Bo kieszeń mu już tęchnie i nadszedł właściwy moment, by dowiedzieć się, gdzie ją napompuje.
- Może i słusznie. Chciałaś dać mu dość czasu, aby znalazł się w takiej sytuacji.
- Aha! Każdy chce żyć.
- No, proszę! Wszyscy będą żyli, kumo, nawet twój kapitan. Powinnaś jednak zrozumieć, że ja muszę wiedzieć, czym się on zajmuje, jak spędza dzień.
- Każdy dzień.
- W której z pańienek jest zakochany?
- Kiedy ma pieniądze, we wszystkich.
- A gdy ich nie ma?
- W Normandce. To dama jego serca.
- Znam ją, chytra z niej mucha.
- Ale nie możemy na nią liczyć.
- Dlaczego?

- Bo ta mała głuptaska go kocha.
- Skoro tak, to nasz zuch ma piekielne szczęście.
- I zasługuje na nie. To złote serce, tyle że bez grosza przy duszy. Nie jest taki jak ty,

stary sknero.

- Dobrze, dobrze. Wiesz, że trafiają się okazje, kiedy jestem rozrzutniejszy od syna marnotrawnego. Tylko od ciebie zależy, żeby taka okazja się nadarzyła.

- Ano, zrobię, co się da.
- I co dzień będę dostawał wiadomości o twoim kapitanie?
- Co dzień, powiedziałam.
- Na co przysięgasz?
- Na honor uczciwej kobiety.
- Wymyśl coś innego.
- Na honor Filonki.
- To mi się podoba.
- Do widzenia, przewielebny księżę arcybiskupie.
- Do widzenia, kumo.

Filonka skierowała się ku drzwiom, lecz kiedy już miała wyjść, zjawił się pokojowiec.

- Wasza Wielbność - rzekł - jakiś zacny człowiek chciałby z księdzem arcybiskupem mówić.

- A któż to zacz ów zacny człowiek, głupcze?
- Urzędnik Biblioteki Królewskiej, który w wolnych chwilach kopiuje pisma.
- Czegóż on chce?
- Twierdzi, że ma do przekazania Waszej Eminencji niezwyklej wagi wiadomość.
- Na pewno jakiś nieborak ubiegający się o wsparcie.
- Nie, Eminencjo. On mówi, że to sprawa polityczna.
- Do diabła! Czego ona dotyczy?
- Dotyczy Hiszpanii.
- Każ mu wejść. Ty zaś, kumo, zmykaj do alkowy.
- A to dlaczego?

- Bo mój pisarczyk i twój kapitan mogą się znać przypadkiem...

- O, to byłoby zabawne - powiedziała Filonka.

- No więc ukryj się szybko.

Filonka weszła do alkowy, którą wskazał jej Dubois.

Pokojowiec otworzył drzwi i zaanonsował pana Jana Buvata.

A teraz powiemy, jak to się stało, że ta ważna w naszej historii postać dostała zaszczytu prywatnej audiencji u arcybiskupa Cambrai.

X. Wspólnik księcia de Listhnay

Rozstaliśmy się z Buvatem, kiedy z rulonem w ręku wracał do domu, aby dotrzymać słowa danego księciu de Listhnay. Przystąpił do pracy z wielkim nabożeństwem pomimo trudności, na jakie się natykał kopiując pisma w obcym języku; nazajutrz, o godzinie siódmej wieczorem, odniósł manuskrypty na ulicę du Bac, gdzie z tych samych dostojnych rąk otrzymał nowe zadanie, które wykonał z tą samą akuratnością.

Księżę de Listhnay, nabrawszy zaufania do człowieka, który dał mu tak niezaprzeczalne dowody punktualności, tym razem wziął z biurka pakiet pism, o wiele większy niż poprzednie, i aby nie fatygować Buvata codziennie, i z pewnością dlatego, by siebie również nie fatygować, poprosił go o dostarczenie całości za trzy lub cztery dni, wyznaczając tym samym przerwę w ich spotkaniach. Buvat wrócił do domu jeszcze dumniejszy i wielce zaszczycony owym dowodem zaufania; zastał Batyldę tak wesołą i szczęśliwą, że udał się do swojego pokoju pogrążony w niebiańskiej wprost błogości. Zabrał się natychmiast do roboty i nie trzeba wam mówić, że ów stan ducha wpłynął korzystnie na jego wydajność pracy. Chociaż wbrew pierwotnym nadziejom nie zrozumiał ani słowa z tej hiszpańszczyzny, to jednak szybko nauczył się ją kopiować; dlatego też ów rodzaj mechanicznej czynności, nie wymagającej nawet trudu śledzenia obcej myśli, pozwalała Buvatowi podśpiewywać ulubioną piosneczkę, podczas gdy jego pióro przepisywało długi memoriał. Kiedy skończył pierwszą partię dokumentów, zdumiał się wielce, zobaczywszy, że następny tekst zredagowany jest wyłącznie po francusku. Buvat, który od pięciu dni oswoił się z hiszpańszczyzną, przyjął to z niechęcią, zwłaszcza że każdą zmianą swych nawyków trochę się męczył. Ale niewolniczo oddany obowiązkom, przystąpił do tej nowej pracy z równą skrupulatnością; dokument nie miał żadnej numeracji i wyglądał tak, jakby wśliznął się przypadkiem w plik papierów, Buvat postanowił jednak przepisać go w kolejności, zgodnie z samym faktem, już to przez powinność, już to wedle maksymy: "Quod abundat non vitiat". zaostrzył tedy pióro delikatnym cięciem scyzoryka i odmieniając bastardę na pismo pochyle zaczął kopiować następujące linijki:

"Poufne.

Do rąk własnych Jego Ekscelencji Monsignore Alberoniego.

Nie istnieje rzecz ważniejsza od zapewnienia sobie pozycji obronnych w bliskości Pirenejów i od poparcia panów mających włości w owych regionach.”

- W owych regionach - powtarzał Buvat stawiając kropkę po tym zdaniu; ostrożnie zdjął włosek, który wsunął się w szczelinę pióra, i jął pisać dalej:

“Pozyskać garnizon w Bajonnie albo nim zawładnąć.”

- Co to ma znaczyć? - szepnął Buvat - “Zawładnąć” garnizonem w Bajonnie. Czy Bajonna nie jest miastem francuskim? Zobaczmy, co dalej - i kontynuował:

“Markiz de P. jest gubernatorem okręgu D. Zamiary owego możnowładcy są znane: jeśli się zdecyduje, to musi potroić wydatki na pozyskanie szlachty; musi rozdzielać szczerze gratyfikacje.

W Normandii najważniejszym stanowiskiem jest Carentan. Należy postępować z gubernatorem tego miasta jak z markizem de P. A nawet posunąć się dalej: zapewnić oficerom wynagrodzenie takie, jakie będzie im odpowiadało.

Działać w podobny sposób we wszystkich prowincjach.”

- Oho, ho - mruknął Buvat odczytując powtórnie to, co napisał. - A cóż to wszystko znaczy? Wydaje mi się, że bezpieczniej przeczytać rzecz całą, nim zabiorę się do kopiowania.

I przeczytał:

“Aby sprostać tym wydatkom, musimy liczyć na sumę trzystu tysięcy liwrów w ciągu pierwszego miesiąca, a później po sto tysięcy liwrów wypłacanych regularnie co miesiąc.”

- Wypłacanych regularnie - szepnął Buvat przerywając lekturę. - To całkiem oczywiste, że owych wpłat nie będzie dokonywała Francja, bo Francja jest tak uboga, że od pięciu lat nie jest w stanie zapłacić mi dziewięciuset liwrów uposażenia. Patrzcie! Patrzcie! - i czytał dalej:

“Owe wpłaty, które ustaną w chwili zawarcia pokoju, pozwolą królowi Hiszpanii działać wedle Jego woli w wypadku wojny.

Hiszpania pozostanie siłą pomocniczą. Armia Filipa V jest we Francji...”

- Proszę, proszę! A ja nawet nie wiedziałem, że ta armia przekroczyła granicę.

“Armia Filipa V jest we Francji: wystarczy dziesięć tysięcy Hiszpanów z królem na czele.

Trzeba się jednak liczyć ze zlikwidowaniem przynajmniej połowy armii diuka Orleańskiego” - Buvat zadrzał. - “To rzecz decydująca; a nie można tego dokonać bez pieniędzy. Gratyfikacja w wysokości stu tysięcy liwrow dla każdego batalionu i szwadronu jest konieczna.

Dwadzieścia batalionów - to dwa miliony; dzięki owej sumie utworzymy absolutnie pewne zastępy zbrojne; zniszczymy wrogą armię.

Jest niemal pewne, że poddani, służący z największym poświęceniem królowi Hiszpanii, nie będą wcieleni do armii, która wyruszy przeciw niemu; muszą się rozproszyć w rozmaitych prowincjach; będą tam działali użytecznie; powinni postarać się o funkcje oficjalne, jeśli ich jeszcze nie mają; w tym wypadku jest rzeczą nieodzowną, by król Hiszpanii przesłał odpowiednie rozkazy in blanco, które jego ambasador mógłby wypełnić w Paryżu.

Z uwagi na wielką ilość rozporządzeń, jakie trzeba będzie wydać, ambasador musi mieć możliwość podpisywania ich w imieniu króla Hiszpanii.

Jego Królewska Mość winien podpisywać swoje rozkazy jako syn Francji, taki bowiem jest Jego tytuł.

Trzeba zgromadzić kapitał dla armii składającej się z trzydziestu tysięcy ludzi, którą Jego Królewska Mość znajdzie zwartą, zahartowaną i zdyscyplinowaną.

Ów kapitał, gdy dotrze do Francji w końcu maja lub na początku czerwca, ma być niezwłocznie rozdzielony pomiędzy główne miasta prowincjonalne, takie jak Nantes, Bajonna itp., itp.

Nie należy dopuścić, aby ambasador Francji wyjechał z Hiszpanii; jego obecność w tym kraju zapewni bezpieczeństwo tym, którzy się zadeklarują.” *

Ten tekst jest przepisany dosłownie z oryginału, złożonego w archiwach Ministerium Spraw Zagranicznych (przyp. aut.).

A niechże cię! - zakrzyknął Buvat przecierając sobie oczy. - Toż to sprzysiężenie! Sprzysiężenie przeciw osobie regenta i przeciw bezpieczeństwu królestwa. Ach! Ach!

I pograżył się w głębokim zamyśleniu.

Rzeczywiście sytuacja była krytyczna: Buvat zamieszany w spisek! Buvat obarczony tajemnicą państwową! Buvat dzierżący, być może, los narodów w swoich rękach! Nie trzeba

było aż tak wiele, żeby go pograżyć w straszliwej rozterce.

Tak więc mijały sekundy, minuty i godziny, podczas gdy skryba, z głową na oparciu fotela i ze wzrokiem wbitym w sufit, siedział w zupełnym bezruchu. Jedyne z jego piersi dobywał się od czasu do czasu głośny oddech, jakby wyraz przeogromnego zdumienia.

Wybiła dziesiąta, potem jedenasta; Buvat pomyślał, że noc przynosi dobre rady, i zdecydował się wreszcie położyć; rozumie się samo przez się, że kopiowanie pisma nie posunęło się ani o słowo dalej, to znaczy zatrzymało się w miejscu, gdzie Buvat spostrzegł jego zdrożne znaczenie.

Ale nie mógł zasnąć, biedaczysko; daremnie przewracał się z boku na bok; gdy zamykał oczy, natychmiast jawił mu się nieszczęsny plan spisku, wypisany płonącymi literami na ścianie. Kilka razy, pokonany zmęczeniem, czuł, że sen nadchodzi; ledwie jednak tracił świadomość, nawiedzały go sny. Za pierwszym razem, straż chwyciła go jako współnika spiskowców; za drugim razem chcieli go zasztyletować sprzysiężeni. Za pierwszym razem ocknął się rozdygotany, za drugim - ociekający potem. Oba te sny były tak potworne, że Buvat skrzesił ognia, zapalił świecę i czekał na świt nie próbując już usnąć.

Rozwidniło się; ale dzień bynajmniej nie rozprasza nocnych mar, lecz nadaje im charakter jeszcze bardziej przerażającej rzeczywistości. Najmniejszy hałas na ulicy przyprawiał Buvata o drżenie; kiedy zastukano do furtki, wydało mu się, że zemdleje. Nanette otworzyła drzwi do pokoju, a Buvat aż krzyknął. Nanette podbiegła do niego pytając, co mu jest; lecz Buvat pokręcił tylko głową i rzekł z westchnieniem:

- Ach, moja biedna Nanette, żyjemy w bardzo smutnych czasach.

Umilkł, obawiając się, że już i tak powiedział za dużo.

Był nazbyt zafrasowany, aby zejść na śniadanie do Batyldy; bał się zresztą, że dziewczę spostrzeże jego niepokój i zapyta o przyczynę. Nie umiał nic przed nią ukryć, więc wyjawiłby tę przyczynę i wciągnął swą pupilkę do spisku. Poprosił tedy o podanie mu kawy do pokoju pod pretekstem, że ma mnóstwo pracy i będzie ją wykonywał podczas śniadania. Zakochana Batylda doznała nawet pewnej ulgi z racji jego nieobecności, ich przyjaźń na tym nie ucierpi.

Za pięć dziesiąta Buvat wyszedł do biura; jego obawy, tak głęboko odczuwane w domu,

na ulicy odmieniły się w przerażenie. Na każdym skrzyżowaniu, w każdym zaułku, na każdym rogu widział, jak mu się zdawało, ludzi z policji, przyczajonych i tylko czekających, by go chwycić za kołnierz. Na placu des Victoires pojawił się wychodzący z ulicy Pagevin muszkieter i Buvat tak gwałtownie uskoczył w bok, że omal nie wpadł pod koła karety wyjeżdżającej z ulicy du Mail. Na początku ulicy Neuve-des-Petits-Champs usłyszał z tyłu czyjeś miarowe kroki i nie odwracając głowy puścił się biegiem przed siebie, przystanąwszy dopiero na ulicy de Richelieu, gdy nogi, nie nawykłe do nadmiernego wysiłku, groziły, że nie poniosą go dalej; wyczerpany dotarł wreszcie do biblioteki, pokłonił się aż do ziemi strażnikowi przy drzwiach i wśliznął się w galerię po lewej stronie, wszedł na schodki, które prowadziły do działu manuskryptów; w swoim pokoju ledwie żywy padł na skórzany fotel, zamknął w szufladzie pakiet pism otrzymanych od księcia de Listhney, przyniósł je bowiem z sobą w obawie, że policja wtargnie do mieszkania podczas jego nieobecności; uznawszy wreszcie, że jest mniej więcej bezpieczny, westchnął głęboko, co niewątpliwie uświadomiłoby kolegów, że jest czymś niezmiernie wzburzony, gdyby nie fakt, że przyszedł do biura wcześniej niż oni.

Buvat wyznawał zasadę, że żadne nastroje, ani wesołe, ani smutne, nie są zdolne odwrócić uwagi urzędnika od jego pracy. Zabrał się więc do roboty, jak gdyby nic się nie wydarzyło, lecz jego duchową rozterkę trudno byłoby opisać.

Praca Buvata polegała jak zwykle na klasyfikowaniu i opatrywaniu książek numerkami; parę dni temu w jednej z sal biblioteki wybuchł pożar, foliały rzucano byle jak na rozpostarty koc, by je przenieść w bezpieczne miejsce; cztery tysiące woluminów należało teraz ulokować na właściwych półkach. A że była to robota żmudna i pochłaniająca dużo czasu, powierzono ją przede wszystkim Buvatowi, który w tej materii wykazywał sporo inteligencji i staranności, czym zasłużył sobie na pochwały zwierzchników i szyderstwa kolegów. Z całego stosu zostało mu tylko ze trzysta tomów; należało je posegregować wedle języka, treści i wymowy moralnej, a nawet, można by rzec, niemoralnej, gdyż jedno ze spalonych pomieszczeń wypełniały wielce nieskromne książki. Buvat odczytując ich tytuły lub przeglądając ilustracje, nieraz rumienił się aż po białka oczu; w stertę owych romansów zakazanych i o haniebnej sławie, wkradało się czasem jakieś dzieło historyczne zdumione tak niedobranym towarzystwem; nasz skromny pisarczyk widział w takim dziele Lota stojącego wśród ruin starych,

zdeprawowanych miast.

Chociaż praca ta nakazywała pośpiech, w pewnej chwili Buvat zamarł w bezruchu, żeby się uspokoić; ale gdy zobaczył, że jeden z kolegów wchodzi i kieruje się w jego stronę, podniósł się instynktownie, chwycił pióro, zanurzył je w kałamarzu i trzymając w lewej ręce plik karteczek pergaminowych ruszył ku ostatnim książkom, leżącym jedna na drugiej lub bezładnie na podłodze; wziął pierwszą z brzegu mamrocząc przez zęby, jak zwykł był czynić w podobnych okolicznościach.

- "Brewiarz zakochanych", wydany w Leodium w 1712... nie ma nazwiska drukarza. O, mój Boże! Znowu o goliźnie; jakież przyjemności mogą doświadczać katolicy czytając podobne bezeceństwa? Lepiej byłoby je spalić na placu de Greve ręką kata! Ręka kata! Kattt... cóż to za słowo wymknęło mi się, u diabła?! I co właściwie książę de Listhny każe mi przepisywać? I ten młodzieniec, który pod pozorem oddania mi przysługi zaznajomił mnie z owym łajdakiem! No tak, ale tutaj nie o to chodzi; mniejsza z tym... Przyjemnie jest pisać na pergaminie, pióro ślizga się jak po jedwabiu, litery cieniowane są prześliczne, zamaszyste, czasem grube, i doprawdy można się przeglądać we własnym piśmie. Przejdźmy do następnego tomu: "Anżelika, czyli przyjemności sekretne", z rycinami, i to jakimi! Londyn. Powinno się nie przepuszczać takich książek przez granicę... Za parę dni będą się działy piękne rzeczy na granicy! Zapewnić sobie pozycje obronne w bliskości Pirenejów i poparcie panów mających włości w tych regionach. Do diabła, cała nadzieja w tym, że owe pozycje nie poddadzą się tak łatwo i że są jeszcze we Francji wierni poddani. Patrzcie, piszę "Bajonna" zamiast "Londyn" i "Francja" zamiast "Anglia". Och, przeklęty książę! Żeby cię powiesili albo poćwiartowali: ale jeśli go pochwyca, może on mnie zadenuncjować! Maszci los! To całkiem możliwe.

- Cóż to się dzieje, panie Buvat? - odezwał się dyżurny komisant. - Siedzisz sobie z założonymi rękami i od pięciu minut rozglądasz się dokoła wytrzeszczając z przerażeniem oczy.

- Ach, nic się nie dzieje, panie Ducudray, nic a nic. Głowię się po prostu nad nową metodą klasyfikacji.

- Nowa metoda klasyfikacji? Co z pana za wichrzyciel?! Chcesz pan wywołać

rewolucję?

- Ja miałbym wywołać rewolucję?! Ja?! - wrzasnął przestraszony Buvat. - Rewolucję! Nigdy, mój panie, o nigdy! Dzięki Bogu, znane jest moje oddanie panu regentowi, oddanie całkiem bezinteresowne, skoro od pięciu lat, jak pan wiesz, nikt nam nic nie płaci, i gdybym któregoś dnia został o to nieszczęściem oskarżony, znaleźliby się świadkowie, przyjaciele, mogący za mnie poręczyć...

- Dobrze, już dobrze. A tymczasem, panie Buvat, bierz się do roboty. Wiesz, że to pilne. Książki zajmują mnóstwo miejsca w naszym pokoju i najpóźniej jutro o czwartej muszą być na półkach.

- I będą tam, proszę pana; znajdą się na miejscu, żebym nawet miał tu spędzić całą noc.

- A to ci pocziwina, ten nasz ojczulek Buvat - rzekł jeden z urzędników, od pół godziny ostrzący swoje pióro. - Proponuje, że spędzi tu noc, choć dobrze wie, że to jest zabronione, bo można by spowodować pożar. Ale to zawsze robi wrażenie; gdy się popisujemy dobrą wolą, pochlebiamy szefom; kawał spryciarza z naszego ojczulka Buvata.

Buvat nazbyt przywykł do tego rodzaju uszczypliwości, żeby się nimi przejmować; kiedy sklasyfikował i nalepił sygnatury na dwóch pierwszych książkach, sięgnął po trzecią i pracował dalej.

- "Bibi albo nie wydane pamiętniki spaniela panny de Champmesle". Chryste Panie! to musi być niezwykle zajmujące! Mademoiselle de Champmesle, wielka aktorka! Z portretem owej damy, naprawdę pięknej kobiety; jakie wspaniałe włosy; pies Bibi na pewno znał pana Racine'a i sporo innych wielkich ludzi, a jeśli mówi prawdę, powtarzam, te pamiętniki muszą być bardzo ciekawe: w Paryżu, wydawca Robin, 1604... Och!... "Sprzysiężenie pana de Cinq-Mars"... do diabła! Do diabła!... coś niecoś o tym słyszałem... był to piękny szlachcic w zмовie z Hiszpanią... Tą przekłętą Hiszpanią; dlaczego ona tak wciąż miesza się w nasze sprawy? To prawda, że tym razem powiedziano, iż Hiszpania będzie tylko siłą pomocniczą, ale pomocnik, który chce zawładnąć naszymi miastami i demoralizuje naszych żołnierzy... mocno przypomina wroga... "Sprzysiężenie pana de Cinq-Mars z opisem jego śmierci oraz śmierci pana de Thou, skazanego za nieujawnienie przestępstwa... opisane przez naocznego

świadka”. Za nieujawnienie... ojej, ojej... to sprawiedliwie... prawo jest słuszne... ten, kto nie ujawnia, jest współnikiem... Na przykład ja jestem współnikiem księcia de Listhney i jeśli jemu zetną głowę, mnie zetną również... nie, zadowolą się tym, że mnie powieszają, bo nie jestem szlachcicem... powieszają! Niepodobna, żeby dopuszczono się takiego ekscesu wobec mnie... a zresztą już się zdecydowałem; wyjawię wszystko; ale wyjawiając wszystko, stanę się denuncjatorem... denuncjator... kto to widział! ale być powieszonym!... Och! och!...

- Cóż, u licha, dzieje się dziś z panem, ojczulku Buvat? - spytał kolega, który zaostrzył nareszcie swoje pióro. - Rozwiązał się panu krawat. Może on pana dusi? Niechże się pan nie krępuje. Proszę nawet zdjąć surdut! Proszę zachowywać się swobodnie, ojczulku Buvat, całkiem swobodnie!

- Bardzo panów przepraszam - rzekł Buvat. - Nie zwróciłem na to uwagi... po prostu machinalnie... Nie chciałem panów urazić.

- To i chwała Bogu!

Buvat, zacisnąwszy węzeł krawata, nakleił sygnaturkę na “Sprzysiężeniu pana de Cinq-Mars” i sięgnął po następny tom.

- “Sztuka oskubywania kury tak, aby przy tym nie gdakała”. To zapewne poradnik kulinarny. Gdybym miał czas zajmować się domem, skopiowałbym kilka dobrych przepisów i dał je Nanette, aby urozmaicić trochę nasze niedzielne posiłki, bo teraz, kiedy pieniądze napływają... tak, napływają, niestety, napływają, ale z jakiego źródła?! O mój Boże! Och, zwrócę mu jego pieniądze i jego papiery aż do ostatniej stroniczki. Ale co mi z tego przyjdzie, on mi nie zwróci moich... przeszło czterdziestu stron mojego pisma... Kardynał de Richelieu nie domagał się więcej aniżeli pięciu linijek skreślonych ręką nieszczęśnika, by go powiesić. A mnie mają za co powiesić nawet sto razy... Ponadto nie ma sposobu zaprzeczyć; to pismo, to wspaniałe pismo jest znane i niewątpliwie moje... Och, nędznicy! Pewnie nie umieją czytać, skoro potrzebują pisma drukowanego. Pomyśleć tylko, że kiedy ktoś przeczytawszy moje sygnatury zapyta kogoś lub kiedy mnie samego zapyta: “Który z was klasyfikował owe tomy?” - usłyszy w odpowiedzi: “Jak to, pan nie wie, to ten nicpoń Buvat, który należał do spisku księcia de Listhney...” ale to jeszcze nie wszystko... “Sztuka oskubywania kury tak, aby przy tym nie gdakała”, Paryż 1709, wydawca Comon, ulica du Bac, nr 110. No proszę, napisałem

teraz adres księcia! Na honor! Tracę głowę, staję się szaleńcem. A gdybym tak wyjawiał wszystko nie podając nazwiska tego, kto dał mi te papiery do kopiowania...? No, ale przecież zmuszą mnie, żebym wszystko wyjawiał, mają na to swoje sposoby. Och, bredzę! Buvat, mój przyjacielu, bierz się do pracy. "Sprzysiężenie kawalera Ludwika de Rohan". Natrafiam wyłącznie na sprzysiężenia, a cóż to takiego zrobił ów Rohan?... Chciał podburzyć Normandię. Ach, przypominam sobie, to ten biedny chłopak, którego ścięto w roku 1674, na cztery lata przed moim urodzeniem. Moja matka widziała, jak konał. Biedny chłopak! Tyle razy mi o tym opowiadała. O mój Boże! I któż by powiedział mojej biednej matce...! I prócz tego powieszono w tym samym czasie wysokiego, szczupłego mężczyznę, ubranego na czarno od stóp do głów. Jak on się nazywał?... Ach, przecież mam przed sobą tę książkę... głupiec ze mnie. Tak, tak: Van den Enden. Właśnie tak. "Kopia planu rządowego znaleziona w dokumentach pana de Rohan i w całości skreślona ręką Van den Endena". O mój Boże! To właściwie jakby moja sprawa: powieszony za to, że skopiował plan... Oj, oj, oj, kiszki mi się skręcają..." Protokół tortur Franciszka Affinusa Van den Endena". Miłosierdzia! Jeżeli po wykryciu sprzysiężenia księcia de Listhny ktoś przeczyta następujące słowa: "Protokół tortur Jana Buvata"... Uf! "Roku 1674" itp.; "My, Claude Bazin, kawaler de Bezons, i August-Robert de Pomereu, zostaliśmy przewiezieni do zamku Bastylia w asyście pana Ludwika le Mezier, konsyliarza i sekretarza królewskiego" itp., itp., "i znajdując się w jednej z wież rzezonego zamku, kazaliśmy przyprowadzić Franciszka Affinusa Van den Endena, skazanego na śmierć tym wyrokiem, a po złożeniu przez niego przysięgi, że będzie mówił wyłącznie prawdę, poddaliśmy go przesłuchaniu zwyczajnemu i nadzwyczajnemu oraz wykazaliśmy mu, że nie powiedział jeszcze wszystkiego, co wie o sprzysiężeniu oraz o zamiarach wywołania rewolty podjętych przez panów Rohan i Latreaumont. Odpowiedział, że wyznał wszystko, co wie, i że nie związany z konspiracją skopiował wyłącznie parę dokumentów, a zatem nie może nic więcej powiedzieć. Wówczas założyliśmy mu dyby"...

- Pan jest wykształcony, panie kolego - rzekł Buvat do dyżurnego komisanta - czy mógłbym, nie popełniając niedyskrecji, zapytać pana, co to jest za narzędzie tortur, zwane dybami?

- Drogi panie Buvat - odparł urzędnik, któremu wyraźnie pochlebił komplement

naszego pocziwca - mogę to panu powiedzieć z całą pewnością, albowiem ubiegłego roku widziałem, jak przesłuchiowano Duchauffoura.

- A zatem chciałbym wiedzieć, łaskawy panie...

- Dyby, mój drogi Buvat - podjął tonem wyższości pan Ducoudray - to po prostu cztery deski, podobne do klepek beczki.

- No tak.

- Umieszczają panu (mówiąc "panu", rozumiesz, drogi Buvat, mówię ogólnikowo i nie odnoszę tego do pana osobiście), a więc umieszczają najpierw pańską prawą nogę między dwiema deskami, po czym związują deski dwiema linami, następnie robią to samo z lewą nogą i łączą obie nogi; wówczas wsuwają między środkowe deski kliny, wbijając je drewnianym młotkiem: pięć przy zadawaniu pytania zwykłego, dziesięć przy pytaniu nadzwyczajnym.

- Ależ, panie Ducoudray - przerwał Buvat głęboko poruszony - to musi doprowadzić nogi człowieka do oplakanego stanu.

- To znaczy, że je po prostu panu miażdżą. Przy szóstym klinie nogi Duchauffoura pękły, a przy ósmym szpik kostny zmieszany z krwią popłynął z ran.

Buvat zbladł śmiertelnie i przysiadł na podwójnej drabinie, by nie upaść.

- O Jezu! - szepnął. - Co też mi pan mówi, panie Ducoudray.

- Najświętszą prawdę, mój drogi. Niech pan poczyta o mękach Urbana Grandier; znajdzie pan protokół jego tortur i sam się pan przekona, czy przesadzam.

- Mam przed sobą protokół, wywód słowny tego biednego pana Van den Endena.

- A więc niech go pan przeczyta.

Buvat rzucił spojrzenie na książkę i przeczytał:

"Przy pierwszym klinie:

Twierdzi, że powiedział prawdę, że nie ma nic więcej do powiedzenia, i upiera się przy swojej niewinności.

Przy drugim klinie:

Mówi, że wyznał wszystko, co wiedział.

Przy trzecim klinie:

Krzyczy: O mój Boże, o mój Boże! Powiedziałem wszystko, co wiedziałem.

Przy czwartym klinie:

Mówi, że nie może nic więcej wyznać, jak to, co już jest wiadome, to znaczy, iż skopiował rządowy plan, który wręczył mu kawaler de Rohan.”

Buvat otarł chusteczką czoło.

“Przy piątym klinie:

Powiedział: Ach, mój Boże! I nie chciał nic dodać.

Przy szóstym klinie:

Krzyknął: Ach, mój Boże!

Przy siódmym klinie:

Krzyknął: Umieram!

Przy ósmym klinie:

Krzyknął: Ach, mój Boże! Nie mogę mówić, gdyż nie mam nic do powiedzenia.

Przy dziewiątym klinie, szczególnie grubym:

Powiedział: Boże mój, Boże! Po cóż mnie tak torturować! Wiecie, że nie mogę już nic więcej powiedzieć; a skoro jestem skazany na śmierć, zabijcie mnie.

Przy dziesiątym klinie:

Rzekł: Ach, panowie, co chcecie, żebym powiedział? O, dzięki Ci, Boże, umieram! umieram!”

- Cóż to? Cóż to? Co panu jest, Buvat? - zawołał Ducoudray. Widząc, że nasz poczciwiec blednie i chwieje się. - Zasłabł pan?

- Ach, panie Ducoudray - rzekł Buvat i upuściwszy książkę powlókł się do fotela, jakby jego strzaskane nogi nie mogły go już unieść. - Ach, panie Ducoudray, czuję, że życie ze mnie uchodzi!

- No, proszę, do czego prowadzi czytanie książek zamiast zajmowania się pracą - powiedział jeden z urzędników. - Gdybyś się pan zadowolił zapisywaniem tytułów w rejestrach i przyklejaniem sygnatur na grzbietach książek, nic podobnego by ci się nie przytrafiło. Ale pan Buvat czyta, pan Buvat chce się kształcić!

- No i co, ojczulku Buvat, lepiej się pan czuje? - spytał Ducoudray.

- Tak, łaskawy panie, gdyż powziąłem decyzję, decyzję nieodwołalną; to nie będzie sprawiedliwe, na honor, bym poniósł karę za zbrodnię, której nie popełniłem. Należę do społeczeństwa, do mojej wychowanki, do siebie samego, panie Ducoudray. Jeśli pan konserwator będzie mnie potrzebował, proszę, niech pan powie, że wyszedłem w sprawie nie cierpiącej zwłoki.

I Buvat, wyjąwszy z szuflady w rulon zwinięte papiery, nasunął głęboko na oczy kapelusz, chwycił w garść laskę i, nie skłoniwszy się nawet, wyszedł krokiem, któremu rozpacz przydała majestatu.

- Wie pan, dokąd on poszedł? - spytał urzędnik, gdy Buvat opuścił pokój.

- Nie - odparł Ducoudray.

- Pójdzie pewnie na Pola Elizejskie albo do knajpy zagrać w kości.

Kolega mylił się. Buvat nie poszedł ani na Pola Elizejskie, ani do knajpy.

Poszedł do księdza Dubois.

XI. Kot i mysz

- Pan Jan Buvat - rzekł pokojowiec.

Dubois wyciągnął swoją głowę żmii, zapuścił wzrok w wąską szparę między służącym a framugą drzwi i za plecami pokojowca zobaczył tęgiego, niskiego mężczyznę o bladej twarzy, który stał na uginających się nogach i pokastywał, aby dodać sobie kontenansu.

Jedno spojrzenie wystarczyło księdzu Dubois, aby dowiedzieć się, z kim ma do czynienia.

- Poproś pana Buvata - rzekł.

Pokojowiec odsunął się i Jan Buvat ukazał się na progu.

- Proszę! Proszę! - powiedział Dubois.

- Czyni mi pan zaszczyt - wymamrotał Buvat nie ruszając się z miejsca.

- Zamknij drzwi, zostaw nas samych - zwrócił się Dubois do pokojowca.

Służący usłuchał i zamykające się skrzydło drzwi niespodzianie uderzyło Buvata w tyłek; nieszczęśnik dał susa do przodu, stracił na chwilę równowagę, potem oparł się mocniej na nogach, znieruchomiał i wbił w księdza Dubois dwoje ogromnych, zdziwionych oczu.

Dubois w istocie prezentował się osobiwie. Z biskupiego stroju zachował tylko dolne części, był tedy w koszuli, czarnych pludrach i fioletowych pończochach. Wszystko to obróciło wniwecz przewidywania Buvata, bo to, co miał przed sobą, nie było ani ministrem, ani arcybiskupem, i przypominało raczej orangutana aniżeli człowieka.

- W czym rzecz, mój panie? - spytał Dubois, który usiadł, założył lewą nogę na prawą i ręką objął lewą stopę. - Chciałeś pan ze mną mówić; oto jestem.

- Łaskawy panie, prosiłem o rozmowę z monsignore arcybiskupem z Cambrai.

- No tak. To ja.

- Jak to?! Więc to Wasza Wielbność! - powiedział Buvat i obiema rękami zdjawszy kapelusz pokłonił się aż do ziemi. - Proszę mi darować, nie poznałem Waszej Eminencji; co prawda, po raz pierwszy mam zaszczyt go widzieć. A jednak... hm... ten majestatyczny wygląd... hm! hm!... powinienem był pojąć...

- Jakże się pan nazywa? - spytał Dubois przerywając krygowanie się pocziwca.

- Jan Buvat, do usług.

- Kim pan jesteś?

- Urzędnikiem Biblioteki Królewskiej.

- I masz pan zamiar złożyć mi rewelacyjne wiadomości odnośnie Hiszpanii?

- To znaczy, Eminencjo, sprawa tak się przedstawia: moja praca zostawia mi sześć godzin wolnego czasu wieczorem i cztery godziny rano, a że Bóg obdarzył mnie bardzo ładnym charakterem pisma, sporządzą kopie.

- Tak, już rozumiem - uciał Dubois. - Dano panu podejrzane dokumenty do skopiowania i pan mi przyniósł owe podejrzane papiery, prawda?

- W tym rulonie, Eminencjo, w tym rulonie - potwierdził Buvat wyciągając ramię w stronę arcybiskupa.

Dubois szybko wstał z fotela, wziął od Buvata rulon, zasiadł przy biurku, jednym szarpnięciem zerwał sznurek opasujący papiery, wyjął je z koperty i znalazł się twarzą w twarz z rzeczonymi dokumentami. Pierwszy był pisany po hiszpańsku, a że Dubois, dwukrotnie przebywający w Hiszpanii, znał trochę język Calderona i Lope de Vegi, zorientował się natychmiast, jak wielkie znaczenie posiadają owe dokumenty. Istotnie, były to publiczne oświadczenia szlachty, lista imienna oficerów proszących o służbę u króla Hiszpanii i manifest napisany przez kardynała de Polignac i markiza de Pompadour, nakłaniający ludność królestwa do powstania. Każdy z tych dokumentów był adresowany bezpośrednio do Filipa V, a krótka notka, którą Dubois rozpoznał jako napisaną własnoręcznie przez księcia Cellamare, zapowiadała bardzo rychłe zwycięstwo spiskowców oraz obietnicę codziennego informowania króla Hiszpanii o znaczniejszych wydarzeniach, mogących przyspieszyć lub opóźnić rezultaty przysiężenia. I w końcu trafił na słynny plan spiskowców, który przedstawiliśmy czytelnikom i który, włączony przez pomyłkę do innych dokumentów przetłumaczonych na hiszpański, wzbudził podejrzenia Buvata. Obok planu znajdowała się rozpoczęta najpiękniejszym pismem naszego skryby kopia, którą przerwał po słowach: "Działać w podobny sposób we wszystkich prowincjach".

Buvat obserwował z niejakim niepokojem zmiany w wyrazie twarzy arcybiskupa; widział, jak zdumienie ustępuje miejsca radości, radość zaś z kolei - niewzruszonemu

spokojowi. W trakcie lektury Dubois przekładał kolejno nogę na nogę, zagryzał wargi, uszczypnął się nawet w nos, ale to wszystko było prawie nieodgadnione dla Buvata, który nie pojął gry fizjonomii arcybiskupa, podobnie jak nie zrozumiał tekstu hiszpańskiego. Dubois natomiast pojmował wybornie, iż ów człowiek przekazuje mu tajemnicę najwyższej wagi; zaczął więc przemyśliwać, jakby się tu dowiedzieć o dalszym ciągu tej sprawy, dopiero co rozpoczętej. Tyle właśnie znaczyły te kilkakrotne krzyżowania nóg, przygryzanie warg i szczypanie się w nos. Podjął wreszcie, jak się wydawało, decyzję i oblicze jego powlokło się uroczą dobroduszością; zwrócił się tedy do naszego poczciwca, który stał nadal w pozie pełnej respektu:

- Niechże pan siada, drogi panie Buvat - powiedział.

- Dziękuję, Eminencjo - odparł Buvat drgnąwszy nagle - nie jestem zmęczony.

- O, nie, przepraszam pana - rzekł Dubois - widzę, że nogi panu drżą.

Rzeczywiście, od chwili kiedy przeczytał protokół przesłuchania Van den Endena, Buvat czuł nerwowe drżenie nóg, podobne do tego, jakie miewają psy po przebytej ciężkiej nosaciznie.

- To prawda, Eminencjo - przyznał Buvat - nie mam pojęcia, dlaczego od dwóch godzin trudno mi ustać na nogach.

- Siadaj więc pan i porozmawiajmy jak dwaj dobrzy przyjaciele.

Buvat popatrzył na arcybiskupa z tak ogromnym zdziwieniem, że kiedy indziej Dubois wybuchnąłby śmiechem. Ale udał, że nic nie spostrzegł, i przyciągnąwszy stojące nie opodal krzesło, gestem zaprosił ponownie Buvata, by siadł. Nie sposób było opierać się dłużej. Skryba zbliżył się chwiejnym krokiem, przycupnął na brzeżku krzesła, położył kapelusz na podłodze, ścisnął między kolanami laskę i wsparł dłonie na jej kościanej gałce, po czym zastygł w pozie oczekiwania. Ale widać było, że przyplącił to gwałtownym wstrząsem wewnętrznym, albowiem, blady jak lilia, gdy tu wchodził, był teraz purpurowy jak piwonია.

- Powiadasz więc, drogi panie Buvat - rzekł arcybiskup - że robisz kopie.

- Tak, Eminencjo.

- I przynosi to panu dochód?

- Niewielki, Eminencjo, całkiem mały.

- A jednak piszesz pan wspaniale, panie Buvat.
- Nie wszyscy doceniają mój talent, tak jak Wasza Eminencja.
- To prawda; ale ponadto jesteś pan urzędnikiem biblioteki.
- Mam ten zaszczyt.
- Jaki dochód daje panu ten urząd?

- Ach, mój urząd to całkiem inna sprawa, Wasza Dostojność; nie daje mi żadnego dochodu z tej racji, że od pięciu lat nasz kasjer mówi co miesiąc, iż król jest nazbyt biedny, aby nam płacić.

- I mimo to pozostajesz pan w służbie Najjaśniejszego Pana. To bardzo dobrze, panie Buvat, to bardzo dobrze.

Buvat wstał, skłonił się arcybiskupowi i znowu usiadł.

- A ponadto masz pan może rodzinę - wypytywał dalej Dubois - żonę, dzieci?
- Nie, Wasza Eminencjo. Żyję dotychczas w celibacie.
- Ale przynajmniej jakichś krewnych?

- Wychowankę, księżę arcybiskupie, urocze dziewczątko, niezwykle utalentowane; śpiewa jak primadonna, a rysuje jak wielki portrecista.

- Oho, ho, panie Buvat! I jakże się nazywa ta pańska pupilka?

- Batyllda... Batyllda du Rocher; to panna ze szlacheckiego rodu, córka jednego z koniuszych pana regenta w czasach, gdy był jeszcze diukiem de Chartres; pan du Rocher poległ niestety w bitwie o Almanzę.

- Masz pan zatem obciążenia, drogi panie Buvat.

- To o Batyldzie mówi Wasza Wielbność? Och, nie, Batyllda nie jest obciążeniem; przeciwnie, przynosi do domu więcej, niż kosztuje. Batyllda obciążeniem! Po pierwsze, pan Papillon, Eminencja pewnie wie, to kupiec, ma swój sklep z farbami na rogu ulicy de Clery... płaci jej co miesiąc osiemdziesiąt liwrów za dwa rysunki; ponadto...

- Chciałem tylko powiedzieć, że nie jesteś bogaty, panie Buvat.

- Co to, to nie, Wasza Wielbność, nie jestem bogaty. Ale chciałbym nim być ze względu na moją nieboraczkę Batyldę, i gdyby Eminencja zechciał sprawić, by w momencie, kiedy wpłyną pierwsze zasoby do państwowej szkatuły, wypłacono mi zaległe uposażenie lub

przynajmniej jakąś zaliczkę...

- Ile może wynosić ta zaległość?
- Cztery tysiące siedemset liwrow, dwanaście su i osiem denarów.
- Phi! I cóż to jest?! - zawołał Dubois.
- Jak to: cóż to jest, Wasza Wielbność?
- No tak, przecież to drobiazg.
- Wcale nie, o, nie, to bardzo dużo, czego dowodem jest fakt, że nie mogą mi tego

zapłacić.

- Przecież taka suma nie uczyni pana bogatym.
- Ale mi zapewni jaki taki dostatek i, szczerze mówiąc, gdy pojawią się pierwsze

wpływy w państwowej szkatule...

- Mój drogi panie Buvat, mogę panu ofiarować coś znacznie lepszego.
- O, bardzo o to proszę.
- Masz pan fortunę w zasięgu ręki.
- Moja matka zawsze mi to mówiła.
- To dowodzi, drogi Buvat, że pańska matka była kobietą nad wyraz rozumną.
- Jestem gotów natychmiast posłuchać rady Waszej Ekscelencji. Co mam uczynić?
- Mój Boże, rzecz najzwyczajszą w świecie. Przepiszesz mi pan natychmiast to

wszystko.

- Ależ, Eminencjo...

- I to jeszcze nie koniec, panie Buvat. Odniesiesz pan zarówno oryginały, jak i kopie osobie, która to panu powierzyła, jak gdyby nic się nie stało. Weźmiesz wszystko, co ta osoba ci da, przyniesiesz mi jak najrychlej owe dokumenty, bym mógł je przeczytać, i będziesz tak postępował dopóty, dopóki ci nie powiem: dosyć:

- Ależ, Eminencjo, wydaje mi się, że w ten sposób zawiodę zaufanie księcia.
- Oho, ho! To masz do czynienia z księciem, panie Buvat? Jakże się nazywa ów

książę?

- Sądzę, że wymieniając nazwisko, zadenuncjuję go...
- Coś takiego... A po co tutaj przyszedłeś?

- Eminencjo, przyszedłem uprzedzić Waszą Wielbność o niebezpieczeństwie
czyhającym na Jego Wysokość pana regenta, i to wszystko.

- Doprawdy?! - wykrzyknął szyderczo Dubois. - I myślisz pan na tym poprzestać?

- Pragnę tego, oczywista, Eminencjo.

- Ale jest to, niestety, wykluczone, szanowny panie Buvat.

- Jak to wykluczone?

- Najzupełniej.

- Księżę arcybiskupie, jestem uczciwym człowiekiem.

- Jesteś pan głupcem.

- Ale, Eminencjo, pragnę nadal milczeć.

- Będziesz mówił, mój drogi panie.

- Jeśli będę mówił, okażę się denuncjatorem księcia.

- Jeśli nie będziesz mówił, zostaniesz jego współnikiem.

- Wspólnikiem, Eminencjo? A jakiej to zbrodni?

- Zbrodni zdrady stanu! Ach, już od dawna policja ma oczy zwrócone na pana.

- Na mnie, Eminencjo?

- Tak, na pana... pod pretekstem, że nie płacą panu gaży, wypowiadasz pan
podburzające kwestie przeciw Państwu.

- Och, Wasza Wielbność, któż to powiedział?

- Pod pretekstem, że nie płacą panu pensji, kopiujesz dokumenty, podżegające, i to już
od czterech dni!

- Wasza Wielbność, spostrzegłem to dopiero wczoraj. Nie znam języka
hiszpańskiego.

- Znasz go pan, czego dowodzi fakt, że w pańskich kopiach nie ma ani jednego błędu.
Ale to jeszcze nie wszystko.

- Nie rozumiem. Jeszcze nie wszystko?

- Nie, jeszcze nie wszystko. A to... czy to język hiszpański? Proszę spojrzeć... "Nie
istnieje rzecz ważniejsza od zapewnienia sobie pozycji obronnych w bliskości Pirenejów i od
poparcia panów mających włości w owych regionach".

- Ależ, Wasza Wielbność, dzięki temu właśnie odkryłem...
- Panie Buvat, wysłano już na galery takich, co o wiele mniej zawinili od ciebie.
- Eminencjo!
- Panie Buvat, powieszono już o wiele mniej winnych od ciebie.
- Wasza Eminencjo! Eminencjo!
- Panie Buvat, porąbano już takich...
- Łaski, Monsignore, łaski!
- Łaski? Łaski dla takiego nędznika jak ty, panie Buvat! Zamknę pana w Bastylii, a pannę Batyldę umieszczę w Saint-Lazare!
- W Saint-Lazare! Batylde w Saint-Lazare, Monsignore! Batylde w Saint-Lazare! I któż ma do tego prawo?
- Ja, panie Buvat.
- Nie, Eminencja nie ma prawa! - zakrzyknął Buvat, który zdolny był przetrzymać każdą obawę o siebie i wszystko przecierpieć, ale na samą myśl o takim pohańbieniu swej pupilki przeistoczył się z robaka w węża. - Batylde nie jest dziewczyną z ludu, Wasza Wielbność! Batylde jest panną szlachetnie urodzoną, córką człowieka, który ocalił życie regentowi, i żebym nawet miał dotrzeć do Jego Wysokości...
- Udasz się pan najpierw do Bastylii, panie Buvat - rzekł arcybiskup, pociągając za sznurek dzwonka, jakby go chciał urwać - a potem postanowimy, co należy uczynić z panną Batyldą.
- Co Wasza Wielbność zamierza...?
- Zaraz pan zobaczy. - Wszedł pokojowiec. - Sprowadź oficera policji i dorożkę.
- Wasza Eminencjo! - zawołał Buvat. - Zrobię wszystko, co Eminencja zechce!
- Wykonaj, com przykazał - powtórzył Dubois i pokojowiec wszedł.
- Eminencjo! - jęknął Buvat składając ręce. - Eminencjo, będę posłuszny!
- O nie, panie Buvat. Chcesz pan procesu, będziesz go pan miał. Chcesz pan stryczka, pomacasz go.
- Wasza Eminencjo! - wrzasnął Buvat padając na kolana. - Co mam uczynić?
- Będziesz powieszony! Powieszony! Powieszony! - krzyczał Dubois.

- Wasza Eminencjo - oznajmił wchodząc pokojowiec - dorożka czeka przed drzwiami, a oficer policji w westybulu.

- Eminencjo - mówił Buvat załamując ręce i wrywając sobie z głowy resztki żółtawych włosów - czy Eksceleńcja nie okaże mi litości?

- A więc nie chce mi pan podać nazwiska księcia?

- To księżę de Listhney, Wasza Wielebność.

- I nie chcesz pan wyjawiać jego adresu?

- Mieszka na ulicy du Bac, numer sto dziesięć, Eminencjo.

- I nie chcesz pan skopiować tych dokumentów?

- Już się biorę do pracy, natychmiast, Eminencjo - wykrztusił Buvat. Siadł przy biurku, chwycił pióro, umaczał je w atramencie, wziął zeszyt i nakreślił na pierwszej stronie imponująco wielką literę. - Już piszę, piszę; tylko chciałbym napisać do Batyldy, że nie wrócę na kolację. Batylda w Saint-Lazare - szepnął. - Jezu Chryste! A on by tak zrobił, jak mówi.

- Tak, mój panie, zrobiłbym to, i może jeszcze coś gorszego dla ocalenia Państwa, i dowiesz się o tym na swoją zgubę, jeśli nie odniesiesz tych dokumentów, nie weźmiesz następnych i jeśli co wieczór nie będziesz ich u mnie kopiował.

- Ależ, Eminencjo - rzekł zdesperowany Buvat - nie mogę przecież pracować jednocześnie i w bibliotece, i tutaj.

- Więc nie będziesz pan chodził do biura; wielkie mi nieszczęście!

- Jakże to, mam nie chodzić do biura! Od dwunastu lat nie opuściłem ani jednego dnia.

- Daję panu urlop na cały miesiąc.

- Ale stracę moje miejsce.

- Cóż to panu szkodzi, skoro nic ci nie płacą?

- Ale zaszczyt, Wasza Wielebność, zaszczyt, że jestem urzędnikiem państwowym!

Poza tym lubię moje książki; lubię mój stół; lubię mój skórzany fotel! - wykrzyknął Buvat gotów się rozplakać na myśl, że utraci to wszystko.

- Jeżeli tedy chcesz zachować swoje książki, stół i fotel, to musisz mnie słuchać.

- Czyż nie powiedziałem, że jestem na usługi Waszej Eminencji?

- A więc zrobisz wszystko, czego zażądam?

- Zrobię.
- Nie mówiąc o tym nikomu ani słówka?
- Będę milczał.
- Nic nie powiesz nawet pannie Batyldzie?
- Jej najpewniej nie napomknę ani słowem, Eminencjo.
- To dobrze. Pod tym jedynie warunkiem mogę ci przebaczyć.
- O, Wasza Wielebność!
- Zapomnę o twojej winie.
- Wasza Wielebność jest nazbyt dobry.
- I nawet... i nawet może cię wynagrodzę.
- Eminencjo! Tyle łaskowości!
- No, już dobrze, dobrze! Bierz się do pracy.
- Nie będę zwlekał ani sekundy, przyrzekam.

I Buvat zabrał się do pracy posługując się, jako najszybszym, pismem pochyłym i podnosząc wzrok jedynie po to, by przenieść go z oryginału na kopię, a z kopii na oryginał; zatrzymywał się czasem na krótką chwilę, by otrzeć krople potu skapujące mu obficie z czoła.

Korzystając z tego, że Buvat był całkowicie pochłonięty robotą, Dubois otworzył drzwi do alkowy, gdzie czekała Filonka, gestem nakazał jej milczenie i odprowadził ją do wyjścia.

- No i co, kumie - spytała po cichu nie mogąc mimo nakazanego jej milczenia, powściągnąć ciekawości - no i co, gdzie jest ten twój pisarczyk?

- Oto on - rzekł Dubois wskazując Buvata, który leżąc niemal na papierze oddawał się swej pracy z zapalem.

- Co on robi?
- Co on robi?
- Tak, pytam cię o to.
- Co on robi? Zgadnij.
- Skąd to, u diabła, mam wiedzieć?
- Chcesz zatem, bym ci powiedział?
- Tak.

- No cóż, przepisuje...

- Co?

- Mój list kardynalski. Jesteś zadowolona?

Filonka wydała tak głośny okrzyk zdziwienia, że Buvat zadrżał i odwrócił się mimo woli.

Ale Dubois zdążył już wypchnąć Filonkę za drzwi, polecając raz jeszcze, by go codziennie informowała o każdym kroku swojego kapitana.

Czytelnik natomiast może zapytać, co robili przez ten czas Batylda i d'Harmental?

Nic: byli szczęśliwi.

XII. Wizyta Saint-Simona

W ciągu najbliższych czterech dni Buvat pod pretekstem niegroźnej choroby nie chodził do biblioteki i zdołał zrobić dwa odpisy, do których się zobowiązał, jeden dla księcia de Listhny, drugi dla Dubois. Podczas tych czterech dni, najbardziej może pracowitych i czynnych w całym jego życiu, biedny pisarczyk był tak ponury i milczący, że Batylda, choć pochłonięta własnym szczęściem, wielokroć pytała opiekuna, co mu jest; ale na każde takie pytanie Buvat, mobilizując całą moc swego ducha, odpowiadał, że nic mu nie jest i zaczynał nucić ulubioną piosenkę; oszukiwał Batyldę tym łatwiej, że wychodził do biura, jak zwykł był to czynić od lat; przekonał w ten sposób pupilkę, że żadne zmiany nie zaszły w jego życiu. D'Harmental przyjmował każdego ranka księdza Brigaud, który zapewniał, że wszystko dobrze się układa, a że z drugiej strony sercowe sprawy kawalera układały się nader pomyślnie, młodzian doszedł do wniosku, że najszczęśliwszym stanem człowieka jest stan spiskowca.

Księżę Orleański natomiast, który nie domyślał się niczego, jak zwykle zaprosił na niedzielną kolację swych rozpustnych przyjaciół i swoje kochanki; tego dnia, około drugiej po południu, wszedł nagle do jego gabinetu Dubois.

- Ach, to ty, księżu? Miałem właśnie zamiar posłać do ciebie umyślnego, aby dowiedzieć się, czy będziesz dziś z nami wieczerzał - powiedział regent.

- Wasza Wysokość zatem wydaje dzisiaj przyjęcie? - spytał Dubois.

- No, coś takiego! A skądże ty wracasz z tą wielkopostną miną? Chyba dziś niedziela?

- Ależ tak, Wasza Wysokość.

- To przyjdź nas odwiedzić; oto lista zaproszonych, popatrz: Noce, Lafargue, Fargy, Ravanne, Broglie. Nie zaprosiłem Brancasa; od paru dni stał się arcynudny. mam wrażenie, że spiskuje, słowo daję. A ponadto panie Phalaris i d'Averne; nie znoszą się wzajemnie, będą chciały powyłupywać sobie oczy, co nas zabawi. Ponadto będzie mała Souris i być może madame de Sabran, jeśli przypadkiem nie umówiła się z Richelieu.

- To pańska lista, Wasza Wysokość?

- Tak.

- Czy Wasza Wysokość nie zechciałby rzucić teraz okiem na moją?

- Więc i ty sporządziłeś listę?

- Nie, przyniesiono mi ją całkiem gotową.

- Cóż to takiego? - spytał regent biorąc podsunięty mu papier. - "Lista imienna oficerów francuskich, którzy proszą króla Hiszpanii o przyjęcie ich do służby: Claude-Francois Ferrette, kawaler orderu Świętego Ludwika, kwatermistrz generalny, pułkownik kawalerii; Boschet, kawaler orderu Świętego Ludwika, pułkownik infanterii... de Sabran... de La Rochefoucauld-Gondral... de Villeneuve... de Lescure..., de Laval...". I co dalej?

- A dalej jeszcze inna lista... - i pokazał regentowi drugi dokument: "Oświadczenie szlachty". - Niechaj Wasza Wysokość sporządza swoje listy, proszę bardzo. Jak Wasza Wysokość widzi, nie jesteś jedynym: ambasador Cellamare układa także swoje.

- "Podpisane bez tytułów rodowych i godności, aby nikt nie miał tutaj nic do zarzucenia: de Vieux-Pont, de la Pailleterie, de Beaufremont, de Latour-de-Pin, de Montauban, Louis de Caumont, Claude de Polignac, Charles de Laval, Antoine de Chastellux, Armand de Richelieu". Gdzieżeś to, u diabła, wyłowił, milczku?

- Cierpliwości, Wasza Wysokość, nie dotarliśmy do końca. Proszę jeszcze rzucić okiem na to.

- Plan sprzysiężonych. "Nie istnieje rzecz ważniejsza od zapewnienia sobie pozycji obronnych w bliskości Pirenejów... pozyskać garnizon w Bajonnie albo nim zawładnąć". Oddać nasze miasta, wydać w ręce Hiszpanów klucze do Francji! Któż to planuje, mów, Dubois?

- Jeszcze trochę, cierpliwości, Wasza Wysokość. Mam do ofiarowania Waszej Wysokości rzeczy znacznie donioślejsze. Proszę, oto własnoręczne listy Jego Królewskiej Mości Filipa V.

- "Do króla Francji". Ależ to są tylko kopie!

- Za chwilę powiem, gdzie znajdują się oryginały.

- No, to przyjrzyjmy się temu, księżu, przyjrzyjmy się. "Odkąd Opatrzność osadziła mnie na tronie Hiszpanii"... itp., itp." Jakimże to okiem Twoi wierni poddani mogą spoglądać na traktat podpisany przeciw mnie"... itp., itp. "...by prosić Waszą Królewską Mość, żeby zechciał zwołać zgromadzenie wszystkich stanów...". Zwołać stany generalne! W czym imieniu?

- Wasza Wysokość widzi przecież, że w imieniu Filipa V.

- Filip V jest królem Hiszpanii, nie królem Francji. Niechaj nie odwraca ról: przebyłem już raz Pireneje, aby go osadzić na tronie, mógłbym tedy przebyć je raz jeszcze, żeby go obalić.

- O tym pomyślimy później, nie mówię, że nie; ale chwilowo mamy przed sobą coś innego. Jeśli Wasza Wysokość pozwoli, przeczytamy piąty dokument, i to wcale nie najmniej ważny, jak Wasza Wysokość sam osądzi. - I Dubois podał regentowi ostatni papier, regent zaś pochwycił go tak skwapliwie, że aż rozdarł.

- O, do licha! - szepnął.

- Bagatelka, Wasza Wysokość, to bagatelka - odparł Dubois. - Te dwa kawałki nie ucierpiały zbyt, proszę je zsunąć razem i przeczytać.

Regent połączył dwa kawałki rozdartego dokumentu i przeczytał:

- "Najdrożsi moi i ukochani". Otóż to, przecież to nic innego jak kontynuacja metafory: chodzi po prostu o pozbawienie mnie władzy. I te listy miały być zapewne przedstawione królowi?

- Jutro.

- Kto je ma wręczyć?

- Marszałek.

- Villeroi?

- We własnej osobie.

- Jakże on się mógł zdecydować na rzecz podobną?

- To nie on, Wasza Wysokość, to jego żona.

- Jeszcze jeden figiel diuka de Richelieu.

- Wasza Wysokość trafił w sedno.

- A od kogo masz, księżu, te papiery?

- Dostałem je od pewnego biednego skryby, któremu dano je do przepisania, albowiem wskutek rewizji, przeprowadzonej w domu należącym do hrabiego de Laval, prasa, jaką trzymał w piwnicy, przestała działać.

- To ten skryba widywał się z samym Cellamare? Och, co za głupcy!

- O nie, Wasza Wysokość, o nie! Podjęto rozsądne środki ostrożności: skryba miał do czynienia z księciem de Listhney.

- Księciem de Listhney? Co to za jeden?

- Ulica du Bac, 110.

- Nie znam go.

- Ależ tak, Wasza Wysokość go zna.

- To gdzież ja go spotkałem?

- W swoim westybulu.

- Jak to! Ów domniemany książę de Listhney...

- Jest to ni mniej, ni więcej tylko ten łotr Davranches, pokojowiec pani du Maine.

- Ach! Ach! Zdziwiłbym się bardzo, gdyby ta mała osa w tym nie tkwiła.

- I jeszcze jak! Jeśli Wasza Wysokość chce się jej pozbyć raz na zawsze, a także całej kliki, mamy ich wszystkich w ręku.

- Zajmijmy się najpierw tym, co najpilniejsze.

- Tak, zajmijmy się nade wszystko panem de Villeroi. Czy Wasza Wysokość jest zdecydowany użyć władzy?

- Oczywiście; dopóki puszył się i paradował jak postać z teatru lub karuzeli, wszystko w porządku; dopóki ograniczał się do kalumni oraz impertynencji pod moim adresem, puszczałem to mimo uszu; ale jeśli chodzi o spokój i bezpieczeństwo Francji, och, panie marszałku, wystarczająco już je naraziłeś przez swoją nieudolność militarną, byśmy pozwolili ci narażać je nadal przez wybryki natury politycznej!

- A zatem - ozwał się Dubois - kładziemy na nim rękę?

- Tak, ale z zachowaniem pewnych rygorów: należy przyłapać go na gorącym uczynku.

- To nic prostszego; co dzień o ósmej rano odwiedza króla, nieprawdaż?

- Tak.

- Niech Wasza Wysokość znajdzie się jutro w Wersalu o wpół do ósmej.

- I co dalej?

- Stawi się pan przed nim u Jego Królewskiej Mości.

- I tam, w obecności króla, zacznę mu robić wyrzuty...

- O nie, nie, Wasza Wysokość... należy... - W tej chwili pokojowiec otworzył drzwi.

- Niech ksiądz milczy - rzekł regent. Po czym, odwracając się do służącego: - O co chodzi?

- Jego Wysokość Książę de Saint-Simon...

- Zapytaj, czy w ważnej sprawie.

Pokojowiec odwrócił się i zamienił parę słów z diukiem de Saint-Simon, po czym zwracając się znów do regenta:

- W nadzwyczaj ważnej, Wasza Wysokość - rzekł.

- Dobrze, niech wejdzie.

- Saint-Simon wszedł.

- Przepraszam, książę - powiedział regent - załatwiam pewną drobną sprawę z Dubois i za pięć minut będę do pana dyspozycji.

Regent i Dubois przeszli na drugą stronę komnaty, gdzie rzeczywiście rozmawiali po cichu; w pięć minut później Dubois pożegnał regenta.

- Nie będzie dziś wieczorem przyjęcia - rzekł już w drzwiach Dubois do pokojowca. - Uprzedź o tym zaproszone osoby. Jego Wysokość jest niezdrów.

I już go nie było.

- Czy to prawda, Wasza Wysokość? - zaniepokoił się poważnie Saint-Simon, który, choć bardzo skąpy w szafowaniu swoją przyjaźnią, okazywał sympatię regentowi, może z wyrachowania, a może po prostu był mu oddany.

- O nie, drogi książę - odparł Filip Orleański - a przynajmniej nie w takim stopniu, bym miał powód do obawy. Ale Chirac twierdzi, że jeśli się nie ustatkuję, to umrę na apopleksję, więc, słowo daję, postanowiłem mu się podporządkować.

- Och, Wasza Wysokość! Niechaj Bóg cię wspiera - rzekł Saint-Simon. - Chociaż, szczerze mówiąc, trochę na to za późno.

- A to czemu, mój drogi książę?

- Bo swoboda bycia Waszej Wysokości dała już aż nadto powodów do kalumni.

- Jeżeli tylko o to chodzi, drogi książę, obzuczają mnie nimi od tak dawna, że chyba już im się to uprzykrzyło.

- Przeciwnie, Wasza Wysokość - podjął diuk de Saint-Simon. - Chyba coś tam się knuje przeciw Waszej Wysokości, bo kalumnie stają się bardziej zjadliwe i kłujące.

- Czyżby zaszło coś nowego?

- Wracam właśnie z niesporów u Świętego Rocha; na stopniach kościoła siedział jakiś żebrak, który śpiewał i ofiarowywał wychodzącym teksty owych żałobnych pieni. Czy wiesz, panie, co to były za treny?

- Nie, może kolędy albo pamflety godzące w pana Law, w tę biedną panią du Berry, może we mnie samego. O, mój drogi książę, niechaj sobie śpiewają, byle płacili podatki!

- Proszę przeczytać, Wasza Wysokość! - powiedział Saint-Simon.

I podał diukowi Orleańskiemu kartkę lichego papieru, na jakim drukuje się teksty ulicznych piosenek.

Książę wziął kartkę wzruszając ramionami, rzucił na nią okiem z niewyraźnym wprost uczuciem niesmaku i zaczął czytać:

O, wy, których mowy celność
przeciw dwom dzikim tyranom
lwią wytrwałość, boską dzielność
Grekom dała i Rzymianom,
przeciw najgorszemu gadu
tchnijcie w moje usta jadu,
niech uderzę w ten sam ton,
i niech w dziele mnie wspomaga
wasza natchniona odwaga,
a nie trwoży mnie wasz zgon.

- Wasza Wysokość poznaje styl? - zapytał Sain-Simon.

- Tak - odrzekł regent - to Lagrange-Chancel. - I czytał dalej:

Ledwie otwarł swoje oczy,
widząc przed sobą przeszkody,
wiedziony darem proroczym

dojrzał, że to na tron schody.
U Greków szukał idei,
w czarach Circe i Medei,
lubił spędzać czas przyjemnie,
choć się bawił niebezpiecznie,
by do celu dojść koniecznie,
diabłu duszę oddał pewnie.

(przekład

Adriany Szymańskiej)

- Proszę to zabrać, książę - powiedział regent zwracając kartkę Saint-Simonowi. - Jest to tak obrzydliwe, że wprost nie mam odwagi doczytać do końca.

- Przeciwnie, proszę przeczytać, Wasza Wysokość. Powinien pan wiedzieć, do czego są zdolni wrogowie. I tym lepiej, że się demaskują. To wojna. Wydają nam bitwę, proszę ją przyjąć i dowieść, że Wasza Wysokość jest zwycięzcą spod Nerwinde, Steinkerque i Leridy.

- Życzy pan sobie tego?

- Tak trzeba, Wasza Wysokość.

Regent, z trudną do pokonania odrazą, przeniósł wzrok na papier i przeczytał - opuszczając jedną strofkę, żeby szybciej się z tym paszkwilem rozstać:

Synów gnębi ojca los,
już też są w śmierci krainie,
brat po bracie bierze cios
i żona przed mężem ginie.
Dwóch synów, co w zdrowiu rośli,
już okrutna Parka kosi.
Pierwszy z ojcem się połączył,
drugi tracąc czar rumieńca,
co mu zdobi twarz młodzieńca,
wkrótce także życie skończy.

(Przekład

Adriany Szymańskiej)

Regent odczytał tę strofę zatrzymując się przy każdym wersie, a ton jego głosu zmieniał się w miarę, jak lektura zbliżała się ku końcowi; przy ostatniej linijce nie potrafił już zapanować nad wzburzeniem, zmiął kartkę i chciał coś powiedzieć, lecz nie mógł dobyć głosu, tylko dwie wielkie łzy spłynęły mu po policzkach.

- Wasza Wysokość - ozwał się Saint-Simon spoglądając na regenta z pełnym szacunku współczuciem - Wasza Wysokość, pragnąłbym, aby cały świat był tu obecny i widział owe szlachetne łzy; nie będę już doradzał ci, panie, abyś mścił się na swoich wrogach, gdyż cały świat, tak jak ja, będzie przekonany o twojej, panie, niewinności.

- Tak, moja niewinność - szepnął regent - tak, życie Ludwika XV jej dowiedzie. Nikczemnicy! Wiedzą lepiej niż ktokolwiek, gdzie są prawdziwi winowajcy. Ach, pani de Maintenon, ach, pani du Maine, ach, panie de Villeroi! Bo ów nędznik Lagrange-Chancel jest tylko skorpionem na ich usługach, kiedy zaś pomyślę, mój drogi książę, że mam ich w tej chwili pod moimi stopami i wystarczyłoby tupnąć nogą, by ich wszystkich pod obcasem zmiażdżyć...

- Zmiażdż ich, panie, zmiażdż! Tego rodzaju sposobności nie trafiają się co dnia, a kiedy się trafiają, trzeba je wykorzystać.

Regent zastanawiał się przez chwilę i jego zmieniona twarz z wolna przybierała właściwy mu wyraz dobroci.

- No cóż - rzekł Saint-Simon, który śledził zmiany na obliczu regenta - widzę, że nie stanie się to jeszcze dzisiaj.

- Nie, mości książę - odparł Filip - bo dzisiaj mam coś lepszego do roboty aniżeli zemsta za znieważanie diuka Orleańskiego: muszę ocalić Francję.

I podawszy dłoń Saint-Simonowi, odszedł do swojego gabinetu.

O dziewiątej wieczór Jego Wysokość regent Francji opuścił Palais-Royal i, wbrew swoim zwyczajom, udał się na spoczynek do Wersalu.

XIII. Zasadzka

Nazajutrz, około siódmej rano, kiedy budzono Ludwika XV, pierwszy minister wszedł do jego sypialni i powiadomił go, że diuk Orleański ubiega się o zaszczyt asystowania przy królewskiej toalecie. Ludwik XV, który jeszcze nie potrafił sam decydować o niczym, odwrócił się do guwernera, siedzącego w najciemniejszym kącie komnaty, pytając go jak gdyby, co ma czynić, a pan de Fleury na owo milczące pytanie nie tylko skinął głową, co miało oznaczać, że należy przyjąć regenta, lecz wstał natychmiast i osobiście otworzył przed księciem drzwi. Regent zatrzymał się w progu i podziękował panu de Fleury; po czym szybkim spojrzeniem obrzucił pokój i upewniwszy się, że marszałek de Villeroy jeszcze nie przybył, podszedł do króla.

Ludwik XV był w tym czasie pięknym dziewięcio- czy dziesięcioletnim chłopcem o długich ciemnoblonde włosach, oczach czarnych jak atrament, ustach jak wiśnie i o różowej buzi, która, podobnie jak twarz jego matki, Marii Sabaudzkiej, diuszesy Burgundzkiej, powlekała się nagłą bladością. Chociaż król nie miał jeszcze ukształtowanego charakteru z racji dwóch sprzecznych metod wychowawczych - marszałka de Villeroy i pana de Fleury - rysy jego wyrażały stanowczość, co wskazywało, iż jest potomkiem Ludwika XIV; miał też zwyczaj nosić kapelusz w taki sam sposób jak jego pradziad. Uprzedzony początkowo wobec księcia Orleańskiego, albowiem zrobiono wszystko, co możliwe, by skompromitować regenta w oczach chłopca - mówiono, że nie ma w całej Francji człowieka, który gorzej by mu życzył - z wolna podczas spotkań z Filipem uwalniał się od owych uprzedzeń i w końcu instynkt cechujący młodych i rzadko zawodzący dzieci, kazał mu uznać regenta za przyjaciela.

Trzeba też powiedzieć, że diuk Orleański traktował króla z należnym monarsze respektem, to oczywiste, i zwracał się do niego bardzo grzecznie, ale też bardzo czule. Niewielką ilość spraw, jakie można było poddać ocenie dziecięcej inteligencji, diuk przedstawiał zawsze w sposób tak przejrzysty i zabawny, że te rozmowy na tematy polityczne, które z kimś innym byłyby nad wyraz nużące, stawały się rodzajem rekreacji i chłopiec z przyjemnością brał w nich udział. Należy wyznać również, że niemal zawsze ta praca była nagradzana najpiękniejszymi zabawkami, jakie tylko istniały w Niemczech i Anglii, skąd

sprowadzał je Dubois, by przypodobać się królowi. Jego królewska mość przyjął tedy regenta najśladszym ze swoich uśmiechów i podał mu rączkę do ucałowania ze szczególnym wdziękiem, podczas gdy pan de Fleury, biskup Frejus, wierny swoim zasadom, usiadł znów pokornie w tym samym kącie sypialni, gdzie wchodząc zastał go regent.

- Jestem rad, że pana widzę - powiedział Ludwik XV swoim miłym, dziecinnym głosem, z uśmiechem, którego wciąż narzucana etykieta nie zdołała pozbawić ciepła. - Jestem tym bardziej zadowolony, że skoro nie jest to pora pańskiej zwykłej wizyty, otrzymam zapewne od pana jakąś dobrą nowinę.

- Nawet dwie, sire - odparł regent. - Po pierwsze, otrzymałem z Norymbergi ogromną skrzynię, która, jak mi się zdaje, zawiera...

- Zabawki! Bardzo dużo zabawek! Prawda, panie regencie? - wykrzyknął król skacząc z radości, klaszcząc w dłonie i nie troszcząc się bynajmniej o to, że tuż za nim stoi pokojowiec, który czeka trzymając małą szpadę o stalowej rękojeści z zamiarem przypięcia jej królowi do pasa. - Ach, piękne zabawki! Śliczne zabawki! Ach, jaki pan jest miły, panie regencie. Jak ja pana kocham!

- Sire, spełniam tylko swój obowiązek - odpowiedział regent kłaniając się królowi z szacunkiem - i nie należy mi się za to ani odrobina wdzięczności.

- Ale gdzie ona jest, drogi panie, ta błogosławiona skrzynia?

- U mnie, sire; i jeśli życzy sobie tego Wasza Królewska Mość, każe ją tu przynieść jeszcze dziś lub jutro rano.

- Och, nie, zaraz, natychmiast, bardzo o to proszę!

- Niestety, skrzynia jest u mnie.

- Więc pójdziemy do pana! - wykrzyknął chłopiec biegnąc do drzwi i nie zwracając najmniejszej uwagi na swój niekompletny strój, był bowiem bez jedwabnego fraczka, bez szpady u boku i bez błękitnej wstęgi orderu Świętego Ducha.

- Sire - ozwał się pan de Fleury, podchodząc do dziecka - pozwolę sobie zwrócić uwagę, że Wasza Królewska Mość zbyt namiętnie oddaje się radości z posiadania przedmiotów, które powinien już uważać za błahostki.

- Tak, tak, masz pan rację - rzekł Ludwik XV siląc się, by opanować rozradowanie - ale

trzeba mi wybaczyć: nie mam jeszcze dziesięciu lat, a przecież wczoraj pracowałem bardzo pilnie.

- To prawda - przyznał z uśmiechem biskup Frejus. - Toteż Wasza Królewska Mość zajmie się zabawkami dopiero wówczas, gdy zapyta pana regenta, jaką drugą nowinę chciał mu obwieścić.

- A rzeczywiście, Wasza Dostojność, cóż to za nowina... ta druga?

- Praca dla dobra Francji, sire, i to sprawa takiej wagi, że chcę z nią zapoznać Waszą Królewską Mość.

- Tutaj? - spytał chłopiec.

- Nie, sire, nie sądziłem, że Wasza Królewska Mość odniesie się do niej tak przychylnie, i zostawiłem ją w moim gabinecie.

- A czy nie moglibyśmy - rzekł Ludwik XV zwracając się na poły do pana de Fleury, na poły do regenta i kolejno spoglądając na nich błagalnie - pogodzić jakoś tego wszystkiego? Zamiast pójść na poranny spacer, obejrzę zabawki z Norymbergi, a gdy je obejrzę, udamy się do pańskiego gabinetu i zabierzemy się do pracy.

- To sprzeciwia się etykiecie, sire - odparł regent. - Ale jeśli Wasza Królewska Mość życzy sobie...

- Tak, pragnę tego - powiedział Ludwik XV - to znaczy - dodał zwracając się do pana de Fleury i patrząc na niego tak ujmująco, że nie sposób było mu się oprzeć - jeśli mój zacny guwerner na to pozwoli.

- Czy pan de Fleury widzi w tym jakąś niestosowność? - spytał biskupa regent tonem, który wyraźnie wskazywał, że preceptor urazi go w najwyższym stopniu odrzucając prośbę młodziutkiego ucznia.

- Ależ, Wasza Dostojność, przeciwnie - rzekł pan de Fleury. - To słuszne, by Jego Królewska Mość wdrażał się do pracy, a jeśli chodzi o prawa etykiety, to mogą one być łamane, jeśli wynika z tego dla ludu jakaś pomyślność. Proszę jedynie Waszą Dostojność, by pozwolił mi towarzyszyć Jego Królewskiej Mości.

- Ależ tak, drogi panie! - powiedział regent. - Sprawia mi to ogromną przyjemność.

- Ach, co za szczęście! Co za szczęście! - wykrzykiwał Ludwik XV. - Proszę podać mi

prędko mój fraczek, moją szpadę i moją błękitną wstęgę! Jestem już gotów, panie regencie, jestem gotów! - I chłopiec zbliżył się do regenta, by podać mu rękę; ale regent, miast ulec temu serdecznemu gestowi, skłonił się i otworzywszy przed królem drzwi, dał mu znak, by szedł przodem, sam zaś z kapeluszem w dłoni postępował wraz z panem de Fleury w odległości paru kroków za monarchą.

Apartament królewski położony był na parterze, podobnie jak gabinet diuka Orleańskiego; dzieliły je dwa przedpokoje połączone małą galeryjką, jeden prowadził do komnat króla, drugi do apartamentów regenta. Odległość była tedy nieduża, a że król bardzo się spieszył, po chwili niemal znaleźli się w przestronnej komnacie, oświetlonej czworgiem oszklonych drzwi, przez które można było zejść po dwóch stopniach do ogrodu. Ten obszerny pokój łączył się z drugim, mniejszym, gdzie regent miał zwyczaj pracować lub przyjmował osoby zaprzyjaźnione czy szczególnie przez niego lubiane. Czekał tam cały dwór jego królewskiej mości, rzecz całkiem naturalna, jako że była to pora, gdy król wstawał. Chłopiec nie zauważył nawet pana d'Artagana, kapitana szarych muszkieterów, ani pana markiza de La Fare, kapitana straży, ani dość sporej grupy szwoleżerów, przechadzających się pod oknami - ale natychmiast zobaczył stojącą na stole upragnioną skrzynię, której przeogromne rozmiary sprawiły, że gdy tylko przebrzmiało upomnienie biskupa Frejus, król wydał okrzyk radości.

Musiał się jednak opanować i spokojnie przyjąć wyrazy uszanowania panów d'Artagana i de La Fare'a; regent tymczasem wezwał dwóch pokojowców, uzbrojonych w obcęgi, którzy szybko odbili wieko skrzyni z surowego drzewa i odłoniли kolekcję zabawek najcudowniejszych, jakie olśniły kiedykolwiek oczy dziesięcioletniego monarchy.

Ten kuszący widok sprawił, że chłopiec zapomniał o preceptorze i wymogach etykiety, o kapitanie gwardii i kapitanie szarych muszkieterów; przyskoczył do otwierającego się przed nim skarbcza i jak z bezdennej kopalni, jak z czarodziejskiego rogu obfitości, jak z sezamu z Tysiąca i Jednej Nocy dobywał kolejno dzwoneczki, trójpokładowe okręty, szwadrony kawalerii, bataliony infanterii, wędrownych handlarzy objuczonych towarem, kuglarzy z piłkami i mnóstwo różnych innych wspaniałości, które w wieczór wigilijny oszałamiają wszystkich malców po drugiej stronie Renu; a dokonywał tych odkryć wśród oznak radości tak szczerzej i tak mieszczańskiej, że sam pan de Fleury uszanował moment szczęścia, który rozjaśniał życie

jego królewskiego ucznia. Obecni patrzyli na Ludwika XV w nabożnym skupieniu, które towarzyszy zwykle wielkiemu bólowi lub wielkiej radości. I w tej głębokiej ciszy posłyszano nagle hałas w westybulu.

Drzwi otworzyły się; lokaj zaanonsował diuka de Villeroi i natychmiast pojawił się sam marszałek z laską w ręce, zaafierowany, potrząsający peruką i gromkim głosem domagający się widzenia z królem. A że wszyscy byli przyzwyczajeni do sposobu bycia pana de Villeroi, regent ograniczył się tylko do wskazania jego królewskiej mości, który wciąż wykladał na podłogę i meble precudne zabawki z bezdennej skrzyni. Marszałek nie miał nic do powiedzenia; spóźnił się prawie o godzinę. Król był pod opieką biskupa Frejus, drugiego gubernera. Mimo to pan de Villeroi zbliżył się do wychowanka mamrocząc coś, ze spojrzeniem, które zdawało się mówić, że jeśli jego królewskiej mości zagraża jakieś niebezpieczeństwo, to on jest tutaj, by go bronić. Regent zerknął porozumiewawczo na La Fare'a i niedostrzegalnym uśmiechem dał znak panu d'Artagan, że wszystko znakomicie się układa.

Chłopiec w końcu opróżnił skrzynię i pozwolono mu jeszcze przez chwilę cieszyć się posiadaniem owych skarbów, po czym regent z kapeluszem w dłoni podszedł do niego i przypomniał mu o czekającej ich godzinnej pracy nad sprawami Państwa. Ludwik XV, dotrzymując obietnicy zgodnie z dawną maksymą, że punktualność jest grzecznością królów, obrzucił ostatnim spojrzeniem zabawki, poprosił, by je przeniesiono do jego apartamentów, i skierował się do małego gabinetu, którego drzwi otworzył przed nim sam regent. Z powodu odmienności charakteru obu wychowawców, a może raczej wskutek zręcznej taktyki jednego i złych manier oraz grubiaństwa drugiego, pan de Fleury - który, tłumacząc się niechęcią do mieszania się w sprawy polityczne, nigdy nie asystował przy pracach króla - cofnął się o parę kroków i usiadł skromnie w kącie, marszałek zaś, przeciwnie, żywo ruszył za królem widząc, że ten zmierza do gabinetu. Był to właśnie moment, który regent przewidział i na który czekał niecierpliwie.

- Przepraszam, panie marszałku - rzekł zastępując drogę panu de Villeroi - ale sprawy, o których chciałbym pomówić z Jego Królewską Mością, są objęte ścisłą tajemnicą, proszę zatem, byś pan zostawił mnie przez chwilę sam na sam z królem.

- Sam na sam! - wykrzyknął Villeroi. - Sam na sam! Ależ nie mogę się na to zgodzić!

Wasza Dostojność wie doskonale, że to niemożliwe.

- Niemożliwe, panie marszałku - powtórzył regent z największym spokojem - a to dlaczego, mój drogi?

- Bo jako guwerner Jego Królewskiej Mości mam prawo wszędzie mu towarzyszyć.

- Po pierwsze, miły panie - rzekł regent - to prawo nie wydaje mi się oparte na niepodważalnych kanonach, tolerowałem je do tej pory, bynajmniej nie jako prawo, lecz pańskie uroszczenia, i tylko dlatego, że z uwagi na wiek króla pozbawione jest ono jakiegokolwiek znaczenia. Ale teraz, kiedy Jego Królewska Mość dobiega lat dziesięciu i pozwala mi wprowadzać go w arkana władzy, w wiedzę, dla której Francja powierzyła mi tytuł jego nauczyciela, musisz pan uznać za słuszne, że będę spędzał z Jego Królewską Mością długie godziny sam na sam. Będzie to panu, panie marszałku, o tyle łatwiejsze do przyznania - ciągnął regent z uśmiechem, którego wymowa była jednoznaczna - że jesteś aż nazbyt świadom niektórych tematów, byś musiał się jeszcze czegokolwiek uczyć.

- Ależ, łaskawy panie - odparł marszałek unosząc się, co było w jego zwyczaju, a w miarę jak się unosił, zapominał o wszelkich konwenansach - muszę panu przypomnieć, że król jest moim uczniem.

- Wiem o tym, mój panie - rzekł regent tym samym drwiącym tonem, jaki przybrał na początku rozmowy - i, proszę, uczynź z Jego Królewskiej Mości wielkiego wodza, nie będę ci w tym przeszkadzał. Pańskie kampanie we Włoszech i we Flandrii świadczą o tym, że nie można było wybrać dla króla lepszego mistrza; ale tym razem, panie marszałku, nie chodzi bynajmniej o umiejętności wojskowe, lecz po prostu o pewną tajemnicę państwową, która może być powierzona tylko uszom Jego Królewskiej Mości. Toteż uznasz pan za słuszne, bym powtórzył wyrażoną już chęć porozmawiania z królem na osobności.

- Niepodobna, Wasza Dostojność! Niepodobna! - zawołał marszałek, coraz bardziej tracąc głowę.

- Niepodobna? - zdziwił się regent. - Niby dlaczego?...

- Dlaczego? - powtórzył marszałek - dlaczego?... Bo moim obowiązkiem jest nie spuszczać króla z oka ani na moment, i nie zezwolę...

- Ostrożnie, panie marszałku - przerwał regent z nieopisanym wyrazem wyniosłości - sędzę, że uchybiasz w należnym mi respekcie!

- Wasza Dostojność - powiedział marszałek unosząc się coraz bardziej - wiem doskonale, jakim szacunkiem winienem darzyć Waszą Wysokość, ale wiem także, co należy do moich obowiązków wobec Jego Królewskiej Mości, i właśnie dlatego nie mogę ani na chwilę stracić króla z oczu, albowiem... - i tu się zawahał.

- Albowiem...? - powtórzył regent - albowiem...? Dokończ pan.

- Albowiem odpowiadam za jego osobę - powiedział marszałek, który podniecony ostrym wyzwaniem, nie chciał sprawić wrażenia, że się cofa.

Ten ostatni dowód braku powściągliwości spowodował, że wśród obecnych zapadła cisza; słyszeć było tylko mamrotanie marszałka i tłumione westchnienia pana de Fleury. Natomiast diuk Orleański podniósł głowę, a na jego twarzy pojawił się wyraz niebotycznej pogardy; postawa jego promieniowała godnością, która, gdy tego chciał, czyniła go najbardziej imponującym z ludzi.

- Panie de Villeroi - rzekł - wydaje mi się, że rozumiesz dość osobliwie i myślisz chyba, iż mówisz z kimś innym. A skoro zapominasz pan, kim jestem, powinienem ci o tym przypomnieć. Markizie de La Fare - zwrócił się do kapitana straży - czyń swoją powinność.

Dopiero wówczas marszałek de Villeroi pojął, że osuwa się w przepaść - jakby podłoga się pod nim nagle zapadła. Otworzył usta, by wybełkotać coś w rodzaju przeprosin, ale regent nie pozwolił mu nawet dokończyć zdania i zamknął mu drzwi przed nosem.

Zanim marszałek ochłonął ze zdumienia, markiz de La Fare zbliżywszy się poprosił go o szpadę.

Pan de Villeroi stał nieruchomo, zbity z tropu. Od tak dawna upajał się własną impertynencją, której nikt nie próbował pohamować, że uwierzył wreszcie, iż jest osobą nietykalną; chciał coś powiedzieć, ale głos uwiązł mu w gardle i na powtórny, bardziej stanowczą prośbę odpiął szpadę i podał ją markizowi de La Fare.

W tejże chwili otworzyły się któreś drzwi i wniesiono przez nie lektykę; dwaj szarzy muszkietierowie wepchnęli w nią marszałka i zatrzasnęli drzwiczki; d'Artagan i La Fare ustawili się po obu stronach i w mgnieniu oka więzień został wyniesiony przez boczne drzwi do

ogrodu. Szwoleżerowie na dany rozkaz podążyli za nim; ludzie z eskorty szybkim marszem zeszli po paradnych schodach, skręcili w lewo i wkroczyli do Oranżerii; tam, w pierwszej sali, pozostał cały orszak; tragarze zaś z lektyką i jej pasażerem przeszli do drugiej sali w towarzystwie panów d'Artagan i de La Fare.

Wypadki toczyły się tak błyskawicznie, że marszałek, którego główną zaletą nie była bynajmniej zimna krew, nie zdążył nawet ochłonać. Stwierdził, że jest rozbrojony, że ktoś go niesie, a ponadto znajdował się między dwoma ludźmi, którzy, jak wiedział, nie darzą go specjalną sympatią, i przesadzając jak zwykle co do ważności swojej osoby, uznał, iż jest zgubiony.

- Panowie - ozwał się pobladłszy mocno, a pot zmieszany z pudrem spływał mu po twarzy - mam nadzieję, że nie chcecie mnie zamordować.

- Nie, panie marszałku, proszę się uspokoić - odparł de La Fare, a d'Artagan na widok groteskowej twarzy marszałka i jego rozczochranej peruki nie mógł się powstrzymać od śmiechu. - Nie, waszmość panie, chodzi o rzecz znacznie prostszą i nieskończenie mniej tragiczną.

- O cóż więc chodzi? - spytał marszałek, któremu owo zapewnienie przywróciło odrobinę spokoju.

- Chodzi o dwa listy, które spodziewałaś się wręczyć tego ranka królowi i które są zapewne w jednej z pańskich kieszeni.

Marszałek, który troszczył się głównie o swoją skórę, zapomniał zupełnie o wszystkim, co dotyczyło pani du Maine, drgnął tedy gwałtownie i żywo sięgnął do kieszeni, gdzie znajdowały się owe listy.

- Przepraszam, mości książę - powiedział d'Artagan przytrzymując rękę marszałka - upoważniono nas do uprzedzenia pana, że gdybyś chciał ukryć przed nami oryginały owych listów, pan regent posiada ich kopie.

- Dodam ponadto - rzekł de La Fare - że nakazano nam odebrać je księciu nawet siłą, i jesteśmy z góry rozgrzeszeni ze skutków, jakie spowodowałaby walka, gdyby pan, panie marszałku, chciał posunąć swój opór aż do walki.

- A zatem twierdzicie, panowie, że pan regent posiada odpisy tych listów? - upewniał

się marszałek.

- Słowo honoru - powiedział d'Artagan.

- Słowo szlachcica - rzekł de La Fare.

- W takim razie, moi panowie - powiedział Villeroi - po cóż miałbym ukrywać te listy, które zresztą nie obchodzą mnie wcale, i tylko przez uprzejmość zgodziłem się przekazać je królowi.

- Wiemy o tym, panie marszałku - rzekł de La Fare.

- Mam jednak nadzieję, panowie - dorzucił marszałek - że zechcecie powiadomić Jego Dostojność, iż poddałem się jego rozkazom z całym posłuszeństwem, oraz przekazać mu słowa serdecznego żalu, żem go obraził.

- Proszę o tym nie wątpić, panie marszałku - zapewnił go de La Fare. - Złożymy szczegółowy raport o tym, jak rzeczy się potoczyły. Gdzie są te listy?

- Oto one, waszmość panie - i marszałek wręczył oba pisma panu de La Fare.

De La Fare przełamał zwisającą pieczęć z godłem Hiszpanii i sprawdził, czy istotnie są to dokumenty, które miał odebrać; a przekonawszy się, że nie zaszła pomyłka, powiedział:

- Mój drogi d'Artagan, odprowadź teraz pana marszałka na miejsce przeznaczenia i nakaż tam, proszę, w imieniu Jego Dostojności pana regenta, by osoby, wraz z tobą towarzyszące panu marszałkowi, okazywały mu wszelkie względy, które są mu należne za zasługi.

Lektykę zamknięto i tragarze natychmiast ruszyli w drogę. Marszałek, lżejszy o dwa listy i zaczynający podejrzewać, że wpadł w pułapkę, znalazł się znów w pierwszej sali, gdzie czekali nań szwoleżerowie. Po krótkiej chwili pochód dotarł do bramy, przed którą czekała sześciokonna karoca; wniesiono do niej marszałka, d'Artagan siadł koło niego, oficer muszkietarów i szlachcic z królewskiego dworu, du Libois, usadowili się na przedzie, dwudziestu konnych muszkietarów podzieliło się, po czterech przy każdych drzwiczkach, dwunastu w tyle i pojazd pomknął galopem.

Markiz de La Fare stał na szczycie schodów wiodących do Oranżerii, by przypilnować tego odjazdu. Gdy tylko stwierdził, że wszystko odbyło się bez zakłóceń, powrócił do pałacu trzymając w ręku dwa listy Filipa V.

XIV. Początek końca

Tego samego dnia około drugiej po południu, gdy d'Harmental pod nieobecność Buvata, który rzekomo przebywał w bibliotece, klęczał u stóp Batyldy, po raz tysięczny powtarzając, że ją kocha, kocha tylko ją i zawsze będzie tylko ją kochał, weszła do pokoju Nanette i oznajmiła kawalerowi, iż zjawił się u niego ktoś, kto chce pomówić z nim w pewnej bardzo ważnej sprawie.

D'Harmental, ciekaw dowiedzieć się, co za natręt ściga go aż do bram miłosnego raj, zbliżył się do okna i zobaczył księdza Brigaud, który wzdłuż i wszerz przemierzał izbę. Uspokoił Batyldę miłym uśmiechem i złożony niewinny pocałunek na jej czole wrócił do siebie.

- Otóż to - rzekł ksiądz ujrzawszy kawalera - podczas gdy ty spokojnie umizgujesz się do sąsiadeczki, dzieją się wcale piękne rzeczy, drogi pupilku.

- I cóż się takiego dzieje? - spytał d'Harmental.

- A zatem nic waść nie wiesz?

- Nic, zupełnie nic, może tylko to, że jeśli sprawy, o których chcesz mnie, księżę, powiadomić, nie są najwyższej wagi, uduszę cię za to, że mi przeszkadzasz. Toteż jeśli nie masz nowin godnych wspomnianych okoliczności, zmyśl je, księżulku.

- Niestety, mój drogi pupilku - odparł ksiądz Brigaud - rzeczywistość nie musi wspierać mojej imaginacji.

- Istotnie, wielbny ojciec - powiedział d'Harmental przyjrawszy się uważniej duchownemu - ma ksiądz minę wielce poruszoną. No, proszę mówić, co się stało.

- Co się stało? O mój Boże, prawie nic, tyle tylko, że ktoś nas wydał; że marszałka de Villeroi aresztowano dzisiejszego ranka w Wersalu i że oba listy Filipa V, które miały być przedstawione królowi, wpadły w ręce regenta.

- Niechaj ksiądz to powtórzy - rzekł d'Harmental, który przebywając w siódmym niebie miał ogromne trudności ze zstąpieniem na ziemię. - Niech ksiądz będzie łaskaw powtórzyć, bo nie dosłyszałem, co ksiądz mówił.

Ksiądz powtórzył tedy słowo w słowo owe trzy nowiny, kładąc nacisk na każdą sylabę.

D'Harmental wysłuchał tej informacji od początku do końca i on z kolei pojął grozę sytuacji. Ale choć owa sytuacja zrodziła w nim wiele ponurych myśli, przywołał na twarz wyraz spokojnej stanowczości, jaki miewał w obliczu niebezpieczeństwa; po czym kiedy ksiądz zamilkł, rzekł:

- Czy to już wszystko, - a w tonie jego głosu nie wyczuwało się najmniejszej emocji.

- Na razie tak - odparł ksiądz - ale sądzę, że to wystarczy; jeśli cię to nie zadowala, niełatwo ci dogodzić.

- Mój drogi księże - powiedział d'Harmental - kiedy zaczęliśmy bawić się w konspirację, ich i nasze szanse na zwycięstwo lub porażkę były mniej więcej równe. Potem nasze szanse wzrosły, a teraz zmalowały. Jeszcze wczoraj mieliśmy dziewięćdziesiąt procent szans na zwycięstwo; dziś mamy ich nieledwie trzydzieści; i to wszystko.

- No cóż - rzekł Brigaud - z przyjemnością stwierdzam, że niełatwo upadasz na duchu.

- Cóż ksiądz chce - zawołał d'Harmental - jestem człowiekiem szczęśliwym i widzę wszystko tak, jak to widzi człowiek szczęśliwy! Gdyby ksiądz trafił na chwilę mojego smutku, widziałbym wszystko w czarnych barwach i odpowiedziałbym "Amen" na księże "DE profundis".

- Więc twoim zdaniem...?

- Karty się pomieszały, ale partia nie jest bynajmniej przegrana. Pan marszałek de Villeroi nie należy do spisku, pan marszałek nie zna nawet nazwisk sprzysiężonych. Listy Filipa V, o ile mnie pamięć nie zawodzi, nie wymieniają nikogo i jedyną skompromitowaną w tym personą jest księżę Cellamare. Owóż nietykalność dyplomaty chroni jego osobę przed realnym zagrożeniem. Zresztą pan de Saint-Aignan, jeśli nasze plany dotarły do kardynała Alberoniego, zapewne służy mu obecnie jako zakładnik.

- Jest sporo prawdy w tym, co mówisz, kawalerze - zgodził się Brigaud nabierając trochę pewności siebie.

- A od kogo pochodzą te nowiny? - spytał kawaler.

- Od Valefa, który dowiedział się tego od pani du Maine i udał się do księcia Cellamare, by się o resztę rozpytać.

- W takim razie powinniśmy zobaczyć się z Valefem.

- Umówiłem się z nim u ciebie, kawalerze, zanim poszedłem do markiza de Pompadour; dziwię się, że go jeszcze tu nie ma.

- Raul - ozwał się jakiś głos na schodach - Raul!

- No, proszę, oto i on! - zakrzyknął d'Harmental, podbiegł do drzwi i otworzył je na roścież.

- Dziękuję, mój drogi - rzekł baron de Valef - przyszedłeś mi w porę z pomocą, bo, na honor, miałem już zawrócić. Sądziłem, że ksiądz Brigaud pomylił się w adresie, nie do wiary bowiem, aby chrześcijanin mógł mieszkać tak wysoko i w takim gołębniku. Ach, mój drogi - ciągnął dalej de Valef kręcąc pirueta na obcasie i rozglądając się po mansardzie d'Harmentalą - muszę przyprowadzić tu diuszese du Maine, niech dowie się wreszcie, ile ofiar dla niej ponosisz.

- Oby Bóg pozwolił, baronie - przerwał Brigaud - abyśmy wszyscy, pan, kawaler i ja, nie znaleźli się w ciągu najbliższych dni w jeszcze gorszym pomieszczeniu.

- Och, myśli ksiądz o Bastylji? Niewykluczone, ale Bastylja to siła wyższa; ponadto zaś jest to pomieszczenie królewskie, co podnosi nieco jego walor i powoduje, że szlachcic może w nim przebywać bez ujmy na honorze. Ale ta facjatka, pfe, księżę, na honor, wyczuwa się tu na milę intendenckiego klerka.

- Gdybyś pan wiedział, co ja tu znalazłem - rzekł d'Harmental, urażony nieco pogardliwymi uwagami barona o mieszkaniu - byłbyś szczęśliwy jak ja i nie zechciałbyś go nigdy opuścić.

- Coś takiego! Doprawdy? Jakaś młodzianka mieszczka? A może jakaś pani Michelin? Strzeż się, kawalerze, na tego rodzaju znajomości może sobie pozwolić wyłącznie Richelieu. A nam, panu i mnie, którzy jesteśmy może więcej od niego warci, lecz nie mamy chwilowo szczęścia być tak w modzie jak on, przyniosłoby to ogromne szkody.

- Choć pańskie słowa, baronie - ozwał się Brigaud - są tak frywolne, słucham ich z największą przyjemnością, świadczą bowiem, że nasze sprawy nie stoją tak źle, jak sądziliśmy.

- Przeciwnie. A propos, spisek diabli wzięli!

- Co też pan mówi, baronie? - zakrzyknął Brigaud.

- Bałem się nawet, że nie dadzą mi przyjść tu do was z tą nowiną.
- O mało pana, mój drogi, nie aresztowali, czy tak? - spytał d'Harmental.
- Byłem od tego o włos.
- Jak to się stało, baronie?
- Jak to się stało? Wiesz przecie, księżę, że od ciebie poszedłem do księcia

Cellamare?

- Tak.
- No, więc kiedy tam byłem, przyszli jacyś ludzie i zabrali nasze dokumenty.
- Zabrano papiery księcia Cellamare! - zawołał Brigaud.
- Oprócz tych, które spaliliśmy, ale była tego znikoma ilość.
- Wszyscy zatem jesteśmy zgubieni! - krzyknął Brigaud'
- Dajże temu spokój, księżę. Do licha! Czyż nie stać nas na zorganizowanie małej frondy i czyżbyś sądził, że pani du Maine nie jest warta diuszesy de Longueville?
- Jak to się w końcu odbyło? Opowiedz, proszę - rzekł d'Harmental.
- Drogi kawalerze, wyobraź sobie tę najzabawniejszą w świecie scenę. Wiele dałbym za to, żebyś przy tym był. Uśmialibyśmy się zdrowo. Doprowadziłoby to do wściekłości tego łajdaka Dubois.

- Jak to? Sam Dubois zjawił się u ambasadora? - spytał Brigaud'

- W całej swojej okazałości, księżę. Wyobraźcie sobie, że rozmawialiśmy akurat spokojnie przy kominku o naszych sprawach, księżę Cellamare i ja, grzebiąc w kasecie z listami, ważnymi i mniej ważnymi, i paląc te, które, jak nam się wydawało, zasługują na zaszczytne auto-da-fe, gdy nagle wszedł do gabinetu lokaj i oznajmił, że pałac, gdzie mieści się ambasada, jest otoczony kordonem muszkietierów i że Dubois oraz Leblanc chcą mówić z księciem. Cel tej wizyty nie był trudny do odgadnięcia. Księżę, nie zadając sobie fatygi, bez przeglądania dokumentów, opróżnił kasetę nad ogniem kominka, popchnął mnie do gotowni i kazał tamtych wprowadzić. Rozkaz był zbyteczny: Dubois i Leblanc stali już w drzwiach. Szczęściem żaden z nich mnie nie dostrzegł.

- Na razie nie widzę nic śmiesznego w tym wszystkim - pokręcił głową Brigaud.
- Bo to się zacznie właśnie teraz - podjął Valef. - Pomyślcie najpierw, że ukryty w

gotowalni widziałem i słyszałem wszystko. Dubois pojawił się w drzwiach, za nim Leblanc, i wyciągając swoją głowę kuny szukał wzrokiem księcia Cellamare, który otulony w robdeszan stał przy kominku zasłaniając palące się papiery. "Panowie - ozwał się książę z właściwą mu flegmą - czy mogę wiedzieć, jakiemu to szczęśliwemu przypadkowi zawdzięczam wasze zaszczytne odwiedziny?" "O mój Boże! - odparł Dubois. - Nic prostszego, Ekscelencjo: pan Leblanc i ja nabraliśmy ochoty, by zapoznać się z dokumentami, których dwie próbki - dodał pokazując listy Filipa V - narobiły nam apetytu".

- Jak to! - zdumiał się Brigaud. - Owe listy, przechwycone dopiero o dziesiątej w Wersalu, wydarte panu de Villeroi, znalazły się już o pierwszej w rękach Dubois?

- Jak widzisz, księżę; zrobiły znacznie dłuższą drogę, niż gdyby wędrowały zwyczajnie pocztą.

- I co na to książę? - spytał d'Harmental.

- Książę chciał podnieść głos, chciał powołać się na swobody obywatelskie, lecz Dubois, któremu nie brakuje pewnej logiki, zwrócił mu uwagę, że ambasador sam pogwałcił to prawo, osłaniając sprzysiężenie płaszczem dyplomaty. Krótko mówiąc, Cellamare okazał się w tej kwestii słabszy i musiał znieść to, czemu nie mógł zapobiec. Zresztą Leblanc, nie pytając go o pozwolenie, otworzył już sekretkę i sprawdzał jej zawartość, podczas gdy Dubois wysuwał szuflady biurka i wszędzie węszył. Cellamare odszedł nagle od kominka, spostrzegłszy w rękach Leblanca pakiet listów przewiązanych różową wstążką. "Bardzo pana przepraszam - rzekł - każdy ma swoje przywileje. To listy od dam; dotyczą mnie osobiście". "Dziękuję za szczerość - powiedział Dubois, nie tracąc przytomności umysłu, i wstał z miejsca, by wziąć z rąk Leblanca ów pakiet listów.

- Przywykłem do tego rodzaju sekretów i tajemnica Jego Ekscelencji zostanie uszanowana". W tejże chwili wzrok jego padł na palenisko, gdzie w popiele leżał jeszcze nietknięty ogniem dokument; rzucił się do kominka i wyciągnął papier, zanim dopadł go płomień. Zrobił to tak szybko, że ambasador nie zdołał temu przeszkodzić; i dokument znalazł się w rękach Dubois. "Do kroćset! - zawołał Cellamare patrząc na Dubois, który otrząpywał sobie palce. - Wiedziałem, że pan regent ma zręcznych szpicli, ale nie wiedziałem, że są aż tak odważni, by skakać w ogień". "Daję słowo, Ekscelencjo - rzekł Dubois, który już rozłożył

papier - że brawura bywa sownie nagradzana. Proszę spojrzeć...” Książę rzucił okiem na papier. Nie wiem, co tam było; wiem tylko, że książę zbladł jak człowiek śmiertelnie ugodzony, Dubois wybuchnął śmiechem, a Cellamare w napadzie gniewu potłukł na tysiąc kawałeczków uroczą marmurową figurynkę, którą znalazł pod ręką. “Wolę, że to jej się dostało, a nie mnie” - rzekł chłodno Dubois patrząc na kawałki marmuru, które potoczyły mu się pod nogi, i wsunął papier do kieszeni. “Na każdego przyjdzie kolej, mój panie; Bóg jest sprawiedliwy” - rzekł ambasador. “A zatem - rzucił Dubois szyderczym tonem - skoro zdobyliśmy to, co chcieliśmy zdobyć, a czasu nie mamy już dziś zbyt wiele, opieczętuujemy pańskie apartamenta”. “Moje apartamenta opieczętowane!” - wykrzyknął zrozpaczony Cellamare. “Za pańskim pozwoleniem - dodał Dubois - panie Leblanc, proszę zaczynać”. Leblanc wyjął z torby przygotowane z góry taśmy i wosk. Rozpoczął swój proceder od sekretery i biurka, a gdy nałożył pieczęcie na te dwa meble, podszedł do drzwi gotowalni, za którymi byłem ukryty. “Panowie - zawołał książę - nie ścierpię...” “Panowie - rzekł Dubois otwierając główne drzwi i wpuszczając do pokoju dwóch muszkietarów - oto pan ambasador Hiszpanii, oskarżony o zdradę stanu, o spisek przeciw naszemu Państwu; bądźcie łaskawi odprowadzić go do pojazdu i zawieźć w znane wam miejsce. Jeśli będzie stawiał opór, przywołajcie ośmiu ludzi i zanieście go”.

- I co zrobił Cellamare? - spytał Brigaud.

- Cellamare postąpił tak, jak, przypuszczam, postąpiłbyś, księżę, w jego sytuacji; poszedł za dwoma oficerami, a w pięć minut później wasz unizony sługa znalazł się pod pieczęcią.

- Biedny baronie! - zawołał d'Harmental. - I jakże, u diabła, wydostałeś się stamtąd?

- To właśnie jest najzabawniejsze w całej historii. Zaledwie ambasador wyszedł, a ja wciąż siedziałem za drzwiami gotowalni, które zapieczętowano na samym końcu, Dubois przywołał lokaja. “Jak się nazywasz?” - zapytał go. “Lapierre, Wasza Dostojność, i jestem do pańskich usług” - wystękał roztrzęsiony lokaj. “Mój drogi panie - zwrócił się Dubois do Leblanca - wytłumacz, proszę, temu człowiekowi, na jaką karę naraża się ten, kto łamie pieczęcie”. “Na galery” - odparł Leblanc z miłym akcentem, który dobrze znacie. “A więc, mój drogi Lapierre - ciągnął Dubois tonem słodkim jak miód - sam pan słyszysz: jeśli chcesz

wiosłować przez parę lat na okrętach Jego Królewskiej Mości, monarchy Francji, dotknij choćby czubkiem palca którejś z tych tasiemek lub wielkich pieczęci, a twoja sprawa będzie załatwiona. Jeśli, przeciwnie, zrobi ci przyjemność sto ludwików, strzeż pilnie pieczęci, które nałożyliśmy, a za jakieś trzy dni sto ludwików wpłynie do twojej kieszeni”. “Wolę sto ludwików” - powiedział ten nicpoń Lapiere. “Podpisz zatem protokół; mianujemy cię strażnikiem gabinetu księcia”. “Jestem do pańskich usług, Wasza Dostojność” - powtórzył Lapiere i podpisał. “Czy teraz rozumiesz, jaka odpowiedzialność ciąży na tobie?” “Tak, Wasza Dostojność”. “I bierzesz ją na siebie?” “Tak, biorę”. “To wspaniale. Mój drogi Leblanc, nie mamy tu już nic do roboty - rzekł Dubois - bo zdobyłem - dodał pokazując dokument, który wyciągnął z kominka - wszystko, co mi było potrzebne”. Po tych słowach wyszedł, a za nim jego pomocnik. Lapiere patrzył, jak się oddalają; kiedy zobaczył, że wsiedli do karety, rzekł odwracając się w stronę gotowalni: “Szybko, panie baronie, musimy skorzystać z tego, że jesteśmy sami, aby mógł pan stąd odejść”. “A więc wiedziałeś, łotrze, że tu jestem?” “Dalibóg! Czy zgodziłbym się zostać strażnikiem pieczęci, gdyby nie to właśnie? Widziałem, jak wchodził pan do gotowalni, i pomyślałem, że nie radowałoby pana siedzenie tam przez trzy dni”. “Masz rację. Sto ludwików dla ciebie za tę pocziwą myśl”. “Dobry Boże! A cóż pan robi?” - wrzasnął Lapiere. “Przecież widzisz, staram się stąd wyjść”. “Ale nie drzwiami, panie baronie, nie drzwiami! Czy chce pan posłać na galery biednego ojca rodziny? A poza tym oni zabrali klucz z sobą, dla pewności”. “To według ciebie, gałganie, jak mam się stąd wydostać?” “Podnieś pan głowę”. “Podniosłem”. “Spójrz pan w górę”. “Patrzę”. “W prawo”. “Według rozkazu”. “I nic pan nie widzi?” “A tak, wole oko”. “No to niech pan wejdzie na krzesło, na jakiś sprzęt, na cokolwiek. Wole oko wychodzi na alkowę. Tak; niech się pan tamtędy ześliznie, spadnie pan na łóżko... Nie zrobił pan sobie nic złego, panie baronie?” “Nie. Książę sypiał wygodnie, jak mi Bóg miły! Życzę mu, aby miał takie samo łóżko tam, gdzie go zawiozą”. “A teraz mam nadzieję, że pan baron nie zapomni o usłudze, którą mu oddałem”. “Sto ludwików, prawda?” “To pan baron mi je zaofiarował”. “Patrzcie go! Słuchaj, hultaju, nie mam w tej chwili chęci wyzbywać się pieniędzy, weź ten pierścień, wart jest trzysta pistoli: zyskujesz na tej transakcji sześćset liwrów”. “Pan baron jest najhojniejszym jaśnie panem, jakiego znam”. “Przestań tyle gadać! A teraz: jak mam stąd wyjść?” “Tymi małymi schodkami. Pan baron znajdzie się w oficynie, przejdzie przez kuchnię,

wyjdzie do ogrodu i z ogrodu przez furtkę na ulicę, bo brama jest pewnie strzeżona”. “Dziękuję za wskazanie marszruty”. Postąpiłem dokładnie wedle wskazówek imć Lapierre'a; odnalazłem oficynę, kuchnię, ogród, furtkę; jednym susem przebiegłem odległość od ulicy des Saints-Peres, i oto jestem.

- A księżę Cellamare? Gdzie jest obecnie? - spytał kawaler.

- Bo ja wiem? - rzekł Valef. - Chyba w więzieniu.

- Do diaska! Do diaska! Do diaska! - powtarzał Brigaud.

- I cóż ksiądz powie o tej mojej odysei?

- Byłaby bardzo komiczna, gdyby nie przeklęty dokument, który ów potępieniec Dubois wyciągnął z popiołu.

- Rzeczywiście - przyznał Valef - to psuje całą rzecz.

- I nie ma pan najmniejszego pojęcia, co by to być mogło?

- Najmniejszego. Ale niech ksiądz będzie spokojny, dokument nie zginął i pewnego dnia zapoznamy się z jego treścią.

W tej chwili rozległy się kroki na schodach. Drzwi się otworzyły i ukazała się w nich pyzata twarz Bonifacego.

- Przepraszam, proszę mi wybaczyć, panie Raulu - powiedział przypuszczalny spadkobierca pani Denis - ale ja nie pana poszukuję, lecz papy Brigaud.

- Nic nie szkodzi, panie Bonifacy - rzekł Raul. - Witam pana. Drogie baronie, przedstawiam ci poprzedniego mieszkańca tego pokoju, syna mojej szanownej gospodyni, pani Denis, chrześniaka naszego przyjaciela, księdza Brigaud.

- Patrzcie, patrzcie, to pan, panie Raulu, masz baronów za przyjaciół?! Dalibóg, toż to zaszczyt dla domu mojej matki. Więc jesteś pan baronem?

- Już dobrze, dobrze, figlarzu - przerwał ksiądz, któremu nie zależało specjalnie na rozgłaszaniu wieści, że przebywa wśród tak zacnej kompanii. - Podobno mnie właśnie szukasz?

- Tak, szukam księdza.

- I czego chcesz?

- Ja... nic. To mama domaga się księdza.

- Może wiesz, czego chce ode mnie?

- No, proszę, czy ja wiem! Chce się księdza zapytać, dlaczego jutro zbiera się parlament.

- Jutro zbiera się parlament? - wykrzyknęli Valef i d'Harmental.

- Po co się zbiera? - spytał Brigaud.

- To właśnie i ją intryguje, biedną mamę.

- A skąd twoja matka dowiedziała się, że parlament zbiera się jutro?

- Ja jej o tym powiedziałem.

- A ty gdzieś się tego dowiedział?

- Od mojego pryncypała, do kroćset! Mistrz Joulu był właśnie u pana prezesa, kiedy nadszedł do niego z Tuileriów ów rozkaz. Toteż jeśli w kancelarii wybuchnie jutro pożar, to nie ja podłożę ogień, może ksiądz być o tym przekonany, papo Brigaud. I pomyśleć, że wszyscy przyjdą w czerwonych strojach! Ani chybi spadnie cena na raki!

- Uspokój się, nicponiu; powiedz swojej matce, że schodząc wstąpię do niej.

- Sufficit! Będziemy na księdza czekać. Do widzenia, panie Raulu, do widzenia, panie baronie. Ach, homary po dwa su! Homary po dwa su!

I pan Bonifacy wyszedł ani się domyślając, jakie wrażenie wywarł na swoich słuchaczach.

- Przygotowuje się chyba zamach stanu - szepnął d'Harmental.

- Biegnę do pani du Maine, by ją o tym uprzedzić - powiedział Valef.

- Ja zaś do pana de Pompadour, żeby zasięgnąć języka - rzekł Brigaud.

- Ja natomiast zostaję - oznajmił d'Harmental. - Jeśli ksiądz będzie mnie potrzebował, wie ksiądz, gdzie mnie szukać.

- A jeśli nie będziesz u siebie, kawalerze?

- Będę niedaleko; zechce ksiądz tylko otworzyć okno i klasnąć po trzykroć w ręce; przybiegnę natychmiast.

Ksiądz Brigaud i baron de Valef chwycili kapelusze i zeszli razem, by udać się tam, gdzie zamierzali.

W pięć minut później d'Harmental zszedł również i podążył do Batyldy, którą zastał

wielce zaniepokojoną.

Była piąta po południu, a Buvat jeszcze nie wrócił. Zdarzyło mu się to po raz pierwszy, jak daleko Batylda sięgała pamięcią.

XV. Uroczyste posiedzenie parlamentu

Nazajutrz o siódmej rano Brigaud zastał już d'Harmentala ubranego i czekającego na wizytę księdza. Narzucili na siebie płaszcze szerokie jak peleryny, nasunęli kapelusze na oczy i podążyli ulicą du Clery na plac Zwycięstwa, a następnie ku ogrodom Palais-Royal.

Zbliżając się do ulicy de l'Echelle zauważyli niezwykle zamieszanie: wszystkie ulice, wiodące do Tuileriów, były strzeżone przez liczne oddziały szwoleżerów i muszkietarów, a ciekawscy, wypłoszeni z ogrodów, gromadzili się na placu du Carrousel. D'Harmental i Brigaud wmieszali się w tłum.

Gdy doszli do miejsca, gdzie dzisiaj wznosi się Łuk Triumfalny, zaczepił ich szary muszkietar, jak oni osłonięty szeroką peleryną. Był to Valef.

- No i co, baronie? - spytał Brigaud. - Co nowego?

- A, to ksiądz Brigaud - zdziwił się Valef. - Szukaliśmy, Laval, Malezieux i ja, tak, szukaliśmy księdza wszędzie. Rozstałem się z nimi przed sekundą, powinni być gdzieś w pobliżu. Nie oddalajmy się stąd, na pewno nas za chwilę odnajdą. Czy ksiądz wie coś nowego?

- Nic absolutnie. Byłem u pana Malezieux, ale już wyszedł.

- Niech ksiądz raczej powie, że jeszcze nie wrócił. Całą noc spędziliśmy w Arsenale.

- I nie było żadnych wrogich wystąpień? - spytał d'Harmental.

- Żadnych. Obaj bracia, diuk du Maine i hrabia Tuluzy, zostali wezwani przez Radę Regencyjną, która miała się zebrać przed uroczystym posiedzeniem Parlamentu. O wpół do siódmej znaleźli się już w Tuileriach, tak samo jak pani du Maine, która, pragnąc być bliżej nowin, zainstalowała się w swoich apartamentach w gmachu nadintendentury.

- Czy wiadomo, co się stało z księciem Cellamare? - spytał d'Harmental.

- Wywieziono go w kierunku Orleanu, w czworokonnej karecie. Towarzyszył mu pewien szlachcic z królewskiego dworu oraz dwunastu szwoleżerów.

- Czy nic nie wiadomo o dokumencie, który Dubois wydobyl z ognia? - spytał Brigaud.

- Nic.

- Co o tym myśli pani du Maine?

- Że knują coś przeciw prawnie uznanym książętom i że chcą wykorzystać tę sytuację, by odebrać im pozostałą część przywilejów. Dlatego też dziś rano przy wszystkich natarła uszu swemu mężowi, który w końcu obiecał trzymać się twardo; ona jednak na to wcale nie liczy.

- A hrabia Tuluzy?

- Widzieliśmy się z nim wczoraj wieczorem, ale ksiądz wie, że nie można przewyciężyć jego skromności lub raczej pokory. On uważa, że i tak korzystają ze zbyt wielu względów, i zawsze jest gotów oddać wszystko, o co go regent poprosi.

- A król?

- No, cóż, król...

- Jak przyjął aresztowanie marszałka de Villeroi, swego guwernera?

- A czy wy, panowie, wiecie o tym, że podobno między marszałkiem i biskupem Frejus istniał układ, iż jeśli jednego z nich oddalą od Jego Królewskiej Mości, to drugi musi także natychmiast się wycofać. Biskup zniknął wczoraj rano.

- I gdzie jest?

- Bóg raczy wiedzieć. Toteż król, który dość mocno przeżył utratę marszałka, jest teraz niepokieszony z racji nieobecności biskupa.

- Od kogo dowiedziałeś się pan, baronie, o tym wszystkim?

- Od diuka de Richelieu, który zjawił się wczoraj około drugiej w Wersalu, by umizgać się do króla, i zastał go pogrążonego w rozpaczę wśród potłuczonych porcelanowych figurynek i kostek do gry. Znacie wszakże doskonale naszego diuka de Richelieu: zamiast wtórować chłopcu w smutku, rozbawił go opowiadając jakieś głupstwa i niemal go pocieszył tłukąc wraz z nim resztę porcelanowych zabawek i kostek.

Jakiś człowiek w długiej adwokackiej todze i czworokątnym birecie przeszedł obok grupki, jaką tworzyli Brigaud, d'Harmental i Valef, podśpiewując refren piosenki, którą ułożono o marszałku po bitwie pod Ramillies:

Nasz zacny marszałek Villeroi

wielkie zasługi u króla ma...

Brigaud odwrócił się i zdało mu się, że rozpoznaje pod tym przebraniem pana de Pompadour. Ten zaś przystanął, zawrócił i podszedł do naszej grupki; ksiądz nie miał już wątpliwości: był to rzeczywiście markiz.

- I cóż tam, mości kauzyperdo - zwrócił się do niego Brigaud - jakie nowiny przynosisz nam pan z pałacu?

- Nowina to istotnie niezwykła - odparł Pompadour - zwłaszcza jeśli się potwierdzi: mówią, że Parlament nie chce się udać do Tuileriów.

- Chwała Bogu - wykrzyknął Valef. - To mnie wreszcie pogodzi z czerwonymi kieckami, ale Parlament chyba się nie odważy.

- Pojęcia nie mam! Wiecie przecież panowie, że pan de Mesne jest z nami; został mianowany przewodniczącym za wstawiennictwem diuka du Maine.

- Tak, to prawda, ale sporo już czasu upłynęło od tej chwili - rzekł Brigaud. - Jeśli nie znajdziesz pan innych zwolenników, mości kauzyperdo, radzę zbytnio na protegowanych pana du Maine nie polegać.

- Tym bardziej - wtrącił Valef - że, jak wiecie, uzyskał on dopiero co od regenta przyrzeczenie, że będą mu wypłacać pięć tysięcy liwrów z funduszu dyspozycyjnego.

- O! O! - wykrzyknął d'Harmental. - Popatrzcie! Wydaje mi się, że zaszło coś nowego. Czyżby posiedzenie Rady Regencyjnej już się skończyło?

Rzeczywiście na dziedzińcu Tuileriów zaczął się jakiś niezwykły ruch, a dwie karety, diuka du Maine i hrabiego Tuluzy, opuściwszy swoje miejsca postoju ruszyły pod pawilon de l'Horloge. W tym samym momencie pojawili się obaj bracia. Zamienili z sobą parę słów, po czym każdy wsiadł do swojej karocy i odjechali szybko w kierunku bocznej bramy od strony stawu.

Przez dziesięć minut Brigaud, Pompadour, d'Harmental i Valef gubili się w domysłach w związku z tym wydarzeniem, które, spostrzeżone przez bardzo wiele osób, wywołało sensację wśród tłumu. Ale nie zdołali odgadnąć prawdziwej tego przyczyny; wkrótce też zauważyli pana Malezieux, który zdawał się ich szukać. Pospieszyli ku niemu, a sądząc po jego stroskanej twarzy, doszli do przekonania, że przyniósł wiadomości mało pocieszające.

- No i co? - spytał Pompadour. - Ma pan jakieś pojęcie o tym, co się tu dzieje?

- Niestety! - odparł Malezieux. - Obawiam się, że wszystko stracone.

- Wiesz pan na pewno, że diuk du Maine i hrabia Tuluzy opuścili posiedzenie Rady Regencyjnej? - pytał dalej Valef.

- Byłem na nabrzeżu, kiedy tamtędy przejeżdżali; du Maine mnie poznał, kazał pojazd zatrzymać i przysłał mi przez lokaja ten skreślony ołówkiem bilecik.

- Zobaczmy, co to jest - powiedział Brigaud i przeczytał:

“Nie wiem, co knują przeciw nam, ale regent poprosił hrabiego Tuluzy i mnie, abyśmy opuścili posiedzenie. Ta prośba wydała mi się rozkazem, a że wszelki opór byłby daremny, w Radzie bowiem posiadamy cztery, może pięć głosów, i tak naprawdę nie wiem, czy możemy na nie liczyć, musiałem usłuchać. Postaraj się Pan spotkać z diuszesa, która pewnie znajduje się w Tuileriach, i powiedz jej Pan, że wyjeżdżam do RAmbouillet, gdzie będę czekał na dalszy rozwój wypadków.

Szczerze Panu oddany

Ludwik-August”

- Co za tchórz! - oburzył się Valef.

- Dla takich właśnie ludzi ryzykujemy naszymi głowami - szepnął Pompadour.

- Mylisz się, markizie - rzekł Brigaud - ryzykujemy naszymi głowami dla nas samych, przynajmniej taką mam nadzieję. Czyż nie tak, drogi kawalerze? Ale co, u diaska, dzieje się z tobą?

- Niech ksiądz poczeka chwilę - powiedział d'Harmental. - Wydaje mi się, że poznaję... ależ tak, niech mnie kule biją! To on. Nie odejdziecie stąd, panowie?

- Nie. Przynajmniej ja nie - zapewnił go Pompadour.

- Ani ja - rzekł Valef.

- Ani ja - powiedział Malezieux.

- Ani ja - dorzucił ksiądz.

- Znakomicie. Wobec tego zaraz do was wrócę.

- Dokądże idziesz, kawalerze? - spytał Brigaud.

- Proszę nie zwracać na mnie uwagi - odparł d'Harmental. - To moja osobista sprawa. -

I wysunawszy rękę spod ramienia Valefa zaczął rozgarniać tłum, kierując się ku owemu

indywiduum, które od jakiegoś czasu śledził pilnie wzrokiem i które dzięki swoim muskułom, tej oznace godności, tak szanowanej przez pospólstwo, zbliżało się do bramy w towarzystwie dwóch pijaniusieńkich dziewczyn, uwieszonych u jego ramion.

- A więc patrzcie, moje księżniczki - mówił ten osobnik, kreśląc na piasku linie architektoniczne końcem swojej laski, podczas gdy jego długa szpada objęła się o nogi sąsiadów - oto co się zwie "łożem sprawiedliwości". Byłem świadkiem takiego procederu po śmierci nieboszczyka króla; przełamano wtedy pieczęcie jego testamentu i oświadczone... nie uwłaczając Jego Królewskiej Mości Ludwikowi XIV... że bastardi pozostają na zawsze bastardami. Działo się to w wielkiej sali sądowej, nieważne, długiej czy kwadratowej; "tron sprawiedliwości" był tutaj, o, parowie tam, a członkowie Parlamentu naprzeciw.

- Powiedz mi, Honoryno - przerwała jedna z dziewczyn - czy ciekawi cię jego gadanina?

- Ani trochę; nie warto było nas tu ciągnąć aż z bulwaru Saint-Paul; obiecywał widowisko, a pokazuje nam pięćdziesięciu konnych muszkietierów i dwunastu szwoleżerów pędzących za nimi.

- Hola, staruszkule - odezwała się znów pierwsza dziewczyna - nie lepiej, żebyśmy poszli na potrawkę z ryby? To pożywniejsze od twojego "łoża sprawiedliwości", nie?

- Panno Honoryno - odparł ten, do którego skierowano owo przebiegłe zaproszenie - choć mam zaszczyt znać panią ledwie od dwunastu godzin, spostrzegłem już, żeś zbyt skłonna dbać o swój żołądek, co jest brzydką cechą u niewiasty. Staraj się wyzbyć tej przywary przynajmniej na czas, kiedy jesteś w moim towarzystwie.

- Słuchaj no, Fimko, czy on zamierza włączyć się tak z nami aż do piątej? A zafundował nam tylko omlet na boczku i trzy butelki białego wina, ten stary ćwik! Uprzedzam cię, mój chłopysiu, że zwięję, jeśli nie zostanę nakarmiona.

- "O namiętności moja, jakżeś piękna!", mówiąc słowami Piotra Corneille'a - odrzekł człowiek, do którego próżności męskiej skierowano ów apel gastronomiczny, po czym chwycił obie panienki za nadgarstki i wsunął sobie ich rączki pod pachy, ścisnąwszy jak obcęgi. - Nie będzie tu żadnych dyskusji na temat jednej czy dwóch potrawek; należycie do mnie aż do czwartej po południu, zgodnie z umową zawartą z panią, z panią... no, mniejsza o to, jak ją

tam nazywacie!

- Owszem, ale z wyżywieniem, z wyżywieniem!

- W umowie wcale nie poruszono sprawy wyżywienia, moje gołąbeczki, jedynym poszkodowanym jestem ja.

- Ty, ohydny kutwo?!

- Tak, ja; bo prosiłem o dwie dziewczyny.

- No i co? Przecież je dostałeś.

- Przepraszam, o, przepraszam. Powtórzę raz jeszcze: prosiłem o dwie dziewczyny, co oznacza: jedną blondynkę i jedną brunetkę, tymczasem korzystając z ciemności podsunęto mi dwie blondyny, z czego wynika, moim zdaniem, że dostałem jedną, choć podwójną blondynę. To ja mam prawo upominać się o wyrównanie mi strat. Milczmy więc, moje lube, milczmy.

- Ależ to niesprawiedliwe! - krzyknęły obie naraz.

- Czego chcecie? Świat jest pełen niesprawiedliwości. Popatrzcie, zdaje mi się, że akurat teraz wyrządzono ją temu biednemu panu du Maine, i gdybyście miały choć odrobinę serca, nie myślałybyście o niczym innym, tylko o kłopotach biednego księcia. Zresztą pragnęłyście widowiska; oto je macie i piękne to nawet widowisko! Napatrzcie się do syta.

- Kapitanie - ozwał się d'Harmental trącając w ramię Roquefinette'a, miał bowiem nadzieję, że dzięki zamieszaniu, jakie spowoduje nadejście członków Parlamentu, będzie mógł porozmawiać z naszym starym znajomym - czy mógłbym rzec panu dwa słowa na osobności?

- Cztery, kawalerze, cztery, i sprawi mi to wielką przyjemność. Zostańcie tutaj, moje koteczki - dorzucił wypychając panienki do pierwszego rzędu. - Gdyby ktoś was znieważył, dajcie mi znak, będę o dwa kroki stąd. Już jestem, panie kawalerze, już jestem - mówił dalej odciągając d'Harmental na stronę, z dala od tłumu, który cisnął się wokół przechodzących dygnitarzy. - Rozpoznałem pana już pięć minut temu, ale nie chciałem się pierwszy odezwać.

- Stwierdzam z zadowoleniem - rzekł d'Harmental - że kapitan Roquefinette jest jak zawsze ostrożny.

- Przeostrożny, kawalerze; więc jeśli zamierzasz pan złożyć mi następną propozycję,

proszę energicznie brać się do dzieła.

- Nie, kapitanie, nie, nie, przynajmniej nie teraz. Miejsce zresztą nie jest odpowiednie dla tego rodzaju narady. Chciałem się tylko na wszelki wypadek dowiedzieć od pana, czy mieszkaś nadal tam, gdzie przedtem.

- Wciąż tam, gdzie mieszkałem, kawalerze. Jestem jak bluszcz: przyczepiam się lub umieram; i wspinam się tak, jak bluszcz. To znaczy, że uprzednio znalazłbyś mnie pan na pierwszym lub drugim piętrze, obecnie zaś, jeśli zechcesz uczynić mi zaszczyt swoją wizytą, będziesz musiał mnie szukać na piątym lub szóstym, gdyż na kształt huśtawki, co pojmiesz, nie będąc nawet znakomitym ekonomistą, w miarę jak zasoby się obniżają, ja idę w górę. Owóż skoro zasoby znajdują się najniżej, ja wznoszę się najwyżej.

- Jak to, kapitanie - rzekł ze śmiechem d'Harmental sięgając do kieszeni swojej kurtki - jesteś pan w tarapatach finansowych i nie zwracasz się do przyjaciół?!

- Ja miałbym pożyczać pieniądze! - obruszył się kapitan i gestem powstrzymał dobre intencje kawalera. - A fe! Jeśli otrzymuję prezent za przysługę, to wszystko w porządku. Kiedy zawieram pakt i ktoś spełnia jego warunki, to cudownie! Ale żebym o coś prosił, nie mając prawa do prośby! To dobre dla szczerów kościelnych, nie dla mężczyzny noszącego szpadę. Będąc tylko szlachcicem, mam dumę diuka lub para. Ale przepraszam, stokrotnie przepraszam, widzę, że moje ladacznice zmykają, a nie chciałbym zostać okpiony przez ten gatunek ludzki. Gdybyś mnie pan potrzebował, wiesz, gdzie mnie szukać. Do widzenia, panie kawalerze, do widzenia.

I nie czekając na to, czy d'Harmental ma mu jeszcze coś do powiedzenia, Roquefinette pobiegł za Honoryną i Eufemią, bo panienki, sądząc, że umknęły z jego pola widzenia, szukały innej możliwości skosztowania potrawki rybnej, na którą godny szacunku wojownik miałby nie mniejszą niż one chętkę, gdyby rozporządzał nieco lepiej zaopatrzonym mieszkaniem.

A że była dopiero jedenasta rano i nic nie zapowiadało, iż uroczyste posiedzenie Parlamentu skończy się przed czwartą po południu i że wcześniej zapadną jakieś ważne decyzje, nasz kawaler postanowił - zamiast sterczeć beczynn timer na placu du Carrousel - poświęcić swojej miłości owych kilka wolnych godzin. Zresztą im bliżej był, we własnym odczuciu, jakiejś katastrofy, tym bardziej brakowało mu obecności Batylidy. Batylida stała się

jednym z warunków jego życia, nieodzowną częścią jego egzystencji i w chwili, kiedy miał zostać oddzielony od niej może na zawsze, nie pojmował, jak zdoła bez niej przeżyć choć jeden dzień. W rezultacie, ożywiany świętym pragnieniem ujżenia ukochanej, kawaler zamiast szukać swoich towarzyszy, pospieszył na ulicę du Temps-Perdu.

Zastał biedne dziewczę bardzo strapione. Buvat wyszedł z domu przedwczoraj o wpół do dziesiątej rano i jeszcze go nie było. Nanette pobiegła dowiedzieć się czegoś w bibliotece, ale - ku jej ogromnemu zdziwieniu i ku wielkiemu oburzeniu kolegów - wzorowy urzędnik nie pojawiał się tam od pięciu czy sześciu dni. Taka zmiana zwyczajów Buvata dowodziła, że stanęły mu na drodze poważne przeszkody i wydarzenia. Z drugiej zaś strony Batylde dostrzegła poprzedniego dnia w zachowaniu się Raula jakieś gorączkowe podniecenie, które, choć hamowane siłą charakteru młodzieńca, zdradzało, że dzieje się coś bardzo niedobrego. I w końcu, dołączając poprzednie obawy do nowych niepokojów, Batylde odczuła instynktownie, że jakieś niewidzialne, lecz nieuchronne nieszczęście lada moment zwali się na jej głowę.

Ale kiedy patrzyła na Raula, wszelkie minione i przewidywane lęki roztopiały się w szczęściu, jakie niosła z sobą teraźniejszość. Raul natomiast, bądź z racji znakomitego opanowania, bądź dlatego, że był pod urokiem Batylde, podobnie jak ona była pod jego urokiem, myślał podczas tych spotkań tylko o ukochanej. Tym razem jednak troski obojga były tak wielkie, że dziewczyna nie zdołała się powstrzymać od wyjawienia d'Harmentalowi swego niepokoju o Buvata, a jej obawy tym trudniej było rozproszyć, że nieobecność kopisty łączyła się w umyśle młodzieńca z podejrzeniami, jakie już był powziął, chociaż starał się usilnie oddalić je od siebie. Niemniej czas płynął szybko, jak zwykle, i wybiła czwarta, a nasi kochankowie sądzili, że są razem zaledwie od pięciu minut. Nadeszła chwila, kiedy się zazwyczaj rozstawali.

Gdyby Buvat miał wrócić, wróciłby właśnie teraz. Złożywszy sobie tysiące przysiąg, młodzi pożegnali się ustaliwszy, że natychmiast siebie wzajem powiadomią, jeśli któremuś z nich przytrafi się coś niespodziewanego we dnie czy w nocy.

W drzwiach domu pani Denis kawaler spotkał księdza Brigaud. Zakończyło się uroczyste posiedzenie Parlamentu; nie wiadomo było jeszcze nic pewnego, ale różne wieści ostrzegały, że przedsięwzięto jakieś nadzwyczajne środki. Sprawdzone wiadomości miały

zresztą nadejść lada moment; Brigaud umówił się z Pompadourem i Malezieux u d'Harmentala, który, jako człowiek najmniej z nich wszystkich znany, był też na pewno najmniej obserwowany.

Po godzinie markiz de Pompadour zjawił się u d'Harmentala. Parlament chciał najpierw stawić opór, ale wszyscy ugięli się przed wolą regenta. Listy króla Hiszpanii zostały odczytane i potępione. Uzgodniono, że diukowie i parowie zajmą w hierarchii miejsce zaraz po książętach krwi. Prawa bastardów, książąt uwierzytelnionych, ograniczono do zwykłej rangi ich parostwa. Diuk du Maine stracił przywilej czuwania nad edukacją króla; zaszczyt ów przyznano teraz księciu de Bourbon. Hrabia Tuluzy, i tylko on, utrzymał - do końca życia - wszystkie przywileje i prerogatywy.

Niebawem nadszedł również Malezieux; rozstał się dopiero co z diuszesą du Maine. Jeszcze podczas trwania sesji zlecono jej opuszczenie apartamentu w Tuilerych, który dotychczas należał do diuka. Dumną wnuczkę Wielkiego Kondusza podobny afront doprowadził do rozpacz, co łatwo pojąć. Wpadła w taki gniew, że własnymi rękami rozbila wszystkie lustra, a meble wyrzuciła przez okno; dokonawszy tej egzekucji wsiadła do karety, wysławszy przedtem Lavalą do Rambouillet, aby nakłonił pana du Maine do okazania w jakiś sposób swojej siły, i powierzwszy panu Malezieux zaproszenie wszystkich jej przyjaciół na dzisiejszy wieczór do Arsenалу.

Pompadour i Brigaud oburzeni byli nieostrożnością, jaką popełniła zwołując sprzysiężonych. Z pewnością nie spuszczano z niej oka. Jechać do Arsenалу w dniu, kiedy wiadomo było, jak bardzo jest rozdrażniona, znaczyło skompromitować się ostatecznie. Pompadour i Brigaud wyrażali zatem pogląd, że należy ubłagać jej wysokość, aby wyznaczyła inny termin i inne miejsce spotkania. Malezieux i d'Harmental sądzili również, że ów krok jest nad wyraz lekkomyślny i niebezpieczny. Ale obaj - pierwszy przez oddanie, drugi zaś z poczucia obowiązku - uważali, że im bardziej rozkaz ten naraża ich na ryzyko, tym bardziej sprawą honoru jest wykonanie rozkazu.

Dyskusja, jak to się często zdarza w takich okolicznościach, zaczęła się zamieniać w dość gwałtowną sprzeczkę, gdy nagle posłyszano na schodach kroki dwóch osób. A że trzy osoby, które umówiły się na spotkanie u d'Harmentala, już tu były, Brigaud, zawsze pilnie

nadstawiający ucha, przyłożył palec do ust nakazując wszystkim milczenie. Kroki wyraźnie się zbliżały. Potem rozległy się szepty, czyjeś pytania i odpowiedzi. Wreszcie drzwi otworzyły się, a w nich pojawił się żołnierz gwardii francuskiej w towarzystwie małej gryzетки.

Owym żołnierzem był baron de Valef.

Gryzетка natomiast zsunęła z twarzy czarny kapturek peleryny i wówczas rozpoznano diuszese du Maine.

XVI. Człowiek strzela...

- Wasza Wysokość! Wasza Wysokość u mnie! - zawołał d'Harmental. - Czym zasłużyłem sobie na tak wielki zaszczyt?

- Nadszedł moment, kawalerze - rzekła diuszesa - kiedy trzeba, abyśmy ukazali, że cenimy sobie oddanie naszych przyjaciół. Nikt zresztą nie będzie mógł powiedzieć, że narażają się oni dla pani du Maine, podczas gdy ona nie potrafi się narażać dla nich. Bogu dzięki! Jestem wnuczką Wielkiego Kondeusza i nieodrodną córą mojego ojca.

- Witamy Waszą Wysokość - ozwał się Pompadour - wybawia nas pani z kłopotu. Jakkolwiek byliśmy całkowicie zdecydowani usłuchać jej rozkazów, wahaliśmy się jednak na myśl, jakim niebezpieczeństwem grozi takie spotkanie w Arsenale, gdy policja ma oczy zwrócone na Waszą Wysokość.

- I ja o tym pomyślałam, markizie. A więc miast na was czekać, postanowiłam przyjść do was. Kazałam się zawieźć do hrabiny de Chavigny, przyjaciółki panny de Launay, która mieszka na ulicy du Mail. Poleciliśmy dostarczyć tam nasze przebrania, a że znajdowaliśmy się o dwa kroki stąd, przyszliśmy tu pieszo, i oto jesteśmy. Na honor, imię d'Argenson okazałby się wielkim spryciarzem, gdyby nas poznał w tych strojach.

- Cieszę się - powiedział Malezieux - że Wasza Wysokość nie jest bynajmniej przygnębiona wypadkami, jakie przyniósł ten okropny dzień.

- Ja miałabym być przygnębiona! Wydaje mi się, panie Malezieux, że znasz mnie pan dostatecznie, by nie obawiać się tego ani przez chwilę. Przygnębiona! Wręcz przeciwnie; nigdy jeszcze nie czułam się tak silna i tak zdecydowana! Och, czemuż nie jestem mężczyzną!

- Niechaj Wasza Wysokość rozkazuje - rzekł d'Harmental - a wszystko, czego dokonałaby pani sama, my zrobimy za panią wszyscy razem!

- Nie, nie. To, co ja bym zrobiła, nie jest wykonalne dla innych.

- Nic nie jest niewykonalne dla pięciu tak oddanych ci, pani, mężczyzn jak my. Zresztą nasz własny interes domaga się szybkich i energicznych akcji. Nie wolno nam wierzyć, że regent poprzestanie na tym, co zrobił. Jutro, pojutrze, może jeszcze dzisiaj wieczora

wszyscy zostaniemy aresztowani. Dubois twierdzi, że papier, który wyciągnął z ognia u księcia Cellamare, zawiera ni mniej, ni więcej tylko listę sprzysiężonych. A więc zna nasze nazwiska. Miecz wisi nad naszymi głowami. Nie czekajmy, aż pęknie nić, na której jest zawieszony; chwyćmy ten miecz i atakujmy.

- Atakujmy, ale kogo, gdzie i jak? - zaproponował Brigaud. - Ten nikczemny Parlament zniweczył wszystkie nasze projekty. Czy dysponujemy jakimiś środkami, czy mamy jakiś plan działania?

- Ach, najlepszym planem, jaki został kiedykolwiek obmyślony, jest nasz plan pierwotny - powiedział Pompadour. - Miał najwięcej szans powodzenia, czego dowodem jest to, że gdyby nie te wręcz niebywale okoliczności, które go udaremniły, powiódłby się na pewno.

- Jeśli ów plan był dobry przedtem, to jest dobry i teraz - stwierdził Valef. - Wróćmy więc do niego.

- O tak, i przegramy - powiedział Malezieux. - Ów plan właśnie wzmógł czujność regenta.

- Przeciwnie - zaprotestował Pompadour - teraz jest nawet pewniejszy. Wszyscy będą przekonani, że z racji porażki został on zarzucony.

- Czego dowodem jest fakt - wtrącił Valef - że regent zachowuje teraz o wiele mniej środków ostrożności niż kiedykolwiek. Na przykład, odkąd panna de Chartres została przeoryszą w Chelles, odwiedza ją co tydzień, i to sam, bez straży. Przemierza lasek Vincennes jedynie ze stangretem i dwoma lokajami, w dodatku o ósmej lub dziewiątej wieczór.

- W jaki dzień odbywają się te wizyty? - spytał Brigaud.

- We wtorek - odrzekł Malezieux.

- We wtorek? To znaczy jutro - wtrąciła diuszesa.

- Księżę Brigaud, czy posiada ksiądz nadal paszport do Hiszpanii? - spytał Valef.

- Tak.

- I te same ułatwienia na czas podróży?

- Te same. Główny pocztmistrz jest naszym człowiekiem i tylko z nim będziemy mieli do czynienia. A co do innych, wszystko potoczy się gładko.

- A zatem, jeśli Wasza Dostojność mnie upoważni - powiedział Valef - zbiorę siedmiu,

ośmiu przyjaciół, zaczekam na regenta w lasku Vincennes, porwę go, przyłożę batem stangretowi i za trzy dni stanę w Pampelunie.

- Chwileczkę, drogi baronie - przerwał mu d'Harmental. - W tym momencie stajesz się moim rywalem. Do tego przedsięwzięcia ja mam prawo.

- Drogi kawalerze, zrobiłeś to, co do ciebie należało. Teraz kolej na innych.

- O, przepraszam, drogi Valef, wcale nie! Chodzi tutaj o mój honor, bo mam pewien rachunek do wyrównania. Swoim uporem dotkniesz mnie boleśnie.

- Mogę tylko to dla ciebie zrobić, drogi kawalerze - odparł Valef - że pozostawię wybór Jej Wysokości. Ona wie, że oba nasze serca jednako są jej oddane. Niechaj więc decyduje.

- Czy zgodzi się pan, kawalerze, że będę waszym sędzią polubownym? - spytała diuszesa.

- Tak, pokładam bowiem całą nadzieję w pani sprawiedliwości - odparł kawaler.

- Ma pan słuszność. Zaszczyt tego przedsięwzięcia panu przypada; tak, składam w pańskie ręce los syna Ludwika XIV i wnuczki Wielkiego Kondeusza; polegam całkowicie na pańskiej wierności i odwadze, a ponadto mam nadzieję, że tym razem panu się powiedzie, gdyż los winien jest panu zadośćuczynienie. Panu zatem, d'Harmental, przypada całe ryzyko, ale i cały zaszczyt.

- Przyjmuję i jedno, i drugie z najwyższą wdzięcznością, o pani - rzekł d'Harmental całując z respektem dłoń, którą podała mu diuszesa - jutro o tej samej porze albo pożegniam się z życiem, albo regent będzie w drodze do Hiszpanii.

- No, to pięknie - rzekł Pompadour - tak właśnie trzeba mówić. A gdybyś potrzebował kogoś, kawalerze, aby wsparł cię w potrzebie, możesz liczyć na mnie.

- I na mnie - dorzucił Valef.

- A my to już do niczego nie jesteśmy zdadni? - obruszył się Malezieux.

- Mój miły kanclerzu - powiedziała diuszesa - każdy ma do odegrania swoją rolę: poeci, duchowni, urzędnicy służą radą, ludzie szpady wykonują rozkazy. Kawalerze, czy jesteś pewny, że odnajdziesz tych samych ludzi, którzy wspomagali cię poprzednim razem?

- Jestem przynajmniej pewny, że odnajdę ich dowódcę.

- Kiedy się pan z nim zobaczysz?

- Dziś wieczór.

- O której godzinie?

- Nawet zaraz, jeśli Wasza Wysokość tego sobie życzy.

- Im wcześniej, tym lepiej.

- Za kwadrans będę u niego.

- A gdzie dowiemy się, jaką podejmie decyzję?

- Zawiadomię o niej Waszą Wysokość, gdziekolwiek będzie się znajdował.

- Nie w Arsenale - zaprotestował Brigaud - to zbyt niebezpieczne.

- Czy nie moglibyśmy poczekać tutaj? - spytała diuszesa.

- Jestem zmuszony zwrócić uwagę Waszej Wysokości - odparł Brigaud - że mój pupil jest młodzieńcem bardzo statecznym, nie przyjmuje wielu gości, a taka przedłużająca się wizyta mogłaby wzbudzić podejrzenia.

- Czy nie moglibyśmy ustalić miejsca spotkania tak, by wykluczyć tego rodzaju obawy?

- spytał Pompadour.

- Doskonale - rzekła diuszesa. - Na Polach Elizejskich, na przykład. Malezieux i ja udamy się tam karetą bez herbu i bez lokajów w liberii, Pompadour, Valef i Brigaud dołączą kolejno do nas. Tam będziemy czekali na d'Harmentalą i razem podejmiemy ostateczne decyzje.

- Wspaniale! - ucieszył się d'Harmental. - Ów dowódca mieszka tuż obok, na ulicy Saint-HOnore.

- Wiesz pan, kawalerze - ozwała się diuszesa - że możesz im przyobiecać tyle pieniędzy, ile zażądata, my zaś na pewno temu sprostamy.

- Zobowiązuję się napelnić twoją sekreterę - powiedział Brigaud.

- I dobrze ksiądz zrobi - rzekł d'Harmental z uśmiechem - bo wiem, kto ją opróżni.

- A więc uzgodniliśmy wszystko - orzekła diuszesa. - Za godzinę na placu przy Polach Elizejskich.

- Za godzinę - potwierdził d'Harmental.

- Za godzinę - powtórzyli Pompadour, Brigaud i Malezieux.

Po czym diuszesa narzuciła pelerynkę tak, by zasłonić twarz, wsunęła rękę pod ramię

Valefa i wyszła pierwsza. Malezieux postępował za nimi w pewnej odległości, ale tak, by nie tracić ich z oczu; wreszcie Brigaud, Pompadour i d'Harmental zeszli razem na dół. Na placu Zwycięstwa markiz i ksiądz rozstali się. Ksiądz podążył ulicą Pagevin, markiz zaś ulicą de la Vrillere. Kawaler natomiast ruszył ulicą Neuve-des-Petits-Champs, która zawiodła go na Saint-Honore, w sąsiedztwo szacownego domu, gdzie, jak wiedział, mógł zastać czcigodnego kapitana.

Za sprawą przypadku bądź też zgodnie z rachubami diuszesy du Maine, która cenila d'Harmentalą i orientowała się, do jakiego stopnia można na nim polegać, kawaler zajął pozycję najbardziej eksponowaną w całym sprzysiężeniu; ponieważ zaangażowany tu był jego honor, uznał, że postępuje słusznie, i choć przewidywał straszliwe konsekwencje wydarzeń, za które wziął odpowiedzialność, dążył do celu, tak jak poprzednio, z podniesioną głową i dumą w sercu, zdecydowany poświęcić wszystko, nawet własne życie, nawet miłość, byle dotrzymać danego słowa.

Pojawił się tedy u Filonki równie spokojny i zdecydowany jak za pierwszym razem, pomimo że od tamtej pory wiele się zmieniło w jego życiu; i, jak za pierwszym razem, powitany osobiście przez panią domu, spytał, czy mógłby się zobaczyć z kapitanem Roquefinette.

Filonka spodziewała się snadź pytania o mniejszym walorze moralnym, gdyż rozpoznawszy d'Harmentalą nie zdołała ukryć zdziwienia. Udając jednak, że nie wie, z kim rozmawia, zapytała, czy to nie on właśnie odwiedził dwa miesiące temu kapitana. Kawaler zaś sądząc, że przyznanie się pozwoli mu usunąć ewentualne przeszkody, odpowiedział twierdząco.

D'Harmental bynajmniej się nie omylił; Filonka, upewniwszy się co do jego osoby, przywołała natychmiast jedną ze swych podopiecznych, głupiutką strojnisię i poleciła jej zaprowadzić kawalera do pokoju numer 72 na ostatnim piętrze, nad antresolą. Posłuszna gąska wzięła świecę i ruszyła przodem, wdzierając się jak subretka z powieści Marivaux. D'Harmental szedł za nią. Tym razem żaden wesoły śpiew nie towarzyszył tej wspinaczce; w całym domu panowała zupełna cisza. Doniosłe wydarzenia dzisiejszego dnia przepłoszyły widać zwykłych gości czcigodnej patronki kapitana, a że kawaler miał głowę zaprzątniętą poważnymi sprawami, wspinał się na owo szóste piętro, nie zwracając najmniejszej uwagi na

mizdrzenie się swojej przewodniczki, która, gdy dotarli do pokoju numer 72, odwróciła się i z filuternym uśmieszkiem spytała, czy kawaler rzeczywiście ma interes do kapitana, a nie do kogoś innego.

Zamiast odpowiedzieć d'Harmental zapukał do drzwi.

- Proszę! - zawołał Roquefinette swoim najpiękniejszym basem.

D'Harmental wsunął ludwika w dłoń przewodniczki, w podzięcie za jej trudy, otworzył drzwi i stanął twarzą w twarz z kapitanem.

Zmiany tu zaszły nie tylko zewnętrzne, ale i wewnętrzne; Roquefinette nie rywalizował teraz, jak uprzednio, z panem de Bonneval, nie otaczały go odaliski, nie ćmił długiej fajki wśród resztek uczty i nie porównywał filozoficznie dóbr tego świata do kłębow dymu, co się nad nim unosił. Był sam w ciasnej mansardzie, słabo oświetlonej dogasającą świeczką; dawała ona więcej kopciu niż światła i w jej chybotliwym migotaniu jakiś osobliwy, fantastyczny wyraz przybierało zgorzkniałe oblicze dzielnego kapitana. Roquefinette stał oparty o kominek. W głębi, na leżance, na wprost okna, którego firanki powiewały na wieczornym wietrzyku, jakby kwestionując trwałość ludzkich poczynań, leżał słynny kapelusze i szpada - sławetny Szpikulec.

- Ach! Ach! - ozwał się Roquefinette z leciutką ironią w głosie. - To pan, kawalerze? Spodziewałem się pana.

- Spodziewałeś się mnie, kapitanie? A któż mógł podsunąć panu myśl o mojej wizycie?

- Wydarzenia, kawalerze, wydarzenia.

- Co pan chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, iż sądzono, że można prowadzić wojnę otwartą, w wyniku czego biedny kapitan Roquefinette znalazł się w kacie, jak kondotier, jak ladaco zdalny jedynie do zadawania ciosów nocą na rogu ulicy lub w leśnej głuszy; próbowano odtworzyć małą ligę, rozpocząć znowu małą frondę, a oto przyjaciel Dubois o wszystkim się dowiedział, oto parowie, na których, jak mniemano, można polegać, opuścili nas bez wahania i oto Parlament powiedział "tak" zamiast "nie". No i teraz zwraca się do kapitana. "Mój drogi kapitanie!" woła się z jednej strony i "Mój drogi kapitanie!" woła się z drugiej strony. Czyż nie tak, kawalerze, sprawy się mają? No tak, dobrze, że on jest, ten kapitan. I czegoż tym razem od niego chcą?

Proszę mówić.

- Istotnie, mój drogi kapitanie - powiedział d'Harmental, nie bardzo wiedząc, jak poprowadzić dysputę - jest trochę prawdy w twoich słowach. Gdyby plan nam się powiódł, dowiedziałbyś się pan, że moja pamięć jest dłuższa od wydarzeń, i przyszedłbym do pana, by zaproponować mu otwarcie kredytu tak, jak dziś przychodzę prosić o pomoc.

- Hm! - mruknął kapitan kiwając głową. - Od trzech dni, to znaczy, odkąd zamieszkuje ten apartament, poczyniłem wiele spostrzeżeń na temat błahości spraw ludzkich i nabrałem ochoty do wycofania się na zawsze z interesów; ale gdybym zrobił jeszcze jeden interes, musiałby on być bardzo intratny, aby zapewnić mi dostatnią przyszłość.

- No cóż, kapitanie - rzekł kawaler - ten, który ci właśnie proponuję, załatwi rzecz całą. Chodzi o to, mój drogi... bo po tym, co zaszło między nami, możemy rozmawiać z sobą bez ogródek, jak mi się zdaje... chodzi więc o to...

- O co? - spytał Roquefinette, gdy spostrzegł, że d'Harmental rozgląda się niespokojnie dookoła, każąc mu czekać na koniec zdania od paru sekund.

- Przepraszam, kapitanie, ale wydało mi się...

- Co się panu wydało, kawalerze?

- Że słyszę czyjeś kroki... jakiś chrobot w boazerii...

- A tak! - powiedział kapitan - uprzedzam cię, kawalerze, że niemało szczurów rezyduje w tym domostwie; i nie dalej jak wczorajszej nocy te pocieszne hultaje postanowiły pogryźć moje łąchy, sam możesz pan to zobaczyć.

I Roquefinette pokazał d'Harmentalowi połę swojej kurtki powycinaną u dołu w zęby.

- Tak, to pewnie one, musiałem się omylić - rzekł d'Harmental. - Chodzi więc o to, mój drogi Roquefinette, by wykorzystać fakt, że regent, wracając bez straży od córki, z klasztoru w Chelles, przejeżdża przez lasek Vincennes, a więc należy go tam porwać i wysłać nareszcie w drogę do Hiszpanii.

- Przepraszam, ale nie posuwajmy się dalej w rozmowie, kawalerze - rzekł Roquefinette. - Przypomnę panu, że jest to nowy układ, a nowy układ narzuca nowe warunki.

- Nie ma potrzeby dyskutować na ten temat, kapitanie. Sam pan postawisz warunki. Czy jednak nadal dysponujesz swoimi ludźmi? To jest ważne.

- Tak, dysponuję.
- Czy będą gotowi na jutro... o drugiej godzinie po południu?
- Będą.
- Tego nam właśnie trzeba.
- Przepraszam, nie tylko tego: potrzebne są jeszcze pieniądze na zakup konia i broni.
- W tej sakiewce jest sto ludwików, weź je, kapitanie.
- Dobrze, wyliczymy się z nich uczciwie.
- A zatem u mnie, o drugiej.
- Zgoda.
- Do widzenia, kapitanie.
- Do zobaczenia, kawalerze. Uzgodniliśmy zatem, że nie zdziwisz się, jeśli okażę się

trochę wymagający?

- Masz do tego pełne prawo; musisz wiedzieć, iż ostatnim razem uskarżałem się tylko na jedno: że byłeś pan za skromny.

- Łatwo z panem dojść do ładu, kawalerze - powiedział kapitan. - Niechaj cię oświecę: byłaby wielka szkoda, gdyby taki zacny chłopak skręcił sobie kark.

I kapitan wziął świeczkę, a że właśnie kończyła ona swój żywot, od płomienia zajął się papier, którym była owinięta, iżby się nie chwiała w lichtarzu; dzięki tej iluminacji d'Harmental zszedł bez szwanku ze schodów. Na ostatnim stopniu zatrzymał się i powtórnie prosił kapitana o punktualność, co ów przyrzekł najbardziej stanowczym tonem.

D'Harmental pamiętał, że pani diuszesa du Maine czeka niecierpliwie na rezultat odbytego właśnie spotkania; toteż nie zauważywszy nawet, że Filonka gdzieś znikła, ruszył szybko ulicą des Feuillants w stronę Pól Elizejskich, które, jakkolwiek jeszcze gwarne, zaczynały się już wyludniać. Na skraju drogi, w pobliżu placu, zobaczył karetę i dwóch panów spacerujących w pewnej odległości od poprzecznej alei. Gdy d'Harmental podszedł bliżej, w otwartych drzwiczkach karety ukazała się jakaś niewieścia główka. Poznał panią du Maine; towarzyszyli jej Malezieux i Valef. A dwaj spacerowicze, którzy na widok kawalera pospieszyli ku niemu to - jak, nie ma potrzeby wyjaśniać - markiz de Pompadour i ksiądz Brigaud.

D'Harmental, nie wymieniając nazwiska kapitana ani nie wchodząc w szczegóły

dotyczące charakteru tej dostojnej osoby, powiedział im w paru słowach, jak sprawy wyglądają. Ta relacja została przyjęta przez wszystkich okrzykami radości. Diuszesa podała kawalerowi do ucałowania swoją drobną dłoń, panowie zaś uścisnęli mu rękę.

Ustalono, że nazajutrz, o drugiej diuszesa, Pompadour, Laval, Valef, Malezieux i Brigaud udadzą się do matki d'Avranches'a, mieszkającej na przedmieściu Saint-Antoine pod numerem 15, i tam zaczekają na wynik przedsięwzięcia. O tym wyniku powiadomi ich sam d'Avranches, który o trzeciej godzinie stawi się przy rogatce du Trone prowadząc dwa konie, jeden dla siebie, drugi dla kawalera, pojedzie w dość znacznej odległości za d'Harmentalem i wróci z meldunkiem o przebiegu akcji. Pięć innych osiodłanych wierzchowców będzie czekało w pogotowiu w stajni domu na przedmieściu Saint-Antoine, aby sprzysiężeni mogli niezwłocznie uciec w razie porażki kawalera.

Ustaliwszy ów plan działania, diuszesa zmusiła d'Harmentala, by siadł obok niej. Chciała go odwieźć do domu, ale on zauważył, że pojawienie się karety przed drzwiami kamieniczki pani Denis wywołałoby w dzielnicy zbyt wielką sensację, która w obecnych okolicznościach, jakkolwiek ogromnie dla niego zaszczytna, mogłaby ich wszystkich narazić na duże niebezpieczeństwo. Diuszesa podwiozła więc kawalera na plac Zwycięstwa, wyraziwszy mu uprzednio ze dwadzieścia razy wdzięczność za jego poświęcenie.

Była dziesiąta wieczór. D'Harmental, który tak krótko widział się z Batyldą w ciągu dnia, pragnął ją jeszcze dziś zobaczyć; miał pewność, że zastanie dziewczę w oknie, ale to, co chciał jej teraz powiedzieć, było sprawą nazbyt poważną i osobistą, aby przerzucać słowa na drugą stronę ulicy. Rozmyślał tedy, jakby tu odwiedzić ukochaną mimo spóźnionej pory, ale zrobiwszy parę kroków ulicą spostrzegł jakąś postać kobiecą przy bramce wiodącej do domu Batyldy. Podeszedł bliżej i rozpoznał Nanette.

Czekała tam na polecenie swej pani. Biedna dziewczyna była w śmiertelnym strachu. Buvat jeszcze się nie pojawił. Przez cały wieczór tkwiła przy oknie, by nie przegapić powrotu d'Harmentala, ale i on nie wracał. W następstwie nieokreślonych podejrzeń, jakie zrodziły się w jej głowie owej nocy, kiedy kawaler usiłował porwać regenta, odniosła wrażenie, że istnieje wspólna przyczyna osobliwego zniknięcia Buvata i zasępienia, które poprzedniego dnia widziała na twarzy d'Harmentala. Nanette czatowała tedy przed furtką zarówno na Buvata jak i

na kawalera. Kawaler wrócił, Nanette została na ulicy, by czekać na Buvata, a d'Harmental poszedł do Batyldy.

Batylda usłyszała i poznała jego kroki; stała już w drzwiach, kiedy dotarł na górę. Od razu dostrzegła na twarzy kawalera to samo zamyślenie, które zauważyła za dnia i które widziała w przededniu nocy, kiedy przeżywała tyle męczarni.

- O mój Boże! Mój Boże! - zawołała wprowadzając młodzieńca do pokoju i zamykając drzwi - o mój Boże, czy stało się coś, Raulu?

- Batyldo - ozwał się d'Harmental ze smutnym uśmiechem, obejmując jednocześnie dziewczynę spojrzeniem pełnym ufności - Batyldo, mówiłaś mi wiele razy, że jest we mnie coś nie znanego ci i tajemniczego, co cię przeraża.

- Tak, tak! - wykrzyknęła Batylda. - To jedyna moja zgryzota, jedyny lęk przed przyszłością.

- I masz słuszość; zanim cię bowiem poznałem, zanim cię ujrzałem, Batyldo, oddałem część samego siebie, swojej własnej woli; nie należy ona już do mnie, podlega najwyższemu prawu, musi się dostosować do nieprzewidzianych wypadków. To czarna plama na jasnym niebie. Zależnie od tego, z której strony wiatr powieje, może ta ciemność rozproszyć się jak obłok albo też zamienić się w burzową chmurę. Ręka, która włada i kieruje moją ręką, może mnie zaprowadzić w sferę najwyższych szczytów bądź zepchnąć w najgłębszą niełaskę. Batyldo, powiedz mi, czy jesteś gotowa dzielić ze mną dobry lub zły los, spokój lub burzę?

- Z tobą, Raulu, jestem gotowa na wszystko, na wszystko!

- Zastanów się nad zobowiązaniem, które podejmujesz, Batyldo. Może będzie to życie szczęśliwe i wspaniałe, takie, jakie jest tobie przeznaczone; a może banicja, niewola, może... zostaniesz wdową, nim będziesz żoną.

Batylda tak bardzo zbladła i zachwiała się, iż Raul sądząc, że zemdleje i upadnie, pospieszył ją podtrzymać; ale miała ona wiele hartu i silnej woli; odzyskała więc władzę nad sobą i wyciągnąwszy rękę do Raula, rzekła:

- Raulu, czyż nie powiedziałam, że cię kocham, że nikogo przedtem nie kochałam i że będę kochać tylko ciebie? Wydaje mi się, że te słowa zawierały wszystkie obietnice, jakich się teraz ode mnie domagasz. Chcesz usłyszeć je raz jeszcze, dobrze, ale to zbędne. Twoje

życie, Raulu, będzie moim życiem; twoja śmierć będzie moją śmiercią. I jedno, i drugie jest w rękach Boga. Wola Boża wypełni się zarówno na ziemi, jak i w niebie.

- A ja, Batyldo - rzekł d'Harmental prowadząc ją w kierunku krzyża umieszczonego koło jej łóżka - a ja przysięgam w obliczu Chrystusa, że od tej chwili jesteś moją żoną wobec Boga i ludzi, skoro zaś wydarzenia, które prawdopodobnie pokierują moim życiem, nie zezwalają mi na ofiarowanie ci czegoś więcej ponad moją miłość, mówię ci, że ta miłość jest głęboka, niezachwiana, wieczysta. Batyldo, proszę o pierwszy pocałunek dla twojego męża.

I przed Chrystusem dwoje młodych padło sobie w objęcia, pocałowało się po raz pierwszy i złożyło ostateczną przysięgę.

Kiedy d'Harmental rozstawał się z Batyldą, Buvata jeszcze nie było..nv

XVII. Dawid i Goliat

Około dziesiątej rano ksiądz Brigaud wszedł do pokoju d'Harmentalą; przyniósł mu dwadzieścia tysięcy liwów, częściowo w złocie, częściowo w banknotach hiszpańskich. Diuszesa spędziła noc u hrabiny de Chavigny, na ulicy du Mail. Niczego nie zmieniono we wczorajszych postanowieniach i księżna wciąż liczyła na kawalera, w którym nadal widziała swojego zbawcę. Regent, jak się upewniono, zamierzał zgodnie ze swym zwyczajem udać się tego dnia do Chelles.

O dziesiątej Brigaud i d'Harmental zeszli na dół; Brigaud miał się spotkać z Pompadourem i Valefem na bulwarze du Temple, d'Harmental pospieszył do Batylidy.

W tym małym ubogim gospodarstwie panował nieopisany zamęt. Buvat nie wrócił, a po oczach Batylidy łatwo było poznać, że niewiele spała i wiele czasu przepłakała. Spojrzawszy tylko na d'Harmentalą pojęła, że szykuje się znów wyprawa podobna do tej, która ją niegdyś tak przeraziła. D'Harmental miał na sobie to samo ciemne ubranie, w którym widziała go tylko raz, owego wieczoru, kiedy po powrocie rzucił pelerynę na krzesło i ukazał się jej oczom z pistoletami u pasa. Ponadto jego długie, obcisłe buty z ostrogami wskazywały, że tego dnia dosiadzie konia. Wszystkie te znamiona nie budziłyby domysłów w innej sytuacji, ale po wczorajszej scenie, po nocnych, samotnych zaręczynach, o których opowiedzieliśmy, nabierały ogromnego znaczenia i wymowy.

Batylida próbowała najpierw skłonić d'Harmentalą do wyjaśnień, lecz kawaler zapewnił ją, że tajemnica nie należy do niego. Kiedy zwrócił się do niej, by pomówili o czymś innym, biedaczka nie śmiała dłużej nalegać. W godzinę po przybyciu d'Harmentalą weszła Nanette, całkiem skonsternowana. Wróciła właśnie z biblioteki. Buvat wcale się tam nie pojawiał i nikt nic o nim nie wiedział. Batylida nie mogła dłużej nad sobą panować: rzuciła się w ramiona Raula i rozpląnęła się we łzach.

Wtedy Raul podzielił się z nią swoimi obawami: dokumenty, które domniemany książę de Listhney dał Buvatowi do skopiowania, posiadały dość dużą wagę polityczną. Mogły przyczynić się do kompromitacji i aresztowania Buvata. Ale Buvat nie miał czego się lękać: odegrał bierną rolę w tej sprawie, co oddalało od niego wszelkie niebezpieczeństwo. A że

Batylda w swojej niepewności przemyślała o nieszczęściu jeszcze większym niż to, uchwyciła się kurczowo tej myśli, budzącej przynajmniej jakąś nadzieję. Ponadto nie przyznawała się nawet przed sobą, że większość jej obaw nie dotyczy wcale Buvata, a nie wszystkie łyzy, które przelewa, są poświęcone opiekunowi.

Kiedy d'Harmental przebywał z Batyldą, czas nie płynął, lecz ulatywał. Wydawało mu się tedy, że przyszedł tu ledwie przed paroma minutami, gdy zegar wybił wpół do drugiej. Przypomniał sobie, że Roquefinette ma przyjść o drugiej, by podać warunki nowego układu. Podniósł się zatem. Batylda zbladła; d'Harmental rozumiał, co się z nią dzieje, i obiecał, że wróci, kiedy tylko wyjdzie osobnik, na którego czeka i dla którego jest zmuszony ją opuścić. Ta obietnica uspokoiła nieco Batyldę; usiłowała się uśmiechnąć widząc, jak głębokie wrażenie wywiera na Raulu jej rozpacz. Wczorajsze przysięgi zostały, rzecz jasna, powtórzone ze dwadzieścia razy i ze dwadzieścia razy młodzi przyrzekli, że będą należeć wyłącznie do siebie. Rozstawali się więc smutni, ale przepelnieni wzajemną ufnością i pewni swoich serc. A zresztą, jak powiedzieliśmy, żywili nadzieję, że rozstają się tylko na godzinę.

Kawaler czekał ledwie parę minut przy swoim oknie, kiedy Roquefinette wychynął zza węgła ulicy Montmartre. Siedział na jabłkowitym koniu, wybranym przez dobrego znawcę, wierzchowiec bowiem był zarówno zdatny do szybkiej jazdy, jak i odporny na zmęczenie. Kapitan jechał stępą, jak człowiek, któremu jest obojętne, czy mu się ktoś przygląda, czy też nikt go nie zauważa. Ruchy konia sprawiały zapewne, że kapelusz jeźdźca nadto się przekrzywił na bok; ale nawet osobom najbardziej zaprzyjaźnionym z kapitanem nie pozwoliłoby to snuć żadnych domysłów, co do stanu jego finansów.

Przed drzwiami domu Roquefinette zsiadł z konia na trzy takty, z taką precyzją, z jaką zrobiłby to na maneżu. Przywiązał wierzchowca do okiennicy, upewnił się, że pistolety są w olstrach, i zniknął w alejce. Po chwili d'Harmental usłyszał jego miarowy krok na schodach, wreszcie drzwi się otworzyły, i ukazał się w nich kapitan.

Podobnie jak poprzedniego dnia oblicze miał poważne i zamyślane, wzrok nieruchomy i usta zaciśnięte, co wskazywało, że powziął jakieś postanowienie; d'Harmental powitał go z uśmiechem, ale ów uśmiech nie znalazł odbicia na twarzy gościa.

- No, proszę, drogi kapitanie - powiedział d'Harmental, lustrując szybkim spojrzeniem te

wszystkie oznaki, które u człowieka takiego, jak Roquefinette musiały budzić zaniepokojenie - widzę, że jesteś uosobieniem punktualności.

- To wojskowy nawyk, kawalerze; rzecz bynajmniej nie osobliwa u starego żołnierza.

- Toteż nie zwątpiłem w pana. Mogłeś wszakże nie spotkać swoich ludzi.

- Przecież mówiłem, że wiem, gdzie ich szukać.

- I są na swoich stanowiskach?

- Są.

- Gdzie?

- Na Końskim Targu przy Porte-Saint-Martin.

- I nie boisz się waćpan, że zostaną zauważeni?

- Jak pan to sobie wyobrażasz? Czy spośród trzystu chłopów sprzedających lub kupujących konie ktoś zdołałby wypatrzeć dwunastu czy piętnastu mężczyzn ubranych jak wieśniacy? To tak, jak w porzekadle ludowym: szukaj igły w stogu siana; tylko ja ową igłę mogę znaleźć.

- A w jaki sposób pańscy ludzie przyłączą się do pana?

- Najprościej w świecie. Każdy z nich będzie targował konia, który przypadnie mu do gustu; każdy z nich ofiaruje cenę, na którą sprzedawca poda swoją. Wtedy ja podejść i dam każdemu dwadzieścia pięć do trzydziestu ludwików; wszyscy zapłacą za swoje konie i każą je osiodłać, dosiądą ich, umieszczą broń w olstrach, rozjadą się w różne strony świata i o piątej zbiorą się na umówionym miejscu w lasku Vincennes. Tam dopiero wytłumaczę każdemu, co ma robić; znowu rozdram pieniądze, stanę na czele mojego szwadronu i dokonamy dzieła, jeśli porozumiemy się teraz co do warunków.

- Właśnie, co do warunków, kapitanie - rzekł d'Harmental - pomówmy o nich jak dwaj uczciwi towarzysze, sądzę bowiem, że podjąłem wszelkie starania, abyś pan był rad z tej sumy, jaką będę mógł panu ofiarować.

- No to przyjrzyjmy się jej - powiedział Roquefinette, potem siadł przy stole, oparł na nim łokcie, a brodę na złożonych pięściach i patrzył na d'Harmentala stojącego przed nim, tyłem do kominka.

- Najpierw podwajam sumę, którą otrzymałeś pan poprzednim razem - rzekł kawaler.

- Ach - skrzywił się Roquefinette - nie zależy mi na pieniądzach.

- Jak to, kapitanie, nie zależy wćpanu na pieniądzach?

- Ani trochę.

- Na czym ci tedy zależy?

- Na zdobyciu pozycji.

- Co pan przez to rozumiesz?

- No cóż, kawalerze, co dzień jestem starszy o dwadzieścia cztery godziny, a w miarę jak przybywa wieku, człowiek myśli coraz bardziej filozoficznie.

- Och, kapitanie - przerwał mu d'Harmental, poważnie zaniepokojony niedomówieniami Roquefinette'a - mówże wreszcie: czegoż to pożąda pańska filozofia?

- Powiedziałem przecież panu, że chodzi mi o godną pozycję, stopień wojskowy odpowiedni do mojej długiej służby; oczywista, nie we Francji, rozumiesz pan - we Francji mam nazbyt wielu wrogów, począwszy od pana komendanta policji - ale w Hiszpanii, pomyśl pan, na przykład w Hiszpanii. Tak, to by mi dogadzało; piękny kraj, piękne kobiety, dublony, które można zgarniać łopata! Doprawdy, pragnę wysokiej pozycji w Hiszpanii.

- Rzecz jest możliwa, ale zależna od tego, jakiej rangi oczekujesz.

- A to dopiero! Wiesz, kawalerze, że jeśli ktoś zaczyna czegoś pragnąć, pragnie najczęściej czegoś, co jest tego warte.

- Niepokoisz mnie pan - powiedział d'Harmental - nie mam bowiem pieczęci króla Filipa V, by podpisywać nominacje w jego imieniu; ale niech tam, proszę mówić!

- No, cóż - podjął Roquefinette - widuję tylu żółtodziobów na czele regimentów, że i mnie przyszło do głowy, by zostać pułkownikiem.

- Pułkownikiem! Ależ to niepodobieństwo! - zakrzyknął d'Harmental.

- A dlaczegóż to? - upierał się Roquefinette.

- Bo jeśli pana, który odgrywasz drugorzędną rolę w tym przedsięwzięciu, mianują pułkownikiem, to czegoż ja mógłbym się domagać będąc na jego czele?

- W tym właśnie sęk: chciałbym, abyśmy na moment odwrócili role. Czy pamiętasz pan, co rzekłem pewnego razu na ulicy de Valois?

- Odśwież pan moje wspomnienia, kapitanie; niestety mam kiepską pamięć.

- Powiedziałem panu, że gdybym działał w podobnej sprawie na własny rachunek, wydarzenia potoczyłyby się o wiele lepiej niż wówczas. Dodałem ponadto, że porozmawiamy jeszcze o tym, a więc mówię to teraz, kawalerze.

- Co mi pan tu pleciesz, u diabła, kapitanie?

- To bardzo proste, kawalerze. Dokonaliśmy razem na wspólny rachunek pierwszej próby, która się nie powiodła. Wówczas rozstawiliście inaczej baterie: sądziłeś pan, że się obejdziesz beze mnie, i znów porażka. Za pierwszym razem doznałeś klęski nocą i bez rozgłosu; każdy z nas poszedł w swoją stronę i o niczym już nie było mowy. Za drugim razem, przeciwnie, poniosłeś klęskę w blasku dnia i z hukiem, który skompromitował was wszystkich i to tak dokumentnie, że jeśli nie posłużycie się jakimś podstępny ciosiem, wszyscy przepadniecie, gdyż nasz przyjaciel Dubois zna wasze nazwiska i jutro albo jeszcze dziś wieczór możecie być aresztowani, wy, kawalerowie, baronowie, diukowie, książęta. Owóż istnieje na świecie człowiek, jedyny człowiek, który może wydobyć was z tarapatów; tym człowiekiem jest dzielny kapitan Roquefinette. I pan ofiarowujesz mu tę samą funkcję, jaką spełniał poprzednim razem! Wolne żarty! Targujesz się pan z nim! A fe, kawalerze! Rozumiesz pan przecie, że w miarę jak wzrastają usługi, rosną też żądania. Otóż ja stałem się osobą ogromnie ważną. Albo będziesz mnie pan traktował jak należy, albo wsadzę ręce w kieszenie i pozwolę działać panu Dubois.

D'Harmental zagryzł usta do krwi, ale szybko pojął, że ma do czynienia ze starym kondotierem, nawykłym do sprzedawania swoich usług jak najdrożej, a że kapitan określił w sposób prawdziwy i rzetelny, jak bardzo go potrzebowano, kawaler opanował zniecierpliwienie i powściągnął odruch dumy.

- A zatem - rzekł - chcesz pan zostać pułkownikiem?

- Tak to wygląda.

- Przypuśćmy, że złożę panu, kapitanie, obietnicę, ale kto mi zaręczy, że będę miał dość wpływu, by jej dotrzymać?

- Toteż, kawalerze, zamierzam sam pokierować moimi drobnymi sprawami.

- I gdzież to?

- Oczywiście w Madrycie.

- Któż panu powiedział, że cię tam zabiorę?
- Nie mam pojęcia, czy mnie pan tam zabierze, ale wiem, że się tam wybiorę sam.
- Do Madrytu? I cóż pan tam będziesz robił?
- Towarzyszył regentowi.
- Oszalałeś waść!
- Tylko bez brzydkich słów, kawalerze! Pytasz mnie pan o warunki, więc je podaję; nie

dogadzają panu, no to żegnaj! Mimo to pozostaniemy przyjaciółmi.

Roquefinette wstał, wziął kapelusz, który położył był na komodzie, i zrobił krok w kierunku drzwi.

- Jak to?! Odchodzisz pan? - zakrzyknął d'Harmental.
- Oczywiście, że odchodzę.
- Ale zapominasz, kapitanie...

- A rzeczywiście - odparł Roquefinette udając, że myli się co do intencji d'Harmental - rzeczywiście. Dał mi pan sto ludwików i muszę się z nich wyliczyć. - Wyciągnął sakiewkę z kieszeni. - Koń jabłkowy, cztero- lub pięcioletni: trzydzieści ludwików; siodło, uzda, itp., itp.: dwa ludwiki; para pistoletów dwustrzałowych: dziesięć ludwików: razem czterdzieści dwa ludwiki. W tej sakiewce jest pięćdziesiąt osiem ludwików; koń, pistolety, siodło i uzda należą do pana. Proszę przeliczyć. Jesteśmy skwitowani.

I rzucił sakiewkę na stół.

- Ależ nie to miałem na myśli, kapitanie!
- Wobec tego, co?

- Powiadam, że niepodobna panu powierzyć misji o tak wielkim znaczeniu.

- A jednak tak będzie albo nie będzie nic. Odwiozę regenta do Madrytu: odwiozę go sam albo regent pozostanie w Palais-Royal.

- I sądzisz pan, że pochodzisz z dostatecznie szlacheckiego rodu - rzekł d'Harmental - aby wyrwać z rąk Filipa Orleańskiego szpadę, która obaliła mury miasta Lerida i która spoczywała obok berła Ludwika XIV na aksamitnej poduszce ze złotymi chwostami!

- Powiedziano mi kiedyś w Italii, że w bitwie pod Pawią Franciszek I musiał oddać swoją szpadę rzeźnikowi.

I kapitan zrobił następny krok w kierunku drzwi, nasadzając kapelusz głębiej na głowę.

- Ależ, kapitanie - odezwał się d'Harmental tonem bardziej pojednawczym - dajmy pokój wykrętom i cytatom; podzielmy różnicę zdań na dwie części: ja odwiozę regenta do Hiszpanii, a pan pojedziesz ze mną.

- No, oczywiście! Po to tylko, aby biedny kapitan zniknął w kurzu, jaki wzbije się wokół pięknego kawalera; aby olśniewający pułkownik zaćmił biednego ladaco! To niepodobieństwo, kawalerze, prawdziwe niepodobieństwo! Będę dowodzić przedsięwzięciem albo do niczego się nie wtrączę.

- Toć to zdrada! - wykrzyknął d'Harmental.

- Zdrada, kawalerze? Kto to powiedział, łaskawy panie, że kapitan Roquefinette jest zdrajcą? Czy kiedykolwiek nie dotrzymałem warunków układu? Czyś słyszał, bym rozprzestrzeniał znane mi tajemnice? Ja zdrajcą! Na Boga, kawalerze! Nie dalej jak przedwczoraj dawano mi stos złota, wysoki jak ja sam, za zdradę, i odmówiłem. Nie, nie. Przyszedł pan wczoraj do mnie, abym mu pomógł po raz drugi. Odpowiedziałem, że bardzo chętnie, acz na odmiennych warunkach. I właśnie podałem panu te nowe warunki, możesz je pan przyjąć lub odrzucić. I gdzie pan widzisz zdradę w tym wszystkim?

- A jeśli okażę się wystarczająco tchórzliwy, aby je przyjąć, mój panie, czy myślisz, że zaufanie, jakim darzy kawalera d'Harmentalą Jej Wysokość diuszesa du Maine, spłynie również na kapitana Roquefinette?

- A cóż, u diaska, ma z tym wszystkim wspólnego diuszesa du Maine? Podjąłeś się pan załatwić pewną sprawę, lecz przeszkody natury materialnej sprawiają, że nie możesz tego dokonać osobiście; dasz mi tedy upoważnienie... i to wszystko.

- To znaczy, nieprawdaż - odparł d'Harmental kiwając głową - że chcesz pan mieć możliwość wypuszczenia regenta, jeśli za pozostawienie go we Francji regent da ci dwakroć tyle, ile ja ci proponuję za odwiezienie go do Hiszpanii?

- Być może - powiedział Roquefinette szyderczym tonem.

- Proszę, kapitanie - podjął d'Harmental uczyniwszy ponownie wysiłek, by zachować zimną krew i znów nawiązać pertraktacje - proszę, oto dwadzieścia tysięcy liwrow gotówką.

- Ech, gadanie!

- Zabiorę pana z sobą do Hiszpanii.

- Terefere! - zakpił kapitan.

- Klnę się honorem, że zrobię wszystko, byś otrzymał regiment.

Roquefinette zaczął pogwizdywać jakąś melodię.

- Miej się pan na baczności! - ostrzegł go kawaler. - W punkcie, w którym jesteśmy, i jako wtajemniczony w straszliwe sekrety, narazisz się na większe niebezpieczeństwo, jeśli odmówisz, aniżeli jeśli przystaniesz na moje warunki.

- A cóż takiego może mi się przytrafić, jeśli odmówię? - spytał Roquefinette.

- Przytrafi ci się to, że nie opuścisz tego pokoju.

- I któż mi w tym przeszkodzi? - pytał dalej kapitan.

- Ja! - zawołał d'Harmental ściskając w obu rękach pistolety i zasłaniając sobą drzwi.

- Pan! - zawołał Roquefinette; postąpił krok w stronę kawalera i ze skrzyżowanymi ramionami wpatrywał się w niego uporczywie.

- Jeszcze krok, kapitanie - ozwał się kawaler - a daję słowo honoru, że roztrzaskam ci łeb.

- Palniesz mi w łeb, kawalerze, pan to zrobisz? Musiałbyś się przede wszystkim nie trząść jak stara baba. I wiesz, czego dokonasz? Chybisz, a huk wystrzału sprowadzi tu sąsiadów, oni zaś przywołają straż, która zapyta, dlaczego do mnie strzelałeś, ja natomiast będę musiał wyznać im prawdę.

- Tak, masz pan rację, kapitanie - zakrzyknął kawaler rozładowując pistolety i wsuwając je za pas - zabiję pana w sposób o wiele zaszczytniejszy, niż na to zasługujesz. Dobywaj szpady, mój panie, dobywaj szpady!

I d'Harmental, oparłszy lewą stopę o próg, dobył szpady i czekał na ruch przeciwnika...

Była to szpada dworska, wąska stalowa klinga, ujęta w złotą gardę. Roquefinette wybuchnął śmiechem.

- A ja czym będę się bronił? - powiedział rozglądając się wokół. - Nie masz pan przypadkiem drutów do robótek swojej kochanki, mój kawalerze?

- Broń się waść tą szpadą, którą nosisz u boku - odparł d'Harmental. - Choć jest tak długa, nie mam już gdzie się cofnąć, jak pan widzisz.

- Co o tym myślisz, Szpilulcu? - rzekł kapitan szyderczym tonem, zwracając się do szpady imieniem nadanym jej przez Ravanne'a.

- Myśli on, że jesteś tchórzem, kapitanie! - wykrzyknął d'Harmental. - Trzeba ci zatem naciąć twarz, by zmusić cię do walki.

Ruchem szybkim jak błyskawica d'Harmental drasnął swoją igłą rymarską policzek kapitana, zostawiając na nim sinawą pręgę jak po smagnięciu batem.

Roquefinette wydał okrzyk, który mógłbyś wziąć za ryk lwa, po czym, uskoczywszy do tyłu ze szpadą w ręce, przybrał postawę szermierczą.

Wówczas zaczął się między nimi straszliwy pojedynek, zaciekły i odbywany w milczeniu, gdyż obaj widzieli się kiedyś w podobnej sytuacji i każdy z nich wiedział, z kim ma do czynienia. Na skutek reakcji łatwej do zrozumienia d'Harmental odzyskał spokój; Roquefinette miał twarz nabiegłą krwią. Co chwila atakował d'Harmentalą swoim Szpikulcem, lecz słaba igła rymarska podążała za nim jak żelazo przylegające do magnesu, owijając się wokół niego ze świstem, niczym wąż. Po pięciu minutach kawaler nie dostał jeszcze ani jednego pchnięcia - odparował wszystkie. Ale, podczas uwalniania broni ruchem szybszym niż poprzednie, spóźnił się z paradą i poczuł na piersi ostrze szpady przeciwnika; czerwona plama pojawiła się na koronkowym żabocie jego koszuli. D'Harmental spostrzegł ją, skoczył do przodu i startł się z kapitanem z tak bliska, że obie gardy zetknęły się z sobą. Roquefinette w lot pojął, na jakie niebezpieczeństwo naraża go w takim starciu długa szpada: jedno skrzyżowanie broni i będzie po nim. Cofnął się tedy gwałtownie, lecz jego lewy obcas pośliznął się na świeżo wypastowanej podłodze i ręka dzierżąca Szpikulcec mimowolnie uniosła się w górę. Wiedziony naturalnym odruchem d'Harmental skorzystał z tego, ciął z góry i aż po gardę zagłębił szpadę w piersi kapitana. Teraz z kolei kawaler uskoczył, aby uniknąć riposty, ale ta ostrożność okazała się zbędna; kapitan stał przez moment nieruchomo, rozwarł szeroko oczy, z dzikim wyrazem twarzy upuścił Szpikulcec, obiema dłońmi osłonił piekącą go ranę i ciężko zwalił się na ziemię.

- Diabelskie szydło! - szepnął konając: cienka stalowa klinga przebiła serce giganta.

D'Harmental, jeszcze w pozycji szermierczej, z wolna opuszczał szpadę, patrząc na agonię przeciwnika: umierał, ale wciąż miał otwarte oczy i wciąż na niego spoglądał. Kawaler,

wsparty o drzwi, trwał chwilę w przerażeniu, jakim napawał go ten widok. Włosy mu się zjeżyły, pot spływał z czoła, nie śmiał wykonać najmniejszego ruchu, żadnego gestu; zwycięstwo wydało mu się koszmarem. Nagle, w ostatnich konwulsjach, wargi kapitana wykrzywiły się szyderczo: Roquefinette skołał unosząc do grobu swoją tajemnicę.

Jak rozpoznać wśród trzystu chłopów na Końskim Targu dwunastu czy piętnastu rzekomych przemytników soli, którzy mieli porwać regenta?

D'Harmental wydał głuchy okrzyk; wolałby oddać dziesięć lat swojego życia za dziesięć minut życia kapitana. Wziął zmarłego w ramiona, uniósł go, przemawiał do niego; zadygotał, gdy zobaczył, że ma ręce we krwi; krew spływała po nierównej podłodze, rozlewając się coraz szerzej, dosięgła już progu i sączyła się dalej; kawaler położył ciało kapitana w owej kałuży krwi. W tej samej chwili zarżał niespokojnie uwiązany na dole koń.

D'Harmental postąpił parę kroków w stronę drzwi; nagle przyszło mu na myśl, że Roquefinette może mieć przy sobie jakieś papiery, jakiś bilet zawierający pewne informacje. Mimo odrazy, jaką przejmowały go zwłoki kapitana, zbliżył się do zabitego i sprawdził kolejno wszystkie kieszenie jego ubrania; ale znalazł jedynie kilka rachunków z restauracji i miłosny liścik Normandki.

Nie miał już nic do roboty w tym pokoju, podszedł do sekretery, napchał sobie kieszenie złotem i banknotami, zamknął za sobą drzwi, zbiegł szybko ze schodów, wskoczył na niecierpliwącego się konia, ruszył galopem w stronę ulicy du Gros-Chenet i skręcił za rogiem, by najkrótszą drogą dotrzeć do bulwaru.

XVIII. Zbawca Francji

Podczas gdy ta straszliwa scena rozgrywała się na mansardzie pani Denis, Batylda zaniepokojona tym, że okno sąsiada jest wciąż zamknięte, otworzyła swoje i pierwszą rzeczą, jaką spostrzegła, był wierzchowiec przywiązany do okiennicy. Ponieważ nie widziała wchodzącego do d'Harmentalą kapitana, pomyślała, że to koń Raula; i natychmiast ogarnęły ją stare i nowe obawy.

Pozostała tedy przy oknie rozglądając się wokół i starając się odgadnąć z rysów każdego przechodnia, czy nie jest on przypadkiem jednym z aktorów przygotowywanego dramatu, w którym, jak odgadywała instynktownie, d'Harmental miał odegrać główną rolę. Z bijącym sercem i wyciągniętą szyją błędziła wzrokiem to tu, to tam, i nagle krzyknęła radośnie, spostrzegłszy Buvata wychodzącego zza rogu ulicy Montmartre. Szanowny mistrz kaligrafii od czasu do czasu oglądał się za siebie, jakby podejrzewał, że jest śledzony; laskę trzymał w pozycji poziomej i kroczył tak szybko, jak tylko pozwalały mu na to krótkie nogi.

Zostawmy go na razie w alejce lub na ciemnych schodach będących jej przedłużeniem, gdzie czekała już Batylda, i rzućmy okiem wstecz, by wyjawić przyczyny tej jego nieobecności, która pewnie zaniepokoiła naszych czytelników wcale nie mniej aniżeli Batyldę i poczciwą Nanette.

Przypominamy sobie, że Buvat, zastraszone groźbą tortur, wyznał księdzu Dubois niektóre szczegóły spisku i został przez niego zmuszony do codziennego przepisywania dokumentów, jakie wręczał mu domniemany książę de Listhny. W taki oto sposób pierwszy minister regenta poznał kolejno wszystkie plany spiskowców i udaremnił je przez aresztowanie marszałka de Villeroi oraz zwołanie Parlamentu.

W poniedziałek rano Buvat przybył jak zwykle do Palais-Royal z plikiem papierów, które d'Avranches wręczył mu dnia poprzedniego: był to manifest zredagowany przez panów Malezieux i Pompadour oraz listy najznacześniejszych wielmożów bretońskich, którzy przystąpili, o czym już wiemy, do sprzysiężenia.

Buvat zabrał się natychmiast do pracy; ale około czwartej, kiedy wstał i sięgnął po kapelusz i laskę, pojawił się Dubois, by zaprowadzić go do niewielkiego pokoju o piętro wyżej;

gdy tam weszli, Dubois zapytał Buvata, co sądzi o tym apartamencie. Pochlebiony względami, jakie okazywał mu premier, kopista odparł pośpiesznie, że lokum wydaje mu się bardzo przyjemne.

- Tym lepiej - rzekł Dubois. - Cieszę się ogromnie, że przypadło panu do gustu, bo należy do pana.

- Mam więc stale przebywać w Palais-Royal?

- Przynajmniej przez parę dni.

- Łaskawy panie, proszę chociaż zezwolić mi na powiadomienie o tym Batyldy.

- Cała rzecz w tym, że panna Batyllda nie może być powiadomiona o tej sprawie.

- Ale pozwoli pan, że gdy wyjdę po raz pierwszy...

- Dopóki waść tu zostaniesz, nie będziesz nigdzie wychodził.

- Jestem tedy więźniem?! - krzyknął przerażony Buvat.

- Więźniem stanu, jako rzekłeś, mój drogi panie Buvat. Ale uspokój się, twoje uwięzienie nie będzie długo trwało i przez cały ten czas wszyscy będą ci okazywać względy należne zbawcy Francji; ocaliłeś bowiem Francję, mój drogi panie Buvat. Nie można temu zaprzeczyć.

- Ja ocaliłem Francję! - zawołał Buvat. - I oto jestem uwięziony, zamknięty, pod kluczem, za kratami!

- A gdzież, u licha, widzisz pan zawory i kraty, drogi Buvat? - rzekł Dubois wybuchając śmiechem. - DRzwi zamykają się tylko na klamkę i nie ma tu nawet zasuwki; a co do okna, popatrz pan, wychodzi na ogród Palais-Royal i najmniejsza krata nie zasłania panu wspaniałego zaiste widoku; będziesz pan tu mieszkał jak sam regent.

- O mój pokoiku! O mój tarasie! - wyszeptał udręczony Buvat i padł na fotel.

Dubois miał co innego do roboty aniżeli pocieszanie Buvata, odszedł więc i postawił wartę u drzwi.

Tłumaczą się te środki ostrożności całkiem zwyczajnie: Dubois obawiał się, że wiadomość o aresztowaniu marszałka Villeroi pozwoli spiskowcom domyślić się, kto ujawnił tajemnicę, i wzięwszy na spytki Buvata dowiedzą się wszystkiego. Wyznanie skryby powstrzymałoby z pewnością sprzysiężonych od dalszych kroków, Dubois zaś, znając obecnie

ich plany, pragnął, aby złapali się we własne sidła, zmierzając aż do finału; chciał raz na zawsze skończyć z tymi drobnymi spiskami.

Około ósmej wieczorem, kiedy zaczął zapadać zmierzch, Buvat usłyszał głośny hałas przy drzwiach, jakby chrzęst metalu, co go ogromnie zaniepokoiło. Nasłuchał się niezliczonych a żalonych historii o mordowaniu więźniów stanu, zerwał się tedy i rozdygotany podbiegł do okna. Na dziedzińcu i w pałacowym ogrodzie zobaczył wielką ilość osób; światło w galeriach zaczynało rozbłyskiwać i wszędzie, gdzie tylko spojrzął, pełno było ruchu, wesołości i blasku. Jęknął głucho pomyślawszy, iż być może wypadnie mu rozstać się z tym jakże ruchliwym i żywym światem. W tej samej chwili drzwi się otworzyły. Buvat, drżąc od stóp do głów, odwrócił się i ujrzał dwóch rosyłych lokajów w czerwonej liberii, wnoszących do pokoju nakryty i zastawiony stół. Te metaliczne dźwięki, które go tak przeraziły, okazały się tylko brzękiem srebrnych półmisek i sztućców.

W pierwszym odruchu Buvat wznosił do Boga akt dziękczynienia za to, że domniemane niebezpieczeństwo odmieniło się w sytuację z pozoru dość znośną; ale niemal natychmiast inna myśl zaświtała mu w głowie, a mianowicie, że niecne zamiary, które powzięto wobec niego, nie odmieniły się wcale, zmieniono tylko sposób ich wykonania, i zamiast ponieść śmierć niczym Jan bez Trwogi albo diuk Gwizjusz, zostanie otruty jak Wielki Delfin lub diuk de Bourgogne. Objął szybkim spojrzeniem dwóch lokajów i zdało mu się, że dostrzega w ich twarzach coś ponurego, co dowodzi, iż są wykonawcami tajemnej zemsty. Wówczas powziął decyzję i mimo aromatu potraw, który zresztą wydał mu się jeszcze jedną przynętą, odmówił skosztowania czegokolwiek, oświadczając wyniośle, że nie jest głodny ani też nie ma pragnienia.

Dwaj lokaje zerknęli na siebie znacząco: byli to szczwani nicponie i jednym rzutem oka oszacowali Buvata; ponieważ nie mogli pojąć, jak można nie mieć apetytu na bażanta nadziewanego truflami albo nie mieć ochoty na butelkę wina Chambertin, w lot przeniknęli obawy więźnia. Wymienili szeptem parę słów i jeden z nich, ten śmielszy, chcąc wykorzystać okazję, podszedł do Buvata, który cofał się przed nim dopóty, dopóki nie zagroził mu drogi kominek.

- Łaskawy panie - rzekł lokaj przejmującym tonem. - Rozumiemy pańskie obawy, ale

jako uczciwi ludzie, chcemy panu dowieść, że nie jesteśmy zdolni przyłożyć ręki do czynu, o jaki nas podejrzewasz. A zatem, jak długo pan tu będziesz, mój kolega i ja będziemy kolejno próbować każdego dania i każdego wina, które ci przyniesiemy; uszczęśliwi nas fakt, że dzięki naszej ofierze, zapewnimy ci, panie, odrobinę spokoju.

- Panie - odezwał się Buvat zawstydzony, że tak łatwo odkryto jego sekretne podejrzenia - jesteś pan uczciwym człowiekiem, ale, na Boga, doprawdy nie mam pragnienia ani nie czuję głodu, co miałem już zaszczyt panom powiedzieć.

- To drobiazg, panie - rzekł lokaj - skoro ja i mój kolega nie chcemy, by pozostał w pańskim umyśle bodaj cień wątpliwości, podtrzymujemy ofertę, jaką panu przedłożyliśmy. Comtois, przyjacielu - zwrócił się do kolegi zasiadając na miejscu przeznaczonym dla Buvata - zrób mi przyjemność i uracz mnie paroma łyżkami zupy, podaj skrzydełko pulardy z ryżem, nalej mi na dwa palce burgunda. Tak, świetnie. Za pańskie zdrowie, panie Buvat!

- Proszę pana - ozwał się Buvat spoglądając okrągłymi ze zdumienia oczyma na lokaja, który wieczerzał tak bezceremonialnie na jego miejscu - to ja jestem pańskim sługą i chciałbym poznać pańskie imię, aby zachować je w pamięci obok imienia zacnego strażnika, który ongiś dał dowód podobnej ofiarności w więzieniu Come l'Ancien. Jest to opisane w książce "Moralność czynu", mój panie - prawił dalej Buvat - i pozwolę sobie dodać, że obaj zasługujecie na to, pod każdym względem, aby figurować w tym dziele.

- Łaskawy panie - rzekł skromnie lokaj - ja nazywam się Bourguignon, a mój kolega Comtois, i to na niego przyjdzie jutro kolej, by się tak samo poświęcić; na pewno i on nie zawiedzie. No, proszę, przyjacielu Comtois, podaj mi kawałek piersi bażanta i kieliszek szampana. Czy łaskawy pan nie widzi, że aby uspokoić go do cna, muszę spróbować każdej potrawy i wszystkich win? To trud ogromny, wiem o tym dobrze; ale na nic byłyby zasługi uczciwego człeka, gdyby nie narażał się od czasu do czasu na podobne poświęcenie. Za pańskie zdrowie, panie Buvat!

- Bóg cię wynagrodzi, panie Bourguignon.

- A teraz, Comtois, podaj mi deser, aby już żadna wątpliwość nie dręczyła pana Buvata.

- Gdybym je istotnie żywił, panie Bourguignon, już teraz rozproszyłyby się zupełnie.

- O nie, szanowny panie, o nie, i bardzo za to przepraszam; wątpisz pan jeszcze

trochę. Comtois, uważaj na kawę, żeby była bardzo gorąca. Chcę ją wypić tak, jak wypiłby ją pan Buvat, bo pan Buvat lubi właśnie taką.

- Wrzącą, mój panie - odparł Buvat z ukłonem. - Słowo daję, że piję kawę wrzącą.

- Ach! - powiedział Bourguignon delektując się kawą i wznosząc w górę uszczęśliwione spojrzenie. - Ma pan rację, tylko taka kawa jest dobra; zimna staje się napojem dość kiepskim. Muszę przyznać, że ta jest wyśmienita. Comtois, przyjacielu, wieszuję ci szczerze, podajesz do stołu znakomicie. A teraz pomóż mi, przyjacielu, wynieść stolik. Musisz bowiem wiedzieć, że nie ma nic przykrzejszego nad zapach potraw i wina dla kogoś, kto nie ma apetytu i pragnienia. Łaskawy panie - mówił dalej ciągnąc stolik w kierunku starannie zamkniętych przedtem drzwi, podczas gdy Comtois popychał stolik do przodu - łaskawy panie, jeśli będziesz pan czegoś potrzebował, masz tu trzy dzwonki, jeden przy łóżku i dwa przy kominku. Te przy kominku wzywają nas, a ten przy łóżku jest przeznaczony do wzywania pokojowca.

- Dziękuję panu - rzekł Buvat - jest pan nad wyraz przyzwoity. Nie chciałbym nikogo niepokoić.

- Niech pan się nie krępuje, niech pan się nie krępuje! Jego Wysokość pragnie, abyś czuł się tu jak u siebie w domu.

- Jego Wysokość jest bardzo łaskaw.

- Czy pan już niczego nie potrzebuje?

- Niczego, przyjacielu - powiedział Buvat poruszony aż tak wielką życzliwością - może tylko chciałbym wam podziękować.

- Spełniam tylko mój obowiązek, łaskawy panie - odparł skromnie Bourguignon, kłaniając się po raz ostatni i zamykając drzwi.

- Na honor - powiedział Buvat pożegnawszy czułym spojrzeniem Bourguignona - trzeba przyznać, że istnieje wiele kłamliwych przysłów. Mówi się: bezczelny jak lokaj; a oto osobnik, który wykonuje ów zawód, a jest nadzwyczaj grzeczny. Dalibóg, nie będę już wierzył przysłowiom albo przynajmniej będę je rozsądnie segregował.

I przyobiecawszy to sobie, Buvat znalazł się znowu sam w pokoju.

Nic tak nie podsyca apetytu, jak widok i zapach dobrej kolacji. A ta, która przesunęła się przed jego oczami, przekraczała w swojej wspaniałości wszystko, o czym nasz kopista

dotychczas marzył. Dręczony ssaniem pustego żołądka, zaczął żałować nieufności, z jaką odniósł się do swoich prześladowców; ale było za późno. Mógł, co prawda, pociągnąć za dzwonek do pana Bourguignon i dzwonek do pana Comtois i poprosić o ponowne dostarczenie mu posiłku, lecz jego nazbyt nieśmiałe usposobienie udaremniło podobny akt woli; w rezultacie, poszukując najbardziej pocieszającego przysłowia wśród zapasu porzekadeł, którym zamierzał nadal dawać wiarę, znalazł bezpośrednią analogię pomiędzy swoją sytuacją i powiedzeniem: kto śpi, ten wieczerza; postanowił więc trzymać się tej ludowej mądrości i wyspać się przynajmniej, skoro nie mógł się najeść.

W chwili jednak, gdy miał wcielić w czyn tę decyzję, zawładnęły nim nowe lęki: czy ktoś nie zechce, korzystając z jego snu, ostatecznie go unicestwić? Noc jest porą zasadzek; słyszał wielokrotnie historie opowiedane przez matkę o baldachimach, które spadały i dusiły śpiącą ofiarę; o łózkach, które same się zapadały i to tak podstępnie, że nawet nie budziły nieszczęśników; i wreszcie o drzwiach ukrytych w boazerii, a nawet w szafach, o drzwiach, którymi zakradali się mordercy. Czy tę obfitą kolację, te jakże wspańiałe wina przyniesiono mu po to, by zasnął spokojnie i głęboko, wolny od podejrzeń? Wszystko ostatecznie było możliwe; toteż Buvat, mający wysoko rozwinięty zmysł samozachowawczy, rozpoczął ze świecą w ręku najbardziej drobiazgową inspekcję. Otworzywszy zrazu drzwi szaf, wyciągnąwszy szuflady komód, zbadawszy wszystkie fragmenty boazerii, zabrał się do łóżka i klękąwszy na dywanie, z rękoma opartymi na podłodze, lęklonie zaglądał pod poślanie, kiedy nagle zdało mu się, że słyszy czyjeś kroki. Pozycja, w jakiej się znajdował pozbawiła go wszelkiej myśli o obronie, trwał więc bez ruchu i czekał ze ściśniętym sercem i czołem ociekającym potem.

- Przepraszam - ozwał się nad jego plecami głos, od którego zadrżał cały -
przepraszam, ale czy nie szlafmycy pan szuka?

Buvat został wykryty. Nie było sposobu uciec przed niebezpieczeństwem, jeśli niebezpieczeństwo rzeczywiście istniało. Wytknął tedy głowę spod łóżka, wziął do ręki świecę i, nadal klęcząc w postawie pokornej i rozbrajającej, odwrócił się do tego, kto się do niego odezwał, i spotkał się oko w oko z czarno ubranym mężczyzną, trzymającym na przedramieniu jakieś części garderoby, przynajmniej tak się Buvatowi wydało.

- Tak, proszę pana - rzekł chwytając z przytomnością umysłu, której powinszował sobie

w duchu, wykręt, jaki mu podsunięto - tak, proszę pana, rzeczywiście szukam czepka. Czyżby to było zabronione?

- A dlaczego, zamiast zadawać sobie tyle trudu, po prostu pan nie zadzwonił? To ja mam zaszczyt służyć panu jako pokojowiec i przyniosłem właśnie koszulę nocną i szlafmycę.

Po tych słowach pokojowiec rozpostarł na łóżku koszulę w wielkie kwiaty i czepek z cienkiego batystu oraz wstążkę w zalotnym różowym kolorze. Buvat, wciąż klęcząc, patrzył na niego ze zdumieniem.

- Czy życzy pan sobie, abym mu pomógł się rozebrać?

- O nie, mój panie, o nie! - zakrzyknął Buvat, którego skromność łatwo ulegała zatrwożeniu; odmowę tę poparł jednak najprzyjemniejszym, na jaki tylko mógł się zdobyć, uśmiechem. - Mam zwyczaj rozbierać się sam. Dziękuję panu, dziękuję.

Pokojowiec wyszedł i Buvat znów został sam. Skoro zakończył przeszukiwanie pokoju, a głód dokuczał mu coraz większy, sen stawał się rzeczą coraz pilniejszą. Westchnąwszy ciężko, Buvat zajął się nocną toaletą. Aby nie pozostać bez światła, umieścił jedną ze świec w rogu kominka i, jęknąwszy srodze, zapadł w pościel najbardziej miękką i delikatną, w jakiej kiedykolwiek zdarzyło mu się leżeć.

Łóżko nie zawsze jednak przynosi sen - oto aksjomat, który Buvat, dzięki własnemu doświadczeniu, mógł dorzucić do rejestru wiarygodnych przysłów. Strach bądź pustka w żołądku sprawiły, że spędził noc bardzo niespokojną i dopiero nad ranem zaczął przysypiać; sen jego zaroił się od najstraszliwszych i najbardziej bezsensownych koszmarów. Śnił właśnie, że został otruty potrawką baranią z fasolką, kiedy wszedł pokojowiec i zapytał, kiedy ma podać śniadanie.

To pytanie skojarzone ze snem spowodowało, że Buvat zadrżał od stóp do głów na samą myśl o przełknięciu czegokolwiek i odpowiedział pomrukiem, który wydał się pokojowcowi przyzwoleniem. Wszedł więc zapowiadając, że śniadanie będzie zaraz podane.

Buvat, nie nawykły do jedzenia w łóżku, wyskoczył zeń żywo i pospiesznie dopełnił toalety; właśnie ją skończył, gdy panowie Bourguignon i Comtois weszli niosąc śniadanie, tak jak dnia poprzedniego przynieśli kolację.

Wówczas powtórzyła się scena, którą już opisaliśmy; jedyną różnicą było to, że tym

razem pan Comtois jadł, usługiwał zaś pan Bourguignon. Ale kiedy dotarli do kawy, Buvat, który od wczorajszego rana nic nie jadł, na widok swojej ulubionej kawy, spływającej ze srebrnego dzbanka do filiżanki pana Comtois, nie zdołał się oprzeć i oświadczył, że jego żołądek domaga się drobnej przekąski, prosi zatem o pozostawienie mu kawy i bułeczki. To oświadczenie przyhamowało ofiarność pana Comtois, musiał bowiem ograniczyć się do dwóch łyżeczek aromatycznego napoju, który wraz z bułeczką i cukiernicą pozostawiono na stolyczku, a dwaj nicponie, śmiejąc się pod nosem, wynieśli resztki śniadania złożonego z dań mięsnych. Gdy tylko drzwi się zamknęły, Buvat skoczył do stoliczka i, nie zadając sobie nawet trudu zamaczania bułki w kawie, pochłoniął jedno i drugie. Wzmocniwszy się nieco tym na pewno nie wystarczającym posiłkiem, zaczął rozpatrywać ostatnie wydarzenia w sposób mniej katastroficzny.

Nie brakowało mu w istocie zdrowego rozsądku; a że bez szwanku przeżył wczorajszy wieczór, ubiegłą noc i rozpoczął obecny ranek w warunkach dość komfortowych, dochodził z wolna do przekonania, że jeśli nawet z jakichś powodów politycznych dybano na jego wolność, nikt nie dybał na resztę jego dni, przeciwnie, otaczano go tutaj staraniami, jakich nigdy jeszcze nie zaznał. Ponadto wbrew samemu sobie odczuwał dobroczynny wpływ przepychu, który wciska się przez wszystkie pory skóry i rozpiera radością serce. Zauważył, że wczorajsza wieczerza była o wiele lepsza od tych, jakie zwykł był jadać; przyznał, że łóżko było nadzwyczaj wygodne; kawa zaś, którą dopiero co wypił, posiadała aromat, jakiego domieszka cykorii pozbawiała jego domową poranną kawę. Nie mógł też zataić przed sobą, że miękkie fotele i wyściełane krzesła, na których siadywał od dwudziestu czterech godzin, mają niezaprzeczalną wyższość nad jego skórzanym fotelem i trzciniowymi krzesłami. Dręczyła go właściwie tylko świadomość, że Batyllda na pewno bardzo się o niego martwi. Nie mając odwagi powtórzyć prośby, z którą poprzedniego dnia zwrócił się do ministra Dubois, dumał nad tym, jakby tu powiadomić wychowanek; marzył przez chwilę, wyznajmy i to, by na podobieństwo Żelaznej Maski, więźnia, który przez okno wyrzucił srebrny talerz na morski brzeg, wyrzucić list do Batylldy z balkonu wychodzącego na dziedziniec Palais-Royal; wiedział jednak, jaki tragiczny los spotkał Żelazną Maskę za pogwałcenie nakazów; drżał tedy na samą myśl o podobnej próbie, która mogłaby zaostrzyć rygory jego strażników, boć, rozważywszy

rzecz skrupulatnie, warunki tego więzienia musiał uznać za całkiem znośne.

W wyniku tych rozmyślań Buvat odzyskał tego ranka nieco więcej spokoju, niż go miał wieczorem i w nocy; z drugiej zaś strony, żołądek nasycony kawą i bułeczką, pobudzał jedynie lekki apetyt, który jest tym większą rozkoszą, kiedy wiemy, że czeka nas dobry obiad.

Dodajcie do tego przyciągający w najwyższym stopniu widok, jaki więzień miał ze swego okna, a pojmiecie, że godzina pierwsza po południu nadeszła szybko, nie przysparzając mu cierpień ani trosk.

Dokładnie o pierwszej drzwi się otwały i nakryty do posiłku stolik pojawił się jak poprzedniego dnia i dzisiejszego ranka; niosło go dwóch lokajów. Ale tym razem ani jeden z nich przy nim nie usiadł; Buvat bowiem oświadczył, że nabrawszy całkowitego zaufania do intencji dostojnego gospodarza, dziękuje panom Comtois i Bourguignon za poświęcenie, którego dowody dali kolejno obaj, i prosi, aby go obsłużyli. Lokaje skrzywili się, lecz usłuchali.

Łatwo odgadnąć, że dobre samopoczucie Buvata stało się jeszcze lepsze dzięki doskonałemu obiadowi, który mu podano: skosztował wszystkich potraw, degustował każde wino; wreszcie osłodziwszy cukrem kawę, luksus, na jaki pozwalał sobie tylko w niedzielę, i łyknąwszy dodatkowo kieliszek arabskiego nektaru oraz naparstek likieru popadł, trzeba to powiedzieć, w stan bliski ekstazie.

Wieczorem kolacja miała takie samo powodzenie; ale że Buvat obficie kosztował przy wieczerzy aniżeli przy obiedzie win Chambertin i Sillery, około ósmej znalazł się w stanie szczęśliwości niemożliwej do opisania. W związku z tym, kiedy wszedł pokojowiec, by przygotować mu posłanie, nie zastał go, jak poprzedniego wieczora, na czworakach; rozwalony w wygodnym fotelu, z nogami na koziołku na drzewo, z głową na oparciu, Buvat mrugał oczami i podśpiewywał cicho, lecz z nieopisaną czułością: "Daj mi, dziecino, daj mi, dziecino, zatańczyć dziś pod leszczyną", co, jak widzimy, świadczyło o ogromnej poprawie w stosunku do samopoczucia, jakie szacowny pisarczyk miał dwadzieścia cztery godziny temu. Co więcej, gdy pokojowiec zaproponował mu pomoc przy rozbieraniu się, Buvat odczuwający niejaką trudność w wyrażaniu swoich myśli, uśmiechnął się do niego na znak przyzwolenia i wyciągnął najpierw ramiona, by lokaj zdjął z niego surdut, potem - nogi, by zzuł mu trzewiki. Ale mimo niezwykłego rozradowania, jakie zaważnęło Buvatem, trzeba gwoli sprawiedliwości

stwierdzić, że jego naturalna skromność nie pozwoliła mu na całkowitą swobodę i dopiero kiedy został sam, zdjął resztę garderoby.

W przeciwieństwie do wczorajszego dnia Buvat tym razem wyciągnął się z rozkoszą na łóżku, zasnął w pięć minut, śnił, że jest sułtanem tureckim i królem Salomonem mającym trzysta żon oraz pięćset konkubin.

Dodajmy pośpiesznie, iż był to jedyny frywolny sen, na jaki wstydlivy Buvat pozwolił sobie w całym swoim cnotliwym życiu.

Obudził się świeży jak pączek róży i w pełni szczęśliwy, chociaż nękała go ustawicznie myśl o niepokoju Batyldy.

Śniadanie, jak się domyślicie, nie pozbawiło go w najmniejszej mierze dobrego humoru; przeciwnie, wywiedziawszy się, czy może napisać do arcybiskupa Cambrai, i otrzymawszy odpowiedź, że nikt mu tego nie wzbrania, poprosił o papier i atrament, które mu dostarczono, dobył z kieszeni scyzoryk, z największą starannością zaostrzył pióro i zaczął swoim najpiękniejszym pismem kreślić nadzwyczaj wzruszające podanie do pierwszego ministra na wypadek, gdyby musiał dłużej pozostać uwięziony. Prosił zatem o zezwolenie na wizytę Batyldy lub przynajmniej na powiadomienie jej o tym, iż niczego, prócz wolności, mu nie brakuje, dzięki łasce rzeczzonego ministra.

Owo podanie, które wykaligrafował z wielką precyzją, wszystkie duże litery zdobiąc w rozmaite motywy roślinne i zwierzęce, zajęło mu czas aż do obiadu. Zasiadając do stołu wręczył pismo panu Bourguignon, by zaniósł je osobiście pierwszemu ministrowi, stwierdziwszy, że pan Comtois sam obsłuży go wyśmienicie. Po kwadransie Bourguignon wrócił z wiadomością, że jego ekscelencja Dubois wyszedł, ale podanie Buvata zostało doręczone osobie, która wspólnie z ministrem zarządza sprawami publicznymi; owa osoba wydała rozkaz, by przyprowadzono do niej Buvata, gdy tylko zje on obiad, dodając jednak, by Buvat nie jadł i nie pił szybciej niżli zwykle z tej racji, iż ten, kto go wzywa, sam właśnie zasiada do stołu. Zgodnie z tym zastrzeżeniem Buvat nie spieszył się wcale, próbował najlepszych dań, kosztował najlepszych win, popijał kawę, delektował się kieliszkiem likieru i zakończywszy tę ostatnią degustację oznajmił, iż jest gotów stawić się przed zastępcą pierwszego ministra.

Strażnik otrzymał rozkaz przepuszczenia Buvata, toteż - poprzedzany przez pana Bourguignon - więzień przeszedł dumnie koło niego. Dość długo przemierzał ogromny korytarz, następnie zszedł po schodach; wreszcie lokaj otworzył jakieś drzwi i zaanonsował naszego pocziwca.

Buvat znalazł się na parterze, jakby w laboratorium, i stanął twarzą w twarz z mężczyzną lat około czterdziestu, który nie wydawał mu się całkiem obcy; odziany po domowemu, śledził on przebieg jakiegoś doświadczenia chemicznego na rozżarzonej do czerwoności palenisku. Wydawał się bardzo zaabsorbowany; spostrzegłszy Buvata podniósł głowę i, patrząc na niego z zaciekawieniem, zapytał:

- To pan nazywa się Jan Buvat?

- Do pańskich usług - odparł Buvat z ukłonem.

- Czy podanie, które skierował pan do Dubois, jest napisane pańską ręką?

- Moją własną ręką, proszę pana.

- Ma pan bardzo piękne pismo.

Buvat skłonił się z uśmiechem podkreślającym jego fałszywą skromność.

- Dubois mówił mi - ciągnął nieznajomy - o pańskich zasługach, mój panie.

- Jego Wielebność jest nazbyt dobry - szepnął Buvat. - To nie warte było aż tylu względów.

- Jak to nie warte było?! Ależ przeciwnie, panie Buvat, było to bardzo wiele warte. Do licha! Na dowód tego powiem, że jeśli masz pan jakąś prośbę do regenta, zobowiązuję się mu ją przekazać.

- Łaskawy panie - odparł Buvat - skoro ofiarowujesz się być wyrazicielem moich uczuć wobec Jego Wysokości, bądź pan tak miły powiedziec mu, żeby, kiedy będzie w lepszej sytuacji finansowej, kazał wypłacić moje zaległe pobory, jeśli nie przyniesie mu to zbyt dużego uszczerbku.

- Cóż to znaczy: pańskie "zaległe pobory", panie Buvat? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Otóż jestem urzędnikiem Biblioteki Królewskiej i prawie od sześciu lat mówią nam pod koniec każdego miesiąca, że kasa jest pusta.

- Ile wynosi pańska zaległość?
- Musiałbym mieć pióro i atrament, żeby obliczyć dokładnie.
- No, ale tak mniej więcej. Oblicz to pan w pamięci.
- Około pięciu tysięcy trzystu paru liwrów, pomijając su i denary.
- I chcesz pan, żeby ci to wypłacono?
- Nie ukrywam przed panem, że sprawiłoby mi to wielką radość.
- I to jest wszystko, o co prosisz?
- Absolutnie wszystko.
- A za usługę, jaką oddałeś Francji, nie domagasz się pan niczego?
- Proszę zatem o jeszcze jedno: by zezwolono mi na powiadomienie mojej wychowanki

Batyldy, która na pewno martwi się z powodu mojej nieobecności; niech się więc uspokoi, bo jestem uwięziony w Palais-Royal. Prosiłbym nawet, jeśli to nie będzie nadużywaniem pańskiej dobroci, żeby otrzymała zgodę na odwiedzenie mnie tutaj. Ale jeśli ta druga prośba jest zbyt zuchwała, ograniczę się do pierwszej.

- Zrobimy coś lepszego, panie Buvat; przyczyny, dla których zatrzymaliśmy pana tutaj, już nie istnieją, zwrócimy więc panu wolność i będziesz mógł osobiście uspokoić swoją pupilkę.

- Jak to, proszę pana?! - zakrzyknął Buvat. - Jak to, już nie jestem więźniem?
- Możesz pan odejść, kiedy zechcesz.
- Jestem pańskim pokornym sługą i mam zaszczyt złożyć panu moje uszanowanie.
- Przepraszam, panie Buvat, jeszcze słówko.
- Słucham uważnie.

- Powtarzam panu, że Francja ma wobec pana zobowiązania, z których musi się wywiązać. Proszę tedy napisać do regenta. Podaj mu pan sumę twoich należności; opisz swoją sytuację i jeśli pragniesz czegoś szczególnie, wyjaw mu te pragnienia odważnie. Ręczę, że twoje podanie będzie załatwione pomyślnie.

- Jest pan aż nazbyt dobry i spełnię, oczywista, jego życzenie. Mogę zatem mieć nadzieję, że gdy pierwsze fundusze napłyną do kasy państwowej...

- Zostanie pan natychmiast wezwany do kasy, daję na to słowo.

- Jeszcze dziś, proszę pana, wystosuję moją prośbę do regenta.

- I jutro wszystko zostanie panu zapłacone.

- Ach, łaskawy panie, ileż dobroci!

- Proszę już iść, panie Buvat, proszę iść, pańska pupilka czeka na pana.

- Ma pan słuszność, ale nie straci na tym, że na mnie czekała, bo przyniosę jej wspaniałą nowinę. Może będę miał zaszczyt jeszcze pana zobaczyć. Ach, przepraszam! Czy nie będzie to niedyskrecją, jeśli zapytam pana o nazwisko?

- Nazywam się Filip.

- Do zobaczenia tedy, panie Filipie.

- Żegnaj, mości Buvat. Chwileczkę... muszę wydać rozkaz, żeby pana wypuszczono.

Po tych słowach zadzwonił. W drzwiach pojawił się kamerdyner.

- Poproś Ravanne'a.

Kamerdyner wyszedł. W dwie sekundy potem wszedł młody oficer gwardii.

- Ravanne - ozwał się "pan Filip" - odprowadź tego dzielnego człowieka aż do bram Palais-Royal. Może udać się, dokąd zechce.

- Tak jest, Wasza Wysokość - odrzekł młody oficer.

Buvat doznał jakby olśnienia, otworzył usta, aby zapytać, kim jest mężczyzna tytułowany Jego Wysokością; ale Ravanne nie dał mu na to czasu.

- Proszę za mną - rzekł. - Czekam na pana.

Buvat patrzył na "pana Filipa" z ogłupiałą miną, a Ravanne, nie rozumiejąc jego wahania, ponaglił go raz jeszcze. Buvat ruszył za oficerem i wyciągniętą z kieszeni chusteczką ocierał z czoła pot ściekający wielkimi kroplami.

Strażnik przy drzwiach chciał zatrzymać Buvata.

- Z rozkazu Jego Wysokości pana regenta ten człowiek jest wolny - rzekł oficer.

Żołnierz sprezentował broń i przepuścił ich obu.

Buvat przestraszył się na myśl, że trafi go apopleksja; nogi odmawiały mu posłuszeństwa, oparł się o ścianę.

- Co panu jest? - spytał jego przewodnik.

- Przepraszam - wybełkotał Buvat - ale czy przypadkiem osoba, z którą miałem

zaszczyt rozmawiać, nie jest...?

- To Jego Wysokość regent we własnej osobie - odparł Ravanne.

- Niemożliwe! - wykrzyknął Buvat.

- Wprost przeciwnie, całkiem możliwe - odpowiedział oficer - bo tak jest.

- Jak to, czyżby sam pan regent obiecał mi, że będę miał wypłacone zaległe pobory? - zawołał Buvat.

- Nie wiem, co panu obiecał, wiem natomiast, że rozkaz wyprowadzenia pana dostałem od regenta - rzekł Ravanne.

- Powiedział mi przecież, że nazywa się Filip.

- Bo tak też jest: Filip Orleański.

- To prawda, proszę pana, to prawda; Filip to jego imię chrzestne, wszyscy o tym wiedzą. Bardzo zacny człowiek z pana regenta i kiedy pomyślę, że tylu niegodziwych łotrów spiskowało przeciw niemu, przeciwko człowiekowi, który zaręczył swoim słowem, że będę miał wypłacone pobory!... Ależ oni zasługują na szubienicę, powinni być łamani kołem, poćwiartowani, spaleni żywcem; czy nie jesteś pan tego zdania?

- Proszę pana - roześmiał się Ravanne - nie mam wyrobionego zdania o sprawach tak wielkiej wagi. A oto i furta wiodąca na ulicę. Pragnąłbym mieć zaszczyt towarzyszyć ci dalej, lecz Jego Wysokość odjeżdża za pół godziny do Chelles, przedtem zaś ma mi wydać różne polecenia i jestem zmuszony, ku mojemu żalowi, pożegnać pana.

- To ja ogromnie żałuję, drogi panie - rzekł grzecznie Buvat odpowiadając głębokim ukłonem na skinienie głową młodego oficera, który już zniknął w momencie, gdy Buvat się prostował.

Owo zniknięcie zwróciło Buvatowi swobodę wszelkich poczynań, z czego skorzystał podążając na plac des Victoires, a z placu des Victoires na ulicę du Temps-Perdu, zza której rogu wynurzył się akurat w chwili, gdy d'Harmental przeszywał szpadą pierś Roquefinette'a. I było to również w tej samej chwili, kiedy biedna Batyllda, wcale się nie domyślając, co zaszło u jej sąsiada, dostrzegła swojego opiekuna i zbiegła po schodach, by go powitać; spotkali się oboje między drugim i trzecim piętrem.

- O mój drogi ojczy, mój drogi ojczy! - zawołała wspinając się po schodach wsparta na

ramieniu Buvata; zatrzymywała się przy tym na każdym stopniu, by go uściskać. - Skądże wracasz, co ci się przytrafiło i jak się to stało, że nie widziałyśmy cię od poniedziałku? Ileż niepokoju przeżyłyśmy, Nanette i ja, o mój Boże; przeszkodziły ci zapewne jakieś niewiarygodne wydarzenia:

- A tak, całkiem niewiarygodne - przytaknął Buvat.
- Mój Boże! Opowiedz mi o tym, ojczec. Przede wszystkim: skąd wracasz?
- Z Palais-Royal.
- Jak to, z Palais-Royal? U kogo byłeś w Palais-Royal?
- U regenta.
- Ty, u regenta? A co robiłeś u regenta?
- Byłem więźniem.
- Ty? Więźniem?
- Więźniem stanu.
- Dlaczego byłeś więźniem?
- Bo ocaliłem Francję.
- O mój Boże, mój Boże! Czyś ty postradał zmysły, biedny ojczec? - wykrzyknęła

przerażona Batylida.

- Nie, ale były powody, bym je postradał, gdybym nie miał tak solidnej głowy.
- Błagam cię, wytłumacz mi to wszystko!
- Wyobraź sobie, że uknuto spisek przeciw regentowi.
- Boże miły!
- I ja do niego należałem.
- Ty?
- Tak, ja, choć nie brałem w nim udziału. Czy wiesz, że ten książę de Listhney...
- No, no?
- Był fałszywym księciem, moje dziecko, fałszywym.
- A te kopie, które dla niego robiłeś?...
- Manifesty, proklamacje, pisma podburzające; powszechna rewolta, Bretania...

Normandia... stany generalne... król Hiszpanii... I ja to wszystko wykryłem.

- Ty! - zawołała zdjeta strachem Batylda.

- Tak, ja. Jego Wysokość regent nazwał mnie zbawcą Francji; i wypłaci również moje zaległe pobory.

- Mój ojciec, wspomniałeś o spiskowcach - powiedziała Batylda. - Znasz ich nazwiska?

- Najpierw pan diuk du Maine. Rozumiesz? Ten nędzny bastard sprzymierza się przeciw Jego Wysokości, regentowi Francji! Poza tym niejaki hrabia de Laval, niejaki markiz de Pompadour, niejaki baron de Valef, ksiązę Cellamare, ksiądz Brigaud, ten nieszczęsny ksiądz Brigaud! Wystaw sobie, że przepisałem całą listę...

- Ojciec - rzekła Batylda głosem zduszonym przez ogarniający ją lęk - czy wśród tych nazwisk nie napotkałeś nazwiska... nazwiska... kawalera... Raula d'Harmentala...?

- Jakżeby nie! - zakrzyknął Buvat. - Kawaler Raul d'Harmental! Przecież to dowódca przysiężonych, ale regent zna wszystkie nazwiska. Dziś wieczorem zostaną aresztowani, jutro powieszeni, poćwiartowani, łamani kołem.

- O nieszczęsny! Nieszczęsny ojciec! - wołała Batylda załamując ręce. - Zabiłeś człowieka, którego kocham. Ale przysięgam na pamięć mojej matki, że jeśli on umrze, ja umrę również.

I sądząc, że zdąży jeszcze uprzedzić d'Harmentala o grożącym mu niebezpieczeństwie, Batylda, zostawiwszy całkiem zdruzgotanego Buvata, rzuciła się do drzwi, zbiegła jak na skrzydłach ze schodów, w dwóch susach przesadziła ulicę, wspięła się na schody nie dotykając niemal stopni i dysząc ciężko, wyczerpana, niemal omdlała, dopadła drzwi pokoju Raula, które, nie domknięte przez kawalera, ustąpiły przy pierwszym dotknięciu i ukazały jej zwłoki kapitana leżące na podłodze w kałuży krwi.

Ten widok był tak odmienny od tego, jakiego się spodziewała, że nie pomyślawszy nawet, iż do cna skompromituje ukochanego, cofnęła się wzywając pomocy; znalazłszy się na podeście, może utraciła resztkę sił, a może pośliznęła się na rozlanej krwi, dość że z przeraźliwym okrzykiem padła do tyłu.

Na ten krzyk zbiegli się sąsiedzi i zobaczyli nieprzytomnie leżącą dziewczynę z głową poranioną o kant drzwi.

Zaniesiono Batyldę do pani Denis, która pospieszyła z ofiarowaniem jej gościnności.

Ponieważ nikt nie znał nazwiska ani miejsca zamieszkania Roquefinette'a - a w kieszeni miał on tylko nic nie mówiący skrawek koperty, którą podarł, by przypalić sobie fajkę - przetransportowano zwłoki do kostnicy, gdzie w trzy dni później rozpoznała je Normandka.

XIX. ...A Pan Bóg kule nosi

Tymczasem d'Harmental, jak pamiętamy, puścił się galopem; wiedział, że nie ma ani chwili do stracenia i że musi stawić czoło zmianom w planie ryzykownego przedsięwzięcia, zmianom, jakie spowodowała śmierć kapitana Roquefinette'a. Żywiąc nadzieję, iż uda mu się rozpoznać osobników, którzy mieli odegrać role statystów w tym wielkim dramacie, pędził bulwarem aż do Porte-Saint-Martin, a znalazłszy się tam, skręcił w lewo i dotarł na sam środek Końskiego Targu: tu właśnie, jak wiemy, dwunastu czy piętnastu domniemanych solników, zwerbowanych przez Roquefinette'a, czekało na rozkazy kapitana.

Żaden jednak szczególny znak, zapowiedziany przez biednego kapitana, nie mógł wskazać obcym oczom tych tajemniczych ludzi, ubranych tak jak inni i ledwie znających się między sobą. D'Harmental poszukiwał ich tedy daremnie - kupujący i sprzedający wydawali mu się całkowicie obojętni wobec wszystkiego, co nie wiązało się z dobijaniem targiem, i zbliżywszy się parę razy do tych, co wyglądali na przebranych wieśniaków, odchodził nie odezwawszy się do nich ani słowem. Prawdopodobieństwo było wielkie, że w tym pięciuset czy sześciusetosobowym tłumie kawaler mógł nie tylko popełnić omyłkę, ale narazić się na niebezpieczeństwo. Sytuacja była rozpaczliwa: niezaprzeczalnie d'Harmental miał w ręku środki konieczne do pomyślnego zakończenia spisku, ale, zabiwszy kapitana, sam pozbawił się szczęśliwej szansy - roztrzaskał jedno ogniwo w łańcuchu i łańcuch się rozsypał. D'Harmental zagryzał wargi do krwi, szarpał odzienie na piersi, przemierzył kilka razy plac targowy, wciąż mając nadzieję, że jakiś przypadek dobędzie go z kłopotu; a czas mijał, na targu nic się nie działo, nikt się do kawalera nie zbliżał; dwaj wieśniacy, do których, powodowany desperacją, zwrócił się z dwuznacznym pytaniem, otworzyli szeroko oczy i gęby, tak naiwnie zdumieni, że d'Harmental przerwał natychmiast rozpoczętą rozmowę, przekonany, że spudłował.

Tymczasem wybiła godzina piąta.

Regent miał wracać z Chelles około ósmej lub dziewiątej. Nie było tedy ani minuty do stracenia, zwłaszcza że porwanie diuka Orleańskiego było ostatnią deską ratunku sprzysiężonych, którzy spodziewali się lada moment aresztowania i po raz ostatni na los

szczęścia rzucali kości. D'Harmental nie taił przed sobą, jak trudna to była sytuacja: ubiegał się o zaszczyt dowodzenia, na nim więc spoczywała cała odpowiedzialność, odpowiedzialność zaiste straszliwa. Z drugiej zaś strony wiedział, że teraz nic nie wskóra odwagą; wola ludzka załamuje się wobec rzeczy niewykonalnych, toteż pozostaje tylko przyznanie się do własnej bezsilności i prośba o pomoc skierowana do tych, co oczekują jej od ciebie.

D'Harmental był człowiekiem zdecydowanym i wkrótce powziął postanowienie; raz jeszcze obszedł wkoło targ, po którym krążył od półtorej godziny, aby przekonać się ostatecznie, czy jakiś spiskowiec nie ujawni się straciwszy w końcu, tak jak i on, cierpliwość; ale widząc, że wszystkie twarze są nadal niewzruszone, zmusił wierzchowca do galopu, minął bulwary, dotarł na przedmieście Saint-Antoine, zsiadł z konia przed domem numer 15, wbiegł na piąte piętro, otworzył drzwi do małego pokoiku i znalazł się naprzeciw pani du Maine, Lavalą, Pompadourą, Valefą, Malezieux i księdza Brigaud.

Na jego widok obecni krzyknęli ze zdziwienia.

D'Harmental opowiedział im o wszystkim: o zamysłach Roquefinette'a, o dyskusji, jaka się wywiązała, kiedy ów wyjawiał swe warunki, i o pojedynku, który ją zakończył. Rozpiął surdut, pokazał zakrwawioną koszulę, po czym wspomniał o nadziei, z jaką szukał domniemanych solników, by zamiast kapitana stanąć na ich czele; opisał też pokrótce owe daremne poszukiwania na Końskim Targu i zwrócił się wreszcie z wezwaniem o pomoc do Lavalą, Pompadourą i Valefą, którzy odpowiedzieli natychmiast, iż są gotowi wyruszyć wraz z kawalerem nawet na koniec świata, posłuszni wszelkim jego rozkazom.

Nic tedy jeszcze nie było stracone: czterej zdecydowani na wszystko ludzie, działający we własnej sprawie, mogli z powodzeniem zastąpić piętnastu opłaconych włóczędów, którymi kierowała jedynie chęć zarobienia dwudziestu ludwików. Osiodłane konie czekały w stajni, wszyscy byli uzbrojeni; d'Avranches jeszcze nie wyruszył, co wzmacniało małą gromadkę o jednego oddanego człowieka. Posłano po czarne aksamitne maski dla ukrycia przed regentem twarzy porywaczy; przy pani du Maine pozostali: Malezieux, z powodu wieku, i Brigaud jako sługa boży - obaj wyłączeni z wyprawy; umówiono się na spotkanie w Saint-Monde i każdy wyruszył osobno, by nie wzbudzać podejrzeń. Po godzinie pięciu spiskowców zaczęło się

przy drodze wiodącej do Chelles, między Vincennes i Nogent-sur-Marne. Na zamku wydzwaniała akurat szósta godzina.

D'Avranches zebrał informacje. Regent przejeżdżał tędy około wpół do czwartej; bez świty i bez straży, w czterokonnej karecie powożonej przez dwóch forysiów, a poprzedzał ją tylko jeden goniec. Nie należało się więc obawiać żadnego oporu. Zatrzyma się księcia, skieruje się go na Charenton, gdzie poczmistrz, jak już powiedzieliśmy, wielbił panią du Maine; powóz wjedzie na dziedziniec, bramę się zamknie. Zmuszą księcia, by wsiadł do karety pocztowej, zaprzężonej zawczasu, z pocztylionem na koźle. D'Harmental i Valef siądą obok niego, kareta ruszy galopem, przeprawi się przez Marnę w Alfort, przez Sekwanę - w Villeneuve-Saint-Georges, dotrze się do Grand-Vaux, a w Montlhery wszyscy znajdą się na drodze wiodącej do Hiszpanii. Gdyby na którymś z postojów regent zaczął wzywać pomocy, d'Harmental i Valef mu zagrożą, gdyby zaś mimo ostrzeżeń wzywał jej nadal, słynny paszport udowodni, że ten, który się pomocy domaga, nie jest księciem, lecz podającym się za regenta szaleńcem, którego wiozą do rodziny w Saragossie. Krótko mówiąc, wszystko to było dość ryzykowne, trzeba to przyznać, ale tego rodzaju akcje udają się, jak wiemy, dzięki temu, że osoby, przeciw którym są skierowane, nie mają się na baczności, bo wcale nie przewidują napaści.

Kolejno wybiły godzina siódma i ósma. D'Harmental i jego towarzysze z radością zauważyli, że mrok coraz bardziej gęstnieje. Kilka pojazdów pocztowych i prywatnych wywołało fałszywy alarm, ale też obudziło w spiskowcach większą czujność. O wpół do dziewiątej panowała już zupełna ciemność; całkiem naturalna obawa, którą z początku ludzie ci odczuwali, zaczęła przeradzać się w zniecierpliwienie.

O dziewiątej wydało im się, że słyszą turkot. D'Avranches przyłożył ucho do ziemi i usłyszał wyraźnie odgłos toczących się kół. W tej samej chwili, o jakieś tysiąc kroków od nich, na zakręcie drogi dostrzegli światło przypominające gwiazdę; sprzysiężeni zadrżeli. Był to na pewno goniec z pochodnią. Wkrótce rozwiały się już wszelkie wątpliwości: dojrzano karete z dwiema zapalonymi latarniami. D'Harmental, Pompadour, Valef i Laval wymienili ostatni uścisk dłoni, włożyli na twarze maski i każdy zajął wyznaczone uprzednio miejsce.

Pojazd zbliżał się szybko: z pewnością była to karoca diuka Orleańskiego. Światło

poходni padało na czerwoną liberię gońca, wyprzedzającego zaprzęg mniej więcej o dwadzieścia pięć kroków. Droga była pusta i cicha; wszystko zdawało się sprzyjać spiskowcom: d'Harmental objął ostatnim spojrzeniem swoich towarzyszy: na środku drogi d'Avranches udawał pijaka, Laval i Pompadour czaili się z dwóch stron na pobrzeżu, a naprzeciw kawalera Valef sprawdzał, czy jego pistolety lekko chodzą w olstrach. Goniec, dwóch forysiów i księżę czuli się najwidoczniej całkiem bezpiecznie i jakby z własnej woli oddawali się w ręce tych, którzy na nich czekali.

Kareta wciąż się zbliżała; goniec minął już d'Harmentalą i Valefa. Wtedy d'Avranches, zerwawszy się na równe nogi, chwycił za końską uzdę, wyrwał gońcowi pochodnię i zgasił ją. Widząc to forysie próbowali zawrócić zaprzęg, ale było już na to za późno; Pompadour i Laval rzucili się ku nim grożąc pistoletami, podczas gdy d'Harmental i Valef dopadli drzwiczek karety, zgasili latarnie i starali się zapewnić księcia, że nie dybią na jego życie, o ile nie będzie on stawiał oporu, gdyby jednak się bronił lub wszczął alarm, są zdecydowani uciec się do środków ostatecznych.

Wbrew oczekiwaniom d'Harmentalą i Valefa, którzy znali odwagę regenta, księżę Filip ograniczył się tylko do jednego zdania: "Dobrze, moi panowie, nie czyńcie mi nic złego, udam się tam, gdzie zechcecie".

D'Harmental i Valef obrzucili wtedy spojrzeniem główny gościniec, ujrzeli Pompadoura i d'Avranches'a, jak uprowadzają w gęstwinę lasu dwóch forysiów, gońca oraz jego konia i dwa wyprężnięte z karety. Kawaler zeskoczył wówczas ze swojego wierzchowca i dosiadł tego, którym powoził pierwszy stangret. Laval i Valef zajęli stanowiska po obu stronach karety; pojazd ruszył galopem, wpadł w pierwszą drogę wiodącą w lewo, skręcił w przecznicę i zaczął toczyć się bez świateł i bez hałasu w kierunku Charenton. Wszystkie szczegóły akcji były tak skrupulatnie obmyślane, iż porwania dokonano w ciągu nie więcej niż pięciu minut, nie padł żaden okrzyk i nikt nie stawiał oporu. Tym razem szczęście zdecydowanie sprzyjało spiskowcom.

Na końcu alei d'Harmental napotkał jednak pierwszą przeszkodę; przypadkowo albo rozmyślnie bariera była zamknięta; należało tedy nadłożyć drogi i obrać inną trasę. Kawaler zawrócił konie, kareta pomknęła przebytą dopiero co drogą, wjechała w następną równoległą

aleję i zwolniona na chwilę jazda nabrała znów szybkości.

Aleja, którą jechał teraz kawaler, biegła do skrzyżowania dróg, z których jedna prowadziła wprost do Charenton. Nie było tedy czasu do namysłu, bo tak czy owak należało minąć owo skrzyżowanie. D'Harmentalowi wydawało się przez chwilę, że dostrzega przed sobą w mroku sylwetki poruszających się ludzi, ale ta wizja rozwiała się jak dym i pojazd bez przeszkód pędził naprzód. Zbliżał się już do skrzyżowania, gdy kawalerowi znów się wydało, że słyszy rżenie koni i zgrzyt metalu, jakby wyciągano szpady z pochew; lecz uznał, że to szelest wiatru wśród liści albo jakiś inny nic nie znaczący szmer i mknął dalej z tą samą szybkością, w tej samej ciszy i ciemnościach.

Znalazszy się jednak na skrzyżowaniu d'Harmental zauważył rzecz osobliwą: wyloty wszystkich dróg zamykał rodzaj muru; było oczywiste, że dzieje się tu coś niezwykłego. Zatrzymał karecię i chciał zawrócić, ale taki sam mur wyrósł tuż przed nim. W tej samej chwili posłyszał krzyk Valefa i Laval: "Jesteśmy otoczeni, ratuj się, kto może!". I obaj, porzuciwszy karecię, zmusili konie do przeskoczenia rowu i zapadli w las, znikając błyskawicznie w jego gąszczu. D'Harmental, siedząc na przyprzęgniętym koniu, nie od razu mógł za nimi podążyć. Usiłował sforsować mur, ale zorientował się, że to kordon szarych muszkietarów i dał koniowi ostrogę w brzuch; pochylony na siodle, z pistoletami w rękach rzucił się ku najbliższej drodze, nie bacząc dokąd ona prowadzi. Zaledwie jednak posunął się parę metrów dalej, kula z garłacza roztrzaskała głowę jego wierzchowca, koń upadł, zanim jeździec wyciągnął nogi ze strzemion. Natychmiast z dziesięciu szwoleżerów zeskoczyło na ziemię, otaczając d'Harmental, ten zaś strzelił na oślep z jednego z pistoletów, a drugi przystawił sobie do skroni, ale nie zdążył nacisnąć na spust: dwaj muszkietarowie pochwycili go za ramiona, czterej inni pomogli mu wydobyć się spod konia. Wysadzono z karety domniemanego księcia, którym okazał się przebrany lokaj, i wepchnięto do wnętrza d'Harmental. Dwaj oficerowie siedli obok niego; na miejsce konia, który został zabity, zaprzężono innego i kareta ruszyła w odwrotnym kierunku, eskortowana przez szwadron muszkietarów. Po kwadransie wtoczyła się na zwodzony most, ciężka brama zaskrzypiała w zawiasach i d'Harmental przejechał pod ciemnym sklepieniem; za furką czekał na niego oficer w mundurze pułkownika.

Był to pan de Launay, gubernator Bastylii.

A teraz, jeśli nasi czytelnicy pragną dowiedzieć się, jak wykryto spisek, niechaj sobie przypomną rozmowę pana Dubois z Filonką. Kuma pierwszego ministra podejrzewała, jak pamiętamy, że Roquefinette jest wplątany w jakieś tajne sprzysiężenie, i zadenuncjowała go pod warunkiem, że kapitan nie przyplaci tego życiem. W parę dni później w gościu odwiedzającym kapitana rozpoznała młodzieńca, który już raz z Roquefinette'em konferował, i z sąsiedniego pomieszczenia, przytknąwszy ucho do szpary w boazerii, podsłuchiwała, o czym obaj mówili.

To, co usłyszała, dotyczyło porwania regenta podczas jego drogi powrotnej z Chelles. Dubois został więc powiadomiony o planach spiskowców jeszcze tegoż wieczoru i aby schwytać winnych na gorącym uczynku, kazał lokajowi Bourguignon przebrać się w strój regenta, a laszek Vincennes otoczył kordonem muszkieterów, szwoleżerów i dragonów. Mieliśmy okazję stwierdzić, jaki był rezultat tego podstępu. Dowódca porywaczy został przyłapany in flagranti, a że pierwszy minister znał nazwiska innych sprzysiężonych, było rzeczą mało prawdopodobną, by mogli się oni wymknąć z ogromnej sieci, jaką na nich zarzucił.

XX. Pamięć Pierwszego Ministra

Kiedy Batylida otworzyła oczy, nie od razu zrozumiała, dlaczego leży w pokoju panny Emilii; Mirza wyciągnęła się w nogach jej łóżka, a dwie siostry Denis czuwały u wezglowia; zdruzgotany bólem Buvat siedział w kącie z głową opuszczoną na piersi, z rękoma splecionymi na kolanach.

W pierwszej chwili nie mogła zebrać splątanych myśli, czuła tylko silny ból fizyczny; podniosła rękę do głowy - rana znajdowała się tuż za skronią. Wezwany wcześniej lekarz założył opatrunek i polecił, aby go wezwano, gdyby pojawiła się gorączka.

Ocknąwszy się ze snu, który wydawał jej się tak ciężki i tak męczący, Batylida zdziwiona, że jest w obcym domu, spoglądała pytająco na każdą z obecnych w pokoju osób. Atenais i Emilia odwróciły jednak oczy, Buvat jęknął głucho, tylko Mirza podsunęła jej swój długi pyszczek, domagając się na próżno pieszczoty; wspomnienia zaczynały już napływać do świadomości Batyldy; zaciemniająca pamięć zasłona rozwiewała się z wolna i łączyły się z sobą zerwane nici, które mogły pomóc dziewczynie w odtworzeniu minionych wydarzeń: przypomniała sobie powrót Buvata, wszystko, co mówił jej na temat konspiracji, przypomniała też sobie o niebezpieczeństwie, jakie zagroziło d'Harmentalowi po złożeniu zeznań przez Buvata. Wróciła jej pamięć o nadziei, że zdąży na czas, by go ocalić, odtworzyła pospieszną drogę przez ulicę i po schodach oraz moment swego wejścia do pokoju Raula - i krzyknęła rozpaczliwie, jak gdyby po raz drugi znalazła się naprzeciw martwego ciała.

- A on? - zawołała. - Co się z nim stało?

Nikt nie odpowiedział, nikt też tego nie wiedział; tylko Buvat, dławiąc się łzami, wstał i ruszył w kierunku drzwi. Batylida zrozumiała, ile wyrzutów sumienia wyraża on tym milczącym odwrotem. Jednym spojrzeniem zatrzymała Buvata. Po czym wyciągając do niego obie ręce spytała:

- Drogi ojczy, czy nie kochasz już swojej biednej Batyldy?

- Ja miałbym ciebie nie kochać, moje dziecko! - zakrzyknął Buvat padając na klęczki i całując przez pościel stopy Batyldy. - O mój Boże, ja miałbym ciebie już nie kochać! To raczej ty nie będziesz mnie już kochać, i to nie bez racji, bo jestem nędznikiem! Powinienem się był

domyślić, że kochasz tego młodzieńca, na wszystko się ważyć, wszystko przecierpieć, anizeli... Ale ty mi się nie zwierzyłaś, nie miałaś do mnie zaufania, więc ja, no, cóż chcesz, mając najlepsze intencje, robiłem same głupstwa. Och, jaki jestem nieszczęśliwy, nieszczęśliwy! - i Buvat nagle wybuchnął szlochem. - Czy zdołasz mi to kiedykolwiek wybaczyć, a jeśli mi nie wybaczysz, jakże ja będę mógł żyć?

- Ojczy - zawołała Batylda - drogi ojczy, postaraj się tylko dowiedzieć, co się z nim stało, błagam cię o to!

- Oczywiście, dziecino, zdobędę te informacje. Jeśli przyniosę ci dobre nowiny, z pewnością mi wybaczysz, prawda? A jeżeli będą złe... będziesz mnie jeszcze bardziej nienawidziła, i to aż nazbyt słusznie, ale nie umrzesz, prawda?

- Idź już, idź - rzekła Batylda otaczając szyję Buvata ramionami i obdarzając go pocałunkiem, w którym piętnaście lat wdzięczności walczyło z jednym dniem żalu. - Idź, mój los jest w ręku Boga! To On zadecyduje, czy mam żyć, czy umrzeć.

Buvat pojął z tego wszystkiego tylko jedno: znaczenie otrzymanego pocałunku. Wydało mu się, że gdyby Batylda miała do niego wielką urazę nie ucałowałaby go, a więc niemal pocieszony wziął laskę i kapelusz, zapytał panią Denis, jak był ubrany kawaler, i wyruszył w ślad za nim.

Ale nie była to łatwa sprawa: odnaleźć ślady Raula, zwłaszcza dla człowieka równie naiwnego jak Buvat. Dowiedział się od sąsiadki, że widziano, jak kawaler wskoczył na siwka, który stał z pół godziny przywiązany do okiennicy, i pogalopował ulicą du Gros-Cheten. Znajomy kupiec, mieszkający na ulicy des Jeuneurs, przypomniał sobie, że zauważył mknącego jak wichur jeźdźca, którego wygląd zgadzał się dokładnie z opisem podanym przez Buvata; wreszcie pewna handlarka owocami, ze straganu na rogu bulwaru, zaklinała się na wszystkie świętości, że młodzieńca, o którego Buvat pytał, widziała jadącego w stronę rogatki Saint-Denis. Z wyjątkiem jednak tych trzech wskazówek wszystkie inne były niepewne, nic nie mówiące. Po dwóch godzinach poszukiwań Buvat wrócił zatem do pani Denis, nie mając Batyldzie nic do powiedzenia ponad to, że nie wiadomo, dokąd spieszył d'Harmental, ale droga, jaką obrał, wiodła przez bulwar Bonne-Nouvelle - Dobrej Nadziei.

Buvat zastał swoją wychowanekę niezwykle podnieconą; podczas jego nieobecności

choroba poczyniła postępy i kryzys przewidywany przez lekarza już się zbliżał. Batyllda miała płonące gorączkowo oczy, rozpaloną twarz, mówiła urywanymi zdaniami. Pani Denis posłała właśnie po doktora.

Biedna pani Denis sama była pogrążona w niepokoju; od dawna podejrzewała, że ksiądz jest wmieszany w jakieś machinacje, a dowiedziawszy się, iż d'Harmental nie był bynajmniej studentem, lecz pułkownikiem, uznała to za potwierdzenie swoich domniemywań, bo to przecież Brigaud wprowadził d'Harmentalą do jej domu. Owo podobieństwo sytuacji przyczyniło się niemało do tego, że serce pani Denis, zresztą bardzo zacne, otwarło się dla Batylldy. Wysłuchiwała tedy chciwie tych kilku informacji, które Buvat przyniósł Batylldzie, i obiecała, że jeśli się sama czegoś dowie, natychmiast powiadomi o tym dziewczynę.

Nadszedł tymczasem lekarz. Jakkolwiek panował nad sobą znakomicie, łatwo się było zorientować, że uznał stan Batylldy za znacznie gorszy. Zastosował obfite upuszczenie krwi, zalecił podawanie jej odświeżających napoi i domagał się, aby ktoś czuwał w nocy u wezłównia chorej. Panny Emilia i Atenais, które pomijając ich śmieszności były w gruncie rzeczy dobrymi dziewczętami, oświadczyły, że ten obowiązek biorą na siebie i na zmianę spędzą przy Batylldzie całą noc. Emilia, jako starsza, poprosiła o pierwszą część nocnego czuwania, co przyznano jej bez sprzeciwu. Buvat, ze względu na rodzaj zabiegów, jakie należało przy Batylldzie spełniać, nie mógł pozostawać w jej pokoju, a zresztą wzdychaniem i jękami niepokoiłby tylko chorą; poproszono go tedy, by wrócił do siebie, na co zgodził się dopiero wówczas, gdy ubłagała go Batyllda.

Po puszczeniu krwi Batyllda uspokoiła się nieco; poczuła się trochę lepiej; pani Denis wyszła z pokoju, a za nią panna Atenais. Bonifacy, który wrócił właśnie z kostnicy, gdzie oglądał zwłoki kapitana Roquefinette, odszedł na swoje piąte piętro. Emilia siedziała przy kominku czytając książkę, kiedy zastukano dwukrotnie do wejściowych drzwi domu, głośno i jakby z pośpiechem, co wskazywało na wyraźne zdenerwowanie pukającego. Batyllda zadrżała i wsparła się na łokciu; Emilia schowała książkę do kieszeni i, spostrzegłszy wzburzenie chorej, podbiegła do jej łóżka. W pokoju nastała cisza, słychać było tylko łoskot otwieranych kolejno trojga drzwi; wreszcie ozwał się czyjś głos i nim Emilia zdążyła powiedzieć: "To nie Raul, to ksiądz Brigaud", Batyllda opadła na poduszkę.

Zaraz potem pani Denis uchyliła drzwi i wzburzonym głosem przywołała Emilię. Emilia wyszła zostawiając Batyldę samą.

Chora nagle zadrżała. Brigaud znajdował się w sąsiednim pokoju i wydało jej się, że wymówił imię Raula. Jednocześnie przypomniała sobie, że ksiądz często odwiedzał d'Harmentala. Wiedziała, że Brigaud był w wielkich łaskach u pani du Maine, pomyślała tedy, że przyniósł jakieś nowiny. W pierwszym odruchu, zsunąwszy się z łóżka, chciała coś na siebie narzucić i pójść do sąsiedniego pokoju, by wysłuchać tych nowin; ale pomyślała, że jeśli będą to złe nowiny, nikt ich w jej obecności nie ujawni, lepiej więc będzie tutaj wysłuchać rozmowy, która robiła wrażenie bardzo ożywionej. Batyllda przytknęła więc ucho do boazerii i jakby całe jej życie od tego zawisło, zaczęła chciwie nasłuchiwać.

Brigaud składał pani Denis sprawozdanie z minionych wydarzeń. Valef zjawił się na ulicy SAint-Antoine, aby powiadomić panią du Maine, że wszystko przepadło. Pani du Maine zwróciła natychmiast słowo wszystkim sprzysiężonym, zachęcając księdza Brigaud i Malezieux, aby uciekali każdy z osobna. Sama natomiast postanowiła schronić się w Arsenał. Brigaud przyszedł tedy pożegnać się z panią Denis; opuszczał Paryż, chciał czmychnąć do Hiszpanii w przebraniu wędrownego kupca.

Podczas tej relacji, przerywanej okrzykami biednej pani Denis i obu pańienek, wydało się księdzu Brigaud, że kiedy mówił o porażce d'Harmentala, za ścianą rozległ się krzyk. Nikt nie zwrócił na to uwagi, a ksiądz nie wiedząc, że Batyllda jest w sąsiedztwie, nie przejął się owym odgłosem. Zresztą akurat wszedł przywołany Bonifacy, a że Brigaud miał szczególny sentyment do tego młokosa, jego pojawienie się skierowało myśli księdza ku sprawom najbardziej osobistym.

Nie była to jednak stosowna pora na długie pożegnania. Brigaud pragnął, aby świt zastał go możliwie najdalej od Paryża. Pożegnał się tedy śpiesznie z całą rodziną Denisów, zabierając z sobą tylko Bonifacego, który chciał odprowadzić księdza aż do rogatki.

Kiedy otworzyli drzwi wiodące na schody, usłyszeli wrzaskliwy głos dozorczy, który, jak się zdawało, wzbraniał się wpuścić kogoś do domu; zeszli natychmiast na dół, by dowiedzieć się o powód tej sprzeczki. Batyllda z rozrzuconymi włosami, w białej, szerokiej sukni stała boso na schodach, usiłując wyjść na ulicę mimo sprzeciwu dozorczy. Nieszczęsna dziewczyna

wszystko słyszała i pod wpływem gorączki popadła w majaczenie: zapragnęła odnaleźć Raula, zobaczyć go znowu, umrzeć wraz z nim. Trzy kobiety pochwyciły ją w ramiona. Broniła się, wymawiała jakieś słowa bez związku, policzki płonęły jej od gorączki, a jednocześnie dygotała na całym ciele i szczykała zębami. Wkrótce jednak siły ją opuściły, odrzuciła w tył głowę, wyszeptala imię RAula i zemdlala po raz drugi.

Posłano znów po doktora. Stało się to, czego się medyk obawiał: rozwinęło się zapalenie mózgu. W pewnym momencie ktoś zapukał do drzwi; był to Buvat, którego Brigaud i Bonifacy spotkali błakającego się przed domem niby dusza pokutująca; nie mógł opanować niepokoju i prosił, aby pozwolono mu przycupnąć w jakimś kąciku, gdziekolwiek, byleby tylko z godziny na godzinę mógł dowiadywać się o zdrowie Batyldy. Rodzina Denisów sama nazbyt cierpiała, by nie zrozumieć jego rozpacz. Pani Denis dała znak Buvatowi, by siadł w kącie i odeszła do siebie wraz z Atenais, zostawiając przy chorej Emilię. Przed samym świtem wrócił Bonifacy; towarzyszył księdzu aż do rogatki de l'Enfer, gdzie Brigaud rozstał się z nim mając nadzieję, że dzięki dobremu wierzchowcowi i przebraniu zdoła dotrzeć do granicy hiszpańskiej.

Batylda nadal majaczyła: przez całą noc mówiła o Raulu. Kilkakrotnie wspominała Buvata, wciąż go oskarżając o zabicie jej ukochanego. Za każdym razem nieborak, nie ośmielając się bronić ani skarżyć, zalewał się łzami i szukał jednocześnie w myślach sposobu, w jaki mógłby naprawić wyrządzone zło. Wreszcie, kiedy dzień nastał, powziął jakąś stanowczą decyzję. Podeszedł do łóżka Batyldy, ucałował jej rozpaloną dłoń i zaraz wyszedł, bo dziewczę patrzyło na niego nieprzytomnie.

Buvat zamierzał rzeczywiście zdobyć się na krok ostateczny: postanowił mianowicie pójść do arcybiskupa Dubois, opowiedzieć mu wszystko i prosić go, by zamiast wypłacenia zaległych poborów, zamiast awansu w bibliotece wyświadczył mu jedną jedyną łaskę: ocalił d'Harmentala. Tyle przynajmniej - myślał - można zrobić dla człowieka, którego sam regent nazwał zbawcą Francji. Buvat nie wątpił tedy, że wróci wkrótce z dobrą nowiną, która uzdrowi Batyldę.

Wobec tego powlókł się na górę do siebie, by uporządkować ubranie, które nosiło wyraźnie ślady wczorajszych perypetii i nocnych przeżyć kopisty; Buvat zresztą nie chciał

stawić się zbyt wcześnie u pierwszego ministra, żeby mu nie sprawić kłopotu. Ukończył toaletę jeszcze przed dziesiątą, wszedł zatem na chwilę do pokoju Batyldy. Nic się tu od wczoraj nie zmieniło; Buvat siadł na krześle, gdzie ona zwykle siadywała, dotykał przedmiotów, chętnie przez nią dotykanych, ucałował krucyfiks, który całowała co wieczór; rzekłbyś: kochanek odwiedzający miejsce opuszczone przez kochankę.

Dziesiąta wydzwoniła na zegarze; od wielu dni Buvat o tej właśnie porze udawał się do Palais-Royal. Nadzieja, że zostanie przyjęty jak zwykle, zastąpiła obawę, iż wygonią go jak intruza. Sięgnął tedy po laskę i kapelusz, wstąpił do pani Denis, aby zapytać o stan zdrowia Batyldy. Nie przestawała ona wzywać Raula i doktor puszczał jej krew po raz trzeci. Buvat westchnął głęboko, wznosił swoje wylupiające oczy ku niebu, jakby chciał wziąć niebiosa na świadka, że uczyni wszystko, co będzie mógł, aby ulżyć cierpieniom swojej wychowanki - i ruszył w kierunku Palais-Royal.

Wybrał zły moment: Dubois, który od pięciu czy sześciu dni stale był na nogach, cierpiał okrutnie z powodu choroby, co miała go pozbawić życia w parę miesięcy później. Ponadto humor nie dopisywał mu z tej racji, że tylko d'Harmental został pochwycony; wydawał właśnie rozkazy Leblancowi i d'Argensonowi, żeby poszukiwania prowadzono z większą energią, kiedy pojawił się kamerdyner i zaanonsował szacownego kopistę, tak jak to czynił w minione poranki.

- A któż to taki ów pan Buvat? - zapytał Dubois.

- To ja, Ekscelencjo - powiedział kopista wciskając odważnie swoją dobroduszną twarz między pokojowca a framugę drzwi i pochylił się przed pierwszszym ministrem.

- Kim pan jesteś? - spytał Dubois, jakby go nigdy przedtem nie widział.

- Jak to, Ekscelencja mnie nie poznaje? - spytał zdumiony Buvat. - Przyszedłem powinszować panu wykrycia spisku.

- Mam już po uszy tych komplementów; dziękuję za pańskie, panie Buvat - rzekł oschle Dubois.

- Ale przyszedłem też prosić pana o laskę.

- O laskę? A to z jakiego tytułu?

- Przecież Jego Ekscelencja przyobiecał mi nagrodę. Czy Ekscelencja już o tym nie

pamięta?

- Nagrodę! Tobie, wstrętne ładaco?!

- Jak to! Czyżby Ekscelencja wcale sobie nie przypominał - ciągnął Buvat coraz bardziej przerażony - że sam mi mówił, iż posiadam fortunę w swoich rękach?

- A dzisiaj - odparł Dubois - masz swoje życie w nogach. I jeśli zaraz stąd nie zwiejesz...

- Ależ Ekscelencjo...

- Ach, mędrkujesz na dodatek, łajdaku! - wykrzyknął Dubois kładąc jedną rękę na oparciu fotela, a drugą wyciągając po pastorał. - Czekaj, czekaj, zaraz zobaczysz...

Buvat zobaczył już aż nazbyt wiele: na widok groźnego gestu pierwszego ministra pojął, co się dalej może dziać, obrócił się na pięcie i uciekł. Ale w biegu zdążył jeszcze usłyszeć, jak Dubois klnąc straszliwie rozkazuje pokojowcowi zatłuc go na śmierć kijami, gdyby pojawił się jeszcze kiedykolwiek w Palais-Royal.

Buvat pojął, że od tej strony nie ma się już czego spodziewać i że będzie musiał nie tylko zrezygnować z uratowania d'Harmentala, ale i z wypłaty zaległych poborów, które, jak mniemał, trzymał już w garści; ten tok rozmyślań przywiódł go w sposób całkiem naturalny do zastanowienia się nad tym, że od tygodnia nie był w bibliotece. Ponieważ znajdował się właśnie w tej dzielnicy, postanowił zajrzeć do biura choćby po to, żeby przeprosić konserwatora i podać mu przyczyny swojej nieobecności; czekał tu jednak na Buvata zawód, bardziej od innych bolesny: otwarłszy drzwi pracowni zobaczył, że w jego fotelu siedzi kolega, który ubiegał się zawsze o to miejsce.

Od piętnastu lat Buvat nie spóźnił się do pracy ani o sekundę, konserwator uznał go tedy za zmarłego i zastąpił innym kopistą. Buvat stracił posadę w bibliotece, albowiem ocalił Francję.

Zbyt wiele zebrało się na raz okropnych zdarzeń: Buvat wrócił do domu, prawie tak ciężko chory jak Batyllda.

XXI. Bonifacy

Tymczasem, jak już powiedzieliśmy, Dubois starał się przyspieszyć proces d'Harmentala w nadziei, że zeznania kawalera dadzą mu do ręki broń przeciw tym, których chciał osiągnąć; ale d'Harmental zaprzeczał wszystkiemu, co dotyczyło innych. Natomiast o swoich osobistych sprawach mówił otwarcie, utrzymując, że zamiar porwania regenta był spowodowany osobistą zemstą, zemstą podsycaną przez poczucie krzywdy, jakiej doznał, gdy pozbawiono go regimentu. O ludziach, którzy mu towarzyszyli i udzielali pomocy, mówił, że to jacyś nie znani mu bliżej nicponie, podający się za solników, nieświadomi nawet tego, kogo eskortują. Nie brzmiało to zbyt przekonująco; ale nie uzyskano podczas przesłuchań nic prócz takich właśnie odpowiedzi. Ku rozczarowaniu pierwszego ministra rezultat przesłuchań był następujący: prawdziwi winowajcy uchodzili jego zemście osłaniani przez upartego kawalera, który ponadto oświadczył, że może dwukrotnie zetknął się z księstwem du Maine, lecz żadne z nich nie powierzyło mu nigdy misji politycznej.

Aresztowano kolejno Lavalą, Pompadourą i Valefą i zawieziono ich do Bastylji, ale oni, wiedząc, że mogą liczyć na d'Harmentala - a sytuacja, w jakiej się znajdowali, była z góry przewidziana - wyparli się wszystkiego stanowczo, wyznając jedynie, iż utrzymywali stosunki z diukiem i diuszesa du Maine, lecz owe stosunki ograniczały się z ich strony do pełnej szacunku przyjaźni. D'Harmentala, owszem, znali jako człowieka honoru, który mógł się istotnie uskarżać na to, iż spotkała go wielka niesprawiedliwość - i to wszystko. Konfrontowano ich kolejno z kawalerem, ale konfrontacje miały tylko ten skutek, że umacniały oskarżonych w ich linii obrony, każdy bowiem dowiadywał się, iż jego towarzysze skrupulatnie przestrzegają wspólnie obranej taktyki.

Dubois był wściekły; posiadał niesłychaną ilość dowodów na okoliczność zwołania stanów generalnych, ale sprawa ta została rozstrzygnięta przez Parlament, który potępił listy Filipa V i obniżył rangę obu bastardów, pozbawiając ich części przywilejów; wszyscy uważali, że są oni dostatecznie ukarani i że nie można po raz drugi występować przeciw nim w tej samej kwestii. Dubois łudził się, że zeznania d'Harmentala pozwolą mu uwikłać diuka du Maine i jego małżonkę w nowy proces, znacznie poważniejszy, szło bowiem o zamach, jeśli

nie na życie, to przynajmniej na wolność regenta, ale upór kawalera pogrzebał jego nadzieje. Wściekłość pierwszego ministra zwróciła się zatem przeciw d'Harmentalowi i, jak wiemy, wydał Leblancowi i d'Argensonowi rozkaz, aby prowadzono z największą gorliwością dochodzenie przeciw niemu, rozkaz, który dwaj prawnicy wykonywali ze zwykłą sobie sumiennością.

Tymczasem wciąż pogarszał się stan Batyldy, co sprawiło, że dziewczyna znalazła się o włos od śmierci; w końcu jednak młodość i siły pokonały zło. Po szaleństwie majaczeń nastąpiło głębokie przygnębienie, właściwie całkowita niemoc: rzekłbyś, iż gorączka jedynie trzymała chorą przy życiu, a ustępując pozbawiła ją wszystkich soków żywotnych.

Każdy dzień wszakże przynosił lekką poprawę, widoczną jednak dla oczu zacnych ludzi, którzy otaczali tę biedaczkę. Z wolna zaczęła ona poznawać obecnych, wyciągała do nich ręce, wreszcie zaczęła mówić. Ale ku zdziwieniu rodziny Denisów ani razu nie wymieniła imienia Raula; było to dla wszystkich wielką ulgą, nie mieli bowiem, jeśli idzie o kawalera, nic innego do przekazania Batyldzie, tylko same smutne wiadomości, woleli zatem, by ich nie rozpytywała; wszyscy zresztą, zwłaszcza doktor, sądzili, że całkiem zapomniała o tragicznych wydarzeniach lub miesza rzeczywistość z majakami gorączki.

A jednak całe otoczenie, nawet lekarz, było w błędzie. Bo oto, co nastąpiło.

Pewnego ranka, kiedy zdawało się, że Batylda śpi i zostawiono ją na chwilę samą, Bonifacy, który, mimo obojętności swojej sąsiadki, nadal żywił dla niej wielki sentyment, uchylił drzwi, jak to robił codziennie, by dowiedzieć się o stan chorej. Posłyszawszy warczenie Mirzy, Batylda odwróciła się i spostrzegłszy Bonifacego pomyślała od razu, że niechybnie dowie się od niego o tym, o co by daremnie wypytywała innych - czyli o tym, co się dzieje z d'Harmentalem. Przytrzymując więc Mirzę, wyciągnęła drugą, białą i wychudłą rękę do Bonifacego. Młodzieniec z odrobiną wahania ujął tę rękę w swoje wielkie czerwone łapska i kiwając głową patrzył na dziewczę w milczeniu.

- O tak, panno Batyldo - rzekł w końcu. - Tak, miała pani rację. Jest pani szlachetnie urodzoną panienką, a ja gruboskórnym chłopakiem. Przeznaczony jest dla pani jakiś piękny pan, mnie nie mogłaś pokochać.

- Przynajmniej nie tak, jak pan to rozumiesz - odparła Batylda - ale mogę pana kochać

inaczej.

- Naprawdę? Panno Batyldo, naprawdę? A więc kochaj mnie, pani, jak chcesz, byleś mnie bodaj trochę kochała.

- Mogę kochać pana jak brata.

- Jak brata! Będziesz pani kochała biedaka Bonifacego jak brata! I będę mógł kochać panią jak siostrę; będę mógł czasem ująć pani rękę tak, jak teraz, będę mógł ucałować cię, pani, jak całuję Melię lub Nais. Och, mów, pani, panno Batyldo, co mam zrobić, aby na to zasłużyć.

- Mój przyjacielu... - zaczęła Batylda.

- Nazwała mnie swoim przyjacielem - powiedział Bonifacy - jej przyjacielem, mnie, który mówiłem o niej tyle wstrętnych rzeczy. Nie nazywaj mnie, panno Batyldo, przyjacielem, nie jestem tego godzien. Czy wiesz, co mówiłem? Mówiłem, że żyje pani ze staruchem! Ale sam w to nie wierzyłem, panno Batyldo, słowo daję; to przez złość, nawet przez wściekłość. Panno Batyldo, nazywaj mnie łajdakiem, nędznikiem. Proszę o to, mniejszą sprawi mi to przykrość aniżeli to, że nazywasz mnie swoim przyjacielem. Ach, ten łajdak Bonifacy! Ach, ten nędznik Bonifacy!

- Przyjacielu - rzekła Batylda - jeśli rzeczywiście mówiłeś to wszystko, przebaczam ci, bo dziś nie tylko możesz naprawić zło, lecz możesz również zdobyć moją dozgonną wdzięczność.

- A co trzeba zrobić w tym celu? No, proszę, niech pani powie. Skoczyć w ogień? Rzucić się z drugiego piętra przez okno? Uczynię wszystko, proszę tylko powiedzieć. Nic innego mnie nie obchodzi. Mów, panienko, błagam...

- Nie, mój przyjacielu - odparła Batylda. - To, o co chcę cię prosić, jest o wiele łatwiejsze...

- Panno Batyldo, proszę więc powiedzieć.

- A jednak musisz mi pan najpierw przysiąc, że to uczynisz.

- Klnę się Bogiem, panno Batyldo.

- Choćby ci mówiono, abys pan tego nie czynił?

- Czy ktoś mógłby mi w tym przeszkodzić, sprawić, abym nie spełnił pani prośby?

Nigdy! Przenigdy!

- Choćby mi to sprawiło ból?

- A, to już co innego, panno Batyldo. Nie: gdyby pani miała z tej racji cierpieć, wolałbym zostać poćwiartowany!

- Ale ja cię tak gorąco proszę, mój przyjacielu, mój bracie - mówiła Batylda tonem najbardziej przekonującym.

- Skoro pani tak do mnie mówi, och, zacznę chyba płakać jak fontanna na cmentarzu des Innocents. O, proszę, już płaczę.

I Bonifacy zaczął łkać.

- Powiesz mi więc wszystko, mój drogi panie Bonifacy?

- O tak. Wszystko, wszystko.

- A więc powiedz mi najpierw...

Batylda umilkła.

- Co?

- Nie domyśla się pan?

- Ależ tak. Domyślam się, oczywiście! Chce pani wiedzieć, co się stało z panem Raulem, nieprawdaż?

- Tak, tak! - wykrzyknęła Batylda - tak, na zmiłowanie Boże! Co się z nim stało?

- Biedny człowiek!

- Mój Boże, a więc nie żyje? - spytała Batylda unosząc się na łożku.

- Na szczęście żyje, ale jest uwięziony.

- Gdzie?

- W Bastylii.

- Domyślałam się tego - rzekła Batylda osuwając się na poduszkę. - W Bastylii! Mój Boże, mój Boże!

- No, proszę, a teraz pani płacze, panno Batyldo!

- A ja jestem tutaj przykuta do łożka, umierająca!

- Niech pani tak nie płacze, panno Batyldo. Nieszczęsny Bonifacy błaga panią o to.

- Nie, nie. Będę silna, będę odważna. Popatrz, Bonifacy, już nie płaczę.

- Zwróciła się do mnie po imieniu! - wykrzyknął Bonifacy.

- Musisz zrozumieć - mówiła dalej Batylda ze wzrastającą egzaltacją, gdyż gorączka zaczynała ją znów atakować - zrozum, drogi przyjacielu, muszę wiedzieć wszystko, godzina po godzinie, abym mogła umrzeć tego samego dnia, kiedy on umrze.

- Miałaby pani umrzeć! O, panno Batyldo, nigdy, przenigdy!

- Obiecałam mu to - powiedziała Batylda - nawet przysięgam. Bonifacy, będziesz mnie o wszystkim powiadamiał, dobrze?

- Chryste Panie! Chryste Panie! Jakież jestem nieszczęśliwy, że przyrzekłem to pani!

- A ponadto, jeśli będzie trzeba, w momencie... w tym strasznym momencie... pomożesz mi... zaprowadzisz, prawda, Bonifacy?... Muszę go jeszcze zobaczyć... raz jeden... jeszcze jeden raz... choćby na szafocie.

- Wszystko, czego pani zechce, wszystko, wszystko! - zawołał Bonifacy padając na kolana i daremnie starając się powstrzymać łkanie.

- Przyrzekasz mi to?

- Przysięgam.

- A teraz cicho, ktoś idzie. Ani słowa! To nasza wspólna tajemnica. No, teraz wstań, otrzyj oczy i rób tak, jak ja: uśmiechaj się.

I Batylda zaczęła się śmiać w gorączkowym podnieceniu, tak przejmująco, że trudno było tego słuchać. Na szczęście wszedł Buvat i Bonifacy skorzystał z tego, żeby się ulotnić.

- Jakże się czujesz, moje dziecko? - spytał pocziwiec.

- Lepiej, drogi ojcze, o wiele lepiej - odparła. - Czuję, że siły mi wracają i że za parę dni będę mogła wstać. Ale dlaczego nie idziesz do biura? - Buvat jęknął tylko. - To było słuszne, że mnie nie opuszczałeś, kiedy chorowałam... Ale teraz, kiedy lepiej się czuję, powinienes chodź do biblioteki; słyszysz, mój ojcze?

- Tak, drogie dziecko, tak, tak - rzekł Buvat polykając łzy. - Już idę...

- Nie uściskasz mnie nawet?

- Oczywiście, tak, a jakże...

- Ależ ty płaczesz... Przecież widzisz, że czuję się lepiej. Chcesz, żebym umarła ze zgryzoty?

- Ja płaczę? - powiedział Buvat zakrywając oczy chusteczką. - Ja płaczę? No, jeśli płaczę, to z radości. Już idę do biura, moje dziecko, już idę.

Uściskawszy Batyldę wrócił do swojego mieszkania, gdyż nie chciał mówić chorej, że stracił posadę.

Dziewczyna została sama. Wówczas odetchnęła swobodnie. Teraz już była spokojna: Bonifacy, pracujący u prokurenta w Chatelet, będzie mógł dowiedzieć się o losie d'Harmentala, a Batylda była pewna, że wszystko jej powtórzy. Rzeczywiście już nazajutrz powiedział jej, że Raul był przesłuchiwany i całą winę wziął na siebie; następnego dnia dowiedziała się o konfrontacji, w której brali udział: Raul, Valef, Laval i Pompadour, i o wynikach tejże konfrontacji. Bonifacy, dotrzymując obietnicy, codziennie przynosił jej bieżące wiadomości i co wieczór, słuchając tych relacji, Batylda nabierała nowych sił, choć wieści były niekiedy bardzo przygnębiające. W ten sposób minęły dwa tygodnie. Pod koniec tego okresu Batylda zaczęła wstawać i przechadzać się po pokoju ku wielkiej ucieście Buvata, Nanette i całej rodziny Denisów.

Pewnego dnia Bonifacy wbrew swoim zwyczajom wrócił już o trzeciej od pana Joullu i wszedł do pokoju chorej: był tak blady i zmieniony na twarzy, iż Batylda zorientowała się od razu, że przyniósł jakąś straszliwą wiadomość; krzyknęła tedy przeraźliwie i zerwała się z miejsca, wlepiając oczy w Bonifacego. - Wszystko zatem skończone? - zapytała.

- Niestety! Ale to trochę z winy tego uparciucha. Proponowano mu ułaskawienie, rozumie pani, panno Batyldo, ułaskawienie. Nie chciał jednak nic zeznać.

- A więc nie ma już żadnej nadziei! - wykrzyknęła. - Skazano go?

- Dziś rano, panno Batyldo, dziś rano.

- Na śmierć?

Bonifacy skinął głową.

- Kiedy egzekucja?

- Jutro o ósmej rano.

- Dobrze - powiedziała Batylda.

- Jest jednak jeszcze pewna nadzieja - rzekł Bonifacy.

- To znaczy?

- Jeśli do jutra zdecyduje się wydać swoich współników...

Batylda zaczęła się śmiać, ale śmiechem tak dziwnym, że Bonifacy zdrzął od stóp do głów.

- No, cóż, kto wie? Ja w jego sytuacji nie omieszkałbym tego zrobić. Oświadczyłbym: "To nie ja, słowo daję, to nie ja; to ten, ten i jeszcze ten".

- Bonifacy - rzekła Batylda - muszę wyjść.

- Panno Batyldo, pani chce wyjść?! - zawołał przerażony Bonifacy. - Toż to panią zabije!

- Muszę wyjść, powtarzam ci.

- Ale przecież pani nie może utrzymać się na nogach!

- Mylisz się, Bonifacy. Jestem silna, popatrz. - I zaczęła chodzić po pokoju krokiem pewnym i równym. - A zresztą wynajmiesz dla mnie karetę.

- Ależ, pannno Batyldo!

- Bonifacy, przyrzekłeś, że będziesz mnie słuchał - powiedziała. - Do tej pory dotrzymywałeś słowa, czyżbyś już miał dosyć poświęcania się dla mnie?

- Panno Batyldo, jakże mogłoby mi się sprzykrzyć cokolwiek, co ma związek z panią! Niech Bóg mnie skarże, jeśli jest choć źdźbło prawdy w tym, co pani mówi. Prosi pani o karetę, sprowadzę dwie.

- Idź, przyjacielu - rzekła Batylda. - Idź już, mój bracie.

- O, pannno Batyldo, kiedy się pani tak do mnie zwraca, to może pani zrobić ze mną, co tylko zechce. Za pięć minut będzie karetą.

I Bonifacy wybiegł z pokoju.

Batylda miała na sobie szeroką, białą, powiewną suknię; przewiązała ją szarfą, narzuciła na ramiona pelerynkę i przygotowała się do wyjścia. Kiedy już była przy drzwiach, weszła pani Denis.

- Wielkie nieba! A cóż takiego chcesz zrobić, moje kochane dziecko?! - zakrzyknęła zacna kobieta.

- Muszę wyjść, droga pani - odparła Batylda.

- Wyjść!... Chyba oszalałaś, moja pannno!

- Pani się myli, jestem najzupełniej przytomna - rzekła Batylda uśmiechając się smutno.
- Ale kto wie, czy nie stracę rozumu, jeśli pani zechce mnie zatrzymać.
- Ale dokąd pani idzie, drogie dziecko?
- Czy pani nie wie, że on jest skazany?
- Któż to się wygadał, na Boga?! Tak wszystkich prosiłam, żeby ukrywali przed panią tę potworną wieść!

- A jutro powiedziałyby mi pani, że on nie żyje, prawda? A ja bym odpowiedziała, że to pani go zabiła, bo mam, być może, sposób, żeby go ocalić.

- Ty, kochaniatko, masz na to sposób?
- Powiedziałam, że być może mam. Proszę pozwolić mi wykorzystać ten sposób, bo to dla niego ostatnia szansa ratunku.

- Idź, moja kochana - rzekła pani Denis pod wpływem tonu, jaki zadźwięczał w głosie Batyldy. - Idź i niech cię sam Bóg prowadzi.

Dziewczyna wyszła. Schodziła ze schodów krokiem wolnym, ale równym, przecięła ulicę, weszła na czwarte piętro nie odpoczywając, otworzyła drzwi swojego pokoju, gdzie nie była od dnia katastrofy. Na odgłos jej kroków Nanette wyszła z gotowalni i krzyknęła: wydało jej się, że widzi ducha swojej młodej pani.

- No i cóż to, Nanette? - spytała z powagą Batylda. - Co się z tobą dzieje, miła Nanette?

- Matko święta! - zawołała całkiem roztrzęsiona Nanette. - Czy to pani, nasza panienska, czy to tylko pani cień?

- To ja, droga Nanette; dotknij mnie tylko i pocałuj. Żyję jeszcze, Bogu dzięki.
- Dlaczego opuściła pani dom Denisów? Czy powiedzieli coś, czego nie należało mówić?

- Nie, nie, moja droga, ale muszę wyjść, to jest absolutnie konieczne, nieuniknione.
- Chce pani wyjść w takim stanie! Nigdy! Nie zniesie pani tego, zabije to panią. Panie Buvat, panie Buvat, nasza panienska chce wyjść, proszę jej powiedzieć, że to wykluczone.

Batylda odwróciła się do Buvata, zamierzając użyć swojego wpływu, gdyby chciał ją zatrzymać; ujrzała jednak twarz opiekuna tak wzburzoną, że nie miała już cienia wątpliwości,

iż zna on fatalną nowinę. Buvat rozplakał się na jej widok.

- Ojczy - ozwała się Batylda - to, co się działo do dzisiaj, jest dziełem ludzi, ale dzieło ludzi jest już dokonane i to, czego trzeba teraz dokonać, zależy od Boga. Ojczy, Bóg będzie miał litość nad nami.

- Och! - zakrzyknął Buvat padając na fotel. - To ja go zabiłem, to ja go zabiłem, to ja go zabiłem!

Batylda podeszła do niego i łagodnie pocałowała go w czoło.

- Ale co ty zamierzasz teraz, dziecinko? - spytał Buvat.

- Spełnię mój obowiązek - odparła Batylda.

Otworzyła małą szufladę klęcznika, wzięła z niej czarny portfel, a z portfela wyjęła jakieś pismo.

- Ach, masz rację, masz rację, moje dziecko! - zawołał Buvat. - Zapomniałem o tym liście!

- A ja pamiętałam - rzekła Batylda i ucałowawszy list schowała go na swej piersi - bo to jedyny spadek, jaki zostawiła mi matka.

W tej chwili rozległ się turkot karety zatrzymującej się przed bramą.

- Żegnaj, ojczy, żegnaj, Nanette! - powiedziała Batylda. - Módlcie się oboje, żeby mi się powiodło.

I oddaliła się z ową uroczystą powagą, która czyniła ją w oczach patrzących osobą świętą.

Na ulicy czekał na nią Bonifacy przy karecie.

- Czy mam z panią jechać, panno Batyldo? - zapytał.

- Nie, mój przyjacielu - odparła podając mu rękę. - Dzisiejszego wieczora... nie. Kto wie, może jutro...

I wsiadła do karety.

- Gdzie mam zawieźć piękną panienkę? - spytał stangret.

- Do Arsenалу - odparła Batylda.

XXII. Trzy wizyty

Znalazłszy się w Arsenale, Batyllda poprosiła o widzenie z panną de Launay, która wysłuchawszy jej opowieści natychmiast zaprowadziła dziewczynę do pani du Maine.

- Ach, to ty, moja mała - rzekła diuszesa z roztargnieniem i niezwykle podekscytowana.

- To dobrze, gdy się pamięta o przyjaciółach znajdujących się w nieszczęściu.

- Niestety, pani - odparła Batyllda - przyszłam prosić Waszą Wysokość o rozmowę w sprawie kogoś jeszcze bardziej nieszczęśliwego. Z pewnością Wasza Wysokość utraci kilka tytułów i godności, lecz zemsta ograniczy się tylko do tego, bo nikt nie poważy się pozbawić życia lub wolności syna Ludwika XIV lub wnuczki Wielkiego Kondeusza.

- Życia nie - powiedziała diuszesa du Maine - o, nie, ale czy nikt nie pozbawi nas wolności, za to nie ręczę. Czy wiesz, że ten głupiec, ksiądz Brigaud, który w przebraniu handlarza dał się aresztować trzy dni temu w Orleanie, ujawnia wszystko, opierając się na fałszywym zeznaniu pochodzącym rzekomo ode mnie, i kompromituje nas straszliwie; dlatego nie byłabym zdziwiona, gdyby dzisiejszej nocy aresztowano i nas.

- Ten, dla którego przyszłam błagać o litość, pani - rzekła Batyllda - niczego nie wyznał i jest skazany na śmierć właśnie za to milczenie.

- Ach, moje złotko - zawołała diuszesa - mówisz pewnie o biednym d'Harmentalalu! Tak, zgadza się, to prawdziwy szlachcic. A więc go znasz?

- Niestety! - ozwała się panna de Launay. - Batyllda nie tylko go zna, ale i kocha.

- Biedactwo! Mój Boże, co robić? Ja, pani rozumie, nic nie zdziałam, nie mam na wyrok żadnego wpływu. Gdybym spróbowała wstawić się za nim, odebrałabym mu ostatnią szansę, jeśli jeszcze ją ma.

- Wiem o tym dobrze, pani, toteż nie proszę Waszą Wysokość o nic innego, tylko o to, aby przez swoich przyjaciół, przez kogoś znajomego, przez jakąś dawną przyjaźń spróbowała wprowadzić mnie do Jego Wysokości regenta. Reszta - to moja sprawa.

- Ale czy uświadamiasz sobie, moje złotko, o co mnie prosisz? - zachnęła się diuszesa.

- Czy wiesz, że regent niczego nie uszanuje? Czy wiesz, że jesteś piękna jak anioł i nawet z tą bladością jest ci do twarzy? Czy wiesz...

- Pani - ozwała się Batylda z największą godnością - wiem, że mój ojciec ocalił mu życie i zginął w służbie u niego.

- A, to zupełnie inna sprawa - odparła diuszesa. - Poczekaj, co możemy zrobić? Spróbujemy w ten sposób: de Launay, poproś pana Malezieux.

Panna de Launay spełniła polecenie i w chwilę potem wszedł kanclerz.

- Malezieux, oto panienska, którą zaprowadzisz pan do diuszesy de Berry i którą jej względem polecisz w moim imieniu. Musi ona zostać natychmiast przyjęta przez regenta, słyszysz? Chodzi o życie pewnego człowieka. Po prostu o życie naszego drogiego d'Harmentala. Ja sama dałabym bardzo wiele, żeby go ocalić.

- Już idę, łaskawa pani - rzekł Malezieux.

- Jak widzisz, moje złotko - powiedziała diuszesa - robię, co tylko mogę. Jeśli mogłabym być ci jeszcze w czymś pomocna, służę. Może trzeba będzie przekupić strażnika, przygotować ucieczkę d'Harmentala. Będziesz potrzebowała pieniędzy. Nie mam ich wiele, ale mam kilka diamentów, które nie mogłyby zostać lepiej użyte niżli dla ocalenia życia tego dzielnego szlachcica. No, nie traćmy już czasu, uściskaj mnie i jedź do mojej bratanicy. Wiesz, że jest ona ulubienicą swojego ojca.

- Ach, pani - powiedziała Batylda - jesteś aniołem i jeśli mi się powiesz, będę ci zawdzięczała więcej niż życie.

- Biedna mała! - rzekła diuszesa spoglądając za odchodzącą Batyldą, a kiedy dziewczyna zniknęła, dodała: - Chodź, de Launay, wróćmy do pakowania naszych kufrów. - Pani du Maine rzeczywiście lada moment spodziewała się aresztowania.

Tymczasem Batylda wraz z towarzyszącym jej panem Malezieux wsiadła do karety i odjechała w kierunku Pałacu Luksemburskiego, gdzie dotarła po dwudziestu minutach.

Dzięki panu Malezieux weszła tam bez trudności. Wprowadzono ją do małego buduaru i poproszono, aby zaczekała; kanclerz miał tymczasem powiadomić jej dostojność, że jest proszona o wyświadczenie pewnej łaski. Malezieux wywiązywał się z tego posłannictwa z zapalem, z jakim spełniał zawsze polecenia pani du Maine, i w dziesięć minut później Batylda zobaczyła, jak wchodzi do buduaru z diuszesa de Berry.

Diuszesa znana była z dobroci serca, toteż opowieść pana Malezieux poruszyła ją tak

bardzo, że kiedy się pojawiła, nie sposób było się pomylić w ocenie jej emocji. Młoda panna zabiegająca o jej łaskę budziła w pani de Berry żywe zainteresowanie. Batylde wyczuwając jej przychylność, podeszła bliżej ze złożonymi rękami. Diuszesa pochwyciła dłonie dziewczyny, a gdy ta chciała paść jej do stóp, powstrzymała ją i ucałowała w czoło.

- O, moje biedne stworzenie - rzekła - czemuś nie przyszła o tydzień wcześniej?

- Dlaczego... tydzień wcześniej... a nie dziś? - zatrwożyła się Batylde.

- Dlatego, że tydzień temu nikomu bym nie odstąpiła przyjemności wprowadzenia pani do mojego ojca, dziś jednak jest to niemożliwe.

- Niemożliwe! Boże święty! Ale dlaczego? - zawołała Batylde.

- Nie wiesz zatem, że przedwczoraj popadłam w całkowitą niełaskę? Niestety, choć jestem księżniczką, jestem również kobietą tak jak ty i miałam nieszczęście pokochać. Owóż my, córki książąt krwi, nie rządzymy, jak wiesz, naszymi sercami; to rodzaj drogiego kamienia będącego częścią skarbcza królestwa, zbrodnią jest rozporządzać nim bez przyzwolenia monarchy bądź pierwszego ministra. Rozporządziłam moim sercem, ale w tym przypadku nie mogę się skarżyć, bo mi to wybaczone; rozporządziłam moją ręką i za to już mnie ukarano. Od trzech dni mój kochanek jest moim mężem. Pomyśl, jaka to dziwna rzecz: oskarża się mnie o zbrodnię, gdyż popełniłam czyn, za który w każdych innych okolicznościach chwalono by mnie raczej. Nawet mój ojciec zaraził się tym powszechnym gniewem i od trzech dni, to znaczy od chwili, kiedy mogłabym stanąć przed nim bez rumieńca wstydu, wzbroniono mi do niego dostępu. Wczoraj odebrano mi straż przyboczną. Dziś rano, kiedy pojawiłam się w Palais-Royal, zamknięto przede mną drzwi.

- To straszne, straszne! - rzekła Batylde. - Jestem bardzo nieszczęśliwa, bo tylko w pani pokładałam nadzieję; nie znam nikogo, kto mógłby mnie wprowadzić do Jego Wysokości pana regenta! A jutro, pani, jutro o ósmej rano ma zostać stracony ten, którego kocham tak, jak pani kocha pana de Riom! O, mój Boże! Mój Boże! Błagam panią o litość, bo jeśli pani nie okaże mi litości, to będę zgubiona, po prostu skazana!

- O nieba! Riom, bądź tak dobry i pomóż nam! - zawołała diuszesa z wyciągniętą ręką zwracając się do małżonka, który właśnie wszedł. - To biedne stworzenie musi zobaczyć się z moim ojcem natychmiast, niezwłocznie. Jej życie zależy od tego spotkania... co ja mówię,

więcej niż jej życie, bo i życie człowieka, którego ona kocha. Co możemy zrobić? Pomyśl. Wydaje mi się, że potomek sławnego Lauzuna potrafi wyjść cało z każdej opresji. Riom, znajdź jakiś sposób, o ile to tylko możliwe, a ja będę cię kochała jeszcze bardziej!

- Chyba znam taki sposób... - rzekł z uśmiechem Riom.

- O, niechże pan go wyjawi! - wykrzyknęła Batylida. - Proszę mi powiedzieć jaki, a będę panu wdzięczna aż do śmierci.

- No, proszę, powiedz nam - dodała diuszesa de Berry głosem niemal tak błagalnym, jak głos Batylidy.

- Tylko że on w pewnej mierze skompromituje twoją siostrę.

- Którą?

- Pannę de Valois.

- Aglae? Jakże to?

- Tak. Czyżbyś nie wiedziała, że istnieje czarnoksiężnik, mający przywilej odwiedzania jej zarówno we dnie, jak i w nocy, choć nikt nie wie, którędy wchodzi i którędy wychodzi?

- Richelieu! To prawda! - zawołała diuszesa de Berry. - Richelieu może nas dobyć z kłopotu. Tylko...

- Niechże pani dokończy... błagam! A może on nie zechce?

- Właśnie tego się obawiam.

- Będę go tak usilnie prosić, że zlituje się nade mną! - zawołała Batylida. - A zresztą da mi pani słówko do niego od siebie, dobrze? Wasza Wysokość okaże się tak wspaniałomyślna, a pan de Richelieu nie ośmieli się odmówić prośbie Waszej Wysokości.

- Zrobimy coś lepszego - rzekła diuszesa. - Riom, każ poprosić panią de Mouchy; niechaj sama zaprowadzi tę panienkę do księcia. Pani de Mouchy to moja pierwsza dama dworu - wyjaśniła diuszesa, podczas gdy Riom oddalił się, by spełnić polecenie - i podobno pan de Richelieu winien jej jest coś w rodzaju wdzięczności. Jak widzisz, nie mogłam ci wybrać lepszej przewodniczki.

- Jakże ja jestem pani wdzięczna! - wykrzyknęła Batylida całując ręce diuszesy. - Tak, pani ma rację, jeszcze nie cała nadzieja utracona. I mówisz, pani, że pan de Richelieu zna jakieś sposoby wchodzenia do Palais-Royal?

- Chwileczkę, muszę tu coś sprostować: ja tego nie powiedziałam, ale tak mówią.

- Och, bylebyśmy go zastały w domu - rzekła Batylida.

- I to już byłoby wyjątkowym szczęściem. No tak. Która godzina? Dopiero ósma?

Wieczerał zapewne gdzieś w mieście i wróci do siebie, żeby się przebrać. Poproszę panią de Mouchy, żeby zaczekała wraz z tobą na jego powrót. Nieprawdaż, Urocza Istoto? - dorzuciła spostrzegłszy swoją damę dworu i pozdrawiając ją tym miłym przezwiskiem, które jej sama nadała. - Prawda, że zaczekasz na powrót diuka?

- Zrobię wszystko, co rozkaże Wasza Wysokość - przyrzekła pani de Mouchy.

- A zatem rozkazuję ci, słyszysz? Rozkazuję ci, byś uzyskała od diuka de Richelieu zgodę na wprowadzenie tej panienki do regenta, i upoważniam cię do użycia w tym celu całego wpływu, jaki wywierasz na jego umysł.

- Wasza Wysokość raczy przesadzać - uśmiechnęła się pani de Mouchy.

- Dobrze, dobrze - skwitowała te słowa diuszesa - idź i zrób, co ci mówię, biore wszystko na siebie. Ty zaś, moja panno, bądź odważna! Idź z panią, a jeśli po drodze usłyszysz zbyt wiele złego o biednej diuszecie de Berry, do której wszyscy mają tyle pretensji, bo pewnego dnia przyjęła ambasadorów na tronie ustawionym na trzech stopniach i przejechała kiedyś przez cały Paryż eskortowana przez czterech trębaczy, powiedz tym, co będą na mnie rzucali anatemy, że w gruncie rzeczy jestem porządną niewiastą. Sądzę, iż mimo ekskomuniki wiele zostanie mi odpuszczone, albowiem wiele kochałam, prawda, Riom?

- Och, pani! - zakrzyknęła Batylida. - Nie wiem, czy o pani mówią źle, czy dobrze, wiem natomiast, że pragnęłabym całować ślady pani stóp, taka wydajesz mi się dobra i szlachetna!

- Idź już, moja panno, idź! Jeśli nie dopadniesz teraz pana de Richelieu, nie dowiesz się później, gdzie go szukać i daremnie będziesz czekała na jego powrót.

- Spieszmy się zatem, skoro Wasza Wysokość na to przyzwala - rzekła Batylida pociągając za sobą panią de Mouchy. - Każda minuta obecnie jest dla mnie długa jak rok.

Po kwadransie Batylida i pani de Mouchy znalazły się w pałacu pana de Richelieu. Wbrew przewidywaniom był on w domu. Pani de Mouchy kazała się zaanonsować. Została natychmiast wprowadzona, weszła, a za nią Batylida. Zastały pana de Richelieu z jego sekretarzem, panem Raffe. Segregowali listy: niepotrzebne palili, inne odkładali na bok.

- Wielki Boże! To pani! - powiedział diuk spostrzegłszy panią de Mouchy i podszedł do niej z uśmiechem. - Co za pomyślne wiatry przywiały panią tutaj i czemu zawdzięczam szczęście, że odwiedza mnie pani o wpół do dziewiątej wieczór?

- Pragnę, abyś pan spełnił dobry uczynek.

- Och, doprawdy? Niechże się więc pani spieszy.

- Czy opuszcza pan Paryż dzisiejszego wieczoru?

- Nie, ale jutro rano wybieram się do Bastylii.

- Cóż to znowu za dowcip?

- Niechaj mi pani wierzy, ja nigdy nie żartuję, gdy chodzi o zamianę mojego pałacu, gdzie czuję się bardzo dobrze, na pałac królewski, gdzie czuję się wyjątkowo źle. Znam go, bo wracam tam już po raz trzeci.

- Ale skąd pan wie, że będziesz jutro aresztowany?

- Uprzedzono mnie o tym.

- Przez osobę godną zaufania?

- Niech pani sama osądzi.

Diuk podał pani Mouchy jakiś bilecik: wzięła go i zaczęła czytać:

“Niewinny lub winny, masz Pan zaledwie tyle czasu, by uciec. Jutro będziesz aresztowany. Regent powiedział głośno w mojej obecności, że ma nareszcie w ręku diuka de Richelieu.”

- Czy sądzi pani, że ta osoba jest istotnie dobrze poinformowana?

- Tak, gdyż wydaje mi się, że poznaję to pismo.

- A więc, jak sama pani widzi, miałem rację prosząc panią o pośpiech. Jeśli tę sprawę można załatwić w ciągu nocy, proszę mówić. Jestem do pani dyspozycji.

- Wystarczy na to godzina.

- Słucham zatem. Wiesz pani, że niczego nie potrafię ci odmówić.

- A więc - podjęła pani de Mouchy - oto rzecz cała w dwóch słowach. Czy zamierza pan podziękować dziś wieczór osobie, która udzieliła panu tej rady?

- Być może - roześmiał się diuk.

- Wobec tego będzie pan musiał przedstawić jej tę panienkę.

- Panienkę? - zdumiał się diuk przypatrując się Batyldzie, która stała z tyłu, niemal w zupełnym mroku. - Kimże jest ta panienka?

- Biednym dziewczątkiem, zakochanym w kawalerze d'Harmental, a, jak pan wie, ma on być stracony jutro rano. Chce ona błagać regenta o łaskę dla niego.

- Panienka kocha d'Harmentala? - spytał diuk de Richelieu, zwracając się do Batyldy.

- Tak, książę - wyjąkała Batylda rumieniąc się mocno.

- Niech panienka się z tym nie kryje, to szlachetny młodzieniec i sam dałbym dziesięć lat mojego życia, by go ratować. A czy rozporządzasz czymś, co przychylnie usposobiłoby regenta?

- Wydaje mi się, że tak, książę.

- No, cóż, zgadzam się. Przyniesie mi to szczęście. Łaskawa pani - zwrócił się do pani de Mouchy - wróć teraz do Jej Wysokości, złóż u jej stóp wyrazy mojego najgłębszego szacunku i powiedz jej ode mnie, że panienka zobaczy się z regentem w ciągu godziny.

- Ach, książę! - zawołała Batylda.

- Doprawdy, mój drogi - powiedziała pani de Mouchy - zaczynam wierzyć, że, jak powiadają, zawarłeś pakt z diabłem, by przeciskać się przez dziurki od klucza, i jestem teraz nieco spokojniejsza, wyznaję, jeśli idzie o twój pobyt w Bastylii.

- W każdym razie - odparł diuk - wiesz pani, że miłosierdzie nakazuje odwiedzać więźniów. Jeśli przypadkiem nieszczęsny Armand pozostawił w twojej pamięci jakieś wspomnienia...

- Zamilknij, książę. Bądź dyskretny, a zobaczymy, co się da dla pana zrobić.

Tymczasem przyrzeka mi pan, że ta panienka zobaczy się z regentem?

- Niewątpliwie.

- Żegnaj zatem, książę, i niechaj Bastylia lekką ci będzie.

- Czy rzeczywiście mówisz mi pani "żegnaj"?

- Do widzenia.

- Chwała Bogu!

Ucałowawszy dłoń pani de Mouchy, diuk odprowadził gościa do drzwi. Po czym, wracając do Batyldy, rzekł:

- Tego, co mam zamiar zrobić dla pani, nie zrobiłbym dla nikogo. Sekret, który mam powierzyć twoim oczom, to reputacja i honor księżniczki krwi. Okoliczności są jednak tak poważne, że zasługują na to, by poświęcić dla nich pewne wymogi konwenansu. Przysięgnij mi tedy, że nigdy nie wyjawisz, z wyjątkiem jednej osoby, wiem bowiem, iż istnieją osoby, przed którymi nie mamy żadnych tajemnic, przysięgnij mi więc, że nie wyjawisz nikomu tego, co zobaczysz, i nikt się nie dowie, z wyjątkiem owej osoby, w jaki sposób dostałaś się do regenta.

- Och, książę, przysięgam panu na to, co mi najdroższe, na pamięć mojej matki!

- To wystarczy, panienko - powiedział diuk pociągając za sznur od dzwonka.

Wszedł pokojowiec.

- Lafosse - rzekł diuk - każ zaprząć konie do karety bez herbu.

- Jeśli książę nie chce tracić czasu, mam na dole wynajętą karecę - wtrąciła Batylda.

- Znakomicie! Jestem do pani usług.

- Czy mam Jaśnie Panu towarzyszyć? - spytał pokojowiec.

- Nie, to zbyt ciężkie, zostań z panem Raffe i pomóż mu w porządkowaniu papierów. Jest wiele takich, których Dubois nie powinien nigdy zobaczyć.

I diuk podał ramię Batyldzie, wszedł z nią na dół, pomógł jej wsiąść do karety i poleciwszy stangretowi zatrzymać się na rogu ulicy Saint-Honore i de Richelieu, siadł obok niej równie beztroski, nie podejrzewając, że los, przed którym chciał ocalić kawalera, i jemu zagrozi w dwa tygodnie później.

XXIII. Szafa na konfitury

Kareta zatrzymała się we wskazanym miejscu. Stangret otworzył drzwiczki, diuk wysiadł, pomógł też wysiąść Batyldzie, po czym wyjętym z kieszeni kluczem otworzył bramkę na końcu alejki, wiodącej do domu na rogu ulic de Richelieu i Saint-Honore - dziś opatrzonego numerem 218.

- Bardzo panienkę przepraszam, że prowadzę ją tak źle oświetlonymi schodami - rzekł podając dziewczęciu ramię - ale zależy mi ogromnie na tym, żebym nie został rozpoznany, gdyby przypadkiem ktoś mnie spotkał w tej dzielnicy. A zresztą nie musimy wspinać się wysoko: tylko na pierwsze piętro.

Rzeczywiście, po przebyciu ze dwudziestu stopni diuk zatrzymał się, wyjął następny klucz z kieszeni, otworzył drzwi wychodzące na podest, równie ostrożnie jak te od ulicy, wszedł do przedpokoju i wziąwszy lichtarz, wrócił na schody, żeby zapalić świecę od wiszącej tam latarenki.

- Jeszcze raz przepraszam - powiedział - ale tutaj mam zwyczaj obsługiwać się sam, co pani zrozumie, kiedy znajdziemy się w apartamencie, gdzie postanowiłem obywać się bez lokaja.

Dla Batyldy nie miało to znaczenia, czy diuk de Richelieu posiada służbę, czy nie, weszła tedy do przedpokoju bez słowa. Diuk zamknął za nią drzwi i przekręcił klucz dwa razy.

- A teraz proszę za mną - powiedział i ruszył przodem z płonąca świeczką, oświetlając dziewczynie drogę.

Minęli w ten sposób jadalnię i salon, w końcu weszli do sypialni i tu diuk się zatrzymał.

- Panienko, mam twoje słowo - rzekł stawiając lichtarz na kominku - że nic, co teraz zobaczysz, nigdy nie będzie wyjawione.

- Już je księciu dałam i powtarzam po raz drugi. Byłabym nazbyt niewdzięczna, gdybym słowa nie dotrzymała.

- To świetnie, niechże więc panienka będzie tą trzecią osobą wtajemniczoną: to sekret miłości i oddajemy go pod pieczę miłości.

Diuk de Richelieu wyjął wtedy ostrożnie jedną z płyt boazerii, odsłaniając otwór wybity w ścianie, przez który widać było tylne deski szafy, i zastukał w nie delikatnie trzy razy. Prawie natychmiast usłyszeli zgrzyt klucza obracającego się w zamku, światło zabłysło w szparach między deskami, po czym ktoś zapytał słodkim głosem: "Czy to pan?" Po twierdzącej odpowiedzi diuka trzy deski przesunęły się cichutko i ukazało się wygodne przejście do sąsiedniego pokoju. Diuk de Richelieu i Batyllda stanęli naprzeciw panny de Valois, która krzyknęła na widok kochanka przybywającego w towarzystwie obcej dziewczyny.

- Nie obawiaj się niczego, droga Aglae - powiedział diuk wchodząc do pokoju i chwytając dłoń panny de Valois, podczas gdy Batyllda tkwiła nieruchomo w miejscu, nie mając śmiałości zrobić ani kroku naprzód, dopóki jej obecność nie zostanie wytłumaczona. - Sama mi za chwilę podziękujesz za zdradę sekretu naszej błogosławionej szafy.

- Ależ księżę, proszę mi wreszcie wyjaśnić... - i panna de Valois przerwała w połowie zdania, patrząc z niepokojem na Batylldę.

- Już to robię, moja piękna księżniczko. Pamiętasz, że wspominałem ci czasem, pani, o kawalerze d'Harmental, prawda?

- Nawet przedwczoraj mówił mi księżę, że wystarczy, by wyrzekł jedno słowo, a ocali własne życie, zdradzając was wszystkich, ale on nie wyrzekł tego słowa.

- No, właśnie! I on tego słowa nie wyrzekł. Jest skazany na śmierć, stracą go jutro. Ta panna jest w nim zakochana, ułaskawienie zależy od regenta. Czy rozumiesz pani teraz?

- O, tak, tak - powiedziała panna de Valois.

- Proszę, niech panienka wejdzie - zwrócił się diuk do Batylldy i pociągnął ją za rękę. Potem rzekł do księżniczki: - Ona nie wiedziała, jak dotrzeć do pani ojca, moja droga Aglae; zwróciła się do mnie akurat w chwili, kiedy otrzymałem od pani list. Miałem podziękować pani za dobrą radę, a że znam twoje złote serce, pomyślałem, iż zamiast podziękowań wybierzesz ofiarowaną ci przeze mnie sposobność i ocalisz życie człowiekowi, którego milczeniu zawdzięczasz prawdopodobnie moje życie.

- I miałeś, księżę, słuszność. Witaj mi, panienko. A teraz: czego sobie życzysz? Co mogę dla ciebie zrobić?

- Chciałabym zobaczyć się z Jego Dostojnością regentem; Wasza Wysokość może

mnie do niego zaprowadzić.

- Czy księżę zaczeka na mnie? - spytała z niepokojem panna de Valois.

- Jak możesz pani wątpić!

- No, to wejdź, mój drogi księżę, do szafy na konfitury, żeby ktoś przypadkiem tutaj cię nie zobaczył. Odprowadzę tę panienkę do mojego ojca i zaraz wrócę.

- Czekam na panią, moja droga - powtórzył diuk i zgodnie z życzeniem księżniczki wszedł do szafy.

Panna de Valois zamieniła szeptem parę słów ze swym kochankiem, zamknęła szafę, włożyła klucz do kieszeni i podając rękę Batyldzie, rzekła:

- Moja miła, kobiety, które kochają, są siostrami. Armand i pani dobrze zrobiliście licząc na moją pomoc. Chodź.

Batylda ucałowała dłoń panny de Valois i pospieszyła za swą przewodniczką.

Minęły pokoje leżące naprzeciw Palais-Royal i skręciwszy w lewo weszły do apartamentów ciągnących się wzdłuż ulicy de Valois. W tej właśnie części znajdowała się sypialnia regenta.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła panna de Valois zatrzymując się przed jakimiś drzwiami i patrząc na Batyldę. Batylda usłyszawszy tę informację zachwiała się i zbladła; cała siła ducha, jaka podtrzymywała ją przez ostatnich parę godzin, omal jej nie opuściła w momencie, kiedy najbardziej była potrzebna.

- O, mój Boże! O, mój Boże! Nie ośmielę się nigdy! - wykrzyknęła nieszczęsna.

- Odwagi, moja miła, ojciec jest dobrym człowiekiem. Wejdź, padnij mu do stóp: Bóg i jego serce dokonają reszty.

Po tych słowach, widząc, że Batylda nadal się waha, księżniczka Aglae otworzyła drzwi, wepchnęła dziewczynę do komnaty i zamknąwszy za nią drzwi pomknęła lekkim krokiem na schadzkę z diukiem; w taki to sposób zostawiła biedną Batyldę, aby sam na sam z regentem podjęła się obrony swojej sprawy.

Zaskoczona tym postępkami panny de Valois, Batylda wydała słaby okrzyk, a regent, który wzdłuż i wszerz przemierzał pokój, nagle podniósł głowę i odwrócił się.

Batylda, niezdolna zrobić ani kroku dalej, padła na kolana, dobyła zza gorsu list i

wyciągnęła rękę z listem ku regentowi.

Filip Orleański miał kiepski wzrok; nie zorientował się, o co jej chodzi; zbliżył się do klęczącej kobiety, której sylwetka rysowała się w półmroku jako niewyraźny biały kształt. W owym nieokreślonym kształcie rozpoznał po chwili dziewczynę, młodą i piękną, błagającą go o coś. Batylida jednak daremnie usiłowała wyłożyć spokojnie swą prośbę. Głos uwiązł jej w krtani, poczuła, że słabnie, zatoczyła się i byłaby upadła na dywan, gdyby książe nie pochwycił jej w ramiona.

- Ależ, na Boga, moja pani - rzekł regent, na którym owe oznaki wielkiego bólu wywarły spodziewane wrażenie. - Co się z panią dzieje? Co mogę dla pani uczynić? Proszę usiąść w tym fotelu, proszę bardzo.

- Nie, Wasza Wysokość, nie - wyszeptała Batylida. - To u twoich stóp, panie, muszę pozostać, bo przyszłam błagać o łaskę.

- O łaskę? A o jakąż to łaskę?

- Niech Wasza Wysokość przekona się najpierw, kim jestem - powiedziała Batylida - a potem może ośmielę się mówić. - I podała diukowi Orleańskiemu list, w którym pokładała całą swoją nadzieję.

Regent wziął list; spoglądał kolejno to na papier, to na śliczne dziewczę, wreszcie zbliżył się do kominka i w blasku stojącej tam świecy poznał własne pismo. Zerknął raz jeszcze na Batylidę i przeczytał, co następuje:

“Łaskawa Pani,

Małżonek Pani poległ za Francję i za mnie. Ani Francja, ani ja nie możemy go Pani zwrócić; ale proszę pamiętać, że jeśli będziesz, Pani, czegokolwiek potrzebowała, i Francja, i ja jesteśmy Pani dłużnikami.

Szczerze oddany

Filip Orleański”

- To mój list, poznaję go doskonale - powiedział. - Ale, ku wstydowi mojej pamięci, nie wiem, do kogo go napisałem, za co bardzo panią przepraszam.

- Proszę spojrzeć na adres, Wasza Wysokość - rzekła Batylida, nieco ośmielona wyrazem dobroci malującym się na twarzy księcia.

- Klarysa du Rocher! - wykrzyknął regent. - Tak, rzeczywiście, teraz sobie przypominam. Napisałem ten list z Hiszpanii po śmierci Alberta, który zginął w bitwie o Almanzę; napisałem go do wdowy po nim. W jaki sposób ten list trafił w pani ręce?

- To proste, Wasza Wysokość. Jestem córką Alberta i Klarysy.

- Pani jest ich córką? Naprawdę? A co się stało z pani matką?

- Nie żyje, Wasza Wysokość.

- Od dawna?

- Prawie od czternastu lat.

- Ale była zapewne szczęśliwa i niczego jej nie brakowało?

- Była pogrążona w rozpacz i ubóstwie.

- Czemu więc nie zwróciła się do mnie?

- Wasza Wysokość przebywał jeszcze w Hiszpanii.

- Wielki Boże, co też pani mówi! Proszę opowiadać dalej, nawet pani sobie nie wyobraża, jak mnie to interesuje. Biedna Klarysa, biedny Albert! Pamiętam, jak bardzo się kochali! A więc nie umiała żyć bez niego. Czy pani wie, że pani ojciec ocalił mi życie pod Nerwinde, czy wiesz pani o tym?

- Tak, Wasza Wysokość, wiem o tym i to właśnie dodało mi odwagi, by stawić się przed panem.

- Ale pani, nieszczęsna sieroto... co się z panią działo od tamtej pory?

- Zaopiekował się mną, Wasza Wysokość, przyjaciel naszej rodziny, skromny kopista Jan Buvat.

- Jan Buvat! - wykrzyknął regent. - Zaraz, niech pani poczeka, znam to nazwisko. Jan Buvat, to ten nieborak kopista, który wykrył całą konspirację i który parę dni temu osobiście złożył u mnie reklamację; chodziło mu o posadę w bibliotece, prawda? I o wypłacenie zaległych poborów?

- Tak jest, Wasza Wysokość.

- Droga pani - ozwał się regent - wydaje się, że związani z panią ludzie zostali wybrani przez los, by mnie ocalić. Jestem dwukrotnie pani dłużnikiem. Powiedziałaś mi, pani, że prosisz o łaskę; mówże śmiało. Słucham.

- Boże mój - westchnęła Batyllda - dodaj mi sił!
- A więc to, czego pragniesz, jest rzeczą tak trudną i ważną?
- Wasza Wysokość, chodzi o życie człowieka, który zasłużył na śmierć.
- Czyżbyś prosiła o życie dla kawalera d'Harmentala? - zapytał regent.
- Niestety, Wasza Wysokość, sam pan to powiedział.

Czoło regenta zasępiło się; Batyllda widząc, jakie wrażenie wywarła jej prośba, poczuła ucisk w sercu; kolana ugięły się pod nią.

- Czy jest pani krewnym? Sprzymierzeńcem? Przyjacielem?
 - Jest moim życiem, moją duszą, Wasza Wysokość: kocham go!
 - Czy wiesz, pani, że jeśli udzielę mu łaski, to muszę również ulaskawić bardzo wiele osób, wśród których znajdują się więksi od niego winowajcy?
 - Ocal mu życie, Wasza Wysokość, tylko życie! Niechaj nie umiera! Tylko o to błagam.
 - Jeśli zamienię mu karę na dożywotnie więzienie, to już go pani nigdy nie ujrzy.
- Batyllda, bliska śmierci, wyciągnęła rękę i oparła się o fotel.
- I co pani wtedy poczniesz? - spytał regent.
 - Wstąpię do klasztoru - odparła - do końca moich dni będę się tam modliła za Waszą Wysokość i za niego.

- Tak być nie może.
- Dlaczegoż to, Wasza Wysokość?
- Dlatego, że dziś, przed godziną proszono mnie o pani rękę, na co się zgodziłem.
- Moją rękę? Wasza Wysokość przyrzekł moją rękę? Komu, na Boga?!
- Proszę to przeczytać - rzekł regent sięgając po otwarty już list, leżący na biurku.
- Raul! - zawołała Batyllda. - Pismo Raula! Mój Boże, co to ma znaczyć?
- Proszę przeczytać - powtórzył regent.

I Batyllda odczytała wzruszonym głosem następujące słowa:

“Wasza Wysokość!

Zasłużyłem na śmierć, wiem o tym, i nie będę prosił Waszej Wysokości o życie. Jestem gotów umrzeć w wyznaczonym dniu, o wyznaczonej godzinie. Wasza Dostojność może jednak uczynić mi tę śmierć lżejszą i na kolanach dopominam się o tę łaskę.

Kocham pewną młodą pannę, którą poślubiłbym, gdybym żył. Zezwól, Panie, by została moją żoną, zanim zginę. W chwili, kiedy żegnam ją na zawsze i kiedy zostawiam ją samą i opuszczoną na świecie, niechaj mam jako pociechę tę świadomość, że odziedziczy moje nazwisko i moją fortunę. Po wyjściu z kościoła, Wasza Wysokość, pójdę na szafot.

To moja ostatnia wola, to moje jedyne pragnienie. Nie odmawiaj umierającemu.

Raul d'Harmental”

- Wasza Dostojność, Wasza Dostojność - rzekła Batyllda wybuchając płaczem - czy pan nie widzi, że podczas gdy ja myślałam o nim, on myślał o mnie?! Czy nie mam racji kochając go, skoro on tak bardzo mnie kocha?

- Tak - przyznał regent - i uwzględniłbym jego prośbę: jest słuszna. Oby ta łaska mogła, jak sam mówi, uczynić lżejszymi jego ostatnie chwile!

- Wasza Wysokość - zawołało dziewczę - czy Wasza Wysokość tylko na to wyraża zgodę?

- Przecież pani widzi, iż on sam wymierza sobie sprawiedliwość i nie prosi o nic innego.

- Och, cóż za okrucieństwo! To potworne! Zobaczyć go znów, by natychmiast utracić! Wasza Wysokość, proszę o darowanie mu życia! Błagam o nie i niechaj go nigdy więcej nie ujrzę! Wolę już to.

- Moja pani - powiedział regent tonem wykluczającym wszelką dyskusję, kreśląc jednocześnie kilka słów na papierze, który opatrzył własną pieczęcią - oto list do pana de Launay, gubernatora Bastylli; zawiera moje instrukcje dotyczące skazańca. Kapitan gwardii wsiądzie z panią do karety i będzie czuwał w moim imieniu, żeby owe instrukcje zostały dokładnie wypełnione.

- O, Wasza Wysokość, jego życie! Na miłosierdzie Boże, błagam cię o nie na klęczkach!

Regent zadzwonił; pokojowiec otworzył drzwi.

- Poproś pana markiza de la Fare - rzekł regent.

- Jakże pan jest okrutny, Wasza Wysokość! - zawołała Batyllda wstając. - Proszę zatem pozwolić mi umrzeć razem z nim. Przynajmniej nie będziemy rozdzieleni nawet na szafocie, nawet w grobie!

- Panie de La Fare - powiedział regent - proszę dotrzymać tej pannie towarzystwa w drodze do Bastylii. Oto list do pana de Launay: zapoznaj się i pan z jego treścią; będziesz czuwał, aby rozkazy w nim zawarte zostały wykonane co do joty.

I nim rozległ się ostatni rozpaczliwy krzyk Batylidy, diuk Orleański otworzył jedne z drzwi komnaty i zniknął za nimi.

XXIV. Ślub in extremis

La Fare niemal niósł omdlewającą dziewczynę i pomógł jej wsiąść do jednej z karet, które zwykle czekają zaprzężone na dziedzińcu Palais-Royal. Pojazd ruszył z miejsca galopem, pomknął ulicą de Clery i przez bulwary w stronę Bastylii. Podczas całej drogi Batyllda, zimna i nieruchoma jak posąg, nie wypowiedziała ani słowa. Jej oczy były również nieruchome i suche; dopiero, gdy dojechali do fortecy, zadrżała nagle. Wydało jej się, że tam, gdzie stracono kawalera de Rohan, dostrzegła w mroku jakiś kształt przypominający szafot. Nieco dalej strażnik zawołał: "Kto idzie?" Potem kareta zaturkotała po zwodzonym moście. Kraty uniosły się, otwarto bramę i pojazd zatrzymał się u wejścia do kwatery gubernatora.

Lokaj bez liberii otworzył drzwiczki i La Fare pomógł Batylldzie wysiąść; ledwie trzymała się na nogach. Wszystkie siły ducha opuściły ją, kiedy utraciła nadzieję. La Fare i lokaj musieli ją podtrzymywać przy wchodzeniu na pierwsze piętro. Pan de Launay właśnie wieczerzał. Zostawiono Batylldę w salonie, La Fare'a natomiast wprowadzono od razu do gubernatora.

Po upływie mniej więcej dziesięciu minut La Fare zjawił się w salonie wraz z gubernatorem. Batyllda odruchowo uniosła głowę i patrzyła na nich nieprzytomnym wzrokiem. La Fare zbliżył się do niej i podał jej ramię.

- Kaplica jest przygotowana i ksiądz czeka na panią - powiedział.

Wstała w milczeniu, blada i zlodowaciała. Czując, że kolana uginają się pod nią, wsparła się na ramieniu markiza. Pan de Launay szedł pierwszy, przyświecali mu dwaj ludzie z pochodniami.

Wszedłszy do kaplicy bocznymi drzwiami, Batyllda ujrzała Raula, jak wychodzi z przeciwległych drzwi w towarzystwie Valefa i Pompadoura. Byli to świadkowie pana młodego, tak jak de Launay i La Fare byli świadkami panny młodej. Przy każdych drzwiach stało z bronią na ramieniu dwóch gwardzistów, jakby wykutych w kamieniu.

Kochankowie szli ku sobie, Batyllda blada i ledwie żywa, Raul spokojny i uśmiechnięty. Kiedy znaleźli się przed ołtarzem, Raul ujął dziewczynę za rękę i poprowadził ją do dwóch klęczników przed prezbiterium. Tam padli oboje na kolana, nie odezwawszy się do siebie ani słowem.

Tylko dwie świece oświetlały ołtarz; kaplicę, i tak już ciemną, wypełnioną, zda się, posępnymi wspomnieniami, rozjaśniał ponury blask, który upodabniał tę ceremonię do obrzędu pogrzebowego. Ksiądz rozpoczął nabożeństwo. Był to piękny siwy starzec o melancholijnej twarzy, która zdradzała, że codzienne obowiązki zostawiły mu w duszy głębokie ślady. Jako kapelan Bastylli, pełniący tu służbę Bożą od dwudziestu pięciu lat, wysłuchiwał w tym czasie bardzo przygnębiających spowiedzi i oglądał żalosne widowiska.

Przed błogosławieństwem skierował do młodej pary kilka słów zgodnie z uświęconym obyczajem; ale zamiast mówić im o powinnościach małżeńskich, zamiast otwierać przed nimi perspektywy życia doczesnego, mówił o pokoju w Niebiosach, o zmiłowaniu Bożym i wiecznym zmartwychpowstawaniu. Batyldę dławił szloch. Raul widząc, że nieszczęsna wybuchnie lada moment głośnym płaczem, chwycił jej dłoń i spojrzał w jej oczy z tak smutną i głęboką rezygnacją, że zdobyła się na ostatni wysiłek, powstrzymała łzy, które, jak to czuła, spływały jej teraz wprost do serca. Gdy ksiądz rozpoczął błogosławieństwo, oparła głowę na ramieniu Raula. Ksiądz, myśląc, że dziewczę mdleje, zatrzymał się na krótką chwilę.

- Proszę kończyć - szepnęła.

Kapelan wypowiedział tedy sakramentalną formułę, na którą oboje odpowiedzieli "tak", i w owym "tak" połączyły się, jak gdyby, wszystkie siły ich ducha.

Po skończonej ceremonii d'Harmental zapytał pana de Launay, czy może spędzić z żoną tych parę godzin życia, jakie mu pozostały. Pan de Launay odpowiedział, że nie widzi w tym nic niewłaściwego i że mogą oboje przejść do celi kawalera. Wówczas Raul uściskał Valefa i Pompadoura wyrażając im wdzięczność za to, że zechcieli być świadkami na tym żałobnym ślubie, uścisnął dłoń La Fare'a, podziękował serdecznie panu de Launay za dobroć, jaką mu okazywał podczas jego pobytu w Bastylli, i objąwszy Batyldę ramieniem, wciąż się bowiem wydawało, iż runie biedaczka na kamienne płyty kościoła, pociągnął ją w kierunku drzwi, którymi tu wszedł. Dwaj czekający tam ludzie z pochodniami ruszyli przodem, towarzysząc im aż do celi d'Harmentalą. Klucznik otworzył drzwi, po czym je zamknął i małżonkowie zostali sami.

Wtedy Batylda, która do tej pory zwycięsko walczyła ze łzami, nie mogła już oprzeć się rozpacz: rozdzierający krzyk dobył się jej z piersi; załamawszy ręce, padła na krzesło, gdzie

podczas trzech tygodni swojego uwięzienia Raul zapewne często myślał o niej. Raul, u jej stóp, chciał ją pocieszyć, ale sam, nazbyt przejęty jej wielkim cierpieniem, zdobył się jedynie na łzy, które mieszały się ze łzami Batyldy. To serce z żelaza topniało teraz i Batyllda czuła na swoich wargach pocałunki zroszone łzami.

Byli razem zaledwie pół godziny, kiedy posłyszeli kroki zbliżające się do drzwi i zgrzyt klucza w zamku. Batyllda drgnęła i kurczowo przytuliła do siebie Raula. D'Harmental pojął w lot, jaka to straszliwa myśl zatrwożyła Batyldę, i natychmiast ją uspokoił. Nie mogło to być jeszcze "to", czego się obawiała, bo egzekucję wyznaczono na ósmą rano, a wybiła dopiero jedenasta. Rzeczywiście, w drzwiach pojawił się pan de Launay.

- Panie kawalerze - ozwał się gubernator - zechce pan pójść ze mną.

- Sam? - spytał d'Harmental tuląc Batyldę w ramionach.

- Nie, z żoną - odparł gubernator.

- Ach, mamy iść razem, razem! Słyszysz, Raulu? - zawołała Batyllda. - Wszędzie, dokądkolwiek, byle razem! Już idziemy, panie gubernatorze, już idziemy!

Raul uścisnął raz jeszcze Batyldę, złożył ostatni pocałunek na jej czole i przyzywając całą swoją dumę kroczył za panem de Launay z wyrazem twarzy, który w najmniejszym stopniu nie zdradzał przerażenia, jakie go ogarniało.

Wszyscy troje szli pewien czas korytarzami oświetlonymi tu i ówdzie latarnią, potem spiralnymi schodami w dół i znaleźli się przed bramą wieży. Brama wiodła na okolony wysokimi murami, kryty dziedziniec, miejsce spacerów dla pośledniejszych więźniów. Na tym dziedzińcu stała karetka zaprzęzona w dwa konie; na jednym z nich siedział pocztalion. Obok połyskiwały w ciemności pancerze muszkieterów; było ich chyba dwunastu.

Ten sam błysk nadziei rozświetlił jednocześnie serca młodych małżonków. Batyllda prosiła regenta o złagodzenie wyroku, o dożywocie zamiast kary śmierci. Kto wie, czy regent nie okazał mu tej łaski? Owa zaprzęzona karetka miała zapewne przewieźć skazańca do innego więzienia, oddziałek muszkieterów miał zapewne pojazd eskortować - wszystko to zdawało się przemawiać na rzecz owych supozycji. Kochankowie popatrzyli na siebie jednocześnie i jednocześnie wznieśli oczy ku niebu, aby podziękować Bogu za nieoczekiwane szczęście, jakim ich obdarzył. Tymczasem pan de Launay dał znak pocztalionowi, karetka

podjechała bliżej, drzwiczki się otworzyły, gubernator z odkrytą głową podał rękę Batyldzie i pomógł jej wsiąść. Batylda zawahała się przez moment i odwróciła się z niepokojem, w obawie, że ją rozdziela z Raulem, ale zobaczyła, że kawaler podąża za nią, i poniechała oporu. Raul usiadł obok niej; drzwiczki zatrzasnęły się, karetka ruszyła, ludzie z eskorty uplasowali się po obu jej stronach. Pojazd minął bramę, minął zwodzony most i oto wszyscy znaleźli się poza murami Bastylji.

Małżonkowie rzucili się sobie w ramiona; nie było wątpliwości, że regent ulaskawił Raula, stało się też jasne, że zgodził się nie rozdzielać młodych małżonków. O tym ani Batylda, ani Raul nigdy nie ośmieliliby się nawet marzyć. Życie w więzieniu, będące męką dla każdego, im wydawało się cudowną egzystencją, rajem miłości; będą wciąż razem i nie rozstaną się już nigdy! Czego mogliby bardziej pragnąć, gdyby nawet mogli stanowić o swoim losie. Tylko jedna smutna myśl przemknęła im równocześnie przez głowy i z ową spontanicznością uczuć, znaną wyłącznie tym, co się kochają, wypowiedzieli oboje imię Buvata.

W pewnej chwili karetka zatrzymała się. W tych okolicznościach każdy drobiazg stawał się dla biednych kochanków powodem do lęku. Zatrwożeni, drgnęli na myśl, że za wielkie żywią nadzieje. Prawie natychmiast drzwiczki otworzyły się i do wnętrza karetki zajrzał pocztylion.

- O co chodzi? - spytał d'Harmental.

- Do kroćset, mój panie - rzekł pocztylion - chciałbym wreszcie dowiedzieć się, gdzie mam was zawieźć.

- Jak to! Gdzie nas zawieźć? - wykrzyknął d'Harmental. - Czyż nie wydano ci rozkazów?

- Otrzymałem rozkaz, aby zawieźć pana do lasu Vincennes i zatrzymać się między zamkiem i Nogent-sur-Marne. Jesteśmy na miejscu.

- A co z naszą eskortą? - spytał kawaler.

- Pańska eskorta? Została przy rogatce.

- Dobry Boże! - zawołał d'Harmental, a Batylda ogarnięta nadzieją, która jej zapierała dech, złożyła dłonie w milczeniu. - Boże miłosierny, czy to możliwe? - I kawaler wyskoczył z

karetki, rozejrzał się chciwie dookoła i wyciągnął rękę do Batyldy, która także wysiadła. Młodzi małżonkowie wydali okrzyk pełen szczęścia i wdzięczności.

Byli wolni jak powietrze, którym oddychali!

Okazało się teraz, że regent kazał zawieźć kawalera dokładnie w to miejsce, gdzie ów porwał lokaja, imię Bourguignona, w przekonaniu, że porywa diuka Orleańskiego.

Była to jedyna zemsta, jakiej nie odmówił sobie Filip Dobrotliwy.

W cztery lata po tym wydarzeniu Buvat, który wrócił na dawne stanowisko w Bibliotece Królewskiej i odebrał zaległe pobory, z najwyższą radością włożył pióro w rączkę ślicznego, trzyletniego malca: był to syn Raula i Batyldy.

Dwa pierwsze nazwiska, jakie chłopiec nauczył się pisać to: Albert du Rocher i Klarysa Gray.

A trzecie: Filip Orleański, regent Francji.

Postscriptum

Znajdą się być może czytelnicy na tyle zainteresowani losem drugorzędnych postaci opisanej przez nas historii, że zechcą dowiedzieć się, co się z nimi stało po przegranej spiskowców i ocaleniu regenta. Zaspokoimy zatem ich ciekawość w paru słowach.

Diuk i diuszesa du Maine, których postanowiono raz na zawsze pozbawić skłonności do spiskowania, zostali zatrzymani - diuk w Sceaux, diuszesa we własnym pałacyku przy ulicy Saint-Honore. Księcia przewieziono do zamku w Dourlens, żonę jego - do Dion, a potem do cytadeli w Chalons. Oboje opuścili więzienie po upływie paru miesięcy, rozbijając regenta, jedno - przez całkowite wyparcie się winy, drugie - przez całkowite przyznanie się do winy.

Panna de Launay została wtrącona do Bastylii, gdzie swój pobyt, o czym mogą nas przekonać jej pamiętniki, osładzała sobie wielką miłością do kawalera de Mesnil, i często po wyjściu na wolność, gdy ubolewała nad niewiernością drogiego współwięźnia, mówiła niczym Zofia Arnould lub Ninon - nie wiem już dokładnie, która z nich: "Ach jakie to były szczęśliwe czasy, kiedy byliśmy tak nieszczęśliwi!"

Diuka de Richelieu aresztowano zgodnie z informacją podaną mu przez pannę de Valois, a więc nazajutrz po umożliwieniu Batyldzie rozmowy z regentem, ale to uwięzienie przyniosło mu nowy tryumf. Rozeszła się bowiem wieść, że piękny więzień uzyskał zezwolenie

na przechadzki po tarasie Bastylli, i ulica Saint-Antoine, zatłoczona najelegantszymi powozami Paryża, stała się, w ciągu dwudziestu czterech godzin, najmodniejszą promenadą w mieście. Toteż regent, który posiadał, jak twierdził dość dowodów, by ściąć panu de Richelieu cztery głowy, gdyby ten je posiadał, nie chciał ryzykować utratą na zawsze popularności wśród płci nadobnej, przetrzymując go dłużej w więzieniu. W trzy miesiące później Richelieu opuścił Bastylię, bardziej niż kiedykolwiek błyskotliwy i rozchwytywany w wielkim świecie. Po powrocie zastał jednak szafę na konfitury zamurowaną, jako że biedna panna de Valois poślubiła tymczasem księcia Modeny.

Ksiądz Brigaud, aresztowany, jak już wspomnieliśmy, w Orleanie, spędził czas pewien w więzieniach tego miasta ku rozpaczy zacnej pani Denis, panienek Emilii i Atenais oraz pana Bonifacego. Ale pewnego pięknego ranka, kiedy cała rodzina zasiadała właśnie do śniadania, pojawił się, spokojny i stateczny, jak zwykle. Zgotowano mu wspaniałe przyjęcie i rozpytywano o wszystkie szczegóły, lecz ksiądz, wiedziony wrodzoną ostrożnością, zalecił ciekawskim, by przeczytali jego zeznania w sądzie, dodając, że ta sprawa kosztowała go tyle przykrych przeżyć, iż byłby ogromnie zobowiązany, gdyby nigdy już nikt o niej nie wspomniał. A że ksiądz Brigaud był w domu pani Denis na prawach władcy absolutnego, zakazu sumiennie przestrzegano i na ulicy du Temps-Perdu pod numerem 5 nie padło odtąd ani jedno słowo na ten temat - jak gdyby nic się w ogóle nie wydarzyło.

Pompadour, Valef, Laval i Malezieux kolejno w ciągu paru dni zostali uwolnieni i od nowa zaczęli zalecać się do pani du Maine.

Kardynał de Polignac natomiast nie był nawet aresztowany: wysiedlono go po prostu do opactwa w Anchin.

Lagrange-Chancela, autora dzieła pod tytułem "Filipiki", wezwano do Palais-Royal. Czekał tam na niego regent.

- Czy pan myśli o mnie to, co pan napisał? - spytał książę.

- Tak, Wasza Wysokość - odpowiedział Lagrange-Chancel.

- No cóż, to pańskie szczęście - rzekł regent - bo gdybyś napisał podobne zniewagi niezgodnie z własnym sumieniem, kazałbym waćpana powiesić.

I Filip Orleański poprzestał na tym, że wysłał poetę na wyspę Sainte-Marguerite, gdzie

przebywał on kilka miesięcy. Wrogowie regenta zaczęli tedy rozpowszechniać wieść, że książę kazał go tam otruć; żeby obalić te kalumnie, regent nie znalazł lepszego sposobu niż otwarcie bram więzienia przed domniemanym nieboszczykiem, który powrócił stamtąd przesycony nienawiścią i żółcią bardziej niż kiedykolwiek.

Ten ostatni dowód pobłażliwości uznał arcybiskup Dubois za tak dalece przekraczający miarę, że pobiegł do regenta, aby mu zrobić scenę, ale w odpowiedzi na wszystkie reprimendy diuk Orleański nucił refren piosenki, którą Saint-Simon ułożył na jego cześć: "O jakżem pobłażliwy, o jakżem pobłażliwy!", co do reszty rozwścieczyło Dubois, i regent dla poprawienia wzajemnych stosunków musiał mianować go kardynałem.

Owa nominacja napęłniła Filonkę taką dumą, iż oświadczyła ona, że nie będzie odtąd przyjmować u siebie nikogo, kto nie może się wykazać szlachectwem swego rodu sprzed roku 1399. Dom Filonki jednak utracił w tej katastrofie najznakomitszą pensjonariuszkę. W trzy dni po śmierci kapitana Roquefinette Normandka wstąpiła do zakonu sióstr pokutniczek.